

„Jedna z najodważniejszych powieści
inspirowanych tragicznymi zamachami z 11 września”

The Seattle Times

MATT RUFF

MIRAZ



MATT RUFF

MIRAŻ

Przełożył
Zbigniew A. Króllicki



Dom Wydawniczy Rebis

Dla moich rodziców

*Jeśli Bóg chce cię ukarać,
spełnia twoje życzenie.*

amerykańskie przysłowie

PROLOG. 9 LISTOPADA

To jest dzień

To jest dzień, w którym zmienia się świat.

Jest 21 szabana, 1422 lata po hidźrze. Lub, jak określiliby to kalendarz handlu międzynarodowego: 9 listopada 2001 roku. Słońce w Bagdadzie wschodzi o 6.25. Stary mężczyzna stoi w głównej sali restauracji Okno na Świat, spoglądając na miasto, kiedy pierwsze promienie dosięgają bliźniaczych wież Tygrysu i Eufratu.

Poranny ruch już się zaczął i sznur samochodów jedzie drogami szybkiego ruchu z Al-Falludży, Samarry, Bakuby i Karbali. Po drugiej stronie Tygrysu przyjeżdżający o 6.30 pociąg Basra Sp. z o.o. robi pętlę wokół dawnych terenów wystawy Expo i przez krótką chwilę jedzie równoległe do zmierzającego do Miasta As-Sadra, zanim oba składy zanurzą się pod ziemię, zmierzając do dworca głównego. Również na rzece panuje ruch: barki pasażerskie i towarowe, taksówki wodne, wyścigowe łodzie drużyny wioślarskiej Uniwersytetu Bagdadzkiego, wodolot z Kut.

Patrząc w dół na to wszystko, stary mężczyzna odczuwa zawroty głowy, które nie mają nic wspólnego z lękiem wysokości. Mówi sobie, że to przez ruch, nieustanny ruch miasta, powiększony jeszcze przez godzinę szczytu.

Stary mężczyzna dorastał w Jemenie. Jego rodzina miała piekarnię, w której pracował razem z braćmi. Była to ciężka praca do późna, ale każdego dnia, pięć razy dziennie, ustawała; zarówno pracownicy, jak i klienci wychodzili do meczetu, pozostawiając jedynie jakiegoś chrześcijanina, aby doglądał

piekarników. Nie tylko przedsiębiorstwa były zamykane. Ktoś oglądający to z góry zobaczyłby również puste ulice, gdyż nawet ludzie będący w dalekiej podróży przystawali, aby się pomodlić.

Bagdad, miasto przyszłości, nie staje nigdy. Tutaj, gdy stary mężczyzna wychodzi z kuchni na poranną modlitwę, nie tylko chrześcijanie pozostają w pracy. Tu frekwencja w meczecie się zmienia, jakby trzeba było się dostosowywać do porządku świata, a nie porządku bożego. Tutaj ruch uliczny płynie bez przerwy i zatrzymuje się jedynie w razie wypadków lub ulicznych korków. Nic dziwnego, że ten widok dezorientuje go, wywołując kołatanie w klatce piersiowej i wewnętrzny głos, który mówi: „To nie jest miejsce, do którego zostałeś stworzony”.

A przynajmniej tak sądzi. Lecz cóż innego mogłoby to być?

Ktoś z kuchni woła jego imię. Czas wracać do pracy. Trzeba wyjąć kolejną partię ciastek, zanim zaczną podawać śniadanie o siódmej, a potem zabrać się do przygotowywania lunchu.

Za oknami przelatuje helikopter, a słońce nadal wschodzi, odsłaniając niebo pokryte smugami pozostawionymi przez przelatujące samoloty. W niebiosach też panuje ożywiony ruch.

7.15 rano. W studiu znajdującym się zaledwie kilka przecznic od wież burmistrz Bagdadu, Anmar al-Majsani, występuje w porannym talk show Dżazira i przyjaciele. Dzisiejszym tematem jest szybko rosnący wskaźnik morderstw: w Bagdadzie od stycznia zostały zabite 463 osoby i szacuje się, że ostateczna roczna liczba przekroczy pięćset. To najgorsza fala przemocy, jakiej miasto doświadczyło od wojny gangów we wczesnych latach dziewięćdziesiątych.

Burmistrz musi to jakoś wytłumaczyć. Została przedstawiona jako „znana feministka”, więc spodziewa się, że większość czasu antenowego zajmie

dyskusja o tym, czy może pewne prace lepiej jednak pozostawić mężczyznom, i jest zdziwiona, gdy pierwsze pytanie gospodarza programu dotyczy całkowicie innego tematu.

– Pani burmistrz, wielu ludzi uważa, że wzrost bezprawia, który widzimy, jest nieuchronną konsekwencją sekularyzacji społeczeństwa i że potrzeba nam nowego Przebudzenia, odrzucenia nowoczesności i powrotu do tradycyjnych wartości religijnych. Co pani na to?

– Cóż – odpowiada burmistrz – przede wszystkim powiem, że Bóg jest wielki i nic nie jest ważniejsze od prób prowadzenia uczciwego życia. Jeżeli obywatele są gotowi ponownie podjąć te zmagania, jest to najlepsza wiadomość, jaka może wyniknąć z tej nieszczęśliwej sytuacji. Jednak nie zgodzę się ze związkem, który próbuje pan nakreślić między tak zwaną sekularyzacją a bezprawiem. Jeśli przyjrzy się pan dokładnie statystykom, zobaczy pan, że wzrost liczby morderstw jest spowodowany nasileniem działań przestępczości zorganizowanej. Kiedy ludzie zaczynają stosować przemoc w pogoni za nielegalnymi zyskami, problemem nie jest to, że nie zdołali się podporządkować Bogu; problemem jest to, że są gangsterami.

Uwagę gospodarza zwraca suche kasznięcie drugiego gościa programu, wydawcy „Kuriera Bagdadzkiego”.

– Panie Aziz? Ma pan jakiś komentarz?

– Jestem tylko biednym chrześcijaninem – mówi Tarik Aziz – i nie zamierzam pouczać moich muzułmańskich braci i sióstr, jak być uczciwymi, ale jeśli ludzie zostają gangsterami, moim zdaniem oznacza to, że nie są podporządkowani Bogu...

– Pani burmistrz? Pani odpowiedź?

– Jeśli Tarik Aziz czuje się biednym chrześcijaninem, nie będę się z nim spierać – mówi burmistrz. – Być może panu Azizowi pomogłyby medytacje nad werselem z Psalmów Dawidowych: „Nie będę miał złoczyńcy za

przyjaciela”. Mogłabym mu również polecić kilka wersetów z rozdziału 63 Świętego Koranu...

– Ja poleciłbym pani burmistrz przejrzeć paragrafy zabraniające zniesławienia – odcina się Tarik.

– Niezmiernie się cieszę, że mogę się skupić na prawie – mówi burmistrz. – To właśnie dzięki prawu i porządkowi rozwiążemy ten problem, jeśli Bóg pozwoli.

– Jednak to rodzi następne pytanie, prawda? – odzywa się gospodarz. – Dla opinii publicznej od kilku lat jest pani obliczem prawa w tym mieście. Pomimo to sytuacja się pogorszyła.

– Ostatnio tak, ale...

– Tak, ostatnio, nawet po tym, kiedy otrzymała pani od rady miejskiej większe uprawnienia. Niektórzy mogliby orzec, że to znak, że dano pani zbyt dużą władzę, że nie może pani sprostać obowiązkom pani urzędu. Niektórzy mogliby posunąć się dalej i powiedzieć, że Bóg ustalił naturalną granicę odpowiedzialności, z jaką może poradzić sobie kobieta, i że pani próbowała przekroczyć tę granicę, z przewidywalnymi rezultatami. Pani burmistrz... Pani opinia?

7.59. Na rzece przyszedł czas na kolejną rundę wojny z narkotykami. Młody sternik, który dopiero co przycumował łódkę do pomostu pod mostem 14 Lipca, po chwili zostaje otoczony, nie przez przemytników, których oczekiwał, ale przez umundurowanych agentów Służb Halal.

Ich dowódcą jest potężny mężczyzna o imieniu Samir i posturze kulturysty.

– Zanim mnie okłamiesz – mówi, kiwając ostrzegawczo palcem przed nosem młodzieńca – chcę, abyś o czymś pomyślał. Wiemy, że nazywasz się Chalil Nufan. Wiedzieliśmy, że tu przypłyniesz, i wiemy, jaki masz ładunek.

Wiemy, że masz wuja Zijada, który tonie po uszy w długach hazardowych. Wiemy to wszystko, więc zadaj sobie pytanie: Co jeszcze wiemy?

Chłopak mruga powoli, jego wyraz twarzy sugeruje, że nigdy nie zdobędzie żadnej nagrody naukowej. Kiedy mówi, robi to tak, jakby czytał kartkę z notatkami:

– Przewożę owoce.

– Dobrze. – Kolejny agent na pokładzie łodzi trąca stertę kartonów, których nalepki sugerują, że zawierają banany. Słyszając charakterystyczny brzęk, żartuje: – Dziś rano musiało być bardzo zimno na wodzie. – Rozdziera karton znajdujący się na górze stosu i wyciąga szklany pojemnik. – Popatrzcie na to, zamarzły, tworząc kształt butelki wina. Niewiarygodne!

Sternik mruga odrobinę szybciej i przechodzi do awaryjnej historyjki:

– To dla Żydów. Do użycia w głównej synagodze.

Samir się śmieje.

– Słyszysz to, Izaak? – pyta agenta na łodzi. – Twój wielki rabin znowu przemyca szabasowe wino.

– Nienawidzę, kiedy to robi.

Samir znów skupia uwagę na chłopaku:

– Po co Żydzi mieliby przemycać wino, kiedy mogą je importować legalnie?

– Żeby... żeby zaoszczędzić na podatkach...

– Co? Rzykują pójdzie do więzienia dla kilku riali?

– To Żydzi!

Wszyscy agenci śmieją się z tego. Na łodzi Izaak zrywa pieczęć z butelki „wina” i wyciąga korek. Wącha, potem kosztuje małymi łydkami zawartość.

– I jak? – pyta Samir.

– Dobry szkocki rocznik. – Izaak pociąga z butelki solidniejszy łyk. – Powiedziałbym, że około osiemdziesięciu procent.

– Procent? – Sternik wychodzi teraz poza swój przygotowany scenariusz. – Co to jest procent?

– To wysokoprocentowy alkohol, dupku – mówi mu Samir. – Podchodzi pod ciężkie przestępstwo klasy A. Wielokrotne ciężkie przestępstwo, jeśli postanowimy policzyć każde pudło jako oddzielny ładunek. Ile mamy pudeł, Izaak?

– Co najmniej czterdzieści. I wygląda na to, że w każdym pudle są dwa tuziny butelek, więc jeśli naprawdę chcesz być złośliwy, możesz je policzyć podwójnie.

Samir gwizdże.

– Osiemdziesiąt zarzutów popełnienia ciężkiego przestępstwa... I to z minimalnym wyrokiem pięciu lat więzienia za każdy zarzut. Wiem, że prawdopodobnie nie jesteś dobry z matematyki, ale czy rozumiesz, jak bardzo jesteś udupiony?

– Nie! To wino! Powiedzieli mi...

– Oni? Hej! – Samir chwyta go za podbródek. – Spójrz na mnie. Kto cię wynajął?

– Nikt... Żydzi.

– Żydzi! – Samir prycha z oburzenia. Nadal ściskając podbródek chłopaka, nachyla się do niego: – Osiemdziesiąt zarzutów popełnienia ciężkiego przestępstwa. To jak wyrok dożywotniego więzienia, rozumiesz to?

– Ja... ja...

– Och, pewnie, zacznij płakać. To naprawdę pomoże tam, gdzie pójdziesz...

– Pochylając się jeszcze bliżej, jak do pocałunku, zniża głos do uwodzicielskiego szeptu: – Masz piękne oczy, wiesz o tym? Inni więźniowie w Abu Ghurajb... założę się, że pokochają te oczy...

8.23. Na międzynarodowym lotnisku w Bagdadzie para agentów Biura zorganizowała stanowisko obserwacyjne na dachu wieży kontroli lotów. Obiektem ich zainteresowania jest imponująca posiadłość na wschodzie, położona na wyspie znajdującej się na środku sztucznego jeziora. Wyspę łączy z brzegiem jeziora szosa, wzdłuż której stoją inne, mniejsze rezydencje, a wieża kontroli lotów stanowi wspaniały punkt obserwacyjny do odnotowywania numerów tablic rejestracyjnych pojazdów na szosie.

Podczas gdy agent płci męskiej, Rafi, przygląda się badawczo posiadłości przez teleskop wyposażony w aparat fotograficzny, kobieta, Amal, ucina sobie pogawędkę z kierownikiem lotniska, który przyszedł tu razem z nimi. Rozmowa pozornie dotyczy szajki kradnącej bagaże, o której kierownik podobno coś wie, Amal jednak podejrzewa, że tak naprawdę mężczyzna chce zdobyć numer jej telefonu.

– ...Persowie ze sfalszowanymi wizami pracowniczymi – mówi kierownik.
– Przekradają się przez granicę, przez mokradła, i płacą miejscowej hołocie za załatwienie im fałszywych papierów.

– Persowie. – Amal z łatwością pojmuje podtekst tej wypowiedzi. Południowy akcent i dialekt kierownika wskazują na to, że pochodzi z południowej części półwyspu, a ponieważ Amal i Rafi są agentami federalnymi, najwyraźniej wywnioskował, iż są przynajmniej honorowymi rijadczykami – i sunnitami. W przeciwieństwie do niedobrych Persów i irackich mieszkańców bagien, którzy są szyitami. – Wie pan, dość dobrze znamy miejscową hołotę – dodaje, robiąc gest w stronę posiadłości na jeziorze – i muszę panu powiedzieć, że on nie bardzo lubi Persów. Ani ludzi z mokradeł.

– Och, nie o tej hołocie mówię. On jest niegodziwym człowiekiem, ale przestępcy, którymi powinniście się zająć, znajdują się w ratuszu.

Amal udaje zdumienie.

– Mówi pan, że biuro burmistrz Bagdadu jest skorumpowane?

– Żartuje pani? Ta niekompetentna kobieta pochodzi z tego samego bagna, przez które zawsze przekradają się Persowie, chyba to coś pani mówi? – Kierownik przerywa, przez chwilę urzeczony widokiem poruszanego wietrzykiem kosmyka włosów Amal. – Wie pani – dodaje – jest pani trochę do niej podobna.

– O, co za komplement!

Kierownik uśmiecha się.

– Powiedziałem, że jest skorumpowana i niekompetentna, nie brzydka! I oczywiście jest pani od niej dużo młodsza.

– Tak – mówi Amal. – Tak naprawdę to wystarczająco młoda, aby być jej córką. – Słyszy za plecami jakiś dźwięk, który z początku bierze za chichot Rafiego, ale to trzask migawki. – Coś się dzieje?

– Jeden z synów wyjeżdża – mówi Rafi. – Sądzę, że Udajj.

Amal spogląda tam. Żółty sportowy samochód właśnie wyjechał przez frontową bramę posiadłości i pędzi szosą.

– To rzeczywiście Udajj. Kusajj jeździ czerwonym. – Odwraca się z powrotem do kierownika, który nadal uśmiecha się w taki sposób, że Amal żałuje, iż nie założyła większej chustki na głowę. – W każdym razie...

– Proszę. – Kierownik wpada jej w słowo. – Widzę, że jest pani zajęta. Być może... moglibyśmy porozmawiać później?

Amal z trudem powstrzymuje chęć przewracania oczami.

– Wie pan co, coś panu powiem. Proszę dać mi swoją wizytówkę, a ja zobaczę, czy...

Już sięga po portfel. Jednak zanim udaje mu się wyjąć wizytówkę, dzwoni jego telefon komórkowy.

– Tak...?

Kiedy słucha, jego uśmiech gaśnie.

– Co się stało? – pyta Amal, gdy kierownik kończy rozmowę.

Ma poważną minę i ignoruje jej pytanie, wyciągając rękę, żeby pociągnąć za rękaw Rafiego.

– Przepraszam...

– Co? – pyta poirytowany Rafi.

– Obawiam się, że jest problem.

– Tak, wiemy. Proszę dać Amal swoją wizytówkę, tak jak powiedziała, a my...

– Nie – mówi kierownik. – Chodzi o coś innego. Coś poważnego. Samolot arabskich linii lotniczych, który wyleciał z Kuwejt, został...

Jego telefon znowu dzwoni. Więcej złych wiadomości.

– Co się dzieje? – pyta Amal. – Czy ten samolot został porwany?

Brak odpowiedzi. Tak jakby nagle stała się niewidoczna. Kierownik wpatruje się w Rafiego, ale Rafi odwzajemnia spojrzenie, czekając, aż facet odpowie na pytanie Amal.

– Dwa – mówi w końcu kierownik. – Dwa samoloty... Co najmniej dwa.

8.41. Nad brzeg rzeki przybywa kolejny agent Halal, chudy, żylasty mężczyzna z wąsami. Agenci już znajdujący się na miejscu otworzyli dodatkowe butelki „dowodu” i teraz mniej to wygląda na aresztowanie, a bardziej na przyjęcie, na którym wszyscy oprócz zakutego w kajdanki gościa honorowego są w znakomitych humorach.

– Hej, Mustafa! – woła Samir do nowo przybyłego. – Najwyższy czas!

– Co tu mamy?

– Kolejny żydowski spisek mający na celu przemyt wina – śmieje się Samir i podsuwa mu otwartą butelkę, ale Mustafa daje mu ręką znak, żeby ją zabrał.

– Co to tak naprawdę jest? Znow szkocka whisky?

– Mieszanka. Wygląda na to, że głównie whisky, ale również trochę wódki i jakaś okropna mikstura z wiśni.

– Ten smakuje jak kawa! – woła z łodzi Izaak.

– Sam mam nadzieję na dobry arak – mówi Samir.

– Tego nam właśnie potrzeba przed zbliżającym się ramadanem – mówi Mustafa, a Samir unosi brew bardziej z powodu tonu jego głosu niż słów. Mustafa wskazuje ruchem głowy na płaczącego sternika. – To nasz przemytnik?

– Tak – odpowiada Samir, nadal zastanawiając się nad uwagą dotyczącą ramadanu. – Naprawdę trudny przypadek, jak widzisz.

– Przypuszczam, że nie czekaliście, aby sprawdzić, czy ktoś się pojawi, żeby się z nim spotkać.

– Po co zawracać sobie głowę? Jeśli wiemy o transporcie, to możesz się założyć, że Saddam wie, że my wiemy. Prawdziwy transport prawdopodobnie został rozładowany gdzieś w górze rzeki, gdy byliśmy zajęci tą przynętą.

– Zajęci. – Mustafa potrząsa głową. – Miejcie nadzieję, że nikt z aparatem nie uchwycił tego, jak jesteście „zajęci” tą butelką.

– Co dziś rano w ciebie wstąpiło, Mustafa? Czemu się spóźniłeś?

– Mój samochód nie chciał zapalić.

– I dlatego jesteś takim dupkiem? Znowu pokłóciłeś się z żonami, prawda? Z którą, z Nur?

Mustafa wskazuje na zakurzony samochód typu hatchback, którym przyjechał na nabrzeże.

– Czy on wygląda na taki, który mógłbym pożyczyć od Nur?

– Och – mówi Samir. – Zatem Fadwa. Szkoda. Jednak nie musisz odgrywać się na mnie.

– Po prostu skończmy tu, zanim „Kurier” zrobi exposé dotyczące korupcji Halal.

– Dobrze, dobrze – mówi Samir. – W porządku, ludzie, zaczynamy pakować...

Wszyscy pozostali agenci zgromadzeni przy łodzi wpatrują się w coś na południu na niebie. Nawet sternik przestał płakać i podniósł głowę, aby popatrzeć.

– Co... – mówi Samir, obracając się. – Hmmm. Strasznie nisko leci...

Mustafa spogląda jako ostatni. Widzi tylko przez moment odrzutowiec, zanim ten z wyciem silników przelatuje im nad głowami. Konstrukcja mostu zasłania im widok uderzenia; oczywiście zobaczą je później, odtwarzane bez końca w telewizji, ale w tym momencie jest to po prostu głośne „bum”, poprzedzające krzyki ludzi, którzy je widzą.

Potem zaledwie na sekundę zalega cisza, chwilowa cisza, podczas której jakiś odruch każe Mustafie patrzeć nie w kierunku zasłoniętej wieży, ale samochodu, którym tu przyjechał.

– Fadwa – mówi, a pod jego stopami przechodzi wstrząs fali uderzeniowej, pozostawiając za sobą inny świat.

KSIĘGA I. MIRAŻ

BIBLIOTEKA ALEKSANDRYJSKA

ŹRÓDŁO INFORMACJI EDYTOWANE PRZEZ UŻYTKOWNIKA

Zjednoczone Państwa Arabskie

Ta strona jest obecnie **zabezpieczona** przed edytowaniem, aby zapobiec **powtarzającym się aktom wandalizmu**. W celu zasugerowania zmian prosimy **skontaktować się z administratorem**.

Zjednoczone Państwa Arabskie (ZPA) są federalną republiką konstytucyjną składającą się z 22 państw, jednego dystryktu federalnego, dwóch dystryktów religijnych i kilku terytoriów. Położone w dużej mierze na Półkuli Wschodniej, zajmują w całości Półwysep Arabski i Lewant, większość Mezopotamii, Afryki Północnej i Afryki Północno-Wschodniej oraz liczne wyspy znajdujące się na otaczających wodach. Dzielą granice lądowe z Turcją, Kurdystanem, Persją i różnymi afrykańskimi państwami.

Z ponad 14 milionami kilometrów kwadratowych i ponad 360 milionami ludności, Zjednoczone Państwa Arabskie są na świecie drugim największym państwem pod względem całkowitej powierzchni i trzecim największym państwem pod względem liczby ludności. (...)

HISTORIA

Narodziny państwa

Zjednoczone Państwa Arabskie narodziły się ze zgliszczy Ligi Państw Arabskich, luźnej federacji państw Bliskiego Wschodu, które odłączyły się od imperium osmańskiego pod koniec dziewiętnastego wieku. Z powodzeniem, choć

niepewnie, ogłosiły niezależność od imperium. Członkowie Ligi niemal natychmiast zaczęli walczyć ze sobą w obrębach klanów i sekciarskich ugrupowań. Krwawa wojna domowa trwała do próby ponownego podboju, podjętej przez Osmanów, która spowodowała ponowne zjednoczenie Ligi przeciwko wspólnemu wrogowi. Wspierana przez niepodległy od niedawna Egipt i armie Saudów, Liga rozgromiła osmańskie siły inwazyjne.

Po zawieszeniu broni zwycięzcy zebrali się w Egipcie, aby przedyskutować swoją przyszłość. W tak zwanym cudzie Aleksandryjskim różne strony zdołały odłożyć na bok dzielące je różnice i zgodzić się na plan stworzenia nowego i bardziej trwałego związku, „Jeden naród poddany Bogu”.

Przy utworzeniu Zjednoczone Państwa Arabskie zawierały trzynaście państw: Arabie Saudyjską, Bahrajn, Egipt, Emiraty, Irak, Jordanię, Kuwejt, Liban, Oman, Palestynę, Katar, Syrię i Jemen, a także dystrykt religijny Mekka–Medyna. Stolicą państwa był początkowo Kair, ale po kilku latach, podczas prezydentury Abd al-Aziza Ibn Sauda, została ona przeniesiona do Rijadu.

Szybki rozwój

Położenie geograficzne nowego państwa uczyniło z niego centrum międzynarodowego handlu i pomimo sporu pomiędzy Egiptem a rządem federalnym, dotyczącego kontroli nad Kanałem Sueskim, gospodarka szybko się rozwijała. Odkrycie ogromnych złóż ropy naftowej w latach 20. dwudziestego wieku jeszcze bardziej przyczyniło się do gospodarczego rozkwitu. Kiedy chrześcijańska Europa była rozdarta wojną, Zjednoczone Państwa Arabskie rozpoczęły ambitny plan industrializacji. (...)

Świat ogarnięty wojną

Pod koniec lat trzydziestych dwudziestego wieku w Europie i Azji ponownie wybuchła wojna. Zjednoczone Państwa Arabskie usiłowały pozostać neutralne, ale niemieckie i włoskie groźby skierowane przeciwko muzułmanom z Afryki Północnej oraz japońska agresja na Malajach i w Indonezji uniemożliwiły to. (...) W 1941 roku Zjednoczone Państwa Arabskie skierowały wojska przeciwko Państwom Osi. (...) Do 1943 roku Libia, Tunezja, Algieria, Maroko i Mauretania zostały wyzwolone i dołączyły do związku. (...) W lipcu 1944 roku nowo

uzbrojone i wyszkolone inwazyjne siły Maghrebu przeprowadziły szturm na plaże południowej Francji, kiedy sprzymierzone siły arabskie, perskie, tureckie i kurdyjskie opanowały Rzym, a Rosyjska Armia Prawosławna rozpoczęła szeroko zakrojoną ofensywę na niemieckim froncie wschodnim. (...) W południowo-wschodniej Azji arabscy i hinduscy żołnierze piechoty morskiej wyzwolili ostatnie wyspy archipelagu indonezyjskiego i zaatakowali Filipiny na północy. (...) W sierpniu 1945 roku, po zrzuconiu trzeciej bomby atomowej na Tokio, Japonia poddała się, kończąc wojnę. (...) W grudniu 1946 roku Adolfowi Hitlerowi ścięto głowę w Norymberdze. (...)

1948: Izrael, Związek Ortodoksyjny oraz początek zimnej krucjaty. (...)
Prezydent Naser i Arabska Partia Jedności (...) „Jeden mały krok dla muzułmanina” (...)
Muzułmańskie Przebudzenie i wojna w Afganistanie. (...)
„Czarni Arabowie”: Somalia i Sudan przyłączają się do Związku. (...)
Wojna w Zatoce Meksykańskiej (...)

9 listopada i wojna z terroryzmem

9 listopada 2001 roku chrześcijańscy fundamentaliści porwali cztery komercyjne pasażerskie samoloty odrzutowe. Dwoma z nich staranowali wieże Światowego Centrum Handlu Tygrys i Eufrat w Bagdadzie w Iraku, a trzecim uderzyli w główną siedzibę arabskiego Ministerstwa Obrony w dystrykcie federalnym Rijadu. Czwarty samolot, który prawdopodobnie miał uderzyć w Pałac Prezydencki w Rijadzie albo być może Mekkę (patrz Kontrowersje i mity dotyczące 9 listopada), rozbił się na arabskiej pustyni Ar-Rub al-Chali, kiedy jego pasażerowie spróbowali obezwładnić porywaczy i przejąć kontrolę nad samolotem.

Odpowiedzialność za atak przypisało sobie Światowe Przymierze Chrześcijańskie, grupa białych rasistów z Ameryki Północnej z siedzibą w Niepodległych Terytoriach Gór Skalistych. W odwecie wojska powietrznodesantowe Zjednoczonych Państw Arabskich zdobyły miasto Denver, a Siły Specjalne Zjednoczonych Państw Arabskich, wspierane przez siły powietrzne, rozpoczęły ataki na forty Przymierza w wiejskiej okolicy. Tysiące żołnierzy Przymierza wzięto do niewoli lub zabito, ale przywódcy Przymierza pozostali na wolności.

Gdy walki w Górach Skalistych nadal trwały, prezydent Bandar w swoim orędziu do narodu z 2002 roku ogłosił rozszerzenie wojny z terroryzmem, która miała obejmować ataki wyprzedzające przeciwko „reżimom, które pomagają, ukrywają lub sponsorują terrorystów”. Prezydent wspomniał dodatkowo o Ameryce, Wielkiej Brytanii i Korei Północnej, nazywając je „Osią Zła”, której próby opracowania broni masowej zagłady nie będą dłużej tolerowane. (...)

W marcu 2003 roku siły Koalicji rozpoczęły zwycięską inwazję na Amerykę. (...) W tak zwanej Zielonej Strefie w Waszyngtonie w Dystrykcie Kolumbii został stworzony rząd tymczasowy. (...) Nadzieje na szybkie przekształcenie w stabilne państwo demokratyczne zostały rozwiane przez gwałtowne fale przemocy pomiędzy rywalizującymi ze sobą amerykańskimi frakcjami i wybuch antyarabskiego powstania. (...) W 2006 roku, wobec rosnącej liczby ofiar Koalicji i niemożności szybkiego zakończenia wojny, Narodowa Partia Boga poniosła ciężkie straty w wyborach uzupełniających do Kongresu. Kandydatom blisko stowarzyszonym z Saudami powiodło się szczególnie kiepsko. (...)

Obecnie, gdy Arabska Partia Jedności ponownie dominuje w Kongresie i w organie wykonawczym, istnieje nadzieja, że wojna w Ameryce wkrótce się skończy. Jednak gdy pierwsi żołnierze wracają do domu, chodzą słuchy o nowych terrorystycznych zagrożeniach dla arabskiej ziemi ojczystej, a ludzie obawiają się, że dni najcięższej próby dla Arabii są jeszcze przed nimi. (...)

Bojownik zatrzymał się

Bojownik zatrzymał się na jedenastym piętrze hotelu Raszid. Przybył do Bagdadu wczesnym popołudniem i zameldował się pod nazwiskiem John Huss. Miał przy sobie pięciokilogramowe pudełko z wybuchowego plastiku skradzionego z bazy wojskowej w Al-Kufie.

Arabskie Służby Bezpieczeństwa Narodowego wiedziały o nim wszystko albo myślały, że wiedzą. Naprawdę nazywał się James Travis. Był mieszkańcem Teksasu, a w Zjednoczonych Państwach Arabskich przebywał na wizie studenckiej, która wygasła przed dziewięcioma miesiącami. Na ostatnim roku studiów medycznych dołączył do grupy protestanckich fanatyków i teraz był ich kurierem. Nazajutrz miał spotkać się z przywódcą uśpionej komórki, aby dostarczyć materiały wybuchowe.

Centrala Arabskich Służb Bezpieczeństwa Narodowego w Rijadzie chciała schwytać wszystkich członków komórki, więc zamiast natychmiast aresztować Travisa, postanowiono go rozbroić. W korytarzu na piętrze, na którym znajdował się pokój Travisa, czekała agentka przebrana za pokojówkę. Miała przy sobie identyczne pudełko wypełnione nieszkodliwą gliną. Kiedy Travis pójdzie na kolację, agentka miała zamienić prawdziwy plastik na imitację, a w innym bagażu Travisa podłożyć nadajniki.

Był to niezły plan, ale wymagał, aby Travis opuścił pokój, czego do godziny dziewiętnastej nie uczynił. Gdy dochodziła ósma, jeden z mężczyzn

obserwujących hol zdziwił się i zaczął słać przez radio żartobliwe komunikaty do znajdującego się na jedenastym piętrze pokoiku pokojówki.

– Amal, pokój 1169 potrzebuje świeżych ręczników.

– Bardzo śmieszne, Samir.

– Amal, dzentelmen w pokoju 1124 chciałby, aby wytrzepano mu poduszki.

– Bardzo śmieszne, Samir.

– Amal...

– Bardzo śmieszne, Samir.

Przez chwilę panowała cisza.

– Wiemy, że nie śpi? – zapytał Mustafa za kwadrans ósma.

Włączył się członek zespołu obserwującego pokój hotelowy z drugiej strony ulicy:

– Nadal ma zasunięte rolety, ale wygląda na to, że światło jest włączone.

– Jego telewizor również – dodała Amal. – Słyszę go stąd.

– Wiecie, co byłoby wspaniałe? – zapytał Samir. – Gdybyśmy mieli działającą kamerę i mikrofon w jego pokoju.

– Bardzo śmieszne, Samir – tym razem powiedział to obserwujący mężczyzna. – Mówiłem ci już dwa razy, że sprzęt działał dobrze, kiedy go sprawdzaliśmy.

– Chcesz, żebym zapukała do pokoju? – zapytała Amal. – Mogę mu powiedzieć, że inni goście skarżą się na zbyt głośno grający telewizor.

– Nie – powiedział Mustafa. – Chcę tylko, żeby zgłódniał. Abd Allah? Masz coś?

Abd Allah monitorował hotelową centralę telefoniczną.

– Nie próbował dzwonić do obsługi hotelowej. Żadnych przychodzących czy wychodzących rozmów z naziemnej linii telefonicznej ani na nią, a operator sieci twierdzi, że nie użył telefonu komórkowego... A jeśli jest zbyt zdenerwowany, aby jeść?

– Zdenerwowany terrorysta, tylko tego nam trzeba.

– Może gnębią go wyrzuty sumienia – zasugerował Samir. – Mówiłeś, że jakiego typu chrześcijaninem on jest, Mustafa?

– Metodystą.

– Czy to ci zaklinacze węży?

– Hej – powiedziała Amal. – Właśnie wyłączono telewizor. Wychodzi...

– W porządku, wszyscy zgłaszać się – rzekł Mustafa.

Powinni byli odpowiadać w kolejności, ale podekscytowani perspektywą tego, że w końcu coś się dzieje, zaczęli wszyscy mówić jednocześnie i kanał radiowy wypełnił nieskładny chór głosów.

– Właśnie wszedł do windy – oświadczyła Amal, kiedy gwar ucichł. – Jestem w pokoju... O cholera.

– Amal?

– Cholera, cholera, cholera... – Sapała, jakby biegła. – On nie jest kurierem.

Samir i trzech inni agenci znajdujący się na parterze rzucili się w stronę wind i dopadli ich akurat w porę, by zobaczyć, jak zjeżdżająca kabina mija hol, nie zatrzymując się. Wszystkie pozostałe kabiny były zajęte na wyższych piętrach. Samir bezcelowo nacisnął guzik ze strzałką w dół, a potem udzielił ostrzeżenia przez radio, gdy jego towarzysze rzucili się na poszukiwanie schodów.

Bojownik, nieświadomy gorączkowych działań na parterze, wyszedł z windy w ciszę podziemnego parkingu hotelu. Chociaż była gorąca letnia noc, miał na sobie ciężką, za dużą sportową marynarkę i trzymał pod nią lewą rękę.

Kiedy szedł przez garaż, recytował pod nosem:

– Wierzę w jednego Boga, Ojca Wszechmogącego, stwórcy nieba i ziemi, i wszystkich rzeczy widzialnych i niewidzialnych... I w jednego Pana

Jezusa Chrystusa, Syna Bożego Jednorodzonego, który z Ojca jest zrodzony przed wszystkimi wiekami, Bóg z Boga, światłość ze światłości, Bóg prawdziwy z Boga prawdziwego...

Stanął jak wryty, widząc błysk w ciemności po prawej stronie. Obok czarnego vana stał chudy mężczyzna z wąsami i papierosem zwisającym z ust, usiłując skrzesać ogień wiekową mosięzną zapalniczką. Mężczyzna spojrzał na wpatzonego w niego bojownika.

– Przyjacielu – rzekł – czy możesz mi pomóc?

Bojownik nie odpowiedział. Mężczyzna zrobił krok w jego stronę, wykonując gest papierosem.

– Proszę pana, czy mogę dostać ogień?

Powtórzył tę prośbę po hebrajsku i francusku, a potem, gdy bojownik nadal nie odpowiadał, łamaną angielszczyzną. Wreszcie bojownik wyciągnął lewą rękę spod marynarki. Gdy sięgnął do przedniej kieszeni spodni, mężczyzna z wąsami zrobił kolejny krok naprzód i uderzył go w gardło.

Bojownik runął jak długi, mając lewą rękę nadal uwięzioną w kieszeni, a prawą wyciągniętą przed siebie z palcami rozcapierzonymi na betonie. Napastnik usiadł na nim okrakiem, celując pistoletem w jego odwróconą na bok głowę, gdy powalony łapał powietrze.

– Spokojnie, panie Travis – rzekł Mustafa nagle o wiele lepszą angielszczyzną. – Jediną osobą, jaką może pan teraz zabić, jest pan sam, a Jezus pana za to nie wynagrodzi.

Bojownik w końcu złapał oddech, ale zamiast się uspokoić, zeszywniał, a jego twarz przybrała jeszcze ciemniejszy odcień czerwieni.

– Nie... – ostrzegł Mustafa, a potem zawahał się, wyczuwając coś. Dym?

Bojownik z okrzykiem poderwał się pod nim. Mustafa nacisnął spust, ale broń nie wypaliła, a w następnej chwili został zrzucony. Poderwał się do przysiadu, ale bojownik też był już na nogach, a w jego dłoni pojawił się jakiś błyszczący i jasny przedmiot. Gdy Mustafa zamachnął się swoim pistoletem

jak cegłą, bojownik pochylił się i ciął, mierząc w szyję Mustafy. Ból był ostry, równocześnie piekący i zimny, i nagle obojczyk Mustafy stał się mokry. Agent upuścił broń i przycisnął obie dłonie do rany.

Zatoczył się i upadł na plecy. Bojownik stał nad nim z podniesionymi rękami, a od jego lewej ręki do marynarki ciągnął się przewód. W pobliżu głosy wykrzykiwały rozkazy:

– Stój! Rzuć to!

Jednak bojownik zaczął ponownie swoją recytację i podniósł głos, aby je zagłuszyć:

– Wierzę w Ducha Świętego, Pana i Ożywiciela, który od Ojca i Syna pochodzi, który z Ojcem i Synem wspólnie odbiera uwielbienie i chwałę, który mówił przez proroków. Wierzę w jeden, święty, powszechny i apostołski Kościół. Wyznaję jeden chrzest na odpuszczenie grzechów. I oczekuję wskrzeszenia...

Zabrzmiały donośnie dwa strzały i coś paskudnego stało się z potylicą bojownika. Mustafa, chociaż jego pole widzenia zaczęło się szybko zmniejszać, patrzył zafascynowany, jak martwy mężczyzna chwieje się jeszcze przez moment na nogach, a jego lewy kciuk drży spazmatycznie.

– Wola boska – wyszeptał Mustafa.

Pod Travisem ugięły się kolana i jego ciało upadło do przodu. Świat pociemniał, ale nie zniknął, a potem nad Mustafą pochyliła się kobieta w mundurku pokojówki z wciąż dymiącym pistoletem w dłoni. Wołała go po imieniu.

Następne, co Mustafa zobaczył, to szpitalne łóżko. Osłaniał oczy przed światłem z okna, którego zasłony zostały tylko co rozsunięte. W nogach jego łóżka stała jakaś ciemna postać i przez moment, zanim odzyskał wzrok,

Mustafa myślał, że to może być szatan. Oczywiście to było głupie. Szatan nie staje w świetle; szatan podchodzi z tyłu i szepcze ci do ucha.

– Oglądałeś Al-Dżazirę? – przemówiła postać.

To nie był szatan, nie. Tylko szef Mustafy.

– Cześć, Faruk – powiedział Mustafa chrapliwym szeptem. Podniósł do szyi dłoń i poczuł gruby bandaż zakrywający miejsce, w które został zraniony.

– Pytam – kontynuował Faruk – ponieważ prezenterzy wiadomości Al-Dżaziry nabrali ostatnio zwyczaju nazywania naszych przyjaciół bojowników „mordercami zamachowcami”. – Pokręcił głową. – Mordercy zamachowcy... Co to w ogóle znaczy? Człowiek konstruuje bombę, więc to oczywiste, że chce kogoś zabić. To samobójstwo czyni ich wyjątkowymi.

Na nocnym stoliku stały dzbanek z wodą i dwie szklanki. Mustafa nie spieszył się, nalewając sobie wodę.

– Uważałem, że mogę wziąć go żywego – powiedział wreszcie.

– Mówisz tak, jakby to był rozsądny pomysł.

– Miałem go na ziemi z pistoletem przy głowie, Faruk. Powinien był się poddać.

– Tak, rozsądny przestępca by to zrobił. – Faruk wyłowił z marynarki garnituru niewielki przedmiot. – Masz – rzekł, podając go Mustafie. – Pamiątka.

Mustafa kilka razy obrócił w rękach mały kawałek wypolerowanej stali, zanim rozpoznał zapalniczkę.

– Zabrana z jego kieszeni – powiedział Faruk.

– Skąd wiedziałeś...

– Że poprosiłeś go o ogień? Wiem o wszystkim. Wnioskuje, że pomysł był taki, aby zabrał rękę z zapalnika bomby. Byłoby to naprawdę sprytne, gdybyś potem strzelił mu w twarz.

Mustafa odnalazł przycisk zapalnika i ostry strumień niebieskiego płomienia syknął z boku zapalniczki.

– Próbował podpalić materiały wybuchowe?

– Nie, siebie. Sekcja zwłok wykazała oparzenia na wewnętrznej stronie uda i genitaliach. – Na te słowa Mustafa zerknął gwałtownie w górę, a Faruk wzruszył ramionami. – Być może walczył z pokusą poddania się. Może pragnął po prostu przyływu adrenaliny. Chodzi o to, że próbowałeś przemówić do rozsądku człowiekowi, który szybciej spaliłby sobie fiuta, niż został wzięty żywcem... Powiedz mi, że nie chodzi o Fadwę.

– Faruk...

– Ponieważ wiem o wszystkim, wiem, że oficjalne powiadomienie nadeszło w zeszłym miesiącu. W świetle tego mogę przymknąć oko na pewną dozę idiotyzmu. To jednak nie obejmuje pragnienia śmierci.

– Nie próbuję się zabić z powodu Fadwy, Faruk.

– Nie? A co z drugą żoną?

– Zadzwoiłeś do Nur.

– Oczywiście, że zadzwoniłem do Nur. Wiesz, co mi powiedziała, kiedy poinformowałem ją, że jesteś w szpitalu?

– Zapytała, czy umieram. Kiedy powiedziałaś, że nie, kazała ci zadzwonić ponownie, gdyby się to zmieniło.

– To prawie słowo w słowo to, co mi powiedziała. Jaka kobieta mówi w ten sposób o swoim mężu?

– Sam to powiedziałaś: druga żona.

Faruk potrząsnął ponownie głową.

– Im więcej dowiaduję się o wielożeństwie, tym bardziej dziękuję Bogu, że uczynił ze mnie chrześcijanina.

Mustafa uśmiechnął się dzielnie, słysząc ten żart, ale przypomnienie, że Faruk należy do podejrzanej klasy, zmartwiło go.

– Czy Rijad sprawia ci problemy w związku z tą misją?

– Chcieliby – odparł Faruk. – Niestety, to ich błędne informacje schrzaniły sprawę. Biorąc pod uwagę okoliczności, rezultat był taki, jak można było się

spodziewać. Oczywiście w raporcie pominąłem kilka szczegółów.

– Jeśli potrzebujesz winnego...

– To, czego potrzebuję, to reszty tej komórki terrorystycznej. I żadnych nowych gwałtów. – Westchnął. – Wygląda na to, że miałeś przynajmniej rację co do Amal.

Amal, niedawno przeniesiona do Służb Bezpieczeństwa Narodowego, była najnowszym członkiem ich zespołu. Jako córka polityka miała dwie wady, więc Faruk przyjął ją bardzo niechętnie. Chciał trzymać ją z dala od pracy w terenie, ale Mustafa po przejrzaniu jej akt osobowych utrzymywał, że ta kobieta zasługuje na szansę.

– Jak ona się czuje? – zapytał Mustafa. Ponieważ widział jej akta, wiedział, że jeszcze nigdy wcześniej nie zabiła człowieka.

– Jest dość zadowolona z siebie – odpowiedział Faruk. – I powinna być. Dwa strzały w głowę z piętnastu metrów robią wrażenie. – Obserwował wyraz twarzy Mustafy, gdy to mówił, i nie spodobało mu się to, co zobaczył. – Wolałbyś, żeby go tylko zraniła? Może wystrzeliła mu z dłoni detonator, tak jak w telewizji?

– Jestem szczęśliwy, że żyję.

– Masz szczęście, że żyjesz. Tak samo Amal. Piętnaście metrów to odległość mniejsza od zasięgu wybuchu pasa samobójcy. A jeśli byłeś zbyt zajęty wykrwawianiem się, aby to zauważyć, w strefie wybuchu znajdowało jeszcze czterech innych agentów.

– Masz rację, Faruk. Następnym razem strzelę mu w twarz.

Wydawało się, że ten komentarz jeszcze bardziej zirytował Faruka. Wyjął drugi upominek: pistolet Mustafy.

– Następnym razem – powiedział, rzucając broń na łóżko – spróbuj naładować tego pierdolonego gnata.

BIBLIOTEKA ALEKSANDRYJSKA

ŹRÓDŁO INFORMACJI EDYTOWANE PRZEZ UŻYTKOWNIKA

Bagdad

Bagdad, z liczbą ludności wynoszącą 6,5 miliona, jest największym miastem w Iraku i drugim największym miastem (po Kairze) w Zjednoczonych Państwach Arabskich. Założone w 762 roku przez Abu Dżafara al-Mansura, było stolicą Abbasydów, dopóki w 1258 roku nie zostało splądrowane przez Mongołów Hulagu-chana. Za panowania Turków osmańskich, którzy rządili miastem od szesnastego do dziewiętnastego wieku, Bagdad podupadł, ale jego rola w założeniu Zjednoczonych Państw Arabskich pomogła mu odzyskać dawną pozycję. Dzisiaj ponownie jest ważnym centrum handlu i kultury.

Bagdad ma wiele przydomków, między innymi „Miasto Pokoju”, „Miasto Przyszłości” oraz „Miasto, które nigdy nie śpi”. Do mniej pochlebnych przydomków należą „Stolica Przystępności Mezopotamii” i „Współczesny Babilon”.

Po atakach 9 listopada Bagdad i jego mieszkańcy stali się symbolami arabskiego oporu wobec zachodniego terroryzmu. (...)

BAGDAD W KULTURZE POPULARNEJ

Różnorodność ludności sprawia, że Bagdad jest popularną scenerią filmów i seriali telewizyjnych – na przykład program dla dzieci Sezamie, otwórz się! promuje większą tolerancję religijną i etniczną. Jednym z apogeów telewizyjnego ekumenizmu były z pewnością Policyjne opowieści z Bagdadu, które w 1971 roku zadebiutowały w Arabskiej Sieci Telewizyjnej ze sloganem „Szafik: jest sunnita.”

Hasan: jest szyitą. Walczą z przestępczością”. Serial, będący po części dramatem policyjnym, po części operą mydlaną, a po części moralitetem, ukazywał życie dwóch tajnych detektywów we wschodniej części Bagdadu. W stałej obsadzie znajdowali się sufi, chrześcijanie i Żydzi; był nawet jeden wyznawca zaratustryzmu, perski fałszerz o nazwisku Kajsar. Odcinki zawierały zazwyczaj jeden lub więcej morałów, z których najczęstszym był „Szanuj inne Ludy Księgi – nawet jeśli niezbyt je lubisz”.

Zupełnie inny Bagdad – niestety, bardziej charakterystyczny dla etosu po 9 listopada – jest widoczny we współczesnym popularnym serialu 24 godziny: Dżihad, którego każdy sezon jest kroniką jednego dnia z życia antyterrorysty Dżafara Baszira. Baszir jest unitariańskim sunnitą, a jego postać wywołała krytykę ze strony hierarchów religijnych, którzy uważają swobodne stosowanie przez niego przemocy i tortur za antymuzułmańskie. Jednak większe kontrowersje budzi przedstawiony w tym serialu obraz szyitów. Chociaż głównymi czarnymi charakterami serialu są chrześcijańscy fundamentaliści, Baszir musi sobie również radzić z podwójnymi agentami w jego własnej organizacji. Każdy z sześciu rozpoznawalnych szyitów, który pojawił się do dzisiaj w filmie, był zdrajcą (i zmarł okropną śmiercią). W 2007 roku w wywiadzie w Al-Manarze producent serialu Dżamal Sur uparcie twierdził, że był to zbieg okoliczności, a serial w żadnym razie nie zamierza sugerować, iż szyicy muzułmanie to grupa niełojalna w stosunku do państwa. Dodał: „Sądzę, że pewni ludzie są trochę zbyt zakochani w idei bycia męczennikami”. To skłoniło Umara Karima z grupy działającej przeciwko zniesławieniu szyizmu w mediach do odpowiedzi: „Rozdział 25, werset 63 Świętego Koranu uczy nas, aby odpowiedzieć na drwiny ignoranta błogosławieństwem pokoju. Panie Sur: Pokój z tobą”.

Mustafa mieszkał ze swoim ojcem

Mustafa mieszkał ze swoim ojcem, Abu Mustafą, w dwupokojowym mieszkaniu w dzielnicy Bagdadu o nazwie Ar-Rusafa, na wschód od Tygrysu.

Abu Mustafa był emerytowanym profesorem historii Uniwersytetu Bagdadzkiego. Po śmierci matki Mustafy wybrał samotne życie. Jak mówił, lepiej zabawiać bogate wdowy w Bagdadzie, które uważają kawalerów w podeszłym wieku za zniewalających. Tekst o wdowach nie był do końca żartem – Abu Mustafa zawsze cenił sobie towarzystwo kobiet – ale Mustafa wiedział, że ojciec lubił również być sam, móc udzielać się towarzysko, kiedy miał ochotę, odwiedzać rodzinę i przyjaciół, a potem odprężyć się pod koniec dnia, czytając książki lub rozmyślając.

Mustafa pomógł znaleźć i opłacać mieszkanie, które znajdowało się w starym budynku blisko promenady przy brzegu rzeki oraz sklepów i kafejek przy ulicy As-Sadun. Sąsiedztwo było zróżnicowane pod względem religijnym, co nie stanowiło problemu na początku, kiedy zdobyli mieszkanie. Jednak po 9 listopada wzrosła liczba przestępstw popełnianych z przyczyn religijnych i rasowych w całym mieście i nie trzeba było być chrześcijaninem, aby wpaść w kłopoty. Ojciec Mustafy był sunnitą, a matka szyitką. Na pytanie, kim wobec tego jest, Mustafa zawsze odpowiadał: „Oczywiście muzułmaninem”. Jednak dla tych samych mieszkańców Bagdadu, którzy w upadku wież widzieli sąd Boży, nie była to już zadowalająca odpowiedź.

Teraz prawie każdego dnia wiadomości przynosiły doniesienie o pobiciu jakiegoś muzułmanina, lub czymś jeszcze gorszym, za przynależność do „złej” grupy wyznaniowej.

Mustafa martwił się, że ojciec stanie się celem jakiegoś idioty, który sądzi, iż „Bóg Miłosierny” to pseudonim „Boga Mściciela”. Niepokoił się również o podupadające zdrowie ojca. Gdy Abu Mustafa wychodził, czasem miał problemy ze znalezieniem drogi powrotnej do domu. Winił za to tajemnicze zmiany w mieście – znane mu kiedyś punkty orientacyjne zostały zmienione lub nie było ich tam, gdzie powinny być. Część tych pomyłek bez wątpienia była spowodowana nowymi budowlami, ale gdy Abu Mustafa zaczął mówić o ulicach, które zostały inaczej rozmieszczone, Mustafa zrozumiał, że dzieje się coś więcej.

Abu Mustafa odrzucał wszystkie propozycje przeprowadzki do spokojniejszego, „mniej dezorientującego” sąsiedztwa, więc rodzina opracowała alternatywny plan. Wujek Mustafy, Tamir, i ciocia Rana zamieszkali w mieszkaniu w tym samym budynku. Mieli ośmioro dzieci, więc zawsze znalazła się jakaś wolna bratanica lub wolny bratanek, aby mieć oko na Abu Mustafę. Sam Mustafa po przedłużających się negocjacjach wprowadził się do wolnej sypialni w mieszkaniu ojca. Pretekstem pozwalającym zachować ojcu twarz było to, że wszystko urządzono dla wygody Mustafy, aby skrócić mu dojazd do pracy.

Mustafa i jego ojciec byli w dobrych stosunkach, dopóki syn nie stawał się nadmiernie opiekuńczy. To nie zawsze było łatwe. Ostatnio Abu Mustafa znienawidził klimatyzację. Początkowo Mustafa sądził, że ojcu przeszkadza dźwięk urządzenia, i zaproponował mu, że zapłaci za wyposażenie mieszkania w cichszy system. Jednak Abu Mustafa powiedział, że nie chodzi o hałas; problemem było to, że klimatyzacja jest niewłaściwa.

– Co masz na myśli, mówiąc „niewłaściwa”? Uważasz, że posiadanie wygód jest grzechem?

– Nie powiedziałem, że jest grzechem! – zdenerwował się Abu Mustafa. – Nie jest niemoralna, jest po prostu... niewłaściwa.

Tak więc dwa lub trzy razy w tygodniu – niezmiennie w najgorętsze noce – Mustafa budził się spocony, ponieważ ojciec wyłączył klimatyzację. Potem, w ubiegłym tygodniu, doszło do nowego incydentu: Mustafa obudził się i stwierdził, że klimatyzacja nadal działa, ale ojca nie ma w sypialni. Po gorączkowych poszukiwaniach odkrył, że Abu Mustafa zabrał materac i poszedł na górę, na dach budynku, aby spać na otwartym powietrzu – w ten sposób spali mieszkańcy Bagdadu, zanim miasto zostało zelektryfikowane.

– O co chodzi? – zapytał Abu Mustafa, zaskoczony niepokojem Mustafy. – Myślisz, że spadnę?

– Wszystko jest możliwe, kiedy śpisz – odparł Mustafa. – Tu nie jest bezpiecznie.

– Jeśli Bóg pozwoli, jest tu tak bezpiecznie jak wszędzie w mieście. I podoba mi się tutaj. Nawet przy światłach miasta można nadal zobaczyć gwiazdy. Gwiazdy są takie, jakie powinny być.

Mustafa był zakłopotany, rozmawiając z Farukiem ze szpitalnego łóżka, ale naprawdę się zawstydził dopiero wtedy, gdy zobaczył swojego ojca w szpitalnej poczekalni. Kiedy Abu Mustafa objął go i pocałował w oba policzki, Mustafa poczuł, że łzy cisną mu się do oczu, i przeprosił przez nie za swoją nieostrożność, w której wyniku o mało nie zginął. Oczywiście ojciec mu wybaczył, ale na pewno przypomni mu o tym następnym razem, gdy Mustafa będzie go prosił, żeby był ostrożny. Tak więc z tego powodu, ale też dla własnego dobra, postanowił nie być tak głupi w przyszłości.

Już nie pierwszy raz składał sobie takie przyrzeczenie.

Następnego dnia Mustafa odpoczywał w domu, ale poprosił Samira i Amal, aby wpadli do niego i przekazali mu najnowsze informacje na temat

dochodzenia.

Amal była po raz pierwszy w tym mieszkaniu i podobnie jak wielu odwiedzających je po raz pierwszy, była urzeczona regałami z książkami, które pokrywały każdy wolny centymetr ścian. Gdy Samir poszedł do kuchni, aby pomóc Abu Mustafie zrobić herbatę, a Mustafa odpoczywał na kanapie przy oknie, Amal pozostała na nogach, przechodząc od półki do półki.

– Ile języków zna twój ojciec? – zapytała Amal.

– Pół tuzina dobrze i kolejne pół tuzina wystarczająco, aby sobie radzić. To brzmi imponująco jedynie wtedy, gdy nie poznałaś mojej matki.

– Kim była, tłumaczką?

– Niespokojnym duchem – odparł Mustafa. – Zawsze chciała pojechać w podróż dookoła świata, ale najdalej była na urlopie w Afryce Północnej. Chodziła więc na dziesiątki kursów języków obcych. Jako chłopiec byłem jej partnerem w nauce.

Amal podeszła do półki wypełnionej fotografiami zamiast książkami.

– To ona?

Patrząc tam, gdzie wskazała, odparł:

– Tak. Podczas ich miesiąca miodowego – ona i mój ojciec wybrali się na wycieczkę statkiem po Nilu.

– Była piękna – rzekła Amal.

– Tak – zgodził się Mustafa. – Na tym następnym zdjęciu, w srebrnej ramce, są mój wujek Fajjad i moje siostry – Naura, Kamar i Latifa.

– Twoje siostry mieszkają w Bagdadzie?

– Naura i Kamar mieszkają w Al-Falludży. Latifa mieszka w Palestynie, jej mąż prowadzi w Hajfie kurort.

Następne w kolejności były zdjęcia ślubne Mustafy. Amal spojrzała na nie, ale nic nie powiedziała.

– Tak – rzekł Mustafa, poruszając za nią temat. – Moje dwie żony. Ta po lewej to Fadwa, a po prawej to Nur. Jestem pewny, iż biurowi plotkarze już ci

o nich wszystko opowiedzieli.

– Nie zajmuję się plotkowaniem o moich kolegach.

– Jesteś uprzejma, ale to nic takiego. Jestem do tego przyzwyczajony...

Wiesz, słyszałem przemówienie, które twoja matka wygłosiła w zeszłym miesiącu w senacie, na temat ustawy w sprawie reformy małżeństw. Pomyślałem, że jest bardzo odważna, skoro rzuca w ten sposób wyzwanie Saudom.

– „Odważna” nie jest słowem, którego użyliby jej koledzy – powiedziała Amal. Mówiła dalej, dobierając ostrożnie słowa: – Moja matka jest głęboko przekonana, że poligamia, chociaż broni jej tradycja, jest zasadniczo niesprawiedliwa wobec kobiet, których dotyczy.

– Twoja matka ma rację – rzekł Mustafa.

Najbardziej znana fotografia matki Amal została zrobiona tuż po wschodzie słońca, rankiem 10 listopada 2001 roku. Burmistrz Al-Majsani całą noc była na nogach, kierując interwencją kryzysową i kursując po mieście od jednego do drugiego punktu zapalnego; już dwukrotnie była w strefie zerowej wybuchu, ale kiedy zaczęło świtać, wyruszyła tam ponownie, zamierzając dobrze sobie obejrzeć to miejsce w świetle dnia.

Opuściła stanowisko dowodzenia w ratuszu i wyszła na ulicę Hajfa. Pozostawiwszy służbowy samochód, skierowała się piechotą na północ. Na początku podążała za nią jedynie garstka doradców i ludzi z ochrony. Zanim minęła pierwszą przecznicę, zaczęli do niej dołączać inni: wyczerpani policjanci i strażacy, ratownicy i sanitariusze oraz dziesiątki zwykłych mieszkańców Bagdadu, którzy z powodu uporu bądź szoku zignorowali rozkaz ewakuacji.

Zanim dotarli do skrzyżowania, za którym ukazały się ruiny dwóch zburzonych wież, pochód liczył już setki ludzi. Gdy burmistrz wyzywająco

podniosła pięść w powietrze, tłum za nią zrobił to samo i wzniósł okrzyk: „Bóg jest wielki!”. Ten moment, uchwycony przez aparat fotograficzny i opublikowany w gazetach w całym kraju, stał się znany jako Moment: Moment, gdy podnieśliśmy się na nogi; Moment, gdy zaczęliśmy odpowiadać na atak; Moment, w którym powiedzieliśmy, że nigdy nic nas nie złamie.

Jednakże również Moment, gdy Anmar al-Majsani zmieniła się z nieudolnej burmistrz jednej kadencji w polityka o krajowej pozycji.

Oczywiście Amal wiele razy widziała to zdjęcie matki. Ludzie lubili je jej pokazywać i opisywać, często przez łyży, co dla nich znaczyło. Te przejawy silnych emocji bywały trudne do zniesienia i chociaż Amal starała się być uprzejma, zawsze miała się odrobinę na baczności przy nowych znajomych, nigdy nie wiedząc, kiedy mogą ją zaskoczyć Momentem.

Dzisiaj jej tego oszczędzono. Rozmowa przy herbacie skupiła się na bohaterstwie Amal – temat nowy, ale nie niemiły – a gdy Abu Mustafa zapytał o jej rodzinę, większe zainteresowanie wykazał jej ojcem niż znaną matką. Ojciec Amal był urzędnikiem policji, zamordowanym na służbie, więc ten temat też nie był bezbolesny, ale Amal była wdzięczna każdemu, kto pamiętał, że jej ojciec również był bohaterem.

– Jestem pewny, że byłby z pani bardzo dumny – rzekł Abu Mustafa.

– Chciałabym tak myśleć – odparła Amal. – Czy spotkał go pan kiedyś, Abu Mustafa?

– Raz – powiedział Abu Mustafa. – Na przyjęciu partii Al-Bas, imprezie zorganizowanej w celu zebrania pieniędzy na cele dobroczynne, odbywającej się na terenach uniwersytetu. To nie był udany wieczór – obawiam się, że były tam pewne podejrzane osoby – ale pani ojciec zaimponował mi. Dobry i przyzwoity człowiek... Mamy szczęście, że idzie pani w jego ślady.

Amal zaczerwieniła się.

– Cóż – rzekł Abu Mustafa. – Jeszcze raz dziękuję za uratowanie życia mojemu synowi i przypominam, że jest pani zawsze mile widziana w moim

domu. Zostawię was, abyście zajęli się waszymi zawodowymi sprawami.

– Wychodzisz? – zapytał Mustafa, gdy Abu Mustafa wstał.

– Tylko na dół, zobaczyć się z wujkiem Tamirem. Nie martw się.

– Nie martwię się – skłamał Mustafa.

Abu Mustafa uśmiechnął się i ukłonił, a potem odwrócił się i wyszedł. Kiedy drzwi zatrzęsły się za nim, Mustafa przez chwilę milczał. Amal również to robiła, rozmyślając o swoim ojcu. Samir nalał więcej herbaty.

– Dobrze – powiedział Mustafa. – Powiedzcie, na czym stoimy.

Amal zaczęła pierwsza. Przeszukanie pokoju hotelowego Jamesa Trvisa, powiedziała, nie przyniosło niczego ciekawego oprócz narzędzi, których użył do zmontowania pasa samobójcy.

– Pirotechnicy mówią, że to była przyzwoita robota. Został przez kogoś dobrze wyszkolony.

– Zatem bomba zdecydowanie by wybuchła?

– Och, tak.

– Czy mamy pojęcie, co było jego celem?

– Centrum handlowe przy Abu Nuwas – odpowiedział Samir. – Travis miał mapę turystyczną nabrzeża. Było na niej zakreślone.

– A co mówi Rijad? Mają dla nas jakieś informacje? Może coś bardziej zgodnego z rzeczywistością?

– W świetle ostatnich wydarzeń ponownie sprawdzają swoje źródła – rzekła Amal. – Dobra wiadomość jest taka, że może trafiliśmy na coś w Al-Kufie...

– Przez kilka minionych tygodni Travis wynajmował pokój w hotelu pracowniczym niedaleko bazy wojskowej w Al-Kufie. – Mój dawny partner z Biura, Rafi, pracował tam nad innym dochodzeniem, więc poprosiłam go żeby się przyłączył, gdy Biuro przeszukiwało wczoraj hotel. Pokój był czysty

– Travis wyrzucił wszystko, czego ze sobą nie zabrał – a według kierownika,

śmieciarka była wczoraj rano. Więc na początku wydawało się, że to ślepa uliczka...

– Co zrobili, przeszukali wysypisko śmieci?

– Dyskutowano nad tym. Ale Rafi nabrał podejrzeń i wykonał telefon.

– Okazuje się, iż kierownik kłamał – powiedział Samir. – W tej części Al-Kufy śmieciarka w rzeczywistości przyjeżdża w poniedziałki – jeśli płacisz rachunki za wywóz śmieci. Jednak kierownik przestał płacić za usługę ponad rok temu, nie informując o tym swojego szefa. Przywłaszczył sobie pieniądze, a ci lokatorzy, którzy zalegali z czynszem, pomagali mu transportować śmieci do kubłów znajdujących się na innych posesjach. Zatem, krótko mówiąc, Biuro kazało temu facetowi grzebać w śmieciach na zewnątrz przez całą noc.

– Znaleźli śmieci Travisa około trzeciej rano – rzekła Amal. – Nadal przeglądają je w poszukiwaniu wskazówek, ale pierwszą rzeczą, jaką znaleźli, był aparat fotograficzny...

– Zepsuty aparat – powiedział Samir. – Roztrzaskany, jakby Travis skorzystał z młotka, żeby to zrobić. Tyle że chyba spał w dniu, gdy uczyli niszczenia dowodów w szkole terrorystycznej, ponieważ spieprzył to i zostawił nietkniętą kartę pamięci...

Amal włączyła swój telefon komórkowy.

– Rafi wysłał mi e-mail ze zdjęciami. Spójrz na to.

Scena przedstawiała czterech mężczyzn siedzących przy długim drewnianym stole, wewnątrz budynku, w dusznym i słabo oświetlonym miejscu. Na pierwszym planie znajdował się Travis, który robił zdjęcie, trzymając aparat na odległość ramienia. Błysk flesza podkreślał różowość jego policzków. Wyraźnie spożył dużą ilość alkoholu – na stole przed mężczyznami Mustafa dostrzegł kilka szklanek z wianuszkami piany. Za Travisem, trzymając szklanki, siedzieli dwaj blondyni; rysy ich twarzy trudno było rozróżnić na małym ekranie, ale powiększenie mogło dostarczyć wystarczającą ilość szczegółów do identyfikacji komputerowej. Czwarty

mężczyzna, ponury rudowłosy facet, został uchwycony z profilu: szturchał palcem Trávisa i usta miał otwarte do reprimendy.

– Co o tym myślisz? – zapytała Amal.

– Myślę, że to ten rudzielec mógł roztrzaskać aparat. I jeśli dobrze policzyłem puste szklanki, to chyba wiem, dlaczego przeoczył kartę pamięci.

– Uważasz jednak, że to nasi faceci? Reszta komórki?

– To możliwe – odparł Mustafa. – Chociaż jestem szczerze zaskoczony, że nawet pijani bojownicy mogli być tak głupi. To miejsce, w którym się znajdują...

– To melina – powiedziała Amal. – Rafi konsultuje się z Halal, aby sprawdzić, czy uda im się ją zidentyfikować.

Melina: nielegalny bar obsługujący cudzoziemskich robotników, głównie Europejczyków. Podawano tam piwo warzone w domu, sprzeniewierzone szabasowe i komunijne wino oraz prawdopodobnie również wysokoprocentowy alkohol, ale wszystko kiepskiej jakości. Co do położenia, mogła to być dosłownie piwnica lub naziemna budowa, taka jak magazyn – każde miejsce, gdzie miejscową policję dało się przekupić, żeby przymknęła na to oko.

– Ci blondyni z tyłu – rzekł Samir. – Wyglądają na Niemców, prawda?

Mustafa uśmiechnął się.

– Sądzę, że mogą być Niemcami albo Austriakami. Jednak nie wiem, Samir – może są ze Skandynawii.

– Skandynawscy terroryści? Mustafa, proszę cię!

– Dopóki ich twarze nie są na tyle wyraźne, aby zrobić komputerowe dopasowanie, jaka to różnica, czy są Niemcami czy Skandynawami? – zapytała Amal. – Czy Policja Imigracyjna i Celna tak czy owak nie powinna mieć ich w systemie?

– Powinna, ale to nie znaczy, że ma – odparł Mustafa. – Jeśli jednak są Niemcami, Samir ma pretekst, aby wezwać naszego przyjaciela Sindbada.

- A kim jest Sindbad? Wywiad marynarki wojennej?
- Mosad – odpowiedział Samir.
- Izraelczyk ma na imię Sindbad?
- Zrozumiesz, kiedy go poznasz – rzekł Mustafa.

BIBLIOTEKA ALEKSANDRYJSKA

ŹRÓDŁO INFORMACJI EDYTOWANE PRZEZ UŻYTKOWNIKA

Izrael

Ta strona jest obecnie **zabezpieczona** przed edytowaniem, aby zapobiec **powtarzającym się aktom wandalizmu**. W celu zasugerowania zmian prosimy **skontaktować się z administratorem**.

Współczesne państwo **Izrael** jest krajem w Europie Środkowej. Graniczy na północy z Morzem Północnym, Danią i Morzem Bałtyckim, na wschodzie z Polską i Republiką Czeską, a na zachodzie częściowo z Holandią. Pozostałe zachodnie i południowe granice wyznacza oficjalnie bieg rzek Renu i Menu, ale od wojny sześciodniowej w 1967 roku Izrael zajmuje większość Bawarii, Szwabii i Zachodni Brzeg Środkowego Renu. Stolicą Izraela jest Berlin. (...)

HISTORIA

Po klęsce III Rzeszy Zjednoczone Państwa Arabskie przeforsowały plan podzielenia Niemiec na dwa państwa, jedno żydowskie i jedno chrześcijańskie. (...) Ta sama ustawa Kongresu z 1948 roku, która uznała suwerenność Izraela, ustanowiła również nowy dystrykt religijny w Jerozolimie w Palestynie oraz zagwarantowała obywatelom Izraela dostęp do świętego miasta dzięki specjalnym wizom turystycznym. (W następstwie ataków z 9 listopada na te wizy nałożono nowe wymogi bezpieczeństwa; patrz Poprawka Arafata–Abbasa z 2002 roku do prawa powrotu). (...)

Zarówno istnienie Izraela, jak i jego położenie geograficzne budzą kontrowersje. (...) Brytyjski premier David Irving jest tylko jednym z obecnych europejskich przywódców wzywających do zniszczenia państwa żydowskiego. (...) Tymczasem wielu ortodoksyjnych chrześcijan z Ameryki Północnej pragnie przeniesienia Żydów na stałe na teren historycznej Ziemi Izraela, wierząc, że jest to jeden z koniecznych warunków dla nadejścia końca świata. (...)

Pomimo ostatnich napięć Zjednoczone Państwa Arabskie pozostają najbliższym politycznym i wojskowym sojusznikiem Izraela. Kraje te wspólnie prowadzą wojnę z terroryzmem. (...)

Sindbad naprawdę nazywał się Dawid Cohen

Sindbad naprawdę nazywał się Dawid Cohen. Był dwudziestodwuletnim agentem Mosadu, który odbył dwie tury służby jako komandos w Siłach Obronnych Izraela – dobrze mieć go w pobliżu, żartował Samir, jeśli trzeba zabić legion złych facetów, używając jedynie zwiniętej w rulon gazety. Lub uwieść legion kobiet – bo oprócz umiejętności sztuki walki Dawid Cohen został obdarzony urodą i urokiem osobistym, jakie Bóg zostawia zazwyczaj dla gwiazd muzyki pop.

Mustafa i Samir poznali go kilka lat wcześniej w Kairze na międzynarodowej konferencji dotyczącej bezpieczeństwa. Samir, który był w trakcie rozvodu, każdej nocy chodził z Cohenem do klubów w nadziei, że skorzysta z atrakcyjności Davida; Mustafa nie chodził z nimi na dyskoteki, ale posłusznie wysłuchiwał opowieści Samira o ich przygodach.

W ostatnim dniu konferencji Mustafa i Samir zostali wezwani do terrorystycznego incydentu, do którego doszło zaledwie kilka przecznic od miejsca konferencji. Cohen przyłączył się do nich.

„Terrorystyczny incydent” okazał się napadem, który poszedł niezgodnie z planem. Pięciu zamaskowanych mężczyzn obrabowało bank, a następnie utknęło w korku ulicznym podczas próby ucieczki. Kiedy policja otoczyła ich samochód, mężczyźni otworzyli ogień. W walce, która się wywiązała, został zabity jeden policjant i dwóch złodziei. Trzej pozostali przy życiu bandyci pobiegli do małego kina i wzięli jego klientów jako zakładników. Służby

Bezpieczeństwa Narodowego zostały zaalarmowane, kiedy bandyci, twierdząc, że mają nie tylko broń, ale także materiały wybuchowe, zagrozili wysadzeniem budynku w razie niespełnienia ich żądania bezpiecznego przejazdu.

Gdy Mustafa, Samir i Cohen przybyli na miejsce, zastali tam szefa lokalnych Arabskich Służb Bezpieczeństwa Narodowego, Hamida Darwisza, ślęczącego nad planami budynku. Darwisz zawdzięczał swoje stanowisko bardziej lojalności wobec partii niż strategicznym zdolnościom. Postanowił wyjść z impasu, wpompowując gaz do systemu wentylacyjnego kina.

– Gaz łzawiący? – zapytał Mustafa.

– Nie, coś znacznie lepszego – odpowiedział Darwisz. – Coś, czego chciałem spróbować...

Wskazał na podwładnych, którzy wyładowywali kilka dużych kanistrów z furgonetki. Każdy kanister był opatrzony długą chemiczną nazwą i licznymi ostrzegawczymi naklejkami.

Mustafa nie znał się na chemikaliach, ale Dawid Cohen tak.

– To środek usypiający – powiedział. A patrząc na Darwisza, dodał: – Jesteś idiotą.

– Kim jest ten człowiek? – zapytał Darwisz.

Cohen przedstawił się, a potem wyjaśnił, czemu plan jest szaleństwem: Nawet gdyby bandyci i ich zakładnicy ważyli tyle samo i mieli identyczny metabolizm, nie było sposobu, aby upewnić się, że będą wdychać gaz z tą samą szybkością.

– Niektórzy zemdleją, podczas gdy inni będą tylko odrętwiali – a jeśli wpompujesz wystarczająco dużo gazu, aby być pewnym, że wszyscy stracili przytomność, zabijesz niektórych z nich.

– Wiemy, co robimy – rzekł Darwisz. – Poza tym nie mamy wyboru – ci mężczyźni są zdesperowani i mówią, że obłożyli budynek dynamitem.

– Kłamią. Po co braliby ze sobą dynamit?

– Pytasz mnie o to, a sam nazywasz mnie idiotą?

– Sens rabowania banku za dnia polega na tym, że skarbiec jest już otwarty. Ci ludzie nie mają materiałów wybuchowych... a traktowanie ich gazem jest głupotą.

– Zabierzcie tego pieprzonego Izraelczyka z moich oczu – warknął Darwisz.

– To było dyplomatyczne – powiedział Mustafa do Cohena po tym, jak z trudem przekonał go, żeby się wycofał.

– Ten człowiek jest równie niebezpieczny jak ci rabusie – rzekł Cohen. – Sprawami kierują tutaj debile.

– Tak, witaj w Egipcie – powiedział Samir, uśmiechając się.

– Musisz wiedzieć coś o debilach – rzekł Mustafa. – Oni nie reagują dobrze, kiedy nazywasz ich debilami.

– Ach, on nie posłuchałby, nawet gdybym był uprzejmy. Chce użyć swojego głupiego gazu.

– A twoim zdaniem czego mamy użyć? Może istnieje coś lepszego, coś, czego dawkowanie możemy kontrolować?

– Tak – odparł Cohen. – Kule. – Spojrzał w górę przecznicy, gdzie brygada antyterrorystyczna z Kairu czekała cierpliwie przy swojej furgonetce. – Dajcie mi chwilę.

Wokół kina rósł tłum miejscowych i federalnych policjantów, ponieważ coraz więcej ludzi z konferencji dotyczącej bezpieczeństwa przywędrowało, aby zobaczyć, co się dzieje. Mustafa wypatrywał w tłumie kogoś rozsądnego i wyższego rangą od Darwisza.

Samir klepnął Mustafę w ramię.

– Popatrz w górę.

Na dachu domu towarowego znajdującego się obok kina stał Dawid Cohen, ubrany w kurtkę brygady antyterrorystycznej, z karabinem przewieszonym przez plecy. Budynki oddzielała od siebie szeroka aleja. Cohen wziął rozbieg i

przeskoczył nad przepaścią. To właśnie wtedy, widząc, z jaką gracją poszybował w powietrzu, Samir nadał Cohenowi przezwisko:

– Ha! Żyd Sindbad!

Cohen wylądował bezpiecznie na dachu kina i znikł im z oczu. Kilka chwil później w budynku padły strzały. Prawdziwi członkowie brygady antyterrorystycznej ożywili się, ale zanim zdążyli cokolwiek zrobić, Cohen zameldował przez krótkofalówkę, że już po wszystkim.

Dwóch rabusiów banku było martwych, a trzeci się poddał. Nie ucierpiał żaden z zakładników. Darwisz był wściekły. Aresztował Cohena, gdy tylko ten wyszedł z kina, i zastrzeliłby go, gdyby mogło mu to ujść płazem.

Jednak w ciągu kilku godzin sytuacja się zmieniła, gdy rozniosła się wiadomość, że jednym z uwolnionych zakładników była Diale Mahfuz, babcia burmistrza Kairu. Stara kobieta miała słabe serce i chociaż emocje wywołane zaimprovizowanym atakiem przeprowadzonym przez Cohena na pewno jej nie posłużyły, to gaz byłby dużo gorszy.

Cohen jeszcze przed nadejściem nocy wyszedł z aresztu, w którym zamknął go Darwisz, i stanął na podium z burmistrzem i innymi urzędnikami, okrzyknięty bohaterem przed dziesiątkami kamer ekip telewizyjnych. Mustafa i Samir stali z tyłu widowni, w sali, gdzie odbywała się konferencja prasowa. Samir był tak rozpromieniony, jakby sam był na scenie.

– Co ci mówiłem, Mustafa? – zapytał. – Czy ten facet nie jest po prostu odłotowy?

Gdy czekali na Sindbada przed izraelską ambasadą, Mustafie zaczęło się kręcić w głowie. Nie pamiętał, kiedy zaczęły się takie ataki, ale miewał je od czasu do czasu co najmniej od kilku lat. Najczęściej podczas chwil beczynności. Patrzył na miasto lub oglądał jakąś całkowicie zwyczajną scenę na ulicy, gdy nagle czuł się zupełnie dezorientowany. Ostatnim razem był w

Rijadzie, miał przejść przez przejście dla pieszych, gdy zauważył, że wszystkie samochody czekające w kolejce na czerwonym świetle są prowadzone przez kobiety.

Tym razem atak wywołała flaga ambasady. Usłyszał, jak łopocze na wietrze nad jego głową, i zerknął w górę. Gwiazda Dawida, dumnie trzepocząca nad ulicą Al-Kindiego, w jakiś sposób uświadomiła mu, że ziemia pod jego stopami się kręci. Zatoczył się do tyłu i mógłby upaść, gdyby nie oparł się o betonową zaporę.

– Wszystko w porządku? – zapytała Amal.

Mustafa dotknął palcem bandaża na swojej szyi.

– Chyba nadal potrzebuję jeszcze trochę odpoczynku.

– Idzie – rzekł Samir.

Amal odwróciła się, aby popatrzeć, a Mustafa, któremu wydawało się, że zobaczył coś w wyrazie jej twarzy, powiedział:

– Ach, rozmawiałaś z Umm Dabir.

Umm Dabir była sekretarką Faruka. Poznała Sindbada podczas jednej z jego wizyt i zadurzyła się w nim, co nie było żadną tajemnicą.

– Jestem pewna, że nie wiem, o co ci chodzi – rzekła Amal.

– Zdaję sobie sprawę z tego, że wiele kobiet w biurze kocha się w nim.

– Najwyraźniej nie tylko kobiet. – Amal ruchem głowy wskazała na Samira, który już podbiegł, aby uścisnąć Sindbada, i teraz szedł obok niego, obejmując jego ramiona.

– Hej, człowieku, dobrze cię widzieć! – mówił Samir. – Tylko dlaczego nie zadzwoniłeś do nas, skoro już byłeś w mieście?

– W tej podróży nie mam czasu na imprezy – odparł Sindbad. – Dziś wieczór mam zaplanowany nocny przelot do Berlina... Cześć, Mustafa. – Posłał uśmiech Amal. – A ty jesteś pewnie nowym ochroniarzem Mustafy.

– Tak, chroni mnie przed chrześcijanami i moją własną głupotą – powiedział Mustafa. – Amal Bint Szamal, poznaj Dawida Cohena. Dla swoich licznych

wielbicieli, Sindbada. – Gdy uścisnęli sobie dłonie, Mustafa zauważył aktówkę tkwiącą pod pachą Izraelczyka. – Masz coś dla nas?

– Mam – odpowiedział Sindbad.

– Zatem znajdziemy jakieś miejsce, żeby usiąść. Mam dziś lekkie zawroty głowy.

Poszli do herbaciarni za rogiem ambasady. Właściciel powitał Sindbada równie ciepło, jak wcześniej zrobił to Samir, a Mustafie znów zakręciło się w głowie. Jednak poczuł się lepiej, gdy siedział już przy szklance parującej herbaty, słuchając, jak Sindbad wyjaśnia, że Samir miał rację – ci dwaj blondyni na zdjęciu byli Niemcami.

– Peter i Martin Hoffman z Luterńskiego Bractwa Narodowosocjalistycznego – rzekł Sindbad, wyjmując dwa pliki akt Interpolu ze swojej aktówki. – Obaj są absolwentami politechniki w Monachium. Peter jest chemikiem, a Martin inżynierem, ale ich głównym zajęciem od ukończenia studiów było organizowanie ataków na żydowskie osady w Nadrenii. W ubiegłym roku Peter został złapany w Koblencji w kryjówce, w której przygotowywano samochody pułapki. Zabił żołnierza i uciekł. Uważamy, że on i jego brat zbiegli do Turcji na sfałszowanych wizach pracowniczych. A stamtąd...

Stamtąd przekradnięcie się do Zjednoczonych Państw Arabskich byłoby stosunkowo banalną operacją. Pomimo milionów riali wydanych na zabezpieczenie turecko-syryjskiej granicy pozostała ona popularną drogą dla nielegalnych emigrantów z Europy.

– To przydatne informacje – powiedział Mustafa. – Jeśli jednak przebywają w kraju nielegalnie, znalezienie ich nie będzie proste.

– Och, ale mam coś jeszcze – rzekł Sindbad. – Sprawdziłem również waszego nieżyjącego zamachowca samobójcę, Jamesa Tralisa...

– Interpol nie ma o nim żadnych informacji.

– To prawda, ale Mosad ma. Dwa lata temu Travis był jednym z członków humanitarnej misji w Nadrenii, którzy zostali na krótko zatrzymani pod zarzutem udzielania pomocy i wsparcia terrorystom.

– Co to była za misja humanitarna? – zapytała Amal.

– Medyczna – odgadł Mustafa. – Był studentem medycyny, pamiętacie?

– Tak – odparł Sindbad. – A jednym z pozostałych lekarzy zatrzymanych z Travisem był Amerykanin o nazwisku Gabriel Costello. – Ponownie otworzył aktówkę. – Sądzę, że go rozpoznacie.

Zdjęcie dołączone do nowych akt, które im wręczył, ukazywało całą twarz, a nie profil, a sfotografowany mężczyzna wyglądał bardziej na ponurego niż rozgniewanego, ale nie można było pomylić rudych włosów.

– To akta Policji Imigracyjnej – zauważył Mustafa. – Jak je zdobyłeś...?

– Nieważne – odrzekł Sindbad. – Liczy się to, że doktor Costello ma zieloną kartę... i adres zamieszkania w Bagdadzie. Sprawdziłem ten adres, to mieszkanie na zachodnich przedmieściach, blisko lotniska.

Tuż pod adresem domowym Costello dokument wymieniał jego obecne zajęcie i miejsce zatrudnienia.

– Nie wierzę – powiedział Mustafa. – Jest chirurgiem urazowym w szpitalu ogólnym w Al-Karchu. – Wytłumaczył Sindbadowi: – To tam zawieziono mnie tamtej nocy. To tylko kilka minut stąd. Powinniśmy tam pójść i zobaczyć, czy Costello teraz pracuje...

– Nie pracuje – rzekł Sindbad. – To też sprawdziłem. Rejestratorka, z którą rozmawiałem, powiedziała, iż następną zmiana doktora Costello zaczyna się o drugiej po południu. Macie więc czas, aby wypić herbatę.

Samir znów promieniał.

– Wiesz, Dawidzie – powiedział Mustafa – jeśli chcesz darować sobie ten lot do Berlina wieczorem, jestem pewny, że mamy inne sprawy, które mógłbyś rozwiązać.

– Najpierw zobaczymy, dokąd nas to zaprowadzi. Nie interesuje mnie Costello, ale jeśli możemy znaleźć braci Hoffman, to może pokręcę się w pobliżu.

Za kwadrans druga mieli już agentów w cywilu wewnątrz i na zewnątrz szpitala. Pół tuzina policyjnych jednostek Bagdadu, oddział pirotechników i ekipę zajmującą się niebezpiecznymi substancjami postawiono w stan gotowości.

Mustafa, Samir i Sindbad zaparkowali po drugiej stronie ulicy naprzeciwko zatoczki dla karetek. Sindbad zaproponował, aby użyć jego samochodu z ambasady jako ruchomego stanowiska dowodzenia. Mustafa zgodził się na to, sądząc, iż będzie wygodniejszy od czarnej furgonetki. A także dlatego – co było nieco zawstydzające – że izraelski korpus dyplomatyczny, a przynajmniej ta jego część, która w rzeczywistości była Mosadem, miała lepszy sprzęt komunikacyjny niż Arabskie Służby Bezpieczeństwa Narodowego. Zamiast żonglować dwiema krótkofalówkami, Mustafa mógł użyć zainstalowanego w desce rozdzielczej systemu Sindbada, aby monitorować i nadawać na obu częstotliwościach – Arabskich Służb Bezpieczeństwa Narodowego i lokalnej policji.

Amal była na parkingu wielopoziomym przylegającym do szpitala, udając pracownicę. Mustafa miał nadzieję, że nieznana kobieta w budce wzbudzi mniej podejrzeń niż obcy mężczyzna, ale ta część planu powiodła się aż zbyt dobrze: lekarze i pielęgniarki jadący na zmianę o czternastej zatrzymywali się, aby poplirtować z Amal, tworząc przy wjeździe do garażu niewielki korek. Niektórzy z pozostałych agentów zaczęli dokuczać Amal z powodu jej „nowych chłopaków”; a potem Abd ar-Raszid, starszy agent, który po 9 listopada powrócił do islamu, włączył się, aby strofować ich za grubiańskie uwagi.

– Wystarczy! – przerwał im Mustafa. – Pokój wam wszystkim i skończcie z tym! Jest prawie druga. Czy ktoś widzi cel?

– Mustafa? – niemal natychmiast odpowiedział jakiś głos. – Tu Hamdan. Chyba go mamy. Mówiłeś, że Costello jeździ białym motocyklem?

Mustafa zerknął na Sindbada.

– Taką mamy informację, tak. – Wyrecytował numery tablicy rejestracyjnej.

– To ten. Jest tutaj.

– Czy kieruje się na parking?

– Kierował się. Właśnie zjechał na bok na krawężnik i sprawdził swój pager. Teraz dzwoni z telefonu komórkowego...

Mustafa ponownie spojrzął na Sindbada i ruchem głowy wskazał z nadzieją na skaner radiowy. Sindbad przecząco pokręcił głową.

– Mustafa? – zapytał Hamdan. – Chcesz, żebyśmy go zgarnęli?

Zanim Mustafa zdołał odpowiedzieć, włączył się Abd Allah z centrali telefonicznej:

– Mustafa, Costello jest teraz na linii... Mówi, że spóźni się do pracy.

– Czy mówi dlaczego?

– Ważne sprawy rodzinne.

Mustafa ściągnął palec z przycisku nadawania.

– Czy przeoczyłem w aktach Costello coś na temat jego krewnych w Bagdadzie?

– Nie – odparł Sindbad. – Nie ma tu żadnej rodziny. Najbliższą osobą jest narzeczona, która została zabita kilka lat temu w Gazie.

– Więc kto go wezwał przez pager?

– Dwa domysły – powiedział Samir z tylnego siedzenia.

Hamdan:

– Mustafa? Facet jest ponownie w ruchu. Co mamy robić?

– Jedźcie za nim – odrzekł Mustafa, podejmując decyzję. – Miejcie go w zasięgu wzroku, ale jeszcze nie zatrzymujcie. Może jedzie na spotkanie z Hoffmanami... Hamdan, zrozumiałeś?

Z radia wybuchło przekleństwo towarzyszące trąbieniu klaksonu samochodu.

– Hamdan?

– Och, utknęliśmy za jakimś idiotą, który się nie ruszy... Costello zdołał go ominąć. Skręcił na południe na bulwar Związku.

Sindbad zdążył już ruszyć. Trzydzieści sekund później oni również znajdowali się na bulwarze i widzieli przed sobą biały motocykl.

– Wszyscy słuchajcie uważnie – rzekł przez radio Mustafa. – Costello podąża na południe, zbliżając się do mostu 14 Lipca. Chcemy zobaczyć, dokąd jedzie, więc proszę moich przyjaciół z wydziału policji w Bagdadzie, aby trzymali się z daleka i mieli wyłączone syreny. Tych, którzy mają nieoznakowane samochody, możemy wykorzystać w pościgu. I czy mogę prosić o helikopter nad nami na wypadek, gdybyśmy go zgubili?

Costello najwyraźniej nie wiedział, iż jest śledzony, ale z natury był niecierpliwym kierowcą gotowym do podejmowania ryzyka, a Sindbad, którego samochód nie mógł prześlizgiwać się przez luki w strumieniu pojazdów równie łatwo jak motocykl, musiał się namęczyć, aby za nim nadążyć. Most, z sześcioma pasami ruchu przechodzącymi w cztery, okazał się szczególnym wyzwaniem, ale Sindbad zdołał utrzymać Costello w zasięgu wzroku dzięki kilku grożącym śmiercią skrętom na przeciwległy pas ruchu.

Przejechali przez rzekę, dojeżdżając do wąskiego półwyspu utworzonego przez ostry zakręt Tygrysu płynącego na południe ze śródmieścia. Główne miasteczko uniwersyteckie Uniwersytetu Bagdadzkiego zajmowało zachodni koniec półwyspu i Costello skierował się w tamtą stronę.

– Abd Allah – rzekł przez radio Mustafa – czy możesz zadzwonić do ochrony miasteczka uniwersyteckiego i poprosić ich, aby byli w pogotowiu?

– Czekaj – odpowiedział Samir. – Zjeżdża na bok.

Znajdowali się w centrum handlu blisko wschodniego skraju miasteczka uniwersyteckiego. Na środku przecznicy znajdował się supermarket Ali Baba z wciśniętym obok niego barem kawowym Czterdziestu Rozbójników. Costello zaparkował motocykl przed barem. Dwaj blondyni siedzący przy stoliku na chodniku wstali, aby się z nim przywitać.

– Spójrzcie na to, cała banda. – Samir walnął Sindbada w ramię. – Facet, przynosisz nam szczęście. – Jednak Sindbad był mniej zachwycony od niego. Gdy Costello usiadł z braćmi Hoffmanami, Sindbad wskazał na zielony chlebak pod stolikiem obok krzesła Petera Hoffmana. – Jak myślisz, co jest w tym plecaku?

– Odzyskaliśmy wszystkie skradzione materiały wybuchowe – odparł Mustafa.

– Wszystkie materiały wybuchowe skradzione z bazy wojskowej – rzekł Sindbad. – Jednak materiały wybuchowe można również znaleźć na wydziale inżynieryjnym uniwersytetu. Albo wyprodukować je w laboratorium chemicznym.

– Zatem co twoim zdaniem mamy zrobić? Zadzwoń po brygadę antyterrorystyczną, żeby pożyczili ci karabin?

– Mam karabin w bagażniku. Jeśli jednak go użyję, nie będziemy mieli kogo przesłuchać. – Myślał przez chwilę, a potem sięgnął do przodu, aby przełączyć przycisk na desce rozdzielczej. Rozświecił się panel ostrzegawczy z informacją PODUSZKI POWIETRZNE NIEAKTYWNE.

– Dawid? – zapytał Mustafa.

– Rozepnijcie pasy i trzymajcie się. Bądźcie gotowi wyskoczyć, gdy tylko samochód się zatrzyma.

Ruszył do przodu, zanim Mustafa zaczął się z nim spierać. Gdy samochód był prawie przy barze kawowym, Sindbad szarpnął ostro kierownicą w prawo i nacisnął klakson. Kiedy pojazd skręcił gwałtownie na chodnik, Costello i

Martin Hoffman zerwali się z krzeseł i uskoczyli z drogi. Jednak Peter Hoffman schylił się i sięgnął po plecak. Sindbad nacisnął gaz i wpadł na stolik, jadąc szybciej, niż zamierzał; samochód zahaczył o przedni narożnik baru kawowego, obrócił się gwałtownie i stanął.

Mustafa, chociaż był na to przygotowany, został rzucony do przodu na deskę rozdzielczą. Zanim wytoczył się z samochodu, Costello wskoczył z powrotem na swój motocykl, a Martin Hoffman uciekał piechotą. Peter Hoffman zniknął – a przynajmniej tak sądził Mustafa, dopóki nie spojrzał w dół i nie zobaczył dłoni wystającej spod samochodu Sindbada.

Costello uruchomił motor kopnięciem. Samir chwycił go za nadgarstek i próbował zrzucić go z pojazdu, ale Costello machnął kaskiem trzymany w drugiej ręce, trafiając Samira w twarz. Samir upadł do tyłu, a Costello przekręcił gaz i popędził w kierunku miasteczka uniwersyteckiego.

– Łapcie Hoffmana! – krzyknął Sindbad. – Ja dorwę Amerykanina! – Wycofał samochód na ulicę i odjechał za motocyklem.

Martin Hoffman pobiegł do samochodu zaparkowanego po drugiej stronie ulicy na wschodnim końcu przecznicy. Stanął obok niego, klepiąc się po kieszeniach w poszukiwaniu kluczyków, a potem bezradnie spojrzał w kierunku baru kawowego. Zobaczył zmierzającego ku niemu Mustafę i wbiegł do znajdującego się na rogu supermarketu Duch Muzyki.

Mustafa wszedł tam chwilę później z wyciągniętą bronią. Kilku ciemnowłosych studentów krążyło z przodu sklepu pomiędzy półkami z magazynami i komiksami, ale nie było śladu Hoffmana. Wzrok szukającego Niemca Mustafy przyciągnęła wystawa jaskrawożółtych książek oferujących łatwą edukację w rozmaitych tematach: Algebra dla ignoranta; Komputerowe przygotowywanie tekstów i ilustracji do druku dla ignoranta; Kultura Jazydów dla ignoranta, a także specjalny stos, bestseller po 9 listopada, teraz bardzo przeceniony, Chrześcijaństwo dla ignoranta.

Do sklepu wszedł Samir, a blisko za nim Amal, Hamdan oraz kilku innych agentów. Ustawili się w szereg i rozpoczęli systematyczne poszukiwania. W alejkach z gramy wideo zza półki z instrukcjami przejść kolejnych poziomów wyłonił się nagle student z wymiany; wyglądał dokładnie jak Hoffman oprócz tego, że miał niebieskie oczy i bladą skórę, ale tylko łaska Boża sprawiła, że nie trafił do serwisów informacyjnych.

Mustafa znalazł się w pustym przejściu pomiędzy dwoma różnymi środkami przekazu i dwoma przeciwstawnymi społeczno-politycznymi punktami widzenia. Po jego lewej ręce, w dziale DVD, rząd płaskoekranowych telewizorów pokazywał gubernatora Libanu, w poprzednim fachu gwiazdę kina akcji, manewrującego odrzutowcem pomiędzy drapaczami chmur w Bejrucie i używającego działka na dziobie, aby unicestwić armię terrorystów, którzy wszyscy wyglądali jak krewni mężczyzny ściganego przez Mustafę. Po jego prawej stronie, w dziale muzyki pop, ściana głośników i subwooferów ryczała piosenkę punkowego zespołu Zielona Pustynia – antywojenny hymn antysaudyjski Arabski idiota.

Na wprost niego, nie przedstawiając żadnego politycznego stanowiska, ale oferując na sprzedaż zarówno płyty DVD, jak CD ze ścieżkami dźwiękowymi, znajdowała się kartonowa postać bollywoodzkiego Aladyna. Mustafa odwrócił wzrok, a potem spojrzał tam ponownie. Nad zakrzywieniem turbanu Aladyna widoczna była grzywka blond włosów. Mustafa odwrócił się i nawiązał kontakt wzrokowy z Samirem, który skinął głową; on również to zobaczył.

Jakaś kobieta w abai i zasłonie na twarz wyszła z działu DVD, ciągnąc za sobą małego chłopca. Martin Hoffman wyskoczył ze swojej kryjówki. Odepchnął chłopca na bok i chwycił kobietę, aby użyć jej jako tarczy, podnosząc nóż do jej gardła. Kobieta się broniła. Jej zasłona rozchyliła się i Mustafa zamrugął zaskoczony.

– Fadwa? – wykrztusił.

Chłopczyk z krzykiem rzucił się na człowieka, który chwycił jego matkę. Zatopił zęby w nodze Hoffmana. Uścisk, w którym Hoffman trzymał kobietę, rozluźnił się i przez chwilę Mustafa miał czysty strzał. Jego broń wypaliła jakby bez jego udziału, i tym razem była naładowana. Hoffman przekrzywił głowę na bok i otworzył usta, jakby usłyszał coś szokującego. Upuścił nóż i upadł do tyłu na wystawę Aladyna.

Gdy kobieta chwyciła syna i umknęła w bezpieczne miejsce, padły kolejne strzały. W pierwszej chwili Mustafa pomyślał, że to jeden z pozostałych agentów otworzył ogień z karabinu szturmowego. Jednak były to strzały na filmie – gubernator mordował chrześcijan w Bejrucie. Zielona Pustynia odpowiedziała stanowczo słowami piosenki o arabskim imperializmie. Martin Hoffman nie zareagował, tylko krwawił w milczeniu na stosie multimedialnego sprzętu, który stał się jego miejscem ostatniego spoczynku.

– Człowieku, musiałeś to zrobić.

Mustafa i Samir stali na chodniku przed sklepem. Wewnątrz zespół ratowników, który podjął wcześniej bezcelową próbę reanimacji Hoffmana, tłoczył się przy jego zwłokach wraz z policjantami i agentami federalnymi. Mustafa odszedł na bok, gdy zaczęły padać dowcipne uwagi. Samir uznał jego zachowanie za objaw żalu:

– Musiałeś to zrobić. Podciąłby tej kobiecie gardło.

– Wiem, Samir – powiedział Mustafa.

Kobieta siedziała z tyłu karetki, tuląc do piersi syna. Zasłonę nadal miała przekrzywioną. Mustafa przyglądał się jej twarzy i zastanawiał się, co go naszło. To nie była Fadwa; nawet nie była do niej podobna.

– Hej – rzekł Samir. – Ten mały chłopiec miał w sobie ogień, prawda?

– Tak. – Mustafa z wysiłkiem odwrócił się od karetki. Pomachał Amal, która konferowała z szefem oddziału pirotechników o zawartości plecaka

Petera Hoffmana. – Więc?

– Dwa kilo komercyjnego żelu wybuchowego – powiedziała, dołączając do nich. – Może ze szkoły inżynierii górniczej, a może ukradzione z jakiejś rozbiórki – namierzają teraz numer seryjny. W torbie znajdowały się również broń i narzędzia. Wszystko, czego potrzeba, aby złożyć bombę zegarową.

Mustafa zmarszczył brwi.

– Nie była jeszcze podłączona?

– Nie – odparła Amal. – Poproszono mnie również, żebym ci powiedziała, że choć żel wybuchowy jest dosyć stabilny, to jednak przejeżdżanie po nim nie jest zbyt dobrym pomysłem.

– Dzięki, przekażemy to – rzekł Mustafa.

Samochód Sindbada właśnie zatrzymał się przy policyjnym kordonie na końcu przecznicy. Został poważnie uszkodzony podczas czołowego zderzenia – dwa zbite reflektory, wgnieciona osłona chłodnicy i maska – ale przez popękana przednią szybę mogli zobaczyć, że Sindbad ma pasażera. Żywego pasażera.

– Słuchaj, Izraelu! – zawołał Samir, gdy Sindbad wyciągnął Costello z pojazdu. – Jesteś supergość!

– Zapewnił mi niezłą zabawę – powiedział Sindbad. – Złapaliście mojego Niemca?

– Dorwaliśmy go – odrzekł Mustafa, nie chcąc, aby Costello wiedział, że Martin Hoffman nie żyje. – Jest w środku.

Sindbad odczytał prawdę z oczu Mustafy.

– Och... To dobrze.

Przednia prawa opona samochodu Sindbada była przebita i zaczęło z niej schodzić powietrze.

– A zatem, Dawidzie – powiedział Mustafa – czy możemy cię podwieźć na lotnisko?

BIBLIOTEKA ALEKSANDRYJSKA

ŹRÓDŁO INFORMACJI EDYTOWANE PRZEZ UŻYTKOWNIKA

Prawa Mirandy

Prawa Mirandy to oświadczenie, które musi zostać odczytane każdemu podejrzanemu o przestępstwo, zabieranemu do aresztu policyjnego na terenie Zjednoczonych Państw Arabskich, przed rozpoczęciem przesłuchania mającego na celu wydobycie z niego potencjalnie obciążających informacji. Oświadczenia obciążające złożone przez podejrzanego, któremu nie zostały prawidłowo odczytane prawa Mirandy, nie są przyjmowane jako dowód.

Dokładny tekst praw Mirandy różni się pomiędzy jurysdykcjami, ale następujący skrypt, używany przez policję państwa Iraku, jest typowy: „Z łaski Boga Miłosiernego i Litościwego masz prawo zachować milczenie. Jeśli rezygnujesz z tego prawa, wszystko, co od tej pory powiesz, może być użyte przeciwko tobie w sądzie, gdzie, jeśli Bóg pozwoli, sprawiedliwość zostanie wymierzona. Z łaski Boga Miłosiernego i Współczującego masz prawo do adwokata. Jeśli cię na niego nie stać, zostanie ci on przydzielony z urzędu. Czy rozumiesz prawa, które ci przedstawiłem?”.

Prawa otrzymały swoją nazwę od sprawy w Sądzie Najwyższym z 1966 roku Miranda przeciwko Maroku. Sprawa dotyczyła Artura Mirandy, hiszpańskiego katolika aresztowanego w Marrakeszu za porwanie i zgwałcenie młodej Berberyjki. Miranda przyznał się policji do winy, a później został osądzony i skazany. Jego adwokat argumentował podczas apelacji, że jako człowiek niebędący obywatelem i nie znający arabskiego Miranda był nieświadomy swojego prawa do zachowania milczenia zgodnie z Konstytucją Zjednoczonych

Państw Arabskich, a zatem jego przyznanie się powinno zostać wykluczone. Sąd Najwyższy zgodził się z tym w przełomowej decyzji 5:4.

Opinia większości Sądu została zapisana przez prezesa Sądu Najwyższego Alima al-Warisa. Wśród innych autorytetów Al-Waris przytoczył tradycyjne powiedzenie Proroka Mahometa (pokój z nim): „Nie jest prawdziwie wierzącym ten, kto nie pragnie dla swojego brata tego, czego pragnie dla siebie”. Al-Waris napisał: „Z pewnością każdy człowiek, kiedy stawia czoło przytłaczającej władzy państwa, chciałby przynajmniej być powiadomiony o swoich niezwywalnych prawach”.

Z początku reakcja organów ochrony porządku publicznego na to orzeczenie była negatywna. Niektórzy policjanci i prokuratorzy przewidywali całkowity upadek systemu sądownictwa. Al-Waris przewidział to w swojej opinii: „Niektórzy powiedzą, że zawiadamiając podejrzanych o ich prawie przeciwko samooskarżeniu, eliminujemy szansę uzyskania przyznania się do winy. Oczywiście w przypadku niewinnych podejrzanych jest to pożądanym wynikiem. Natomiast w przypadku winnych, traktując ich z szacunkiem i godnością, mamy nadzieję obudzić ich sumienie i poprowadzić ich z powrotem na prawą ścieżkę; jednak ci, którzy nie zaprzestają niegodziwości, zostaną, w co wierzymy, zgubieni przez swoją moralną słabość. Chociaż zostaną pouczeni tysiąc razy, aby nie mówić, Szatan i tak rozwiąże ich języki i doprowadzi do zguby”.

Chociaż nadal dyskutuje się o sensie tego orzeczenia, opracowanie z 1976 roku wykonane przez Arabski Związek Swobód Obywatelskich, Dziesięć lat Mirandy, nie wykryło żadnego znaczącego spadku w liczbie przyznań się do winy uzyskanych przez policję. Raport odnotował spadek procentowej liczby skazań unieważnionych podczas apelacji, co po części przypisywano wykorzystywaniu pisemnego zrzeczenia się praw Mirandy, czyli dokumentu, w którym podejrzani wyrażają zgodę na przesłuchiwanie.

Co do samego Artura Mirandy, to wytoczono mu nowy proces. Nawet bez jego przyznania się do winy prokuratorzy mieli wystarczająco dużo dowodów, aby skazać go po raz drugi. Miranda odsiedział 7 lat w więzieniu stanowym w Rabacie; po zwolnieniu został deportowany do Hiszpanii. Sędzia, który podpisał nakaz deportacji, namawiał Mirandę, aby zastanowił się nad losem swojej duszy w Dniu Sądu Ostatecznego i zmienił swoje postępowanie.

Te ostrzeżenia zostały zlekceważone przez podsądnego. W 1974 roku Miranda był zamieszany w porwanie należącej do banku ciężarówki przewożącej fundusze hiszpańskiego rządu, w tym podobno 6 milionów peset z osobistego konta generała Francisca Franco. Madrycka policja, próbując zmusić Mirandę do wyjawienia miejsca ukrycia ciężarówki, poddała go brutalnemu przesłuchaniu. Zmarł w areszcie. Ukradzione pieniądze nie zostały odzyskane.

Regionalna centrala

Regionalna centrala Arabskich Służb Bezpieczeństwa Narodowego w Bagdadzie mieściła się w ośmiopiętrowym budynku w niewielkiej odległości od strefy zero. Budynek, uprzednio należący do agenta ubezpieczeniowego, który ubezpieczył bliźniacze wieże, od 2001 roku przeszedł rozległą renowację. W trakcie przebudowy dodano supernowoczesny „apartament do przesłuchań”: trzy pokoje wokół jednego centralnie położonego pokoju obserwacyjnego.

Taki podstawowy układ mógł być znany każdemu, kto kiedykolwiek oglądał telewizyjny serial kryminalny. Jednak w odróżnieniu od pokojów przesłuchań z *Prawa i porządku: Halal* czy *Kryminalnych zagadek Damaszku* te tutaj kosztowały miliony riali. Większość tych pieniędzy wydano na specjalne czujniki, które zmieniały każdy pokój w wielki wariograf. Oprócz sprzętu wykrywającego kłamstwa były tam liczne kamery i mikrofony, które podobno działały w obiegu zamkniętym, ale Mustafa już od dłuższego czasu przypuszczał, że istniało nieudokumentowane połączenie pozwalające szefostwu w Rijadzie monitorować przesłuchanie.

Inne aspekty pokojów przesłuchań można by określić jako ograniczenie swobód obywatelskich. Termostaty klimatyzatorów można było ustawić na temperaturę przekraczającą normalną, komfortową dla człowieka. Przysłony w otworach wentylacyjnych pozwalały na hermetyczne uszczelnienie pokoi; oficjalnie było to zabezpieczenie przed rozprzestrzenieniem się przemyconej

do centrum broni biologicznej lub chemicznej, ale cynik nie mógł powstrzymać pytania, czy nie istniał jakiś inny powód ograniczenia zatrzymanemu dopływu powietrza.

I była również kwestia gniazdek na ścianach. Światła na suficie zapewniały bardziej niż dostateczne oświetlenie i było tam, jak odnotowano, pełno wbudowanych urządzeń nagrywających. Zatem dlaczego projektanci umieścili w pokojach tyle gniazdek elektrycznych?

– Cóż, wiesz, jak to jest – rzekł Samir, gdy Mustafa zwrócił mu na to uwagę. – Niektóre wiertarki mają naprawdę krótkie przewody.

Teraz, gdy Mustafa patrzył przez szybę ze szkła lustrzanego do pokoju przesłuchań A, próbował zaplanować strategię przesłuchania, która nie wymagała użycia narzędzi elektrycznych.

– Abd Allah – powiedział. – Pamiętałeś, aby zaproponować doktorowi Costello Biblię?

– Tak, Mustafa – odparł Abd Allah. – Widzisz jednak, jaki jest nadąsany. Nawet nie spojrzał na wózek.

Mimo pozbawienia wszelkich innych praw w imię bezpieczeństwa państwowego więźniowie mieli prawo korzystania ze świętej księgi. Mogło to być trudne do zrealizowania, gdy chodziło o chrześcijan, ponieważ podczas gdy istniał tylko jeden Koran, było dużo Biblii. Biada muzułmaninowi, który dał rozgniewanemu bojownikowi niewłaściwe tłumaczenie lub jakiś apokryf.

Wyczuwając okazję, Mustafa wypełnił wózek biblioteczny tyloma różnymi Bibliami, ile zdołał znaleźć: była tam łacińska Wulgata, różne wersje Biblii króla Jakuba, luterańska, amerykańskie tłumaczenie z 1952 roku, Biblia świętego Ignacego, z przypisami Scofielda, Reina-Valera i Louisa Segonda. Celem Mustafy było nie tyle posiadanie czegoś dla każdego, ile zademonstrowanie świadomości chrześcijańskiej wrażliwości, okazanie szacunku i tym samym zdobycie zaufania i dobrej woli. Była to zaskakująco

skuteczna taktyka, nawet w przypadku więźniów odrzucających jakąkolwiek gościnność.

Drzwi pokoju obserwacyjnego otworzyły się i do środka weszli Amal i Samir.

– I co? – zapytał Mustafa.

– Wydział policji miasta Gaza wywiązał się z zadania – odpowiedziała mu Amal. – To był napad na sklepik z podstawowymi artykułami. Przesłali raport i zdjęcie z miejsca zbrodni.

Mustafa przyjrzał się fotografii, którą podała mu Amal. Ukazywała kobietę siedzącą z plecami opartymi o drzwi gabloty z napojami chłodzącymi. Jej głowa zwisała na bok. Twarz miała spokojną, jakby właśnie zasnęła, ale poniżej szyi była krwawą masą.

– Zatem jaki jest plan? – zapytał Samir. – Zamierzasz zagrać współczuciem w stosunku do tego faceta?

– Coś w tym stylu – odparł Mustafa.

– Witam, doktorze Costello – zaczął. – Nazywam się Mustafa al-Baghdadi. Przyszedłem porozmawiać z panem o pańskich ostatnich działaniach.

Costello siedział z łokciami opartymi o stół w pokoju przesłuchań, ze wzrokiem utkwionym w krótkim łańcuchu łączącym kajdanki na jego przegubach.

– Nie mam panu nic do powiedzenia.

– W takim razie może pan tylko posłucha – rzekł Mustafa. – Jeśli nie ma pan nic przeciwko, będę mówił po arabsku. Rozumiem, że mówi pan płynnie w tym języku, i chociaż znam angielski, ci, którzy nas obserwują – wskazał ręką w kierunku kamer i szkła lustrzanego – nie mają tyle szczęścia.

Costello nie odpowiedział w bezpośredni sposób, ale z westchnieniem usiadł wygodnie na swoim krześle. Mustafa uniósł teczkę zawierającą akta

Costello z Policji Imigracyjnej i Celnej; wypchał ją kilkoma setkami kartek korespondencji biurowej niezwiązanej ze sprawą, więc rozległ się głośny trzask, gdy rzucił ją na blat stołu.

– To wszystko, co o panu wiemy.

Usiadł naprzeciwko lekarza i zamiast otworzyć teczkę, spojrzął przez stół, po czym zaczął recytować z pamięci.

– Pańskie pełne nazwisko to Gabriel Brennan Costello. Urodził się pan w Bostonie w 1973 roku. W 1988 roku, po śmierci rodziców, przeniósł się pan do Londynu do babci ze strony matki. W 1991 roku otrzymał pan wizę, aby kontynuować studia licencjackie na Uniwersytecie Bagdadzkim. Od 1995 do 1998 roku uczęszczał pan na wydział medyczny Uniwersytetu Ajn Szams w Kairze. Odbył pan staż na chirurgii w centrum medycznym w Jafie w Palestynie. Cztery lata temu wrócił pan do Bagdadu, aby pracować na oddziale chirurgii urazowej w szpitalu ogólnym w Al-Karchu. Od tego czasu wziął pan kilka urlopów, aby wyjechać na misje zagraniczne z grupą humanitarną Lekarze bez Granic. Muszę powiedzieć, że nie brzmi to jak życiorys terrorysty. Oczywiście jest pan Amerykaninem i chrześcijaninem, a te misje Lekarzy bez Granic zorganizowano po to, aby pomóc rannym chrześcijanom w niemieckim Volksaufstand. W oczach niektórych moich kolegów każdy z tych faktów byłby wystarczający, aby przyczepić panu etykietkę człowieka stanowiącego zagrożenie, bez potrzeby dalszych wyjaśnień. Ja jednak staram się być wolny od uprzedzeń, a jako mieszkaniec tego miasta jestem naturalnie ciekawy. Wie pan, tuż po 9 listopada cała Arabia zadawała sobie pytanie: Dlaczego? Czemu nas nienawidzą? Reszta kraju starała się od tamtej pory pójść naprzód, ale tutaj w Bagdadzie nadal żyjemy z następstwami tamtego dnia i dużo trudniej przychodzi nam pozostawienie przeszłości za sobą. Nadal chcemy wiedzieć: Dlaczego nas pan nienawidzi, doktorze Costello? Czy chodzi o to, że jest pan Amerykaninem? To prawda, że wojna z terroryzmem nie była przyjemna dla pańskiego

ojczystego kraju, ale był pan młody, kiedy wyjeżdżał ze swojej ojczyzny, a w pańskich aktach nie ma niczego, co sugerowałoby nacjonalistyczne przekonania. Czy to dlatego, że jest pan chrześcijaninem? Aż korci, żeby w to uwierzyć, ale nawet gdybym nie wiedział tego, co wiem, nadal umiem liczyć. Na świecie są blisko dwa miliardy chrześcijan i gdybyście wszyscy byli niegodziwi z natury, byłoby naprawdę źle. Zatem o co chodzi, doktorze Costello? Co zwróciło pana serce przeciwko nam? Arabia powitała pana z otwartymi rękami, dała panu wykształcenie i zawód, miejsce w cywilizowanym społeczeństwie. Czy było coś jeszcze, jakaś podstawowa uprzejmość, której nie udało nam się okazać? Czy obraziliśmy pana w jakiś sposób? Dlaczego nas pan nienawidzi?

Mustafa przerwał, aby dać Costello czas na odpowiedź – może zanegowanie opisanej przez niego wspaniałomyślności Arabii. Costello jednak nie zamierzał narzekać na los emigranta. Zgarbił się na krześle i gapił w milczeniu w stół, demonstrując znużoną rezygnację.

– Może zamiast pytać pana „dlaczego”, powinienem zapytać „kiedy” – ciągnął Mustafa. – Na pańskim podaniu o przyjęcie na staż wskazał pan religię swoją i pańskich rodziców jako episkopalną. Przyznam, że musiałem sprawdzić to w Bibliotece Aleksandryjskiej. Określa ona tę religię jako amerykańską gałąź Kościoła anglikańskiego. Czy to jest rozwiązanie zagadki, doktorze Costello? Czy Kościół anglikański złapał pana w swe szpony podczas pańskiego pobytu w Londynie? Czy arcybiskup Canterbury zrobił panu pranie mózgu w jednej ze swoich szkół parafialnych? Wie pan, iż brytyjski premier zagroził zmasowanym atakiem skierowanym przeciwko światu muzułmańskiemu, jeśli my lub nasi sojusznicy zakłócimy angielski program nuklearny. Twierdzi, że ma uśpionych agentów w całej Arabii i Persji. Czy jest pan takim agentem, doktorze Costello?

Nikły drwiący uśmiech pojawił się na ustach Costello, który cicho prychnął.

– Co, uważa pan, że to śmieszny pomysł? – zapytał Mustafa. – Zapewniam pana, iż moi przełożeni nie będą mieli problemu, aby w to uwierzyć... Sam byłbym gotów w to uwierzyć, gdybyśmy mieli teraz rok 1981 i gdyby Izraelczycy dopiero co wysadzili w powietrze reaktor jądrowy w Suffolk. Jednak nie było żadnej nowej prowokacji i pomimo jego pogroźek nie sądzę, aby premier lub ludzie, którzy pociągają za sznurki, naprawdę chcieli rozpoczynać z nami wojnę. Zatem nie, nie sądzę, aby Anglia była odpowiedzią. Mam inną teorię. Uważam, że zatruto pańską duszę znacznie później. Sądzę, że ma to niewiele wspólnego z wiarą czy polityką, a bardziej z kobietą. Proszę mi powiedzieć, że się mylę, doktorze Costello. Proszę mi powiedzieć, że nie chodzi o pańską narzeczoną.

Costello przestał się uśmiechać. Teraz jednak patrzył na Mustafę.

– Jessica Lamar z Teksasu – rzekł Mustafa, świadomy kontaktu wzrokowego. – Pracowała jako fizjoterapeutka w Jafie, kiedy pan odbywał tam staż. Czy tak się poznaliście, w pracy? Mieliście wspólnego pacjenta? Czy może spotkaliście się na nabożeństwie w kaplicy? Ona należała do zjednoczonego Kościoła metodystów, który, jak rozumiem, jest jednym z odłamów anglikańskiego, więc to oznaczałoby, że mogliście wspólnie się modlić, tak? – Costello nie odpowiedział i Mustafa po chwili mówił dalej: – Wiosną 2005 roku złożyliście wniosek o zezwolenie na zawarcie małżeństwa. Do tego czasu został pan przyjęty do pracy w szpitalu w Al-Karchu, więc domyślałam się, że zamierzaliście pobrać się w lecie, a na jesieni przeprowadzić do Bagdadu, aby podjąć tam pracę. Jednak na początku czerwca odebrał pan telefon od policji. Wykonywała wizyty domowe u pacjentów w mieście Gaza. Gaza... nie najmiłsza część Palestyny. Jednak ponieważ panuje tam bieda, wielu mieszkańców wstępuje do wojska w nadziei na ucieczkę do lepszego życia – a teraz, w wyniku wojny, jest wielu rannych weteranów potrzebujących opieki. Zatem pańska narzeczona była na misji miłosierdzia, aby pomóc żołnierzom rannym podczas inwazji na pański

ojczysty kraj... a w nagrodę za to została bezsensownie zastrzelona przez parę drobnych złodziejasków.

Costello zaczął drgać mięsień w policzku.

– Według wydziału policji w Gazie – mówił dalej Mustafa – uzbrojeni bandyci byli członkami gangu ulicznego, który sam siebie nazywa Muzułmańskim Ruchem Oporu. Zna pan dowcip, jaki opowiadają o tym gangu policjanci z Gazy, doktorze Costello? Mówią, że Ruch odnosi spore sukcesy – opiera się muzułmańskiemu przesłaniu pokoju już od ponad trzydziestu lat.

Mustafa położył rękę na teczce sprawy.

– Tutaj jest raport policyjny w sprawie morderstwa pańskiej narzeczonej – rzekł. – Jest zdjęcie. Chciałby je pan zobaczyć? – Costello zamrugał, a jego głowa szarpnęła się do tyłu. – Nie, nie sędzę, żeby pan chciał... Jednak jedno zdjęcie chciałbym panu pokazać.

Gdy Costello przypatrywał mu się czujnie, Mustafa wyciągnął portfel i wyciągnął z niego wytarte, laminowane zdjęcie. Położył je na stole i przesunął do przodu, obserwując przy tym lekarza i oczami duszy widząc matkę ze sklepu Duch Muzyki.

– Nie znam tej kobiety – powiedział Costello.

– Nie, nie zna pan – rzekł Mustafa. – Nazywała się Fadwa Bint Haris. Była moją żoną. Rano tego dnia, gdy runęły wieże, pokłóciliśmy się. To ja nie miałem racji i wiedziałem o tym, więc naturalnie byłem bardzo zły. Kiedy musiałem jechać do pracy, a mój samochód nie chciał zapalić, wziąłem jej wóz. Tego ranka ona też miała spotkanie w centrum, niedaleko miejsca, do którego jechałem, ale zamiast ją podwieźć, zostawiłem ją, żeby pojechała metrem. Pojechała linią numer dwa, jednym z pociągów przejeżdżających pod placem Tygrysu i Eufratu. Może się pan domyślić, jak kończy się ta historia, doktorze Costello. I być może nie pomyślałby pan, że jestem arogancki, gdybym powiedział, że myślę, iż rozumiem, jak się pan czuł, kiedy

tracił swoją Jessicę. Jednak tak naprawdę to zbyt proste. To jedno nas łączy, pana i mnie, ale są też różnice. Pierwszą różnicą – powiedział Mustafa, ponownie kładąc dłoń na teczce – jest to, że nie ma żadnego zdjęcia ciała mojej żony, na które bałbym się spojrzeć. Fadwa jest jedną z zaginionych 9 listopada. Wiem, że ona nie żyje – tak naprawdę powiedziałbym, że wiedziałem o tym, zanim to się zdarzyło – ale nie ma na to żadnego faktycznego dowodu. Nie wiem, jak dużo pan wie o islamskiej tradycji prawnej, doktorze Costello. W przypadku zaginionych osób władze mają bardzo różne opinie co do tego, jak długo trzeba czekać, zanim uzna się je za martwe. Najsurowszy standard, hanafickiej szkoły prawa, utrzymuje, że w przypadku braku konkretnego dowodu trzeba zakładać, że osoba żyje, do czasu, gdy faktycznie musiałaby umrzeć ze starości. W przypadku zniknięcia młodych osób może to oznaczać czekanie sześćdziesiąt lub siedemdziesiąt lat. To bardzo surowy standard, szczególnie dla kobiet, które mogą mieć jednocześnie tylko jednego męża. Tu, w Iraku, przestrzegamy dużo bardziej liberalnego standardu ze szkoły malickiej, który określa okres oczekiwania na zaledwie cztery lata. Jednak jest pewien haczyk: zegar nie zaczyna odliczać tych czterech lat, dopóki nie pójdzie się do sędziego, by zgłosić zaginięcie danej osoby. W przypadku Fadwy nie chciałem iść do sędziego. Wiedziałem, że ona nie żyje, nie wątpiłem w to, ale pod wpływem jakiegoś samolubnego impulsu odkładałem to na później. Ojciec Fadwy był na mnie bardzo zły, kiedy się o tym dowiedział – oskarżył mnie o tchórzostwo. Koniec końców do zrobienia właściwej rzeczy przekonał mnie mój ojciec. Jednak ponieważ zwlekałem tak długo, dopiero całkiem niedawno nadeszło oficjalne stwierdzenie zgonu. To było ciężkie przeżycie; byłem zaskoczony tym, jak ciężkie, nawet po tak długim czasie. Moje zachowanie od tamtej pory jest... nieobliczalne. Mój szef naprawdę się martwi o moje zdrowie psychiczne. A co z panem, doktorze Costello? Czy to, że widział pan ciało narzeczonej, ułatwia to panu czy utrudnia, jak pan myśli? Nie wyobrażam sobie, żeby

ułatwiało. Czy oszalał pan? Uważam, że być może tak. I ponownie mam ochotę powiedzieć, że to rozumiem. Jednak to prowadzi do kolejnej różnicy między nami.

Mustafa gwałtownie otworzył teczkę i wyciągnął nie jedno zdjęcie ofiary, ale kilka. Zaczął rozkładać je na stole, a Costello, który słuchał uważnie, teraz szarpnął się w tył na krześle, jakby Mustafa rzucał w niego rozżarzonymi węglami.

– Proszę się dobrze przyjrzeć, doktorze – rzekł Mustafa.

Costello starał się tego nie robić, ale zanim zdołał odwrócić oczy, jedno ze zdjęć przykuło jego wzrok. Potem wyraz twarzy jego zmienił się, gdy zdał sobie sprawę z tego, że żadna z osób na tych zdjęciach, chociaż wszystkie niewątpliwie przedstawiały ofiary morderstw, nie była jego narzeczoną. Byli to Arabowie, Irakijczycy: dwóch mężczyzn, martwych na przednim siedzeniu podziurawionego kulami samochodu; kolejny mężczyzna, przywiązany do słupa z rękami za plecami i śmiertelnie postrzelony w głowę; kobieta uduszona w sypialni; i najsmutniejsze ze wszystkich, troje małych dzieci, leżących jak lalki na szczątkach wysadzonego w powietrze sklepu.

– Tak, proszę się dobrze przyjrzeć – powtórzył Mustafa. – To na to się pan pisał, gdy dołączył pan do Hoffmanów.

Nie była to, ściśle mówiąc, prawda. Mustafa wziął te zdjęcia z akt otwartej sprawy, przesłanych do Arabskich Służb Bezpieczeństwa Narodowego przez Służby Halal. Chociaż zgodnie z przepisami wprowadzonymi po 9 listopada użycie materiałów wybuchowych automatycznie czyniło sprawę aktem terroryzmu, to z pewnością te zabójstwa były związane z przestępczością zorganizowaną. Zabójcy mogli być równie dobrze Arabami, a ich szef – Mustafa mógł jedynie się domyślać, kim był – muzułmaninem. Jednak cel tych morderstw był taki sam jak tych zaplanowanych przez Hoffmanów: szerzenie terroru. Pod względem moralnym nie było żadnej różnicy.

– Pozwoli pan, że powiem coś o sobie, doktorze Costello – powiedział Mustafa. – Nie jestem pacyfistą. Nie są mi obce myśli o zemście. Gdyby ludzi, którzy porwali samoloty 9 listopada, pojmano i postawiono przede mną, nie okazałbym im litości. Podobnie jak ludziom, którzy wysłali ich z tą misją. Jednak tego – machnął ręką w stronę zdjęć – tego masowego mordowania niewinnych nie mogę pojąć. Nawet w najstraszniejszych wyobrażeniach nie mam ochoty na takie okrucieństwo. Patrzę na tę kobietę i mogę jedynie myśleć o ostatnich chwilach Fadwy. Jeśli Bóg pozwolił, nie cierpiała długo, ale proszę wyobrazić sobie tę chwilę bólu i strachu, a potem pomyśleć o powodowaniu takiego samego bólu i strachu u jakiejś innej niewinnej kobiety... Nie. Nie, nie mogę tego pojąć. A te dzieci, małe dzieci, które na pewno nie zrobiły niczego, niczego, żeby na to zasłużyć... Nie rozumiem tego. Czy może mi pan to wytłumaczyć, doktorze Costello? Czy to jest chrześcijaństwo? Nie jestem ekspertem w sprawie waszego Nowego Testamentu, ale przeczytałem jego fragmenty. Prorok Jezus, pokój z nim, powiedział, że są dwa najważniejsze przykazania: kochać Boga całym swoim sercem i duszą oraz kochać bliźniego jak siebie samego. To prawdziwe słowa, doktorze Costello, słowa, z którymi na pewno zgodziłby się każdy muzułmanin, gdyż wierzymy w to samo. Jednak nawet taki kiepski muzułmanin jak ja miałby problem, patrząc na to, jak pan przeszedł od tych słów do tego. Czy może mi pan to wytłumaczyć? Proszę pomyśleć o pańskiej Jessice w jej ostatnich chwilach. Gdyby była tu teraz i wiedziała, jakiego typu działania pan rozważa, co by powiedziała?

Wargi Costello poruszyły się w cichym szepcie.

– Co pan powiedział, doktorze Costello? Nie za bardzo pana słyszałem.

– Powiedziałem, że mi przykro.

– Chciałbym w to uwierzyć – rzekł Mustafa. – Pomógłby mi pan w to uwierzyć, gdyby opowiedział mi pan o swoich interesach z Hoffmanami. Co

planowaliście. Kto jeszcze był w to zamieszany. Cokolwiek, co może pan powiedzieć i co może zapobiec śmierci kolejnych niewinnych ludzi.

Costello jednak potrząsnął głową.

– To nie ma znaczenia.

– Przeciwnie, doktorze Costello, to ma bardzo duże znaczenie. Na pewno ma to znaczenie dla tych, którzy mogą umrzeć. Ma to znaczenie dla ich rodzin. Ma to znaczenie dla mnie. I jako dla istoty ludzkiej i dziecka Boga powinno mieć to znaczenie dla pana. Nie będę pana okłamywał. Nawet jeśli będzie pan w pełni współpracować, czeka pana długi pobyt w więzieniu. Ze względów bezpieczeństwa będzie pan trzymany w izolatce, co oznacza lata spędzone w małym pokoju jedynie w towarzystwie własnego sumienia. Może teraz pan o tym nie myśleć, ale po jakimś czasie, po długim czasie, poczucie winy i żal mogą zjeść pana żywcem. A jeśli tak się nie stanie? Nadal będzie pan musiał odpowiedzieć przed Bogiem w Dniu Sądu Ostatecznego. Zatem namawiam pana, dla pana własnego dobra, aby się pan tym przejmował. Proszę się przejmować teraz, gdy może pan jeszcze zrobić coś dobrego.

Niezła przemowa, pomyślał Mustafa, ale zanim jeszcze skończył, wiedział, że daremna. Nieokreślony krótkotrwały kontakt, który zdołał nawiązać z Costello, został już zerwany. Lekarz zamknął się w sobie, czy raczej zlekceważył jego słowa – a kiedy znów się odezwał, zdawał się mówić z innego i bardzo odległego miejsca.

– To nie ma znaczenia – rzekł Costello – ponieważ nic z tego nie jest rzeczywiste.

– Co nie jest rzeczywiste, doktorze Costello?

– Ten świat.

– Świat nie jest rzeczywisty?

– Ten świat. – Costello spróbował rozłożyć ręce we wszechobejmującym geście, ale ograniczony kajdankami musiał zadowolić się machnięciem dłoni.

– Ten kraj.

– Nie nadążam za panem, doktorze Costello.

– „Zjednoczone Państwa Arabskie”. One nie są rzeczywiste.

– Mówi pan, że nie uznaje istnienia władzy rządu Zjednoczonych Państw Arabskich?

– Nie, mówię, że one nie istnieją. To miraż. Nie istnieje żadne arabskie supermocarstwo, żaden związek arabskich państw. W rzeczywistym świecie jesteście po prostu grupą zacofanych krajów trzeciego świata, którymi nikt by się nie przejmował, gdyby nie ropa...

– Doktorze Costello, co pan próbuje...

– To jest miraż! To wszystko. Ten kraj. Ten świat. Wszystko, co panu się wydaje, że wie, czym jest, to tylko iluzja. Sen. – Przerwał, przez chwilę powstrzymany przez pełen niedowierzania wyraz twarzy Mustafy, ale potem ciągnął dalej: – Ameryka. Ameryka jest prawdziwym supermocarstwem.

– Ameryka – rzekł Mustafa. – Coś podobnego.

– Nie oczekuję, że mi pan uwierzy...

– To dobrze, doktorze Costello, ponieważ nie wierzę. Nie wiem, jaki rodzaj gry pan tutaj prowadzi, ale jeśli chce pan porozmawiać o tym, co jest rzeczywiste, to powiem panu. Moi przełożeni – ludzie odpowiadający za decyzję o pańskim losie – naprawdę nie mają poczucia humoru, jeśli chodzi o terrorizm. Więc jeśli ma pan jakiś niewydarzony pomysł powołania się na chorobę umysłową...

– Nie jestem szalony – powiedział Costello. – I na nic się nie powołuję. Przyjmuję swój los. Pozostanę uwięziony w mirażu tak długo, jak Bóg uzna za stosowne go utrzymywać.

– Ten miraż, o którym pan mówi, to sprawka Boga?

Costello skinął głową.

– „Ostatni będą pierwszymi, a pierwsi ostatnimi...” Bóg odwrócił świat do góry nogami.

– A dlaczego miałyby to zrobić?

– Aby nas ukarać.

– Amerykanów?

– Tak.

– Za jaki grzech?

– Dumę – odparł Costello. – Niechęć do poddania się Jego woli. Odwróciliśmy się od Niego, więc On odwrócił się od nas. Zesłał miraż i dał wam kontrolę.

– Arabowie są narzędziami gniewu Boga?

– Coś w tym rodzaju.

– A te zbiry z Gazy, które zabiły pańską narzeczoną. Oni również pracują dla Boga?

Costello milczał.

– I jeśli pan w to wierzy – naciskał Mustafa – czemu walczy pan przeciwko nam? Jaki ma sens terroryzowanie pośredników Boga?

– Nie chodzi o was – odpowiedział Costello. – Chodzi o nas. O demonstrację naszej wiary.

– Poprzez morderstwo?

– Powiedziałem panu, że mi przykro.

– Doktorze Costello...

– Przykro mi z powodu pańskiej żony. Przykro mi, że pan cierpi. Mówię poważnie... Jednak to nie ma znaczenia. I tak by pan cierpiał. Pańskie cierpienie jest częścią mirażu. To po prostu pana los.

– Mój los.

– Wy wszyscy – rzekł Costello. – Jesteście przegranymi. To nie w porządku, ale tak już jest: plan Boga przewiduje zwycięzców i przegranych, a wy jesteście przegranymi. Wy jesteście przegranymi. To jest rzeczywistość... I zabijemy tyłu z was, ilu musimy, aby tam wrócić.

Słuchając tego, Mustafa znowu miał świadomość ruchu ziemi pod stopami. Poczł mrowienie w dłoniach, gdy wbił paznokcie w dłonie i wyobraził sobie

rzeczywistość, całkiem bliską, w której pochyła się przez stół i zaczyna tłuc Costello pięściami.

Dobrze, że Abd Allah wybrał właśnie ten moment, aby zapukać w lustro.

– On nie kłamie – rzekł Abd Allah.

– Chcesz powiedzieć, że życie naprawdę jest tylko snem? – zapytał Samir. – Czy mogę być bogaty, kiedy się obudzę?

– Oczywiście ta historia to nonsens. Jednak według maszyny on wierzy w to, co mówi.

– Wyciągnąłeś mnie stamtąd, aby mi powiedzieć, że ten mężczyzna jest szalony? – zapytał Mustafa, nadal kipiąc z gniewu. – Już o tym wiedziałem, dzięki.

– To nie ja – odparł Abd Allah. Wskazał kciukiem Amal.

– Właśnie dzwoniła Umm Dabir z biura Faruka – wyjaśniła Amal. – Powiedziała, że Faruk rozmawia przez telefon z Rijadem. Powiedziała, że prosiłeś ją, aby dała ci znać następnym razem, gdy zdarzy się to podczas przesłuchania.

– Rijad teraz dzwoni? W sprawie tego faceta?

– Umm Dabir nie powiedziała, jakiej sprawy dotyczy rozmowa. Jednak jeśli na to czekałeś, to tak przypuszczam.

Przez ostatnie dwa lata przesłuchania podejrzanych o terroryzm, prowadzone przez Mustafę, siedem razy przerywał oficjalny telefon z Rijadu, nakazujący natychmiastowe odesłanie aresztowanego do celi; w każdym przypadku wkrótce po tym przybywali starsi agenci Arabskich Służb Bezpieczeństwa Narodowego, aby przetransportować więźnia w „specjalne miejsce”. Przez długi czas nie zastanawiał się nad tym.

Potem, jakiś miesiąc temu, próbował sprawdzić, jakie były dalsze losy jednego z tych specjalnych więźniów – francuskiego przemytnika o nazwisku

René Arceneau – i odkrył, że akta dotyczące jego aresztowania znikły. Jego nazwisko zostało usunięte z bazy komputerowej, nie tylko z baz Arabskich Służb Bezpieczeństwa Narodowego, ale ze wszystkich. Policja Imigracyjna i Celna, Biuro, oddział maghrebski Służb Halal, a nawet algierski Wydział Pojazdów Mechanicznych, wszyscy zamieszani w schwytywanie Arceneau, twierdzili teraz, że nie mają na jego temat żadnych danych.

To było niespotykane. Nawet w sprawach nadzwyczajnego przejęcia, gdzie więźniowie byli wywożeni z kraju na przesłuchania w takiej „próżni praw człowieka” jak Teksas, rząd arabski nie zaprzeczał, że więźniowie znajdują się w areszcie, kłamał jedynie na temat tego, co im zrobiono. Mustafa zastanawiał się, co mogło być na tyle złe, aby sprawić, że państwo zniszczyło dowody istnienia więźnia.

Zastanawiał się również, czemu tak bardzo się tym przejmuję. Nie było tak, że nie wiedział, iż „specjalne miejsce” to eufemistyczne określenie ośrodka tortur. A kiedy już raz zgodzisz się na to, aby człowieka odurzano, głodzono, bito, wieszano za nadgarstki, przypalano, zamrażano, duszono, topiono, porażano prądem i pozbawiano bodźców czuciowych, dopóki się nie załamie, czemu miałaby cię martwić myśl, że mógł również zostać zamordowany i znikł?

Może chodziło o czas, kiedy się to zdarzyło. Dzień, w którym Mustafa dowiedział się, że René Arceneau wyparował, był tym samym dniem, w którym otrzymał akt zgonu Fadwy.

Przymykamy oczy na grzech, ale Bóg widzi wszystko.

Później Mustafa spróbował dowiedzieć się czegoś więcej o losie Arceneau, ale zdobył jedynie jedną dodatkową informację: rozkaz przeniesienia go pod specjalny dozór przyszedł nie z centrali Arabskich Służb Bezpieczeństwa Narodowego, ale z Kongresu, z biura szefa senackiej komisji do spraw wywiadu. Mustafa dowiedział się tego od Faruka, który ostrzegł go, by przestał szarpać klamki drzwi, których nie powinien otwierać.

To, że nie posłuchał tego ostrzeżenia, dowiodło, poza wszelkimi wątpliwościami, że Faruk miał rację, martwiąc się o jego zdrowie psychiczne. Kto jest bardziej niebezpiecznym przeciwnikiem: zamachowiec samobójca czy senator? Oczywiście ten ostatni: zamachowiec samobójca może zniszczyć cię w tylko jeden sposób.

– Mustafa? – zapytała Amal. – Co się dzieje?

– To bardzo dobre pytanie – odpowiedział Mustafa. – Kto zajmuje się przeszukaniem mieszkania Costello?

– Sajjid i Abu Nadzi.

– Dlaczego nie pojedziecie tam z Samirem, żeby im pomóc?

– Sądzisz, że to dobry pomysł? – zapytał Samir.

– Proszę, po prostu to zróbcie. – Mustafa wyciągnął rękę. – Czy mogę pożyczyć twój telefon komórkowy, kiedy pojedziesz?

– Mój telefon komórkowy... – Samir westchnął i sięgnął do kieszeni. – A co z telefonem komórkowym Amal?

Amal, która nadal nie wiedziała, co się tu dzieje, ale była na tyle bystra, aby się domyślić na podstawie kilku szczegółów, powiedziała:

– Bateria w moim telefonie jest bliska rozładowania. Może będę musiała go wyłączyć, aby oszczędzić energię... Co zamierzasz zrobić, Mustafa?

– Rozmawiać dalej z doktorem Costello. Dopóki jeszcze u nas jest.

Mustafa patrzył przez szybę na mężczyznę w pokoju przesłuchań. Ludzie sprawujący władzę boją się czegoś, co ciebie dotyczy, pomyślał. To nie może być ta zwariowana opowieść, zatem co? Jaką tajemnicę ukrywasz? O czym zdaniem Osamy bin Ladena nie powinienem się dowiedzieć?

BIBLIOTEKA ALEKSANDRYJSKA

ŹRÓDŁO INFORMACJI EDYTOWANE PRZEZ UŻYTKOWNIKA

Osama bin Laden

Osama Ibn Muhammad Ibn Awad bin Laden (urodzony 10 marca 1957 roku), muzułmanin sunnita, jest senatorem państwa Arabii. Jest członkiem Narodowej Partii Boga. Od 2001 roku jest przewodniczącym Senackiej Komisji do spraw Wywiadu.

WCZESNE LATA ŻYCIA

Osama bin Laden jest jednym z 25 synów Muhammada bin Ladena, którego Przedsiębiorstwo Budowlane Bin Laden (teraz będące częścią Grupy Kapitałowej Saud/Bin Laden) jest odpowiedzialne za takie projekty, jak rozbudowa Świętego Meczetu w Mekce i Meczetu Proroka w Medynie oraz renowacja Kopuły na Skale w Jerozolimie.

Osama urodził się na przedmieściach dystryktu federalnego Rijad i dorastał w Dżuddzie w Arabii. Uczęszczał do elitarnej Szkoły As-Saghr w Dżuddzie i studiował ekonomię oraz zarządzanie na Uniwersytecie Dżuddyjskim.

ŚWIĘTY WOJOWNIK I MAŻ STANU

W 1980 roku niezadowolony z „chłodnej” reakcji arabskiego rządu na inwazję Rosji prawosławnej na Afganistan Osama porzucił szkołę i udał się do Peszawaru w Pakistanie. Tam wraz z Abd Allahem Azzamem założył Afgańskie Biuro Usługowe, organizację, która pomagała przekazywać pieniądze, broń i rekrutów do afgańskiego ruchu oporu. Pragnąc bardziej bezpośredniej roli w konflikcie,

Osama koniec końców założył obóz na terenie Afganistanu i został przywódcą swojego własnego oddziału mudżahedinów.

Po klęsce Rosjan i rozpadzie Związku Prawosławnego Osama powrócił do Arabii jako bohater. W 1990 roku wystartował w wyborach do Kongresu, które bez trudu wygrał jako reprezentant Dżuddy w Izbie. Zasiadał w niej przez dwie i pół kadencji, a potem w 1995 roku zdobył miejsce w Senacie w wyborach uzupełniających, które odbyły się po przedwczesnej śmierci sprawującej urząd Wafy Al Saud.

FAKTY NA TEMAT OSAMY BIN LADENA

- Mając prawie dwa metry wzrostu, jest najwyższym człowiekiem, jaki kiedykolwiek był członkiem Kongresu.
- Ożenił się pięciokrotnie, rozwiódł jeden raz.
- Jego osobisty majątek jest szacowany na 50 milionów riali.
- Niezmiernie religijny człowiek, nie słucha muzyki, nie chodzi do kina ani nie ogląda żadnych telewizyjnych programów oprócz wiadomości.
- Jego relacje zarówno z Partią Boga, jak i Saudami określa się jako „skomplikowane”. Chodzą słuchy, iż przed powrotem z Afganistanu Osama początkowo planował ubiegać się o urząd jako niezależny kandydat i dopiero po licznych spotkaniach z partyjnymi urzędnikami wysokiego szczebla zgodził się wstąpić do Partii Boga.
- Był od początku gorącym zwolennikiem wojny z terroryzmem i inwazji na Amerykę. Jest jednym z bardzo niewielu zwolenników inwazji, którzy na skutek tego nie ucierpieli politycznie.
- Często jest wymieniany jako potencjalny kandydat na prezydenta; wielu ekspertów było zaskoczonych, gdy w 2008 roku postanowił nie ubiegać się o nominację z ramienia Partii Boga. Na pytanie, czy będzie startować w wyborach na prezydenta w 2012 roku, odparł, że mógłby to zrobić, „gdyby nadal istniał urząd prezydenta”. Poproszony o wyjaśnienie, co oznacza jego wypowiedź, stwierdził: „W każdej chwili może nadejść Dzień Sądu Ostatecznego”.

Mieszkanie Costello

Mieszkanie Costello znajdowało się w jednej z czterech identycznych wież otaczających zakurzoną ślepą uliczkę. Było po dziesiątej wieczorem, gdy Samir i Amal przybyli na miejsce, ale mimo to na zewnątrz grupa chłopców grała w piłkę nożną. Para samochodów policyjnych była zaparkowana przed budynkiem Costello, a o bagażnik jednego z nich opierał się policjant, paląc papierosa i oglądając grę.

Samir zatrzymał się obok samochodów policyjnych. Oboje wysiedli i pokazali swoje legitymacje.

– Czy w środku są nasi koledzy?

– Nie – odpowiedział policjant. – Wynieśli się dwadzieścia minut temu. Powiedzieli, że skończyli. – Jego ton był oskarżycielski, jakby Samir i Amal złamali obietnicę, zjawiając się w taki sposób.

– Więc co tu jeszcze robicie? – chciał wiedzieć Samir.

– Zabezpieczamy teren.

Amal, dobrze znająca zwyczaje wydziału policji w Bagdadzie, zachichotała na te słowa.

– Musimy dostać się do mieszkania – rzekł Samir. – Chcesz nas sam zaprowadzić na górę, czy też powinniśmy po prostu zadzwonić po dozorcę?

– Chwileczkę – powiedział policjant.

Odsunął się, mówiąc coś szybko i cicho do krótkofalówki. Kilka minut później w holu budynku pojawił się drugi policjant i otworzył im drzwi.

Przed mieszkaniem Costello czekali dwaj kolejni policjanci. Na drzwiach mieszkania zostały przyklejone informacje ostrzegawcze, a pomiędzy drzwiami a futryną umieszczono czerwoną pieczęć Służb Bezpieczeństwa Narodowego. Pieczęć była złamana.

– Zabezpieczacie teren – powiedział Samir.

Pierwszy policjant, ten, który wjechał razem z nimi windą, tylko wzruszył ramionami.

– Powiedzieli, że skończyli.

– Tak, a teraz wy też skończyliście. Otwórzcie dla nas te drzwi i wynoście się stąd.

Przez salon Costello przeszła trąba powietrzna, wrywając poduszki siedzeń i zrzucając przedmioty z półek. Sztuczna palma daktylowa została wyrwana z korzeniami ze swojej doniczki i leżała teraz na podłodze, udając, że nie żyje. Drewniana komódka mieściła kilka pudełek na DVD – wszystkie otwarte, a płyty rzucone na bok – ale nie było żadnego odtwarzacza, na którym można by je puścić. Do ściany nad skrzynką była przymocowana para wzmocnionych uchwytów, które do niedawna podtrzymywały płaskoekranowy telewizor.

– Jak myślisz? – zapytała Amal, oceniając rozmiar i rozstawienie uchwytów. – Ekran szeroki na półtora metra?

Samir przytaknął.

– Prawdopodobnie jeden z tych najnowszych plazmowych.

Amal spojrzała na długi blat aneksu kuchennego. Również tutaj dotarła trąba powietrzna, otwierając szafki i wyrzucając z nich puszki oraz pudełka. – Przypuszczam, że mikrofalówki nie było warto kraść... Zatem czego szukamy?

– Nie wiem – odparł Samir. – Ale jeśli znajdziemy drugą plazmę, to jest moja.

Na ścianie jedynej sypialni wisiał drewniany krzyż. Samir sprawdził szafę, znalazł w niej jedynie kilka koszul i znoszony garnitur. Amal zerknęła pod łóżko, a potem obróciła się do komody – jej zawartość była już rozgrzebana, ale wyciągnęła każdą szufladę po kolei, sprawdzając, czy niczego do nich nie przyklejono z tyłu ani pod spodem.

Samir podszedł do okna. Na parapecie i na podłodze pod nim leżało kilka książek w miękkich okładkach. Książki były po angielsku i niemiecku, Samir nie potrafił czytać w żadnym z tych języków, ale rozpoznał niektóre okładki. Oprócz Biblii i jakiegoś katechizmu było tam kilka tomów z serii *Dzień zagłady* i nowe wydanie polemiki Marcina Lutra z szesnastego wieku, *O Żydach i ich kłamstwach*.

– Tutaj nic – powiedziała Amal. – Co masz?

– Typową chrześcijańską literaturę nienawiści. Żadnych tajnych planów ukrytych między kartkami.

Potem sprawdzili łazienkę. Gdy Amal pociągnęła za lustro nad umywalką, Samir zbadał spłuczkę, potocznie nazywaną przez Halal „bawarską chłodziarką”, z powodu popularnego wykorzystania jej jako miejsca ukrycia butelkowanego piwa. Jednak pokrywka zbiornika na wodę była przekrzywiona i jeśli był tam wcześniej jakiś towar z przemytu, to został już zabrany przez policjantów lub federalnych agentów, którzy byli tu przed nimi.

– Hej – powiedziała Amal. – Potrzebuję tu kogoś wysokiego.

Blisko górnej części ramy lustra ukryta była para przesuwanych haczyków; gdy Samir je nacisnął, lustro przechyliło się do przodu i obluźowało się, odsłaniając dziurę w ścianie. W środku znajdował się pistolet, obwiązany plik riali, butelka whisky oraz pomięta gazeta w plastikowej torebce.

– Jedna z tych rzeczy nie pasuje do pozostałych – rzekł Samir.

Otworzyli gazetę. Ozdobny krój pisma na górze pierwszej strony był nieczytelny dla Samira, ale Amal, której wyniesiona z liceum znajomość francuskiego pozwoliła rozróżniać litery alfabetu łacińskiego, była w stanie wywnioskować, że jest to, albo przynajmniej ma być, amerykańska publikacja:

– „New York... Times” – przeczytała.

Całostronicowa fotografia miała upiornie znajomy wygląd: bliźniacze drapacze chmur, jeden częściowo przysłonięty przez czarny dym wydzierający się z jego boku, drugi spowity powiększającym się kłębem płomieni. Jednak to nie były wieże Tygrys i Eufrat, a konstrukcja mostu z kamiennymi nabrzeżami na pierwszym planie nie przypominała żadnego z mostów w Bagdadzie.

– Coś z wojny? – rozważała niepewnie Amal.

– Skłaniam się ku Photoshopowi – odrzekł Samir. – Nie sądzę, aby w Ameryce były takie wysokie budynki. Poza tym to wygląda jak podróbka. Czy możesz odczytać nagłówek?

– „Atak na Stany Zjednoczone... niszczy wieże”, a potem coś o jakimś pentagonie. Ostatnie słowo to „terror”.

– Czekaj. – Samir stuknął palcem w nagłówek artykułu, podający datę jego powstania. – Jaki to miesiąc?

– Wrzesień. 12 września 2001 roku.

Samir roześmiał się.

– 12 września... Zatem dzień wcześniej był 11 września... 11 września, rozumiesz? Te wieże znajdują się w magicznym amerykańskim supermocarstwie. A ci faceci uderzający w nie samolotami to muszą być ci biedni przegrani Arabowie z krajów trzeciego świata...

Przy wejściu do mieszkania rozległ się głośny trzask. Usłyszeli kroki w salonie.

– Może za wcześnie powiedziałam o mikrofalówce – rzekła Amal.

Marszcząc brwi, Samir wychylił głowę przez drzwi łazienki.

– Hej! – krzyknął. – Kto tam?

Żadnej odpowiedzi, tylko nagła cisza. Samir, bardziej rozdrażniony niż zaniepokojony, przeszedł przez sypialnię, mówiąc:

– Tu Służby Bezpieczeństwa Narodowego! Kimkolwiek jesteście, jeśli nie macie federalnej odznaki, lepiej zaczniecie uciekać...

Kiedy Samir wszedł do salonu, został zaatakowany z boku, uderzony pięścią w głowę i obrócony twarzą do ściany. Próbował uderzyć za siebie łokciem, ale mocny cios w nerki powalił go na kolana. Poczł wylot lufy przyciśnięty do karku.

Drugi napastnik rzucił się do łazienki, aby schwytać Amal. Samir usłyszał jej krzyk, a potem stuk jej pistoletu padającego na podłogę. Kątem oka obserwował, jak przywleczono ją za włosy do salonu i popchnięto na podłogę; napastnik przygniótł ją kolanami do podłogi i wycelował pistolet maszynowy w podstawę jej czaszki, każąc jej leżeć nieruchomo. Jedyną dobrą wiadomością w tym wszystkim było to, że uzbrojony bandyta był Arabem, co oznaczało, iż prawdopodobnie nie był terrorystą.

Głos zapytał:

– Kim jesteście?

– Mówiłem wam, jesteśmy ze Służb Bezpieczeństwa Narodowego – odparł Samir i syknął, gdy lufa mocniej wbiła mu się w kark. – Służby Bezpieczeństwa Narodowego, cholera! W portfelu mam legitymację.

Tamten już wepchnął rękę pod jego marynarkę. Najpierw wyjął pistolet, a potem legitymację.

– Służby Bezpieczeństwa Narodowego otrzymały rozkaz wycofania się z tego miejsca. Co tu nadal robicie?

– Nie dostaliśmy takiego rozkazu.

– Kłamiesz. – Przerwa, podczas której mówiący przyglądał się legitymacji Samira. – Samir Nadim... Skąd znam to nazwisko?

– O Boże – rzekł Samir. Ten głos... – Idris?

Został postawiony na nogi, obrócony i pchnięty z powrotem na ścianę. Jego przeciwnik, podobnie jak ten, który napadł Amal, był uzbrojony w pistolet maszynowy, ale Samir ledwo rzucił okiem na broń, zanim skupił uwagę na trzecim mężczyźnie, wysokiej brodatej postaci stojącej z tyłu i odrobinę na lewo od uzbrojonego bandyty.

– Idris – powiedział Samir, bynajmniej nie uszczęśliwiony. – To ty.

– Grubasek Samir – rzekł Idris. – Jak widzę, już nie taki gruby. Nadal jednak uparcie pchasz się tam, gdzie cię nie proszą.

Samir zjeżył się.

– Mamy wszelkie prawo tu być. Prowadzimy dochodzenie...

– Dochodzenie przydzielono komuś innemu, jak dobrze wiesz. Wtargnęliście tutaj. – Idris pochylił się, aby podnieść kopię „New York Timesa”, którą Samir upuścił podczas krótkiej szamotaniny. – Skąd to macie?

– Znaleźliśmy to w łazience. Costello miał...

– Kto jeszcze to widział?

– Nikt – odparł Samir. – My dopiero...

– Powiem wam, co myślę – przerwał mu Idris. – Uważam, że nie jesteś ze Służb Bezpieczeństwa Narodowego. Uważam, że jesteś pospolitym złodziejem, jednym z szyickiej hołoty, która atakuje slumsy w tym mieście. Uważam, że usłyszałeś, że to mieszkanie jest wolne, i włamałeś się, aby zobaczyć, co można ukraść.

– W porządku... Niech będzie. Aresztuj mnie.

– Nie. Nie sądzę.

– A co zrobisz?... Czekał. – Jego oczy rozszerzyły się. – Idris. Nie możesz mówić powa...

– Zastrzelcie ich oboje – powiedział Idris.

– Poczekaj chwilę! – krzyknął Samir. – Idris, nie możesz... Wiesz, kim jest ta kobieta? To córka Anmar al-Majsani! Czy masz pojęcie, w jakie kłopoty...

– Córka Anmar al-Majsani. A ty czyją jesteś córką, co?

– To bardzo niegrzeczne tak mówić – przemówił nowy głos. – Czy teraz tak wyglądają dobre maniery w stolicy?

– Faruk! – powiedział Samir. – Mustafa! Dzięki Bogu!

– Wszystko w porządku, Samir – rzekł Mustafa. – Uspokój się.

– Tak, uspokój się – powiedział Faruk. – Potem przedyskutujemy twoje zlekceważenie protokołu.

– Faruk. – Idris z trudem ukrył swoje rozdrażnienie, zanim zwrócił się do niego twarzą. – Wydaje mi się, że zaszło tu nieporozumienie.

– Istotnie – odparł Faruk. Ruchem głowy wskazał przyciśniętą do podłogi Amal. – Proszę, powiedz swojemu sługusowi, aby puścił moją agentkę.

– Oczywiście. Abu Asimie, puść ją. – Uwolniona Amal wstała powoli, pocierając kark. – Co tu robisz, Faruk?

– Miałem telefon z Rijadu.

– Tak, ja...

– Nie, przepraszam – poprawił sam siebie Faruk. – Miałem dwa telefony z Rijadu. Ten drugi telefon sprowadził mnie tutaj. Mamy zmianę planu.

– Senator bin Laden nic mi nie powiedział o żadnej zmianie planu.

– Obawiam się, że życzenia senatora bin Ladena nie są już istotne. Prezydent poprosił mnie, abym przejął kontrolę nad dochodzeniem.

– Prezydent?

– Naczelnny dowódca – powiedział Faruk. – Z pewnością o nim słyszałeś?

– Czemu prezydent miałby...

– To sprowadza nas z powrotem do tematu zlekceważenia protokołu i, dziwnym trafem, do senatora bin Ladena. – Postępując do przodu, aby wyrwać „New York Timesa” z ręki Idrisa, kontynuował: – Przedyskutujmy to w moim biurze, dobrze?

BIBLIOTEKA ALEKSANDRYJSKA

ŹRÓDŁO INFORMACJI EDYTOWANE PRZEZ UŻYTKOWNIKA

Al-Kaida

Al-Kaida jest rzekomą tajną agencją rządu arabskiego, specjalizującą się podobno w działaniach antyterrorystycznych. Chociaż istnienie Al-Kaidy nigdy nie zostało oficjalnie potwierdzone, stanowi ona popularny temat internetowych plotek i spekulacji, szczególnie wśród zwolenników teorii spiskowych.

TWIERDZENIA DOTYCZĄCE AL-KAIDY

- Rzekomą misją Al-Kaidy jest ściganie i niszczenie „najgorszych wrogów Boga i państwa”. Mówi się, że organizacja ta działa poza granicami prawa cywilnego i odpowiada jedynie przed garstką urzędników rządowych.
- Twierdzi się, że została założona przez weteranów wojny w Afganistanie i że udział w tej lub innej świętej wojnie jest wstępnym warunkiem do członkostwa w Al-Kaidzie. Kolejnym powszechnym twierdzeniem jest to, że członkowie muszą być pobożnymi muzułmanami sunnitami.
- Większość relacji utrzymuje, że Al-Kaida została stworzona jako bezpośrednia odpowiedź na ataki z 9 listopada, ale niektóre sugerują, iż jej powstanie poprzedza wojnę z terroryzmem.
- Do osób publicznych, których nazwiska są wiązane z Al-Kaidą, należą senator Osama bin Laden (Partia Boga-Arabia), jego szef sztabu Ajman az-Zawahiri oraz były szef kampanii Abu Jusuf Idris Abd al-Kahhar.
- Pewna popularna plotka o Al-Kaidzie głosi, że istnienie tej grupy zostało po raz pierwszy odkryte przez reportera „Kuriera Bagdadzkiego”, który wkrótce

po tym zmarł w podejrzanych okolicznościach. Wydawca „Kuriera”, Tarik Aziz, zaprzeczył tej pogłosce, żartując: „Nikt w mojej gazecie nie zostaje zabity, chyba że na moje polecenie”.

AL-KAIDA W KULTURZE POPULARNEJ

- W drugim sezonie serialu 24 godziny: Dżihad zostało ujawnione, że superagent Dżafar Baszir jest byłym członkiem Al-Kaidy wydalonym za „nadgorliwość” w ściganiu terrorystów.

On jest fanatycznym wahhabitą

On jest fanatycznym wahhabitą – rzekł Samir.

– Jego rodzina to unitarianie – sprzeciwił się Mustafa. – Zawsze uważałem Idrisa za wyznawcę kultu Idrisa.

– Ale kim on jest? – zapytała Amal.

Stali na dachu centrali Arabskich Służb Bezpieczeństwa Narodowego, obserwując księżyc wznoszący się nad Tygrysem. W środku znajdowali się Faruk i Idris, którzy już drugą godzinę uczestniczyli w konferencji telefonicznej z władzami w Rijadzie. Mustafa i pozostali przyszli na górę, aby uciec od krzyków.

– Moim szkolnym kolegą – powiedział Mustafa. – Idris był uczniem ostatniej klasy w akademii dla chłopców, gdzie poznaliśmy się z Samirem. Cieszył się popularnością, ale był również łobuzem. Niektórzy studenci nazywali go za plecami „Iblis”.

– Szatan? – Amal zerknęła na Samira, który skrzywił się na wspomnienie jakiegoś upokorzenia.

– Rzucił szkołę miesiąc przed jej ukończeniem, aby pojechać walczyć do Afganistanu...

– Gdzie zginąłby, gdyby na świecie istniała sprawiedliwość – wtrącił Samir.

– ...i potem przez lata nic o nim nie słyszeliśmy. Aż pewnego dnia pojawił się na Al-Dżazirze jako rzecznik kampanii bin Ladena. Do tego czasu miał już rodzinę i stał się „Abu Jusufem”, ale to był ten sam stary Idris.

- Strateg polityczny Partii Boga? – zapytała Amal. – Ten Abu Jusuf?
- Zatem słyszałaś o nim. Och, oczywiście...
- Kiedy moja matka startowała w wyborach do Senatu, Abu Jusuf Abd al-Kahhar kierował kampanią oszczerstw prowadzoną przeciwko niej przez Partię Boga.
- Sterowane telefony o „dziwce z Bagdadu” – przytaknął Mustafa. – Pamiętam oburzenie, jakie to wywołało. Czy jeden z twoich braci nie groził, że zabije tego, kto jest za to odpowiedzialny?
- Nie tylko jeden z moich braci... Więc to ten sam facet? I kim on teraz jest, facetem od brudnej roboty pracującym dla bin Ladena?
- Obecne stanowisko Abu Jusufa jest kwestią domysłów. Oficjalnie dołączył do Służb Bezpieczeństwa Narodowego jako „specjalny łącznik” z Senacką Komisją do spraw Wywiadu. Nieoficjalnie... Przypuszczam, że słyszałaś opowieści o utworzeniu przez bin Ladena prywatnego antyterrorystycznego oddziału?
- Al-Kaida? Słyszałam o niej. To miejska legenda.
- Bez wątplenia – rzekł Mustafa. – Jednak gdyby Al-Kaida istniała, a bin Laden potrzebowałby kogoś do kierowania codziennymi operacjami, gdy on jest zajęty z Kongresie, Abu Jusuf jest typem człowieka, jakiego bin Laden by do tego wybrał.
- To po prostu wspaniale! – powiedział Samir. – On pełni obowiązki szefa Al-Kaidy, a my doprowadziliśmy do tego, że się na nas wkurzył. Na mnie.

Pół godziny później zostali wezwani z powrotem na dół. Gdy weszli gęsiego do biura Faruka, Idris popatrzył na nich chłodno i zmierzył wzrokiem Samira, aż ten zaczął się wiercić.

- Teraz, gdy wątpliwości dotyczące kompetencji zostały rozstrzygnięte – rzekł Faruk – przejdźmy do rzeczy. Abu Jusuf, rozumiem, że znasz już

Mustafę i Samira. Spotkałeś też Amal, chociaż zdaje mi się, że nie było oficjalnego przedstawienia...

– Wiem, kim ona jest – powiedział Idris. – Czy jesteś pewny, że prezydent chciałby wciągnąć w tę sprawę kobietę?

– Amal jest świetną agentką.

– Tak, jestem pewny, że zatrudniłeś córkę Anmar al-Majsani dzięki jej świetnym umiejętnościom.

– Bez wątplenia senator bin Laden darzy podobnym uznaniem umiejętności Abu Jusufa – odparła Amal.

– Jeśli mogę, panowie – odezwał się Mustafa, zanim zdołała wybuchnąć kolejna seria krzyków. – O co chodzi?

– Chodzi o miraż – odparł Faruk. – Wcześniej dzisiejszego dnia więzień Costello opowiedział ci dość niewiarygodną historię. Nie wiesz jednak, że ta historia nie jest bezprecedensowa. Inne przesłuchiwane osoby opowiedziały tę samą legendę: że świat, w którym żyjemy, jest fałszywy; że Bóg kocha Amerykę, a nie Arabię.

– Ile innych przesłuchiwanym osób?

– Wiele. Nie mogę udzielić ci dokładnej odpowiedzi, ponieważ – prezydent był zaniepokojony, kiedy się o tym ostatnio dowiedział – najwyraźniej pewne struktury wspólnoty wywiadów próbowały ukryć istnienie tej legendy.

– To nie była próba ukrywania faktów! – powiedział Idris. – Ta tak zwana legenda jest oczywiście propagandą wymyśloną przez chrześcijańskich fanatyków, aby zainspirować zamachowców samobójców. Jeśli prezydent nie został o tym poinformowany, to dlatego, że nie jest to na tyle ważne, aby zasługiwało na jego uwagę.

– Prezydent nie zgadza się z oceną Abu Jusufa – rzekł Faruk. – Życzy sobie niezależnego dochodzenia w sprawie mirażu.

– Zatem zadzwonił do pana? – zapytała Amal, natychmiast tego żałując. – Przepraszam pana, nie zamierzam sugerować...

– Nie, to trafna uwaga. Jestem chrześcijaninem, a jak wszyscy wiemy, w obecnym środowisku chrześcijanom – nawet egipskim chrześcijanom, którzy nigdy nie mieli powiązania z terroryzmem – ludzie przyglądają się z nieufnością. Jak jednak można się było spodziewać po przywódcy Arabskiej Partii Jedności, prezydent jest prawdziwym ekumenistą.

– I kairczykiem – powiedział Mustafa, domyślając się tego po „egipskim”. Odwrócił się do Amal i wyjaśnił: – Faruk i prezydent pochodzą z tej samej okolicy.

– Tak – odparł Faruk z nieznacznym uśmiechem. – Tak się akurat składa, że moja kuzynka w trzeciej linii jest żoną przyrodniego brata prezydenta.

– Szefie – powiedział Samir, nadal nerwowo zerkając na Idrisa – jeśli chodzi o to dochodzenie, nie sądzę, abym...

– Wiem, że z radością zrobisz wszystko, o co poprosi cię twój naczelny dowódca, Samir – rzekł Faruk – ale proszę, powstrzymaj swój entuzjazm, dopóki nie skończę. Prezydent poprosił, abym nadzorował ponowne zbadanie istniejących informacji wywiadowczych dotyczących legendy. Chce wiedzieć, gdzie powstała ta historia i jak się rozprzestrzeniła. Chce wiedzieć, co oznacza. I chce wiedzieć, skąd pochodzą takie rzeczy. – Faruk uniósł gazetę, którą Amal i Samir znaleźli w mieszkaniu Costello. – Wielu żarliwie wierzących w tę legendę posiada podobne przedmioty, które – jak twierdzą – są dziełami ludzkich rąk z „rzeczywistego” świata. To oczywiście sfabrykowane rekwizyty, ale musimy się dowiedzieć, kto je robi.

– Czy Służby Bezpieczeństwa Narodowego mają więcej takich dzieł ludzkich rąk? – zapytał Mustafa.

– Tak. Prawdę mówiąc, Abu Jusuf w trwałym, czego jestem pewien, duchu współpracy przekazał kilka rzeczy, które otrzymał wcześniej dzisiejszego dnia z siedziby Biura w Al-Kufie. Mamy je na dole, w sali konferencyjnej B.

Przed drzwiami sali konferencyjnej stał na straży jeden ze zbirów Idrisa – ten sam, który schwytał Amal w mieszkaniu. Kiedy zobaczył, że idą, zamierzał zastąpić im drogę, ale Idris powstrzymał go machnięciem ręki.

W pokoju na stole leżały cztery przedmioty.

Pierwszym była mała flaga. Czerwone i białe paski były znajome, ale złoty krzyż i motto IESUS NAZARENUS REX IUDAEORUM w lewym górnym rogu zostały zastąpione przez niebieskie pole z prostą siatką białych gwiazdek.

Kolejnymi przedmiotami były dwie mapy, jedna Iraku, a druga całego Bliskiego Wschodu. Mustafa przyjrzał się tej drugiej, czując się jak dziecko ślęczące nad jedną z tych układanek, w których należy zauważyć wszystkie różnice: Arabii nadano, być może omyłkowo, błędną nazwę. Persja stała się Iranem, „Ziemia Aryjska” i Kurdystan znikły, a ich terytorium zostało podzielone pomiędzy państwa Irak, „Iran” oraz suwerenną Turcję. Najdziwniejsze ze wszystkiego – i niemożliwe do zignorowania, gdy się to zauważyło – było to, że znikła również Palestyna, w wyniku czego ziściła się przepowiednia chrześcijańskich fundamentalistów.

– Zaczynam rozumieć, czemu prezydent jest zaniepokojony – rzekł Mustafa.

Czwartym i zarazem ostatnim przedmiotem była górna połowa pierwszej strony innej gazety, paryskiego „Le Monde”. Nosila datę 13 września 2001 roku. Biegający przez całą szerokość strony nagłówek głosił *L'Amérique frappée, le monde saisi d'effroi* – „Ameryka zaatakowana, świat opanowany strachem”. Kolumna po prawej stronie miała mniejszy nagłówek: *Nous sommes tous Américains*.

Widocznie wydał jakiś dźwięk. Amal spojrzała na niego znad mapy Iraku i zapytała:

– Co jest?

Mustafa nie odpowiedział, tylko potrząsnął głową, w której znów mu się zakręciło.

Nous sommes tous Américains.

Wszyscy jesteśmy Amerykanami.

KSIĘGA II. REPUBLIKA
NABUCHODONOZOR

W nocy

W nocy przez Bagdad przeszła burza piaskowa, pozostawiając na ulicach i dachach grubą warstwę pyłu. Urzędnicy przybywający do gmachu sądu stanowego odkryli, że filtry w systemie wentylacyjnym budynku są zapchane. Ponieważ tego dnia miał się zakończyć proces pewnej sławnej osoby, wykonali telefon alarmowy do serwisu. Do dziewiątej rano wszystkie filtry zostały wymienione, a klimatyzacja znów funkcjonowała poprawnie.

Pomimo to, gdy tuż przed południem sędzia w oddziale 14 wznowił posiedzenie uderzeniem młotka, na sali znajdował się tuzin ludzi, których twarze błyszczały od potu.

– Członkowie ławy przysięgłych – powiedział sędzia. – Czy uzgodniliście werdykt?

– Z boską pomocą, wysoki sędzie, uzgodniliśmy.

– Czy jesteście całkowicie pewni? – Sędzia nie próbował ukryć niesmaku. – Wysłuchaliście tu trwających pięć tygodni zeznań, a naradzaliście się krócej niż godzinę. Może chcecie przynajmniej poczekać do zakończenia pory lunchu?

Główny obrońca powstał, żeby wnieść sprzeciw:

– Wysoki sędzie...

– Zamknij się. – Patrząc z wściekłością na przewodniczącego ławy przysięgłych, sędzia zapytał: – Zatem?

– Jesteśmy... Jesteśmy zupełnie pewni, wysoki sędzie.

Sędzia dał znak woźnemu, który podszedł, aby wziąć złożoną kartkę z werdyktem z drżącej dłoni przewodniczącego. Sędzia obejrzał papier.

– Czy to wasza jednogłośnie decyzja?

– Tak, wysoki sędzie.

– I... – sędzia westchnął – ...podjęliście tę decyzję z nieprzymuszonej woli?

– Tak, wysoki sędzie.

Sędzia przekazał kartkę z powrotem woźnemu, który zaniósł ją znowu do ławy przysięgłych.

– Oskarżony, proszę powstać. – Oskarżony uczynił to z pewnym siebie uśmiechem. – Proszę odczytać werdykt do zaprotokołowania.

– T...tak jest, wysoki sędzie... Uznajemy oskarżonego Saddama Husajna za niewinnego zarzutu spisku mającego na celu popełnienie morderstwa, spisku mającego na celu przewóz i sprzedaż zakazanych substancji, spisku mającego na celu promowanie i czerpanie korzyści z niemoralnych działalności, lichwy, przekupstwa publicznego urzędnika, przekupstwa funkcjonariusza policji oraz spisku mającego na celu nakłonienie do popełnienia krzywoprzysięstwa.

Ulica przed gmachem sądu została zamknięta dla zwykłego ruchu kołowego, a policja rozstawiła zapory wzdłuż krawężnika, aby utrzymać pieszych z dala. U podnóża schodów stała limuzyna z włączonym silnikiem, gotowa błyskawicznie zabrać bohatera dnia na świętowanie zwycięstwa.

Jednak Saddam nie spieszył się z wyjściem. Gdy wyszedł z gmachu sądu – w towarzystwie swoich synów, prawników i swojego kolegi Tarika Aziza – uniósł ręce i zawołał do tłumu za zaporami: – Witaj, Bagdadzie! – Rozległy się wiwaty. Najbardziej zagorzali zwolennicy Saddama – organizatorzy z partii Al-Bas otrzymujący dodatkową zapłatę za obecność tutaj – podnieśli

transparenty, na których znajdowało się jego zdjęcie oraz napis NIECH ŻYJE KRÓL! Zaczęli skandować: „Saddam! Saddam! Saddam!”.

Saddam trzymał rękę w górze, poruszając dłonią monarszym gestem. Zapatrzył się w dal, pławiąc się w tej euforii. Po około minucie Tarik Aziz dotknął delikatnie jego ramienia, jakby budził lunatyka, i sprowadził go po schodach do grupy czekających reporterów i kamer.

Główny obrońca przygotował oświadczenie, ale Saddam przerwał mu niemal natychmiast i zaczął odpowiadać na pytania. Tak, chwała Bogu, był zadowolony z wyniku procesu. Nie, nie był zdziwiony, że przysięgli – „uczciwi mieszkańcy Bagdadu” – zdecydowali się postąpić właściwie. Nie, nie czuł urazy do oskarżycieli, chociaż sam, jako uczciwy obywatel, istotnie wolałby, aby prokurator okręgowy skupił się na prawdziwych przestępcach...

Gdy jego ojciec rozmawiał z prasą, Kusajj Husajn miał na oku tłum. Jego starszy brat powinien był robić to samo, ale Udajj całą uwagę skupił na młodej dziennikarce, która została zepchnięta na tył grupy. Udajj okrążył tłum i zapytał ją, czy mógłby odpowiedzieć na jakieś pytanie.

Po drugiej stronie ulicy wybuchło zamieszanie, gdy ktoś w tłumie uniósł nowy transparent: nieporadną karykaturę Saddama z dłońmi poplamionymi krwią i jednowyrazowym podpisem RZEŹNIK! Znajdujący się najbliżej członkowie Al-Bas zareagowali z furją, używając własnych transparentów jako pałek. Gdy policja wkroczyła, aby zapobiec rozruchom, część blokady pozostała niestrzeżona.

Przez lukę wtargnęli dwaj mężczyźni. Przeszli niezauważeni przez ulicę i maszerując chodnikiem, wyciągnęli zza pasków pistolety o krótkich lufach. Kusajj zauważył ich, gdy już celowali; krzyknął ostrzegawczo i przewrócił ojca na ziemię.

Dziennikarze pierzchnęli, gdy mężczyźni otworzyli ogień. Udajj, bardziej z rozradowaną niż zaskoczoną miną, obrócił się w stronę wystrzałów. Wyciągnął pistolet i dwukrotnie strzelił w pierś zamachowca, który znajdował

się bliżej. Drugi strzelec spanikował i próbował uciec z powrotem w tłum. Nie zważając na innych ludzi, którzy znajdowali się na linii ognia, Udaj wystrzelił jeszcze kilkakrotnie i trafił jeden raz. Uzbrojony bandyta potknął się i upadł na kolana; zanim zdołał wstać, tłum policjantów przygniótł go do ziemi.

Kusajj pomógł ojcu wstać. Saddam najpierw dokładnie sprawdził, czy sam nie ma ran postrzałowych, a nie znalazłszy żadnej, popatrzył na swoją świętę.

– Tarik?

– Nic mi nie jest – odpowiedział Tarik Aziz.

Nie wyglądał jednak dobrze. Gapił się na głównego obrońcę Saddama, leżącego z dziurą w jabłku Adama, z której tryskała krew. Jeden z prawników nachylił się ze zwiniętą chusteczką do nosa, mówiąc:

– Przyciśnij to, przyciśnij.

Aziz odwrócił się i zwymiotował, a Saddam podniósł dłoń do gardła, czując nagły dreszcz.

– Bóg jest wielki – wyszeptał. Powtórzył to, tym razem głośniej: – Bóg jest wielki!

Tymczasem Udaj poszedł tam, gdzie policjanci siedzieli na drugim strzelcu. Gdy się zbliżył, kolejni policjanci przybiegli i utworzyli krąg, który osłonił go przed obiektywami kamer. Wyciągnął rękę i jeden z funkcjonariuszy podał mu drewnianą pałkę.

– Proszę – błagał uzbrojony bandyta. – Litości! W imię Boga, litości!

– Trzymajcie go mocno – powiedział Udaj.

BIBLIOTEKA ALEKSANDRYJSKA

ŹRÓDŁO INFORMACJI EDYTOWANE PRZEZ UŻYTKOWNIKA

Saddam Husajn

Ta strona jest obecnie **zabezpieczona** przed edytowaniem, aby zapobiec **powtarzającym się aktom wandalizmu**. W celu zasugerowania zmian **prosimy skontaktować się z administratorem**.

Zgodność z faktami znajdującymi się w tym artykule jest **sporna**. Prosimy zobaczyć dyskusję na **stronie dyskusyjnej**.

Saddam Husajn Abd al-Madżid at-Tikriti (urodzony 28 kwietnia 1937 roku), muzułmanin sunnita, jest irackim działaczem związkowym, filantropem, autorem bestsellerów oraz domniemanym gangsterem i przemytnikiem alkoholu. Chociaż stanowczo zaprzecza, iż ma coś wspólnego z produkcją bądź sprzedażą alkoholu, nie wypowiada się jednoznacznie na temat powiązań z przestępczością zorganizowaną. Do chwili obecnej został dziewięciokrotnie postawiony w stan oskarżenia pod zarzutami popełnienia różnych ciężkich przestępstw i przynależności do grupy przestępczej. Ani razu nie został skazany.

WCZESNE LATA ŻYCIA

Saddam urodził się w wiosce Al-Audża, niedaleko Tikritu. Jego ojciec Husajn Abd al-Madżid zmarł, gdy Saddam był jeszcze w łonie matki, więc Saddam został wychowany przez brata matki, Chajr Allaha Talfaha, w Bagdadzie.

W 1957 roku Saddam został organizatorem Partii Socjalistycznego Odrodzenia Arabskiego (Al-Bas), która reprezentowała pracowników budowlanych, wywozu śmieci oraz transportu rzeczno-ego w Iraku i Syrii. Arabskie Biuro Śledcze podejrzewało, że członkowie partii Al-Bas są również zaangażowani w przemysł oraz inną nielegalną działalność, ale niewiele z tym zrobiło. W tym czasie Biuro było dużo bardziej zainteresowane prowadzeniem dochodzenia w sprawie korupcji wśród dwóch innych, znacznie potężniejszych irackich związków zawodowych: Królewskiego Zakonu Haszymidów, który był kontrolowany przez rodzinę Haszymidów, oraz Związku Wolnych Oficerów, kierowanego przez emerytowanego pułkownika policji państwowej Abd al-Karima Kasima.

MASAKRA PODCZAS ŚWIĘTA PRACY ORAZ WZROST LICZBY CZŁONKÓW PARTII AL-BAS

Rankiem 14 lipca 1958 roku przywódca klanu Haszymidów Fajsal II wybierał się na uroczystości Święta Pracy, gdy przed jego domem w Bagdadzie otoczyła go grupa mężczyzn w policyjnych mundurach. Fajsalowi, jego ochroniarzom oraz kilku innym członkom rodziny Haszymidów kazano stanąć przy ścianie z podniesionymi rękami; kiedy to zrobili, zostali zabici seriami z broni maszynowej. Zanim prawdziwa policja przybyła na miejsce zbrodni, z całego Iraku napływały wiadomości o zamordowaniu lub zaginięciu innych Haszymidów.

Powszechnie wierzono, że masakrę zorganizował Abd al-Karim Kasim, ale organy ścigania nie podjęły przeciwko niemu żadnych działań, a dochodzenia prowadzone przez agentów federalnych były na każdym kroku utrudniane. Tymczasem ocalali Haszymidzi postanowili wziąć sprawy w swoje ręce. Rozpętała się orgia przemocy, z której Haszymidzi wyszli najgorzej; do końca roku większość członków klanu zginęła lub opuściła Irak.

W październiku 1959 roku zamaskowani strzelcy czekali w zasadzce na Kasima, gdy opuszczał Halę Związku Wolnych Oficerów. Była tylko jedna z wielu prób zamachu na życie Kasima i tak jak poprzednie nie powiodła się. Od innych wyróżniała ją to, że tym razem napastnicy nie byli Haszymidami, ale członkami partii Al-Bas. Pięciu z sześciu zamachowców zabiło ochroniarze Kasima; szósty uciekł. Godzinę później w pobliskim szpitalu pojawił się Saddam Husajn z raną od kuli w nodze. Twierdził, że został napadnięty.

Kasim ukrył się, a członkowie partii Al-Bas zaczęli ginąć dziesiątkami. Saddam odleciał samolotem do Egiptu, w którym pozo stał przez cztery lata. W udzielanych wywiadach twierdził, że pojechał na Uniwersytet Kairski, aby studiować prawo, „było to coś, co planowałem zrobić od dłuższego czasu”, a jego wyjazd z Iraku w przeddzień wybuchu wojny gangów był zbiegiem okoliczności.

Wolni oficerowie oraz członkowie partii Al-Bas posyłali sobie kule i bomby do lutego 1963 roku, kiedy to Kasim wpadł w kolejną zasadzkę i dostał 82 kule wystrzelone z niewielkiej odległości. Po śmierci Kasima agenci Biura – otrzymawszy masę obciążających dowodów z anonimowego źródła – aresztowali podczas operacji dwustu wolnych oficerów, skutecznie łamiąc kręgosłup związku. Większość zawodów reprezentowanych przez wolnych oficerów przeniosła się teraz do partii Al-Bas.

W marcu 1963 roku Saddam Husajn powrócił do Bagdadu i został mianowany skarbnikiem partii Al-Bas. W 1968 roku awansował na wiceprezesa związku. Wreszcie w 1979 roku, po zaskakującej rezygnacji prezesa związku Ahmada Hasana al-Bakra, Saddam został wybrany przywódcą partii Al-Bas i pozostaje na tym stanowisku do dzisiejszego dnia.

FILANTROP, POWIEŚCIOPISARZ... I ZAWODOWY OSKARŻONY

W 1979 roku również Saddam po raz pierwszy został postawiony w stan oskarżenia przez rząd federalny. Sprawa, która dotyczyła przekupstwa i zastraszania pracowników rurociągu naftowego pomiędzy Kurdystanem a Irakiem, nigdy nie trafiła do sądu. Awaria pieca w hotelu, w którym odizolowano świadków, spowodowała wypełnienie piętra gości tlenkiem węgla i uduszenie czterdziestu ośmiu osób.

W 1982 roku rząd spróbował ponownie, oskarżając Saddama o sfałszowanie wyborów, w których jego wuj Chajr Allah został burmistrzem Bagdadu. Rankiem drugiego dnia obrad przewodniczącego ławy przysięgłych znaleziono powieszzonego w toalecie gmachu sądu. Na jego miejsce wezwano innego przysięgłego i kontynuowano obrady; Saddam został uniewinniony.

Do 1986 roku, otrzymawszy dwa kolejne uniewinnienia, Saddam stał się narodowym celebrytą. Udzielał regularnych wywiadów w prasie i wystąpił w

telewizji, ogłaszając ironicznie swoją niewinność. Zasugerował, że jego problemy z prawem były rezultatem niezrozumienia przez „wysoko postawione i wpływowe osoby w Rijadzie surowego i złożonego charakteru życia w Iraku”.

W 1987 roku Saddam założył Fundację Saddama Husajna, organizację dobroczynną finansującą szkoły, meczety i szpitale, i wprowadził Program Stypendialny Związku Al-Bas, który pomagał Irakijczykom z biednych rodzin pójść na studia. Federalni prokuratorzy, zauważywszy, że prywatne datki dobroczynne Saddama przekroczyły dziesięciokrotnie jego zadeklarowane dochody, oskarżyli go o uchylanie się od płacenia podatków. Został uznany za niewinnego. (...)

W grudniu 1998 roku Saddam zwołał konferencję prasową, aby ogłosić, że wydaje powieść sensacyjną. „Przez lata rządowi prawnicy mówili o mnie oburzające historie – oświadczył. – Pomyślałem, że nadszedł czas, abym sam spróbował opowiedzieć jedną z nich”. Książka, Zabiba i Król, opowiada o działaczu związkowym z Tikritu, który niechętnie staje się przestępcą po tym, jak jego kochanka Zabiba ginie z rąk gangsterów; po pewnym czasie, dokonawszy zemsty na jej zabójcach, staje się (łagodnym) królem świata przestępczego.

„Kurier Bagdadzki” nazwał Zabibę i Króla „wysublimowaną” powieścią, ale większość pozostałych recenzji była w najlepszym razie chłodna, a początkowe wyniki sprzedaży niezadowolające. Wtedy prokurator okręgowy w Bagdadzie spróbował użyć tej książki do postawienia zarzutu spisku mającego na celu morderstwo, argumentując, że scena kulminacyjna powieści jest lekko zbeletryzowaną relacją zabójstwa Abd al-Karima Kasima i zawiera szczegóły, jakie może znać jedynie uczestnik spisku. Wielka ława przysięgłych odrzuciła wniosek prokuratora okręgowego o oskarżenie Saddama, ale rozgłos wywindował Zabibę na listy bestsellerów.

Od tej pory Saddam Husajn napisał trzy książki będące kontynuacją Zabiby, również bestsellerowe: Zamek Króla (2001), Król i miasto (2003) oraz Król mówi diabłu: Precz (2006). Według agenta literackiego Saddama, piąta powieść o Królu jest bliska ukończenia; mówi się, że stanowi i federalni prokuratorzy niecierpliwie czekają na swoje bezpłatne egzemplarze.

FAKTY O SADDAMIE HUSAJNIE

- W 1963 roku poślubił swoją kuzynkę Sadzidę Talfah. Mają pięcioro dzieci, w tym dwóch synów, Udajja (urodzonego w 1964 roku) i Kusajja (urodzonego w 1966 roku).
- W 1986 roku Saddam poślubił drugą żonę, Samirę asz Szahbandar. Z powodu „tarć” między nią a pierwszą żoną Saddama, Samira zamieszkała za granicą w nieujawnionym miejscu. Nie wiadomo, czy ona i Saddam mają jakieś dzieci.
- Najstarszy syn Saddama, Udajj, został aresztowany w 1988 roku za skatowanie kolbą pistoletu ochroniarza z dyskoteki w Bagdadzie. Od tego czasu wielokrotnie był na bakier z prawem i w przeciwieństwie do ojca nie zawsze udawało mu się uniknąć pobytu w więzieniu. Ostatnio spędził trzy miesiące w więzieniu w Abu Ghurajb za napaść na modelkę, z którą się umawiał.
- Wartość majątku Saddama nie jest znana, ale on i jego rodzina posiadają liczne i rozległe nieruchomości, w tym co najmniej siedem domów w Bagdadzie. Oprócz pensji pobieranej jako przywódca partii Al-Bas i tantiem za powieści jego podstawowym zadeklarowanym źródłem dochodu jest, jak to sam określa, „mała” firma importowo-eksportowa, którą „prowadzi na boku”.

Tej nocy

Tej nocy Mustafa obudził się nagle z jakiegoś nieokreślonego powodu. Okolice była cicha; klimatyzacja w mieszkaniu nadal działała, a kiedy stanął przed sypialnią ojca, usłyszał ze środka miarowe chrapanie Abu Mustafy. Wszystko wydawało się być w porządku, ale przyspieszony puls Mustafy świadczył o tym, że nie zaśnie on szybko. Zamiast walczyć z bezsennością, postanowił zrobić z niej użytek; wziął dywanik z półki w szafie i poszedł na dach, aby nadrobić zaległości w modlitwie.

Jako chłopiec rzadko opuszczał porę modłów, pilnowała tego jego matka. Gdy tylko próbował się wymigać – zazwyczaj w godzinach świtu, kiedy kilka dodatkowych minut snu wydawało się bardziej nęcące niż podporządkowanie się Bogu – jego matka mówiła, aby pomyślał o milionach innych muzułmanów na całym świecie, wszystkich kłaniających się w tym momencie Mekce. Czy Mustafa naprawdę chce wykluczyć się z tej społeczności? To zazwyczaj wystarczało, aby wstał z łóżka.

Pewnego dnia w szkole klasa Mustafy przerabiała rozdział o programie kosmicznym. Pojawiły się dwa pytania: W jaki sposób astronauta ustalają kibkę? I skąd wiedzą, kiedy się modlić? Ostatnie pytanie zdumiało Mustafę. Czyżby w lądowniku księżycowym nie mieli zegarka?

Mustafa nie był jedynym zdezorientowanym tym uczniem, ale to on podniósł rękę, zatem chwilę później musiał stanąć z przodu sali – podczas

gdy jego mądrzejsi koledzy z klasy podśmiewali się z jego niewiedzy – i trzymać latarkę nad wirującym globusem.

Tego wieczoru Mustafa rozmawiał z ojcem, który potwierdził istnienie stref czasowych.

– Zatem to nieprawda, że wszyscy muzułmanie modlą się jednocześnie! – rzekł Mustafa. – Jeśli w Bagdadzie jest ranek, a w Jerozolimie północ...

– Sądzę, że powinieneś pouczyć się jeszcze trochę geografii – odparł Abu Mustafa. – Bóg nie jest chłopcem patrzącym w dół na kulę ziemską. Nie musi postrzegać czasu w taki sam sposób jak my.

– Ale jeśli Bóg może widzieć czas w taki sposób, w jaki sam chce, to czemu muszę wstawać tak wcześnie?

– Ponieważ tego chce Bóg. A jeśli to za mało: Ponieważ tego chce twoja matka. Chcesz uszczęśliwić swoją matkę, prawda?

Cóż, oczywiście, że chciał. Jednak robienie czegoś po to, aby zadowolić swoją matkę, to coś innego niż robienie czegoś, aby zadowolić Boga. Twoja matka nie zawsze jest w pobliżu. Jako dziecko w domu rodziców Mustafa wypełniał ten obowiązek, ale gdy stał się starszy i bardziej samodzielny, upodobił się do wujka Fajjada, który traktował religijne obowiązki w taki sam sposób jak swoje długi, jako coś, co trzeba oddawać w dogodnym dla siebie terminie. Na drugim roku studiów, po śmierci matki, Mustafa na długo całkowicie przestał się modlić i chodzić do meczetu. Od tego czasu raz to robił, a raz nie. Gdy poślubił Fadwę, która podobnie jak jego matka była zadowolona, kiedy widziała, że Mustafa zachowuje się jak porządny muzułmanin – robił to. Gdy poślubił Nur i stało się jasne, że nie można już zadowolić Fadwy – nie robił.

A teraz, w tym dziwnym zmienionym świecie, w którym Fadwa nie żyła, a Nur pozostawała z nim w separacji – robił to. Tak jakby. Patrząc wstecz na wybory, które go tu przywiodły, Mustafa nie miał złudzeń odnośnie do tego, co Bóg musi o nim myśleć. Nie był pewny, czego on sam chce od Boga ani w

co naprawdę wierzy. Jednak jakkolwiek wyglądała prawda, wiedział, że ma dużo do nadrobienia.

Piasek z burzy z poprzedniej nocy chrząścił mu pod nogami, kiedy wszedł na dach. Mustafa rozłożył modlitewny dywanik, a potem obmył twarz, ręce i stopy pod kranem, który wystawał z balustrady klatki schodowej.

Odmówił pięćdziesiąt modlitw jedną po drugiej: za dziesięć dni, dużo jak na jeden raz, ale mniej niż powinien. Kiedy zaczął, rana na jego szyi piekła, ale zanim skończył, ból minął i czuł, że jego ciało jest lekkie jak powietrze; wydawał się unosić nad dywanikiem.

Podszedł do krawędzi dachu i spojrzał na miasto. Znad rzeki nadlatywał ciepły wietrzyk; termometr na budynku TransArabii wskazywał 92 stopnie Farrana i 33 stopnie Chalisa. Mustafa przez chwilę popatrzył na radnego miejskiego Muktađę as-Sadra, którego twarz zdobiła tablicę ogłoszeń na dachu na końcu przecznicy. (AS-SADR NA GUBERNATORA, Z BOŻĄ POMOCĄ, głosił slogan wyborczy, a pod nim, mniejszymi literami: Opłacone przez Armię Mahdiego.)

Na dole na ulicy odbiły się echem kroki i Mustafa spojrzał w dół. Zobaczył podskakującą blond głowę. Kolejny z braci Hoffman? Rozejrzył się za ścigającymi tamtego agentami Mosadu, ale blondyn nie uciekał: biegał dla zdrowia. Dobiegł do rogu, zwolnił kroku i zatrzymał się pod latarnią uliczną, aby złapać oddech.

Gdy blondyn schylił się i oparł dłonie o kolana, na łańcuszku, który miał na szyi, zadyndały metalowe przywieszki. Kiedy ponownie się wyprostował, Mustafa zobaczył słowo ARMIA po angielsku, wydrukowane w poprzek z przodu jego koszulki i wzdłuż brzegu szortów do biegania. Nie był człowiekiem Mahdiego, pomyślał kwaśno Mustafa i zastanawiał się, czy nie zawołać i nie zapytać go, czy się nie zgubił.

Blondyn napił się z mosiężnej menażki w dziwnym kształcie. Gdy wytarł usta, zobaczył na dachu Mustafę i pomachał mu. Mustafa odpowiedział

machaniem, ale zanim zdążył się odezwać, blondyn ruszył dalej, znikając za rogiem.

– Pokój z tobą, bracie – rzekł Mustafa.

– Z tobą również, bracie.

Mustafa odwrócił się w stronę głosu, poniekąd spodziewając się zobaczyć swojego ojca. Jednak mówca był nieznanym Arabem w nieokreślonym wieku i stał na nienaruszonej powierzchni piasku po prawej stronie balustrady schodów. Ubrany był w długą tunikę podobną do diszdaszy, jaką miał na sobie Mustafa, ale w stylu bardziej rozpowszechnionym na południu; szyję miał owiniętą kufijją, a na nogach skórzane sandały.

Mustafa, zakładając, że mężczyzna jest jednym z pozostałych lokatorów budynków, przez chwilę daremnie próbował go sobie przypomnieć. Zanim cisza stała się niezręczna, nieznanomy powiedział:

– Mam nadzieję, że ci nie przeszkadzam.

– Ani trochę – odpowiedział Mustafa. – Przepraszam, ale czy myśmy się już wcześniej spotkali?

Nieznanomy zachichotał.

– Jeśli musisz o to pytać, to znaczy, że nie wywarłem na tobie zbyt silnego wrażenia.

Pochylił się, aby zapalić papierosa. Towarzyszący temu wysoki niebieski płomień przypominał Mustafie zapalniczkę zamachowca Trvisa, ale jakiś kaprys percepcji – może sposób, w jaki mężczyzna trzymał ręce – sprawił, że ogień zdawał się tryskać z koniuszków jego palców.

– Przeszedłeś tu na górę, aby się pomodlić? – zapytał następnie Mustafa.

– Tutaj? – Nieznanomy potrząsnął głową, wypuszczając dym. – Nie mógłbym się tu modlić. – Nie było jasne, czy chodziło mu o dach czy o miasto. – Moja rodzina ma meczet na pustyni Ar-Rub al-Chali. Modliłem się tam dzisiejszego wieczoru. O odpowiedniej godzinie.

– Na pustyni Ar-Rub al-Chali? Ale to tysiąc pięćset kilometrów stąd – powiedział Mustafa. – Nie jest aż tak późno. Jak dotarłeś do Bagdadu tak szybko?

– Zapominasz o strefach czasowych.

– Och, oczywiście. – A potem: – Nie... Poczekaj...

Nieznajomy ponownie zachichotał.

– Tylko się z tobą drocę. Masz rację, to długa droga do przebycia.

– Zatem jak...

– Przypuszczam, że musiałem przylecieć. W ten sposób...

Podnosząc ręce, nieznajomy pstryknięciem cisnął w powietrze zapalony papieros. Ten zakreślił łuk iskier na nocnym niebie, rosnąc i potężniejąc, aż nad głową Mustafy zmienił się w wyjący pocisk. Rakieta leciała opadającym łukiem w kierunku budynku TransArabii, który przekształcił się z eleganckiej wieży w czworokątne betonowe pudło najeżone antenami.

Pudło zmieniło się w słup ognia. Z epicentrum wybuchu rozeszła się wyraźnie widoczna fala uderzeniowa, zdając się raczej zyskiwać niż tracić na sile. Mustafa wycofał się z krawędzi dachu, ale fala dosięgła go i zbiła z nóg; dach się załamał i Mustafa runął w ciemność, a za nim posypały się piasek i gruzy. Nagle znów był w łóżku, próbując uwolnić się z plątaniny przepoconych prześcieradeł.

– Mustafa? – W drzwiach sypialni stał jego ojciec i patrzył na niego zatroskany. Ten jeden raz zamienili się rolami. – Dobrze się czujesz? Krzyczałeś.

W drodze do pracy Mustafa usłyszał w wiadomościach informację, która rzuciła trochę światła na jego sen. Przyjęcie wydane z okazji uniewinnienia Saddama Husajna, odbywające się w jego posiadłości na nadbrzeżu w dzielnicy Al-Azamijja, obejmowało nielegalny pokaz fajerwerków. Salwa

sztucznych ogni o północy obudziła sąsiadów i spowodowała wiele alarmowych telefonów pod 911. Saddam już publicznie przeprosił i obiecał zapłacić grzywnę za zakłócanie spokoju.

W centrali Samir znał więcej szczegółów tego „zakłócania”. Kiedy skończyły się fajerwerki, Saddam i niektórzy z jego gości użyli broni myśliwskiej.

– Z początku to był zwykły wieśniacki obciach, strzelanie w powietrze – rzekł Samir. – Ale potem Udajj za dużo wypił i zaczął strzelać na oślep w kierunku łodzi na rzece. Sternik holownika ze złamaną kością udową trafił do szpitala.

– Gdzie o tym usłyszałeś? – zapytał Mustafa.

– Od Abu Nadziego. Jego szwagier jest dowódcą dyżurnym w policji dla Al-Azamijji. On i grupa jego policjantów obstawiali to przyjęcie.

– Ale Udajj nie jest w areszcie.

To było stwierdzenie, nie pytanie.

Samir wzruszył ramionami.

– Wiesz, jak jest. Traktują to jako wypadek. Sternik holownika dostanie jakieś pieniądze, żeby siedział cicho – a jeśli w ranie rozwinie się zakażenie, dostanie je jego rodzina.

Amal siedziała w pobliżu, segregując plik teczek z napisem ŚCIŚLE TAJNE.

– Mam szaloną myśl – powiedziała. – Czy istnieje jakiś sposób, żebyśmy postawili Saddamowi zarzut terroryzmu? Uczynili z niego i jego rodziny zdeklarowanych wrogów państwa i odtransportowali ich do zatoki Chwaka?

– Wierz mi, już o tym dyskutowano – odparł Mustafa. – Rzecz w tym, że Saddam jest niewłaściwym rodzajem terrorysty.

– Czego by trzeba, żeby uczynić z niego odpowiedniego rodzaju terrorystę? Samir roześmiał się.

– Najpierw musimy nawrócić go na chrześcijaństwo...

– Skoro mówimy o chrześcijanach – rzekł Mustafa – czy to te akta z Rijadu dotyczące mirażu?

– „Akta” to może za dużo powiedziane. Znasz ten stary dowcip o służbach wywiadowczych, które mają udziały w firmach produkujących kasety z tonerem? – Amal wzięła pierwszą lepszą kartkę z teczki, którą przeglądała. Wszystko poza numerem strony zostało zamazane.

– Idris ostrzegł nas, że będą wykreślenia – rzekł Mustafa.

– Wygląda na to, że wykreślili wszystko, co istotne – powiedziała Amal. – Na przykład wydaje mi się, że to jest protokół przesłuchania. Jest tu nazwisko więźnia, jego narodowość i wyznanie, ale faktyczne pytania i odpowiedzi – obejmujące pełne czterdzieści dziewięć stron – to jedna czarna plama.

– Wszystkie są takie?

– Większość tych, które przejrzałam. W kilku brakuje stron.

– Bardzo dobrze – rzekł Mustafa. – Jeśli Idris i senator bin Laden upierają się przy robieniu trudności, będziemy musieli po prostu pojechać do Rijadu z rozkazem prezydenckim przyznającym nam dostęp do oryginalnych akt.

– I modlić się, abyśmy nie skończyli jak Costello – dodał Samir.

Gabriel Costello został przeniesiony do skrzydła o zaostrzonym rygorze więzienia Abu Ghurajb. Niecały dzień po przybyciu – i zanim Mustafa zdołał przeprowadzić drugie przesłuchanie – został znaleziony w celi z owiniętym wokół szyi jednoczęściowym kombinezonem więziennym przywiązany do ramy łóżka. Oficjalną przyczyną śmierci było samobójstwo przez zadzierzgnięcie, ale podczas sekcji znaleziono siniaki niewyjaśnionego pochodzenia na jego nadgarstkach i kostkach u nóg.

– Nie sądzę, abyśmy musieli się obawiać, że Al-Kaida nas zamorduje – rzekł Mustafa. – Jeszcze nie.

– A to dlaczego?

– Ponieważ w przeciwieństwie do Costello łatwo nas zastąpić. Jeśli umrzemy, prezydent przydzieli innych agentów do kontynuowania naszego

śledztwa – i będzie wiedział, że istnieje coś, co mogą znaleźć. Wątpię, aby senator tego chciał. Zatem będzie grał na zwłokę, użyje gróźb, być może przekupstwa i wymuszenia. Jednak jeśli nie odkryjemy niczego naprawdę groźnego, nie wyśle zabójców.

– Jaka pocieszająca logika – powiedziała Amal, śmiejąc się.

– Nie zapominaj o Idrisie – rzekł Samir. – A jeśli potraktuje to osobiście?

– Cóż, musimy po prostu mieć nadzieję, że szkolenie w Al-Kaidzie wpoilo mu poczucie dyscypliny... A teraz zaczynajmy, przyjrzyjmy się bliżej tym wszystkim aktom i sprawdźmy, czy cenzor coś pominął.

Amal potrząsnęła głową.

– Mówię ci, tutaj naprawdę nie ma zbyt wiele.

– Mówiłaś o narodowościach i wyznaniach religijnych. Sporządźmy listę.

Przed 9 listopada eksperci do spraw bezpieczeństwa narodowego musieli przejmować się jedynie garstką wyznań chrześcijańskich.

Największe i najgroźniejsze było oczywiście rosyjskie prawosławie. Związek Prawosławny miał wielomilionową armię, marzył o dominacji w świecie i od 1952 roku był w stanie rozszczepiać atomy. Ponadto jego Kościół był odłamem tej samej wschodniej gałęzi świata chrześcijańskiego, która wydała wielu arabskich chrześcijan, co powodowało niesłychaną paranoję podczas zimnej krucjaty. Jednak te obawy ostatecznie okazały się przesadne. Rosjanie mogli doprowadzić do końca świata, ale nie zdecydowali się na to; zamiast zaatakować Arabię bezpośrednio, prowadzili szereg wojen zastępczych – w Jugosławii, w Czeczenii, w Tanzanii – a później – wykonali ostatecznie, fatalne uderzenie na Afganistan i po tej klęsce Związek po prostu wyparował. Chociaż ich Kościół przetrwał, a władcy Moskwy nadal modlili się w cerkwi pod cebulastą kopułą, ich prawdziwym bogiem był obecnie Mammon.

Dalej na zachód byli (jak dotąd bardziej nieustępliwi) luteranie i wyznawcy Kościoła rzymskokatolickiego w Niemczech i Austrii. Utworzenie współczesnego państwa Izraela wyparło wielu niemieckich protestantów z północy na w dużej mierze katolickie południe. Po fakcie stało się jasne, że sprzymierzeni architekci powojennej Europy powinni byli bardziej pomyśleć o konsekwencjach; zamiast tego przyjęli po prostu na wiarę to, że pokonani chrześcijanie nauczą się miłować siebie nawzajem, a także swoich żydowskich sąsiadów, w duchu prawdziwego muzułmańskiego braterstwa. To niezupełnie się ziściło.

Brytyjska rewolucja w 1979 roku dodała wyznawców Kościoła anglikańskiego do listy chrześcijan, na których trzeba uważać. Ich nuklearne ambicje były niepokojące, ale tak naprawdę byli po prostu irytujący, przez większość czasu zadowolając się pozostawaniem na swojej deszczowej wyspie, skandowaniem „Śmierć Arabii! Śmierć Izraelowi!” i bezczeszczeniem obrazów Proroka w żalosalnej próbie zwrócenia na siebie uwagi.

Prawosławni, luteranie, katolicy, anglikanie: wystarczająco prosty podział, aby się po nim łatwo poruszać. A potem wydarzenia z 9 listopada wrzuciły do tej mieszanki protestantów Ameryki Północnej, tysiącrotnie bardziej wszystko komplikując.

Lista, którą opracowali na podstawie akt w sprawie mirażu, zawierała metodystów, zielonoświątkowców, baptystów, uczniów Chrystusa, adwentystów oraz kilku członków mniej znanych sekt, o których nie słyszał nawet Mustafa, takich jak Gałąź Dawidowa.

– Co to jest „PMD” – zapytała Amal, wskazując jedno z bardziej tajemniczych oznaczeń. – „MD” to angielski skrót słowa „doktor”, prawda? Czy istnieje wyznanie chrześcijańskie złożone ze studentów medycyny?

– Nie wykluczałbym takiej możliwości – odpowiedział Mustafa. – Jednak sądzę, że w tym wypadku „PMD” to „premilenijni dyspensacjoniści”.

- He. – Samir zachichotał. – Spróbuj powiedzieć to trzy razy szybciej.
- Dyspensacjonalizm to właściwie nie sekta – wyjaśnił Mustafa. – To apokaliptyczny system wierzeń – prorocstwo – wspólny dla rozmaitych sekt. Również wielu metodystów i baptystów jest prawdopodobnie dyspensacjonalistami.
- Chodzi o wniebowzięcie? – zapytał Samir. – Gdy Żydzi wracają do Palestyny?
- To część tego.
- Zatem to wiara syjonistyczna – powiedziała Amal.
- Nie bardzo – odparł Mustafa. – Według prorocstwa większość Żydów zginie wkrótce po odzyskaniu Jerozolimy.
- W mieszkaniu Costello widziałem jakieś powieści o wniebowzięciu – rzekł Samir. – Może ta legenda o mirażu to nowa wersja tej historii.
- Być może. – Mustafa myślał przez chwilę. – Cóż, prawdopodobnie Wadż będzie coś o tym wiedział.
- Czy Wadż to kolejny izraelski przyjaciel? – zapytała Amal.
- Nie, to bibliotekarz – odrzekł Mustafa. – A właściwie to ten bibliotekarz...

BIBLIOTEKA ALEKSANDRYJSKA

ŹRÓDŁO INFORMACJI EDYTOWANE PRZEZ UŻYTKOWNIKA

Wadžid Dżamil

Wadžid „Wadž” Dżamil (urodzony 8 lipca 1966 roku), muzułmanin sunnita, jest arabskim programistą komputerowym i przedsiębiorcą internetowym najlepiej znanym jako założyciel encyklopedii o upublicznionym kodzie źródłowym, Biblioteki Aleksandryjskiej.

Dżamil urodził się w Trypolisie w Libii. Jego ojciec, Dżamil as-Sindi, był specjalistą do spraw informatyki i doradcą gubernatora stanowego Muammara al-Kaddafiego. Jego matka, Parmita, była matematyczką daleko spokrewnioną z legendarnym hinduskim bibliotekarzem S.R. Ranganathanem.

Po uzyskaniu dyplomu magistra informatyki i finansów na Uniwersytecie Bagdadzkim Dżamil stał się jednym z pierwszych internetowych inwestorów krótkoterminowych, używających oprogramowania własnego autorstwa. Jego dochody – pochodzące zarówno ze sprzedaży oprogramowania, jak i faktycznych inwestycji – posłużyły jako kapitał startowy dla jego późniejszych przedsięwzięć internetowych. (...)

Oprócz pracy w Bibliotece Aleksandryjskiej Dżamil wniósł specjalistyczną wiedzę oraz kapitał inwestycyjny do internetowej firmy aukcyjnej eBazar, strony handlu internetowego Hawaladar i strony z ogłoszeniami drobnymi safwanslist. Jest również współzałożycielem Chrześcijańskiej Straży Mediów, grupy monitorującej zachodnią telewizję, radio oraz gazety w poszukiwaniu anty-muzułmańskiej i antysemickiej propagandy.

Wadżid Dżamil

Wadżid Dżamil pierwotnie chciał nazwać swoją encyklopedię internetową Domem Mądrości, w nawiązaniu do znanej biblioteki i centrum tłumaczeń założonych w Bagdadzie przez abbasydzkiego kalifa Al-Mamuna. Jednak adres strony był już zajęty, a osoba, która w celach sprzedaży z zyskiem zarejestrowała tę domenę, zażądała absurdalnej sumy. Tak więc Dżamil zamiast tego wybrał tańszą bibliotekaaleksandryjska.org, pozostawiając nazwę Dom Mądrości dla głównej siedziby swojej korporacji.

Budynek znajdował się na placu Al-Mansura. Nad wejściem wisiało malowidło ścienne przedstawiające wielkiego uczonego Ibn al-Hajsama prowadzącego wykład dla studentów. Z tyłu sali jego wykładu słuchało dwóch gości z przyszłości: Wadżid Dżamil, w dżellabie hakera i kłapkach, a obok niego, w złotym haftowanym kaftanie, Muammar al-Kaddafi.

Ludzie nieznający powiązań rodzinnych Dżamila mogli się zastanawiać, czy jest to żart. Al-Kaddafi od dziesięcioleci walczył o to, aby traktowano go poważnie jako arabskiego przywódcę, ale poza Libią – gdzie co cztery lata nieuczciwa państwowa komisja wyborcza, obsadzona jego dawnymi towarzyszami z Gwardii Narodowej, zapewniała mu powrót do rezydencji gubernatora – był uważany za zabawny temat do rozmów: dożywotni gubernator, który spał jak koczownik w namiocie, strzeżony przez żeński oddział ochrony.

Jego wielka chwila na narodowej scenie politycznej nadeszła w 2000 roku, kiedy wystartował w wyborach na prezydenta jako niezależny kandydat. Zapytany podczas debaty o to, z których dokonań jest najbardziej dumny jako gubernator, Al-Kaddafi wygłosił bełkotliwą przemowę o rozbudowie infrastruktury, włącznie z programem, który uczynił Trypolis i Benghazi dwoma pierwszymi miastami w Afryce Północnej z wolnym dostępem do bezprzewodowej sieci internetowej. Gdy gubernator skończył mówić, rywalizujący z nim kandydat Bandar Al Saud zapytał tonem łagodnego szyderstwa:

– Przepraszam, czy mówi nam pan, że wymyślił internet?

Chociaż nie było to dokładnie to, co powiedział Al-Kaddafi, tekst wywołał gromki śmiech i szybko został uznany za fakt. Kilka dni później, podczas debaty Kongresu nad ustawą przeciwko obsceniczności, wydawało się, że przewodniczący obrad miał w pamięci Al-Kaddafiego, gdy określił internet jako „kłąb jelit, rozłożonych przez syna pasterza, wylewających żółć oboma końcami”.

Ten motyw stał się ulubionym tematem internetu. Ktoś stworzył wygaszacz ekranu pokazujący kozę wystawiającą język nad podpisem JESTEM W TWOICH JELITACH I SĄCZĘ MOJĄ ŻÓŁĆ. Na serwisach oferujących wsparcie techniczne pojawiły się dowcipne posty, przypisujące libijskiemu gubernatorowi zarówno pozytywne, jak i negatywne cuda: „Przywołując imię Al-Kaddafiego, wyszedłem z niebieskiego ekranu”; „Wczoraj w nocy skrytykowałem drużynę piłki nożnej z Tobruku, teraz jestem nękany przez szkodliwe oprogramowanie. Pomocy!”. Nawet gdy prezydenckie ambicje Al-Kaddafiego spełzły na niczym – otrzymał mniej niż pół procent wszystkich głosów, odbierając jedynie część poparcia kandydatowi Partii Jedności, co przesądziło o wyborze Bandara – mieszkańcy cyberprzestrzeni nazywali go królem, Potężnym Dżinnem Internetu.

Co znamienne, niewiele z tego znalazło się w haśle o Al-Kaddafim w Bibliotece Aleksandryjskiej. Artykuł w encyklopedii na temat gubernatora był pełen szacunku w stopniu graniczącym ze służalczością – i pozostał taki, chociaż wielu amatorskich redaktorów próbowało doprawić go lekceważącymi anegdotami i zabawnymi zdjęciami kóz. Człowiek, którego Wadżid Dżamil znał jako wujka Muammara, mógł nie mieć prawdziwych magicznych mocy, za to miał Centrum Danych Tarhuna, największą finansowaną przez państwo serwerownię w kraju, skrytą w górach na południe od Trypolisu: ta zapewniała nieograniczoną pojemność na przechowywanie danych oraz odpowiednią przepustowość łączy do ich przesyłu, dostępne po najniższych cenach dla niego i tych, których gubernator uważał za swoich przyjaciół. Wadżid zadał sobie duży trud, aby pozostać jednym z nich.

Recepcjonistka w Domu Mądrości powiedziała im, że Wadż będzie wkrótce wolny, i zaprosiła ich, aby poczekali w prywatnej kafejce internetowej. Podczas gdy Samir poczęstował się ciastkiem, a Amal oglądała dzieła sztuki na ścianach – akwarele krajobrazów libijskiej Sahary, namalowane przez gubernatora – Mustafa wziął herbatę i usiadł przy komputerze.

Domyślną stroną startową przeglądarki internetowej była Biblioteka Aleksandryjska, ale kilka kliknięć przeniosło go na stronę domową Chrześcijańskiej Straży Mediów, gdzie usilnie dowodzono, że bez względu na to, jak bardzo obawiasz się zachodnich uczniów Jezusa, nie boisz się ich wystarczająco. Banner ukazywał scenę z Volksaufstand: wrzeszczącego Teutona z krwistoczerwonym krzyżem na klatce piersiowej, który zamierzał rzucić koktajl Mołotowa w szereg izraelskich policjantów w wyposażeniu bojowym. Na to nałożony był cytat „Naprzód, żołnierze Chrystusa,

maszerujemy jak na wojnę...”, który w przypisie nazywano fragmentem POPULARNEGO CHRZEŚCIJAŃSKIEGO PSALMU.

Mustafa pamiętał, kiedy pierwszy raz usłyszał tę piosenkę. Był na ostatnim roku studiów na Uniwersytecie Bagdadzkim i dzielił mieszkanie z Samirem, Wadżidem oraz etiopskim studentem z wymiany o nazwisku Kidane Sellasje, który przez większość dnia budował modele z tektury w szkole architektury. Wadżid był podobnie oddany swoim studiom, ale w czwartkowe noce lubił się relaksować, pałac haszysz i oglądając śmieszne filmy: kreskówki, kiepskie filmy i stare programy telewizyjne.

Na tamtą noc Wadż wypożyczył coś, co uważał za kolekcję komputerowo animowanych filmów krótkometrażowych z festiwalu filmowego w Tunisie. Jednak w wypożyczalni wideo zaszła pomyłka i na kasecie w pudełku był w rzeczywistości film dokumentalny o amerykańskich chrześcijańskich fundamentalistach. W myśl teorii, że wszystko może być zabawne po odpowiedniej dawce haszu, Wadż nabił swoją fajkę i wetknął kasetę do magnetowidu. Do siedzącego na kanapie dołączył Samir, ale Mustafa, który następnego dnia miał egzaminy, poszedł do swojego pokoju, aby się pouczyć.

Pół godziny później wybuch śmiechu wyciągnął go z pokoju.

– Co przegapiłem?

Samir śmiał się tak mocno, że z trudem łapał powietrze:

– Cofnij! Cofnij!

Wadż przewinął taśmę z powrotem. Gdy nacisnął przycisk odtwarzania, dziecięcy chór zaśpiewał:

Naprzód, żołnierze Chrystusa, maszerujemy jak na wojnę,

Z krzyżem Jezusowym niesionym na przedzie.

Patrzaj, jak powiewają jego proporce strojne,

Gdy Chrystus, Pan zastępów, na wroga nas wiedzie.

– Nie łapię żartu – powiedział Mustafa.

Samir niezdarnie chwycił pilota:

– Cofnąłeś za daleko!

– Wiem! – odparł Wadż. – Wiem! – A potem do Mustafy: – Poczekaj, po tej piosence jest następna...

Następna piosenka była folkowym utworem o różnych rodzajach Żydów i o tym, że znacznie lepiej jest być wyznawcą Chrystusa:

Nie chcę być faryzeuszem (Nie!)

Saduceuszem (Nie!) lub machabeuszem (Nie!)

Wolę być Bożą owieczką

Bee! Bee! Bee!

– Bee! – zabeczał Samir. – Be-e-e-e-e!

Wadż przewinał dalej do poszerzonej wstawki o chrześcijanach i ich żywym inwentarzu, która zdaniem Mustafy wcale nie była zabawna, ale ku swemu późniejszemu zawstydzeniu i tak się z niej uśmieł. Potem usłyszał odgłos kroków, obrócił się i zobaczył Kidane Sellasjego, który akurat teraz wrócił do domu i ze smutną miną stał w drzwiach mieszkania.

Mustafa natychmiast przeprosił, a Samir przynajmniej zamknął buzię na kłódkę. Jednak Wadż jeszcze bardziej się pogryzył, próbując znaleźć usprawiedliwienie dla zniewagi i upierając się, że nie nabijał się ze wszystkich chrześcijan, tylko tych fanatycznych, nienawidzących Żydów, amerykańskiej odmiany.

– Cieszę się, że dobrze się czujesz ze swoimi uprzedzeniami, Wadżid – rzekł Kidane Sellasje.

Teraz, rozmyślał Mustafa, krzywiąc się na wspomnienie, Wadżid czuł się nawet jeszcze lepiej ze swoimi uprzedzeniami – chociaż nie uważał już amerykańskich fundamentalistów za temat do żartów.

Mustafa wpisał określenie „wniebowzięcie” w okienko wyszukiwarki Chrześcijańskiej Straży Mediów i ekran wypełnił się miniaturkami filmów. Kliknął jeden z nich opisany jako „FOX News, styczeń 2002 roku” i strona zaczęła przesyłać strumień z zapisem wywiadu z mężczyzną zidentyfikowanym jako EWANGELICKI KAZNODZIEJA Z OKRĘGU FAIRFAX.

– Zatem nie jest pan zaniepokojony arabskimi groźbami ataku? – zapytał reporter.

– Zaniepokojony? – rzekł kaznodzieja. – Nie, proszę pana, czemu miałbym być zaniepokojony?

– Znajduje się pan tutaj blisko Waszyngtonu. I wie pan, że prezydent zapowiedział masakrę, jeśli wojska nieprzyjaciela spróbują wejść do stolicy.

– Cóż, proszę pana. Niech Bóg błogosławi prezydenta, ale to nie przyrzeczeniami człowieka się przejmuję... Proszę mi powiedzieć, czy przyjął pan Jezusa do swego serca?

– Tak, regularnie chodzę do kościoła.

– Nie o to pytałem. Jeśli ktoś, tak jak ja, akceptuje Jezusa jako swojego osobistego zbawcę, ma zapewnione miejsce w niebie i niczego nie musi się bać. Jeśli nie akceptuje, wówczas na ziemi nie ma bezpiecznego miejsca...

– Mówił pan wcześniej o Wielkim Ucisku – rzekł reporter. – Czy wierzy pan, że arabska inwazja może być jego początkiem?

– Jest zbyt wcześnie, żeby to stwierdzić. Słyszeliśmy doniesienia, że głowa izraelskiego Knesetu i wielki rabin Berlina spotykają się potajemnie z przywódcami Zjednoczonych Państw Arabskich i Persji. Chodzą również słuchy, że być może wkrótce będziemy mogli zobaczyć masowy napływ Żydów do Palestyny. Jeśli tak się stanie, to z pewnością będzie to znak zbliżającego się Ucisku.

– I jaka byłaby na to pańska reakcja?

– Powiedziałbym: Sprowadź go! – Kaznodzieja uśmiechnął się. – Powiedziałbym: Sprowadź również Arabów, ale lepiej, żeby byli przygotowani na niespodziankę, gdy tutaj dotrą.

– Czy uważa pan, że Bóg... ich ukarze?

– Nie, proszę pana, uważam, że przybędą i znajdą pustą ziemię. A przynajmniej bardziej pustą... Jeśli chodzi o wniebowzięcie, to wiem, że ja na pewno nie zostanę w domu...

Amal, skończywszy z dziełami sztuki, stanęła teraz u boku Mustafy, żeby obejrzeć film. Zapytała o kaznodzieję:

– Sądzisz, że jest teraz z Bogiem?

– Może, jeśli pozostał w Fairfax. Ale wątpię, żeby poszedł żywcem do nieba, tak jak się spodziewał.

Chociaż atak sił koalicji na Waszyngton nie obył się bez ofiar, zapowiedź masakry złożona przez amerykańskiego prezydenta nie ziściła się. Jednak rok później, po tym, jak rebelianci w wiosce o nazwie Langley zamordowali grupę cywilnych przedsiębiorców, korpus piechoty morskiej Zjednoczonych Państw Arabskich ruszył do okręgu Fairfax, aby przywrócić porządek. Doszło do jednej z najbardziej zaciętych bitew podczas okupacji. Żołnierze piechoty morskiej użyli w końcu pocisków z białym fosforem i bomb napalmowych, aby wyprzeć rebeliantów z gęsto zabudowanych miejskich terenów, na których się okopali.

Mustafa przyglądał się twarzy kaznodziei, zastygłej teraz na ostatniej klatce klipu filmowego. Czy byłeś tam nadal, kiedy z nieba zaczął spadać deszcz ognia? – zastanawiał się. Co wtedy pomyślałeś? Czy uważałeś, że Bóg cię opuścił? Że zostałeś pominięty podczas wniebowzięcia? Czy może natychmiast zacząłeś szukać nowego proroctwa, które nadałoby sens stracie, jakiej nigdy się nie spodziewałeś doświadczyć?

Cukier puder jak garść pyłu osypał się przed ekran komputera.

– Mustafa – rzekł Samir przez kęs ciastka. Wskazał na sekretarkę, która właśnie weszła do kafejki. – Myślę, że Wadż jest już gotowy nas przyjąć.

– Śliczne imię dla ślicznej kobiety – powiedział Wadżid Dżamil. – Czy ona będzie numerem trzecim, Mustafa?

– Słucham? – zapytała Amal.

– Oczywiście żartuję. – Wadż uśmiechnął się, aby zasygnalizować, że nie chciał jej obrazić. – Jestem pewny, że jest już pani mężatką... Być może również matką?

To była kolejna obsesja Wadżida po 9 listopada, wyścig dotyczący różnicy w liczbie ludności pomiędzy światem islamu a chrześcijaństwa. Muzułmanie mieli przeciętnie większe rodziny, ale ponieważ na początku było o wiele więcej chrześcijan, dopiero po wielu dziesięcioleciach liczebność obu tych populacji się wyrówna. I to jeśli nic się nie zmieni: takie kobiety jak Amal, które przedkładały karierę przed rodzinę, stanowiły dowód na to, że współczynniki urodzeń nie są niezmiennie.

Mustafa miał własne powody, aby nie poruszać tego tematu.

– Z całym szacunkiem, Wadżid – powiedział – nie przyszłoby tu rozmawiać o małżeństwie. Jeśli chcesz odbyć głęboką dyskusję na ten temat, powinieneś podjąć ją z matką Amal, panią senator.

– Senator? – Uśmiech Wadża uległ subtelnej zmianie, gdy połączył fakty. – Jest pani córką Anmar al-Majsani?

– Tak, jest. A ty, Wadż, czy nie pracujesz z panią senator nad jakąś ustawą?

– Tak. Prowadzę kampanię na rzecz wuja... gubernatora Al-Kaddafiego, w kwestii projektu ustawy o telekomunikacji...

– Powodzenia – rzekła Amal.

– Cóż – powiedział Wadż, porzucając ten temat. – Przejdźmy do interesów, dobrze? – Wycofał się za swoje biurko, masywny dyrektorski pulpit

wyposażony w liczne ekrany komputerowe. – Proszę, usiądźcie wszyscy. Powiedzcie mi, co Dom Mądrości może zrobić dla Służb Bezpieczeństwa Narodowego...

Usiedli. Mustafa opisał przesłuchanie Costello i przeszukanie jego mieszkania, a potem przedstawił zredagowaną wersję spotkania w biurze Faruka. Pomiął całkowicie udział Idrisa, a o prezydencie wspominał jedynie pośrednio, mówiąc, że zostali poproszeni przez Rijad, aby przyrzeć się bliżej legendzie o mirażu.

– Pomyśleliśmy, że gdyby ktokolwiek wiedział o nowym chrześcijańskim micie, to byłbyś to ty, Wadż – zakończył.

– „Miraż”, hmm... – Wadż postukał na klawiaturze komputera, konsultując się ze swoimi ekranami. – Wygląda na to, że w moich bazach danych jeszcze nic o tym nie ma... Powiedziałaś, że jest to związane z teologią wniebowzięcia?

– To teoria.

– Tak, cóż, to miałyby sens. Ci wierzący we wniebowzięcie są jak każdy chrześcijański kult końca świata, zawsze spodziewają się apokalipsy w przyszłym tygodniu, a gdy nadchodzi ten kolejny tydzień i świat nadal istnieje, ze wszystkich sił próbują wyjaśnić dlaczego. Ciężko nadążyć za tymi wszystkimi teologicznymi nowościami, nawet jeśli się ma komputery... Powiedzcie mi coś więcej o przedmiotach, które znaleźliście. Mogę zobaczyć jakiś?

Mustafa otworzył aktówkę i podał Wadżidowi mapę mirażu Bliskiego Wschodu.

Wadż zauważył to natychmiast:

– Izrael jest w Palestynie?

Mustafa wzruszył ramionami.

– Jeśli Bóg pozwoli, wszystko jest możliwe.

– Ha, a Kirkuk jest częścią Iraku. Spodobałoby się to gościom, którzy redagują kurdyjską edycję Biblioteki. – Wadż roześmiał się. – Właściwie to jest fajne, w całkowicie obłąkany sposób. Czy jest coś jeszcze?

Mustafa pokazał mu gazetę, którą znaleźli w mieszkaniu Costello.

– „The New York Times” – przeczytał Wadżid angielszczyzną równie dobrze jak ta Mustafy. – „Wszystkie wiadomości, które nadają się do druku...”

– To gazeta widmo – rzekł Mustafa. – Według naszych badań, istniał jakiś „New York Times”, ale został zamknięty przez amerykański rząd w 1971 roku za ujawnienie tajemnic państwowych. Wydawcy zostali straceni za zdradę.

– Cóż, wygląda jak prawdziwa. Profesjonalnie wydrukowana.

– Jednak to zdjęcie to wyraźnie podrobka – wtrącił Samir. – Jak myślisz, Wadż? Photoshop?

– Być może. – Wskazał dolny prawy róg pierwszej strony gazety, skąd starannie wycięto prostokąt papieru. – Jak to się stało? Ktoś wyciął przepis?

– Nie jesteśmy pewni, jak to się stało – odparł Mustafa. Po raz pierwszy zauważył wycięcie jakąś godzinę przed otrzymaniem telefonu z informacją o śmierci Gabriela Costello. – W środku również brakuje kilku stron.

– Czy mogę zrobić sobie kopię tego? – zapytał Wadż. – Chciałbym to przeczytać uważnie, być może pokazać mojemu zespołowi badawczemu.

– Byle nie wyszła poza te mury.

– Nie martwcie się, nie umieszczę tego w Bibliotece... Hmm, to interesujące.

– Co?

– Według tego te ataki z 11 września nastąpiły we wtorek.

– Jasne, tak jak 9 listopada – rzekł Mustafa.

– Tak – powiedział Wadż – i w tym rzecz. – Wywołał kalendarz na jednym ze swoich ekranów komputerowych. – Tak, zobaczcie: 11 września 2001 roku wypadał w sobotę, a nie we wtorek.

Samir prychnął.

– Co za niespodzianka, nawet data jest fikcyjna.

Wadżid wpatrywał się w kalendarz.

– Jak o tym pomyśleć, to wielka szkoda, że 11 września nie wypadł we wtorek...

– Czemu? – zapytał Mustafa.

– Ponieważ wówczas 9 listopada przypadłby w piątek.

Piątek: pierwszy dzień weekendu. Mustafa usłyszał kaznodzieję z Fairfax: „Jeśli chodzi o wniebowzięcie, to wiem, że ja na pewno nie zostanę w domu...”.

– Wieże byłyby puste.

– A przynajmniej bardziej puste – rzekł Wadż. – Dozorcy, ludzie z ochrony, prawdopodobnie jacyś pracownicy biurowi pracujący w nadgodzinach. Jednak restauracja byłaby zamknięta, a ewakuacja zostałaby przeprowadzona dużo szybciej...

Zdezorientowany Samir rzekł:

– O czym wy mówicie?

– W krajach chrześcijańskich weekend zaczyna się w sobotę – wyjaśnił Mustafa. – Lub w niedzielę.

– Tak, wiem o tym – powiedział Samir. – I wiem, że bojownicy mogą być idiotami. Ale czy naprawdę uważacie, że nie sprawdziliby i nie upewnili się, że wieże będą tego dnia czynne?

– A jeśli tego nie zrobili? – zapytał Mustafa.

Tylko sobie wyobraźmy: samoloty, które również nie miałyby kompletów pasażerów z powodu święta, uderzyłyby w niemal opustoszałe biura, ciche korytarze i klatki schodowe. Oczywiście to nadal byłaby wielka tragedia, a szok spowodowany zniszczeniem wież wcale nie byłby mniejszy. Jednak kiedy rozwiałby się dym i zaczęłyby się rozchodzić wieści o tym, że w cudowny sposób uniknięto jeszcze większej tragedii, to czy historia

potoczyłaby się inaczej? Może przeważąby rozsądek. Może bezsensowna wojna z Ameryką zostałaby odwołana. Myśl o tej alternatywnej rzeczywistości, w której przeżyłyby nie tylko tysiące poległych żołnierzy, ale nawet ten głupi kaznodzieja z Fairfax, napełniła Mustafę nagłą, irracjonalną radością.

Potem pomyślał o Fadwie i jego radość przygasała.

– Facet – rzekł Wadżid, odczytując z jego twarzy część tego lub wszystko. – Zapomnij o tym. Samir ma rację. Sprawdźliby to.

– Wiem – powiedział Mustafa.

– A nawet gdyby tego nie zrobili... Facet, który sprzedał im bilety na samolot, powiedziałby im coś.

Wadż wyszedł z gabinetu, aby skserować gazetę, a Samir mu towarzyszył. Mustafa i Amal pozostali na swoich miejscach, patrząc w milczeniu przez okno.

– Numer trzeci – powiedziała w końcu Amal, nie mogąc się powstrzymać.

– Przepraszam za to – odrzekł zakłopotany Mustafa. – Zapewniam, że nie powiedziałem Wadżowi o tobie nic, co sugerowałoby niestosowne relacje. On jednak ma bujną wyobraźnię i brak mu odpowiedniego filtra pomiędzy mózgiem a ustami.

– To już zrozumiałam.

– Ponadto bardzo interesuje się moimi sprawami małżeńskimi. Jest bardziej dumny z mojego małżeństwa z Nur niż ja sam w tym momencie; wierzy, że jest za nie odpowiedzialny.

– A to dlaczego? Przedstawił was sobie?

– Nie – odpowiedział Mustafa. – Umożliwił mi zawarcie z nią małżeństwa. Wzrost kursu akcji – wyjaśnił. – Wadż sprzedał mi część swoich udziałów w eBazar kilka miesięcy przed pierwszą ofertą publiczną.

– EBazar! Zatem musisz być bogaty. Dlaczego nadal jesteś w służbach rządowych?

– Byłbym bogaty, gdybym kupił wszystkie udziały, jakie oferował mi Wadż. Jednak zdecydowałem się zabezpieczyć, inwestując w inne internetowe akcje, które nie wypadły nawet w przybliżeniu równie dobrze... Pomimo wszystko był to nieoczekiwany przyływ gotówki. Uważałem, że jestem bogaty. Wystarczająco bogaty, aby przez chwilę bardzo głupio się zachowywać.

– Wybacz mi – rzekła Amal – ale nadal nie rozumiem, jak mogłeś zrobić coś takiego.

– Och, to nie takie trudne. Właściwie istnieje numer zaczynający się od 800, pod który możesz zadzwonić, aby uzyskać informacje o formalnościach związanych z posiadaniem kilku żon. Jest też strona sfinansowana przez rząd, dzięki uprzejmości Al Sauda... Przynajmniej taka była sytuacja. Przypuszczam, że działalność twojej matki w Kongresie mogła doprowadzić do jakichś zmian.

– Nie o to...

– Wiem, o co ci chodziło – powiedział Mustafa. – Po prostu robi się to rozmyślnie, myśląc to, co dozwolone, z tym, co właściwe. Pieniądze jeszcze to ułatwiają. – Spojrzał na nią, a potem kontynuował łagodniejszym tonem: – W porządku, nie oczekuję, że to zrozumiesz. Musiałabyś tam być.

BIBLIOTEKA ALEKSANDRYJSKA

ŹRÓDŁO INFORMACJI EDYTOWANE PRZEZ UŻYTKOWNIKA

Kobieca bezpłodność

(Przekierowane z **Bezpłodna**)

Kobieca bezpłodność to stan, w którym kobieta nie może zajść w ciążę lub donosić ciąży. Istnieje wiele rodzajów bezpłodności i wiele możliwych przyczyn, takich jak wady genetyczne, nieprawidłowa budowa anatomiczna, zaburzenia hormonalne oraz efekty różnych chorób.

Bezpłodność kobieca jest jednym z najbardziej powszechnych powodów rozvodu. (...)

Tej nocy, gdy Mustafa poznał Nur

Tej nocy, gdy Mustafa poznał Nur, Fadwa modliła się do Maryi Dziewicy.

Mustafa znał Fadwę od dzieciństwa. Była córką najstarszej przyjaciółki jego matki i ilekroć matka Mustafy jechała z wizytą do swojej rodziny na południu Iraku albo rodzice Fadwy przyjeżdżali do Bagdadu, Mustafa i Fadwa bawili się razem. Kiedy był bardzo młody, siostry Mustafy dokuczały mu czasem, mówiąc, że któregoś dnia on i Fadwa się pobiorą.

Potem, kiedy oboje osiągnęli wiek, w którym chłopcy i dziewczynki powinni bawić się osobno, ojciec Fadwy dostał pracę za granicą, i to akurat w Ameryce. Matka Mustafy była smutna z powodu wyjazdu przyjaciółki, ale również podekscytowana, ponieważ sądziła, że teraz spełnią się jej marzenia o podróżowaniu. Jednak odwiedziny u matki Fadwy w jej nowym domu okazały się nie do zrealizowania. Amerykanie wydawali mało wiz turystycznych, a dwa razy, kiedy matka Mustafy pomyślnie pokonała biurokrację, wycieczka została w ostatniej chwili odwołana. Za pierwszym razem, ponieważ Abu Mustafa nie dostał urlopu na uniwersytecie, a za drugim z powodu podupadającego zdrowia matki Mustafy.

Matka Mustafy zmarła trzy lata przed jego ponownym spotkaniem z Fadwą. Właśnie ukończył studia i podjął pracę w Halal. Słyszał, że rodzina Fadwy wróciła do Iraku – amerykańska posada jej ojca padła ofiarą wojny w Zatoce Perskiej – jednak mimo to był zaskoczony, gdy dostał od niej list z zaproszeniem na ślub jej brata. O mało nie pojechał. Na tamten weekend miał

przydzielone zadanie, obserwację przestępców w Samarze, ale w ostatniej chwili poprosił Samira, aby go zastąpił, a sam pojechał na południe do wioski, w której urodziła się jego matka.

Fadwa wyrosła na piękną młodą kobietę. Mustafa przez większość przyjęcia weselnego kręcił się koło niej, a później tego dnia poszli we dwoje na spacer przez wioskę, żeby odwiedzić ulubione miejsca swojego dzieciństwa. Niewiele się tam zmieniło, oprócz szerokiego kanału nawadniającego, który biegł teraz na zachód. Liczne tablice głosiły, że kanał jest „darem” od Partii Socjalistycznego Odrodzenia Arabskiego, Al-Bas.

Fadwa powiedziała Mustafie, iż jej ojciec myślał o przystąpieniu do partii Al-Bas.

– Nie chce tego zrobić – nie lubi Saddama Husajna ani mu nie ufa – ale przeżył ciężkie chwile, kiedy szukał pracy po naszym powrocie z Ameryki.

– Ma rację, że nie ufa Saddamowi – rzekł Mustafa i zaraz wyjaśnił, że projekt budowy kanału, przepchnięty przez państwową legislaturę za pomocą licznych łapówek, był tak naprawdę skomplikowanym spiskiem mającym na celu zemstę. – Gangi szyickich przemytników wzdłuż perskiej granicy odmówiły dołączenia do syndykatu Saddama, zatem za karę osuszył ich moczary. – Saddam nie przejmował się tym, że przy okazji zniszczył odwieczny sposób życia wielu niewinnych mieszkańców. Niestety, federalny rząd również. – Mój szef próbował zaangażować w tę sprawę Agencję Ochrony Środowiska, która w rzeczywistości ma większą władzę niż Halal, jeśli chodzi o tego typu sprawy. Jednak Irakijczycy najwyraźniej nie zaliczają się do gatunków zagrożonych wymarciem.

– Zatem spada to na ciebie – powiedziała Fadwa, uśmiechając się na widok jego powagi. – Będziesz musiał sam dorwać tego starego gangstera.

– Cóż, zamierzam spróbować – odrzekł Mustafa, odpowiadając uśmiechem.

Kilka miesięcy później siostry i ciotki Mustafy spotkały się oficjalnie z kobietami z rodziny Fadwy, aby wynegocjować szczegóły umowy małżeńskiej. Kiedy to załatwiono, spotkali się mężczyźni i urządzili wspólnego grilla. Ślub Mustafy i Fadwy odbył się w czerwcu. Za pieniądze od rodziny Mustafy kupili sobie skromny domek w podmiejskiej dzielnicy Nowego Bagdadu.

Pierwszy rok ich małżeństwa był szczęśliwy, chociaż kiedy Mustafa później wspominał te dni, często wydawało mu się to czymś, co przydarzyło się innej osobie. Wówczas znów starał się być porządnym muzułmaninem: modlił się regularnie, dawał pieniądze na cele dobroczynne i pościł podczas ramadanu. Większość tego robił po to, aby sprawić przyjemność Fadwie, tak jak kiedyś matce, lecz przynosiło mu to poczucie spełnienia, bardzo podobne do satysfakcji z działania w słusznej sprawie. Poczucie spełnienia rzutowało na jego pracę. Ludzie określali czasem agentów Halal jako „policjantów Boga”, ponieważ egzekwowali oni przepisy prawa dotyczące czystości; Mustafa wolał myśleć o swojej pracy jak o chronieniu słabych przed wykorzystaniem przez niegodziwych, ale obojętnie, jak się ją postrzegało, był to udany rok dla oddziału Boga. Schwytali grupę przemytników i zamknęli dużo złych ludzi. Nawet stary gangster Saddam wydawał się, przez pewien czas, być zwodniczo w ich zasięgu.

Problemy zaczęły się po roku, gdy podczas Świąt Ofiarowania odwiedziła ich w Bagdadzie rodzina Fadwy. Matka Fadwy wielokrotnie komentowała fakt, że jej córka jeszcze nie zaszła w ciążę. Na co czekali? Czy był jakiś problem? Mustafa, sądząc, iż są to kurtuazyjne wyrazy troski, jaką powinna okazywać teściowa, nie zwracał na to uwagi. Fadwa była jednak wstrząśnięta. Gdy jej rodzice pojechali do domu, załamała się i wyznała Mustafie, iż ukrywała przed nim pewien rodzinny sekret. Z jedną z sióstr jej babci ze strony matki rozwiódł się mąż, kiedy się okazało, że jest niezdolna do urodzenia dzieci. Nie tylko dosłownie wyrzucił ją z domu, ale także oskarżył,

że powodem bezpłodności było jej niemoralne zachowanie. Był to nikczemny zarzut, któremu zaprzeczyła, ale tak ją to zawstydziło, że w końcu popełniła samobójstwo.

Mustafa wysłuchał z powagą tej historii, ale nie potraktował jej tak poważnie, jak powinien. Honor rodzinny był ważny, a wspomnienia długo pozostają w pamięci, ale zdarzenia opisane przez Fadwę miały miejsce, zanim jeszcze oboje się narodzili. Co ważniejsze, Mustafa zaczął przyjmować swoje szczęście za pewnik, uważając ubiegłoroczne sukcesy za naturalny stan rzeczy, a nie błogosławieństwo, które może się skończyć. Ta arogancja sprawiła, że zbagatelizował obawy Fadwy.

– Mąż twojej ciotecznej babci chyba był potworem – rzekł, kiedy skończyła.
– A to, co się stało, to tragedia. Jednak to nie ma z nami nic wspólnego.

Fadwa spojrzała na niego ostrożnie.

– A jeśli nie mogę zajść w ciążę?

– Nie bądź niemądra. Zajdziesz. Oczywiście, że zajdziesz.

– A jeśli nie mogę?

– Fadwa, daj spokój. – Chwycił jej twarz w złączone dłonie. – Wiesz, że nigdy bym cię nie wyrzucił.

Zamknęła oczy, skinęła głową i udawała, że ją uspokoił. Jednak po tym dniu relacje między nimi się zmieniły. Fadwa zaczęła częściej domagać się seksu – co samo w sobie nie było czymś, na co można by się skarżyć, ale ten akt był skażony aurą rozpacz, która wciąż rosła. W sprawach wiary Fadwa stała się nieubłagana i upominała Mustafę za każdą próbę uchylania się od religijnych obowiązków.

Sześć miesięcy później Fadwa nadal nie była w ciąży i Mustafa przyznał, że być może istnieje jakiś prawdziwy powód tego, chociaż był przekonany, że tylko chwilowy, jakaś biologiczna przeszkoda, którą medycyna może wyleczyć. Powiedział Fadwie, żeby poszła do lekarza. Uzgodniła termin wizyty, ta jednak wciąż była przekładana. Po kilku miesiącach odwlekania

Mustafa zadzwonił do gabinetu lekarza, aby wyrazić swoje niezadowolenie, i dowiedział się, że to nie doktor odkładał badanie.

Teraz to Mustafa ganił małżonkę.

– Musisz skończyć z tym niemądrym zachowaniem i zbadać się, Fadwa – rzekł. – Cokolwiek jest nie tak, naprawimy to.

Werdykt, który w końcu nadszedł, był druzgocący.

– Przedwczesne wygaśnięcie czynności jajników. – Mustafa, powtarzając słowa lekarza, czuł się niezdarnie i głupio. – Przedwczesne wygaśnięcie czynności jajników to... co to jest, wczesna menopauza?

Nie, to nie była wczesna menopauza; to było coś znacznie gorszego. Kobieta przechodząca menopauzę wie, że nie może mieć dzieci. Kobieta z przedwczesnym wygaśnięciem czynności jajników wie jedynie, że jest mało prawdopodobne, żeby je miała. Od pięciu do dziesięciu procent kobiet w tym stanie nadal udaje się zajść w ciążę, powiedział lekarz, ale ponieważ ukryte przyczyny są nadal słabo poznane, nie można przewidzieć, kto znajdzie się w tej szczęśliwej mniejszości. Mogli zwalczać objawy, ale samej choroby nie byli w stanie wyleczyć.

– Jest pan pewny, że to jest powód? – kilkakrotnie pytał Mustafa, nie dlatego, by wątpił w prawidłowość diagnozy, ale ponieważ potrzebował czasu, aby się do niej przyzwyczaić, do tej nowej rzeczywistości, która była zupełnie inna, niż się spodziewał. Tymczasem Fadwa siedziała obok niego, obserwując go, chłonąc każde jego słowo, każdy tik na twarzy. Gdyby Mustafa miał ponownie przez to przechodzić, należałoby, aby najpierw spotkać się samemu z lekarzem – być może nie był to czyn oświeconego męża, ale pozwoliliby mu on opanować swoje uczucia bez świadków. Obecnie Fadwa cierpiała podwójne męki: słuchając złych wiadomości, obserwując reakcję Mustafy i widząc w tej reakcji spełnienie wszystkich swoich najgorszych obaw. Zanim Mustafa pozbierał się na tyle, żeby ją pocieszyć, było już za późno.

Tej nocy Fadwa cała we łzach zadzwoniła do swojej matki. Po dwudziestu czterech godzinach wiedziała już cała rodzina. Ojciec Fadwy pierwszy zaoferował poradę, mówiąc, że oczywiście nie mogą pokładać zaufania tylko w jednym lekarzu. Potrzebowali drugiej opinii – co najmniej! – a on wiedział, gdzie po nią iść: do szpitala z pierwszorzędną kliniką planowania rodziny, którą otworzono ostatnio w Al-Azamijji.

Mustafa znał szpital, o którym mówił ojciec Fadwy. Był finansowany z darowizn partii Al-Bas oraz Fundacji Saddama Husajna. Już znajdowała się pod obserwacją Halal za możliwe naruszenia związane z narkotykami. Jednak ojciec Fadwy, teraz zaangażowany członek związku, nie uważał już Saddama za złego faceta i kiedy zaproponował, że załatwi wizytę w klinice, Mustafa nie mógł odmówić, nie obrażając go.

Specjalista Al-Bas do spraw płodności potwierdził diagnozę pierwszego lekarza, ale dodał odrobinę optymizmu. Powiedział, że jest kilka eksperymentalnych terapii, które mogą zwiększyć szanse Fadwy na zajście w ciążę.

Mustafa dość naturalnie podejrzewał oszustwo.

– Jeśli leczenie jest eksperymentalne, zakładam, że jego koszty nie są pokrywane przez Niebieski Półksiężyc. Czy fundacja Saddama opłaci nasz rachunek?

– Och, nie, obawiam się, że państwo sami będą musieli ponieść jej koszt – odpowiedział lekarz. – I nie będę kłamał, te terapie nie są tanie... Ale czy tak naprawdę da się wycenić rodzicielstwo?

– Zdaje się, że wy nie wstydzicie się tego robić – odparł Mustafa. Wówczas poczuł rękę Fadwy na swoim przegubie i wiedział, że jego zdanie zostało odrzucone.

Lekarz również o tym wiedział:

– Proszę pozwolić mi wezwać kogoś, kto zajmie się sprawami finansowymi.

Kiedy czekali, aby się dowiedzieć, czy klinika może zapewnić im coś więcej niż tylko nadzieję w zamian za ich oszczędności, Mustafa i Fadwa otrzymali inne terapeutyczne porady od rodziny i przyjaciół dotyczące lekarstw ludowych, talizmanów, jedzenia, które należy jeść, i takiego, którego trzeba unikać. Wujek Mustafy, Tamir, autorytet po spłodzeniu ośmiorga dzieci, powiedział, że zapłodnienie kobiety jest przede wszystkim sprawą odpowiedniej pozycji podczas aktu seksualnego.

Były też terapie religijne. Oprócz regularnego uczęszczania do meczetu Fadwa zaczęła odbywać cotygodniowe pielgrzymki do armeńskiego kościoła pod wezwaniem Matki Boskiej, matki proroka Jezusa. Wierzono, że Maryja, czczona zarówno przez muzułmanów, jak i chrześcijan, była w stanie interweniować w imieniu wiernego; a jej specjalnością, z oczywistych powodów, były sprawy związane z ciążą. Kilku sunnickich kuzynów Mustafy gderało, że to bałwochwalstwo, ale Mustafa bardziej obawiał się tego, że jak wszystko, czego do tej pory próbowali, to również okaże się nieskuteczne.

– Fadwa – powiedział pewnego wieczoru, gdy przygotowywała się do wizyty w domu Matki Jezusa – wiesz, że nigdy nie przestanę się modlić, abyś mogła mieć dziecko, ale jeśli... jeśli to się nie zdarzy, czy będziemy...

Popatrzyła na niego, jakby to on był bałwochwalcą – lub bluźniercą.

– Jak śmiesz tak mówić! Jak śmiesz tak mówić! Bóg może zrobić wszystko!

– Bóg może zrobić wszystko – zgodził się Mustafa. – Może powiedzieć nie. Jeśli to zrobi...

Jednak Fadwa nie chciała słuchać żadnych „jeśli”.

Mustafa poszedł zobaczyć się z ojcem. Jako jedyny spośród krewnych Abu Mustafa powstrzymywał się do tej pory od ofiarowywania rad, ale teraz Mustafa zadał mu pytanie, na które Fadwa odmówiła udzielenia odpowiedzi:

– A jeśli nic nie zadziała? A jeśli my po prostu nie możemy mieć dzieci?

– Kochasz ją? – zapytał Abu Mustafa.

– Tak – odparł Mustafa.

– A jak będziesz się czuł, jeśli nigdy nie zostaniesz ojcem?

Mustafa musiał o tym pomyśleć. Po początkowym szoku spowodowanym diagnozą był tak skupiony na dodawaniu otuchy Fadwie, że nie był już dłużej pewny swoich uczuć.

– Będę rozczarowany, jeśli tak się stanie – powiedział w końcu. – Prawdopodobnie bardziej rozczarowany, niż mogę to sobie teraz wyobrazić. Martwię się jedynie o Fadwę. Nie wiem, czy ona będzie w stanie to zaakceptować. Lub zaufać mi, że ja to zrobiłem.

– Małżeństwo bez zaufania to nieudane małżeństwo – powiedział Abu Mustafa. – Istnieje prosty sposób na rozwiązanie go.

– Nie. – Mustafa potrząsnął głową. – Rozwód by ją zdruzgotał. Mógłby ją nawet zabić. Nie zrobię tego.

Abu Mustafa uśmiechnął się smutno.

– Zatem o co mnie pytasz? Jak żyć z kobietą, która nigdy nie potrafi być zadowolona? Chcesz mojej opinii na ten temat?

– Ojciec – powiedział zawstydzony Mustafa. – Ja nie...

– Nie, wszystko w porządku. Moja odpowiedź jest dosyć prosta: Bądź uprzejmy.

Mustafa zmarszczył brwi. Miał nadzieję na coś bardziej szczegółowego.

– Bądź uprzejmy... To wszystko?

– Jeśli będziesz potrafił robić to konsekwentnie, będziesz lepszym mężem, niż ja byłem – powiedział ojciec. – I, Mustafa? Jeśli nie potrafisz być uprzejmy, bądź szczery. Im prędzej, tym lepiej.

Zrobił, co mógł. Przystał bez narzekania na wszystkie reguły związane z „robieniem dziecka”, jakie proponowała Fadwa, nieważne, jak beznadziejne lub absurdalne się wydawały. Rozwinął w sobie cierpliwość, frustrację zachowywał dla siebie i próbował nie angażować się w kłótnie. Tylko że w ten sposób już nie był szczery, a problem wciąż się pogłębiał.

Aby móc opłacić eksperymentalne kuracje leczące bezpłodność (wszystkie bezwartościowe, a każda kolejna droższa od poprzedniej), Mustafa zaczął prosić o dodatkowe przydziały w pracy, brał również tyle nadgodzin, ile mógł dostać. To oznaczało, że był długo poza domem, czemu Fadwa nie mogła się sprzeciwić. Pomimo to sprzeciwiała się, mówiąc, że Mustafa ucieka od niej, czemu on zaprzeczał.

Te zaprzeczenia nie były kłamstwami, a przynajmniej nie całkiem. Tak, czasami musiał uciec od Fadwy, ale jego głównym celem nie była ucieczka, tylko regeneracja sił. Jakikolwiek były mankamenty jego małżeństwa, Mustafa nadal znajdował spełnienie w swojej pracy. Nie było to tak proste jak kiedyś – jak wielu ludzi walczących z narkotykami przed nim, Mustafa nabrał cynicznego stosunku do zakazu ich używania – ale pokonywanie złoczyńcy, pomszczenie lub, znacznie rzadziej, uratowanie niewinnego, wszystkie te sprawy nadal dawały mu satysfakcję i poczucie, że przyczynia się, w jakimś niewielkim stopniu, do realizacji planu Bożego. Czasem poczucie prawości było zaraźliwe. Wracał do domu po szczególnie dobrym dniu, a Fadwa uśmiechała się i śmiała, i była sobą prawie jak dawniej.

Te błogosławione chwile nigdy nie trwały długo, a na dłuższą metę pomysł zrekompensowania sobie braków w jednej sferze życia sukcesami w drugiej był prawdopodobnie poroniony. Jednak to pozwalało Mustafie dość długo znosić taki stan rzeczy.

Potem, w piątym roku ich małżeństwa, po kolejnej nieudanej serii kuracji, Fadwa wpadła w depresję, która trwała miesiącami. Mustafa aresztował głównego porucznika Saddama w prowincji Al-Anbar, łapiąc go na gorącym uczynku z samochodem załadowanym whisky i przekonując, aby wydał całą sieć dystrybucji w zamian za pobłażliwość. Było to ważne osiągnięcie dla Służb Halal – sukces na ścieżce kariery – ale ani trochę nie poprawił on nastroju Fadwy. Mustafa, ten jeden raz nie potrafiąc opanować swoich uczuć, w końcu krzyknął na nią: Dlaczego nie może cieszyć się jego szczęściem?

Tej nocy leżał, rozmyślając o przyjęciu weselnym, na którym on i Fadwa ponownie się połączyli jako dorośli, i zastanawiając się, jak by wyglądało jego życie, gdyby to się nigdy nie zdarzyło. Co by było, gdyby list od Fadwy z zaproszeniem zginął na poczcie? Co by było, gdyby jego samochód zepsuł się lub gdyby Mustafa tam po prostu nie pojechał? Co by było gdyby, co by było gdyby. Oczywiście może nie sprawiłoby to żadnej różnicy. Być może bez względu na wszystko było mu przeznaczone poślubić Fadwę. Jednak można było sobie wyobrazić świat, w którym tak nie było. Co by było gdyby, co by było gdyby.

Zaczął patrzeć na inne kobiety nie jak na obiekty seksualne (cóż, nie tylko obiekty seksualne), ale jak na wysłanniczki z innego świata. Starał się nie być w tych fantazjach samolubny: gdyby poszedł inną drogą, Fadwa też by to zrobiła, zatem zawsze znajdował jej męża, który był kochający, cierpliwy i uprzejmy, a przede wszystkim posiadał mądrość, jakiej brakowało Mustafie, wiedzę, jak ją uszczęśliwić. Kiedy przyjął takie założenie, wszystkie jego szczegółowe fantazje skupiały się na jego stronie medalu.

Kobieta z kolejki w urzędzie pocztowym; sekretarki w Halal; matka w supermarkecie użerająca się z trojgiem zdrowych dzieci... Co by było gdyby, co by było gdyby. Albo kobieta, którą obserwował, czekając na autobus, obecnie sześćdziesięcioletnia i najwyraźniej niezbyt ładna nawet za młodu, ale tak wyraźnie zadowolona z życia. Jak by to było być żonatym z osobą tak zadowoloną, widzieć to zadowolenie każdego ranka i każdego wieczoru, dzielić z taką osobą łóżko? Co by było gdyby, co by było gdyby. Fantazja powoli przybierała konkretny kształt: chciałbym, chciałbym.

Takie pragnienie jest nieszkodliwe, powiedział sobie, dopóki pamięta, że nie jest rzeczywistością. Miał żonę, którą poślubił, i nie miał drugiej. Nie zamierzał zostawić Fadwy; poprzysiągł to już tysiąc razy i mówił poważnie, nawet jeśli ona mu nie wierzyła. Nie mógł również stać się taki jak Samir,

który już dwukrotnie zerwał zaręczyny z powodu swojej niezdolności do ustatkowania się, do czego szczerze się przyznawał.

Może jednak nie był wystarczająco ostrożny, zachowując te fantazje dla siebie. A może Bóg chciał sprawdzić jego determinację. Pewnego ranka przy śniadaniu Fadwa zaczęła opowiadać mu o kazaniu w kościele, którego wysłuchała poprzedniego wieczoru, dotyczącym żony proroka Abrahama, Sary, i jej służącej, Hagar...

Mustafa tylko udawał zainteresowanie, więc raczej cisza, jaka zapadła po słowach Fadwy, niż one same, spowodowała, że podniósł wzrok. Fadwa stała przy kuchennym zlewie, odwrócona do niego plecami, sztywno wyprostowana, jakby oczekiwała na fizyczny cios.

– Co powiedziałaś? – zapytał Mustafa.

– Powiedziałam, że może powinieneś wziąć sobie drugą żonę. Wówczas mógłbyś mieć dzieci, a ja...

– Mój Boże – rzekł Mustafa, a jego oszołomienie natychmiast zamieniło się we wściekłość. – Mój Boże, Fadwa, jakimi bzdurami ci chrześcijanie wypełniają twoją głowę?

Wypadł z domu jak burza. Fadwa podążyła za nim, wołając go po imieniu, ale był już w drzwiach wejściowych w drodze do swojego samochodu, zanim zdążyła go dogonić.

Jednak nie mógł uciec przed świadomością tego, na kogo tak naprawdę był zły. Nie na Fadwę za jej propozycję. Na siebie za to, że miał ochotę z niej skorzystać.

Martwy mężczyzna nazywał się Ghazi at-Tikriti. Był członkiem partii Al-Bas średniego szerebla, który prowadził szereg melin z alkoholem i półlegalny nocny klub w Ar-Rusafie. W wieczór, o którym mowa, pozostawił samochód na godzinę w strefie z zakazem parkowania, a sam poszedł na kolację; wrócił

i za wycieraczką znalazł mandat oraz paczkę-niespodziankę podłączoną do stacyjki.

Mustafa odwoził Fadwę do kościoła Matki Jezusa, kiedy odebrał telefon.

– To morderstwo – rzekł do Fadwy. – Będę w domu późno. Czy możesz...

– Ktoś mnie podwiezie. – Wysiadła, nie pocałowałwszy go na pożegnanie.

Na miejscu zbrodni byli już Samir i detektyw z wydziału zabójstw o nazwisku Zagros. Grupa umundurowanych policjantów z Bagdadu stała przy sznurze odgradzającym, przyglądając się pożądliwie samochodowi – nowiuteńkiemu ifritowi turbo – i prowadząc ożywioną dyskusję o tym, jak zwłoki wpłyną na jego wartość według tabeli cen używanych pojazdów.

Mustafa był zaskoczony, że pojazd jest nietknięty.

– Powiedziałeś chyba, że facet został wysadzony w powietrze.

– Został – odpowiedział Samir. – Ktoś zamienił poduszkę powietrzną w kolumnie kierownicy na paczkę z kulkami od łożysk i materiałem wybuchowym. Jak śrutówka.

– Zmyślnie – powiedział Zagros, który kucnął przy drzwiach po stronie kierowcy. – Wygląda na to, że odkręcili lampkę na suficie kabiny, żeby facet nie zauważył, że ktoś przy tym majstrował. A może zrobili to, żeby się pochylił, kiedy wkładał kluczyk...

– A co z mandatem za niedozwolone parkowanie? Czy znaleźliście policjanta, który go wystawił?

Samir wskazał na jednego z najwyraźniej zadowolonych z siebie świadków.

– Twierdzi, że nie widział niczego podejrzanego. Jednak tak się składa, że on też jest z Tikritu. Wrzuciliśmy właśnie jego nazwisko do komputera, aby sprawdzić, jak bliskim krewnym jest dla Saddama. I czy ma jakieś doświadczenie związane z mechaniką samochodową.

– Oto portfel ofiary – powiedział Zagros, wstając. – Prawo jazdy pasuje do rejestracji, ale będziemy musieli sprawdzić odciski palców, aby mieć całkowitą pewność.

W zwitek banknotów był wsunięty kawałek papieru z kobiecym imieniem i numerem telefonu.

– Nur – odczytał Mustafa. Papier pachniał lekko perfumami. – Jak myślisz, dziewczyna?

– Albo prostytutka – rzekł Zagros.

– Rozpoznaję numer centrali. To miasteczko uniwersyteckie w Bagdadzie.

– I co z tego? Dziwka nie może zdobywać wyższego wykształcenia? To miasto przyszłości, przyjacielu.

Mustafa zwrócił się do Samira.

– Powinniśmy zdobyć jej adres i pojechać z nią porozmawiać.

– Po co? – Samir popatrzył nad sznur. – Można obstawić dziesięć do jednego, że morderca jest już tutaj.

– Tak, i tysiąc do jednego, że nigdy nic nie powie.

– Sądzisz, że dziewczyna powie?

Nie, pomyślał Mustafa, ale to przyjemniejszy sposób marnowania czasu. I dłużej potrwa.

– Zrób to dla mnie.

– Moja matka miała taką – powiedział Mustafa, podnosząc z półki na ozdoby posążek Bastet, czarnej kobiety kota z anchem na obroży. – Przywiozła ją jako pamiątkę miesiąca miodowego.

– Moja jest prezentem od ojca – rzekła Nur. – Powiedział mi, że ukradł ją dla mnie z grobowca Kleopatry. – Uśmiechnęła się. – Miałam jedenaście lat, gdy zrozumiałam, że to nie złoto, lecz farba.

– Pani ojciec był archeologiem?

– Amatorskim poszukiwaczem skarbów. Nie odnosił zbyt wiele sukcesów. Szło mu lepiej z opuszczonymi magazynami niż ze starożytnymi grobowcami.

– A pani? – zapytał Mustafa, odkładając Bastet na półkę. – Co pani studiuje na uniwersytecie?

– Och, nic – odparła Nur z taką miną, jakby wyznawała nieprzyzwoity sekret. – Nie jestem studentką.

– Nie? Sądziłem, że to studenckie kwatery.

– To tanie zakwaterowanie – rzekła Nur. – Nie byłoby mnie stać na mieszkanie z takim widokiem poza kampusem.

Z tego mieszkania na piątym piętrze bez windy rozpościerała się niczym nieprzesłonięta panorama dzielnic po drugiej stronie rzeki. Mustafa widział w oddali bliźniacze wieże, wznoszące się ku świejącemu w pełni księżycowi.

– To powinno być studenckie mieszkanie – przyznała Nur – ale mam specjalną umowę z Umm Banat.

– Pani gospodynią? – Mustafa przypomniał sobie staruchę, która otworzyła im drzwi na dole. Budynek był akademikiem, i to w dodatku żeńskim, a Umm Banat spojrzała na Mustafę i Samira jak na potencjalnych gwałcicieli; ich odznaki Halal ledwie pozwoliły im wejść. – Jeśli przekonała pani tę kobietę, aby złamała dla pani zasady, musi być pani czarująca.

– Och, potrafię być – odparła Nur. – Kiedy tego chcę.

Była wysoka. Na obcasach byłaby równie wysoka jak Mustafa, a nawet w jedwabnych kapciach, jakie obecnie nosiła, musiała tylko trochę unieść głowę, aby spojrzeć mu w oczy. Popatrzyła mu w oczy szczerze i spokojnie, niewystraszona obecnością dwóch obcych policjantów, którzy przyszli do jej domu o tak późnej porze i jeszcze nie wyjaśnili w jakiej sprawie.

Nie była piękną. Jej twarz o rysach, które zawdzięczała (jak dowiedział się później) egipskim, berberyjskim i hiszpańskim przodkom, była nieco nieregularna, ale interesująca. Odpowiadając na jej spojrzenie, starał się nie rozpraszać – nie myśleć o jej wyglądzie, zachowaniu oraz o tym, co czułby, obejmując kobietę prawie tak wysoką jak on. Fadwa była niska.

– Zatem – zapytał – gdzie pani pracuje?

– W Al-Dżazirze – odparła, znów się uśmiechając, jakby bawiły ją jego usilne starania, aby się skupić, a może po prostu lubiła się śmiać. – Przygotowuję materiały do Tygodnia w Mezopotamii. I czasem pracuję jako wolny strzelec dla FOX, jeśli mają jakąś ekipę spoza miasta, która potrzebuje przewodnika bądź tłumacza.

– Al-Dżazira i FOX – rzekł Mustafa. – Nie wiedziałem, że można pracować dla nich obu jednocześnie.

– Och, to jak lawirowanie między dwoma chłopakami – odpowiedziała Nur. – Trzeba tylko uważać, aby nie znaleźli się jednocześnie w tym samym pokoju.

– Ma pani doświadczenie w lawirowaniu między chłopakami, prawda? – zapytał Samir, wypowiadając swoje pierwsze słowa od ich przybycia. Kiedy Mustafa przekomarzał się z Nur, Samir powoli obszedł mieszkanie, dotykając rzeczy na chybił trafił, szukając jakiegoś obciążającego dowodu lub innego antidotum na swoje znudzenie. Stojąc teraz w kuchni, bardziej przypominającej aneks niż rozszerzenie salonu, sięgnął do otwartej szafki nad kuchenką gazową i wyjął dwa kieliszki do szampana.

– Oho – rzekła Nur. – Teraz mam kłopoty. Znalazł pan moje akcesoria do używek.

Szczypta humoru z bieżących wydarzeń: na początku tego roku jeden z szeregowych członków Partii Boga zgłosił projekt ustawy zakazującej posiadania naczyń „zaprojektowanych specjalnie do spożywania nielegalnych napojów”. Choć projekt ustawy nie przeszedł przez komisję, prasa zwietrzyła go i od tej pory stał się tematem nieustających żartów.

Samir próbował udawać, że nie ma w tym nic śmiesznego.

– Czy jeśli będę szukał dalej, znajdę również butelkę?

– Chyba wolę się nie obciążać, odpowiadając na to pytanie – odparła pogodnie Nur. Zerknęła z ukosa na Mustafę. – Przynajmniej dopóki nie poznam panów lepiej... Nie chciałabym być niegrzeczna dla tak czarujących

dżentelmenów, ale po co tu przyszłście? Z pewnością nie po to, aby przeszukać moją spiżarnię.

– Nie. Jesteśmy tu z tego powodu – odrzekł Mustafa, wyciągając papier, który znaleźli w portfelu Ghaziego. Koniuszki palców Nur otarły się o czubki jego palców, kiedy brała kartkę.

– To numer mojego telefonu – powiedziała Nur – i mój charakter pisma, ale nie pamiętam... Och.

– Och?

Przygryzła dolną wargę.

– Chodzi o samochód, prawda?

– Samochód? – zapytał Samir. Postawił kieliszki do szampana na kuchennym blacie i odwrócił się w jej stronę. – Jaki samochód?

– Cóż – powiedziała Nur, skupiając wzrok na Mustafie. – Ten człowiek...

– Ghazi at-Tikriti – rzekł Mustafa.

– ...tak, kilka dni temu przyszedł do Al-Dżaziry na wywiad i kiedy czekał na wezwanie do studia, flirtował ze mną. W rozmowie wspomniałam, że szukam nowego samochodu, czegoś odrobinę sportowego...

– Czemu pani mu o tym wspomniała?

Wzruszyła ramionami.

– To samo wyszło w rozmowie. A on powiedział, wiedzą panowie, że ma jakiegoś przyjaciela, który załatwia samochody, dobre samochody, bardzo tanio...

Samir parsknął śmiechem i zaraz zasłonił usta, aby stłumić ziewnięcie.

– Czy wiedziała pani, że ten mężczyzna był gangsterem? – zapytał ją Mustafa.

– Cóż – odpowiedziała Nur. – Oczywiście nie przedstawił się w ten sposób, ale...

– Ale pani wiedziała. Zatem musiała pani również wiedzieć albo podejrzewać, że proponował pani kradziony pojazd.

– Wiedziałam, że transakcja odbędzie się bez zadawania żadnych pytań. – Westchnęła. – I wiem, że to było głupie, ale ja naprawdę potrzebuję samochodu, więc dałam mu swój numer telefonu... Ale w jaki sposób go zdobyliście? Aresztowaliście za coś tego mężczyznę?

Mustafa powiedział jej, co się stało. Nur była zaskoczona – jeszcze bardziej, gdy Samir wtrącił się, aby dodać szczegóły na temat tego, w jaki sposób Ghazi umarł – ale z jej reakcji wynikało, że nie tylko nie miała nic wspólnego z morderstwem, ale również mówiła prawdę, że dopiero co poznała tego mężczyznę. Śmierć Ghaziego nie była dla niej osobistą stratą, nie taką, jaką byłaby śmierć kochanka.

– Szkoda oczywiście, że został zabity... – powiedziała.

– Niespecjalnie – rzekł Samir.

– ...ale nie wiem, jak mogę panom pomóc.

– Powiedziała pani, że przyszedł udzielić wywiadu – rzekł Mustafa. – Czy wie pani, na jaki temat?

– Nie. Uważacie, że ma to coś wspólnego z tym, że został zabity?

– To możliwe.

– Mogę dać panom nazwisko i numer telefonu producenta, który prowadził ten wywiad.

– Prosimy – odparł Mustafa. Wskazał kawałek papieru, na którym był zapisany jej numer telefonu. – Czemu po prostu nie zapisze pani tego z tyłu tej kartki?

– Oczywiście. – Jej usta wygięły się w porozumiewawczym uśmiechu. – Podam panu również mój numer telefonu do pracy.

– To byłoby wielce pomocne.

Zanotowała dwa numery i podała mu z powrotem kartkę. Potem jej uśmiech przygasł i zapytała:

– Czy powinnam się obawiać? To znaczy, o swoje bezpieczeństwo.

Samir odpowiedział:

– Samotna kobieta, która zaprasza przestępców, aby wpadli do niej z wizytą? Nie, jestem pewny, że czeka panią długie, intensywne życie.

– Wątpię, aby ludzie, którzy zabili Ghaziego, interesowali się panią – rzekł Mustafa. – Ale proszę, tu jest moja wizytówka... Gdyby ktoś panią niepokoił, może pani do mnie zadzwonić. – W tym momencie powinien był przestać, a w rzeczywistości nawet wcześniej, ale dodał: – Halal okresowo przeprowadza aukcje przejętych dóbr, z samochodami włącznie. Córka poszukiwacza skarbów mogłaby znaleźć jakąś okazję. Mogę panią powiadomić o następnej aukcji.

– Dziękuję – odparła Nur. – Tak, bardzo bym chciała.

Samir, który stał teraz przy drzwiach mieszkania i niecierpliwie pragnął wyjść, głośno odkaszlnął.

– No dobrze – rzekł Mustafa. – Dobranoc.

Kiedy jednak odwrócił się, aby odejść, zatrzymał się i zapatrzył na kuchnię.

– O co chodzi? – zapytała Nur.

– Na pani lodówce stoi butelka dla dziecka. Ma pani dziecko?

– Och, nie – odpowiedziała Nur. – Zostawiła ją tu moja przyjaciółka, Hawwa.

– Och – rzekł Mustafa. A potem: – Chce pani mieć dzieci?

To pytanie samo wyrwało mu się z ust, a zażenowany tym Mustafa był świadomy, że stojący w drzwiach Samir obrzucił go przeciągłym, zdziwionym spojrzeniem.

Jednak Nur była rozbawiona tym pytaniem.

– Nie dziś wieczorem – odparła, śmiejąc się. – Pewnego dnia, z pewnością... Ale nie spiesz mi się.

Dalej się śmiała, patrząc na niego w ten szczery sposób i Mustafa też się roześmiał, kręcąc głową i czując się jak głupek, którym faktycznie był.

Samir ponownie odchrząknął.

– Czy możemy już iść?

Ta noc była początkiem, a tak naprawdę również końcem, gdyż choć później było jeszcze wiele chwil, kiedy Mustafa mógł postąpić inaczej, podświadomie zdecydował się już wówczas. Diabeł szeptał mu do ucha, a on słuchał; reszta to już tylko detale. Nawet nieoczekiwany przyływ gotówki z pierwszej publicznej oferty Wadżida, uznany przez Mustafę za dowód tego, iż Bóg chce, aby zrealizował swoją fantazję, był tylko kolejnym krokiem na drodze, którą już wcześniej obrał.

Teraz, opuszczając Dom Mądrości, znów żałował tego, co się stało. Zamiast udać się do centrali z Samirem i Amal, powiedział im, aby pojechali bez niego.

– Wrócę później.

– Gdzie idziesz? – zapytała Amal, a Samir rzekł z przesadnie dobrym humorem:

– Założę się, że zobaczyc się z kobietą w sprawie samochodu.

– Wiesz, Samir – odparł Mustafa – czasem masz bardziej niewyparzoną gębę niż Wadżid.

– Mustafa...

– Ee! – Mustafa uniósł rękę w wulgarnym geście i odszedł.

Mieszkanie własnościowe, które kupił Nur jako prezent ślubny, znajdowało się w budynku kilka przecznic dalej. Mustafa od kilku lat nie był w środku. Nur wygnała go zmęczona, jak powiedziała, traktowaniem jak niepostawionej w stan oskarżenia współsprawczyni śmierci Fadwy. Mustafa nie obwinił jej, ale nie potrafił pozwolić jej odejść. Zamiast dać jej rozwód, którego chciała, pozwolił, aby ich małżeństwo trwało w stanie zawieszenia. Czasami, gdy był w tej okolicy i gryzło go sumienie, stał na dziedzińcu jej budynku, próbując znaleźć słowa, które uzasadniłyby użycie dzwonka.

Dzisiaj wszystkie zasłony w oknach Nur były zasunięte, co niechybnie oznaczało, że jest poza domem – prawdopodobnie robi coś dla FOX, który zatrudnił ją na pełen etat.

– Twojej żony tu nie ma.

Idris siedział w ciemnym kącie dziedzińca, a na stole przed nim stały wszystkie naczynia do picia herbaty. Jego swobodne zachowanie sugerowało, że zupełnie przypadkowo wybrał to miejsce do odpoczynku późnym rankiem. Niezłe przedstawienie, pomyślał Mustafa; rozpoznał zastawę z kawiarni po drugiej stronie ulicy, ale mimo to ludzie Idrisa musieli się przyłożyć, żeby tak przygotować to miejsce.

– Twojej żony tu nie ma – powtórzył Idris. – Chciałbyś wiedzieć, gdzie jest? I z kim?

Odwołanie się do zazdrości nie było jednak najlepszym sposobem rozpoczęcia rozmowy.

– Czy Al-Kaida oferuje teraz porady małżeńskie?

– Drwij, jeśli chcesz. Ja utrzymałem przy sobie wszystkie moje żony.

– Bez wątpienia pomogły w tym wysokie mury. – Mustafa usiadł i czekał, gdy Idris napełniał jego filiżankę herbatą. – Zakładam, że jesteś tu po to, aby namówić mnie do zaniechania śledztwa.

– Obaj wiemy, że nie możesz go zaniechać teraz, kiedy zaangażowany jest prezydent – rzekł Idris. – Jednak postąpiłbyś mądrze, gdybyś nie prowadził go zbyt sumiennie.

– Skoro o tym mowa, to obaj wiemy, że ten rodzaj mądrości nie jest moim mocnym punktem.

– Tak, już doszedłem do wniosku, że grożenie ci jest bezproduktywne. – Idris spojrzał na niego pogodnie znad filiżanki herbaty. – Ale jakie są inne możliwości? Gra na zwłokę, przekupstwo i wymuszenie?

Och, pomyślał Mustafa, to naprawdę niezbyt mądra uwaga. Już wcześniej podejrzewałem, że w biurze założono podsłuch, a potwierdzenie moich obaw

nie robi na mnie wrażenia. Jednak być może jesteś zbyt dumny, żeby to sobie uświadomić.

– Spróbuj przekupstwa – powiedział. Jestem ciekaw, jaką łapówkę mi zaoferujesz.

– Poczucie słuszności – odparł natychmiast Idris. – I spokój duszy, który za tym idzie.

Mustafa uśmiechnął się.

– Możesz dać mi takie poczucie?

– Pamiętasz, jak się poznaliśmy, Mustafa?

– Tak, pamiętam bardzo dobrze. Byliśmy na szkolnym podwórku. Ty i twoja banda czepialiście się Samira i innego chłopaka, tego, który się jąkał, jak mu było na imię?

– Abd ar-Rahman.

– Właśnie.

– Tak – rzekł Idris – a ty wystąpiłeś w ich obronie.

– Nic dobrego z tego nie wyniknęło. Z tego, co sobie przypominam, pobiliście całą naszą trójkę.

– Oczywiście, że tak. Byliśmy więksi i silniejsi. Wiedzieliś, że was pobijemy. Jednak i tak wkroczyłeś bez wahania.

– A ty uważasz to za godne podziwu? – zapytał Mustafa.

– Działanie bez strachu to aspekt prawości. – Idris dolał sobie herbaty i mówił dalej: – Wiesz, uważam za błędną teorię Faruka, że poczucie winy wskutek śmierci żony jest powodem twoich samobójczych skłonności i lekkomyślnego postępowania. Uważam, że ty zawsze byłeś lekkomyślny.

– Pytam ponownie: I uważasz to za godne podziwu?

– Pogubiłeś się – rzekł Idris. – Zszedłeś na złą drogę i nie jesteś tam, gdzie powinieneś być. Wiesz o tym w głębi duszy. Jednak powrót na ścieżkę Boga jest prostym aktem woli, a ty masz silną wolę. Jeśli zechcesz, możesz być budzącym szacunek świętym wojownikiem. Możemy ci pomóc.

Mustafa potrząsnął z niedowierzaniem głową.

– Zapraszasz mnie do przyłączenia się do Al-Kaidy?

– Jesteś zdziwiony?

– Zdezorientowany.

– Czemu?

– Mówisz, że ponieważ raz stawiałem czoło twojej niegodziwości, teraz chciałbyś być moim mentorem prawego postępowania. Uważam twoje rozumowanie... za sprzeczne z intuicją.

– Nie jestem tym łobuzem, którym byłem, gdy mnie spotkałeś po raz pierwszy – powiedział Idris. – Dorosłem. Afganistan mnie zmienił. Praca z senatorem bin Ladenem zmieniła mnie jeszcze bardziej. Naprawdę powinieneś go poznać, Mustafa. Jest wspaniałym człowiekiem, prawdziwym żołnierzem Boga. Ma plany dla Arabii.

– Jestem pewny, że ma – rzekł Mustafa. – Jednak raczej wątpię, aby w tych planach było miejsce dla mnie.

– Mustafa...

– Wróćmy na chwilę na ziemię i porozmawiajmy o innym świętym wojowniku.

– Jakim?

– Gabrieli Costello.

Idris zmarszczył brwi.

– On nie był świętym wojownikiem.

– Wiesz, co się z nim stało.

– Tak. – Nie potrafiąc ukryć uśmiešku, Idris powiedział: – Zabił się.

– Sądzę, że obaj wiemy, że to nieprawda – rzekł Mustafa. – Costello został zamordowany.

– Nic o tym nie wiem. Nawet jeśli nie odebrał sobie życia, ten mężczyzna był wrogiem Boga. Zabicie takiej osoby to nie morderstwo.

– Nie zgadzam się.

– Nie? – zapytał Idris. – Czy zastrzelenie tego luteranina to było morderstwo?

– Martin Hoffman stanowił bezpośrednie zagrożenie dla życia niewinnej kobiety – odparł Mustafa. – Gabriel Costello był nieuzbrojonym więźniem, zdany na łaskę swoich zabójców.

– Ten człowiek zasługiwał na śmierć.

– Zabiłeś go, ponieważ na to zasługiwał czy żeby go uciszyć?

– Ja... – zaczął Idris, a potem się zreflektował. – Nie rozumiem cię. Jak możesz w ogóle przejmować się terrorystami?

– Sam sobie ostatnio zadawałem to samo pytanie – odparł Mustafa. – Sądzę, że odpowiedzią na nie jest to, że tak naprawdę to nie terrorystami się przejmuję; przejmuję się światem, w którym morderstwo staje się powszednie. Oczywiście masz rację, że zgubiłem drogę. Jednak jeśli rozważysz naturę mojego występku, być może zrozumiesz, czemu nieufnie traktuję interpretowanie ludzkich pragnień jako woli Boga. Tak więc nie sądzą, że byłbym dobrym rekrutem Al-Kaidy.

– Zatem wracam do tego, co powiedziałem na początku – powiedział Idris – że postępujesz niemądrze, działając przeciwko nam. To nie jest groźba, ale obietnica: Jeśli będziesz zbyt intensywnie prowadził to dochodzenie, skończy się to źle dla ciebie i wszystkich, którzy są z tobą.

– Obaj musimy robić to, co uważamy za właściwe – rzekł Mustafa. – A to, jak się to zakończy, jest w rękach Boga. Ale pamiętaj, Idris, nie jesteś Bogiem. Ani twój pan. – Wstał. – Pokój z tobą.

BIBLIOTEKA ALEKSANDRYJSKA

ŹRÓDŁO INFORMACJI EDYTOWANE PRZEZ UŻYTKOWNIKA

Małżeństwo czasowe

Ta strona zawiera **niezweryfikowane informacje prawne**. Czytelnikom zaleca się skonsultować z odpowiednimi władzami przed uznaniem tych informacji za ostateczne.

Małżeństwo czasowe jest małżeństwem ze z góry ustalonym, ograniczonym czasem trwania. Po upływie wstępnego czasu małżeństwa mąż i żona mają możliwość przedłużenia go lub przekształcenia w małżeństwo stałe; jeśli nie zdecydują się na żadną z tych możliwości, małżeństwo zostaje automatycznie rozwiązane, bez potrzeby przeprowadzenia formalnego rozvodu.

PRAWNY I SPOŁECZNY STATUS MAŁŻEŃSTWA CZASOWEGO

Chociaż uznawana przez prawo Zjednoczonych Państw Arabskich, Persję oraz wiele innych krajów muzułmańskich, praktyka małżeństwa czasowego jest wysoce kontrowersyjna i może nieść ze sobą znaczące piętno społeczne, szczególnie dla kobiet, których dotyczy.

Prawie wszyscy teolodzy zgadzają się, że małżeństwo czasowe było dozwolone przynajmniej w pewnym okresie życia proroka Mahometa (pokój z nim). Jednakże większość sunnitów wierzy, iż Mahomet ostatecznie zakazał tej

praktyki. Z drugiej strony, większość szyitów przypisuje ten zakaz drugiemu kalifowi, Umarowi Ibn al-Chattabowi, którego autorytetu nie uznają; tak więc stanowisko szyitów jest takie, że małżeństwo czasowe jest dozwolone, choć niekoniecznie mądre. (...)

Temat ten dzieli również obrońców praw kobiet. Niektórzy radykalni feminiści postrzegają próbne małżeństwo za sposób pogodzenia wyzwolenia seksualnego kobiet z tradycyjnym islamem. Jednak bardziej dominujący feminiści zazwyczaj uważają małżeństwo czasowe i podobną praktykę małżeństwa „na przychodne” za niedobre umowy. Według senator Anmar al-Majsani (Jedność–Irak): „Sprawie wyzwolenia kobiet lepiej przysłużyłoby się wzmocnienie ich praw małżeńskich”.

PRAKTYCZNE CECHY CHARAKTERYSTYCZNE MAŁŻEŃSTWA CZASOWEGO

- Cechą wyróżniającą małżeństwo czasowe jest oczywiście ograniczony czas jego trwania, który zostaje określony na samym początku. Nie ma minimalnego okresu, więc para może zdecydować się wziąć ślub na kilka godzin, a nawet minut – ten fakt oburza krytyków, którzy porównują to z prostyucją.
- Poza wymogiem określenia limitu czasu – i ustaleniem wysokości opłaty ślubnej – para ma znaczną swobodę ustalania warunków małżeństwa, włącznie ze stopniem fizycznej zażyłości. Możliwe są małżeństwa aseksualne. Na przykład para, która chce się dowiedzieć, czy jest zgodna przed zawarciem stałego związku, może zgodzić się na wspólne życie bez podejmowania współżycia seksualnego.
- W odróżnieniu od stałego małżeństwa małżeństwo czasowe nie wymaga świadków ani formalnego zgłoszenia. Wiele autorytetów uważa, że wymagane jest zezwolenie ojca kobiety, szczególnie jeśli jest ona dziewczyną, ale w praktyce ta zasada jest często ignorowana. (...)
- Żona tymczasowa nie jest wliczana do limitu czterech żon, jakie mężczyzna może mieć w danym czasie.
- Po rozwiązaniu małżeństwa kobieta musi przejść okres oczekiwania, aby upewnić się, że nie jest w ciąży, zanim ponownie może wyjść za mąż. Okres oczekiwania nie obowiązuje, jeśli małżeństwo nie miało charakteru

seksualnego, a mężczyzna może oczywiście w każdym wypadku natychmiast ponownie się ożenić.

- Wszystkie dzieci urodzone z czasowego małżeństwa przechodzą pod opiekę ojca.

Gdy Amal dotarła do centrali

Gdy Amal dotarła do centrali, na korytarzu dogoniła ją sekretarka Faruka i odciągnęła na bok.

– O co chodzi, Umm Dabir? – zapytała Amal.

– Bardzo natarczywy mężczyzna o przydomku Abu Salim – powiedziała Umm Dabir, wręczając jej karteczkę z wiadomością z zapisanym na niej numerem telefonu – zadzwonił na bezpośrednią linię Faruka, gdy byłaś nieobecna, i pytał o ciebie. Prawie przekierowałam rozmowę na twoją komórkę, ale zdecydowałam, że lepiej to najpierw z tobą omówić.

– Czemu? Kim on jest?

– Twierdzi, że jest twoim byłym mężem.

– Moim byłym mężem? – Amal potrząsnęła głową. – Mój były mąż nazywa się Hasan. – Hasan był jordańskim funkcjonariuszem policji stanowej, którego poznała przed kilkoma laty, prowadząc sprawę dotyczącą porwania. Ich małżeństwo było krótkie, ponieważ Hasan nie był w stanie, pomimo swoich zapewnień o feministycznym oświeceniu, zaakceptować żony, której praca wymagała podróżowania po całym kraju, kiedy on zostawał w Ammanie. – Niedawno ponownie się ożenił, ale ostatnio słyszałam, że on i jego żona spodziewają się córki, nie syna. Jesteś pewna, że nie powiedział „Abu Salima”?

– Jestem pewna – odparła Umm Dabir. – Zapytałam go, czy nazywa się Hasan Bakri, a on zdenerwował się na mnie. Potem powiedział, że nie, że był

twoim pierwszym mężem... – Zrobiła wielkie oczy.

– Naprawdę? – Twarz Amal nie zdradzała niczego poza lekkim rozbawieniem. – Powiedz mi, czy głos tego Abu Salima nie brzmiał trochę jak głos Samira? A może Abd Allaha?

– Nie. To znaczy, nie sędzę... Co, uważasz, że to kawał?

– Cóż, najwyraźniej. Daj spokój, Umm Dabir, widziałaś moje akta osobowe. Wiedziałybyś, gdybym była dwukrotnie rozwiedziona.

– Tak, oczywiście, ale... Co to za żart?

– Dziecinny. – Amal wzruszyła ramionami. – Wiesz, jak to jest. Myślałam, że mam już za sobą otrzęsiny, ale najwyraźniej nie. – Uniosła karteczkę. – Czy możesz zrobić mi przysługę i nie mówić o tym nikomu? Plotki tylko ich zachęca.

– Oczywiście – odparła rozzłoszczona Umm Dabir, solidaryzując się z Amal. – Co mam zrobić, gdyby ten „Abu Salim” znów zadzwonił?

– Nie zadzwoni – powiedziała Amal. – Dopilnuję tego.

Gdyby chciała kogoś obwiniać, zawsze mogłaby powiedzieć, że to wina Saddama Husajna.

Rok, w którym Amal wyjechała na studia, był tym samym rokiem, w którym sąd federalny postawił w stan oskarżenia wujka Saddama, Chajr Allaha Talfaha. Talfah, były burmistrz Bagdadu, który zrezygnował ze stanowiska w wyniku skandalu, zniknął na jakiś czas z centrum uwagi publicznej, ale federalni o nim nie zapomnieli. Spokojnie budowali przeciwko niemu sprawę o udział w organizacji przestępczej i odetchnęli, gdy Husajn Kamil, zięć Saddama i były doradca Talfaha, zgodził się zostać świadkiem rządu.

Oprócz Talfaha w oskarżeniu wymieniano nazwiska obecnego burmistrza, komisarza policji oraz jego zastępców i kilku wysokich rangą członków partii

Al-Bas. Sam Saddam nie został oskarżony – jeszcze nie – ale skoro Husajn Kamil rozmawiał z prokuratorem generalnym, była to tylko kwestia czasu.

Wszystko to stawiało ojca Amal, Szamala, w trudnym położeniu. Szamal był sierżantem policji w Bagdadzie oraz przedstawicielem Związku Al-Bas. Nie można było należeć do obu, nie będąc w jakimś stopniu skorumpowanym, ale podczas gdy niektórzy ludzie chętnie dawali się korumpować, inni robili tylko to, co musieli. Szamal należał do tej drugiej grupy. On oraz kilku jego przyjaciół o podobnych zapatrywaniach od lat mówili między sobą o tym, by skrzyknąć się i zrobić w policji porządek.

Teraz nagle było to coś więcej niż tylko gadanie. W wyniku przetasowań, jakie nastąpiły po tym procesie, Szamalowi zaproponowano awans na kapitana policji, co również prowadziło do zwiększenia zakresu obowiązków w związku. Gdyby przyjął tę propozycję, nie mógłby już dłużej zachowywać neutralności. Musiałby albo otwarcie ogłosić się reformatorem i zaryzykować konsekwencje, albo przyznać, że brakuje mu odwagi, i zadeklarować lojalność wobec złych ludzi.

Amal, która miała wówczas tylko szesnaście lat, nie powiedziano o niczym, ale z zachowania rodziców i starszych braci mogła wywnioskować, że dzieje się coś ważnego. Pewnej nocy została obudzona z głębokiego snu przez matkę, która kazała jej się ubrać – mieli gości. Kiedy Amal zeszła na dół, jej ojciec siedział przy kuchennym stole z Saddamem Husajnem i jego synem Udajjem.

Przewodniczący Związku Al-Bas był znany ze swoich późnonocnych wizyt u przyjaciół i sojuszników albo ludzi, z których miał nadzieję uczynić swoich sojuszników. W wywiadach przypisywał ten zwyczaj różnym rzeczom: bezsenności, wypełnionemu harmonogramowi, który utrudniał życie towarzyskie za dnia, oraz pragnieniu szczerości.

– Ludzie są bardziej otwarci w późnych godzinach nocnych – twierdził.

To była pierwsza wizyta Saddama u Szamala. Przyniósł prezenty: posrebrzany rewolwer i skrzynkę whisky. Szamal usiłował okazać stosowną kombinację emocji – zaszczyt z powodu tej towarzyskiej wizyty, wdzięczność za prezenty, lekceważący stosunek do złamania prawa – i traktując gościa z szacunkiem, wymijająco wypowiadał się w sprawie zaproponowanego sojuszu.

Było to trudne do wykonania o drugiej w nocy, a Amal nie mogła zobaczyć, co się potem stało. Ona i jej rodzeństwo przebywali w tym pokoju zaledwie przez kilka minut, dopóki matka ich nie przedstawiła, po czym zostali zagonieni z powrotem do łóżek. Kiedy Amal wychodziła z kuchni, spojrzała przez ramię i zobaczyła Udajja z uśmiechem gapiącego się na jej tyłek.

Kilka dni później jej matka poprosiła ją, by usiadła i porozmawiała z nią o studiach. Amal pozostał jeszcze rok do ukończenia szkoły średniej, po której miała nadzieję pójść na Uniwersytet Bagdadzki, ale jej rodzice mieli zupełnie inny plan. Ciotka Amal, Nida, zasiadała w zarządzie Uniwersytetu Libańskiego, który oferował program wcześniejszych przyjęć dla uzdolnionych uczniów. Ze względu na wysokie oceny Amal z pewnością by się zakwalifikowała. Mogła zacząć jako studentka pierwszego roku już tej jesieni.

– Przecież ja nie mam jeszcze świadectwa ukończenia szkoły średniej – rzekła zdezorientowana Amal.

– Będziesz musiała zdać egzamin – wyjaśniła matka. – To jednak żaden problem. Nida przygotuje cię przez lato i znajdzie ci korepetytora. Już się zgodziła. – Zanim Amal zdołała zgłosić sprzeciw, jej matka dodała: – Twój ojciec i ja sądzimy, że to wspaniała okazja. Skorzystasz z niej.

Kilka tygodni później wczesnym rankiem Szamal i Amal wsiedli do rodzinnego kombi i ruszyli na zachód autostradą międzystanową. Amal miała pełno pytań, ale wiedziała, że nie powinna ich zadawać; gdy jechali przez prowincję Al-Anbar, próbowała znaleźć jakieś magiczne słowa, które pomimo

to pozwoliłyby jej zapytać, ale za każdym razem, kiedy sądziła, że już wie, jak zacząć rozmowę, zerknęła na twarz ojca i zapomniała, co zamierzała powiedzieć. W końcu wyczerpana zapadła w drzemkę. Gdy ponownie się obudziła, byli w Syrii.

Zatrzymali się, aby zjeść w niedrożej restauracji poza granicami Damaszku. Odbyli coś w rodzaju rozmowy o tym, na jakie zajęcia Amal zamierza uczęszczać podczas pierwszego semestru. Jednak ta wymiana zdań była zdawkowa, a kiedy wrócili do samochodu, nie odzywali się, aż dojechali do Bejrutu.

Do cioci Nidy dotarli późnym popołudniem. Chociaż byli w drodze od dziesięciu godzin, Szamal oznajmił, że nie zostanie; nazajutrz szedł do pracy i musiał wrócić do Bagdadu. Amal wyczuła, że mniej się przejmuje opuszczeniem dnia pracy niż tym, że musiałby się tłumaczyć, gdzie był.

Szamal postawił walizki Amal na chodniku i pocałował ją w czoło.

– Zachowuj się dobrze – powiedział. – Spraw, żebyśmy byli z ciebie dumni.

Amal otworzyła usta, aby powiedzieć „Tak będzie”, ale zamiast tego z jej ust wyszło:

– Ty również.

Ciocia Nida była odnoszącą sukcesy kobietą interesu, która zaangażowała się w politykę i obecnie zamierzała wystartować w wyborach do Izby Reprezentantów. Była członkinią Partii Jedności, liberalnej, świeckiej, panarabskiej partii koalicyjnej założonej w późnych latach pięćdziesiątych dwudziestego wieku przez Gamal Abdel Nasera. W Libanie przeciwstawiała się jej nie jedna, ale dwie Partie Boga: konserwatywna Narodowa Partia Boga, która była zdominowana przez sunnitów i Saudów, oraz ultrakonserwatywna Libańska Partia Boga, która składała się niemal wyłącznie z szyitów.

Polityczne intrygi, których celem było zwrócenie obu Partii Boga przeciwko sobie, były znakomitym materiałem na fascynujące wojenne opowieści, ale pozostawiały Nidzie niewiele czasu na odgrywanie roli opiekunki, szczególnie kiedy Amal (która bez problemu zdała egzamin z wiadomości z zakresu szkoły średniej) przeniosła się do kampusu Uniwersytetu Libańskiego. Nida kazała jednemu ze swoich synów sprawdzać czasem, co się dzieje z Amal, ale zazwyczaj dziewczyna była pozostawiona samej sobie, co byłoby nie do pomyślenia, gdyby przebywała w Bagdadzie.

Jej dwoma współlokatorkami były Dżamila i Iman, studentki wyższych lat nauk humanistycznych, choć poza tym tak różne kobiety, jak tylko to możliwe. Dżamila, rodowita mieszkanka Bejrutu, studiowała teatrologię i była znana jako, jak to się mówi potocznie, „nowoczesna” dziewczyna. Określenie to mogło oznaczać zarówno „wyrafinowaną wolną duszę”, jak „dziwkę”. Dżamila miała stałą grupę chłopaków i byli to chłopcy najczęściej używający słowa „nowoczesna” w tym drugim znaczeniu – z uśmiechem, kiedy spotykali Dżamilę po raz pierwszy, i ze złością bądź łzami, gdy nieuchronnie ich rzucała.

Iman pochodziła z Al-Chafdzi, bogatego w ropę naftową miasta położonego na brzegu Zatoki. Zamierzała zostać reżyserką filmów dokumentalnych. Iman była również „ninją”: Poza akademikiem i salą gimnastyczną dla kobiet, w której wykonywała swoje ćwiczenia, nosiła czarną abaję z zasłoną nikab, które odsłaniały tylko jej oczy. „Ninja”, podobnie jak „nowoczesna”, było wieloznacznym określeniem, ale każdy, kto z jej sposobu ubierania się wnioskował, że Iman jest zacofaną wieśniaczką, szybko przekonywał się, że jest wprost przeciwnie.

Gdy Amal przyznała się, że zamierza pracować w policji jak jej ojciec, Iman zasugerowała, aby złożyła podanie do Biura.

– Biuro jest bardziej otwarte na kobiety niż większość lokalnych oddziałów policji – rzekła. – To i tak nie będzie łatwe, ale przynajmniej będziesz miała

szansę. I będziesz mogła ścigać rabusiów bankowych.

– To nie rabusiów banków chcę ścigać – powiedziała Amal. Jednak pomysł był dobry.

W niedzielne popołudnia Iman chodziła na zajęcia samoobrony do sali gimnastycznej. Amal zaczęła chodzić razem z nią. Potem usłyszała o strzelnicy w Bejrucie Zachodnim, która oferowała kurs strzelania z pistoletu dla początkujących kobiet, i pod wpływem kaprysu zdecydowała się je sprawdzić. Okazało się, że ma dryg do strzelania z broni palnej.

Tymczasem Dżamila otrzymała główną rolę w studenckim przedstawieniu *Hair*. Przekonała Amal, aby spróbowała zagrać niewielką rolę w sztuce, nadgorliwego agenta Halal. Amal założyła fałszywe wąsy oraz brodę i biegła po scenie podczas jednego z muzycznych numerów, próbując bez powodzenia zarzucić burkę na głowę Dżamili.

Kiedy jej matka dzwoniła w piątkowe noce, Amal nic nie mówiła o tych nadprogramowych zajęciach. Czuła się odrobinę winna, ale wiedziała również, że jej matka także nie mówi jej wszystkiego. Według ogólnokrajowych wiadomości w Bagdadzie panował chaos. Dzięki zeznaniu Husajna Kamila Chajr Allah Talfah został skazany za wszystkie przestępstwa, za które był sądzony, a prokurator generalny teraz otwarcie mówił o wniesieniu oskarżenia przeciwko Saddamowi. To z kolei doprowadziło do serii kawałów o Husajnie Kamilu, takich jak: „Co Husajn Kamil ma wspólnego z kaczołem? Obu znaleziono pływających w Tygrysie!”.

W noc premiery *Hair* podczas pierwszego aktu sztuki student, który był członkiem Libańskiej Partii Boga, podrzucił na scenę bombę dymną i trzeba było ewakuować wszystkich obecnych w teatrze. Kiedy Amal stała na zewnątrz wraz z resztą obsady, czekając na odwołanie alarmu przez komendanta straży pożarnej, zauważyła przystojnego chłopaka obserwującego ją z brzegu tłumu. Śmiał się i z początku sądziła, że może być przyjacielem tego, kto podłożył bombę dymną, ale potem przeciągnął palcem

wzdłuż górnej wargi, a ona uświadomiła sobie, iż źródłem jego rozbawienia były jej sztuczne wąsy, które wciąż miała przyklejone. Potem również się roześmiała, a on podszedł i się przedstawił.

Miał na imię Anwar. Był studentem ostatniego roku, studiował zarządzanie. Jego rodzina pochodziła z Iraku, ale ojciec był dyplomatą, więc Anwar spędził większą część młodości w Rijadzie lub za granicą, w Persji. Właśnie wtedy, kiedy mieszkał w Teheranie, odkrył w sobie zamiłowanie do sztuki, nie tylko do teatru i muzyki, ale również do poezji. Wraz z kilkoma przyjaciółmi założyli nieoficjalny klub poetycki, który spotykał się w kawiarni we wtorkowe i czwartkowe poranki. Może Amal miałyby ochotę kiedyś wpaść i posłuchać ich wierszy?

Przyjęła jego zaproszenie, zabierając ze sobą do kawiarni Dżamilę jako moralne wsparcie. Próbowwała również zaprosić Iman, ale ta odmówiła, utrzymując, że nie chodzi na randki. Kiedy Amal upierała się, że to nie randka, tylko „towarzyskie spotkanie”, Iman powiedziała:

– Nie chodzę zwłaszcza na randki, których nie uważa się za randki.

Poezja, deklamowana głównie w języku perskim, nie była zbyt dobra – lub też jeśli była dobra, szeptane arabskie tłumaczenie Anwara nie oddało jej należycie. Wkrótce Dżamila oświadczyła, że jest znudzona, i wyszła, ale Amal pozostała, ciesząc się łaskoczącym oddechem Anwara na swoim uchu, chociaż wypowiedane przez niego słowa nie były interesujące. Potem odprowadził ją na jej następne zajęcia i zapytał, czy będzie mógł zobaczyć ją ponownie. Zgodziła się.

Zaczęli spotykać się regularnie, chodząc na randki, których nie uważali za randki: pikniki na falochronie ciągnącym się wzdłuż uniwersytetu; długie spacerunki przez centrum miasta, które po piętnastu latach recesji w końcu przechodziło ekonomiczne ożywienie i w którym nowe budynki wyrastały codziennie jak grzyby po deszczu. Amal poznała przyjaciół Anwara, włącznie z kilkoma Amerykanami – zabawnymi ludźmi o łagodnym usposobieniu i z

komicznym akcentem. Po wielu latach, w trakcie inwazji, przypomniała sobie o nich i zastanawiała się, co się z nimi dzieje.

Anwar opowiadał jej o swoich przygodach, jakie przeżył jako syn dyplomaty, a Amal podzieliła się z nim niektórymi politycznymi opowieściami cioci Nidy. Była bardziej ostrożna w kwestii swoich rodziców, ale w końcu wygadała się, że jej ojciec jest policjantem w Bagdadzie. Częściowo na próbę powiedziała Anwarowi o swoim zamiarze zostania agentką Biura. Z jego reakcji wywnioskowała, że uważał to za dziwny wybór kariery, ale nie zlekceważył go.

– Może odwiedzisz mnie w Departamencie Stanu, gdy przyjedziesz do Rijadu – rzekł z uśmiechem.

Zaprosiła go, aby pojechał z nią postrzelać. Anwar nie był urodzonym użytkownikiem broni palnej, ale okazał się świetnym kompanem i oklaskiwał Amal trafiającą wielokrotnie w środek tarczy, podczas gdy sam przeważnie pudłował. W drodze powrotnej do kampusu zatrzymali się w kiosku. Kiedy Anwar kupował papierosy przy ladzie od frontu, Amal poszła do tyłu do regału z gazetami spoza stanu. To tam zobaczyła zdjęcie swojego ojca, w mundurze, na schodach ratusza w Bagdadzie z tuzinem innych oficerów policji. WALCZĄ Z KORUPCJĄ – głosił nagłówek w „Gazecie Bagdadzkiej”. OSKARŻENIE SADDAMA PODBUDOWUJE REFORMATORÓW – dodał „Dziennik”. Nagłówek „Kuriera” był bardziej złowieszczy: TO WŁAŚNIE ONI.

– Amal? – powiedział Anwar, podchodząc do niej. – Wszystko w porządku?

– Tak, w porządku!

Odciągnęła go, zanim zdołał zobaczyć, na co patrzyła. Wtedy pierwszy raz wzięła go za rękę – i nie puściła jej, nawet gdy sklep był już daleko za nimi.

W ciągu kolejnych dni, które potem nastąpiły, były inne pierwsze razy. I tak się złożyło, że niedługo potem, pewnego ranka, kiedy oboje powinni być na

swoich zajęciach, Amal w ich ulubionym miejscu piknikowym na falochronie słuchała Anwara czytającego nowy wiersz, pisane wierszem oświadczyzny. Kluczowe słowo w wierszu – sighe – nie było jednym z garstki określeń w języku perskim, których już się od niego nauczyła, ale z kontekstu i jego namiętnego sposobu mówienia domyśliła się, iż prosił, aby za niego wyszła. I w pewnym sensie tak było.

– Małżeństwo czasowe?

To pojęcie, w zasadzie romans z Bożym błogosławieństwem, zdawało się pochodzić z tandetnego romansidła. Zaliczało się także do kategorii rzeczy, jakich bystra lub szanująca się dziewczyna nigdy by nawet nie rozważała.

Amal nie wiedziała, co myśleć o oświadczeniach Anwara. To było tak, jakby użył epitetu, który miał dwuznaczne znaczenie. Czy miał ją za idiotkę? Czy uważał, że jest dziwką? Czy też tak naprawdę, w jakiś swój dziwny sposób, próbował być miły? Tymczasem Anwar zinterpretował konsternację Amal jako oznakę tego, iż śmiertelnie ją obraził, i próbował cofnąć swoje słowa.

– Proszę – błagał – wybacz mi! Zapomnij, że cokolwiek powiedziałem!

Jednak Amal – przypominając sobie jego oddech w swoim uchu, dotyk jego dłoni – nie była taka pewna, że chce o tym zapomnieć. Musiała to jeszcze przemyśleć.

Rozważyła pójście do szyickiego meczetu na terenie kampusu, ale było to ulubione miejsce przesiadywania członków Partii Boga, a zatem niezbyt przyjemne. Zamiast tego porozmawiała ze swoimi współlokatorkami.

Dżamila potraktowała sprawę lekceważąco:

– Nie bądź śmieszna, Amal! Jeśli chcesz się z nim przespać, po prostu się prześpij.

– Na początku Amal sądziła, że Dżamila chce być „nowoczesna”, ale potem uświadomiła sobie, że jest w tym coś więcej. Dżamila była sunnitką, a sunnici wierzyli, iż małżeństwo czasowe jest grzechem. Oczywiście sunnici jak wszyscy muzułmanie również wierzyli, że seks pozamałżeński jest zakazany,

ale Dżamila najwyraźniej widziała różnicę między grzechami, które lubiła, a grzechami, które uważała za wstrętne.

– Naprawdę uważam, że to trochę obrzydliwe, jeśli się nad tym zastanowić. Coś jak prostytutka.

– Co ty mówisz, Dżamila?

– Cóż... – Dżamila przeszła do defensywy, widząc, że stąpa po niepewnym gruncie. – To po prostu tak, jakby zawrzeć formalną umowę... Jakbyś się wynajmowała...

Amal popatrzyła znacząco na złotą bransoletkę na nadgarstku Dżamili.

– I to mówi dziewczyna, która oczekuje prezentów od wszystkich swoich chłopaków.

– To są prezenty, a nie obowiązki wynikające z umowy!

Iman nie była zdziwiona poglądami Dżamili w sprawie małżeństwa czasowego. Natomiast zaskoczyło ją to, że Anwar ich nie podziela.

– Ponadto czy on nie jest sunnitą?

– Jest sunnitą, ale jego babcia jest szyitką.

– Moja babcia jest żydówką – odparła Iman. – Jednak nie świętuję Jom Kippur.

– Anwar wie, że jestem szyitką – powiedziała Amal. – I szanuje mnie, więc... – Przerwała, ponieważ Iman się śmiała. – Dobrze. Uważasz, że on chce ode mnie tylko seksu, prawda?

– Gdyby był szyitą, zdecydowanie bym tak uważała. I nadal sądzę, że to najbardziej prawdopodobne wytłumaczenie, ale jest pewna różnica: szyicki chłopak, który proponuje małżeństwo czasowe, aby uprawiać seks, może szczerze wierzyć, że przestrzega praw boskich. Sunnicki chłopak wie, że jest cyniczny.

– Cieszę się, że masz takie wysokie mniemanie o Anwarze.

– To nie jest jedyne możliwe wytłumaczenie. Mogę podać inne powody, dla których sunnita może zaproponować małżeństwo czasowe, ale każdy z nich

jest gorszy od tego.

– Jakie inne powody?

– Może być idiotą – odpowiedziała Iman. – Albo umysłowo chory.

– Och, wspaniale. Jeszcze jakiś powód?

– Najgorszy ze wszystkich: Może być w tobie zakochany. Może tak naprawdę chodzi mu o małżeństwo na stałe, ale boi się, że nie jesteś na nie gotowa, więc w ten sposób stara się ci to ułatwić, zwalniając tempo.

– Nazywasz to najgorszym powodem? – zapytała Amal. – Jak to, że Anwar mnie kocha, mogłoby być złą rzeczą?

– Ponieważ ty go nie kochasz – odparła Iman. – Słuchałam, jak o nim mówisz, Amal. Ty lubisz Anwara. Lubisz jego towarzystwo i uwagę, jaką ci poświęca. Odrywa cię od zamartwiania się o twoją rodzinę. Jednak nie kochasz go i nie sądzę, aby małżeństwo czasowe – czy też romans – to zmieniło.

– Cóż, to i tak nie ma znaczenia – powiedziała Amal. – Chcę powiedzieć, że przecież nie zamierzałam powiedzieć Anwarowi „tak”.

– Jednak nie odpowiedziałś mu jeszcze „nie”.

– Nie, ale zamierzam. – A potem, jakby demonstrując, że jeśli ktoś w tej historii wykazał się głupotą, to nie Anwar, dodała: – Nie martw się, Iman. Wiem, co robię.

Numer na karteczce od Umm Dabir miał numer kierunkowy Bagdadu, a nie Rijadu, jak mogła oczekiwać Amal, i wybierając go, wciąż spodziewała się, że mógł to być naprawdę jakiś kawał. Jednak głos, który usłyszała, powiedział „hotel Ar-Raszid”, a gdy poprosiła o rozmowę z Abu Salimem Ibn Amdżadem, została od razu połączona. Zaraz potem usłyszała Anwara.

Oznajmił jej, że przyjechał do miasta na konferencję. Powiedział, że musi się z nią zobaczyć. Nie wyjaśnił po co, ale nie chciał również przyjąć

odmowy, a wszelką ochotę przerwania rozmowy, jaką mogła mieć Amal, powstrzymywała myśl, że Anwar mógłby po prostu zadzwonić ponownie do biura Faruka albo pojawić się tam osobiście.

Podawała nazwę restauracji znajdującej się kilka przecznic od hotelu i zgodziła się spotkać z nim tego wieczoru o wpół do siódmej. Przyjechała wcześniej i jak agent Biura zastawiający pułapkę zaparkowała po drugiej stronie ulicy, przodem w tym kierunku, z którego prawdopodobnie miał nadejść.

Wcześniej wprowadziła jego nazwisko do biurowego komputera. Rzeczywiście był pracownikiem federalnym, chociaż nie pracował, tak jak kiedyś planował, w Departamencie Stanu, lecz w Departamencie Handlu, w Biurze Patentów i Znaków Towarowych. Jego żona Nasrin była czwartą córką byłego przedstawiciela handlowego Persji. Miał z nią dwie córki... i jednego syna.

Abu Salim. Ojciec Salima. Oczywiście to zupełnie naturalne, że ojciec przybiera imię swego pierworodnego. Jednak kiedy ten syn jest wytworem małżeństwa, które nigdy nie powinno zostać zawarte, i kobiety, która cię odrzuciła... Kto tak robi? Co to oznacza? Czego ode mnie chcesz, Anwarze?

Małżeństwo czasowe Amal trwało już pięć miesięcy, gdy usłyszała o nim ciocia Nida. Amal nigdy nie dowiedziała się, kto udzielił Nidzie tej poufnej informacji, chociaż podejrzewała, że to Iman, z czystej życzliwości, wykonała telefon.

Tego dnia poszła na falochron, aby pospacerować i rozmyślać o utopieniu się. Nawet w najgorszej rozpacz Amal nie miała naprawdę samobójczych myśli, ale inny pomysł – ucieczki za morza do jakiegoś kraju, w którym nikt by jej nie znał – spodobał jej się bardziej i gdyby natrafiła na jakąś niestrzeżoną łódź, mogłaby ją wziąć.

Zamiast tego wróciła do akademika. Dziewczyna siedząca na korytarzu gapiła się na nią, kiedy weszła do środka. Amal przeszła szybko, owijając się

abają. Aby ukryć przyrost wagi, ubierała się coraz konserwatywniej, ale nawet burka nie ukryłaby zbyt długo jej brzucha. Już o tym szeptano.

Anwar chciał zrobić coś więcej, niż szeptać.

– Ogłoszmy, że jesteśmy małżeństwem, i zamieszkajmy razem – powiedział.
– Kochamy się, więc w czym problem?

Problem? Problemem była przyszłość, w której Amal będzie mieszkała w Rijadzie nie jako agentka Biura, ale gospodyni domowa z przedmieścia. Przyszłość, w której zamiast pomagać ojcu przegonić z Iraku partię Al-Bas, będzie chodziła na zakupy do centrum handlowego Al-Hajat. Och, i nie kochali się. Anwar był szalony, a Amal głupia.

Otworzyła drzwi do swojego pokoju i zobaczyła tam ciocię Nidę, która siedziała na jej łóżku i paliła papierosa. Amal stanęła jak wryta, w panice próbując wymyśleć jakieś kłamstwo, które mogłaby powiedzieć, ale po minie ciotki Nidy poznała, że byłoby to bezcelowe, gdyż ona już o wszystkim wie.

– Amal – rzekła. – Jestem tobą bardzo rozczarowana.

Ta łagodna nagana, jedyna, jaką otrzymała od Nidy, była dla Amal jak uderzenie w głowę. Nie zemdląca, nie całkiem, ale przerażenie, które już i tak ledwie trzymała w ryzach, obezwładniło ją i przesłoniło świat mgiełką.

Kiedy ta mgła się podniosła, Amal siedziała, a Nida ją przesłuchiwała.

– Ile jeszcze miesięcy?

– Jeszcze jeden – odpowiedziała tępo Amal. – Małżeństwo czasowe skończy się za trzydzieści cztery dni.

– Nie małżeństwa. Cięży.

– Och. – Amal zaczerwieniła się. – Nie wiem. Przypuszczam, że to trzeci lub czwarty miesiąc.

– Trzeci czy czwarty?

– Nie... Czwarty. Sądzę, że czwarty.

– Och. – Tradycja utrzymywała, że Bóg daje płodowi duszę po stu dwudziestu dniach od poczęcia. W kategoriach praw obywatelskich

przekładało się to na to, że aborcja była legalna podczas czterech pierwszych miesięcy, a potem kosztowna. – Czy ten chłopak wie?

– Anwar? Tak, wie. – Prawie się roześmiała. – Uważa, że to wspaniała nowina.

– A ty? – zapytała ciocia Nida. – Chcesz zostać z tym chłopakiem, Amal? Założyć z nim rodzinę?

– Nie. – Bez wahania. – Chcę... – Chcę cofnąć te pięć miesięcy. Chcę przyszłości, którą miałam, zanim zrobiłam tę głupią, głupią rzecz. Chciałabym, chciałabym. – Nie – powtórzyła.

– W takim razie w porządku – rzekł Nida.

– W porządku? – Amal nie mogła wyobrazić sobie, że te słowa dotyczą jej osoby.

– Porozmawiam z moimi przyjaciółmi w stolicy, sprawdzę, kto zna jego rodzinę. – Na wzmiankę o rodzinie Amal wzdrygnęła się, co Nida potwierdziła skinieniem głowy. – Oczywiście będę również musiała powiedzieć twojej matce.

To nie matką Amal najbardziej się martwiła.

– A ojcu?

– Jak wiesz, Szamal ma teraz inne problemy, z którymi musi się uporać. Być może w tej chwili nie powinniśmy rozpraszać jego uwagi. Niczego nie obiecuję – dodała Nida. – Zobaczymy, co powie twoja matka. – Rozglądając się po pokoju, powiedziała: – Dobrze, spakujmy cię.

– Spakujmy?

– Oczywiście. Nie możesz tu zostać w takim stanie.

– Ale... moje studia...

– Będą musiały trochę poczekać. – Nida miała teraz tę swoją minę gracza, wyraz twarzy, jaki przybierała, gdy spiskowała przeciwko Partiom Boga. W jej oczach można było niemal zobaczyć kłębiące się fortele. – Nie martw się, coś wymyślimy...

Amal spędziła następny tydzień w domu swojej ciotki, nie wychodząc na zewnątrz, a nawet nie wyglądając przez okno. Któregoś dnia rozległo się głośne walenie w drzwi wejściowe; Amal schowała się na górze i słuchała, jak Anwar kłóci się wściekle z ciotką Nidą. Wrócił następnego dnia, ale tym razem Nida kazała swoim ochroniarzom, żeby go wyrzucili.

Kilka dni później ciotka usiadła z Amal, aby porozmawiać.

– Rozmawiałam z rodziną tego chłopaka. Ojciec jest rozsądnym człowiekiem. Zgodził się, że najlepiej będzie udawać, że cała ta sprawa w ogóle się nie wydarzyła. – Później przekazała złe wiadomości: – Chłopak sprawia więcej trudności. Cierpi na syndrom buntownika i romantyka. Przypuszczam, że zbyt długo przestawał z artystami w Teheranie.

– Proszę – rzekła Amal, obawiając się najgorszego. – Powiedz mi, że nie muszę z nim zostać.

– Nie. To małżeństwo jest skończone. A raczej niedługo będzie. Jednak chłopak chce czegoś innego. I to tak bardzo, że jest gotów sprzeciwić się swojemu ojcu.

Amal, czując kopnięcie, położyła dłoń na brzuchu.

Nie mogła urodzić w domu cioci. Przy nabierającej rozpędu kampanii wyborczej cioci Nidy jej przeciwnicy próbowaliby wykorzystać wszystko, co tylko by mogli. Jednak Nida miała znajomości w rozmaitych kręgach, pewni ludzie byli jej winni przysługi. Wykonała telefon i zorganizowała wszystko tak, aby Amal mogła donosić ciążę w miejscu, do którego Partia Boga nigdy by nie zajrzała.

Klasztor znajdował się na wybrzeżu, godzinę jazdy od Bejrutu. Amal nigdy nie poznała nazwy tego miejsca ani nawet kobiet, które tam mieszkały. Zakonnice złożyły śluby milczenia, z wyjątkiem siostry Damiany, która spotkała się z nią przed bramą i pokazała jej, gdzie będzie spać.

Amal przydzielono pokój w północnej wieży klasztornej, zwróconej w stronę morza. Widok był ładny, ale mogłaby jakoś wytrzymać bez ikony

Świętej Marii, ironii losu, która nie umknęła jej uwagi. Matko Jezusa, modliła się tego pierwszego dnia Amal, moja prośba jest prosta: Proszę, przestań się we mnie wpatrywać. Później, gdy jej pobyt tam się przeciągał, prosiła o inną przysługę: Czy możemy to jakoś przyspieszyć?

Dziecko rzeczywiście przyszło na świat wcześniej, chociaż poród trwał całą noc. Pod koniec Amal zaczęła majaczyć i wyobrazać sobie siebie w dwóch miejscach jednocześnie: czystym jasnym oddziale szpitala, do którego przywiozła ją siostra Damiana, oraz drugim, ciemniejszym i odizolowanym pokojem, w którym nie było nawet świętego portretu do towarzystwa, tylko migocząca żarówka płonąca wysokim, bezdymnym płomieniem.

– Przyj – powiedziała akuszerka, a może ona sama, i Amal parła.

We wrześniu była z powrotem u cioci Nidy i wypełniła stos formularzy dotyczących jej ponownego przyjęcia do szkoły. Anwar zniknął. Dziecko, którego twarzy Amal nigdy nie widziała, również. Amal miała teraz wyznaczoną godzinę powrotu do domu i płatną przyzwoitkę, która wszędzie jej towarzyszyła, ale poza tym naprawdę było tak, jakby ta cała sprawa nigdy się nie wydarzyła. Najlepsze ze wszystkiego było to, że nadal nic nie powiedziano ojcu Amal i coraz bardziej wyglądało na to, że to nigdy nie nastąpi.

Amal wiedziała, że powinna być wdzięczna, i naprawdę była. Jednak była również przerażona. Szczęścia nie musi równoważyć nieszczęście, ale Amal bardzo się bała, że tym razem tak właśnie będzie. I nie było trudno wyobrazić sobie, w jaki sposób szale mogą się zrównać.

W przeddzień procesu Saddama Husajna Husajn Kamil zniknął. Plotka głosiła, że Kamil, mając przed sobą perspektywę ukrywania się do końca życia, w ostatniej chwili postanowił podjąć nierozważną próbę pogodzenia się z teściem. Wymknął się funkcjonariuszom przydzielonym do jego ochrony i udał się do Saddama, aby błagać o wybaczenie – z łatwym do przewidzenia rezultatem. Z powodu braku zeznania Kamila sprawa przeciwko Saddamowi

upadła; federalni oskarżyciele rozłożyli ręce i wrócili do Rijadu, pozostawiając miejscowych policjantów, którzy przeciwstawili się Saddamowi, bezbronnym i bez wsparcia, jak przednią straż armii wyzwolenia, która nigdy nie nadeszła.

– Ojczy? – rzekła Amal, rozmawiając przez telefon z Szamalem dzień po tym, jak znaleziono ciało Husajna Kamila. – Ojczy, dobrze się czujesz?

– Tak, wszyscy tu mamy się dobrze! – Musiał przekrzyczeć szum w tle. Dzwonił z automatu telefonicznego, gdyż nie ufał już domowej linii. – Jak dobrze usłyszeć twój głos!

– Ojczy, czy przyjedziesz się ze mną zobaczyć?

– Twoja matka wkrótce cię odwiedzi – odparł Szamal. – I twoi bracia też. Myślę, że nie uda mi się teraz nigdzie wyjechać...

– Nie, ojczy, ty też musisz przyjechać!

– Mam tu sprawy, które muszę załatwić, Amal. Zobacę się z tobą, gdy będę mógł. Tęsknię za tobą.

– Ja również za tobą tęsknię, ojczy – odrzekła Amal i zaczęła płakać.

...a teraz ponownie płakała, w tym innym świecie, mieście przyszłości, gdzie nie było już jej ojca.

Słońce odbiło się od przejeżdżającego samochodu i po drugiej stronie ulicy zobaczyła Anwara. Nie zauważył jej, gdy szedł chodnikiem, szukając szyldu restauracji. Amal pospiesznie wzięła się w garść. Mężczyzna z mojej przeszłości, pomyślała, wychodząc, aby zawołać go po imieniu. Tylko nie ten właściwy.

– Dobrze wyglądasz – rzekł Anwar.

Siedzieli w kącie na końcu restauracji, a na stoliku między nimi leżały nietknięte jadłospisy i stały szklanki wody. Amal już żałowała wyboru miejsca spotkania, który w konsekwencji mógł doprowadzić do długiej i

leniwej rozmowy. Chciała się po prostu dowiedzieć, o co chodzi Anwarowi – i co ma zrobić, żeby sobie poszedł – a potem stamtąd wyjść.

Anwar wydawał się równie nieswój. Jego uśmiech był wymuszony, a postawa boleśnie sztywna, jakby przez krzesło, na którym siedział, przechodził słaby prąd elektryczny. Jednak zamiast szybko przejść do sedna sprawy, upierał się przy towarzyskiej pogawędce.

– A zatem – powiedział, próbując z innej beczki – naprawdę tego dokonałaś. To znaczy, zostałaś agentką federalną.

– Tak – odparła Amal.

– To wspaniale! – Obok nich przeszedł kelner, niosąc jedzenie do następnego stolika, i Anwar sięgnął po swoje menu. – Jesteś głodna? Powinniśmy...

– Anwar – powiedziała ostro Amal.

– Racja. – Opuścił menu i podniósł ręce w geście poddania. – Dobrze.

– Proszę, powiedz mi, o co chodzi. Dzwonisz do mojego biura, do biura mojego szefa...

– Przepraszam za to – odparł Anwar. – To było głupie, wiem o tym. Bałem się, że nie będziesz chciała ze mną rozmawiać.

– I dlatego postanowiłeś zadzwonić do mojego szefa? Myślałeś, że wprawiając mnie w zakłopotanie, sprawisz, że chętniej z tobą porozmawiam? Czy może miała to być groźba?

– Nie! Nie, ja... Nie wiem, co sobie myślałem. Jednak to jest ważne, Amal. Musiałem się z tobą zobaczyć.

– Cóż, oto jestem – powiedziała Amal. – O co więc chodzi?

– Chodzi o naszego syna. – Nagle spojrzał na nią wyzywająco, ośmielając do zakwestionowania wyboru tego zaimka. – Nasz syn... zrobił coś bardzo głupiego, czego sam nie mogę odkręcić.

– Co zrobił?

– Myślę, że próbuje pójść w twoje ślady.

– Co to... Anwar, ty nie...

– Nie. – Anwar potrząsnął głową. – On nic o tobie nie wie. Sądzi, że jego matką jest Nasrin, a ona... ona bardzo go kocha. Jednak musi mieć coś z ciebie w swojej krwi. Od kiedy nauczył się mówić, zawsze chciał zrobić coś ekscytującego ze swoim życiem, coś niebezpiecznego. Jako chłopiec często mówił, że zamierza zostać pilotem oblatywaczem, nurkiem głębinowym lub detektywem policji. Potem, po 9 listopada, wymyślił sobie nowy zawód: żołnierz. W swoje trzynaste urodziny powiedział mi i Nasrin, że zamierza pojechać do Ameryki, aby walczyć za swój kraj, zaprowadzić u chrześcijan demokrację i islam. Próbowaliśmy mu to wyperswadować. Powiedzieliśmy, że jeśli naprawdę chce uczynić świat bezpieczniejszym miejscem, powinien zostać dyplomata, jak jego dziadek. – Uśmiechnął się smutno. – Beznadziejny argument... Nasrin i ja pocieszaliśmy się myślą, że wojna się skończy, zanim Salim osiągnie wystarczający wiek, aby się zaciągnąć, oraz że i tak prawdopodobnie wyrośnie z tego pomysłu. I na to wyglądało, a przynajmniej przestał o tym mówić. W zeszłym roku skończył osiemnaście lat i wyjechał na studia. Byłem taki dumny, gdy wybrał Uniwersytet Libański, że nigdy nawet nie przyszło mi do głowy, że prawdziwym powodem, dla którego chciał pojechać do Bejrutu, było to, że tam znajduje się ośrodek szkoleniowy marynarki wojennej. Przyjaciel Salima, który miał być jego współlokatorem, zwodził nas, odbierając wiadomości telefoniczne i przesyłając jego e-maile, tak żebyśmy nie mogli się zorientować, że jest na obozie dla rekrutów. Nasrin zaczęła coś podejrzewać, gdy Salim przyjechał do domu na przerwę zimową – schudł i miał bardzo krótko obcięte włosy – ale powiedział, że dołączył do drużyny zapaśniczej. Potem w maju, kiedy skończył zaawansowane szkolenie i miał dostać przydział, wysłał nam ten list... – Wyciągnął z marynarki dwie pogniecione kartki papieru. – Powinnaś to przeczytać – powiedział, kładąc list na stoliku, ale Amal nie zrobiła żadnego ruchu, aby go wziąć. – Salim przeprasza za wprowadzenie mnie w błąd i za to, że nie jest taką osobą, jaką

chciałem, żeby był. – Anwar spojrział na nią. – Ten dobór słów jest... bardzo znajomy.

Amal zamknęła oczy.

– Anwar – powiedziała – przykro mi, jeśli moja krew spowodowała, że twój syn postępuje wbrew twoim życzeniom. Jednak nie widzę...

– Salim jest teraz w Waszyngtonie. Stacjonuje w Zielonej Strefie. Mówią, że jest tam względnie bezpiecznie, ale żadne miejsce w Ameryce nie jest tak naprawdę bezpieczne. Nie dla muzułmańskiego chłopca, który łąknie podniet.

– Czego ode mnie chcesz, Anwar? Co twoim zdaniem mogę zrobić?

– Oczywiście przenieść Salima z powrotem do Arabii.

– Jak?

– Twoja matka jest senatorem.

– Moja matka! – Amal roześmiała się. – Wiesz, co powie moja matka, jeśli jej powiem, że przyjechałeś się ze mną zobaczyć?

– Nie musisz w ogóle o mnie wspominać. Poproś, aby to zrobiła jako przysługę dla ciebie. To dla niej drobiazg.

– Zatem dlaczego nie poprosisz swojego ojca? Z pewnością były dyplomata ma przyjaciół, którzy mogą wyświadczyć mu taką przysługę.

– Poprosiłem go – odparł Anwar. – I stara się, ale wszyscy jego przyjaciele popierają inwazję, a ci, którzy nadal mają wpływy, obawiają się posądzenia o hipokryzję...

– Może powinni się tego obawiać – rzekła Amal.

Twarz Anwara zaczerwieniła się.

– Jak możesz być taką egoistką?

– Egoistką? Nie mów mi o egoizmie!

– Wiem, co o mnie myślisz, Amal – powiedział Anwar. – Myślisz, że uparłem się, żebyś urodziła Salima, ponieważ myślałem, że dzięki temu ze mną zostaniesz. Cóż, masz rację. Wówczas tak właśnie myślałem. Jednak to

nie był jedyny powód. Wierzyłem wtedy i wierzę teraz, że Salim jest ludzką istotą, która zasługuje na to, żeby się urodzić...

– Mężczyźnie łatwo to powiedzieć.

– Łatwo to powiedzieć ojcu – odparował Anwar. – Salim jest dobrym chłopcem, Amal. Staralem się być dla niego dobrym ojcem. Nie wiesz o tym, ale poświęciłem wiele... I zrobiłbym to wszystko jeszcze raz, a nawet więcej, gdybym mógł... Nie proszę, abyś czuła to co ja. Uważaj Salima za nieznanego, którym dla ciebie faktycznie jest. Nawet życie obcego człowieka jest warte ochrony. Czy nie to właśnie robisz w Służbach Bezpieczeństwa Narodowego, ratujesz życie ludziom, których nawet nie znasz? Zatem zrób to. Uratuj jeszcze jedno.

– A jeśli nie potrafię? – zapytała Amal. – Albo tego nie zrobię?

– Wówczas pokój z tobą – odpowiedział Anwar. – Jeśli twoją odpowiedzią jest „nie”, pójdę w swoją stronę i nie będę cię więcej niepokoił. Być może mój ojciec zdoła jeszcze coś zrobić... Jednak proszę, Amal. W imię Boga, błagam cię, nie mów po prostu „nie”. Najpierw zajrzyj w swe serce. Jeśli Bóg pozwoli, znajdziesz tam trochę litości. Odrobina litości dla naszego dziecka to wszystko, o co proszę.

Wstał nagle, roztrzęsiony i bliski łez, po czym odszedł, przemykając obok kelnera, który właśnie szedł, aby sprawdzić, czy czegoś nie potrzebują. Podmuch wzbudzony jego nagłym odejściem poruszył kartkami listu, który Anwar zostawił na stole. Na ten widok Amal chciała go zawołać, ale on był już w drzwiach, a ona się rozmyśliła. Patrzyła, jak wychodzi, a potem obserwowała przez okno restauracji, jak zmierza z pochyloną głową z powrotem w stronę, z której wcześniej przybył.

– Proszę pani? – Kelner, Pasztun, z zakłopotaną miną i skrzyżowanymi na piersi rękami stanął obok stolika.

– Wszystko w porządku – odpowiedziała. – Czy może mi pan przynieść kawę?

– Oczywiście...

– Amal patrzyła, jak i on pospiesznie odchodzi.

Potem podniosła list Salima i zaczęła czytać.

BIBLIOTEKA ALEKSANDRYJSKA

ŹRÓDŁO INFORMACJI EDYTOWANE PRZEZ UŻYTKOWNIKA

Nie udało się znaleźć żadnych wyników

Szukałeś: „**Ruch praw homoseksualistów**”

Nie ma artykułów o tym tytule. Jeśli jesteś zarejestrowanym użytkownikiem, możesz stworzyć taki temat.

CZĘŚCIOWO PASUJĄCE:

Sodoma i Gomora – 91,5%

Zbrodnie przeciwko naturze – 78,9%

Feminizm – 65,2%

Europejskie zakony klasztorne – 42,3%

Zabójstwo honorowe – 22,4%

Młoda kobieta

Młoda kobieta siedziała przed imamem z pochyloną głową.

– Mój wujek nie jest już moim wujkiem – powiedziała. – Całe noce spędza w klubach jazzowych, gdzie uprawia hazard i pije alkohol. Jest okrutny dla mojej cioci – nie chodzi już do meczetu i drwi z niej, kiedy ona tam chodzi. Przestał się modlić...

– Niestety, to, co opisujesz, nie jest dla mnie niczym nowym – rzekł imam.
– W dzisiejszych czasach zbyt wiele dzieci islamu zostało skuszonych przez nowoczesny świat.

– Nie! – Kobieta spojrzała nagle w górę, robiąc wielkie oczy. – Nie, nie rozumiesz! Mój wujek nigdy nie porzuciłby swojej wiary!

– Ale...

– Mężczyzna, który mieszka w naszym domu, udający mojego wujka, nie jest moim wujkiem. Jest kimś innym. Być może... czymś innym.

Biedna, skazana na porażkę dziewczyna, pomyślał Samir, oglądając tę scenę na ekranie telewizora w świetlicy. Kiedy imam ponownie zobaczył dziewczynę, była już pustą skorupą, światową i bezduszną, a jej skromną chustkę na głowie zastąpiła fryzura w dekadentckim stylu lat pięćdziesiątych. Imamowi powiodło się tylko trochę lepiej. Zamknięty w minarecie własnego meczetu, walcząc ze snem, wybrał śmierć przez skok zamiast przemiany. W ten sposób pokonanie zagrożenia ze strony obcych pozostawiono synowi imama – rozwiązłemu jazzowemu saksofoniście, którego grał

nieprawdopodobnie młody Omar Sharif. W ostatniej części filmu nawrócił się, załadował ciężarówkę materiałami wybuchowymi i staranował bramę nabrzeżnego magazynu, w którym najeźdźcy przygotowywali się do zarażenia całej Arabii.

Samir pamiętał, jak w wieku zaledwie sześciu lat nie położył się spać, żeby późną nocą obejrzeć *Inwazję porywaczy ciała* razem ze swoim ojcem. Kulił się u jego boku i zasłaniał oczy podczas przerażających scen, a potem wiwatował, gdy szczęście odwróciło się od najeźdźców. Dobre czasy.

W późnych latach siedemdziesiątych nakręcono nową wersję tego filmu, w kolorze, z izraelskim aktorem Leonardem Nimoyem w roli skazanego na porażkę imama. Remake wzbudził kontrowersje z powodu swojej wyraźnej seksualności – co powodowało, że „światowość” ludzkich skorup z pierwszej *Inwazji porywaczy ciała* wydawała się staroświecka – a także z powodu pesymistycznego zakończenia. W nowej *Inwazji porywaczy ciała* próba powstrzymania najeźdźców nie powiodła się. Końcowy kadr ukazywał syna imama maszerującego w tłumie, wydającego charakterystyczny pisk człowieka przekształconego w kokon. Sugestia, że obcy w rzeczywistości mogą pokonać islam – że Bóg na to pozwoli – została uznana przez kilku prawdziwych imamów i szajchów za bluźnierstwo. Zaczęły się wezwania do zakazania filmu i demonstracje przed kinami, które go wyświetlały.

Samir zobaczył tę nową wersję kilka lat później, podczas nocnego pokazu w miasteczku uniwersyteckim w Bagdadzie. Nie spodobała mu się. Już wtedy zmagął się z własną inwazją obcych – fizycznymi i emocjonalnymi impulsami, z których od długiego czasu zdawał sobie sprawę i których istnieniu już dłużej nie mógł zaprzeczać. Tematyka filmu była zbyt przykra, a przygnębiające zakończenie zdenerwowało go tak samo jak duchownych.

Nadal jednak uwielbiał czarno-białą wersję.

Abd Allah wszedł do świetlicy w poszukiwaniu kawy w momencie, gdy Omar Sharif właśnie przygotowywał ostateczny atak na magazyn, który był

fortecą najeźdźców.

– Widzę, że ciężko pracujesz.

Samir pokazał swój telefon komórkowy.

– Czekam na telefon od informatora.

– Aha. – Na ekranie Sharif skończył podłączać materiały wybuchowe z tyłu ciężarówki i usiadł za kierownicą. – No, no! – rzekł Abd Allah. – Czy w jakimś współczesnym filmie dzieje się coś innego?

– Nie, Sharif jest dobrym facetem – powiedział Samir. – I nie jest zamachowcem samobójcą.

– Jesteś pewny? Myślałem, że oddał życie, aby zabić obcych.

– Nie, w ostatniej chwili wyskakuje z ciężarówki. O tu, patrz...

Ciężarówka przebiła się przez barykadę i przyspieszyła, jadąc nabrzeżem w kierunku magazynu. Potem na filmie było cięcie i zobaczyli długie ujęcie wybuchającego magazynu.

– Poczekaj chwilkę – rzekł Samir.

Abd Allah roześmiał się.

– Przemontowany dla telewizji.

– Nie, to nie tak. Na pewno wybrakowana kopia lub coś takiego. Poczekaj chwilkę – jest w wodzie i wychodzi z morskiej piany, a Fatin Hamama czeka na niego...

Tak się nie stało. Scenę zniszczenia magazynu pokazywano bardzo długo, kilkakrotnie powtarzając te same wybuchy z wojskową muzyką jako podkładem, a potem pojawił się napis KONIEC.

– To nie tak – powiedział Samir. – Omar Sharif przeżył. Zdobył dziewczynę!

– Tak, cóż. – Abd Allah wzruszył ramionami. – Facet, to tylko film.

– Ale on się tak nie kończy!

Zadzwoił jego telefon komórkowy.

Abd Allah, nie spiesząc się do tego, co zatrzymało go w biurze po zmroku, podążył za Samirem do wind.

– Zatem zamierzasz spotkać się z tym gościem?

– Jakim gościem? – zapytał Samir.

– Twoim informatorem.

– Ach. Nie. Okazało się, że to była strata czasu. Właśnie dzwonił, żeby powiedzieć, że nie może dowiedzieć się tego, czego potrzebowałem.

– Cóż, jeśli zatem nie jesteś zajęty, może chcesz coś zjeść? Albo – Abd Allah wyglądał na pełnego nadziei – pójść do jakiegoś klubu? Mam pilnować podsłuchu, ale teraz, kiedy Faruk poszedł do domu, pomyślałem, że na kilka godzin ustawię aparaturę na automatyczne nagrywanie.

– Wiesz, że bardzo bym chciał – odpowiedział Samir. – Jednak naprawdę nie czuję się zbyt dobrze. Zamierzam pójść do domu i choć raz wcześniej położyć się spać.

„Informatorem” Samira był w rzeczywistości Izaak, jego dawny kolega ze Służb Halal. Izaak nadal pracował w Halal; obecnie dowodził jednostką do zadań specjalnych, która prowadziła dochodzenia w obyczajówce w Bagdadzie. Dzięki monitorowaniu działań obyczajówki i swojej wiedzy o operacjach Halal Izaak potrafił przewidzieć z prawie perfekcyjną dokładnością, które bagdadzkie meliny z alkoholem, burdele lub inne nielegalne lokale są narażone danej nocy na nalot. Wcześniej tego dnia Samir przesłał swojemu staremu przyjacielowi e-mailowy dowcip – był to ich umówiony sygnał, iż zamierza wyjść. Kiedy Izaak miał harmonogram nocnych akcji obyczajówki, szedł do automatu telefonicznego, dzwonił na telefon komórkowy Samira, a potem, nie przedstawivszy się, recytował listę okolic, których należało unikać. Izaak nie pytał, a Samir nie mówił, jakiego rodzaju nielegalnej rozrywki szukał. Jednak Samir był całkiem pewny, że Abd Allah nie byłby nią zainteresowany.

Pojechał do swojego domu w dzielnicy Al-Kazimijja, w którym mieszkał od czasu rozvodu. Wziął prysznic i zmienił ubranie, a potem wyciągnął z portfela wszystkie dokumenty pozwalające ustalić jego tożsamość, ociągając się przez chwilę przy zdjęciu swoich synów bliźniaków, Malika i Dżibrila. Chłopcy, teraz dziesięcioletni, mieszkali z matką w Basrze.

Samir zostawił zdjęcie wraz ze stosem dokumentów potwierdzających jego tożsamość i chwycił prawo jazdy z fałszywym nazwiskiem. Podrobione prawo jazdy stanowiło głównie talizman na szczęście – jeśli wpadnie dziś wieczór w kłopoty, najbardziej prawdopodobną rzeczą, która go z nich wyciągnie, będzie gotówka. Upewnił się, że ma jej dużo.

Tylnymi drzwiami wyślizgnął się z budynku, w którym mieszkał, poszedł na oddalony o kilka przecznic przystanek i złapał autobus na drugą stronę rzeki. Na placu Antar w Al-Kazimijji przesiadł się do metra. Schodząc na stację, ujrzał przelotnie swoje odbicie jak z gabinetu krzywych luster. Przeszedł przez kołowrót, za którym przyciemniana szyba sklepu z artykułami tytoniowymi zaprezentowała mu kolejne odbicie; chociaż już mniej zniekształcone niż pierwsze, to jednak obraz nadal wyglądał jak odbicie nieznanego. Wiedział, że powodem jest sposób, w jaki się poruszał. Wraz z dokumentami Samir zostawił swój zwykły dumny chód.

Wsiadł do kolejki numer 6, podążającej na południowy wschód, wybierając wagon, w którym jedynym pasażerem był długowłosego student Uniwersytetu Bagdadzkiego, wertujący podręcznik do biologii. Samir usiadł naprzeciwko niego i czekał z uśmiechem, licząc na to, że nawiąże kontakt wzrokowy. Jednak chłopak tylko pogрузzył się głębiej w lekturze swojej książki.

Drzwi w odległym końcu wagonu otworzyły się i wsiadł policjant transportu publicznego. Kiedy szedł przez pojazd, stukając pałką policyjną o puste siedzenia, Samir wyprostował się i na chwilę przybrał swoją codzienną minę. Policjant spojrzał na niego, ale bez słowa poszedł dalej.

Na stacji Bab al-Mu'azzam do pociągu weszli razem trzej mężczyźni w mundurach ulicznego patrolu Anioła Stróża Armii Mahdiego. Policjant transportu publicznego, ponownie przechodzący po pociągu, przystanął na moment i podniósł pałkę; gdy jednak wszyscy trzej Aniołowie odwrócili się w jego stronę, ponownie rozważył swoje możliwości i wyszedł na peron na moment przed zamknięciem się drzwi pociągu. Samir nie zdążył wysiąść, zamiast tego wstał i poszedł do następnego wagonu. Odwróciwszy się, zobaczył, jak Aniołowie podchodzą do długowłosego studenta, a jeden z nich wyciąga rękę, aby strzepnąć opadające mu na kołnierzyk loki.

Dwa przystanki dalej konduktor ogłosił przystanek dla przesiadających się do Miasta As-Sadra. Kiedy pociąg ruszył ponownie, Samir znowu zerknął do tyłu do sąsiedniego wagonu. Aniołowie i student zniknęli, ale na podłodze leżał podręcznik ze zniszczonym grzbietem. Samir patrzył na niego, dygocząc wraz z ruchem wagonu.

Mógł zostać marynarzem, gdyby tak bardzo nie bał się utonięcia.

Jego wujek Zuhajr – właściwie kuzyn ojca Samira – był we flocie handlowej. Nikt nigdy nie nazwał go Sindbadem, ale podobnie jak Dawid Cohen był przystojnym mężczyzną, więc było coś dziwnego w tym, że nigdy się nie ożenił. Ilekroć go o to pytano, wuj Zuhajr odpowiadał, że jest zaślubiony morzu. Jeśli osoba zadająca to pytanie była mężczyzną, czasem rzucał sprośny żart o setkach „portów”, jakie odwiedził w swojej karierze.

Nawet teraz, wiedząc z pierwszej ręki, jak daleko może posunąć się człowiek, aby ukryć swoją prawdziwą naturę, Samir jakoś nie mógł uwierzyć, że jego wujek jest wędrownym heteroseksualistą, który po prostu pokochał zapach słonego powietrza. Byłaby to fantastyczna przykrywka. Jednak jedyne doświadczenie Samira z podróżą po głębokich wodach, które zdobył w szkole średniej podczas wycieczki szkolnej do Kuwejtu, było koszmarne. Statek

wycieczkowy, który zabrał klasę z wyspy Fajlaka został złapany przez burzę i z powodu zbyt wysokiej fali uniemożliwiającej bezpieczne wejście do portu musieli sztormować. Samir sądził, że na pewno wywrócić się do góry dnem, a kiedy w końcu udało im się wrócić do portu, poprzysiągł, że już nigdy nie będzie przez to przechodził.

Chociaż nie mógł wykonywać tego samego zawodu, co wuj Zuhajr, nadal mógł przyjąć inne aspekty jego stylu życia. Za młodu Samir miał nadwagę, ale pod koniec szkoły średniej zaczął ćwiczyć, a jego nowa budowa ciała, wraz z ciętym poczuciem humoru, jakie rozwinął w sobie jako mechanizm obronny, okazały się atrakcyjne dla pewnego rodzaju dziewczyn. Na Uniwersytecie Bagdadzkim Samir uchodził za bawidamka. Nie było to całkowicie udawane, ale wciąż wyolbrzymiał swoje wyczyny, czasami lekkomyślnie narażając na szwank reputację zamieszanych kobiet. Czuł się z tego powodu źle, ale był przerażony i rozpaczliwie usiłował ukryć, kim jest – najpierw przed samym sobą, a potem, kiedy samozaprzeczanie stało się niemożliwe, przed przyjaciółmi i rodziną.

Przez pewien czas prowadził podwójne życie, w dwóch oddzielnych światach. Wiedział, że nie będzie mógł wiecznie odgrywać roli podrywacza. Ponieważ był szczurem lądowym, a nie marynarzem, spodziewano się, że się ożeni. Ta perspektywa nie była całkowicie nieprzyjemna. Lubił dzieci i sądził, że byłby dobrym ojcem. Co zaś do roli męża, to cóż, wszystkie filmy i opery mydlane, na których radach polegał w tej kwestii, sugerowały, że dobra żona potrafi doprowadzić do cudownej przemiany. Samir wątpił w to, by nawet wspaniała żona mogła obudzić w nim entuzjazm wobec kobiet, ale miał nadzieję, że przynajmniej będzie umiała ograniczyć jego pożądanie mężczyzn.

Na ostatnim roku uniwersytetu zaręczył się z Sabirą, koleżanką studiującą chemię. Ich zaręczyny, zamiast magicznie go wyleczyć, jeszcze pogorszyły sprawę. Im bliżej dnia ślubu, tym bardziej Samir zaczął zachowywać się jak

żarłok, który ma ostatnią okazję do skorzystania ze szwedzkiego stołu. Kiedy Sabira zażądała, aby wyjaśnił, dlaczego nigdy nie ma go w nocy w domu, kiedy do niego dzwoni, skłamał, wyznając, że widywał się z innymi kobietami. Błagał ją o kolejną szansę, ale jego brak przekonania był ewidentny i Sabira zerwała z nim.

Kilka lat później spróbował ponownie z Asrijją, telefonistką w Halal. Asrijja, chociaż być może mniej bystra niż Sabira, była dużo bardziej spostrzegawcza i domyśliła się prawdy o skłonnościach Samira. Mogła go zniszczyć, ale postanowiła okazać litość, podtrzymując jego wersję powodu ich zerwania.

Po dwóch nieudanych związkach Samir miał nową reputację, która bardzo mu ułatwiała pozostawanie niezonatym bez wzbudzania podejrzeń. Czasami przyjaciele i krewni litowali się nad nim i próbowali umówić go z kobietami, które z różnych powodów nie mogły pozwolić sobie na wybrzydzenie, ale dzięki wyćwiczonym okropnym manierom Samirowi udawało się trzymać nawet te kobiety z daleka.

Nadžat poznał mniej więcej wtedy, gdy Mustafa poznał Nur. Była nową lokatorką w jego budynku i nawiązał z nią znajomość, kiedy pomagał wnieść kilka paczek do jej mieszkania. Nadżat była wdową, jej mąż brał udział w wojnie w Zatoce i zginął od ognia swoich na peryferiach Nowego Orleanu. Od jego śmierci była sama, ale myślała o ponownym zamążpójściu. Wyraziła to w taki sposób – „Myślę o ponownym wyjściu za mąż” – jakby chodziło o umowę biznesową lub zrobienie kroku do przodu w karierze zawodowej, więc wzbudziła zainteresowanie Samira. Małżeństwo nie jako romantyczna przygoda, ale formalna umowa: to mogło odpowiadać jego potrzebom. Jednak nie umiał targować się w dobrej wierze, a Nadżat wykazywała przebłycki takiej samej spostrzegawczości co Asrijja, więc nie kontynuował tego.

W końcu jego zdanie zmieniły dwie rzeczy. Pierwszą była wakacyjna wizyta u siostry Dżauhary. Dżauhara i jej mąż właśnie zostali rodzicami chłopczyka – już trzeciego – i trzymanie w ramionach niemowlęcia rozbudziło w Samirze ojcowską tęsknotę. Mąż Dżauhary, widząc wyraz jego twarzy, powiedział:

– Naprawdę powinieneś się ożenić, Samir. Ty również mógłbyś być tatusiem.

Drugim czynnikiem było oświadczenie Mustafy, że zamierza poślubić Nur. To była szalona decyzja, nawet Mustafa wydawał się to dostrzegać, a jeszcze bardziej szalone było to, że Samir pozwolił, aby wpłynęła na jego własne zachowanie. Jednak w nocy po tym, jak usłyszał tę nowinę, Samir miał sen, w którym był przesłuchiwany przed ławą przysięgłych. Urzędnik dochodzeniowy był podobny do jego nemezis ze szkoły podstawowej, Idrisa Abd al-Kahhara, i chciał wiedzieć, czemu Samir nadal jest samotny.

– Twój najlepszy przyjaciel ma dwie żony – powiedział – a ty nie masz żadnej. Co to oznacza? Jaką wadę ukrywasz?

Samir spojrzał na część sali zarezerwowaną dla przyszłych świadków i zobaczył Asriję z oczami pełnymi sekretnej wiedzy. Obudził się, spazmatycznie łapiąc powietrze.

Następnego dnia wpadł w windzie na Nadżat i zapytał ją, czy nadal myśli o wyjściu za mąż.

Tydzień przed ślubem Samira i Nadżat Halal przeprowadziła nalot na dom księgowego w Al-Azamijji. Księgowy, który niemądrze postanowił sprawdzić swoje zdolności szybkiego strzelania na agentach wyłamujących drzwi, nie przeżył, ale zdobyli jego laptop w nienaruszonym stanie.

Po powrocie do centrali Izaakowi zajęło całe pół godziny odgadnięcie hasła w laptopie – imię ojca księgowego, potem imię jego matki oraz data

urodzenia księgowego pisana od tyłu – a kolejną godzinę przeglądanie plików. Do tego czasu większość pozostałych agentów poszła na kolację; tylko Samir, zajęty wciąganiem na listę dowodów innych przechwyconych przedmiotów, nadal znajdował się w pobliżu.

– Co jest nie tak? – zapytał Samir, ujrawszy minę Izaaka, gdy ten wyszedł ze swojego pokoju. – Tylko nie mów, że nie zdołałeś złamać szyfru.

– Ależ złamałem go – odparł Izaak. – Znalazłem listę płac oficerów policji w Bagdadzie – włącznie z tym posterunkowym, którego podejrzewasz o zamordowanie Ghaziego at-Tikritiego.

– Cóż, to wspaniale, człowieku! Zatem dlaczego masz smutną minę?

Izaak przysunął sobie krzesło do biurka Samira.

– Znalazłem również inny plik – rzekł. – Listę opłacanych federalnych agentów. Włącznie z agentami Halal.

– Och – powiedział Samir, czując ten sam nerwowy dreszcz, jaki przechodził go zawsze, gdy poruszano temat korupcji. Chociaż nigdy nie wziął żadnej łapówki, to podobnie jak każdy agent Halal, popełnił inne wykroczenia – wypróbował towar aresztowanych przemytników alkoholu, czasem zabierał butelkę do domu, a niekiedy po znalezieniu gotówki pozwalał kilku banknotom przykleić się do jego dłoni, zamiast umieścić je wykazie dowodów. W rzeczy samej w tym właśnie momencie siedział na pięciuset rialach, które kilka godzin temu leżały w ściennym sejfie martwego księgowego. Dodatkowa ślubna premia. – I kto jest na tej liście? – zapytał Izaaka. – Ktoś, kogo znam?

– Nikt z naszego zespołu, dzięki Bogu – odpowiedział Izaak. – Ale czy znasz Habiba Murada?

– Tak, pewnie. – Habib pracował na górze, w wydziale zajmującym się tajnymi informatorami. Właściwie to Samir znał go dość dobrze – i to nie tylko z pracy.

Izaak przesunął dłonią po włosach.

– Kurewsko tego nienawidzę. Wiesz, że umiem pracować w zespole, prawda? I nie jest tak, że sam mam nieskazitelnie czyste ręce. Chętnie przymykam oczy na drobne uchybienia. Jednak jeśli facet w biurze zajmującym się tajnymi informatorami bierze pieniądze Saddama, mogą przez niego zginąć ludzie. Nie mogę przymknąć oka na morderstwo.

– Nie – rzekł Samir. – Oczywiście, że nie możesz.

– Tak, oczywiście, że nie mogę. – Izaak roześmiał się, a potem westchnął. – W porządku – powiedział, wstając – pozwól mi to zgłosić, zanim stracę odwagę.

Samir patrzył, jak odchodzi. Potem sam wstał i poszedł znaleźć automat telefoniczny.

Następnego wieczoru Samir zatrzymał się w drodze do domu, aby podrzucić czek do sali, gdzie miało się odbyć przyjęcie weselne. Kiedy wracał do swojego samochodu, obok niego zajechał Habib Murad i gestem ręki pokazał mu, aby ruszył za nim.

Pojechali na pobliski podziemny parking. Habib wjechał na najwyższe piętro, które o tej porze było opustoszałe. Zanim wyłączył silnik i otworzył drzwi, Samir już podchodził do samochodu. Wyciągnął Habiba za kołnierz i zaczął go okładać pięściami.

– Hej! – krzyknął Habib, podnosząc ręce, aby zablokować ciosy. – Przestań! Chcę tylko pogadać! Hej! Hej!

Samir popchnął go do tyłu i wyciągnął pistolet.

– Co, do cholery, tu robisz? – zapytał. – Szuka cię cała Halal.

– Wiem, dostałem twoją wiadomość... – I czujnie przyglądając się broni, Habib dodał: – Nie tylko Halal. Saddam wie, że macie listę księgowego, i robi porządki. Każda osoba na tej liście, która nie siedzi jeszcze w areszcie,

powinna mieć poważny wypadek. Już by mnie dorwali, gdyby nie twoje ostrzeżenie.

– Po co tu jesteś, Habib?

– Żeby ci podziękować za uratowanie mi tyłka.

– Żeby mi podziękować! Myślisz, że zrobiłem to dla ciebie?

– Nie, widzę, że zbyt wiele oczekiwałem – odparł Habib z cieniem rozgoryczenia. – Jeśli jednak w ten sposób chroniłeś siebie, jesteś głupcem. Śmiało, możesz mi grozić, ale to prawda! Obawiałeś się, że co zrobię, w ramach jakiejś umowy ujawnię prokuratorowi okręgowemu, że jesteś pedałem? Chyba masz paranoję, jeśli sądzisz, że w ogóle ich to obchodzi.

Samir wzruszył ramionami.

– Kto wie, czego możesz spróbować, jeśli będziesz wystarczająco zdesperowany? Facet, który współpracuje z Saddamem...

– Tak, i gdybym chciał cię załatwić, to zdradziłbym cię jemu. Za homoseksualne skłonności wyrzuciliby cię z Halal. Wielkie rzeczy. A Saddam? Gdyby wiedział? Zmusiłby cię, abyś dla niego pracował, tak jak mnie. Tak, zgadza się, mądralo. – Habib kiwnął głową. – To dlatego to zrobiłem.

Samir cofnął się o krok.

– Kiedy? – zapytał.

– Kilka miesięcy temu. Wkrótce po tym, jak ze mną zerwałeś. – Odwrócił wzrok. – Poszedłem do domu z nieodpowiednim facetem. Zrobili zdjęcia. Powiedzieli, że powiedzą moim rodzicom, jeśli nie będę współpracował.

– Ale lista księgowego... Płacą ci!

– Oczywiście, że mi płacą. Płacą każdemu – a kiedy już raz weźmiesz pieniądze, to tego haka również mają na ciebie. Powiem ci coś. Właściwie jestem zadowolony, że to się zdarzyło. Myślałem o ucieczce. Oczywiście miałem nadzieję, że zdołam zaoszczędzić trochę więcej pieniędzy, zanim to zrobię.

– To dlatego do mnie przyszedłeś? Chcesz pieniędzy?

– Nie – odparł Habib, a w jego głosie ponownie słychać było rozgoryczenie. Potem mówiąc: – Nie strzelaj – sięgnął do kieszeni marynarki po niebieską kopertę z napisem POSEIDON LINES. W kopercie znajdowały się dwa bilety na prom z Hajfy do Pireusu z datą wyjazdu za trzy dni.

– Co to jest? – zapytał Samir.

– Zaproszenie.

– Za...

– Nadal cię lubię, Samir – powiedział Habib. – Wiem, że to ryzykowna próba, ale byłoby miło uciec z kimś, kogo lubię, i pomyślałem, że być może nie ostrzegłeś mnie jedynie dla własnego dobra...

– Oszalałeś? – zapytał Samir. – Naprawdę chociaż przez moment myślałeś, że porzucę całe moje życie, żeby...

– Moglibyśmy wieść życie w Grecji. W pewien sposób lepsze. Nadal musielibyśmy zachować dyskrecję, ale nie prześladowaliby nas tak jak tutaj. To samo słyszałem o Paryżu, ale lubię wodę...

– Cóż, a ja nie. – Samir rzucił bilety z powrotem w Habiba. Habib złapał jeden, ale drugiemu pozwolił upaść na ziemię. – Jedź do Grecji, Paryża czy gdziekolwiek, do cholery, chcesz, byle daleko stąd – powiedział Samir. – Ja zostaję w Bagdadzie i biorę ślub.

– Tak, wiem, mówiłeś mi o tym – odparł Habib. – Będziesz miał żonę i dzieci, które uwielbiasz, i będziesz żył długo i szczęśliwie. W tę część o dzieciach niemal wierzę. Ale żona? Szczęście? Według mnie to nie potrwa długo.

– To przetrwa dłużej niż ty, jeśli nie wyniesiesz się stąd w cholerę.

– Dobra, dobra, już jadę – powiedział Habib. – Gdybyś jednak zmienił zdanie przed sobotą, zobaczymy się na statku.

Wsiadł do swojego samochodu i minutę później już go nie było. Samir schował pistolet i stał na pustym parkingu, patrząc na bilet leżący na ziemi

przy jego nodze.

Szaleństwo, pomyślał. Szaleństwo. Jak źle musiał mieć w głowie ten facet, żeby przypuszczać, iż ma jakąkolwiek szansę usłyszeć „tak”? To nie było możliwe. Absolutnie nie wchodziło w grę. No tak, oczywiście. Ale jeśli... Jeśli – w jakimś innym świecie, nie tym – było to możliwe? Jeśli to, lub coś podobnego, mogło się naprawdę zdarzyć i udać? Ha! Racja! Gdyby tylko... Gdyby... Byłbym...

Nie.

Nie. To nie było możliwe. To nie było nawet wyobrażalne.

Nie tak kończy się ten film.

Pojechał kolejką numer 6 do końca linii. Ostatni przystanek znajdował się nad ziemią, stacja była mocno pomalowana graffiti i oświetlona ostrym blaskiem neonówek, który sprawiał, że było tam jaśniej niż wokół, gdzie nie działała większość ulicznych latarni. Jak zawsze w tym momencie, Samir miał ochotę przejść na drugi peron i wrócić do domu, ale żona i dzieci nie czekały tam na niego, tak więc były to tylko teoretyczne rozważania.

Zszedł na pogrążoną w ciemnościach ulicę. Przy krawężniku u podnóża schodów na stację podpalono stertę śmieci. Tuż za kręgiem światła stały w bramie dwie kobiety. Samir szybko przeszedł obok nich, próbując emanować obcym mu teraz poczuciem nietykalności stróża prawa. Przecznicę dalej było więcej stert palących się śmieci, a na następnej jeszcze więcej. Minął kolejne bramy, z których każda oferowała jakąś zawołowaną lub wyraźną obietnicę deprawacji; przed jedną z nich młody chłopak pracujący jako naganiacz próbował ucześcić się jego rękawa, ale Samir wyrwał się i przyspieszył kroku.

Pół kilometra od stacji skręcił w lewo w boczną uliczkę, zbierając siły, ponieważ czasem czaili się tu bandyci. Tego wieczoru aleja była pusta. Podeszedł do gładkich żelaznych drzwi na końcu ślepej uliczki. W ścianie nad

futryną była osadzona żarówka w drucianym koszu, a obok niej zamontowano kamerę monitorującą. Kamera, Samir o tym wiedział, miała ostrzegać przed nalotami policji i zazwyczaj nie była ustawiona na nagrywanie, ale pomimo to zachował ostrożność i nie patrzył w górę, gdy nacisnął dzwonek przy drzwiach.

Drzwi otworzyły się i Samir wszedł do środka, w łagodne czerwone światło i łoskot muzyki dyskotekowej. Odźwierny był nowy. Był przystojny w nieco toporny sposób – miał zarost na brodzie i policzkach i wyglądał tak, jakby zaciął się kilka razy przy goleniu. Uśmiechnął się na powitanie, kiwając głową z wdzięczności za dwudziestorielowy banknot, który Samir mu podał. Oparł dłoń o plecy Samira i delikatnie popchnął go naprzód, a potem zamknął i zaryglował drzwi.

Ozdobiona paciorkami zasłona oddzielała wejście od samego klubu. Kiedy Samir przeszedł przez nią, z obu stron wyciągnęły się liczne ręce i złapały go. Zamknęły się żelaznym uściskiem na jego bicepsach, podniosły go i rzuciły głową naprzód na środek sali.

Muzyka ucichła. Zapaliły się światła. Samir podniósł się na klęczki i wstał, mrużąc oczy w jasnym świetle. Klub został wywrócony do góry nogami. Bar, który trzy noce wcześniej zajmował całą ścianę po prawej stronie sali, został wyrwany i pozostało po nim tylko kilka wygiętych gwoździ oraz kawałki rozbitego lustra i potłuczonych butelek. Wszystkie stoły i krzesła znikły, poza jednym wysokim taboretym na środku sali, na którym siedział jakiś mężczyzna wyglądający jak ciemnooki drapieźny ptak.

Przynajmniej jego tożsamość nie była zaskoczeniem.

– Idris – westchnął Samir, z początku bardziej oszołomiony niż przestraszony.

Jakaś część jego świadomości rozpaczliwie czepiała się nadziei, że to wszystko jest złym snem. Odwrócił się, żeby zobaczyć, kto go rzucił na podłogę. Było ich czterech, o takim samym bandyckim wyglądzie jak

odźwierny, ale z niepokaleczonymi brodami. Stali rzędem, odcinając mu drogę ucieczki. Samir z niepokojem zauważył, że każdy z nich trzyma jakiegoś rodzaju pałkę: drewnianą deskę; pręt zbrojeniowy; odłamaną nogę krzesła; łom.

– Idris – powtórzył, ale tym razem w jego głosie słyhać było panikę. – Proszę...

– Bądź cicho, sodomito – powiedział Idris. – Nie przyszedłem tutaj słuchać twojego błagania.

Dzielniejszy człowiek mógłby zakwestionować to stwierdzenie. Patrząc mu w twarz, Samir zobaczył tego samego Idrisa, którego znał i bał się w szkole podstawowej: religijnego bandziora, który twierdził, że kocha Boga, ale kochał tyranizowanie ludzi – a zatem kochał grzech będący pretekstem do używania przemocy. Brzydę się tobą, mówił wyraz jego twarzy. Tak się cieszę, że budzisz moje obrzydzenie. Teraz mogę cię krzywdzić z Bożym błogosławieństwem.

– Zaproponowałem Mustafie możliwość pracy ze mną, ale odmówił – kontynuował Idris. – Jest dumny i nie boi się śmierci. Tak więc jestem zmuszony zająć się słabością i perwersją. – Machnął dłonią w stronę pustej ściany, gdzie powinien znajdować się bar. – To bez wątpienia przesada. Jesteś tchórzem, a tchórzy łatwo złamać. Jednak senator bin Laden kazał mi zrobić pewne rzeczy, abyś zrozumiał, jak bardzo poważnie to traktujemy i do czego się posuniemy, żeby cię zniszczyć, jeśli nie zrobisz dokładnie tego, co ci każemy.

Obok Samira pojawił się odźwierny, trzymając stos fotografii. Jak czarnoksiężnik tworzący magiczny okrąg, zaczął chodzić w kierunku przeciwnym do kierunku ruchu wskazówek zegara, biorąc jedną fotografię za drugą i rzucając je pod nogi Samira. Samir spojrzał w dół i ujrzał siebie w objęciach innego gościa klubu; potem zamknął oczy.

– Za to, kim jesteś, zasługujesz, by cię zabić – powiedział Idris. – I wiesz, że chętnie to zrobię. Zrozum jednak, że jeśli dasz mi ku temu powód, nie tylko cię zabiję. Okryję wstydem twoje imię. Każdy, kto cię zna, kto kiedykolwiek nazwał cię przyjacielem lub powiedział o tobie chociaż jedno życzliwe słowo, dowie się, jakim człowiekiem jesteś. Każdy. Przysięgam ci to.

Samir ponownie otworzył oczy, gdy odźwierny skończył trzecie i ostatnie okrążenie. Odźwierny uniósł ze stosu ostatnie zdjęcie, powiększenie fotografii z portfela Samira: Malik i Dżibril, uśmiechnięci, szczęśliwi, może odrobinę smutni, że ojciec już z nimi nie mieszka – ale nieświadomi, dzięki Bogu, jaki jest tego powód.

– Każdy – rzekł Idris.

BIBLIOTEKA ALEKSANDRYJSKA

ŹRÓDŁO INFORMACJI EDYTOWANE PRZEZ UŻYTKOWNIKA

Republika

Republika jest ustrojem, w którym głowa państwa nie jest monarchą i w pewnym stopniu odpowiada przed jej obywatelami. Ten termin został wymyślony przez chrześcijańskiego filozofa Niccolò Machiavellego od łacińskiego określenia res publica, „rzecz publiczna” (...).

Podobnie jak „demokracja” oraz „wolność” słowo „republika” jest czasem używane przez tyranów do tworzenia iluzji ograniczonej odpowiedzialności rządu. Zatem określenie „republika ludowa”, które na pierwszy rzut oka wydaje się tautologią, jest w rzeczywistości przykładem umacniania kłamstwa przez powtórzenie.

Izraelczycy bombardowali Wiedeń

Izraelczycy bombardowali Wiedeń.

Podczas weekendu rzymskokatoliccy partyzanci zaatakowali patrol Sił Obronnych Izraela przy zachodniej granicy Salzburga, schwytali dwóch żołnierzy i uprowadzili ich do Austrii. Wzgórza wokół Salzburga były usiane tunelami, fortyfikacjami i tak wieloma ukrytymi silosami raketowymi, że regionowi nadano przydomek Peenemünde Południowe; izraelskie oddziały próbujące odbić porwanych żołnierzy znalazły się pod silnym ostrzałem, a kiedy kontynuowały atak, wyrzutnie na wzgórzach rozpoczęły terrorystyczny ostrzał żydowskich osad w Bawarii.

Siły Zbrojne Izraela bombardowały Salzburg i jego okolice przez dwa dni bez przerwy, ale ataki raketowe nie ustały. Trzeciego dnia premier w Berlinie postanowił przyjąć nową strategię, uznając wiedeński parlament i ludność Austrii za współodpowiedzialnych poczynań partyzantów. Izraelskie bombowce zaczęły niszczyć infrastrukturę na terenie całego kraju: estakady autostrad i tunele, stacje rozrządowe, porty rzeczne, a także każdy pojazd, który wyglądał tak, jakby mógł przewozić części do rakiet. Stolica znalazła się na liście celów. Lotnisko w Wiedniu zmieniło się w dymiący krater, a wszystkie mosty na Dunaju zostały ciężko uszkodzone lub zniszczone, co przedzieliło miasto na dwie połowy.

– Samir – zapytał Mustafa. – Dobrze się czujesz?

– Co?

Siedzieli w czarnym vanie, jadąc o świcie na zachód autostradą w stronę Międzynarodowego Portu Lotniczego w Bagdadzie. Przez całą drogę Samir z nachmurzoną miną gapił się przez okno.

– Co cię gryzie? – zapytał Mustafa. – Jesteś taki już od kilku dni.

– To nic takiego – odrzekł z wymuszonym uśmiechem Samir. Ruchem głowy wskazał na radio. – Po prostu gryzie mnie, że tej zimy nie będę mógł pojechać na narty w Alpy.

– Samir...

– Słyszałem również, że Izraelczycy wysadzili w powietrze hotel, w którym robią czekoladowe ciasta z morelowym nadzieniem. Zawsze chciałem takiego spróbować.

– Poważnie, Samir. Czy to ma coś wspólnego z Nadżat? Lub z waszymi chłopcami?

– Nadżat mnie nienawidzi, co jak wiemy, jest całkowicie normalne. A jedyny problem z Malikiem i Dżibrilem jest taki, że nie widziałem ich od miesięcy.

– Zatem o co chodzi? Czy nadal się martwisz, że Idris chce nas załatwić?

Samir westchnął.

– A jeśli tak, Mustafa? Co byś z tym zrobił, zagroził, że go za mnie pobijesz?

– Samir...

– Proszę, po prostu to zostaw. Nic mi nie jest, naprawdę.

Międzynarodowy Port Lotniczy w Bagdadzie był już przed nimi. Mustafa wjechał na pas zjazdowy z napisem TERMINAL TOWAROWY i podążał za znakami do siedziby Arabskiej Firmy Spedycyjnej.

Mężczyzna przy kontuarze obsługi klienta czytał syriacki Nowy Testament. Powitał ciepło Mustafę i Samira, ale zjeżył się, gdy zobaczył ich legitymacje Służb Bezpieczeństwa Narodowego.

– Czy chodzi o zgubioną dostawę?

– Nie, proszę pana – odpowiedział Mustafa. – Chcemy przejąć paczkę zawierającą dowód związany z naszym śledztwem. Rozmawiałem o tym przez telefon z kierownikiem o nazwisku Abd asz-Szakur. On...

– Abd asz-Szakura tutaj nie ma. Czy macie nakaz sądowy przejęcia tej paczki?

Samir, z przyjemnością dając upust swojemu rozdrażnieniu, przechylił się przez kontuar.

– A co, jest pan prawnikiem?

– Moja córka jest prawnikiem – odparł mężczyzna. – Pracuje dla Arabskiego Związku Swobód Obywatelskich. Czy powinienem do niej zadzwonić?

– Nie ma takiej potrzeby – rzekł Mustafa, kładąc rękę na ramieniu Samira. – Nie zamierzamy prześladować żadnych chrześcijan, bracie.

– Och, zatem zamierzacie naruszać prawa obywatelskie muzułmanów. A ja powinienem się uśmiechnąć i zgodzić na to? Za jakiego chrześcijanina mnie macie?

– Powiem panu, jakim jest pan chrześcijaninem – ochoczo zaproponował Samir.

– Proszę, bracie – rzekł Mustafa. – Twój szacunek dla konstytucji jest godny podziwu, ale w tej sprawie nawet dobry chrześcijanin powinien chętnie nam pomóc.

– Nawet gdybym wam uwierzył, to i tak nie mogę nic zrobić – odpowiedział mężczyzna. – Gdyby Abd asz-Szakur odłożył dla was paczkę, byłaby za kontuarem, ale jak widzicie, nic tu nie ma. To oznacza, że jest ona w którejś ciężarówce, a większość ciężarówek już wyjechała.

– Cóż, zatem będzie pan je musiał po prostu wezwać z powrotem, prawda?
– rzekł Samir.

– Tego nie mogę zrobić, nawet gdybym chciał. Ciężarówki nie mają radia.

– Sądziłem, że wszystkie są podłączone do komputera – powiedział Mustafa.

– Są, ale to jednokierunkowe połączenie. Kiedy paczka zostanie doręczona albo podejmowana jest próba dostarczenia, system wysyła zawiadomienie po to, aby płaćący klienci – a nie rządowe zbiry – mogli sprawdzić status swoich wysyłek. Jednak nie ma sposobu, abym mógł wysłać kierowcom jakąś wiadomość.

– A w nagłym wypadku? Co robicie, jeśli w ciężarówce jest bomba?

– Zawieramy łasce Boga Wszchemogącego, w którego wierzą wszyscy dobrzy ludzie.

Mustafa doszedł do wniosku, że podoba mu się ten facet pomimo jego niechęci do współpracy.

– Zatem czy w imię Boskiej łaski – powiedział – może nam pan przynajmniej powiedzieć, że ciężarówka z naszą paczką na pewno już wyjechała?

Mężczyzna spojrzał na niego kwaśno, ale ponieważ Mustafa był uprzejmy, ustąpił.

– Sądzę, że mogę to zrobić... Wiecie, dokąd zmierza paczka?

– Do Al-Azamijji – powiedział mu Mustafa. – W Republice Saddama.

Tymczasem Amal znajdowała się w recepcji biura swojej matki w Bagdadzie. Senator przyleciała poprzedniej nocy z Rijadu, aby wziąć udział w zbiórce pieniędzy, i tego popołudnia miała wrócić do stolicy na ważne głosowanie. Zdołała znaleźć w porannym rozkładzie zajęć piętnaście minut dla córki, ale jak zawsze się spóźniała.

Na ścianie naprzeciwko miejsca, gdzie siedziała Amal, wisiał obowiązkowy w siedzibach Partii Jedności portret Gamala Abdel Nasera. Ten powszechnie znany wizerunek był, jak zawsze prywatnie mówiła o nim ciotka Nida, jego

zdjęciem sprzed zamachu. Gdyby tylko Naser miał tyle godności, aby zostać męczennikiem na początku lat sześćdziesiątych, mówiła Nida, oszczędziłoby to Partii wstydu wywołanego jego drugą kadencją prezydencką: skandali, nadużywania władzy, długiego i przeciągającego się procesu odsunięcia od rządów, który ożywił Partię Boga, a program postępu cofnął o całe dziesięciolecie. Pomimo to, bez względu na wstyd, Naser był patriarchą Partii i należało okazywać mu szacunek.

Na prawo od rozpromienionej gęby Nasera wisiała niemal równie duża fotografia Tej Chwili. W pokoju wystawione były też inne sceny z życia jej matki i jej kariery, a na niektórych z nich znajdowała się Amal. Teraz usiadła tak, aby nie patrzeć na to najbardziej bolesne ze wszystkich – zdjęcie rodziców uczestniczących w ceremonii zaprzysiężenia jej na agentkę Biura.

Było to wydarzenie, którego ojciec nie spodziewał się dożyć. Gdyby Saddam Husajn był prawdziwym królem, z pewnością by tak było. Jednak Saddam był jedynie królem świata przestępczego, a nawet najbardziej zawzięty gangster nie może bezkarnie mordować kapitanów policji. Nie, żeby wybaczył czy zapomniał. Z mężczyzn będących wraz z Szamalem przywódcami reformy czterech zginęło w podejrzanych wypadkach. Kolejnych sześciu zostało uwikłanych – wrobionych, jak powiedzieli – w skandal korupcyjny; trzech z nich popełniło samobójstwo, jeden ukrywał się w Europie, a pozostali dwaj zostali zamordowani w więzieniu.

Jednak Szamal, dzięki kombinacji ostrożności, szczęścia i Bożej łaski, zdołał uniknąć zarówno wypadku, jak i aktu oskarżenia, chociaż w policji stał się pariasem, człowiekiem napiętowanym, do którego nikt nie chciał się zbliżyć. Nieustanne napięcie wykańczało go; do czasu ceremonii zaprzysiężenia Amal włosy miał już zupełnie siwe, a twarz pokrytą zmarszczkami i udręczoną.

Cztery miesiące później, jadąc do pracy, Szamal przypadkiem natknął się na włamanie. Dwóch mężczyzn wynoszących telewizor z domu, którego

właściciel był na wakacjach, stanęło na ulicy twarzą w twarz z sąsiadką w podeszłym wieku. Szamal przejeżdżał obok, gdy jeden ze złodziei uderzył na odlew staruszkę. Ojciec Amal zahamował z piskiem opon i wyskoczył z pistoletem w dłoń. Włamywacze też sięgnęli po broń. Szamal zabił ich obu, ale sam został kilkakrotnie trafiony i zmarł w drodze do szpitala.

Coś, co z początku wydawało się przypadkową tragedią, stało się bardziej złowieszcze, gdy włamywacze zostali zidentyfikowani jako rodowici mieszkańcy Tikritu, rodzinnego miasta Saddama. Potem, kiedy Amal pojechała ponownie przesłuchać sąsiadkę, która przeszkodziła we włamaniu, nie mogła jej znaleźć. Sąsiedzi powiedzieli, że wyprowadziła się, ale nikt nie wiedział dokładnie gdzie. Niektórzy mówili, że do Jordanii, inni, że do Kuwejtu. Inni, że do Mauretanii.

Amal zwróciła się do Biura z pisemną prośbą, aby otworzyło oficjalne dochodzenie w sprawie śmierci jej ojca, ale odmówiono jej. Przełożeni przyznali, że miała powód, aby być podejrzliwa, ale nadal uważali, iż cała sprawa była najprawdopodobniej zbiegiem okoliczności. Przecież, jak powiedziała im sama Amal, jej ojciec codziennie zmieniał trasę dojazdu do pracy, aby nie wpaść w zasadzkę. Amal chętnie zgodziłaby się z tą logiką – łatwiej było pogodzić się ze zbiegiem okoliczności – ale wiedziała również, że prawdopodobieństwo udanej zasadzki zależy także od tego, jak bardzo cierpliwi będą zamachowcy.

Matka Amal nigdy nie wątpiła, że to Saddam był odpowiedzialny za śmierć męża. Na pogrzebie wstała, aby wygłosić przemowę – pozornie spontaniczną, ale w rzeczywistości starannie dopracowaną z pomocą ciotki Nidy – w której zapytała obecnych, czy naprawdę chcą nadal żyć w atmosferze strachu. W następnych tygodniach wygłosiła więcej przemówień, przed coraz większymi tłumami. Chociaż nigdy nie potępiła otwarcie Saddama Husajna, jej słuchacze otrzymali głośne i jasne przesłanie, które w końcu dotarło i do Saddama, a ten wysłał kilku swoich ludzi, aby zakłócić jedno z przemówień. Wynikiem tego

było kolejne zdjęcie, prawie tak słynne jak Ta Chwila: matka Amal na scenie, wskazująca już szarpanego przez tłum krzykacza z Al-Bas, którego arogancja zmieniła się w przerażenie, gdy zrozumiał, jak źle osądził nastrój tłumu.

To było dobre przedstawienie, wystarczająco dobre, aby matka Amal po kilku następnych manewrach została wybrana na stanowisko burmistrza. Jednak chociaż wykonywała dobrą robotę na swoim stanowisku, a Amal wykonywała dobrą robotę jako agentka federalna, nie zmieniało to dwóch faktów: Saddam Husajn nadal był na wolności, a Szamal nie żył.

Otworzyły się drzwi do holu i weszła matka Amal w towarzystwie jej brata Alego, który był szefem sztabu matki, oraz drugiego brata, Hajdara, szefa ochrony. Kiedy przechodzili przez pomieszczenie, matka zauważyła Amal, skinęła jej głową, uśmiechnęła się i gestem dała jej znać, aby za nią poszła, a wszystko to zrobiła bez przystawania i przerywania prowadzonej rozmowy.

Po chwili znaleźli się w prywatnym apartamencie matki. Ali i Hajdar przeprosili, Ali powiedział: „Dziesięć minut” i mrugnął do Amal, kiedy wychodził z gabinetu.

– No cóż – powiedziała matka Amal. – Słyszałam ostatnio o tobie dobre rzeczy. Powiedzieli mi, że uratowałaś życie innego agenta.

– Tak, to prawda – odparła Amal.

– I zastrzeliłaś terrorystę.

– Tak.

– Jednak nie było żadnego komunikatu prasowego – zauważyła matka. – Żadnego publicznego uznania twojego bohaterstwa.

– Podczas misji były pewne problemy.

Jej matka przetłumaczyła:

– Ktoś coś spieprzył, a ty ocaliłaś mu tyłek... Tym bardziej powinnaś być chwalona. Nikt nie musi być tym zażenowany – w oficjalnym oświadczeniu mogą przemilczeć wszelkie pomyłki.

– Doceniono mój czyn – powiedziała Amal. – W biurze.

– W biurze. – Jej matka przewróciła oczami. – Wiem, co to oznacza.

– Matko, proszę. Nie chcę publicznej pochwały, ale...

– Cóż, to dobrze, ponieważ ją otrzymasz.

– Nie o tym przyszłam z tobą porozmawiać. Ja...

– Pozwól mi tylko zanotować to w moim palmtopie. W środę będę miała spotkanie z zastępcą dyrektora generalnego Służb Bezpieczeństwa Narodowego, więc...

– Widziałam się z Anwarem.

Matka zastygła z dłonią w torebce.

– Sadatem, mam nadzieję – rzekła.

Amal opowiedziała jej całą historię. Kiedy skończyła, matka stała ze skrzyżowanymi ramionami, potrząsając głową.

– Czemu zgodziłaś się z nim spotkać?

– Praktycznie mnie o to błagał.

– I co z tego?

– Cóż, nie chciałam, żeby zjawił się w biurze.

– Gdyby pojawił się w biurze, odprawiłaby go wasza ochrona. Mój Boże, Amal... – Jej oczy zwęziły się. – Kto wybrał tę restaurację?

– Ja, a czemu pytasz? Sądzisz, że to był jakiś plan szantażu? Ukryte kamery? Anwar miał na sobie podsłuch?

– To nie są żarty, Amal – powiedziała matka. – Zbliża się głosowanie w sprawie projektu ustawy dotyczącej małżeństwa. A teraz, ni stąd, ni zowąd, ten mężczyzna, z którym wieki temu zawarłaś małżeństwo czasowe, skontaktował się z tobą, aby poprosić o przysługę?

– Mylisz się – odparła Amal. – To na pewno zbieg okoliczności.

– W polityce nie ma zbiegów okoliczności. Zaufaj mi.

– Nie widziałas go. Sposób, w jaki opowiadał o Salimie...

– Och, jestem pewna, że robił to z głębi serca. Wiesz, on może nawet nie wiedzieć, że jest wykorzystywany. Mogło być tak, że jakiś jego przyjaciel w

Rijadzie, ktoś, komu się zwierza, zasugerował mu, żeby się z tobą skontaktował.

Jakiś jego przyjaciel w Rijadzie...

– Bin Laden – rzekła Amal.

– Co?

– Osama bin Laden... Czy ojciec Anwara może go znać?

– Nie wiem – odpowiedziała jej matka. – To możliwe. Sądzisz, że może za tym stać senator bin Laden?

– Jeśli tak jest – odrzekła Amal – to wówczas nie ciebie chcą dopaść.

– Bardzo bym chciała, żebyś mi wytłumaczyła tę wypowiedź.

– Chyba lepiej, żebym tego nie robiła. – Potem powiedziała: – A więc co z Salimem?

– Przykro mi, ale nic nie mogę zrobić w jego sprawie. Jeśli „Kurier” opublikuje na stronie szóstej demaskatorską publikację o małżeństwie czasowym mojej córki, to będzie to coś zawstydzającego, ale tak naprawdę nieszkodliwego. Jeśli jednak wydrukują artykuł o tym, jak wykorzystałam moje wpływy, aby wydostać syna córki z Ameryki, podczas gdy inni synowie – ukochani synowie – nadal tam walczą i umierają...

– „Kurier”. – Amal zrobiła minę. – Z pewnością nadal możesz wyprzedzać o krok Tarika Aziza. Zawsze z łatwością go pokonywałaś.

– Wiesz, kiedy próbujesz mi pochlebiać, obawiam się najgorszego... Tarik Aziz to jedno, a Osama bin Laden to co innego. W co ty się wpakowałaś, Amal?

– Naprawdę nie jestem jeszcze tego pewna – powiedziała Amal. – Czy jednak zrobisz to dla mnie, proszę? Wykorzystaj tę przysługę, dzięki której zamierzałaś uzyskać dla mnie pochwałę, dla dobra Salima.

Matka ponownie potrząsnęła głową.

– Nawet nie znasz tego chłopca, Amal.

– Wiem. Jednak nie muszę go znać, żeby mu okazać współczucie. W tej sprawie Anwar miał rację.

Nazywano to Republiką Saddama: zlepek posiadłości i nieruchomości, które razem tworzyły nieformalne państwo, oddzielny kraj w Zjednoczonych Państwach Arabskich. Większość z nich znajdowała się w Iraku, ale były też placówki rozsiane po całej Arabii – wille w Aleksandrii i Tunisie, hotel w Abu Zabi, jaskinia hazardu w Casablance, liczne meliny z alkoholem.

Stolicą Republiki był oczywiście Bagdad, gdzie Saddam miał domy w każdej ważnej dzielnicy, z godnym uwagi wyjątkiem – Miastem As-Sadra. W czasach gdy Mustafa i Samir pracowali dla Służb Halal, Saddam dzielił czas pomiędzy posiadłością nad jeziorem w dzielnicy Al-Mansur, sąsiadującą z lotniskiem w Bagdadzie, a rezydencją w centrum miasta w Al-Karchu, którą wielu mieszkańców Bagdadu uważało za drugi ratusz.

Po 9 listopada wzmocniona ochrona wokół lotniska uczyniła posiadłość w Al-Mansurze mniej atrakcyjną – pracownicy ochrony lotniska naprawdę nie tolerowali osób strzelających w powietrze. Potem w 2003 roku tajemniczy pożar strawił rezydencję w Al-Karchu; według plotek przyczyną tego mogła być zarówno wadliwa instalacja elektryczna, jak Udajj. Od tamtej pory Saddam próbował odbudować tę rezydencję, ale Komisja do spraw Zagospodarowania Miasta w Bagdadzie, wykonując rozkazy pewnego burmistrza, który został senatorem, zwlekała z wydawaniem niezbędnych zezwoleń, a tymczasem do posiadłości wtargnęli dzicy lokatorzy, zamieniając ją w siedlisko bezdomnych.

Gdy jego prawnicy próbowali pokonać biurokrację komisji, Saddam przeniósł główną kwaterę Republiki do swojej posiadłości w Al-Azamijji. Otoczona murem, zajmowała trzy hektary pierwszorzędnej nabrzeżnej ziemi i miała własną przystań oraz lądowisko dla helikopterów. Była patrolowana w

nocy i w dzień przez umundurowane służby ochrony, potocznie nazywane Gwardią Republikańską.

Przemknąwszy przez miasto, Mustafa i Samir zaparkowali teraz na końcu ulicy prowadzącej do głównej bramy posiadłości. Paczka, którą mieli nadzieję przejąć, została wysłana standardową nocną dostawą, co oznaczało, że teoretycznie mogła zostać dostarczona tutaj w każdej chwili, od teraz do szóstej po południu, ale Mustafa wątpił, by musieli długo czekać.

– Tylko pomyśl: gdybyś był dostawcą, a Saddam Husajn znajdowałby się na twojej trasie, kazałbyś mu czekać do popołudnia?

– Rozumiem, o co ci chodzi – rzekł Samir – ale czy zgodnie z tą logiką nie mogliśmy już przegapić paczki?

– Zaczekajmy godzinę. Jeśli ciężarówka nie pojawi się do tego czasu, jeszcze raz zadzwonimy do tego pomocnego faceta z lotniska.

Zabijali czas spekulacjami na temat pasażerów dżipa zaparkowanego pół przecznicy za nimi. Mustafa uważał, że widział już ten sam pojazd przy siedzibie Arabskiej Firmy Spedycyjnej; Samir był tego pewny, ale udawał niepewność.

– Jak sądzisz, kim oni są?

– Najprawdopodobniej to Al-Kaida – odpowiedział Mustafa. – Chyba że zainteresował się nami Muchabarat. – Muchabarat był przydomkiem sieci irackich prywatnych detektywów, którzy zaoferowali darmowe usługi Związkowi Al-Bas w zamian za policyjne przysługi, w praktyce pełniąc funkcję biura wywiadowczego Saddama. – Jak uważasz, powinniśmy się im przedstawić?

– Nie krępuj się.

Mustafa rzucił mu kolejne zatroskane spojrzenie, ale nie naciskał.

– W porządku – powiedział. – Zostań tutaj, a ja pójdę z nimi pogadać.

Jednak gdy tylko otworzył drzwi, zza rogu wyjechała brązowa ciężarówka ze znajomym hasłem reklamowym na boku: W CZYM MOŻE CI SŁUŻYĆ

AL-ARABI? Mustafa gwałtownie wyciągnął legitymację i pospieszył zatrzymać pojazd.

– Twoja matka nie może ci pomóc.

Z biurem matki Amal sąsiadował park rzeźb. Był popularnym miejscem lunchów na powietrzu, ale o tej porannej porze zupełnie pusty, jeśli nie liczyć dwóch starszków grających w tryktraka i kilku kobiet pchających wózki.

Amal usiadła na ławce obok ogromnego dzbana z brązu. Z boku dzbana wycięto dziurę, tworząc w ten sposób okno na miniaturowe miasto znajdujące się wewnątrz. Zarys miasta i rzeki, która dzieliła je na połowę, wskazywały na Bagdad, ale Bagdad z alternatywnego wszechświata: znajomo wyglądające punkty orientacyjne znajdowały się w niewłaściwych miejscach, a ulice były inaczej rozmieszczone.

Amal włączyła telefon komórkowy. Miała dwa nieodebrane połączenia, oba od Mustafy. Miała właśnie sprawdzić wiadomości, gdy obok niej usiadła ninja i zaczęła mówić w dialekcie arabskim z Zatoki. Amal dopiero po chwili uświadomiła sobie, że słowa kobiety są skierowane do niej.

– Przepraszam? – zapytała Amal.

– Powiedziała, że twoja matka nie może ci pomóc. – Kobieta uniosła rękę i wskazała inną rzeźbę w parku. – Widzisz tamten globus? Przedstawia on świat, jaki znali abbasydzcy kartografowie. Jeśli przejdiesz na drugą stronę, gdzie powinna znajdować się zachodnia półkula, nie będzie tam niczego. Żadnych Ameryk. Linie szerokości i długości geograficznej nie spotykają się. Jednak pod tym kątem wygląda to prawie na całość. Turysta mógłby to nawet pomylić z Pomnikiem Ziemi. – Kobieta zachichotała. – Właśnie taka jest władza twojej matki. Dziurawa i niekompletna. Trik perspektywy... Miraż.

Amal wsunęła telefon do kieszeni i obróciła się twarzą do kobiety.

– Kim jesteś?

– Jestem sługą prawdziwego sługi Boga. Kogoś, kogo władza jest prawdziwa. Kogoś, kto może zagwarantować twojemu synowi bezpieczeństwo.

– Osama bin Laden – powiedziała Amal, kiwając głową. – I powinnam uznać za zniewagę czy komplement, że ze swoją wiadomością przysyła kobietę zamiast Abu Jusufa?

– To oznaka szacunku. – Ninja pokręciła nosem za swoją zasłoną. – Być może nie wiesz, co to przyzwoitość.

– Być może nie wiesz, jaka jest kara za grożenie agentowi federalnemu.

– Nie grożę. Mówię prawdę. Salim Ibn Anwar nie zostanie uratowany przez Anmar al-Majsani ani przez Amal Bint Szamal. Ale mężczyzna, któremu służę, może przenieść go w bezpieczne miejsce.

– W zamian za co?

– Za nic.

– Za nic?

– Za nierobienie niczego. Mustafa al-Baghdadi wybrał ścieżkę autodestrukcji. Nie podążaj za nim. Nie pomagaj mu. Nie wtrącaj się.

– Oczekujecie, że będę siedziała z założonymi rękami?

– Poproś o odsunięcie od śledztwa. Nazwisko twojej matki będzie co najmniej wystarczającym powodem, aby się na to zgodzili.

– To uważacie za nierobienie niczego? – Amal roześmiała się. – A kiedy już jasno dam znać moim kolegom, że nie można na mnie dłużej polegać, to wówczas co? Mam po prostu czekać i patrzeć, czy senator dotrzyma swojej części umowy?

– Daj mi słowo, że poprosisz o zmianę przydziału, a Salim za czterdzieści osiem godzin będzie w drodze do domu.

Amal zamilkła, nadal sceptyczna, ale również nieskora, żeby w to uwierzyć.

– Pozwól, że coś ci pokażę. – Ninja wyciągnęła swój telefon komórkowy. – Kilka dni temu przeglądałaś na swoim komputerze akta Abu Salima, ale nie sprawdziłaś akt chłopca. To zrozumiałe, ale zanim zdecydujesz o jego losie, naprawdę powinnaś zobaczyć jego twarz. – Podała swój telefon Amal, która przyjęła go niechętnie. – Jest przystojnym chłopcem – kontynuowała kobieta. – Dobrym muzułmaninem sunnitą, silnym i inteligentnym. Powinien mieć świetlaną przyszłość, jeśli...

Jednak Amal, nagle rozwścieczona, przerwała jej:

– Czy to jakiś żart? Kpisz sobie ze mnie?

– Kpię z ciebie? – Kobieta zerknęła na ekran telefonu komórkowego. – To jest Salim bin Anwar. Co...

Amal ponownie jej przerwała, tym razem wyciągając swój pistolet.

– Co robisz? – zapytała kobieta.

Amal wycelowała pistolet w twarz kobiety i odciągnęła bezpiecznik.

– Mówisz, że twój pan ma moc. Czy potrafi wskrzeszać zmarłych?

Kobieta potrząsnęła głową.

– Popełniasz błąd.

– Nie, to ty popełniłaś błąd – odrzekła Amal. Teraz zrozumiała, ale to nie zmniejszyło jej gniewu. – Wracaj z powrotem do swojego pana. Powiedz mu, że nie potrzebuję od niego żadnych przysług. – Poczekała kolejne dziesięć sekund, a potem schowała broń.

Jednak kobieta nie odeszła.

– Skończyłyśmy – powiedziała Amal. – Czemu tu nadal jesteś?

Ninja wyciągnęła rękę.

– Mój telefon.

– Jakieś przypuszczenia? – zapytał Mustafa, wpatrując się w malutką paczkę w swojej dłoni. Była odrobinę większa od paczki papierosów. Jako adres

zwrotny podano sklep w Izraelu, Bibeloty Hillela we Frankfurcie.

Samir wzruszył ramionami.

– Antyczna mezuzah?

Mustafa roześmiał się.

– Tak, jestem pewny, że Saddam je kolekcjonuje.

Dżip zniknął, odesłany przez Samira dyskretnym machnięciem ręki, kiedy Mustafa rozmawiał z kurierem. Jednak teraz mieli innych obserwatorów. Ich czyn został zauważony przez Gwardię Republikańską, a kiedy kierowca dostarczył resztę paczek Saddama, musiał im powiedzieć, co zabrał Mustafa. Za bramą błysnęły szkła lornetki; numery ich tablic rejestracyjnych niewątpliwie przesyłano do Muchabarat.

Nie przejmując się tym, Mustafa szarpnął taśmę, którą owinięto paczkę.

– Masz nożyk do papieru?

– Przepraszam, ale zostawiłem swój na lotnisku.

Mustafa użył klucza do stacyjki jako prymitywnego noża i zdołał otworzyć paczkę. Wewnątrz w płaskim plastikowym futerale znajdowała się talia kart do gry. Każda karta była fotografią męskiej twarzy z podpisem, angielską transliteracją nazwiska i stanowiska pracy. Mustafa rozpoznał wiele nazwisk i twarzy – prawie wszyscy z nich byli wybitnymi członkami Związku Al-Bas – ale stanowiska były dziwaczne.

I tak na przykład piątka trefl: Barzan Ibrahim al-Hasan, przyrodni brat Saddama, który podobno wpadł na pomysł utworzenia Muchabarat. Podpis na karcie określał go jako „doradcę prezydenta”. Albo ósemka karo: Hikmat Mizban Ibrahim al-Azzawi, długoletni członek Al-Bas podejrzewany o pranie brudnych pieniędzy Saddama. Według podpisu „minister finansów”.

Ósemka pik: Tarik Aziz. „Wicepremier”? Samir parsknął, kiedy Mustafa mu to przetłumaczył.

– Co, dorabia na boku jako członek perskiego rządu?

Mustafa przejrzał talię w poszukiwaniu asów. Asem karo był Abd Hamid Mahmud, publicysta Saddama, określony jako „sekretarz prezydenta”. Asem trefl był Kusajj Husajn. Asem kier był Udajj.

– „Przewodniczący olimpiady” – odczytał Mustafa.

– Tak, być może przewodniczący oddziału przyjmującego zakłady – rzekł Samir.

Asem pik był sam Saddam: „Prezydent”. Nie „przewodniczący Związku Al-Bas”, ale „prezydent”. To aż prosiło się o dowcipny komentarz – doskonały żart – ale poczucie humoru nagle opuściło Mustafę.

W paczce oprócz kart była złożona kartka papieru. Był to wydruk aukcji na eBazar, tej samej, którą Wadżid Dżamil przesłał Mustafie poprzedniej nocy. Opis przedmiotu był krótki i zagadkowy: „Zza mirażu, numer serii 157. Interesujące tagi: Irak, Saddam Husajn, Partia Al-Bas, inwazja Stanów Zjednoczonych”. Zwycięska oferta zamieszczona przez użytkownika eBazar **Króla_Nabuchodonozora** wynosiła tysiąc pięćset riali.

Zadzwoił telefon komórkowy Mustafy.

– Cześć, Amal – powiedział. – Miło, że się zgłaszasz... Nie, w porządku. Chociaż mamy trop. – Powiedział jej, gdzie są. – Jak szybko możesz tu przyjechać? Piętnaście minut, wspaniale. Samir będzie na ciebie czekał w furgonetce. – Rozłączył się.

– Samir będzie czekał? – zapytał Samir. – A gdzie będzie Mustafa?

– Będzie dostarczał przesyłkę. – Mustafa wsunął karty i papier z powrotem do paczki. – Tysiąc pięćset riali to drobiazg dla Króla Nabuchodonozora, ale coś mi mówi, że będzie bardzo chciał odzyskać tę paczkę.

– Sądzisz, że z tobą porozmawia?

– Nie zaszkodzi spróbować. I muszę przyznać, że jestem ciekawy, jak wygląda wewnątrz tego domu.

– Jeśli tylko nie będzie to ostatnia rzecz, jaką zobaczysz.

– Och, właśnie to jest zadanie dla ciebie i Amal – rzekł Mustafa. – Jeśli nie wyjdę za godzinę, przyjdziecie mi na ratunek.

– A czy jest jakiś szczególny sposób, w jaki według ciebie mamy to zrobić? Czy mamy po prostu wysadzić bramę?

– Improvizujcie. – Mustafa uśmiechnął się. – Tylko proszę, poproś Amal, żeby nie zastrzeliła przewodniczącego olimpiady, jeśli nie będzie to absolutnie konieczne.

BIBLIOTEKA ALEKSANDRYJSKA

ŹRÓDŁO INFORMACJI EDYTOWANE PRZEZ UŻYTKOWNIKA

Nabuchodonozor II

Nabuchodonozor II (panował w latach 605–562 p.n.e.) był królem państwa babilońskiego. Jego historyczne wyczyny obejmują budowę wiszących ogrodów w Babilonie oraz podbicie i zniszczenie Jerozolimy i jej świątyni. Jest wymieniony w kilku księgach hebrajskiej i chrześcijańskiej Biblii, w szczególności w Księdze Daniela. (...)

NABUCHODONOZOR I BIBLIJNE PROROCTWO

Księga Daniela, rozdział 2, wersety 31-35, opisuje sen, w którym Nabuchodonozor zobaczył „posąg bardzo wielki, o nadzwyczajnym blasku. (...) Głowa tego posągu była z czystego złota, pierś jego i ramiona ze srebra, brzuch i biodra z miedzi, golenie z żelaza, stopy zaś jego częściowo z żelaza, częściowo z gliny. Patrzył [król], a oto odłączył się kamień, choć nie dotknęła go ręka ludzka, i ugodził posąg w jego stopy z żelaza i gliny, i połamał je. Wtedy natychmiast skruszone zostały żelazo i glina, miedź, srebro i złoto – i stały się jak plewy na klepisku w lecie; uniósł je wiatr, tak że nawet ślad nie pozostał po nich. Kamień zaś, który uderzył posąg, rozrósł się w wielką górę i nappełnił całą ziemię”. Jak objaśnił Daniel, posąg złotej głowy jest symbolem królestwa Nabuchodonozora, a pozostałe części posągu symbolizują trzy inne królestwa, które je zastąpią; góra, która powstaje z kamienia, jest piątym, a zarazem ostatnim królestwem, które będzie rządzić na całej ziemi, na zawsze. Chociaż to piąte królestwo jest powszechnie uważane za Królestwo Boże, tożsamość czwartego królestwa i

natura kamienia, który je roztrzaska, jest tematem gorącej debaty wśród chrześcijańskich eschatologów. (...)

WSPÓŁCZESNA SPUŚCIZNA

Nabuchodonozor pozostaje popularną postacią w Zjednoczonych Państwach Arabskich, szczególnie w Iraku. Irackie miasto Al-Hilla, położone blisko ruin starożytnego Babilonu, posiada liczne turystyczne atrakcje związane z Nabuchodonozorem, w tym Park Wodny Wiszącego Ogrodu Sześciu Flag.

Nabuchodonozor jest również faworytem wśród aspirujących polityków. Sondaż przeprowadzony przez „Rijadzki Przegląd Tygodnia” wykazał, że wśród historycznych przywódców, do których porównywali się kandydaci na arabskiego prezydenta, Nabuchodonozor popularnością ustępował jedynie świętemu wojownikowi Saladynowi.

Kiedy przeszukiwał go członek Gwardii Republikańskiej

Kiedy przeszukiwał go członek Gwardii Republikańskiej, Mustafa spoglądał na motto Związku Zawodowego Al-Bas, namalowane na łuku nad bramą: DZIAŁAJ TERAZ, ROZMAWIAJ PÓŹNIEJ.

Maksyma życiowa. Uświadomił sobie, że powinien być przynajmniej trochę zdenerwowany, ale w tym momencie przejmował się jedynie utrzymaniem równowagi. Przeglądając w samochodzie karty, poczuł lekki zawrót głowy, który nasilił się podczas spaceru do bramy. Teraz, gdy znalazł się na granicy Republiki Saddama, pod wpływem tego zawrotu głowy zapomniał o wszelkich obawach i choć odrobinę niepewnie stał na nogach, był spokojny.

Pierwszy gwardzista skończył go przeszukiwać i podszedł drugi, aby powtórzyć procedurę. Oprócz paczki Saddama zabrano mu już jego pistolet, portfel, legitymację Służb Bezpieczeństwa Narodowego oraz telefon komórkowy. Wszystkie te rzeczy również bardzo starannie sprawdzono. Strażnik, który wydawał się być dowódcą straży pilnującej bramy, wyrecytował do krótkofalówki nazwisko Mustafy i jego numer pracownika federalnego.

Minęło kilka minut. Mustafa spojrzął na podjazd rezydencji Saddama i zobaczył dozorcę spacerującego z lwem na smyczy. Duży kot zatrzymał się, aby powąchać oponę opancerzonej limuzyny zaparkowanej na rondzie. Nagle przeleciał nad nim jakiś ptaszek i lew ruszył za nim, ciągnąc za sobą dozorcę.

Drzwi wejściowe do rezydencji otworzyły się na oścież i pojawił się as trefl. Kusajj, „dobry” syn: poważny i opanowany, w przeciwieństwie do brata raczej nie będący bohaterem skandalicznych artykułów w tabloidach i właśnie dlatego uważany za osobę, której można powierzyć zadania wymagające dyskrecji. Agenci Halal i Biura zgodnie uważali, że Kusajj ma na swoim koncie dużo więcej morderstw niż Udajj. Tego ranka nie wydawał się w dobrym nastroju. Może przybycie Mustafy przerwało mu śniadanie.

Dowódca straży pilnującej bramy wręczył Kusajjowi legitymację służbową Mustafy. Kusajj rzucił na nią okiem, a potem zapytał:

– Czego tu chcesz?

– Chciałbym porozmawiać z twoim ojcem o jego ostatnim zakupie w sieci.

– Mustafa wskazał ruchem głowy paczkę. – I o innych podobnych przedmiotach, które mógł nabyć.

– Nie wiem, o jakich przedmiotach mówisz, ale rozmowa z moim ojcem jest niemożliwa.

– Rozumiem, że twój ojciec jest zajęтым człowiekiem i nieszczególnie ufnym wobec agentów rządowych. Gdybym jednak mógł porozmawiać z nim osobiście...

– Nie możesz.

– Zatem proszę przekaz ode mnie ojcu, że wykonuję specjalne zadanie dla prezydenta, który będzie wdzięczny każdemu, kto mi pomoże.

Kusajj nawet nie mrugnął.

– A jeśli mojemu ojcu nie zależy na wdzięczności prezydenta? Co wtedy?

– Proszę – rzekł Mustafa. – Nie wygłaszam żadnych gróźb, a jedynie z szacunkiem proszę o pomoc. Jeśli twój ojciec powie nie, odejdę i nie będę go już dłużej niepokoił.

– Tak po prostu, co?

– Hej. – Mustafa machnął ręką w kierunku terenu przed bramą. – To wolny kraj.

To był naprawdę duży dom, który wyglądał na zaprojektowany po to, abyś w rozmowie wielokrotnie wspominał, że jest naprawdę duży. Koszmarny brak umiaru oraz potwornie kiczowate wyposażenie i wystrój, które również prosiły się o komentarz – te prawdopodobnie były niezamierzone.

Artyści związani z Al-Bas zostali zatrudnieni jako dekoratorzy. W wielkim holu recepcji w rezydencji wisiał portret Saddama i jego żony Sadżidy, ubranych jak głowy państwa z jakiegoś antycznego królestwa (Babilonu, sądząc po zigguratach w tle). Ten portret nie był właściwie taki zły, ale kolejny, na którym obsadzono Saddama w roli rycerza dżihadu broniącego Jerozolimy przed Ryszardem Lwie Serce, Mustafa uznał za lekką przesadę. A trzeci obraz, ukazujący Saddama jako spartańskiego króla Leonidasa odpierającego atak Persów prowadzonych przez Kserksesa pod Termopilami – ten był albo żartem, albo sprawdzianem lojalności. Jeśli spojrzysz na niego bez drwiącego uśmiechu, masz zapewnioną przyszłość jako obywatel Republiki.

– Tędy – rzekł Kusajj.

Poprowadził Mustafę przez sklepienie przejście do holu pełnego posągów. Kolejne historyczne postacie, każda wyrzeźbiona lub odlana z tą samą twarzą z wąsami: Saddam jako Hammurabi Prawodawca; Saddam jako Gilgamesz; Saddam jako Salmanasar, jako Sargon, jako Sennacheryb; Saddam jako Ramzes Wielki...

Korytarz kończył się okrągłą kopulastą komnatą, na której środku znajdował się jeszcze jeden, ostatni posąg. Ten najwyższy władca miał siedem metrów wysokości, a dzięki światłu wpadającemu przez okna w kopule głowa monarchy lśniła jak złoto. Jednak gdy Mustafa, nie potrafiąc się oprzeć, ostrożnie postukał w jedną z królewskich stóp, odkrył, że nie jest to złoto ani glina: usłyszał brzęk cyny.

– Poczekaj tutaj – powiedział Kusajj, pozostawiając Mustafę w cieniu Nabuchodonozora. – Mój ojciec wkrótce do ciebie dołączy.

Kiedy kroki Kusajja ucichły w oddali, Mustafa usłyszał cichy warkot. Podążywszy za tym odgłosem przez kolejne łukowate przejście, zajrzał do bocznego pokoju, gdzie siedział chłopiec, bawiąc się ciężarówkami-zabawkami. Chłopiec był Europejczykiem, a może Amerykaninem, i wyglądał na około pięciu lat. Było coś żalospnego w sposobie, w jaki popychał wywrotkę tam i z powrotem, wydobywając z siebie ospałe „brum, brum”.

Kobieta, która siedziała tam, pilnując chłopca, spojrzała na zagląającego do pokoju Mustafę. Ten skinął jej głową, a potem odwrócił się i zobaczył, że podchodzi do niego król Republiki.

Podczas jednego z procesów prokurator nazwał Saddama Husajna „wiejskim oprychem w miejskim ubraniu”. Był on potężnym mężczyzną, wysokim i masywnym, jak pomnik, którym pragnął się stać. Codziennie przepływał kilka długości basenu, aby utrzymać formę, i farbował włosy oraz wąsy, aby ukryć swój wiek. Informatorzy mówili, że ma problem z kręgosłupem i często kuleje, kiedy nie widzą tego postronni. Jednak teraz nic na to nie wskazywało. Zbliżał się do Mustafy pewnym krokiem, a nawet – wykorzystując ból, jaki musiał przy tym odczuwać – wytwarzał atmosferę zawołowanej groźby, jak przebiegły lew, który przychodzi zobaczyć, kto zawędrował do jego kryjówki.

– Witam w moim domu! – powiedział Saddam.

Kiedy wyciągnął dłoń do uścisku, jego rękaw podciągnął się, odsłaniając stary tatuaż gangu na nadgarstku. Miał silne palce i ścisnął dłoń Mustafy tak mocno, że aż prawie boleśnie, mierząc go przy tym wzrokiem. Mustafa, nadal zbyt ospołomiony, by się bać, również mu się przyjrzał i zdecydował, że powinien traktować go z szacunkiem, ale stanowczo.

– Mustafa al-Baghdadi – powiedział Mustafa. – Dziękuję, że zechciał się pan ze mną zobaczyć.

– Miło mi, że mogę pomóc. Ufam, że nie muszę się przedstawiać, ale uprzedzę pańskie następne pytanie: proszę się nie krępować i mówić mi Saddam lub wujku. Wielu moich braci ze Związku preferuje to drugie.

– Obawiam się, że „wujku” byłoby dla mnie zbyt niezręczne. Nie jestem członkiem partii Al-Bas.

– Ale jest pan Irakijczykiem – odparł Saddam. – Uważam wszystkich Irakijczyków za honorowych członków Al-Bas.

– Tak, no cóż – rzekł Mustafa – jak podejrzewam, powiedziano już panu, że jestem również byłym agentem Halal, który przez dziewięć lat próbował pana przymknąć. Więc naprawdę nie powinien mi pan robić tego szczególnego zaszczytu.

– Och, Halal. – Saddam uśmiechnął się. – Zabawna organizacja... Czy kiedykolwiek się spotkaliście w czasie tych dziewięciu lat? Wygląda pan znajomo.

– Uczestniczyłem w kilku pańskich procesach – odpowiedział Mustafa. – I byłem członkiem zespołu, który wykonał nakaz przeszukania fabryki Al-Hakam. Próbowałem przy tej okazji z panem porozmawiać, ale pańscy prawnicy nie pozwolili na to.

– Szkoda. Mogłem panu powiedzieć, że marnowaliście swój czas. Ale domyślałem się, że sami to odkryliście.

– Z całą pewnością. – Rozlewnia wody sodowej Al-Hakam, położona poza miastem Al-Musajjib, została zidentyfikowana przez kilku zaufanych informatorów jako tajna gorzelnia produkująca tysiące litrów wysokoprocentowego alkoholu, ale podczas dwudniowego przeszukiwania nie udało się znaleźć ani kropli alkoholu. Ten incydent był poważną wpadką Halal, a wytoczony przez zarząd rozlewni proces sądowy doprowadził do dymisji jednego z przełożonych Mustafy.

– A teraz pracuje pan dla Służb Bezpieczeństwa Narodowego – powiedział Saddam. – Jestem pewny, że to zajęcie daje znacznie więcej satysfakcji...

Mój syn mówi, że pracuje pan dla prezydenta?

Mustafa przytaknął.

– Zadanie specjalne.

– I potrzebuje pan mojej pomocy? – Saddam uniósł brwi, jakby zdumiony tym, że taki skromny właściciel pałacu jak on mógłby mieć coś do zaoferowania.

– Sądzę, że może pan pomóc w moim dochodzeniu, tak.

– Zatem powinienem się cieszyć. Dalej, chodźmy do mojego gabinetu.

– Jeśli mogę zapytać... – rzekł Mustafa.

– Tak?

– Ten chłopiec w tamtym pokoju. Kim on jest?

– Ma na imię Stuart. Jest synem Anglika, z którym robię pewien interes. Zostaje ze mną, dopóki transakcja nie zostanie ukończona, aby upewnić się, że wszystko pójdzie gładko.

Mustafa zamrugął.

– Ten chłopiec jest pańskim zakładnikiem?

– Moim honorowym gościem – odparł Saddam Husajn. – Proszę się nie martwić, opiekują się nim. Dostaje swoje mleko. – Przerwał, a na jego twarzy pojawił się cień wątpliwości. – Hej, ty tam! – zawołał do kobiety pilnującej chłopca. – Dostaje swoje mleko?

– Tak, Saddامية! – odpowiedziała kobieta.

– Widzi pan? – rzekł Saddam do Mustafy. – Dostaje swoje mleko. Nie ma się czym martwić!

Gabinet Saddama przypominał centrum dowodzenia, ze ściennymi mapami Bagdadu i innych irackich miast, ozdobionymi konstelacją pinezek.

– Może chciałby pan zrobić jakieś zdjęcia telefonem komórkowym? – zapytał Saddam, zauważając zainteresowanie Mustafy mapami. – Jestem

pewny, że pańscy dawni koledzy z Halal byliby zachwyceni.

– Byliby – powiedział Mustafa. – Ale nie po to tu jestem.

– Dobrze. Bardzo dobrze. – Saddam otworzył szufladę swojego biurka i wyciągnął dwie szklaneczki i butelkę. – Lubi pan whisky? Wiem, że jest wcześniej...

– Och, nie, dziękuję.

– Nalegam. Zanim porozmawiamy o interesach, musi pan ze mną wypić drinka.

– Naprawdę nie mogę – odparł Mustafa.

– Oczywiście, że pan może. Agenci Halal piją przez cały czas, a byli agenci Halal tym bardziej...

– Jestem muzułmaninem.

Saddam zachichotał.

– To tak jak ja! – powiedział. – Jednak nie jestem święty i nie ufam ludziom, którzy zachowują się, jakby nimi byli. – Nalał porcję whisky do każdej szklaneczki i pchnął jedną przez biurko. – Dalej. Proszę podzielić ze mną ten mały grzech, tak żebym mógł się zrelaksować. Bóg panu wybaczy.

Whisky na języku Mustafy była gorzka i spowodowała, że jego oczy zaczęły łzawić, co Saddam uznał za zabawne.

– To dobry trunek. Powinien pan to docenić!

– Chyba nie jestem koneserem – odrzekł Mustafa.

– Och, ale jest pan dobrze poinformowany. – Saddam położył dłoń na paczce zawierającej karty. – Kto panu o tym powiedział? Przypuszczam, że pański przyjaciel, Wadżid Dżamil.

– Widzę, że nie tylko ja jestem dobrze poinformowany. – Mustafa odstawił szklaneczkę, w której nadal znajdowało się pół porcji whisky. – Powinien pan wiedzieć, że Wadżid nie szpiegował pana.

– Nie?

– Poprosiłem Wadza o pomoc w zbadaniu, jak to nazywamy, legendy mirażu. Po wprowadzeniu jednego z kluczowych słów wyszukiwarka podała kilka aukcji na eBazar, włącznie z tą. Kiedy zobaczył adres pocztowy przypisany do konta osoby, która wygrała tę aukcję, skontaktował się ze mną.

– Och, adres pocztowy... Kusajj ostrzegął mnie przed tym. „Wynajmij skrzynkę pocztową”, mówił. Jednak tyle zachodu z powodu czegoś, co nie jest nawet nielegalne.

– Również pański nick na eBazar nie jest zbyt subtelny – zauważył Mustafa.

– Cóż, nie mogłem się temu oprzeć. Zawsze byłem wielbicielem Nabuchodonozora.

– Tego się domyśliłem.

– Zadedykowałem mu swoją pierwszą powieść... Był wielkim przywódcą. Wielkim arabskim przywódcą, nie tak jak Saladyn, który miał nieszczęście urodzić się Kurdem. – Z zamyśloną miną Saddam zaczął saczyć swoją whisky. – Wie pan, Żydzi mówią, że Nabuchodonozor oszalał. Postradał rozum na siedem lat. Wygnany ze swych rządów w Babilonie, zmuszony żyć jak zwykły człowiek...

– Właściwie to jak zwierzę – rzekł Mustafa, który czytał Księgę Daniela, badając teologię wniebowzięcia. – „Zostaniesz wypędzony spośród ludzi i będziesz mieszkał wśród dzikich zwierząt”.

– Jednak ta historia ma szczęśliwe zakończenie – powiedział Saddam. – Po siedmiu latach król odzyskał zdrowe zmysły i swój tron.

– Tak. – Mustafa zerknął na butelkę whisky. – Po tym, jak podporządkował się Bogu i stał się prawym człowiekiem...

Saddam zdawał się nad czymś zastanawiać. W końcu sięgnął pod blat swojego biurka i wcisnął ukryty przełącznik. Część ściany, na której zamocowana była mapa Al-Hilli, drgnęła i zaczęła się obracać do środka.

– Proszę skończyć swojego drinka – rzekł Saddam. – Chcę panu coś pokazać.

– Nazywam to moim pokojem alternatywnej rzeczywistości – powiedział Saddam Husajn. – Zna pan to wyrażenie, „alternatywna rzeczywistość”? To coś popularnego w nowych mediach. – Poruszył rękami w uniwersalnym geście ponadpięćdziesięcioletniego człowieka próbującego ogarnąć epokę internetu. – Moja córka Hala mi to wyjaśniła. Wykorzystują to teraz, żeby zareklamować filmy i nowe seriale telewizyjne, czasem również gry wideo. Umieszczają wskazówki i podpowiedzi w cyberprzestrzeni, co wygląda na jakąś tajemnicę do rozwiązania dla ludzi, ale tak naprawdę to reklama.

– Kto wykorzystuje? – zapytał Mustafa.

– Bollywood. To Hindusi wymyślili tę praktykę. Teraz jednak robią to również nasze wytwórnie filmowe, a także izraelskie. Niektóre nowatorskie produkcje dotyczące alternatywnej rzeczywistości są bardzo złożone, nie tylko rzeczy w sieci, ale również na żywo, z rekwizytami. Hala, która bardzo interesuje się nowymi mediami, zwietrzyła kampanię alternatywnej rzeczywistości, która wydaje się dotyczyć mnie. Wie pan, że powstanie kinowa wersja Zabiby i Króla – jeśli mój producent ruszy tyłek – zatem początkowo myślałem, że jest to z tym powiązane. Jednak nikt związany z produkcją nic o tym nie wiedział. Zatem kazałem moim ludziom przeprowadzić śledztwo, a oni zaczęli znajdować te rzeczy, te...

– Artefakty.

– Tak. Jak fragmenty układanki. Jak pan widzi, ktoś ma hopla na moim punkcie.

Pokój był małym muzeum stworzonym w tym samym celu, co wystrój całego domu. Na ścianach za szkłem wisiały liczne wycinki z gazet i magazynów, wszystkie z wizerunkiem Saddama. Większość zdawała się

pochodzić z angielskojęzycznych publikacji lub gazet widm. Mustafa zauważył kilka pierwszych stron „New York Timesa”.

Oszklone gablotki na środku pokoju zawierały inne eksponaty. Mustafa zatrzymał się na dłużej obok blatu stołu z grą planszową. Przedstawiała Amerykę Północną podzieloną na sektory; siły inwazyjne jaskrawo pomalowanych plastikowych czołgów i żołnierzy wylądowały na wschodzie, zachodzie oraz w Zatoce i podążały w głąb lądu. Mustafa nie rozumiał, jaki to ma związek z motywem przewodnim wystawy, ale potem zobaczył obrazek na pokrywce pudełka – twarz dowódcy sił inwazyjnych – i zrozumiał.

– Zatem co to wszystko oznacza? – zapytał Mustafa. – Jeśli to jakaś łamigłówka, to jakie jest jej rozwiązanie?

– Nadal to rozpracowuję – odparł Saddam Husajn. – Jednak te przedmioty opowiadają dzieje innego świata, Arabii i Iraku z inną historią.

– A pan jest w tej historii bohaterem?

Saddam rozłożył ręce i uśmiechnął się, jakby chciał powiedzieć: Kim jestem, żeby się sprzeczać z moimi fanami?

– Każda legenda potrzebuje swojego mistrza.

– A co z pozostałymi postaciami? – zapytał Mustafa. – Kto jeszcze jest w tej historii?

– Różni celebryci, głównie politycy. – Uśmiechnął się drwiąco. – Ten kłown Al-Kaddafi, chociaż uważam, że on jest tylko zabawnym przerywnikiem.

– Osama bin Laden?

– Ach, ten. – Saddam wzruszył ramionami. – Sądzę, że mógłby odegrać pewną rolę. Jednak wie pan, nie uważam go za interesującego nawet w prawdziwym życiu. Zbyttno zadziera nosa jak na Sauda bez rodowodu.

– A Ameryka? – Mustafa spojrział w dół na planszę do gry. – Jaka jest rola Ameryki w tej historii? – Spojrział ponownie w górę i zobaczył, że Saddam kiwa głową.

– To dlatego tu pan jest, prawda? – zapytał Saddam. – Z powodu czegoś, co ma związek z Amerykanami.

– Wygląda na to, że ta kampania alternatywnej rzeczywistości, czy cokolwiek to jest, przykuła uwagę kilku bojowników – odpowiedział mu Mustafa. – Jednak oni uważają, że to prawdziwa historia.

Saddam zachichotał.

– Amerykanie... Zawsze myślą fantazję z rzeczywistością.

– Proszę mi powiedzieć, skąd ma pan te przedmioty – powiedział Mustafa.

– Czy one wszystkie pochodzą z eBazar?

– Mam różne źródła. Chociaż ostatnio, tak, wiele przedmiotów pojawiło się na eBazar. Aukcje są zazwyczaj prywatne, ale e-mailami zawiadamia się osoby, które mogą być zainteresowane takimi przedmiotami... Swoją drogą, jeśli pański przyjaciel Wadżid Dżamil ujawnia dane osobowe swoich klientów, to chciałbym wiedzieć, kto licytował przeciwko mnie. Na przykład ta gra kosztowała mnie prawie dziesięć tysięcy riali.

– Dziesięć tysięcy?

– Chciałem ją mieć – odparł Saddam, jakby się broniąc. – Ale jakiś sukinsyn próbował mi ją w ostatniej minucie wyrwać snajperem.

– Czy zna pan źródło tych przedmiotów? – zapytał następnie Mustafa. – Adres zwrotny na paczce z tą talią kart...

– Sklep we Frankfurcie, tak. To przykrywka. Wszystkie adresy zwrotne są przykrywkami – sprawdziłem je. Źródło tych przedmiotów znajduje się gdzie indziej.

– Wie pan gdzie?

– Powiedzmy, że mam pewne domysły. Jeśli chętnie płacę dziesięć tysięcy riali za grę planszową, to ile byłaby warta wskazówka dotycząca twórcy tej gry?

– Chce pan pieniędzy?

– Gdyby był pan bankierem, mógłbym o nie poprosić. Jednak są ważniejsze rzeczy, które może pan dla mnie zrobić jako człowiek prezydenta.

– Na przykład pomóc rozwiązać jakiś problem prawny? – domyślił się Mustafa.

– Chodzą słuchy, że urząd podatkowy przygotowuje przeciwko mnie nowy akt oskarżenia. Gdyby prezydent mógł sprawić, aby go zaniechano, wielce by to pomogło w zdobyciu mojej wdzięczności.

– Całej czy odrobiny?

– Być może będzie potrzebna jeszcze jedna przysługa – rzekł Saddam. – Nie tylko pan przechwytuje moje dostawy. Ostatnio miałem prywatną przesyłkę, która została ukradziona w drodze do Bagdadu...

– To brzmi jak sprawa dla lokalnej policji. Z pewnością pan to zgłosił.

– Zazwyczaj tak bym zrobił. Jednak złodzieje pochodzą z okolicy, w której wpływy policji są... słabe.

Miasto As-Sadra, pomyślał Mustafa.

– Pańską paczkę ukradła Armia Mahdiego? Czy to znaczy, że również Muktada as-Sadr gra w grę alternatywnej rzeczywistości?

– Nie, nie – odparł Saddam. – To nie ma z tym nic wspólnego. To inny rodzaj przesyłki.

– Jeśli to alkohol lub jakieś inne używki...

– Proszę. Gdyby tak było, ludzie Mahdiego po prostu podpaliliby ciężarówkę. Kto wie, może zamierzali to zrobić. Jednak ta przesyłka zawierała antyk, którego wartość jest oczywista nawet dla niewykształconych szyickich bandytów. Tak więc go zabrali.

– I pan chce, żebym go odzyskał?

– Mógłbym to zrobić sam – odparł Saddam – ale wie pan, że nie lubię zakłócać spokoju. A gdybym wysłał swoich ludzi do Miasta As-Sadra...

– Racja. – Krew na ulicach. A co ważniejsze dla Saddama, było bardzo prawdopodobne, że słuch o jego ludziach zaginie. – Czego pan po mnie

oczekuje, mam tam wysłać prawdziwe wojsko?

– Metodę pozostawiam pańskiemu uznaniu. Jeśli jednak człowiek prezydenta nie potrafi odzyskać mojej własności, to kto potrafi?

Mustafa zmarszczył brwi.

– Nie mogę teraz nic obiecać.

– Oczywiście, że nie – odrzekł Saddam. – Proszę ponownie porozmawiać z prezydentem – również o sprawie z urzędem podatkowym, proszę o tym nie zapomnieć – tylko żeby nie zajęło to panu zbyt dużo czasu. Jeśli ludzie Mahdiego postanowią zniszczyć moją własność lub sprzedać ją komuś innemu...

Kiedy wrócili do gabinetu Saddama, rozległo się energiczne pukanie do drzwi.

– Wejść – rzekł Saddam i do pokoju wkroczył najwyraźniej zdenerwowany Abd Hamid Mahmud – as karo. – O co chodzi, Abd?

– Przepraszam, że ci przeszkadzam, Saddamie, ale przy głównej bramie pojawił się problem. Jakaś szalona kobieta. Mówi, że jest córką Anmar al-Majsani i że jeśli jej nie wpuścimy, obróci posiadłość w gruzy.

Saddam Husajn spojrział na Mustafę.

– Może to pańska przyjaciółka? – zapytał.

BIBLIOTEKA ALEKSANDRYJSKA

ŹRÓDŁO INFORMACJI EDYTOWANE PRZEZ UŻYTKOWNIKA

Armia Mahdiego

Ten artykuł dotyczy współczesnej Armii Mahdiego z siedzibą w Bagdadzie. Inne Armie Mahdiego w całej historii, zobacz [inne znaczenia tego hasła](#).

Armia Mahdiego w Iraku jest szyicką społeczną organizacją humanitarną, której oficjalną misją jest zapewnienie bezpieczeństwa, wsparcia i innych usług ubogim regionom, tradycyjnie ignorowanym lub objętym niewystarczającą opieką przez agencje rządowe. Armia ma siedzibę w Mieście As-Sadra w Bagdadzie oraz oddziały w innych dzielnicach Bagdadu i innych irackich miastach, takich jak An-Nadżaf i Al-Kufa.

Założycielem Armii i jej przywódcą jest Muktada as-Sadr.

HISTORIA ORGANIZACJI

W 1959 roku rada miejska Bagdadu stawiała czoło napływowi biednych szyickich robotników z południowego Iraku i zagłosowała za wybudowaniem kompleksu

budynków komunalnych, nazwanego Miastem Rewolucji, w północno-wschodnim Bagdadzie. Znaczna część pieniędzy przeznaczonych na ten projekt trafiła do kieszeni skorumpowanych urzędników miasta i związku. Nowe budynki zostały tandetnie zbudowane, a Miasto Rewolucji szybko zyskało reputację slumsów.

Nie była to ostatnia zniewaga, jakiej doświadczyła ta okolica. W następnych latach mieszkańcy Miasta Rewolucji narzekali na niski poziom wszelkiego rodzaju usług świadczonych przez państwo, poczynając od dostępu do opieki zdrowotnej, a kończąc na naprawach nawierzchni ulic. Szczególnie czułym punktem były organy ochrony porządku publicznego – w dzielnicy Miasta Rewolucji policja z Bagdadu zachowywała się bardziej jak zbrojny gang, gnębiąc legalnych przedsiębiorców i pozwalając uciec przestępcom. Dla swojej własnej ochrony obywatele tworzyli milicje, często skupione wokół meczetów; aczkolwiek milicje te zapewniały namiastkę porządku, jednocześnie walczyły ze sobą o władzę lub były rozbijane przez policję, gdy stawały się zbyt silne.

Ten stan korupcji i anarchii trwał do późnych lat dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku, kiedy to wybór pierwszej szyickiej burmistrz Bagdadu, Anmar al-Majsani, przyniósł krótki okres nadziei na zmianę. Niestety, jej program szeroko zakrojonych reform nie powiódł się w politycznej rzeczywistości Bagdadu. Przeszłość pozostała poważnym problemem. Sytuacja osiągnęła punkt krytyczny po tym, jak najwybitniejszy mieszkaniec dzielnicy Miasta Rewolucji, wielki ajatollah Mohammed Sadik as-Sadr, został zamordowany. Gdy policja ogłosiła, że nie ma żadnych podejrzanych w tej sprawie, w Mieście Rewolucji – teraz zwanym Miastem As-Sadra – wybuchły protesty. Na wiecu, w którym uczestniczyło około pięćdziesięciu tysięcy osób, syn wielkiego ajatollaha, Muktada, wezwał do utworzenia nowej supermilicji, która miała spełnić obietnicę pokoju i sprawiedliwości, jakiej nie udało się dotrzymać ludziom z ratusza. (...)

KONTROWERSJA I KONFLIKT

Chociaż ruch samoobrony obywatelskiej Armii Maħdiego jest przez niektórych usprawiedliwiany jako zło konieczne, spotkał się również z dużą krytyką. Oprócz swoich dobrze rozreklamowanych ataków na ulicznych bandytów, włamywaczy, dilerów, prostytutki, bluźnierców i homoseksualistów Armia jest oskarżana o prześladowanie niewinnych sunnitów, którzy wkraczają na „terytorium” Armii.

Armia Mahdiego wielokrotnie ścierała się również z policją w Bagdadzie. Często policja ponosiła porażkę w tych starciach, w wyniku czego mówi się teraz, że policjanci na patrolu nie mają ochoty wchodzić do dzielnicy i innych fortec Armii Mahdiego bez silnego wsparcia. Rzecznik Muktady as-Sadra upiera się, że ta niechęć nie jest winą Armii: „Nie nienawidzimy wszystkich policjantów, tylko tych złych. Niestety, znalezienie dobrego policjanta w Bagdadzie jest jak znalezienie prawego człowieka w Sodomie”.

Uważa się, że Armia Mahdiego jest zamieszana w niedawną serię ataków na członków Związku Zawodowego Al-Bas. Chociaż Al-Bas nie jest już zamieszana w afery korupcyjne dotyczące Miasto As-Sadra, być może prawdziwym motywem tych ataków jest osobista wendeta skierowana przeciwko przewodniczącemu Związku Al-Bas Saddamowi Husajnowi, którego niektórzy podejrzewają o wydanie rozkazu zamordowania ojca Muktady as-Sadra. Jakakolwiek jest prawda, członkowie Al-Bas i ich sprzymierzeńcy omijają dzielnicę jeszcze szerszym łukiem niż policja.

Mustafa zadzwonił

Mustafa zadzwonił do swojego kuzyna Ijada.

Ijad był synem Fajjada, wujka, który traktował Boga jak jednego ze swoich wierzycieli. Częściowo w odpowiedzi na bezbożność ojca Ijad jako młody mężczyzna był głęboko wierzący, a nawet przez pewien czas zamierzał zostać szyickim duchownym. Ostatecznie okazał się bardziej podobny do ojca, niż chciałby przyznać, i porzucił seminarium, nie uzyskawszy stopnia naukowego, po czym został taksówkarzem. Utrzymywał bliskie stosunki ze swoimi dawnymi kolegami z klasy, a kiedy Armia Mahdiego przejęła kontrolę nad Miastem As-Sadra, Ijad został jednym z nielicznych taksówkarzy w Bagdadzie, którym pozwolono działać w tej dzielnicy. Kilka grubych ryb Armii miało numer jego telefonu na liście szybkiego wybierania, a kilka razy – jak twierdził – wiozł nawet syna ajatollaha.

Ijad wykonywał też inne zadania dla Armii Mahdiego. Kilka lat wcześniej został aresztowany za zdewastowanie punktu przyjmowania zakładów, który został otwarty zbyt blisko Miasta As-Sadra. Mustafa interweniował wtedy, porozmawiał z policją i załatwił, by Ijada zwolniono, nie postawiwszy mu żadnych zarzutów i nie wymierzywszy kary poza laniem, jakie już zdążył otrzymać.

Zatem Ijad był mu coś winny i należał do jego rodziny, ale mimo to Mustafa wiedział, że lepiej nie mówić mu przez telefon, czego od niego chce. Zamiast tego zaprosił Ijada do swojego mieszkania, kiedy Abu Mustafa był poza

domem, i osobiście wyjaśnił mu, o jaką przysługę mu chodzi, sugerując, że to nic wielkiego.

Ijad nie kupował tego.

– Chcesz, żebym orznął ludzi Mahdiego dla Saddama? – Przechylił głowę na bok, wpatrując się w szwy na szyi Mustafy. – Słyszałem, że byłeś ranny, kuzynie, ale nie wiedziałem, że to uszkodzenie mózgu.

– Nie planuję nikogo orznać – odpowiedział cierpliwie Mustafa. – Chcę zawrzeć umowę z ludźmi Mahdiego.

– Dotyczącą czegoś, czego chce Saddam. Sądysz, że uda ci się ich przekupić, aby zapomnieli o krwawych porachunkach?

Właściwie Mustafa tak sądził, ale nie widział potrzeby, żeby to mówić.

– Będę negocjował w imieniu Służb Bezpieczeństwa Narodowego. Porachunki ludzi Mahdiego z Saddamem nie mają z tym nic wspólnego.

– Ludzie Mahdiego mogą się z tym nie zgodzić – odrzekł Ijad. Zmarszczył brwi. – Nie jestem nawet pewien, czy ja się z tym zgadzam. A co z twoją obietnicą, że wsadzisz tego potwora do więzienia? Zostałeś jego chłopcem na posyłki?

– Nie jestem niczym chłopcem na posyłki – powiedział Mustafa. – Mam zadanie do wykonania, a Saddam ma informacje, których potrzebuję. To jednorazowa umowa.

Ijad miał sceptyczną minę – i karcącą.

– A w ogóle co to takiego, ta skradziona własność Saddama? Narkotyki? Jakaś broń?

– Antyczny akumulator – odpowiedział Mustafa.

– Co takiego? Taki ze starego samochodu?

– Trochę starszy. Z wykopalisk w pobliżu Al-Hilli. Saddam nie miał żadnych zdjęć, ale w Bibliotece Aleksandryjskiej udało mi się znaleźć szkic podobnej baterii.

Mustafa pokazał mu wydruk.

– To jest bateria? – zapytał Ijad. – Wygląda jak wazon.

– To gliniany słoik, wysoki na jakieś piętnaście centymetrów. Jest tam zatyczka z przymocowanym żelaznym prętem oraz otaczający go miedziany cylinder. Słoik wypełniasz kwasem – octem lub sokiem winogronowym – a żelazo i miedź wytwarzają prąd.

– A potem co? Podłączasz to do reflektorów na swoim wojennym rydwanie?

Mustafa wzruszył ramionami.

– Biblioteka mówiła coś o powlekanii elektrolitycznym. A może nadworni magowie Nabuchodonozora używali tego do sztuczek, kto to wie?

– Jakie sztuczki chce za pomocą tego wykonać Saddam?

– Twierdzi, że chce to mieć w swojej prywatnej kolekcji dzieł sztuki. Domyślam się, że zamierza to sprzedać na czarnym rynku.

– Jakim czarnym rynku? – prychnął Ijad. – Sok winogronowy... Pewnie ten słoik jest pełny heroiny.

– Jeśli tak jest, wyrzucimy go do Tygrysu – powiedział Mustafa. – Już to obiecałem Saddamowi i obiecuję również tobie. Jeśli jednak to po prostu skradziony antyk, chętnie oddam go Saddamowi w zamian za jego współpracę. Zawsze możemy to później skonfiskować.

– Naprawdę chcesz mieć ten przedmiot? Pozwól mi włożyć do środka bombę. Potem zapakuję to w ozdobny papier, jak prezent.

– Przykro mi, żadnych bomb... No to pomożesz mi czy nie?

Ijad westchnął.

– Chyba mogę wykonać kilka telefonów, dowiedzieć się, jaki odłam Armii ma ten przedmiot. Jeśli w ogóle można go odzyskać, będzie to kosztowne.

– Mogę załatwić pieniądze.

– Będziesz również potrzebował dobrej przykrywki. I nie zaszkodziłby również lepszy przedstawiciel.

– Co masz na myśli?

– Ludzie Mahdiego nie ufają federalnym tak samo jak bagdadzkiej policji. Oczywiście poręczę za ciebie, ale jeśli dojdą do wniosku, że ucinając ci głowę, mogą popsuć humor Saddamowi Husajnowi, cóż...

– Och – rzekł Mustafa. – Wolałbym tego uniknąć.

Ijad ponownie spojrzął na szwy.

– Dla dobra nas obu mam nadzieję, że to prawda... W każdym razie sądzę, że byłoby bezpieczniej, gdyby ktoś inny odegrał rolę kupca. Znasz kogoś, o kim powszechnie wiadomo, że żywi urazę do Saddama?

– Sądzę, że zdołam znaleźć kogoś, kto pasuje do tego opisu – odparł Mustafa.

Kilka dni później Ijad wieczorem zabrał całą ich trójkę sprzed centrali. Mustafa i Samir mieli na sobie dobrze skrojone garnitury, natomiast Amal włożyła strój ninja, czyli abaję i nikab, które kupiła kilka lat wcześniej, wykonując zadanie dla Biura w Medynie. Coś w stroju Amal – może po prostu sposób, w jaki go nosiła – wywoływało skutek wręcz przeciwny do spodziewanego. Gdy podchodziła do taksówki, kilku przechodzących chodnikiem mężczyzn odwróciło się, aby na nią popatrzeć.

– Ładny hidżab – zauważył wyniośle Ijad. Zaraz jednak zachichotał i pokazał egzemplarz „Gazety Bagdadzkiej”, który czytał. – A także ładny chwyt pijarowy.

Na pierwszej stronie gazety znajdowało się zdjęcie Amal z odsłoniętą twarzą, pod nagłówkiem CÓRKA PANI SENATOR WYRÓŻNIONA ZA BOHATERSTWO W OPERACJI ANTYTERRORYSTYCZNEJ. Gdy matka przypięła jej medal, Amal wygłosiła wzruszającą przemowę o walce swojego świętej pamięci ojca ze złem, która była dla niej inspiracją; to właśnie wspomnienie Szamala, jak spekulowała „Gazeta”, spowodowało, że

tajemniczy napastnik krzyczący „Saddam! Saddam!” oddał strzał w jej stronę, kiedy zeszła ze sceny.

– Zatem kim był ten tajemniczy strzelec? – zapytał Ijad.

– Abd Allah al-Haszimi – odpowiedział Mustafa. – Kolega. Chcieliśmy, żeby po prostu rzucił w Amal butem, ale zdecydował, że pistolet na kapiszony będzie bardziej dramatyczny. – Ochroniarze pani senator, z nadmiernym entuzjazmem odgrywając swoją rolę w tym spektaklu, w trakcie obezwładniania Abd Allaha nadwerężyli mu bark. – Trochę się to wymknęło spod kontroli.

– Cóż, ludzie Mahdiego połknęli haczyk – rzekł Ijad. – Gdybyś chciała, mogłabyś się spotkać z samym Muktaďą as-Sadrem... Chociaż dla tych facetów, z którymi mamy się spotkać, prawdopodobnie nie trzeba było aż tak się trudzić.

– A z kim się spotkamy? – zapytała Amal.

– Z grupą osób żądnych sławy. Nie z prawdziwą Armią, raczej z jej pomocnikami. W trakcie rozmowy z jednym z nich wywnioskowałem, że pracowali na własny rachunek, gdy porwali tę ciężarówkę. Dla nas to dobrze, ponieważ to oznacza, że chcą sprzedać towar. Jeśli Bóg pozwoli, umowa powinna szybko zostać sfinalizowana. – Spojrzał na aktówkę, którą trzymał Mustafa. – Masz gotówkę?

– Tak.

Riale w walizce zostały wcześniej zarekwirowane na rozkaz prezydenta z większej sumy pieniędzy za narkotyki, przechwyconych przez Halal. To była surowa sprawiedliwość, okup za własność Saddama, który miał zostać zapłacony pieniędzmi nieuczciwie przez niego zdobytymi.

– Dobrze. Zatem jedźmy.

Samir odchrząknął.

– W porządku – rzekł Mustafa. – Samir chciałby poznać adres naszego celu podróży, żebyśmy mogli zostawić wiadomość, gdzie jedziemy.

Samir istotnie zamięczał go o to bez przerwy.

Ijad spojrział podejrzliwie na Samira.

– Komu chcesz zostawić wiadomość? – zapytał. – Swojej matce?

– Tak – odpowiedział Samir ze śmiertelną powagą. – Jeśli coś pójdzie nie tak, chciałbym, żeby wiedziała, gdzie odebrać ciało.

– Jeśli do tego dojdzie, możesz być pewny, że ludzie Mahdiego wyprawią ci należyty pochówek – odparł Ijad. – Jednak nie martw się, nic nam się nie stanie.

– Jeszcze jedna sprawa – rzekł Mustafa, szybko sprawdzając pozostałe pojazdy na ulicy. – Istnieje możliwość, że będziemy śledzeni. Nie przez naszych ludzi – wyjaśnił. – Ani przez Muchabarat, który Saddam obiecał odwołać. Przez agentów Al-Kaidy.

– Al-Kaida spróbuje wejść do Miasta As-Sadra? – Ijad ponownie zachichotał. – Gdyby tylko Bóg był tak wspaniałomyślny... A teraz w drogę, nie stójmy tu całą noc.

Na mapach dotarcie do tej okolicy nie wydawało się trudne: prostokąt o wymiarach pięć na sześć kilometrów, rozciągający się na północny wschód od kanału biegnącego jak fosa pomiędzy nim a Ar-Rusafą. Jedyne, czego mapy nie pokazały, ale co można było zobaczyć na zdjęciach satelitarnych w internecie, to grupki ubranych na czarno Aniołów Stróżów, którzy przez cały czas strzegli granic Miasta As-Sadra, na każdym przejeździe i w każdej bocznej uliczce, obserwując przybywające pojazdy. Inni Aniołowie zgromadzili się na peronach dworca kolejowego, gotowi pomóc lub przeszkadzać. Windy na stacji rzadko działały, ale przykuty do wózka pasażer linii mógł liczyć na to, że zniosą go na ulicę – chyba że Aniołowie uznają go za szpiega partii Al-Bas w przebraniu kaleki; w tym wypadku znajdzie się na dole jeszcze szybciej, spuszczone głową w dół.

Najpilniej strzeżonymi punktami wjazdowymi były te wzdłuż północno-zachodniego krańca Miasta As-Sadra, granicy z dzielnicą Al-Azamijja. Pilnujący jej Aniołowie byli szczególnie czujni, a po stronie Al-Azamijji dorównywała im straż sąsiedzka złożona z policjantów po służbie i bandziorów należących do partii Al-Bas. Te dwie grupy strażników granicznych wyzywały się przez ulicę Safi ad-Dina al-Hillego. Wymiana obelg czasami przeradzała się w uliczne bójki, a nawet gwałtowne rozruchy.

Ijad zbliżał się do Miasta As-Sadra od południowego wschodu, jadąc okrężną drogą przez przedmieście Nowego Bagdadu i wyjeżdżając na bulwar Jerozolimski. Na rondzie Al-Habibijja, gdzie bulwar przecinał ulicę Port Said, na znajdującej się na środku wysepce obozowali Aniołowie Stróże, co najmniej sześćdziesięciu ludzi ubranych na czarno, siedzących lub stojących wokół terenówek w wersji cywilnej, których używali jako pojazdów przechwytyjących. Kierowcy wjeżdżający na wysepkę zwykle zwalniali, mieli nadzieję uniknąć zatrzymania, ale Ijad jechał taksówką ze stałą prędkością i pomachał strażnikom granicznym. Kilku odpowiedziało mu machnięciem, włącznie z jednym szczególnie zuchwałym Aniołem, który wymienił górę swojego munduru na koszulkę z napisem CZY MOGĘ PRZECZYTAĆ PANU PAŃSKIE PRAWA, PANIE WŁADZO?

Taksówka nadal jechała wzdłuż bulwaru, obok dwóch samochodów z tablicami rejestracyjnymi spoza stanu – jeden z Jordanii, a drugi z Kataru – które zatrzymano, prawdopodobnie podejrzewając, że prowadzący są sunnitami. Nieco dalej na tej przecznicy wypożyczony samochód kempingowy z duńską flagą przyczepioną do anteny został zablokowany przez terenówkę, po tym jak zignorował znak, aby się zatrzymać. Teraz jego trzech pasażerowie byli zmuszeni stać na ulicy, podczas gdy ich pojazd przeszukiwano w poszukiwaniu kontrabandy. Kiedy taksówka przejechała obok, z tyłu samochodu kempingowego wyszedł Anioł, machając stosem komiksów, jakby była to pornografia.

– Głupi turyści – wymamrotał Ijad. Samir przypatrzył się nieszczęśliwym Duńczykom i zaczął wiercić się na swoim siedzeniu, a Ijad, widząc to w lusterku wstecznym, dodał: – Facet, powiedziałem ci, nic nam nie będzie. Ale jeśli nie przestaniesz zachowywać się nerwowo, to spowoduje to problemy.

– Przepraszam – rzekł Samir i zmusił się, aby siedzieć nieruchomo.

Mustafa, sam czując się jak turysta, spoglądał na bulwar i porównywał go ze swoimi wspomnieniami z wczesnych lat dziewięćdziesiątych, kiedy to Halal prowadziła tutaj regularne działania. Niewątpliwie Armia Mahdiego poprawiła pewne rzeczy. Chociaż dzielnica nadal borykała się z trudnościami po kilkudziesięciu latach ignorowania podczas przydzielania budżetu miasta, Armia pracowała w nadgodzinach, aby załatać rozpadającą się infrastrukturę, wypełniając wyboje, naprawiając chodniki, podtrzymując walące się budynki i organizując wywóz śmieci oraz inne usługi, które większość mieszkańców Bagdadu uważała za rzeczy oczywiste. W powietrzu czuć było ciężki zapach ropy z tysięcy generatorów sprowadzonych po to, aby wzmocnić zawodną sieć energetyczną, paliwo pozwalające na ich działanie przetaczano z cystern należących do Al-Bas i kontrolowanych przez nią składów paliwa.

Szerząca się kiedyś tradycyjna przestępczość uliczna teraz praktycznie nie istniała. Jednak tu i tam można było zauważyć, jaką cenę trzeba było za to zapłacić: mroczną stronę nowego porządku. Wśród rzędu zadbanych sklepów Mustafa dostrzegł sklep spożywczy z niedawno rozbitą witryną. Anioł, który popełnił ten czyn, nadal tam stał, postukując w swoją dłoń drewnianą pałką, podczas gdy właściciel sklepu spożywczego z zaciśniętymi ustami zamiatał szkło.

– O co tam chodzi?

– Nie gap się, kuzynie – powiedział Ijad. Wzruszył ramionami. – Facet musiał złamać jakąś zasadę. Może miał otwarty sklep w czasie modlitwy lub próbował sprzedać coś, czego nie powinien. Albo nie płacił składek.

– Składek – powtórzył Mustafa, a Ijad ponownie wzruszył ramionami.

– Myślisz, że twój kumpel Saddam nie pobiera opłat za ochronę od sklepikarzy na swoim terenie? Tutaj przynajmniej rzeczywiście dostajesz ochronę, za którą płacisz.

Na następnym rogu zatrzymali się na czerwonym świetle i Mustafa spojrzął w górę na tablice reklamowe obok torów kolejowych. Na jednej z tablic widniał wszechobecny plakat AS-SADR NA GUBERNATORA. Na innej była reklama lokalnego operatora telefonii komórkowej, z mapą Iraku przedstawiającą jej lepszy od konkurencji zasięg, gdzie różnokolorowe obszary nadawały państwu dzielnicową strukturę, co przypomniało Mustafie szybę sklepu spożywczego. Przesunął się na swoim siedzeniu, a Ijad, sądząc, że to Samir znów wierci się nerwowo, powiedział:

– Facet, poważnie. Wyluzuj się albo zawracam.

Helikopter krążył osiemset metrów nad ziemią, a kamera na jego brzuchu automatycznie śledziła postępy taksówki.

Sześciu komandosów Al-Kaidy siedziało w ładowni helikoptera. Na dzisiejszą wieczorną misję byli ubrani w mundury paramilitarne Korpusu Badr – kolejna supermilicja, z bazą w An-Nadżafie, która obecnie kwestionowała prawo Armii Mahdiego do reprezentowania irackich uciskanych szyitów.

Idris Abd al-Kahhar siedział na fotelu drugiego pilota. Podczas gdy pilot starał się utrzymać taksówkę w zasięgu wzroku, Idris powtarzał swoim ludziom zasady działania.

– Najwyższym priorytetem jest odzyskanie przedmiotu – rzekł. – Wszyscy strażnicy i świadkowie są zbędni. Pamiętajcie, że okolica jest nieprzyjazna i prawdopodobnie każde zamieszanie sprowadzi uzbrojone posiłki.

– Co z agentami Służb Bezpieczeństwa Narodowego? – zapytał dowodzący komandos.

– Jeśli możecie oszczędzić im życie bez narażania naszej głównej misji, zróbcie to. Ale jeśli nie możecie, postarajcie się zabić całą trójkę, a także każdego świadka. Opuszczając budynek, podłóżcie ładunki wybuchowe. Ostatnia sprawa – to się rozumie samo przez się, ale nie możecie dać się schwytać żywcem.

– Zrozumiano – powiedział komandos.

Pilot, obserwując sygnał z kamery, oznajmił:

– Taksówka skręciła z bulwaru. Myślę, że zbliżają się do celu podróży.

Przed meczetem na rogu przecznicy z kamienicami czynszowymi grupa dzieciaków bawiła się wodą z otwartego hydrantu. Pomocnik imama stał obok, trzymając klucz francuski i patrząc na chodnik; chociaż starał się wyglądać jak surowy ratownik, Amal wyczuła pewien smutek, jakby tak naprawdę sam chciał zrzucić swoje szaty i przyłączyć się do chlapiących się w wodzie dzieci.

Ijad minął kolejną przecznicę i zjechał na pusty plac otoczony kamienicami czynszowymi i małą fabryką zmienioną w warsztat samochodowy. Szyld głosił NAPRAWA SAMOCHODÓW U FAUZIEGO, ale o prawdziwym charakterze tego interesu świadczyło rozebrane podwozie zaśmiecające parking.

Banda młodych ludzi, zbyt kolorowo odzianych, aby byli Aniołami, siedziała przed wejściem do dziupli. Kiedy nadjechała taksówka, zaniepokoiili się i sięgnęli po bogaty asortyment broni palnej.

Ijad zaparkował obok zardzewiałego szkieletu mikrobusu.

– Poczekajcie tutaj, aż dam wam znak – powiedział.

Podszedł do garażu i porozmawiał z gościem, który przy AK-47 miał chyba cztery magazynki połączone mocną taśmą klejącą.

– Ktoś tu lubi filmy wojenne – zauważyła Amal. – A może po prostu coś sobie tym rekompensuje.

– Tak, cudownie – rzekł Samir.

Facet z AK-47 kiwał teraz głową. Wysłał innego członka gangu do warsztatu, a Ijad odwrócił się w stronę taksówki i podniósł rękę.

Mustafa i Samir pierwsi wysiedli z taksówki, a potem Mustafa obszedł samochód, aby otworzyć drzwi dla Amal. Kiedy wysiadła, zajęli miejsca po jej bokach, zachowując się jak ochroniarze, przy czym Mustafie lepiej udawało się emanować profesjonalną groźbę.

Nie żeby to miało jakieś znaczenie. Członkowie gangu patrzyli jedynie na Amal. Kiedy zbliżyła się do budynku, usłyszała gwizd i zerknęła w górę. Zobaczyła dwóch nastoletnich chłopców przypatrujących się jej z okna na drugim piętrze fabryki – a niemal nad nimi kolejnego mężczyznę z karabinem, wychylającego się zza krawędzi dachu. Amal powstrzymała chęć pomachania im.

Grupa przed drzwiami warsztatu rozstała się, robiąc przejście dla swojego szefa. Był starszy od pozostałych, ale mimo to młody, co najmniej pięć lat młodszy od Amal.

– Fauzi Ibn Tajm Allah al-Walid – przedstawił się. – Do pani usług.

– Amal Bint Szamal – odparła Amal.

Rozwiązała dolną połowę nikabu, aby mógł zobaczyć, że to rzeczywiście ona. Nagłe odsłonięcie twarzy spowodowało, że zarówno szeregowym gangsterom, jak ich przywódcom opadły żuchwy. Wy, dzieci Miasta As-Sadra, pomyślała Amal, naprawdę powinniście częściej bywać w świecie. – Dziękuję, że zgodził się pan ze mną spotkać.

– Cały zaszczyt po mojej stronie – odpowiedział Fauzi. – Proszę, wejdźcie do środka.

Na dużej otwartej powierzchni za drzwiami stały cztery samochody rozmontowywane na części. Wszyscy mechanicy odłożyli narzędzia, aby

gapić się na przybyłą celebrytkę. Jeden facet odstawił zapaloną spawarkę, uniósł egzemplarz „Gazety Bagdadzkiej” i pomachał nim jak bezgranicznie oddany fan liczący na autograf. Amal uprzejmie to zignorowała, jej uwagę przykuł jedyny nietknięty pojazd w dziupli, sedan z zamontowanym na dachu kogutem.

– Nasza tajna broń – rzekł Fauzi, szeroko się uśmiechając.

Nie rozwinął tematu, ale Amal sama zrozumiała. W nocy, na autostradzie, z włączonym kogutem, sedan mógł zostać łatwo wzięty za policyjny radiowóz. W ten sposób zdobywali swój towar. Amal zastanawiała się, jaką umowę ci faceci mieli z Armią Mahdiego i jaką część dochodu brutto musieli płacić jako haracz.

– Tędy, proszę – powiedział Fauzi.

Tylna połowa warsztatu była labiryntem wysokich regałów. Te najbliżej warsztatu były pełne części samochodowych, lecz te dalej położone były wypełnione stertami dóbr konsumpcyjnych – elektroniki, różnych urządzeń – najwidoczniej pochodzącymi z porwanych ciężarówek. Pudła na jednej półce miały znak Czerwonego Półksiężycy i etykietkę WSPARCIE DLA OFIAR TRZĘSIENIA ZIEMI W ANKARZE. Fauzi zażartował:

– Może zainteresują was tanie medykamenty?

Przestrzeń na środku labiryntu urządzono jak salon: kradzione dywany i krzesła, fajka wodna, a nawet ekspres do kawy. Fauzi, Amal i Ijad usiedli, a Mustafa, Samir oraz pomocnik Fauziego z AK-47 nadal stali.

– Zatem – rzekł Fauzi po krótkiej wymianie uprzejmości – rozumiem, że jest pani zainteresowana czymś, co może znajdować się w moim posiadaniu.

– Właściwie to zainteresowana jest moja matka – odparła Amal.

– Och. Nie powiem, że mi to nie pochlebia, ale zastanawiam się, skąd taka ważna pani senator w ogóle wiedziałaby, czym się tutaj zajmuję.

– Moja matka ma wielu przyjaciół w kręgach wywiadów. W ramach osobistej przysługi mają dla niej na oku kilku ludzi. Jeden z nich ostatnio

przeprowadził wiele rozmów telefonicznych dotyczących przedmiotu, który mu ukradziono. Jest bardzo niezadowolony.

Fauzi wzruszył ramionami, jakby niezadowolenie Saddama Husajna niezbyt go obchodziło.

– Nie każda zgryzota jest przekleństwem.

– Moja matka zgadza się z tym całkowicie – odrzekła Amal. – Chciałaby zwiększyć zgryzotę tego człowieka. Dlatego poprosiła mnie, żebym wyśledziła zaginioną własność. Z moimi miejscowymi kontaktami nie zajęło mi to dużo czasu.

– Cóż, nie ukrywamy się tutaj – powiedział Fauzi, zdradzając jednak lekkie zaniepokojenie. – Ponadto oczywiście jesteście mile widziani w Mieście As-Sadra... Zatem przypuszczam, że ten niezadowolony człowiek również tego szuka.

– Och, tak – odparła Amal. – Szuka wszędzie. Wciąż jednak jest kilka kroków za mną i mam nadzieję uwolnić pana od tego brzemienia, zanim się choć odrobinę zbliży.

– I co potem? Matka pani zawiadomi go, że ma ten przedmiot?

– Taki jest plan.

– A co pani matka zrobi z przedmiotem? Zniszczy go?

– Rozważała taką możliwość. Kiedy jednak usłyszała, że ta rzecz jest antykiem, zdecydowała, że stosowniej będzie ofiarować ją muzeum.

– Muzeum?

– Tak, w Persji – powiedziała Amal. – A może w Kurdystanie...

– Rozumiem – odparł Fauzi. – A gdy ten przedmiot znajdzie się już za szklą w Teheranie lub Kirkuku, to wtedy co, będziecie czekać, aż niezadowolony człowiek przybędzie go zobaczyć?

– Gdyby tylko Bóg był tak wspaniałomyślny... Jednak moja matka upewni się, że ten człowiek otrzyma zaproszenie, i da mu znać, że czeka go ciepłe powitanie, jeśli je przyjmie.

Fauzi uśmiechnął się szeroko.

– Podoba mi się sposób myślenia pani matki. I sędzę, że możemy ubić interes. – Dodał z wyważoną dawką żalu: – Oczywiście, ponieważ jest to interes, będę musiał poprosić o zapłatę.

– Oczywiście – odparła Amal. – Jestem gotowa zapłacić rozsądną ceną. Czy mogę zobaczyć ten przedmiot?

– Oczywiście. – Fauzi odwrócił się do swojego pomocnika. – Szadi, idź przynieść skrzynkę.

Strażnik na dachu słuchał piosenki Zielonej Pustyni *Modłę się sam* przez słuchawki, pstrykając palcami i kołysząc się w rytm muzyki. Helikopter, teraz w wyciszonym trybie pracy silnika, niemal dotknął powierzchni dachu, zanim dostrzegł go strażnik, którego uwagę zwrócił nie stłumiony szum śmigła, ale podmuch, w którym dym z jego papierosa zatańczył tak, jakby i on złapał ten rytm.

Gdy strażnik spojrział w górę, komandos Al-Kaidy strzelił mu między oczy z pistoletu maszynowego z tłumikiem.

– Prawa strona czysta – powiedział komandos.

– Lewa strona czysta – rzekł drugi.

– Naprzód – powiedział Idris.

Helikopter przysiadł na dachu i wyskoczyło z niego sześciu mężczyzn; potem pilot zwiększył moc i ponownie uniósł maszynę na wysokość pięciuset metrów. Komandosi ruszyli sprintem przez dach do klatki schodowej.

Przez całą długość najwyższego piętra budynku biegł korytarz. Gdy pierwszy komandos dotarł do podnóża schodów, jakiś mężczyzna wychodził właśnie z łazienki blisko środka korytarza, poprawiając pasek. Pistolet maszynowy z tłumikiem wydał cichy dźwięk, który można było wziąć za kaszel; odgłos upadającego ciała był głośniejszy i bardziej charakterystyczny.

– Ali? – zawołał jakiś głos zza otwartych drzwi znajdujących się w połowie drogi między łazienką a schodami. – Znowu zaplątałeś się w swoje spodnie?

Potem rozległ się śmiech. Komandos szybko podszedł do drzwi. W pokoju przy stoliku siedzieli trzej mężczyźni i grali w karty. Komandos zabił ich wszystkich, a potem zatrzymał się, nasłuchując. Kiedy nikt inny nie zawołał ani nie pojawił się na korytarzu, aby sprawdzić, co się dzieje, komandos wrócił na schody i gestem dał znak swoim ludziom.

Zaczęli dokładnie przeszukiwać całe piętro. Na końcu korytarza komandos otworzył drzwi pełne maszyn i zobaczył nastoletniego chłopca stojącego przed rzędem okien. Nie zastrzelił go natychmiast, gdyż mógłby rozbić szybę i zaalarmować innych ludzi znajdujących się w budynku, tylko gestem kazał chłopakowi podnieść ręce do góry. Kiedy chłopak to zrobił, komandos polecił mu podejść do drzwi i uklęknąć z twarzą zwróconą do ściany. Potem strzelił mu w tył głowy. Gdy chłopak osunął się na podłogę, komandos szybko rozejrzał się po pokoju, ale nie przeszedł się między maszynami i nie zauważył drugiego chłopaka, klęczącego na jednym kolanie za tokarką, ściskającego drżącymi palcami rozwiązane sznurowadło tenisówki.

Komandosi zakończyli przeszukiwanie, zabijając jeszcze trzech ludzi. Przegrupowali się na samej górze kolejnej klatki schodowej. Ich dowódca dostroił swoje słuchawki i powiedział do Idrisa znajdującego się w helikopterze:

- Najwyższe piętro zabezpieczone. Jesteśmy gotowi zejść na dół.
- Kontynuujcie – rzekł Idris.

– Jest jakiś problem? – zapytał Fauzi.

Amal zmarszczyła brwi.

– Jest pan pewny, że to jest właściwy przedmiot?

– Ależ oczywiście. – Fauzi podniósł wieko małej drewnianej skrzynki i pokazał jej dołączoną etykietę, na której znajdował się herb Uniwersytetu Irackiego w Al-Hilli. Pod nim były ręcznie nabazgrane – dość niechlujnie, pomyślała Amal – słowa BATERIA PARTYJSKA, 2 W. P.N.E. – Tutaj, widzi pani?

– Tak, widzę. Chodzi po prostu o to, że nie wygląda to na to, czego kazano mi się spodziewać.

Przedmiot, który Fauzi wyciągnął ze skrzynki, był, zamiast urny z terakoty, prymitywną butelką z mosiądzu, mającą około pięćdziesięciu centymetrów wysokości. Naczynie było spłaszczoną kulą o długiej, zwężającej się szyjce; jego powierzchnia, nie ozdobiona żadną dekoracją ani wzorem, była poznaczona wżerami i matowa, pokryta grubą skorupą brudu, z wyjątkiem niewielkiego obszaru, który ktoś próbował wyczyścić, odsłaniając nieciekawie lśniące miejsce wielkości półrialowej monety. Wylot butelki był otwarty, a naczynie było puste. Amal nie mogła sobie wyobrazić, w jaki sposób miałyby pełnić rolę baterii.

– Jest pan pewny, że to był jedyny przedmiot? – zapytała. – Nie było żadnych innych skrzynek?

– Nie takich jak ta. – Fauzi prychnął śmiechem. – Chyba że Partowie robili również systemy kina domowego. – A spoważniawszy, dodał: – Mam nadzieję, że nie sugeruje pani, że próbuję panią oszukać.

Nie, nigdy, pomyślała Amal. Chciała skonsultować się z Mustafą, ale wiedziała, że mogłoby to wszystko zepsuć.

Jednak nagle Mustafa sam się odezwał:

– Czy był tam korek?

– Co? – zapytał Fauzi.

Amal odwróciła się. Mustafa jak zahipnotyzowany wpatrywał się w butelkę; ciężko opierał się o krzesło Amal, jakby starał się nie upaść.

– Czy butelka była zamknięta? – zapytał Mustafa. – Czy było coś w środku?

– W środku? – Fauzi wydał kolejne prychnięcie. – Na przykład co, dobra whisky?

Mustafa nie odpowiedział, ale po chwili popatrzył na Amal i stanowczo skinął głową.

– Dobrze – rzekła Amal. – Porozmawiajmy o zapłacie...

Jednak teraz Fauzi marszczył brwi.

– Przepraszam, ale jestem zdezorientowany – powiedział. – Sądziłem, że robię interes z panią.

– Robi pan – odparła Amal.

– A ten człowiek? Pani ochroniarz? Jest również ekspertem od antyków?

– Właściwie to tak.

– Nie. – Fauzi potrząsnął głową. – Nie, nie sędzę. Nie sędzę także, żeby był ochroniarzem. Wygląda na naćpanego. A ten – odwrócił się do Samira – ten wygląda na przestraszonego. – Następnie skupił wzrok na Ijadzie, nic nie mówiąc, jedynie mu się przypatrując, a potem ponownie spojrzął na Mustafę, jakby dostrzegł rodzinne podobieństwo. – Co tu się dzieje?

– Po prostu zawieramy umowę – rzekła Amal. – Dalej, Fauzi al-Walid, bez względu na to, jakie bezpodstawne podejrzenia żywi pan w stosunku do moich ludzi, wie pan, kim ja jestem. A ja jestem gotowa zapłacić pańską cenę, więc...

– Nie przyspieszajmy spraw – odparł Fauzi, rozsiadając się ponownie na swoim krześle. – Porozmawiajmy jeszcze trochę o tym, dlaczego tak naprawdę jesteście zainteresowani tym przedmiotem.

Schody prowadziły na tyły składu. Komandosi zaskoczyli tam kolejnego członka gangu, zabili go i ukryli jego ciało. Potem znów przystanęli,

nasłuchując. Dowódca wysłał trzech swoich ludzi, aby okrążyli dziuplę, podczas gdy on z dwoma pozostałymi wszedł w labirynt regałów. Szli w kierunku, z którego dochodziły głosy, aż znaleźli się tuż przed prywatnym pomieszczeniem. Od krzesła, na którym siedział Fauzi, oddzielał ich zaledwie metr pudeł. Po lewej stronie znajdowała się luka, przez którą zobaczyli Szadiego opierającego się na swoim AK-47.

– Nie przyspieszajmy spraw – rzekł Fauzi. – Porozmawiajmy jeszcze trochę o tym, dlaczego tak naprawdę jesteście zainteresowani tym przedmiotem.

Dowódca komandosów wypuścił z rąk broń, która zawisała na pasie, i wyciągnął granat hukowy. Wymienił ze swoimi ludźmi ostatnie sygnały rękami. Komandos wyciągnął zawleczkę i zamachnął się, gdy zza półek za nim wyskoczył nastolatek o oszalałym spojrzeniu, trzymając pistolet maszynowy zabranego zabitemu mężczyźnie. Jeden z pozostałych komandosów zauważył zbliżającego się chłopaka i strzelił, ale chłopak właśnie potknął się o własne sznurowadło i kula tylko drasnęła jego ucho. Wykrzyknął: – „As-Sadr!” – i ściągnął spust pistoletu maszynowego.

W magazynku pistoletu maszynowego znajdowało się trzydzieści nabojów. Dwadzieścia sześć nie trafiło w nic konkretnego; trzy w komandosa, który przed chwilą strzelił, zabijając go; a jeden w szyję dowódcy komandosów, który wypuścił z ręki granat hukowy. Kiedy trzeci komandos obrócił się do chłopaka, granat wybuchł.

Fauzi, Amal i pozostali byli osłonięci przed wybuchem ścianą pudeł, ale mimo to nagła i bliska eksplozja oszołomiła ich. Chłopak dalej strzelał, a jego okrzyk wojenny „As-Sadr!” zmienił się w ostrzeżenie: „Badr! Badr!”. Oślepiiony i ogłuszony komandos wszedł chwiejnie do salonu Fauziego. Szadi zareagował pierwszy, podnosząc swoje AK-47, ale nawet legendarnie niezawodna broń prawosławnych Rosjan nie poradziła sobie z niewłaściwie zastosowaną taśmą klejącą i zacięła się. Należący do komandosa pistolet maszynowy z tłumikiem wypluł kulę, która musnęła kołnierzyk Mustafy i

sprawiła, że Samir oraz Ijad zanurkowali na podłogę. Amal pochyliła się do przodu na swoim krześle. Rozległ się huk wystrzału z pistoletu i komandos upadł martwy.

Przez moment panowała cisza, gdy z wylotu lufy broni tkwiącej w dłoni Amal unosiła się smużka dymu. Potem członkowie gangu nadbiegający z frontowej części budynku wpadli w zasadzkę zastawioną przez pozostałych trzech komandosów i w dziupli wybuchła gwałtowna strzelanina. Krzyki „As-Sadr! As-Sadr!” mieszały się z „Badr! Badr!”, a potem „Bóg jest wielki!”, gdy ludzie z Al-Kaidy uświadomili sobie, że mogą zostać pokonani.

Fauzi spoglądał na leżące na podłodze ciało i próbował zrozumieć, co, do cholery, się dzieje. Obawiając się, że ten proces myślowy skończy się źle dla niej i jej kolegów, Amal otrząsnęła się i przejęła inicjatywę.

– Wygląda na to, że myliłam się co do tego, że wyprzedziłam konkurencję – powiedziała. – Nie sądziłam, że Korpus Badr połączy siły z Saddamem, ale to chyba prawda, co mówią o wrogu mojego wroga. – Kiedy Fauzi nie odpowiedział, kontynuowała: – Proszę pozwolić mi zabrać ten przeklęty przedmiot z pańskich rąk, Fauzi al-Walid. Ijad powiedział chyba, że pańską ceną sprzedaży było dwadzieścia tysięcy riali.

To umyślne zbijanie ceny dotarło do niego.

– Cena wynosiła trzydzieści tysięcy – powiedział Fauzi, patrząc na nią gniewnie. – A to było, zanim...

– AS-SADR! AS-SADR!

– Powiedzmy dwadzieścia tysięcy i umowa stoi – zaproponowała Amal.

– Trzydzieści tysięcy.

– Dwadzieścia cztery.

– Trzydzieści.

Zabłąkany pocisk przelatujący nad półkami uderzył w kinkiet bezpośrednio nad ich głowami. Amal jakoś udało się nie drgnąć, ale widziała, że kończy jej się czas i szczęście.

– Powiem panu coś – rzekła. – Niech będzie dwadzieścia osiem tysięcy i dwa dodatkowe tysiące dla pańskiego człowieka tutaj, Szadiego, aby pokazał nam, gdzie są boczne drzwi.

– ...pozostali zginęli, a ja jestem odcięty. Nie mogę...

– As-Sadr! As-Sadr!

– Abu Musab? – zapytał Idris. – Abu Musab, jesteś tam? – Zakłócenia w słuchawkach. Na podglądzie z kamery zobaczył, że Mustafa, Amal, Samir i Ijad wychodzą z budynku i biegną do taksówki. Zwrócił się do pilota: – Zabierz mnie na dół.

Jednak pilot, zauważywszy czarną linię kabla pod napięciem wiszącą nad parkingiem i domyśliwszy się, że mogły być tam inne, których nie spostrzegł, powiedział:

– Nie sądzę...

– Zabierz mnie na dół!

Helikopter zaczął opadać, a Idris zdjął z głowy słuchawki i rozpiął pas bezpieczeństwa przy siedzeniu. Kiedy wstał, żeby przejść do ładowni z tyłu, rozległ się trzask i po prawej stronie przedniej szyby w kabinie pilota pojawiła się dziura.

Idris i pilot odwrócili głowy w porę, by zauważyć drugi błysk wystrzału. Strzelec znajdował się na wieży pobliskiego meczetu. Może był to Anioł Stróż na nocnej straży lub sam muezin siedzący po godzinach na swojej „grzędzie” i robiący to, co każdy dobry sadrysta zrobiłby na widok czarnego helikoptera unoszącego się w powietrzu nad okolicą.

– Sukinsyn! – krzyknął pilot.

Krew spływała mu po policzku, skaleczonym przez lecące szkło. Jego palec wskazujący na drążku sterowym zacisnął się kurczowo, ale był to czczy gest. Helikopter nie był uzbrojony.

Ani opancerzony. Następny błysk wystrzału miał nieco inny kształt, ponieważ strzelec zmienił cel, mierząc w ogon śmigłowca. Na pulpicie sterowniczym zapaliła się czerwona lampka i nagrany męski głos zaczął ostrzegać o uszkodzeniu systemu hydraulicznego.

– Zabierz mnie na dół! – powtórzył Idris.

Jednak pilot, przerażony na myśl o awaryjnym lądowaniu wśród setek szytów, potrząsnął głową.

– Nie – rzekł. – Musimy przerwać akcję!

Kiedy Idris nadal na niego wrzeszczał, zwiększył obroty i szarpnął mocno w lewo drążek sterowy. Helikopter odleciał w noc, pozostawiając smugę dymu. Ostatnim obrazem przesłanym przez kamerę była odjeżdżająca z nadmierną prędkością taksówka. Ijad ruszył z piskiem opon, aby uciec, zanim ludzie Mahdiego zamkną ulicę.

BIBLIOTEKA ALEKSANDRYJSKA

ŹRÓDŁO INFORMACJI EDYTOWANE PRZEZ UŻYTKOWNIKA

Szeherezada

Szeherezada jest główną autorką opowiadań w klasycznym zbiorze arabskich opowieści ludowych pod tytułem *Baśni z tysiąca i jednej nocy*.

W ramowej opowieści *Baśni z tysiąca i jednej nocy* król Persji Szachrijar szaleje z wściekłości, kiedy odkrywa, że żona go zdradziła. Nie tylko ją zabija, ale także przysięga, że każdej nocy będzie brał nową żonę, którą następnego ranka udusi. Te egzekucje przeprowadza, niechętnie, wielki wezyr, aż jego najstarsza córka Szeherezada obmyśla plan, który ma położyć kres temu okrucieństwu.

Szeherezada poślubia króla. Podczas nocy poślubnej prosi o pozwolenie, aby pożegnać się ze swoją siostrą Dunjazadą. Dunjazada zostaje przyprawiona do komnat króla, gdzie, zgodnie z planem Szeherezady, prosi siostrę, aby opowiedziała jej jakąś historię. Szeherezada rozpoczyna opowieść, ale jest zmuszona ją przerwać przed nadejściem świtu. Oczarowany król na jeden dzień zawieszona wykonanie wyroku, aby usłyszeć zakończenie opowieści. Następnej nocy Szeherezada kończy pierwszą opowieść i zaczyna drugą, odwlekając wykonanie wyroku o kolejny dzień. Trwa to przez tysiąc i jedną noc, do czasu gdy przy ostatniej opowieści król Szachrijar, odmieniony dzięki miłości, anuluje wyrok śmierci wydany na Szeherezadę i czyni z niej swoją królową.

We wczesnych godzinach porannych

We wczesnych godzinach porannych Saddam Husajn zszedł do najgłębszej piwnicy swojej posiadłości w Al-Azamijji.

Na zachód od głównego domu, z tyłu budynku gospodarczego, który przylegał do wybiegu lwa, znajdowały się zwyczajnie wyglądające stalowe drzwi zabezpieczone elektronicznym zamkiem. Za drzwiami okrągła klatka schodowa prowadziła do wartowni obsadzonej sześcioma najbardziej zaufanymi ludźmi Saddama. Dwaj z nich mieli standardowe mundury Gwardii Republikańskiej i karabiny na gumowe pociski. Pozostali czterej byli ubrani jak zawodnicy jakiejś dyscypliny sportu kontaktowego: ochraniacze na klatkę piersiową, ramiona i uda; nakolanniki, nagolenniki i nałokietniki; osłony pachwin i szyi; wzmocnione rękawiczki i buty oraz hełmy z osłonami twarzy, które opuścili, gdy do pokoju wszedł Saddam.

Przed Saddamem przez długi blok więzienny szedł czteroosobowy zespół interwencyjny i dwaj ochroniarze. Cele już od pewnego czasu były puste, ale na niektórych ścianach nadal były widoczne plamy krwi, a podczas przeszukiwania podłogi można było znaleźć wśród szurzych odchodów jakiś ząb lub paznokieć.

Na końcu bloku więziennego znajdowały się kolejne schody i kolejne stalowe drzwi, a za nimi jasno oświetlony przedsionek, w którym stały dwa fotele. Jeden z nich był wygodny i przypominał tron z dopasowanym do niego

podnóżkiem, a drugi był topornym meblem ze stalowym oparciem przyśrubowanym do podłogi.

W przedSIONKU był również barek i Saddam nalał sobie whisky, gdy uzbrojeni mężczyźni zajęli pozycje po jego obu stronach, a zespół interwencyjny przeszedł przez ostatnie stalowe drzwi. Zza drzwi dobiegły odgłosy szamotaniny i uderzeń.

Zespół interwencyjny wrócił z więźniem. Był to Amerykanin, blondyn po trzydziestce, wysoki i muskularny. Miał na sobie kamuflujące wojskowe spodnie i szarą koszulkę z napisem ARMY, a na prawym ramieniu wytatuowaną czaszkę w zielonym berecie.

Więzień kulał i nie stawiał oporu, kiedy strażnicy go wywlekli, ale kiedy zbliżyli się do fotela krępującego ruchy, nagle ożywił się i ponownie zaczął walczyć. Był to stary trik i zespół interwencyjny był na to przygotowany. Przytrzymali go i wykręcając ręce, okładając po głowie oraz zadając kilka silnych uderzeń w splot słoneczny, posadzili na fotelu i przywiązali. Saddam podniósł małego pilota znajdującego się na barku. W jarzmach do krępowania nadgarstków i kostek nóg znajdowały się styki elektryczne, a naciskając przycisk pilota, mógł wyzwalać bolesne elektrowstrząsy.

Zespół interwencyjny odsunął się od fotela i patrzył wyczekująco na Saddama. Z siedzenia pomiędzy nogami więźnia zwisał elastyczny czarny kabel zakończony dużym krokodylkiem. Ta dodatkowa końcówka mogła być podłączona bezpośrednio do genitaliów więźnia, ale w tym celu musieliby ściągnąć mu spodnie albo przynajmniej wyciąć dziurę w kroku – delikatna procedura.

– Nie – odpowiedział Saddam na nie wypowiedziane pytanie. – Myślę, że dzisiaj nie będziemy tego potrzebować. Zostawcie nas.

Jego ludzie weszli z powrotem po schodach. Saddam oparł przedramię na oparciu głębokiego fotela i sączył swoją whisky. Więzień obserwował go,

uśmiechając się szeroko pomimo krwawiącego nosa i podbitego oka; prawdopodobnie myślał o tym, co by zrobił, gdyby pozbył się więzów.

– Wiesz, te demonstracje oporu są niepotrzebne – rzekł Saddam. – Nikt tutaj nie wątpi w twoją męskość. Jednak jesteś tu osamotniony i bezsilny. Nie możesz uciec. Nie możesz mnie zabić. Nie ma nic wstydliwego w zaakceptowaniu tych faktów.

– Dziękuję za radę – odparł więzień. – Cieszę się, że uznajesz moją męskość. Jednak wiesz, że niespecjalnie mam się tu czym zająć, więc równie dobrze mogę próbować cię zabić.

Saddam uśmiechnął się.

– Twój arabski się poprawił. Musiałeś pilnie się go uczyć.

– Jak mówię, nie mam zbyt wiele do roboty. Bez znajomości arabskiego nie mogę nawet oglądać telewizji.

– Więc jesteś zadowolony z telewizora? Czy ekran jest wystarczająco duży?

– Tak.

– A ten Xbox, który dla ciebie zdobyłem – podoba ci się?

– Tak – powiedział więzień zgodnie z prawdą. – Jednak przydałoby się więcej gier.

– Zobaczę, co da się zrobić. Chcę, żebyś był szczęśliwy. Jeśli potrzebujesz czegoś jeszcze, po prostu poproś... Jesteś pewny, że nie chcesz kobiety?

– Nie, i już omawialiśmy ten temat. Nie jestem zainteresowany Helen Keller, a gdyby mnie zobaczyła lub usłyszała, mogłaby powiedzieć o mnie ludziom, a to oznacza, że potem byś ją zabił. Nie chcę mieć tego na sumieniu.

– Ten świat jest pełen ludzi, którzy już właściwie są nieżywi – rzekł Saddam Husajn. – Mogę znaleźć ci taką kobietę, piękną kobietę. Nie musiałbyś mieć z tego powodu wyrzutów sumienia.

– Nie, dziękuję.

– Albo moglibyśmy trzymać ją tutaj jako twojego gościa. Kogoś, z kim mógłbyś pograć na Xboxie, co ty na to?

Więzień rozważył to.

– Nie – odparł w końcu. – Uwięzienie kobiety w tym miejscu nie byłoby dużo lepsze od zabicia jej. – A myśląc o Udajju, dodał: – Może nawet pod pewnymi względami gorsze.

– Dobrze – powiedział Saddam. – Gdybyś jednak zmienił zdanie... – Nalał sobie drugiego drinka, a potem usiadł w wygodnym fotelu. – A teraz chciałbym trochę rozrywki. Masz dla mnie jakąś opowieść? – Jego oczy zwęziły się. – Tym razem dobrą opowieść?

Więzień uśmiechnął się.

– Nie podobała ci się ostatnia, co?

– Nie, nie podobała.

– Która część ci nie pasowała? To zakończenie, prawda? Kiedy mahdyści rozciągnęli twojego pieprzonego... uuhhhhhhhh!

Saddam trzymał kciuk na przycisku pilota, pociągając długi łyk whisky. Gdy w końcu odłączył prąd, więzień opadł do przodu, z trudem łapiąc powietrze.

– To była czwórka – rzekł Saddam, wskazując panel z liczbami na pilocie. – Chcesz, abym przypomniiał ci, jak odczuwa się dziesiątkę?

Więzień był zbyt zajęty łapaniem oddechu, aby odpowiedzieć.

– A teraz chcę usłyszeć opowieść – kontynuował Saddam. – Nie musi być idealna – wiem, że nie jesteś profesjonalistą – ale musi być inspirująca, musi potwierdzić z kolei moje męstwo. Dość już śmiesznych fantazji o klęskach militarnych, kryjówkach lub... wyrokach skazujących. Chcę opowieści, w którą mogę uwierzyć. Jesteś gotowy mi taką dać?

Więzień na tyle doszedł do siebie, że zdołał zmierzyć swojego porywacza spojrzeniem pełnym głębokiej nienawiści. Przez chwilę wydawało się, że splunie, ale Saddam uniósł pilota, odwracając go, aby pokazać panel z

liczbami. Więzień wytrzymał jeszcze moment, a potem opuścił oczy i skapitulował.

- Tak – odparł. – Opowiem ci to, co chcesz usłyszeć.
- Opowiesz mi to, co chcę usłyszeć, i...?
- Opowiem ci to, co chcesz usłyszeć... panie prezydencie.

Właśnie ucichły wezwania do porannej modlitwy, gdy Saddam wyszedł z piwnicy na górę. Jego syn, Kusajj, czekał na niego.

- O co chodzi?
- Mustafa al-Baghdadi – powiedział Kusajj. – Jest w środku. Ma ten przedmiot.

Saddam uśmiechnął się. Dzień zaczynał się dobrze. Bardzo podobała mu się opowieść więźnia, a teraz to.

- Jest z nim córka pani senator – kontynuował Kusajj. – I jeszcze jeden agent, Samir, ten, który, według Muchabarat, służy Al-Kaidzie.

Coraz lepiej.

- Zatem bin Laden usłyszy o wszystkim, o czym będziemy mówić. – Saddam kiwnął głową. – Więc musimy się upewnić, że usłyszy wiele... Przeszukaliście ich?

- Tak. – Kusajj zawahał się. – Był problem z córką pani senator. Udajj próbował sam ją przeszukać, zamiast wezwać jakąś kobietę z domu, żeby to zrobiła. Zareagowała gwałtownie na tę zniewagę.

- Powiedz mi, że ten idiota nie zrobił jej krzywdy.
- Jej nic nie jest. A Udajj miał szczęście, że wcześniej zdążyła oddać swoją broń.

Saddam poczerwieniał.

- Gdzie teraz jest twój brat?
- Wyszedł. Kazałem mu pojechać na długą przejażdżkę.

– Kiedy wróci, chcę z nim porozmawiać... Co z przedmiotem? Gdzie on jest?

– Straż zanoszą go do twojego gabinetu.

– Przyprawdź tam również Mustafę i pozostałych.

– Chcesz, abym wykluczył córkę pani senator?

– Jesteś pewny, że nie jest uzbrojona?

– Tak. Ma jednak powód, żeby życzyć ci śmierci, więc być może dla całkowitego bezpieczeństwa...

– Nie, wszystko w porządku. Wpuść ją. Może posyłać mi tyle nienawistnych spojrzeń, ile chce. – Saddam zatarł ręce. – Jednak jedyną osobą, której życzenia dziś się spełniają, jestem ja.

Amal istotnie słała mu spojrzenia pełne nienawiści. Jednak jej gniew nieco łagodził uśmiezek wywołany świadomością faktu, że w fałdzie swojej abai ma ukryty pistolet kaliber .22, którego nie wykryło zarówno niezdarne poklepywanie w wykonaniu Udajja, jak i dokładniejsze późniejsze przeszukanie. Była to jednostrzałowa i niezbyt celna broń, ale Amal była pewna, że gdyby zechciała, mogłaby wpakować Saddamowi Husajnowi kulę w łeb.

Oczywiście wówczas ona też by zginęła. Innego dnia mogłaby przynajmniej rozważyć taką ewentualność, ale teraz, podobnie jak Mustafa, miała inne priorytety. Wystarczała jej świadomość, że może to zrobić – że Saddama można dopaść. Zawsze mogła wrócić później i go zabić.

Chociaż nie było po nim tego widać, Samir również zastanawiał się nad zastrzeleniem Saddama. Nie miał jednak ukrytej broni i zdecydowanie nie chciał umrzeć. To był właśnie problem: Idrisowi bardzo zależało na zdobyciu tego przedmiotu, a chociaż sknocony nalot komandosów nie był winą Samira, wiedział, że Idris i tak jego będzie za to winił. Tak więc gdy Amal

wpatrywała się w Saddama, Samir zerkał na pistolet maszynowy przewieszony przez ramię najbliższego ochroniarza. Pomyślał: Chwyć broń, zdejmij obu strażników, zdejmij Saddama, zdejmij Kusajja, weź baterię i uciekaj, uciekaj, uciekaj...

Tak, i gdyby był superszpiegiem Dżafarem Baszirem, może zrobiłby to, może zdołałby nawet wydostać się z tej rezydencji, zanim zostałby zastrzelony przez Gwardię Republikańską. Natomiast Samir Nadim miałby szczęście, gdyby udało mu się ujść z życiem z tego pokoju... zakładając, że miałby odwagę spróbować, a nie miał.

Mustafa, jedyny, który nie rozważał morderstwa, skupił uwagę na mosiężnej butelce. Obejrzał ją możliwie najstaranniej w jadącej taksówce. Nie zawierała nic oprócz kilku ziarenek piasku i aromatu kadzidła. Wąchając powietrze przy otworze butelki, Mustafa wyczuł słaby zapach siarki. Ta woń nie wywołała żadnych szczególnych wspomnień, ale ciężar butelki w jego dłoniach był dziwnie znajomy.

Mustafa zaproponował także Ijadowi obejrzenie butelki, ale ten nie był już dłużej zainteresowany. Kiedy tylko znaleźli się w bezpiecznej odległości od Miasta As-Sadra, zjechał taksówką na bok i kazał Mustafie oraz pozostałym wysiąść.

– A kiedy następnym razem będziesz potrzebował przysługi, kuzynie, spróbuj zadzwonić po Muchabarat.

Mustafa nie sprzeczał się z nim, tylko poważnie skinął głową i rzekł:

– Pokój z tobą, Ijad.

Kiedy Ijad odjechał, Samir z wymuszoną swobodą zaproponował, aby oddali butelkę do centrali, gdzie „zostanie sprawdzona”.

– W jaki sposób sprawdzona? – zapytała Amal. – Jest pusta.

– Cóż, tak, nic w niej nie ma, ale co będzie, jeśli ten przedmiot sam w sobie jest... no, nie wiem, radioaktywny albo coś w tym stylu.

Amal roześmiała się.

– Jeśli jest radioaktywny, to zawieźmy go jak najszybciej do domu Saddama.

Mustafa stanął po stronie Amal, więc przywołali drugą taksówkę i udali się prosto do Republiki. A teraz czekali, podczas gdy ekspert od antyków Saddama weryfikował autentyczność „baterii”. Ekspert, niepozorny Kurd, którego Saddam przedstawił jako pana Rammala, zachowywał się bardziej jak wróżbita niż archeolog. Położył na butelce obie dłonie, zamknął oczy i mamrotał pod nosem. Kiedy skończył rzucać zaklęcia, czy cokolwiek to było, spojrzał na Saddama i skinął głową.

– Wspaniale! – rzekł Saddam.

– Jesteście pewni? – zapytał Mustafa, stwierdziwszy, iż miał absurdalną nadzieję, że butelka nie przejdzie przez ten test.

– Oczywiście, że jesteśmy pewni – odpowiedział Saddam. Zerknął na Kurda, który ponownie skinął głową. – Jeśli pan Rammal jest zadowolony, to ja również. I wy także powinniście być.

– Chodzi po prostu o to, że ten przedmiot nie jest tym, czego się spodziewałem. Nie ma w środku żelaznego pręta, nie ma miedzianego cylindra...

– Miedzianego cylindra?

– Aby wytworzyć prąd elektryczny. Jeśli to prawdziwa bateria, to jest to zepsuta bateria.

– Mustafu al-Baghdadi, zbyt dużo pan myśli – powiedział Saddam Husajn.

Na moment jego dobry humor rozwiązał się jak woal, ukazując pod spodem groźniejsze emocje. Potem znów się uśmiechnął.

– Chodźcie! Pozwólcie mi dać wam waszą nagrodę!

Saddam odwrócił się do ściennej mapy Samary i ściągnął ją, odsłaniając ukryty sejf. Otworzył go i wyjął ze środka kartę katalogową, którą wręczył Mustafie.

– V. Howell Industries – odczytał z karty Mustafa. – To jest źródło artefaktów mirażu?

– Jest tak blisko źródła, jak udało mi się dostać – odpowiedział Saddam. – Moi agenci namierzyli kilka przedmiotów z mojej kolekcji w V. Howell. Nie jestem w stanie powiedzieć, czy jest to źródło, czy też tylko ogniwo w łańcuchu.

– A ten adres: Jefferson Davis Pike 1145, Herndon w stanie Wirginia...

– To mały biurowiec.

– W okręgu Fairfax?

– Tak. W tej części, której żołnierze piechoty morskiej nie spalili doszczętnie. Z zewnątrz wygląda na słabo zabezpieczony obiekt, ale żaden szpieg, którego posłałem do środka, aby się bliżej przyjrzał, nie wrócił z raportem.

– Zatem to jest ten wielki trop? – zapytał Samir. – Biurowiec w Ameryce?

– To więcej, niż mieliście – odparł Saddam. – I więcej niż ma bin Laden. Założę się, że Al-Kaida wiele by dała za ten adres. Chociaż czy zdołałaby coś z tym zrobić...

– A pan uważa, że my możemy? – zapytał Mustafa.

– Jeśli pracujecie, jak twierdzicie, dla prezydenta. W trakcie śledztwa mogą was eskortować żołnierze piechoty morskiej. Wyobrażam sobie, że byłiby więcej niż uszczęśliwieni, gdyby pomogli przekonać V. Howell Industries do współpracy.

– A jeśli znikniemy jak pańscy szpiegowie? – zapytała Amal. – Jestem pewna, że będzie pan wylewał za nami łzy w bezpiecznym miejscu w Bagdadzie.

Saddam wzruszył ramionami.

– Obiecałem informacje, a nie bezpieczeństwo. Uważam, że to bardziej niż uczciwy handel. Jednak proszę, osłódzę transakcję... – Ponownie sięgnął do sejfu i wyjął z niego kartkę papieru. – Ta informacja jest mniej ekskluzywna, ale nadal dość cenna.

Kartka zawierała listę nazwisk.

– Kim są ci ludzie? – zapytał Mustafa.

– Kandydatami do mojej własnej talii kart – odpowiedział Saddam Husajn.

– Przepraszam?

– Sądzę, że nazwalibyście ich „obiektami zainteresowania”. Jeśli uda wam się ich znaleźć i porozmawiać z nimi, powinni mieć wam wiele ciekawych rzeczy do powiedzenia. Gdybym mógł, sam chętnie przesłuchałbym jednego czy dwóch z nich. Właściwie to zapłaciłbym za ten przywilej. Hojnie.

– Jednak nie wie pan, gdzie oni są?

– Przynajmniej niektórzy z nich mieszkają w stolicy Ameryki lub jej okolicach – odpowiedział Saddam. – Kilku innych może być w Teksasie. Będą to prawdopodobnie ludzie wpływowi i poważani, ale obojętnie, jak dużą władzę sprawują, będą uważali, że zasługują na większą. – Spochmurniał. – Będą... sfrustrowani. Wiecznie sfrustrowani.

– Mówi pan zagadkami – rzekł Mustafa – i obawiam się, że po nieprzespanej nocy nie mam do tego głowy... Kim są ci ludzie? Jak pan zdobył tę listę?

– Nie mogę wam powiedzieć, skąd ją mam.

– Z jakiegoś powodu wiedziałem, że taka będzie pańska odpowiedź. – Mustafa westchnął i spojrzał na kartkę. – Co to za imię „Condoleezza”?

– To kobieta. Czarna dama. Interesuje mnie mniej niż niektórzy z pozostałych. Nazwiska wyżej na liście to ci, których tak naprawdę chcę.

Dwa nazwiska na samej górze listy były niemal identyczne.

– Ojciec i syn? – zapytał Mustafa.

– Tak – odparł Saddam. – Tych dwóch bardzo chciałbym mieć jako moich gości.

– Chciałby pan... Zatem ta lista ma przynieść korzyści nam czy panu?

– Nie ma powodu, dla którego nie moglibyśmy wszyscy na niej skorzystać. Gdybyście znaleźli któregoś z tych ludzi i po przesłuchaniu postanowili mi go

przekazać, oczywiście okazałbym moją wdzięczność. Przyprowadźcie mi ojca i syna, a dostaniecie wszystko, co jest w mojej mocy... Jednak proszę, nie odpowiadajcie teraz tak albo nie. Po prostu pamiętajcie o mojej propozycji.

Mustafa przygładził dłonią włosy. Popatrzył na kartkę papieru i na niego, a potem przyjrzał się dłużej mosiężnej butelce.

– Dobrze – rzekł w końcu – dziękuję za informacje, zobaczymy, dokąd one nas zaprowadzą. Proszę cieszyć się swoją „baterią”.

– Och, będę się cieszył – odrzekł Saddam Husajn. – A panu, Mustafo al-Baghdadi... Życzę udanego polowania.

KSIĘGA III. CHWAŁA I
KRÓLESTWO

BIBLIOTEKA ALEKSANDRYJSKA

ŹRÓDŁO INFORMACJI EDYTOWANE PRZEZ UŻYTKOWNIKA

Lyndon B. Johnson

Ta strona jest obecnie **zabezpieczona** przed edytowaniem, aby zapobiec **powtarzającym się aktom wandalizmu**. W celu zasugerowania zmian prosimy **skontaktować się z administratorem**.

Lyndon Baines Johnson (ur. 27 sierpnia 1908 r., zm. 30 grudnia 2006 r.) członek Kościoła protestanckiego, był prezydentem Chrześcijańskich Stanów Ameryki (CSA) od 22 listopada 1963 do 9 kwietnia 2003 r. Objął władzę w wyniku szeregu zamachów na członków rodziny Kennedych i został zdymisjonowany podczas arabskiej inwazji na Amerykę.

WCZESNE LATA

Johnson urodził się w Stonewall w Ewangelicznej Republice Teksasu. Jego ojciec był urzędnikiem państwowym, którego opuściło szczęście, gdy wzbudził gniew wpływowego senatora baptysty. W 1929 r. cała rodzina została zmuszona do emigracji do Ameryki.

DOJŚCIE DO WŁADZY

Niewiele wiadomo o działalności Johnsona w kolejnym ćwierćwieczu, ale w połowie lat pięćdziesiątych XX wieku został członkiem Departamentu

Sprawiedliwości, amerykańskiej policji państwowej strzegącej bezpieczeństwa wewnętrznego. W 1958 r. Johnson odkrył spisek byłego oficera marynarki wojennej Richarda Milhousa Nixona, który miał na celu zamordowanie ówczesnego prezydenta Josepha P. Kennedy'ego. Dwa lata później, kiedy Kennedy abdykował na rzecz swojego syna Johna, Johnsona postawiono na czele Tajnej Służby Departamentu Sprawiedliwości. 22 listopada 1963 r., podczas oficjalnej wizyty w stanie Teksas, John F. Kennedy został postrzelony przez snajpera i zmarł. W Waszyngtonie Johnson nakazał Tajnej Służbie zebrać pozostałych członków klanu Kennedy'ego i umieścić ich w bezpiecznym miejscu. Wieczorem Johnson wystąpił w telewizji i oznajmił, że samolot przewożący Kennedy'ego do Hyannis Port eksplodował w powietrzu. „Dla dobra kraju”, jak powiedział, sam objął władzę wykonawczą. Następnie wprowadził stan wojenny. (...)

Umacniając swoją władzę, Johnson zaczął również przygotowywać się do podboju swojego rodzinnego kraju.

„ALBOWIEM TWOJE JEST KRÓLESTWO...”

Przesłuchiwany po ujęciu przez siły koalicji główny doradca Johnsona Henry Kissinger ujawnił, że co najmniej od lat sześćdziesiątych XX wieku Johnson miewał powtarzający się sen, w którym anioł recytował mu końcowy wers Modlitwy Pańskiej: „Albowiem Twoje jest królestwo, i potęga, i chwała na wieki wieków”. W tym śnie Johnson rozumiał, że „królestwo” oznacza Republikę Teksasu, natomiast „chwała” to Ameryka: „potęgą” jest sam Johnson, wyznaczony przez Boga do zjednoczenia obu państw – a ostatecznie całej Ameryki Północnej – pod jednymi rządami.

W sierpniu 1964 roku Johnson publicznie oskarżył teksaską CIA o przygotowanie zamachów na Kennedy'ego. Wśród dowodów wymienił podejrzaną śmierć aresztowanego zamachowca z Dallas, snajpera Lee Harveya Oswalda, zamordowanego, zdaniem Johnsona, po to, żeby nie mógł ujawnić, czyje wykonywał rozkazy. Rząd Teksasu oficjalnie zdementował zarzuty Johnsona. Ten ogłosił stan alarmowy dla swoich wojsk i zaczął przygotowywać Amerykę do wojny.

Zarówno Kissinger, jak strateg wojskowy Robert McNamara zalecali blokadę morską wybrzeża Teksasu, a następnie morską operację desantową. Jednak

Johnson, zainspirowany innym snem, postanowił zaatakować na lądzie. Ponieważ Teksas i Ameryka nie miały wspólnej granicy, oznaczało to konieczność przemarszu przez inne państwo – Zielonoświątkowe Śródlądzie Gilead albo niezawisłe królestwa Missisipi i Luizjany.

Johnson postanowił przejść przez Gilead. Sfabrykował *casus belli*, twierdząc, że amerykańskie łodzie patrolowe na jeziorze Erie zostały ostrzelane przez okręty z Gileadu. Dnia 1 listopada 1964 roku przeprowadził natarcie lądowe na trzech kierunkach na zachód od Appalachów. Operacja z początku przebiegała bez przeszkód, lecz 3 listopada wczesna śnieżycą zasypała Środkowy Zachód śniegiem i zatrzymała natarcie. Zielonoświątkowe milicje, nie powstrzymywane przez śnieg, kontratakowały, przecinając amerykańskie linie zaopatrzenia, i zanim pogoda poprawiła się dwa tygodnie później, wojskom Johnsona brakowało żywności, paliwa i amunicji. Oddziały wykonały pospieszny odwrót w góry, ale były zmuszone pozostawić znaczną część sprzętu wojskowego, przejętego następnie przez Gileadytów. (...)

Wojna o Śródlądzie trwała osiem lat. Wschodnie równiny Gileadu zostały zniszczone, a takie miasta jak Detroit, Columbus i Nashville niemal zrównane z ziemią, ale siły Johnsona nigdy nie zdołały uzyskać zdecydowanej przewagi. Technologiczną i przemysłową przewagę Ameryki równoważył fanatyzm Gileadytów, którzy w pionierski sposób wykorzystali zamachowców-samobójców w operacjach wojskowych. Mormoni i plemiona Gór Skalistych, obawiając się ataku po upadku Gileadu, również przyłączyły się do walki. Teksas wysyłał sprzęt wojskowy i doradców.

Rozmowy pokojowe w Algierze w 1973 roku oficjalnie zakończyły tę wojnę. Siły Johnsona po raz ostatni wycofały się w Appalachy. Chociaż Ameryka nie poniosła poważnych strat podczas tego konfliktu, jej gospodarka była w ruinie, a ludność na krawędzi buntu. Johnson przez następne dwadzieścia lat borykał się z niepokojami społecznymi i innymi kryzysami wewnętrznymi, ale nigdy nie porzucił marzenia o podboju Teksasu. Na początku lat dziewięćdziesiątych był gotowy spróbować ponownie.

1991: WOJNA W ZATOCE MEKSYKAŃSKIEJ

W czerwcu 1990, po przewrocie pałacowym, Królestwo Missisipi zostało anektowane i stało się osiemnastym stanem Ameryki. Henry Kissinger polecił do

Nowego Orleanu i namawiał przywódców Luizjany, żeby również dołączyli do CSA; ci odmówili.

Dnia 2 sierpnia amerykańskie siły wkroczyły do Luizjany. Do 6 sierpnia większość Sił Zbrojnych Luizjany złożyła broń lub uciekła do Teksasu. LBJ nazwał Luizjanę dziewiętnastym stanem i zaczął gromadzić oddziały wzdłuż wschodniej granicy Teksasu.

Teksas skutecznie zaapelował o pomoc do bratnich państw OPEC. 8 sierpnia ZPA i Persja zaczęły drogą powietrzną przerzucać oddziały do Houston oraz Dallas–Fort Worth, natomiast wenezuelska Marynarka Wojenna stworzyła obronny kordon wzdłuż teksańskiej linii brzegowej. (...) 17 stycznia 1991 roku koalicja rozpoczęła zmasowany atak lotniczy. Dnia 23 lutego nastąpiło natarcie na lądzie i po zaledwie 100 godzinach walk Luizjana została wyzwolona. (...)

Chociaż Amerykanie ponieśli upokarzającą klęskę militarną, Johnson ogłosił wojnę w Zatoce wielkim zwycięstwem. Przechwałki Johnsona tylko pogłębiły odczucie wielu krytyków tej wojny, że pozwalając LBJ pozostać przy władzy, koalicja nie dokończyła swojego zadania. To z kolei przygotowało scenę ostatniego aktu kariery dyktatora. (...)

Wylądowali w Trypolisie

Wylądowali w Trypolisie, żeby zatankować. Spoglądając przez okienko przy swoim fotelu, przez falujące rozgrzane powietrze nad pasem startowym Mustafa mógł dostrzec szeroki pas eukaliptusów sąsiadujący z lotniskiem. Tablica identyfikowała to miejsce jako POLETKO DOŚWIADCZALNE NR 11 SEKWESTRACJI DWUTLENKU WĘGLA.

Według północnoafrykańskich standardów Trypolis był zielonym miastem, z parkami i ogrodami dobrze nawadnianymi przez jedną z najbardziej udanych inwestycji gubernatora, Wielką Sztuczną Rzekę, która wykorzystywała ogromne zasoby wody podziemnej pod powierzchnią Sahary. Te eukaliptusy były częścią jeszcze śmielszego planu Al-Kaddafiego, polegającego na tym, żeby dzięki zamianie pustyni w las walczyć z globalnym ociepleniem. Takie poletka doświadczalne jak to znajdowały się w całej Libii, łącznie zajmując około dwustu hektarów; docelowo plan przewidywał zalesienie miliarda hektarów ponad trylionem drzew. Miało to trochę potrwać. Jednak internet też nie powstał w jeden dzień.

Mustafa, Samir i Amal opuścili Bagdad wczesnym rankiem, złapawszy rejsowy samolot do Rijadu, gdzie czekał wojskowy dżip mający przewieźć ich do bazy sił powietrznych w Al-Chardż. Tam wsiedli na pokład ogromnego samolotu transportowego. Chociaż okupacja Ameryki podobno się kończyła, nikt by się tego nie domyślił, patrząc na ilość sprzętu upchniętego w ładowni samolotu. Członek załogi przeprowadził ich na dziób między paletami

amunicji, środków medycznych oraz racji żywnościowych, a następnie schodami do kabiny dla pasażerów. Tych było stosunkowo niewiele; na fotelach siedzieli głównie stewardzi i inni członkowie załogi niezaangażowani bezpośrednio w pilotowanie samolotu.

Przewidywany czas przelotu transportowca wynosił piętnaście godzin. Mustafa zabrał sporo lektur: mnóstwo materiałów o Ameryce oraz kilka ściśle tajnych dokumentów dostarczonych mu, z zaledwie minimalnymi skreśleniami, przez personel prezydenta. Samir i Amal mieli podobne zestawy lektur.

– Gotowi do startu – oznajmił pilot.

Szczególną cechą tego transportowca było to, że fotele pasażerów, inaczej niż w cywilnych samolotach, był skierowane oparciami do przodu, tak więc kiedy startowali, Mustafa bez trudu mógł zobaczyć i obserwować, jak najpierw pas eukaliptusów, a następnie zakurzone zielone łąki Trypolisu uciekają w dal. Wkrótce znikły z oczu, a samolot leciał na zachód nad spaloną słońcem ziemią, skałami i piaskami, które kiedyś miał pokryć las.

Mustafa wrócił do swojej lektury.

Raport, sporządzony przez wydział nauk politycznych Uniwersytetu Sudańskiego w Chartumie, był zatytułowany *Daltonizm: Rola kwestii rasowych w amerykańskiej opozycji*. Zaczynał się od streszczenia historii relacji między czarnymi a białymi w dwudziestowiecznej Ameryce. Przez pierwsze dwie trzecie tego wieku w CSA istniała forma apartheidu – jawnego w południowych stanach i utajonego na północy, gdzie, według tego raportu, „biali obywatele chcieli przywilejów rasowych bez ponoszenia konsekwencji”.

Ustawa o prawach obywatelskich została przygotowana przez Kennedych i zatwierdzona przez LBJ w pierwszym roku jego rządów. „Według oświadczeń

Johnsona i jego najbliższych doradców, próbując podbić Teksas, był on przekonany, że spełnia wolę Boga. Wrogowie oskarżali go o bardziej cyniczne pobudki. Szczególnie na południu ustawa o prawach obywatelskich była uważana za pretekst do poszerzania władzy federalnej i ograniczania praw stanowych”. Oddziały wojsk federalnych zdusiły kilka prób buntu. Departament Sprawiedliwości wyłapywał politycznych wichrzycieli – zarówno czarnych, jak białych – po czym wysyłał ich na pierwszą linię frontu w Śródlądziu. „Chociaż Johnson zdołał zdemontować system amerykańskiego apartheidu – co było jedynym godnym uznania osiągnięciem jego rządów – nie wyeliminował amerykańskiego rasizmu. Raczej zepchnął etniczną nienawiść swoich poddanych do podziemia, gdzie tliła się latami, czekając na ponowną szansę buchnięcia żywym ogniem. Ta okazja w końcu nadarzyła się w 2003 roku. Inwazja sił koalicji na Amerykę ograniczyła federalną kontrolę nad poszczególnymi stanami. Ponadto stworzyła sytuację, w której jawne okazywanie uprzedzeń do ludzi o ciemniejszej skórze było uważane nie tylko za politycznie poprawne, ale patriotyczne”.

Tu pojawia się Bulus ad-Darir, ukochany syn Narodowej Partii Boga i człowiek wybrany do nadzorowania odbudowy Ameryki w kluczowym pierwszym roku po inwazji. Jego wybór był katastrofalną pomyłką, ponieważ Ad-Darir podjął szereg niepopularnych decyzji, które przekreśliły wszelkie szanse na pokojową przemianę w demokratyczne państwo.

Najgorszą z tych decyzji był rozkaz numer dwa, rozwiązujący milicję – amerykańską Gwardię Narodową – w wyniku czego pół miliona dobrze uzbrojonych chrześcijan pozostało bez pracy. Rozkaz numer 3, usuwający wszystkich członków Chrześcijańskiej Partii Demokratycznej z administracji federalnej, stworzył kolejne sto tysięcy bezrobotnych. „Ponieważ wielu tych urzędników państwowych, a także gwardzistów stacjonujących w stanie Waszyngton było Afroamerykanami”, głosił raport, „te rozkazy zostały powszechnie zinterpretowane jako próba sprzymierzenia się sił okupacyjnych

z białą większością przeciwko czarnej mniejszości”. Gdyby tak było rzeczywiście, politycznych decyzji administratora Ad-Darira można by bronić jako pragmatycznych, chociaż niemoralnych. Jednak z perspektywy czasu wydaje się, iż były przejawem ignorancji i wzbudziły ogromne problemy rasowe bez żadnego konkretnego celu.

Wszelką sympatię, jaką przypadkiem zaskarbił sobie Ad-Darir u białych Amerykanów, zniweczył rozkaz numer 5, zabraniający produkcji i sprzedaży napojów alkoholowych. Pomysł wprowadzenia prohibicji na terenie, który praktycznie wciąż był strefą wojny, można w najlepszym razie uznać za śmieszny; poza okupowaną stolicą zakaz ten miał niewielki wpływ na spożycie alkoholu przez Amerykanów. Jednak miał inne konsekwencje. W nagle pozbawionym alkoholu Waszyngtonie powstał znakomicie prosperujący czarny rynek, dający nowe możliwości zarobkowania dla bezrobotnych gwardzistów – oraz nowy powód do walki o terytorium. Tymczasem siły koalicji zmieniły się w armię niewyszkolonych agentów Halal. Oddziały, które powinny pomagać w stabilizacji kraju, wysyłano z zadaniem wyszukiwania i niszczenia browarów oraz gorzelni. Czasem udawało się je znaleźć. Czasem popełniano błędy i niszczone inne cele: wytwórnie środków medycznych, magazyny żywności, szkoły. Wieści o najgorszych pomyłkach rozchodziły się po kraju, wywołując kolejne zamieszki.

Podczas narady antykryzysowej niektórzy z doradców Ad-Darira usiłowali przekonać go, żeby cofnął ten rozkaz. Odmówił. Następnie popełnił najbardziej pożałowania godny błąd w swojej karierze, sugerując, że jeśli Amerykanie chcą się odprężyć po dniu pracy, powinni próbować palić haszysz; szczególnie klimat południowych stanów, zauważył Ad-Darir, sprzyja uprawie konopi indyjskich.

Może chciał zażartować. Może był tylko zbyt szczery w kwestii swoich upodobań. Nikt nie wiedział tego na pewno, a kiedy ta wzmianka za sprawą nieprzyjaciół Ad-Darira przeciekła do publicznej wiadomości, odmówił

jakichkolwiek komentarzy. Oczywiście z moralnego punktu widzenia ta sugestia nie miała sensu: Koran zakazuje używania wszelkich środków odurzających, nie tylko alkoholu. Jednak ta wypowiedź ponownie ujawniła całkowitą ignorancję administratora w kwestii amerykańskich przesądów rasowych.

Tak jak kokaina i opium, haszysz od dawna był substancją zakazaną w CSA – nie z powodów religijnych, ale na skutek przeświadczenia, że jego palenie rozpala żądzę czarnych mężczyzn. W wielu białych społecznościach uwaga Ad-Darira „niech palą haszysz” została zinterpretowana jako zachęta do zbiorowych gwałtów. To nie zostało dobrze przyjęte.

Zaledwie tydzień później biały tłum w Langley powiesił czterech cywilnych arabskich przedsiębiorców na balustradzie wiaduktu nad autostradą. Dla zwierzchników Bulusa ad-Darira była to ostatnia kropla goryczy i gdy do okręgu Fairfax wysłano piechotę morską, administratora odwołano do Rijadu, a przygotowany przez niego rozkaz numer 9, zabraniający produkcji i sprzedaży wszelkich przetworów z wieprzowiny, został cichaczem odłożony na półkę. Jednak zło już się stało i przynajmniej w jednej sprawie biali i czarni Amerykanie byli teraz zgodni: władze koalicyjne nie były już mile widziane.

Mustafa wstał, żeby rozprostować nogi. Zauważył, że Amal śmieje się z czegoś, co znalazła w swoich papierach.

– O co chodzi? – zapytał.

– Oto, na co idą nasze podatki – powiedziała Amal, pokazując mu broszurkę *Trzydzieści prostych zasad kontaktów z Amerykanami*, przeznaczoną dla gości po raz pierwszy odwiedzających ten kraj i mających mało czasu na lekturę.

Zasada nr 1 głosiła NIE OCZEKUJ PODZIĘKOWAŃ. „Amerykanie są dumnym narodem. Chociaż ich cywilizacja jest jeszcze w powijakach, uważają się za równych, jeśli nie lepszych, przedstawicielom starszych i wyżej rozwiniętych kultur. Fakt, że musieli ich wyzwolić cudzoziemcy,

ogromnie ich zawstydzą i chociaż zdecydowana większość jest wdzięczna za dar wolności, niezwykle niechętnie to okazują.

Możecie uznać, że Amerykanie lubią narzekać. Starajcie się to ignorować. Wykazywanie im, że ich życie pod wieloma względami zmieniło się na lepsze, tylko skłoni ich do głośniejszych narzekań. Nigdy nie mówicie Amerykaninowi, że »powinien dziękować«. W amerykańskiej kulturze jest to uważane za ciężką zniewagę i może prowadzić do aktów przemocy”.

Załączony rysunek przedstawiał czołg stojący na przydomowym trawniku. Kierowca czołgu stał obok swojego pojazdu i przyjaźnie wyciągał rękę, lecz właściciel domu, posepny czarnoskóry mężczyzna w trójgraniastym kapeluszu, założył ręce na piersi. W tle widać było kobietę spoglądającą przez okno od ulicy i wyraźnie przestraszoną – całkiem słusznie, pomyślał Mustafa, ponieważ działo było wycelowane w jej salon.

– Czyż to nie genialne? – spytała Amal. Wskazała notatkę z tyłu, na obwolucie. – Instytut Badań Kultury Amerykańskiej. Pamiętam, jak matka pokazywała mi, jaki mają budżet. Dostają trzy miliony riali tylko na badania. Trzy miliony riali, żeby dojść do tego, że ci ludzie nie dziękują, kiedy wjeżdżasz czołgiem na ich podwórko. Oto dobrze wydane pieniądze, nie uważasz?

– Mogłoby tak być – rzekł Mustafa – gdyby ktoś w koalicji zwracał na to uwagę.

Dwie godziny później przelecieli nad marokańskim wybrzeżem. Gdy transportowiec kierował się nad Atlantyk, Mustafa otworzył teczkę z napisem ŚCIŚLE TAJNE. W środku było streszczenie i protokół jednego z przesłuchań Lyndona Bainesa Johnsona.

Koalicja nie zamierzała schwytać amerykańskiego prezydenta żywcem. Pierwszym ruchem w „budzącej strach i szacunek” kampanii była próba

druzgoczącego uderzenia: arabskie niewykrywalne dla radarów bombowce stacjonujące w Houston wzięły na cel Biały Dom, Kapitol oraz siedem schronów dowodzenia rozrzuconych w Dystrykcie Kolumbii. Ataki na Kapitol i schrony były udane, ale wszystkie inteligentne bomby zrzucone na Biały Dom nie trafiły w cel lub nie eksplodowały – co było statystycznym nieprawdopodobieństwem, które graniczyło z cudem i przekonało dowódcę sił powietrznych koalicji, że nie ma sensu próbować ponownego ataku.

LBJ również musiał widzieć działanie Bożej ręki w tym cudownym ocaleniu Białego Domu. Zamiast ukryć się natychmiast po rozpoczęciu inwazji, pozostał w prezydenckiej rezydencji, aż siły inwazyjne przybyły, żeby wziąć go do niewoli. Istniały dwie różne wersje tego wydarzenia. W jednej, przekazanej przez FOX News i uznanej przez arabski rząd za propagandę, Johnson dzielnie czekał w Gabinetcie Ovalnym, gdy 4 Dywizja Piechoty ZPA wkroczyła do Białego Domu. Prezydent zsalutował żołnierzom, a następnie postukał laską w niewypał tysiackilowej bomby, która rozbiła jego biurko.

– Czy to wasza zguba, panowie?

Według drugiej wersji, przekazanej Al-Dżazirze przez pewnego kaprała, który twierdził, że tam był, Johnsona znaleziono na piętrze, schowanego w sypialni Lincolna. Przestraszony i zmieszany, z początku zdawał się nie pojmować obecności obcych wojsk w swoim domu.

– Co tu robicie? – pytał raz po raz.

Mustafa zawsze podejrzewał, że ta wersja wydarzeń też była wytworem propagandy, gdyż obraz dzieciinniałego dyktatora aż za bardzo pasował do oficjalnego uzasadnienia toczzonej wojny. Jednak zgodnie z aktami, które trzymał w dłoniach, ta opowieść była prawdą, jeśli nie liczyć jednego drobnego szczegółu. Johnson nie pytał tych, którzy go schwytali, „co tu robicie?”, ale „co ja tu robię?”.

Teraz, kiedy LBJ był ich jeńcem, przywódcy koalicji zastanawiali się, co z nim zrobić. Powszechnie zgadzano się, że należy go przekazać Amerykanom, żeby go osądzić – kiedy w tym kraju znów będzie działający system prawny – lecz zanim do tego dojdzie, należy uzyskać odpowiedzi na kilka pytań o 11/9 i nieuchwytny WMD. Kilku najbardziej zatwardziałych opowiadało się za wysłaniem go do obozu dla internowanych nad zatoką Chwaka na Zanzibarze, lecz ten plan został odrzucony z obawy, że dziewięćdziesięcioletni Johnson jest za słaby, żeby przeżyć transport, a co dopiero standardowe przesłuchanie. Zamiast tego przewieziono go helikopterem na Cape Cod, do dawnej posiadłości Kennedych. Tam, po opiece zespołu lekarzy marynarki wojennej, spał w wygodnym łóżku i dobrze się odżywia. Pozwalano mu czytać książki, słuchać muzyki i oglądać filmy na DVD, chociaż nie miał dostępu do gazet i telewizji. Dwa razy dziennie, jeśli chciał, pozwalano mu spacerować po plaży, a pływaczom w wodzie pilnowali, żeby nie próbował się utopić.

Pod tak troskliwą opieką stan jego ciała i umysłu poprawił się, tak samo jak nastrój. Kiedy oficer wywiadu Abd ar-Rahim at-Talib przybył, aby go przesłuchać, Johnson był gotowy rozmawiać.

At-Talib: Proszę mi powiedzieć, panie prezydencie, co to jest teoria domina?

Johnson: To koncepcja Williama Westmorelanda. Kissinger i McNamara nie chcieli wojny na lądzie, ale Westmoreland gorąco do niej zachęcał. Według jego teorii każdy skrawek terytorium zajęty w drodze do Teksasu miał jak upadająca kostka domina pomagać nam obalić następny i zanim doszlibyśmy do Austin, ten proces nabrałby takiego impetu, że moglibyśmy dotrzeć aż do wybrzeża Kalifornii. I mieć cały kraj pod jednym dachem, tak jak chciał tego Bóg.

At-Talib: Cały kraj? Czy nie miał pan na myśli całego kontynentu, panie prezydencie?

Johnson: Ten kraj i ten kontynent to jedno, panie At-Talib. Takie jest jego przeznaczenie.

At-Talib: Wygląda na to, że wielu pańskich niedoszłych krajanów nie zgadza się z tym.

Johnson: Mówi pan o zielonoświątkowcach? To był błąd, że najpierw zabraliśmy się do nich. Ludzie, którzy wierzą, że Duch Święty obdarza ich nadprzyrodzoną mocą, zwykle są uparci. Pomimo to nie byłbym taki pewny tego, z czym się zgadzają, a z czym nie. Jest pan człowiekiem wierzącym, panie At-Talib. Czy nie zauważa pan, że najzacieklej zмага się pan z tym, co w głębi serca uważa za słuszne?

At-Talib: Tak. Jednak tej walki, o której pan mówi, nie można wygrać siłą. Przynajmniej ja w to nie wierzę.

Johnson: Żałuję aktów przemocy. Wiem, że historia uzna mnie za podżegacza wojennego, co nigdy nie było moim zamiarem. Ja jedynie broniłem mojego kraju.

At-Talib: Jednak żałuje pan?

Johnson: Oczywiście. Jak mógłbym nie żałować? Mam na rękach krew tysięcy Amerykanów. Odpowiem za to przed Bogiem, i to wkrótce. Nie czekam na to niecierpliwie.

At-Talib: A co z krwią Arabów, panie prezydencie? Co z tysiącami zabitych w Bagdadzie i...

Johnson: Tu pan błądzi, proszę pana.

At-Talib: Naprawdę, panie prezydencie? Jak pan powiedział, wkrótce musi pan odpowiedzieć przed Bogiem, przed którym niczego się nie zatai. Dlaczego nie wyznać wszystkiego teraz?

Johnson: Mogę wyznać tylko moje własne grzechy, panie At-Talib, tak samo jak przyznać się do tych wad, które mam. Głupota nie jest jedną z nich.

At-Talib: Nie sugeruję, że jest pan głupcem, panie prezydencie.

Johnson: Ależ właśnie to pan robi, oskarżając mnie o atak na wasz kraj. Po co miałbym to robić?

At-Talib: W odwecie za wojnę w Zatoce, oczywiście. Uniemożliwiliśmy upadek pańskich kolejnych kostek domina. Z pewnością to pana rozgniewało?

Johnson: Tak, istotnie. A kiedy jestem na kogoś zły, nazywam go sukinsynem. Nie podpalam jego domu i nie zaczynam waśni z całą jego rodziną. Szczególnie waśni, której – jak wiem – nie mogę wygrać.

„Więzień uparcie twierdzi, że nie brał udziału w ataku z 11/9 – napisał At-Talib do swoich zwierzchników w Rijadzie. – Kiedy zasugerowałem, że chrześcijanie z gór, którzy wzięli na siebie odpowiedzialność za ten zamach, są zbyt zacofani, żeby przeprowadzić go bez pomocy, LBJ odparł, że niedawno »Arabusi jeździły na wielbłądach«, a jednak tylko bigot upierałby się, że są niezdolni do »zarówno wielkich, jak strasznych czynów«. Wtedy poprosiłem, żeby spróbował spekulacji: jeśli to nie górale, to kto może być odpowiedzialny? Przypomniał mi, że wszyscy porywacze posługiwali się teksańskimi paszportami, i zauważył, że przywódcy Ewangelicznej Republiki nie kryją zadowolenia z pozbawienia go władzy. »Nie mówię, że to ich sprawka, ale oto, jakiego szukałbym sprawcy: kogoś, kto chciał rozpocząć wojnę, czyli, jak mówicie, dzii-had«.

Co do drugiej sprawy, to żałuję, że nie poczyniłem większych postępów, chociaż tu problemem nie jest odmowa przyznania się do winy, ale raczej niezdolność prowadzenia spójnej rozmowy. Johnson, jak wiadomo, ma początki demencji. Chociaż zwykle trzeźwo myślący, ma okresy, w których traci poczucie rzeczywistości i wierzy, że jego marzenie o »zjednoczeniu Ameryki« się ziściło. Te okresy przeważnie są przypadkowe, ale mogą być

także wywoływane jakimś bodźcem i ten temat wydaje się najsilniejszy z nich”.

At-Talib: Przepraszam, panie prezydencie, ale jeszcze raz muszę poruszyć temat WMD.

Johnson: WMD?

At-Talib: (Wzdycha.) Tak, proszę pana, broni masowego rażenia. Nuklearnej, biologicznej i...

Johnson: Nuklearnej? Pyta pan, czy Ameryka ma broń nuklearną?

At-Talib: Tak.

Johnson: Oczywiście, że ją mamy. Myślisz, że czym jest supermocarstwo, synu?

At-Talib: I gdzie jest ta broń, panie prezydencie?

Johnson: Na zachodzie.

At-Talib: Na zachód od stolicy?

Johnson: Nie, daleko na zachodzie. W Wyoming, Montanie, Dakocie...

At-Talib: W Montanie? W Górach Skalistych?

Johnson: ...i Missouri.

At-Talib: Jak to możliwe, panie prezydencie? Przecież Missouri to terytorium mormonów?

Johnson: Mormonów? A co przekłęci mormoni mają z tym wspólnego?

Ani razu podczas tego przesłuchania i w żadnym ze swoich raportów dla Rijadu At-Talib nie dał do zrozumienia, że jego zdaniem „złudzenia” Johnsona mogą odzwierciedlać przekonania religijne podzielane przez innych, ani wyraźnie nie wspomniał o mirażu. Jednak być może na skutek tych „bodźców” stan umysłu Johnsona znów zaczął się pogarszać i w miarę jak jego wypowiedzi stawały się coraz bardziej zagadkowe i niejasne, w protokole pojawiły się luki.

Ostatnie przesłuchanie przeprowadzono po pięciodniowej chorobie Johnsona. Rijad pogodził się już z tym, że nie uzyska przyznania się do winy, i bojąc się, że LBJ umrze jako jego więzień, postanowił zakończyć przesłuchania po ostatniej próbie.

At-Talib: Jak się pan dziś ma, panie prezydencie?

Johnson: (Niewyraźne.)

At-Talib: „W buszu”? Jest pan zmęczony? Proszę napić się wody.

Johnson: Dziękuję.

At-Talib: Nie zabawię dziś długo.

Johnson: Nie, w porządku. Niech pan siada. Wiem, że kończy się nasz czas.

Albo raczej mój.

At-Talib: Czy ktoś coś panu powiedział, panie prezydencie?

Johnson: Wszechmogący i ja odbyliśmy konsultacje.

At-Talib: Bóg do pana przemówił?

Johnson: W pewnym sensie. Chce pan usłyszeć, jaki miałem sen?

At-Talib: Jeśli tego pan sobie życzy.

Johnson: Znów byłem w Stonewall, w jednoizbowej szkole.

At-Talib: To szkoła, do której chodził pan jako chłopiec?

Johnson: Sam budynek był jak Biblioteka LBJ w Waszyngtonie. Jednak w tym śnie został przeniesiony do Stonewall, a ponieważ nie miał dachu, mogłem spojrzeć w górę i zobaczyć niebo, pod którym się urodziłem.

Byłem sam i siedziałem w ławce. Wszystkich ławek było dziesięć, ustawionych w trzech rzędach po trzy, a ostatnia stała na środku tego, co byłoby czwartym rzędem. Siedziałem tuż obok niej, w ławce numer osiem. A naprzeciwko była tablica z wypisanymi na niej dziesięcioma cyframi, od zera do... Pańska angielszczyzna jest taka dobra, panie At-Talib. Zakładam, że wie pan również jak my, Amerykanie, zapisujemy liczby?

At-Talib: Nazywa się je cyframi arabskimi nie bez powodu, panie prezydencie.

Johnson: Och, tak, oczywiście. No cóż, siedziałem tam, patrząc na te liczby na tablicy, a niebo bardzo pociemniało i nagle nastąpiło... chyba trzęsienie ziemi, tylko bardzo silne, jakby Bóg wziął całą planetę w dłonie i nią potrząsnął. Moja ławka nie drgnęła, a ja nie mogłem się ruszyć, ale wszystko poza tym latało w powietrzu. Tablica oderwała się od ściany i koziółkując, wirowała wokół. I nawet kiedy znalazła się za moimi plecami, wciąż ją widziałem, jakby odbijała się w lustrze.

A kiedy liczby są odbite w lustrze, wie pan, co się z nimi dzieje? Wyglądają inaczej. Nadal można rozpoznać, co mają oznaczać, ale stają się dziwne, obce.

At-Talib: Oprócz ósemki.

Johnson: Właśnie. Można postawić ją na głowie, obrócić do przodu lub do tyłu, zawsze pozostaje taka sama.

Al Talib: Również zero. I jedynka, jeśli napisać ją jedną kreską.

Johnson: Tak, ale jedynka to boska liczba. A zero, może pan zgadnąć, do kogo należy. Osiem jednak może być człowiekiem lub jego uosobieniem.

At-Talib: I jak pan interpretuje ten sen, panie prezydencie?

Johnson: Niektóre rzeczy się nie zmieniają. Ten świat mógłby się wywrócić do góry nogami, lecz niektóre rzeczy pozostałyby dokładnie takie, jakie są. Sam Wszechmocny, oczywiście. Dobro i zło. Podstawy wiary.

At-Talib: Oraz osoba Lyndona Bainesa Johnsona?

Johnson: Jestem, kim jestem.

At-Talib: A przemiana świata jest symbolem czego? Inwazji na pana kraj?

Johnson: Tydzień temu odpowiedziałbym twierdząco. Teraz... teraz myślę, że moja porażka jest tylko częścią większej całości.

At-Talib: Jakiej większej całości?

Johnson: Nie uwierzyłby pan, gdybym panu powiedział. Teraz jednak wszystko nabiera sensu. Rozumiem, co ja tu robię. Chodzi o ciągłość.

At-Talib: Ciągłość, panie prezydencie?

Johnson: Bóg chciał, aby Teksasńczycy pozostali u władzy. Zmienił wszystko poza tym, lecz wciąż chciał, aby Teksasńczyk, ze swą namiastką mózgu, przewodził Ameryce w godzinie największej potrzeby. I bądźmy szczerzy, kogo innego obsadzilibyście w tej roli?

At-Talib: Nie rozumiem.

Johnson: Nie szkodzi, panie At-Talib. Zrozumie pan, kiedy Bóg tego zechce. Niech pan zostanie w pokoju.

Podczas drugiego przystanku na tankowanie, na Azorach, kilku członków załogi wyszło z samolotu, żeby się pomodlić, i Mustafa przyłączył się do nich. Później zauważył coś w sposobie, w jaki zwracali się twarzami, i uświadomił sobie, że od chwili, gdy opuścili przestrzeń powietrzną ZPA, przekroczyli inną niewidzialną granicę. Zagadnął o to jednego z lotników, który potwierdził.

– Tu kibla wynosi osiemdziesiąt sześć stopni, lekko na północny wschód. To efekt krzywizny kuli ziemskiej – dodał członek załogi, przyzwyczajony do kontaktów z oficjelami, którzy niezbyt orientowali się w niuansach geograficznych. – Mekka jest bliżej równika, tak więc patrząc na płaską mapę, wydaje się, że podczas modlitwy trzeba zwrócić twarz na południowy wschód. Jednak jeśli wykreślić to na powierzchni kuli ziemskiej, widać, że najkrótsza droga do Mekki to tak naprawdę wielki okrąg, czyli...

– Wiem, co to jest wielki okrąg – łagodnie wtrącił Mustafa, przywołując obraz swojej młodszej wersji stojącej przed tablicą.

– Ten efekt jest lepiej uwidoczniiony w Ameryce – powiedział lotnik. – W Waszyngtonie kibla wynosi pięćdziesiąt sześć stopni. I podążając na zachód

kontynentu, musisz zwracać się twarzą niemal na północ, kiedy się modlisz. Oczywiście ludożercy w Górach Skalistych zapewne zjedzą cię, zanim dotrzesz tak daleko...

Kiedy znów znaleźli się w powietrzu, pilot oznajmił, że za kolejnych pięć godzin będą w bazie lotniczej Andrews, około 9 wieczorem lokalnego czasu. Steward wyjaśnił procedurę lądowania. Aby zminimalizować zagrożenie ze strony ewentualnych pocisków przeciwlotniczych, samolot pozostanie na wysokości ponad trzech tysięcy kilometrów, aż znajdzie się nad lotniskiem, po czym gwałtownie opadnie na pas.

– Szczególnie w ciemności może to wyglądać tak, jakbyśmy mieli stracić panowanie nad sterami i się rozbić, lecz z Bożą pomocą wszystko będzie dobrze, więc proszę bez paniki.

Mustafa miał co czytać, ale postanowił najpierw dać odpocząć oczom przez kilka minut i zapadł w niespokojny sen, który trwał do końca podróży. Kiedy transportowiec zaczął po raz ostatni podchodzić do lądowania, śniło mu się, że budzi się w samolocie pełnym Amerykanów. Na sąsiednim fotelu jakaś przerażona Amerykanka odmawiała różaniec, a kiedy Mustafa wstał i rozejrzał się po teraz dziwnie dużej kabinie pasażerskiej, zobaczył inne przestraszone twarze – modlących się, płaczących i cicho rozmawiających przez komórki ludzi. Żaden z nich najwyraźniej go nie widział, ale to mogło się zmienić w mgnieniu oka, a nie sądził, żeby dobrze było skupić na sobie cały ten strach.

Usiłując utrzymać równowagę w nachylnym pod ostrym kątem przejściu, przeszedł na dziób samolotu. Dwóch Arabów w cywilu pilnowało drzwi kokpitu i z pewnością, jaką daje sen, Mustafa wiedział, że nie są jego sojusznikami, tak samo jak chrześcijanie z tyłu. Jak duch przemknął do kokpitu, gdzie następny Arab pochylał się nad sterami.

Lecieli nisko nad ziemią. Był ranek, nie noc, i Mustafa wyraźnie widział za rzeką stolicę Ameryki. Nieco po prawej widział również lotnisko, ku któremu

nie skręcali. Kierowali się prosto na duży pięciokątny budynek po tej stronie rzeki. Robili tak celowo. Pilot w pełni panował nad maszyną i spokojnie uśmiechał się jak człowiek zmierzający do rajów.

– Hej, wariacie! – zawołał do niego Mustafa. – Chcesz nas wszystkich zabić? Co się z tobą dzieje?

Pilot nie odpowiedział, tylko jeszcze niżej opuścił dziób samolotu. Mustafa spróbował złapać stery i zbudził się na pokładzie transportowca, którego koła uderzyły o betonową płytę bazy Andrews.

Po drugiej stronie przejścia Amal odetchnęła z ulgą i roześmiała się.

– To jest lądowanie! – powiedziała.

Samir, podnoszący podłokietniki w następnym rzędzie, dorzucił:

– Już nienawidzę tego kraju.

BIBLIOTEKA ALEKSANDRYJSKA

ŹRÓDŁO INFORMACJI EDYTOWANE PRZEZ UŻYTKOWNIKA

Zielona Strefa

Zielona Strefa jest silnie umocnionym rejonem Waszyngtonu, główną kwaterą Tymczasowej Koalicji. Ma około dziesięciu kilometrów kwadratowych i jest otoczona grubym betonowym murem zwieńczonym drutem kolczastym pod napięciem. Dostać się do Zielonej Strefy można wyłącznie helikopterem lub jednym z siedmiu ściśle strzeżonych przejść.

Do Zielonej Strefy należy National Mall, duży park usiany posągami i rządowymi budynkami, który zdaniem niektórych był inspiracją do nazwy tej strefy. Jednak w 2004 roku, w apogeum amerykańskiej rewolty, „Zieloną Strefę” uważano za oazę względnego bezpieczeństwa w coraz bardziej niebezpiecznym rejonie. Reszta Waszyngtonu – i Ameryki – stała się, siłą rzeczy, „Czerwoną Strefą”.

W styczniu 2009 roku kontrolę nad Zieloną Strefą przejął od rządu koalicyjnego nowo utworzony rząd amerykański. Liczne oddziały koalicyjne musiały wycofać się do baz poza Waszyngtonem. Jednak spory garnizon piechoty morskiej ZPA pozostaje w Strefie, aby strzec arabskich, perskich i kurdyjskich ambasad oraz pomagać amerykańskim siłom bezpieczeństwa powstrzymać nieustanne ataki powstańców.

WAŻNE MIEJSCA W ZIELONEJ STREFIE

Biały Dom

Budynek Kapitolu (w trakcie odbudowy)

Pomnik Waszyngtona

Budynek Ministerstwa Skarbu CSA

Naukowe Muzeum Stworzenia w Instytucie Smithsona

Kompleks Watergate

Mustafa znów się zbudził

Mustafa znów się zbudził, ze snu o pożarze bez dymu. Leżał na łożu z kolumnami i haftowanym baldachimem. Samir chrapał na drugim łóżku po jego lewej, a po prawej stała masywna dębowa komoda. Tabliczka na niej, ledwie widoczna w słabym świetle nocnej lampki, twierdziła, że wszystkie trzy meble były niegdyś własnością papieża Urbana II. Co do pokoju, to niegdyś był gabinetem. Między filarami Mustafa dostrzegł przeszklone drzwi z napisem ZASTĘPCA KUSTOSZA namalowanym na odwrocie szkła.

Usiadł, przypominając sobie przelot helikopterem z bazy lotniczej oraz pospieszne spotkanie z pułkownikiem Junusem z piechoty morskiej, któremu kazano pełnić rolę gospodarza. Mustafa wyliczył, że poszedł spać między jedenastą a dwunastą. Teraz jego zegarek pokazywał godzinę 11.30, co – rano czy wieczorem – wydawało się niemożliwe.

Wstał i cichaczem wymknął się z pokoju. Hol na zewnątrz doprowadził go do pomieszczenia z freskiem przedstawiającym potop. Trzy z czterech ścian ukazywały tylko chmury i gnane wiatrem fale; w czwartej był osadzony model arki. Siwobrody patriarcha stał przy jej sterze, spoglądając na środek pomieszczenia, gdzie z niebieskiego dywanu sterczał poszarpany kamienny postument jak wierzchołek zatopionej góry. Na postumencie stał szkielet stojącego na tylnych łapach dinozaura z ostrymi jak brzytwa pazurami, upozowanego tak, jakby szykował się do skoku na arkę, ale tabliczka na

podstawie postumentu sugerowała, że to mu się nie uda. „Velociraptor antirrhopus”, głosił napis. „Wymarły 2349 r. p.n.e.”

Drzwi w ścianie naprzeciwko arki prowadziły do galerii z kośćmi wielu innych ofiar potopu. W galerii były okna umieszczone w suficie i w górze Mustafa zobaczył gwiazdy.

Wędrując dalej przez muzeum, napotkał pułkownika Junusa w pomieszczeniu wyglądającym jak turystyczna reklama Gizy.

– Dzień dobry – powitał go pułkownik.

– A zatem wstaje dzień – powiedział Mustafa.

– Tak, jest wpół do piątej. Spaliście choć trochę?

– Trochę. Kwatera jest bardzo komfortowa. – A przypomniał sobie o welociraptorze, dodał: – I niezwykła.

Pułkownik uśmiechnął się.

– Nie wiem, co pan pamięta z naszej rozmowy zeszłej nocy, ale ten budynek to prawdziwy magazyn cudów. W pierwszej fazie okupacji stacjonował tu duży oddział żołnierzy, głównie po to, aby zapobiec grabieżom. Teraz, kiedy Amerykanie ponownie przejęli kontrolę, budynek przeważnie jest zamknięty, ale kilku z nas pozwolono pozostać tu w charakterze nieoficjalnych kustoszy do czasu, aż nowy rząd zdobędzie pieniądze na ponowne otwarcie muzeum.

– Dziękuję za udostępnienie mi go.

– Bardzo proszę. Właśnie miałem się pomodlić. Chce się pan do mnie przyłączyć?

– Chętnie, dziękuję.

– A pański przyjaciel?

– Obawiam się, że Samir jest niepraktykujący.

– Ach. No cóż – powiedział pułkownik, wskazując kierunek – tam jest umywalnia, a za pałacem faraona znajdzie pan kilka zapasowych dywaników modlitewnych.

– Modli się pan tam?

- Czasem tak. – I znów z uśmiechem: – Mam teorię, że to muzułmanie zaprojektowali tę salę. Okazuje się, że jeśli nakreślić linię prostą od Sfinksa do tamtej części Morza Czerwonego, to niemal dokładnie wskaże ona kibłę.
- Interesujący symbolizm – zauważył Mustafa.
- Tak, w Zielonej Strefie jest tego wiele. To niesamowite miejsce.

Amal zbudziła się wśród lwic.

Podczas nocnej rozmowy z pułkownikiem była na tyle przytomna, by zrozumieć, że Mustafie i Samirowi przydzielono kwatery dla VIP-ów, natomiast ją ulokowano w części przeznaczonej dla kobiet, co złościło ją, dopóki nie zrozumiała, z jakimi kobietami ma zamieszkać.

Kobieca Bojowa Jednostka Wsparcia, czyli Lwice, została sformowana w 2007 roku w ramach szerszej strategii zapobiegania buntom. Oprócz niechęci do okazywania wdzięczności większość Amerykanów wykazywała głęboko zakorzoną awersję do przeszukiwania ich domów, ale badania wykazały, że obecność kobiet może ją złagodzić. Dwójki Lwic przydzielano do patroli piechoty morskiej w Czerwonej Strefie. Podczas poszukiwania w domach broni lub buntowników to Lwice przesłuchiwały lokatorów, chroniąc honor kobiet i uspokajająco działając na mężczyzn; często uzyskiwały odpowiedzi tam, gdzie wypytującemu funkcjonariuszowi odpowiadałoby głucho milczenie lub akty przemocy. Ponieważ to była Czerwona Strefa, czasem zdarzały się tu akty przemocy, lecz, jak sugerował ich przydomek, Lwice potrafiły też walczyć z zawziętością, która zaskakiwała buntowników.

Wraz z żołnierzami garnizonu piechoty morskiej mieszkały w dawnym kompleksie mieszkalno-biznesowym przylegającym do arabskiej ambasady. Większość mężczyzn zajmowała apartamenty we wschodnich i południowych budynkach Watergate; Lwice zakwaterowano na dwóch ostatnich piętrach hotelu Watergate, który zamieniono w ściśle strzeżony internat.

Było tu jak w college'u, tylko więcej broni. Amal dzieliła pokój z dziewczyną z Nablusu imieniem Zinat. Zaledwie dziewiętnastoletnia Zinat poszła w ślady swoich sześciu braci i wstąpiła do wojska, aby zdobyć stypendium i uzyskać dyplom inżyniera. Kiedy Amal zapytała ją, jaki rodzaj inżynierii ją interesuje, Zinat odparła:

– Samochody. Szybkie samochody.

Zinat miała nad pryczą przyklejone zdjęcie swojej rodziny. Drugie zdjęcie ukazywało Zinat i kilka innych Lwic zebranych wokół perskiej korespondentki wojennej Christiane Amanpour, która na początku tego roku przygotowała specjalny reportaż o kobiecej jednostce. Zinat stała po prawej ręce Amanpour, trzymając w ramionach karabin snajperski kalibru .50, niemal większy od niej.

– Nosisz ten karabin na patrolach? – zapytała Amal.

– Nie, to było tylko do tego zdjęcia – odparła Zinat z lekkim smutkiem w głosie. – Byliśmy w strefie walk i namówiłam jednego sierżanta, żeby dał mi go potrzymać do tego zdjęcia... Gdybyś chciała, chyba mogłabym zabrać cię tam na ćwiczenia w strzelaniu. – Podniosła brwi. – Mają tam również miotacze płomieni.

– To brzmi ciekawie – powiedziała Amal, mniej zainteresowana miotaczami płomieni niż zlokalizowaniem Salima. Może jednak ta dziewczyna pomogłaby jej w tym. A co robi, kiedy rzeczywiście odnajdzie swojego syna... No cóż, Amal jeszcze się nad tym zastanawiała. Nie wszystko naraz.

Pobudką dla oddziałów było wołanie muezina nadawane przez interkomy Watergate. Amal umyła się i poszła z Zinat do znajdującego się piętro wyżej apartamentu służącego za sale modlitw dla kobiet. Udział w modłach był dobrowolny, ale wyglądało na to, że przyszła tam większość Lwic oprócz nielicznych chrześcijanek lub żydówek. Przeważały dziewczyny w wieku Zinat, lecz było tam też wiele kobiet będących zawodowymi żołnierzami.

Lwicami dowodziła pięćdziesięciodwuletnia kobieta z Jemenu, Umm Husam, która także prowadziła modły. Gdy ostatnie z jej podwładnych weszły do sali, odwróciła się twarzą do północno-wschodniej ściany i podniosła ręce nad głowę.

– Bóg jest wielki – zaczęła.

Główna sala balowa hotelu Watergate była teraz stołówką piechoty morskiej. Część stolików zarezerwowano dla Lwic i podczas wizyty Christiane Amanpour tę część sali oddzielono składanymi parawanami. Dzisiaj, kiedy nie było reporterów, te parawany zastąpiono pomarańczowymi słupkami drogowymi, a nawet te były przeważnie ignorowane, gdy kobiety i mężczyźni jawnie się fraternizowali, tylko czasem ściągając na siebie pełne dezaprobaty spojrzenie Umm Husam.

Przy stoliku tuż za kordonem oddzielającym męską część Mustafa, Samir i Amal jedli śniadanie z pułkownikiem Junusem, Zinat oraz dwoma żołnierzami piechoty morskiej. Mustafa zapytał o Afroamerykanów obsługujących kolejkę: tak jak typowy właściciel domu z broszury Amal, wszyscy nosili trójgraniaste kapelusze.

– Trójgraniasty kapelusz jest symbolem gwardzistów – wyjaśnił pułkownik Junus. – Większość naszego personelu pomocniczego to byli członkowie Gwardii Narodowej. Daliśmy im pracę, żeby zniechęcić ich do podjęcia z nami walki zbrojnej. Te kapelusze to drażliwy temat – buntownicy też lubią je nosić – ale usiłujemy zdobyć ich serca i umysły, więc nie czepiamy się ich.

– Jakiego wyznania są ci chrześcijanie? – spytał następnie Mustafa. – Z moich materiałów wynika, że czarni Amerykanie są raczej protestantami niż katolikami, ale nie podano konkretnego odłamu.

– Obawiam się, że nie znam się na odłamach protestantyzmu – powiedział pułkownik Junus. – Jednak nie wszyscy ci ludzie są chrześcijanami.

Niektórzy z nich to muzułmanie.

– Muzułmanie? – zapytał Samir.

– Tak. Islam nadal jest w Ameryce religią mniejszości, ale rozpowszechnia się, szczególnie wśród ludzi z marginesu.

– Który odłam islamu? – pytał Mustafa. – Sunnizm czy szyizm?

Pułkownik wyglądał na rozczarowanego tym pytaniem.

– To z pewnością nie ma znaczenia. Islam to islam.

– Zgadzam się z panem – rzekł Mustafa – ale jestem ciekawy.

Pułkownik wzruszył ramionami.

– Gdyby takich pytań nie uważano za wścibstwo, zapewne większość podałaby się za sunnitów.

– Interesujące – rzekła Amal, domyślając się, do czego zmierza Mustafa. – Jeśli to sunnici, to prędzej mogą zostać członkami Al-Kaidy, nieprawdaż?

– Al-Kaida! – parsknęła śmiechem Zinat. – Co to za pomysły?

Samir wyglądał na zaniepokojonego.

– Naprawdę sądzisz, że bin Laden werbowałby Amerykanów?

– Jeśli mogę na chwilę zmienić temat – rzekł pułkownik Junus, wyraźnie zaniepokojony kierunkiem tej rozmowy. – Chciałbym porozmawiać o waszej misji...

– Oczywiście – odparł Mustafa.

– Częściowo omówiłem już tę sprawę z porucznikiem Fahdem. – Pułkownik wskazał jednego z dwóch siedzących przy stole żołnierzy. – Miejsce, które chcecie odwiedzić, znajduje się około trzydziestu kilometrów stąd. W okolicy są buntownicy – ostatnio siedzieli cicho, ale wiemy, że wciąż tam są, i gdybyśmy spróbowali najpierw zabezpieczyć teren, moglibyśmy tylko zachęcić ich do ataku. Zamiast tego porucznik Fahd proponuje, żebyśmy przydzielili wam niewielki oddział zwiadowczy – cztery terenówki oraz wsparcie powietrzne – i spróbowali dostać się tam i wrócić, zanim buntownicy zareagują. Czy wiecie, ile czasu musicie tam pozostać?

– To zależy od tego, co tam znajdziemy – odparł Mustafa. – Oczywiście nie zostaniemy tam dłużej, niż to będzie konieczne.

– Bardzo dobrze – powiedział pułkownik Junus. – Zatrzymam w odwodzie dodatkowy oddział na wypadek, gdyby trzeba było zabezpieczyć teren – lub gdyby były jakieś problemy. Przygotowania zajmą kolejną dobę. Proponuję, żebyście dzisiaj odpoczęli i przygotowali się do wyruszenia jutro po śniadaniu.

– Dziękujemy. Tak będzie dobrze.

– Jeśli chcecie się rozerwać, mogę kazać jednemu z moich ludzi, żeby pokazał wam Zieloną Strefę. Lub jeśli zechcecie zaczekać, aż załatwię kilka spraw, sam mogę was oprowadzić.

– Panie pułkowniku – powiedziała Zinat. – Amal wyraziła chęć odwiedzenia parku Potomac. Jeśli pan pozwoli, chętnie jej go pokażę.

– Strefa walk? – Pułkownik ze zdziwieniem spojrział na Amal, ale potem wzruszył ramionami. – Oczywiście... Jeśli tego sobie pani życzy.

Powiedział coś jeszcze, ale Amal tego nie słyszała. Spoglądała na kolejkę, w której duch jej ojca rozmawiał z czarnoskórym mężczyzną w trójgraniastym kapeluszu.

Duch nie wyglądał tak, jak znany jej Szamal. To był młody Szamal, świeżo upieczony absolwent Uniwersytetu Bagdadzkiego, odpracowujący swoje stypendium Korpusu Szkoleniowego Oficerów Rezerwy, rok czy dwa przed tym, nim poznał ambitną kobietę z prowincji Majsan, która miała zostać jego żoną. Mundur był nie taki – Szamal był kadetem wojska, a nie piechoty morskiej – ale poza tym wyglądał, jakby zszedł z kart rodzinnego albumu, tak niesamowite było podobieństwo. Również jego zachowanie – sposób, w jaki stał i przechylał głowę, kiedy słuchał rozmówcy, swobodny śmiech, który miał się zmienić w wyniku działania czasu i Saddama – były dokładnie takie, jakie pamiętała Amal.

Zinat też zobaczyła tego ducha. Podczas gdy Amal siedziała nieruchomo, obawiając się spłoszyć tę zjawę nieostrożnym ruchem, Lwica wstała, przyłożyła dłonie do ust i zawołała:

– Hej! Salimie! Tutaj!

– Cel z prawej!

Ten gwardzista był białym Amerykaninem z wielkimi zębami i nosem, gniewnymi oczami i gęstymi brwiami pod rondem kapelusza, który wydawał się dla niego odrobinę za mały. Tak jak restauracja, w której oknie tak nagle się pojawił – malowana makietą ozdobiona złotymi łukami – on również był dwuwymiarowy. I uzbrojony w rewolwer, co czyniło go czarnym charakterem. Amal ściągnęła spust karabinka i posłała mu między oczy trzy blisko skupione kule. Gwardzista jeszcze przez sekundę mierzył ją gniewnym spojrzeniem, zanim uznał się za trafionego i znikł jej z oczu.

Zabrzmiał gong i Amal przeszła dziesięć kolejnych kroków główną ulicą – a właściwie alejką strzelnicy, biegnącą między makietami budynków. Jej następny cel wyskoczył z boku, zza budynku z szyldem KRISPY KREME. Miał taką samą twarz jak gwardzista, tylko zamiast trójgraniastego kapelusza nosił dżersejową czapkę z napisem REDSKINS.

– Cel z lewej! – powiedziała Amal.

Jednak ten mężczyzna trzymał w ręku kubek z napojem, więc upewniwszy się, że słomka nie jest w rzeczywistości zapalnikiem, nie otworzyła ognia. Po trzech sekundach mężczyzna z powrotem schował się za budynek.

Zasady tej gry były proste. Były cztery rodzaje celów – gwardzista, kibic, kobieta i dziecko – a każdy z nich mógł trzymać jeden z czterech przedmiotów – rewolwer, bombę rurową, kwiatek lub kubek z napojem orzeźwiającym. Celem była likwidacja wyłącznie celów trzymających broń. Trafisz trzech nieuzbrojonych dorosłych lub jedno nieuzbrojone dziecko, a

przegrywasz. Pomiń choć jeden cel trzymający broń, a wszyscy biorący udział w ćwiczeniu przegrywają.

Dwa z czterech torów strzelnicy były nieczynne, więc Zinat siedziała i czekała, gdy Amal i Salim ćwiczyli. Aby nie postrzelić siebie nawzajem, szli obok siebie i okrzykiem ogłaszali pojawienie się każdego nowego celu, zanim zdecydowali, czy nacisnąć spust.

– Cel z lewej! – znów zawołała Amal, gdy w jednym z okien Krispy Kreme pojawiła się kobieta w wieczorowej sukni. Trzymała w ręku kwiatek, ale Salim już krzyknął na widok swojego celu i strzelił, a Amal wydało się, że widzi bębenek rewolweru, i wpakowała trzy pociski w wydatny biust damy. Zabrzęczał dzwonek i na tablicy wyników na końcu toru Amal pojawił się krzyżyk. Jej drugi punkt karny.

– Niech to szlag – powiedziała Amal.

– Dobrze ci idzie – powiedział jej Salim. – Zachowaj spokój, już prawie skończyliśmy.

Na trasie Amal zostały jeszcze tylko dwa budynki – dom i szpital. Obserwowała okna i napotkała dwa cele, jeden po drugim; pierwszego („Cel z prawej!”) zabiła, ponieważ miał rewolwer, a drugiemu („Cel z lewej”), trzymającemu kwiatek, pozwoliła żyć. Salim na swoim torze zastrzelił kibica Redskins z bombą rurową, a wtedy usłyszeli sygnał kończący ćwiczenia i głos sierżanta, który oznajmił:

– Koniec ćwiczeń. Proszę zabezpieczyć broń.

Amal wyjęła magazynek z karabinka i nabój z komory zamkowej, po czym zameldowała:

– Zabezpieczona!

Salim też tak zawołał i przeciągły sygnał obwieścił, że tor jest w tym momencie bezpieczny.

– Nieźle się spisałaś jak na pierwszy raz – powiedział Salim, gdy wracali główną ulicą.

– Nie sędzę, żeby te dwie niewinne osoby, które zastrzeliłam, przyznały ci rację – powiedziała Amal.

Była jednak zadowolona ze swojego wyniku. Wcześniej podczas ćwiczeń na strzelnicy była kłębkim nerwów i ledwie mogła wycelować.

Zaczynała się do niego przyzwyczajać. Dzięki Bogu, jego głos nie przypominał głosu jej ojca. Bardziej przypominał Anwara i chociaż głos Anwara wydobywający się z ust młodego Szamala też był irytujący, przynajmniej nie miała wrażenia, że rozmawia ze zmarłym.

Do Zinat dołączyła inna Lwica.

– Masz coś przeciwko temu, żebyśmy spróbowowały? – spytała Zinat, ruchem głowy wskazując tor.

– Proszę – powiedziała Amal.

Ona i Salim zdali broń, a potem, na propozycję Amal, wyszli na zewnątrz zapalić.

Przed inwazją park East Potomac był prywatnym terenem golfowym LBJ i przy Hains Point nadal można było zagrać na dziewięciodołkowym polu. Jednak piechota morska pod pretekstem zabezpieczenia wybrzeża rozpętała na środkowej części półwyspu festiwal przemocy. Na wschód od baraku z krytą strzelnicą znajdował się wielki wał ziemny usypany wokół strzelnicy, aby zabłąkane kule nie dolatywały do południowo-zachodniej części Dystryktu Kolumbii. Na północy było stanowisko do ćwiczeń w rzucaniu granatów, a na prawo od niego w betonowej zagrodzie ręczne miotacze płomieni pluły ogniem w obleczone azbestem manekiny. Na zachodzie był Potomac, na którego brzegach opalali się żołnierze piechoty morskiej i inni uciekinierzy z Zielonej Strefy, podczas gdy łodzie patrolowe wypatrywały pływających jednostek, które zamierzały przypuścić samobójczy atak.

Salim pochylił się, podając ogień Amal. Znów zobaczyła widmo ojca i zadrżała.

– Gdzie nauczyłaś się strzelać? – zapytał Salim.

– W Bejrucie.

Zdziwił się.

– Jesteś Libanką?

– Bagdadką – odparła Amal. – Jednak studiowałam na Uniwersytecie Libańskim.

– Ha! Ja też.

– Naprawdę? – spytała z udawaną beztruską. – Wybacz, ale wyglądasz za młodo na absolwenta.

– Ach, nie jestem absolwentem. Uczęszczałem na zajęcia tylko przez tydzień. – Rozejrzył się. – Nie chciałem, żeby mnie to ominęło

– Spełniasz swój obowiązek w wojnie z terroryzmem – powiedziała Amal. – Rodzice z pewnością są z ciebie dumni.

Zmarszczył brwi i zaniepokoiła się, że przesadziła. Zaraz jednak rzekł:

– Wiesz, mój ojciec nie jest z tego powodu specjalnie szczęśliwy...

– Ach tak?

– Jest konserwatystą – wyjaśnił Salim i przez moment na jego twarzy lojalność zmagala się z niechęcią. – Kocha mnie, ale nie chce, żebym się narażał.

– A twoja matka? Co ona myśli?

Tym razem nie było sprzecznych uczuć. Miał wyraźne poczucie winy.

– Boi się o mnie. W ostatnim liście... – Zamilkł, zaciągając się papierosem.

– Jednak obiecałem jej, że nic mi się nie stanie.

– No cóż – rzekła Amal, spoglądając na jedną z łodzi patrolowych na rzece.

– Skoro obiecałeś...

Roześmiał się.

– To tylko siedmiomiesięczny przydział! Szybko będę znów nudził się w domu... A jak wygląda praca w Służbach Bezpieczeństwa?

– Jest ekscytująca – odparła. – Nawet bardziej ekscytująca, niż oczekiwałam. A przedtem pracowałam w Biurze, co też było super. Uganiasz

się za bandytami napadającymi na banki. Oczywiście – dodała – aby wykonywać oba te zajęcia, musisz ukończyć studia.

– Tak, wiem – rzekł Salim. – Obiecałem mojej matce, że to zrobię.

Rzucili niedopałki i wrócili na krytą strzelnicę, gdzie Zinat i jej koleżanka właśnie skończyły ćwiczenia.

– Co się stało? – zapytał Salim, widząc ich miny. – Nie mówcie mi, że przegrałyście!

– Ja nie – powiedziała Zinat. – Jednak Tamara zastrzeliła dzieciaka z kubkiem napoju orzeźwiającego.

– Grubego amerykańskiego bachora – prychnęła Tamara, oddając karabin sierżantowi.

– Powszechnie wiadomo, że napoje gazowane są niezdrowe – oznajmił Salim.

– Skoro mowa o niezdrowych słodyczach – powiedziała Amal – o co tu chodzi?

Wskazała na talerzyk z landrynkami, stojący na barze przed zbrojownią. Ten talerzyk, zrobiony z kawałka mosiężnej skorupy pocisku mózdzierzowego, miał stalową płytkę sterzącą ze środka, a do niej przyspawaną trupią czaszkę i skrzyżowane piszczele. Na wypadek gdyby to nie było wystarczająco jasne, pod czaszką przymocowano kartonową tabliczkę z napisem ZAKAZANE! Amal zauważyła podobny talerzyk na strzelnicy, chociaż na tamtym leżały tylko toffi.

– To – rzekł sierżant – jest pouczająca lekcja przestrzegania zasad.

– Oraz długotrwałego działania testosteronu na poczucie humoru – dodała Zinat.

Sierżant zmarszczył brwi, ale ona uśmiechała się do niego słodko, aż odwrócił głowę.

– Przecież nie są zatrute – zauważyła Amal.

– Och, są – odparł Salim – cyjankiem. – I wyjaśnił: – Tutaj obchodzi się chrześcijańskie święto zwane Halloween – czyli wigilię Dnia Wszystkich Świętych – podczas którego tradycja nakazuje częstowanie obcych cukierkami. W zeszłym roku kontyngent otrzymał cukierki w anonimowym darze.

– Czy ktoś umarł?

– Żaden żołnierz piechoty morskiej. Jakiś kundel wałęsał się wokół kuchni Watergate, zebrząc o resztki. Jeden z kucharzy dał mu cukierka i w ten sposób dowiedziano się o truciznie. Te słodczyce miały być zniszczone, ale jak widzicie, niektóre zatrzymano na pamiątkę. I zapewne jako talizman.

– Talizman – powtórzyła Amal. – Ponieważ nikt nie umarł.

– Poza psem – rzekł Salim. Z uśmiechem wziął z talerzyka jeden cukierek i wręczył go jej. – Proszę. Niechaj zapewni cię bezpieczny powrót z Ameryki.

Amal spojrzała na cukierek, zawinięty w zielony celofan.

– Dziękuję – powiedziała. – Chyba.

– Tylko nie zapomnij i nie zjedz go przez pomyłkę – powiedział.

Samir przez cały ranek próbował ukryć się przed Al-Kaidą.

Tuż przed opuszczeniem Bagdadu dostał wiadomość od Idrisa, że agent Al-Kaidy skontaktuje się z nim w Ameryce i przekaże instrukcje. Samir nie miał pojęcia, co każą mu zrobić, ale zakładał, że będzie to coś niebezpiecznego, być może śmiertelnie, niemal na pewno nielegalnego, prawdopodobnie nie tylko zdrada ojczyzny, ale i przyjaciół.

Wiedział również, że nie może odmówić. Jednak w nocy obmyślił rozpaczliwą strategię. Jeśli nie może odmówić wykonania rozkazów tego agenta, to może uniknie ich otrzymania. Zielona Strefa była wystarczająco duża, aby łatwo było w niej zginąć na cały dzień. Wieczorem musiałby wrócić do Instytutu Smithsona, lecz ten był też bardzo rozległym miejscem; może

mógłby przespać się tam w jakiejś szafie albo wcisnąć się za jakiś obraz czy do pustego grobowca.

Musiał tylko przetrwać następne dwadzieścia cztery godziny. Jutro będzie poza miastem, a jeśli Bóg pozwoli i powstańcy go nie załatwią, wieczorem znajdzie się w samolocie lecącym do domu. Wówczas gdy Idris zapyta: „Czy zrobiłeś to, co kazał ci mój człowiek?”, on będzie mógł odpowiedzieć zgodnie z prawdą: „Jaki człowiek?”.

I Idris zaakceptuje tę odpowiedź. Na pewno... Tym jednak Samir będzie niepokoił się później.

W tym momencie bardziej martwił się tym, że powinien trzymać się z daleka nie tylko od swoich ziomków. Siedząc z Mustafą w holu Watergate i czekając, aż pułkownik Junus zrobi swoje, Samir lękliwie i podejrzliwie przyglądał się każdej nowej arabskiej twarzy, która pojawiła się w polu widzenia. Kiedy grupka somalijskich żołnierzy wpadła do holu, zanosząc się nieskładnym śmiechem, o mało nie podskoczył na krześle.

Mustafa opuścił „Washington Post”, który przeglądał.

– Za dużo kawy na śniadanie, Samir?

– Nic mi nie jest – odparł Samir.

Skupił uwagę na czarnym jak węgiel konserwatorze, który stał na drabinie, wymieniając zepsute żarówki żyrandola w holu. Przypadkowemu obserwatorowi wydałby się całkowicie pochłonięty tym zajęciem, lecz ponieważ nosił białą szydełkowaną myckę modlitewną, Samir nabrał przekonania, że ten facet ukradkiem mu się przygląda

– Wiecie co – rzekł Samir. – Chyba daruję sobie zwiedzanie Białego Domu...

– Na pewno?

– Tak. Jestem wykończony, więc chyba wrócę okazją do muzeum i pójde spać.

– Powinieneś przynajmniej pozwolić pułkownikowi, żeby cię odwiózł – rzekł Mustafa. – To długi spacer.

– Nie, świeże powietrze dobrze mi robi.

Konserwator, zmieniawszy żarówki, schodził już z drabiny. Samir szybko wstał, zignorował zdumione spojrzenie Mustafy i pomknął do najbliższego wyjścia.

Przeszedłszy przez podwójne drzwi, znalazł się w sąsiednim biurówcu, na skrzyżowaniu trzech korytarzy. Tym znajdującym się po lewej nadchodziła grupka arabskich żołnierzy piechoty morskiej, w środkowym rozmawiali dwaj czarnoskórzy faceci w garniturach, a w tym po prawej jakaś Latynoska odkurzała dywan. Samir ruszył w prawo i serce na moment przestało mu bić, gdy kobieta powitała go serdecznym:

– Pokój z tobą!

Po dwóch minutach i kilku wielokulturowych spotkaniach wyszedł na chodnik. Autobus czekał obok tablicy z napisem DARMOWY PRZEJAZD po arabsku i angielsku. Samir wszedł doń, nie trując się pytaniem, dokąd ten autobus jedzie, i wyciągnął się na dwóch siedzeniach, żeby nikt obok niego nie usiadł.

Drzwi się zamknęły. Gdy autobus ruszył, ktoś go dogonił, wściekle tłukąc pięścią w drzwi. Samir patrzył na to w napięciu, ale gdy kierowca autobusu ponownie otworzył drzwi, spóźnialskim okazał się biały człowiek ze srebrnym krzyżem w klapie.

Autobus jechał swoją trasą, a kierowca zapowiadał kolejne przystanki: Departament Stanu, Departament Spraw Wewnętrznych, różne inne agendy nowego amerykańskiego rządu, niektóre z nich będące jeszcze w powijakach. Samir tępym wzrokiem patrzył na obrazy przesuwane za szybą. Kiedy wsiadali nowi pasażerowie, zamykał oczy i udawał, że śpi. Gdy kierowca oznajmił: „Biały Dom!”, Samir osunął się na fotelu poniżej dolnej krawędzi

okna i nie poruszył się, dopóki prezydencka rezydencja nie została daleko w tyle.

Wysiadł na przystanku przed Budynkiem Hoovera. Kierowca autobusu nie mówił, jaka rządowa agencja ma tu główną kwaterę, lecz widząc ten budynek – potężną, betonową budowlę sugerującą kilometry teczek z aktami – Samir założył, że mieści się w nim jakaś nieruchawa i superbiurokratyczna instytucja, na przykład Urząd Miar i Wag. Pomyślał, że mógłby wślizgnąć się do środka i zaszyć w jakimś pustym biurze.

Zamiast tego ruszył prosto przed siebie. Słońce stało wysoko na niebie; ranek był gorący i parny. Samir przystanął, żeby napić się wody z fontanny. Po drugiej stronie ulicy zobaczył chrześcijański kościół. Frontowe drzwi były otwarte na oścież, a wielojęzyczny napis głosił WITAMY WSZYSTKIE DUSZE.

W kościele panował miły chłód i półmrok. Akurat nie odbywało się żadne nabożeństwo i pomimo zachęcającej tablicy w środku było niemal zupełnie pusto. Gdy Samir usiadł w jednej z tylnych ławek, widział tylko jeszcze jedną osobę, siwowłosą Chinkę. Miała pochyloną głowę i w pierwszej chwili pomyślał, że się modli, ale potem usłyszał pochrapywanie.

Spojrzał na ołtarz i z ulgą zobaczył, że wisi na nim zwykły krzyż, a nie krucyfiks. Chrześcijański zwyczaj przedstawiania udręczonego ciała proroka Jezusa był z wielu względów nie do przyjęcia i chociaż Samir osobiście nie oburzał się nań, uważał, że jest to chore. Sam krzyż, jakkolwiek w ostatnich latach zaczął być łączony z terroryzmem, wydawał się znacznie bardziej cywilizowany.

Włosy na karku Samira zjeżyły się, gdy ktoś usiadł w ławce za nim. Samir nakazał sobie zachować spokój. Nagle jednak czyjaś dłoń spoczęła na oparciu jego ławki i męski głos szepnął po arabsku: „Czy nie jesteś jednym z przyjaciół Luta?”, czyli hasło, które podał mu Idris.

Samir wydał zrezygnowane westchnienie. Odwrócił się. Za nim siedział biały chrześcijanin z autobusu. Srebrny krzyż w jego klapie – w tym kontekście zdecydowanie symbol terroru – słabo lśnił w półmroku.

– To ty? – powiedział Samir. – Jesteś z Al...

– Zamknij się – przerwał mu członek Al-Kaidy. – Wyjdź za mną na zewnątrz.

Z kościołem sąsiadował niewielki park. Coś w jego architekturze – może układ ławek – przypomniało Samirowi park w Al-Kazimijji, w którym niedawno tłum pobił dwóch gejów przyłapanych podczas schadzki.

Agent Al-Kaidy zaprowadził go za żywopłot na końcu parku, a potem odwrócił się do niego z zaciśniętą pięścią.

– Masz!

Samir zasłonił się rękami przed ciosem.

– Zaczekaj! Zaczekaj!

– Powiedziałem „masz”!

Agent Al-Kaidy wcisnął mu w dłoń telefon komórkowy. Samir niezręcznie wziął go, niemal upuszczając, a potem trzymał w wyciągniętej ręce, jakby aparat był czymś skażony.

– Co... Po co to?

– Na jutro. Kiedy pojedziesz na patrol z żołnierzami piechoty morskiej, weźmiesz go ze sobą.

Samir zaczął kręcić głową, jeszcze zanim zaczął się spierać.

– Nie wolno mi zabrać telefonu. Powiedzieli nam, że takie są przepisy bezpieczeństwa.

– Nie przejmuj się przepisami – rzekł agent Al-Kaidy. – Samochód, którym pojedziesz, zapewne będzie wyposażony w szerokopasmowe urządzenie zagłuszające, więc zwykła komórka i tak by nie działała. Ta została przystosowana do pracy na nieblokowanej częstotliwości wojskowej.

Samir wciąż kręcił głową.

– Chcecie, żebym dzwonił z pojazdu pełnego żołnierzy?

– Posługiwanie się tym aparatem jest bardzo proste. Nie musisz nawet wyjmować go z kieszeni, po prostu włącz go, a kiedy zobaczysz znak, wciśnij dwa guziki. Pokażę ci jak.

– Jaki znak?

– Przy drodze będzie tablica reklamowa z namalowanym na niej białym krzyżem. Jak tylko ją miniecie, wciśniesz te dwa guziki.

– I co się wtedy stanie? – zapytał Samir.

Członek Al-Kaidy pokazał mu zdjęcie Malika i Dżibrila. Nie było to zdjęcie, które Samir trzymał w portfelu. Tej fotografii nigdy przedtem nie widział – ukazywała chłopców bawiących się w swoim pokoju w ich nowym domu w Basrze. Fotograf, kimkolwiek był, stał za oknem, w nocy, zaglądając do środka.

– Co się wtedy stanie? – powtórzył członek Al-Kaidy. – Twoi synowie dorosną, oto, co się stanie.

Biały Dom był lekko rozczarowujący. Mustafa chętnie spotkałby się z nowym amerykańskim prezydentem, o którym dobrze mówiono, ale nie pozwolił na to napięty harmonogram zajęć. Bez swojego głównego lokatora budynek był tylko kolejnym pałacem, aczkolwiek nieco gustowniejszym od rezydencji Husajna. Rozarium było bardzo ładne.

Z Białego Domu pojechali zwiedzić kilka innych atrakcji Strefy i zatoczywszy koło, wrócili do centrum Mall, skąd na piechotę dotarli do pomnika Waszyngtona. Pułkownik Junus zwrócił uwagę Mustafy na szereg szram w północnej ścianie obelisku. Wyjaśnił, że są rezultatem ostrzału móżdżerzowego, gdyż pomnik stał się celem ataków buntowników po tym, jak rozeszły się plotki, że Bulus ad-Darir zamierza wykorzystać go jako

postument olbrzymiego zegara modlitewnego wskazującego pory modlitw muzułmańskich.

– Bezpodstawne plotki? – spytał Mustafa.

– Plotki – odparł pułkownik Junus. – A skoro mowa o modlitwie, dochodzi południe. Czy wpadniemy do muzeum przed obiadem?

Poszli aleją na wschód. Pułkownik wskazał na podobną do zamku budowlę, która – jak wyjaśnił – mieściła inną wystawę Instytutu Smithsona, poświęconą wojnom chrześcijańskim.

– Głównie dokumentuje niepowodzenia LBJ, lecz jest tam także wiele eksponatów z pierwszych krucjat. Dość interesujące jest oglądanie ich z innej perspektywy.

– Czy moje łóżko jest eksponatem z czasów wojen krzyżowych?

– Tak. – Pułkownik uśmiechnął się. – Aczkolwiek raczej wątpię, aby należało do papieża Urbana.

W oddali dostrzegli niedokończoną kopułę nowego budynku Kapitolu. Nisko wisząca chmura przesuwaną się za nią nadawała jej wygląd ukończonej. Błądźnik Mustafy znów zaczął szaleć. Mustafa zachwiał się i byłby upadł, gdyby pułkownik go nie złapał.

– Ostrożnie – powiedział pułkownik Junus. – Ma pan zawroty głowy?

– Czasami kręci mi się w głowie – odparł Mustafa. – Myślę jednak, że to tylko skutek przekroczenia kilku stref czasowych.

– Chroniczny zawrót głowy występuje tutaj dość często. To objaw tego, co lekarze nazywają zespołem zatokowym.

– Zatokowym? Od wojny w Zatoce?

– Tak, ale także w sensie przestrzeni, luki pomiędzy stanem faktycznym a tym, co podpowiada nam instynkt. To poczucie zagubienia trudno dokładnie opisać, ale kiedy się go doznaje...

– Ja doznałem – rzekł Mustafa. – Myślę, że mój ojciec również.

Pułkownik skinął głową.

– Słyszałem, że przypadki zespołu zatokowego wystąpiły także w Arabii. Tutaj jednak są o wiele częściej spotykane. Niemal każdy doświadcza ich w jakimś stopniu.

– Jak sobie z nimi radzicie?

– Valium ma pomagać. I niektóre leki przeciwhistaminowe. Osobiście preferuję naturalne środki.

– Jakie?

– Modlitwę do Boga, pięć razy dziennie – rzekł pułkownik. – Może nie jest tak silna jak benzodiazepina, ale ma inne zalety.

Mustafa znów zerknął na Kapitol i kiedy tym razem poczuł zaburzenia równowagi, zrozumiał, że to nie skutki podróży. Z trudem skupiając się na rozmowie, rzekł:

– Tu naprawdę jest inaczej, nieprawdaż? Tyle drzew, Al-Kaddafi by zazdrościł. – A spojrzawszy na słońce, dorzucił: – Nawet letni skwar jest tu inny.

– Powiem panu coś zabawnego, to nie ten klimat ani kraj jest dla mnie dziwny, ale ta wojna. – Pułkownika potrząsnął głową. – Naprawdę powinienem już się do tego przyzwyczaić. To moja piąta tura tutaj. Jestem tu już tak długo, że kiedy myślę o Arabii, nie wydaje mi się ona czymś, co było w innym życiu, lecz krajem, w którym nigdy nie byłem.

– Może powinien pan wziąć urlop – podsunął Mustafa. – Wrócić do domu, trochę tam pobyc.

– Nie, mój kontrakt nie przewiduje urlopów... – Pułkownika przeszedł dreszcz, którego jakby nie zauważył. – Widzi pan, czasem mam sny, bardzo realistyczne... Pan zapewne też będzie je miał, jeśli zostanie tu dostatecznie długo.

– Sny o czym?

– O tym, że jestem amerykańskim obywatelem... Szczególnie jeden sen wciąż mi się powtarza. Śnię, że jestem cywilem i tylko udaję żołnierza.

Jestem pod gołym niebem, na rozległym polu, w miejscowości zwanej Manassas. Jestem tam z innymi Amerykanami, przeważnie profesjonalistami – lekarzami, prawnikami, przedstawicielami przemysłu zbrojeniowego... Mamy na sobie kostiumy, jedni niebieskie, inni szare, i toczymy udawane bitwy „w obronie wolności”. Potem na koniec dnia idziemy do knajpy i pijemy piwo – moje jest bezalkoholowe... Następnie wsiadam do samochodu i wracam do Aleksandrii...

– Długa podróż – zauważył Mustafa.

Pułkownik zaśmiał się.

– Do Aleksandrii w Wirginii, nie w Egipcie... Ta znajduje się tuż za rzeką, na południe stąd. W tym śnie mieszkam tam z żoną i czwórką dzieci. To miłe... A potem się budzę i leżę w mojej wojennej kwaterze, nie jestem obywatelem, lecz najeźdźcą. I kręci mi się w głowie... Modlitwa jednak pomaga.

Doszli do muzeum. Utopiony tyranozaur powitał powracających.

– Był pan w Mekce, Mustafo? – spytał pułkownik.

– Z pielgrzymką? Tak – odparł Mustafa. – Moja żona Fadwa nalegała... A pan?

– Chcę się tam udać – powiedział pułkownik. – Kiedy skończę tu służbę... Rozmawiałem z innymi żołnierzami piechoty morskiej, którzy tam byli, i oni wszyscy zdają się twardo stać na ziemi, czego i ja pragnę.

– Stać na ziemi?

– Spokoju – rzekł pułkownik. – Mekka to spokój ducha.

– A co z Aleksandrią? – zapytał Mustafa. – Pojechał pan kiedyś za rzekę, żeby zobaczyć ten dom z pańskiego snu?

– Nie. To nie byłoby rozsądne.

– Naprawdę? Mnie by kusilo.

– Mnie też kusi – rzekł pułkownik. – Jednak to w Czerwonej Strefie. Niezbyt dobre miejsce do uganiania się za snami. Powinniście o tym pamiętać

podczas jutrzejszego zwiadu.

– Zatem nie jedzie pan z nami?

– Nie, mam tu coś do załatwienia. Jednak będę prosił Boga, żeby was strzegł.

Potem uśmiechnął się, ponieważ w chwili, gdy wypowiedział te słowa, weszli do korytarza ozdobionego następnym ściennym malowidłem, przedstawiającym nietkniętego proroka Daniela stojącego w jaskini lwów.

– Dziękuję – powiedział Mustafa, spoglądając na spokojną minę Daniela i zniechęcone, warczące bestie. – Będę wdzięczny.

BIBLIOTEKA ALEKSANDRYJSKA

ŹRÓDŁO INFORMACJI EDYTOWANE PRZEZ UŻYTKOWNIKA

T.A.B.

T.A.B. jest skrótem angielskiego zwrotu *That's America, baby*, „To Ameryka, dziecino”. Podczas prezydentury Lyndona Johnsona amerykańscy obywatele często mówili „T.A.B.” w odpowiedzi na złe wieści, szczególnie złe wieści, za które w jakiś sposób odpowiedzialny był rząd, co ujął w swoim protest songu żydowski piosenkarz folkowy Robert Zimmerman:

Znów przewodami dziś prąd nie popłynął... T.A.B.

Nikt już do spożywczego towaru nie dowozi... T.A.B.

Ciągną się bezkresne kolejki za benzyną... T.A.B.

Johnsona najwyraźniej nic to nie obchodzi... T.A.B.

Po inwazji koalicji na Amerykę w 2003 roku to wyrażenie nabrało nowego znaczenia, stając się wyzwaniem pod adresem sił okupacyjnych. „T.A.B.!” stało się popularnym sloganem podczas marszów protestacyjnych i bojowym okrzykiem powstańców. Żołnierze koalicji meldowali, że znajdowali ten napis na niewypałach bomb domowej produkcji. W lipcu 2005 roku podjęta przez władze koalicyjne próba uniemożliwienia malowania T.A.B. jako graffiti doprowadziła do strzelaniny w Anacostii w Waszyngtonie, w wyniku której zginęło 17 żołnierzy koalicji i co najmniej 400 Amerykanów.

Kościół znajdował się w miasteczku

Kościół znajdował się w miasteczku Herndorn, w zachodniej części okręgu Fairfax. Członkowie milicji zaczęli gromadzić się tam po północy, przybywszy pojedynczo lub dwójkami i zostawiwszy pojazdy w całej okolicy, żeby z powietrza nie zauważono ich skupiska.

Do drugiej rano w ławkach siedziało sześćdziesięciu mężczyzn. Światła w kościele były przyciemnione i nie było słycać muzyki ani śpiewów, tylko łagodny głos kapłana czytającego fragment Nowego Testamentu: „Szósty anioł wylał swój puchar na wielką rzekę Eufrat, a jej wody zupełnie wyschły. Koryto rzeki utworzyło zaś drogę dla władców ze Wschodu. Wtedy ujrzałem, że z paszczy bestii, z paszczy smoka i z ust fałszywego proroka wyszły trzy złe duchy, podobne do ropuch. (...) Duchy zgromadziły władców w miejscu zwanym po hebrajsku Armagedon”.

Wygłoszone po tym kazanie było długie i pełne twierdzeń, które mogłyby oburzyć krytyczniej nastawionego biblistę. Jednak członkowie milicji, z których wielu spodziewało się zginąć nazajutrz, słuchali uważnie i bez sprzeciwów.

W ławce na końcu nawy siedział samotny mężczyzna ze srebrnym krzyżem w klapie. Był głównym strategiem milicji i dostarczył informacje, których rezultatem było zwołanie tego zebrania, chociaż skłamał co do ich źródła.

Strateg nazywał się Peter Lightfield. Podawał się za potomka Thomasa Jeffersona, lecz tak naprawdę nic nie wiedział o swoich przodkach,

wychowany w kilku sierocińcach. Jego konspiracyjni panowie z Al-Kaidy znali go jako Ibn Abihiego, „syna swego ojca”, i sam tak o sobie myślał, chociaż czasem, traktując to jako dobry żart, podawał aramejskie brzmienie tego przydomka – Bar Abbas.

Bar Abbas siedział podczas czytania Pisma Świętego i przez kilka pierwszych minut kazania, ale wstał, zanim kaznodzieja zaczął bluźnić przeciwko islamowi. Gdyby ktoś go zapytał, Bar Abbas powiedziałby, że zamierza sprawdzić, jak radzi sobie grupa podkładająca bomby – co było prawdą – ale najpierw musiał do kogoś zadzwonić.

Wyszedł do narteksu i zszedł po schodach do podziemi, które były podzielone na trzy komnaty. Pierwsza zawierała głównie dokumenty: stare gazetki kościelne, plakaty atakujące władze koalicyjne i grożące odwetem kolaborantom, oraz sterty komiksów wyjaśniających, za pomocą niezdatnych rysunków i prymitywnej prozy, związek między Antychrystem a arabskim i perskim rządem.

Zamykane na kłódkę drzwi prowadziły do kościelnej zbrojowni. Zgodnie z amerykańskim zwyczajem każda broń była oznaczona jakimś odnośnikiem do Biblii – jej fragmentem lub zaszyfrowanym cytatem. Na lufach automatycznych karabinków ustawionych wzdłuż frontowej ściany wygrawerowano cytaty z Księgi Jeremiasza 50,14 („Rozstawcie się przeciw Babilonowi dokoła wszyscy, którzy napinacie łuki! Strzelajcie do niego, nie oszczędzajcie strzał, bo zgrzeszył przeciw Panu”). Na łożu śrutówki kalibru .45 wytłoczono fragment z Księgi Psalmów 110,5 („Pan po prawicy twojej zetrze królów w dzień swego gniewu”), a na kolbie pistoletu maszynowego cytaty z Księgi Sędziów 15,16 („Potem rzekł Samson: szczęką ośłą ich rozgromiłem. Szczęką ośłą zabiłem ich tysiąc”). Na wieku skrzynki z granatami ręcznymi wytłoczono słowa z Pierwszej Księgi Samuela, rozdział 17, wers 45: „Dawid odrzekł Filistynowi: Ty idziesz na mnie z mieczem, dzidą i zakrzywionym nożem, ja zaś idę na ciebie w imię Pana Zastępów,

Boga wojsk izraelskich, którym urągałeś”. A walizka z najgroźniejszą bronią milicji, przenośną wyrzutnią rakiet typu ziemia–powietrze, miała namalowany cytat z rozdziału 12 Księgi Objawienia: „Szatan został strącony na ziemię, a z nim zostali strąceni jego aniołowie”.

Trzecim pomieszczeniem był nieużywany składzik, w którym teraz przechowywano różne graty. Na zawieszanej na wysokości piersi półce stał zakurzony laptop; wyglądał tak, jakby dawno nikt go nie dotykał, ale miał naładowany do pełna akumulator i uruchomił się natychmiast, gdy Bar Abbas wcisnął guzik włącznika. Gdy ładował się system operacyjny, Bar Abbas zza skrzynki ze świętymi figurkami wyjął kamerę internetową i podłączył do komputera. Otworzył okno wideokonferencji i wprowadził po kolei kilka haseł. Dał się słyszeć szmer zakłóceń, a potem pojawiła się twarz Idrisa Abd al-Kahhara.

– Spóźniłeś się – powiedział Idris.

– Musiałem zaczekać, aż zacznie się msza. – Bar Abbas zerknął na drzwi zbrojowni, które zamknął za sobą na zasuwę. – Teraz nikt nie powinien nam przeszkadzać.

– Czy zlokalizowałeś Samira Nadima?

– Tak – odparł Bar Abbas. – Dałem mu telefon komórkowy i powiedziałem, co ma robić. Jednak nie wiem, czy posłucha.

– Powiedziałeś mu, co się stanie, jeśli tego nie zrobi?

– Tak, i jego reakcja wyraźnie świadczy o tym, że kocha swoich synów bardziej niż swoje życie. To jednak może nie wystarczyć, gdy nadejdzie właściwa chwila. Wydaje się... słaby.

– To tchórz – stanowczo oznajmił Idris. – Masz jakiś plan zapasowy?

Bar Abbas skinął głową.

– Będę tam, gotowy go zrealizować, jeśli on tego nie zrobi.

Mógłby zapytać, po co w ogóle wciągać w to Samira, ale Idris zapewne uznałby takie pytanie za impertynenckie. Bar Abbas zakładał, iż jest to

jakiegoś rodzaju podstęp: wojskowi śledczy znajdą przy ciele Samira zmodyfikowany telefon komórkowy, a Idris wykorzysta ten fakt do nazwania jego i jego kolegów zdrajcami i zdyskredytowania agencji rządowej, która wysłała ich do Ameryki. Słyszając, w jaki sposób Idris powiedział „To tchórz”, Bar Abbas doszedł do wniosku, że może jest też drugi motyw. Może Idris, z jakichś osobistych powodów, chciał, by ostatnie godziny życia Samira były pełen strachu i cierpienia. Takie zachowanie przywódcy Al-Kaidy było absolutnie nieprofesjonalne, lecz Bar Abbas, który w przeszłości torturował wielu swoich wrogów, nie mógł go osądzać.

– A co z tą drugą sprawą? – zapytał Idris. – Czy sprawdziłeś V. Howell Industries?

– Udałem się z grupą ludzi pod adres, który mi podałeś – odparł Bar Abbas.
– Biura były opuszczone – od niedawna. Wygląda na to, że wynieśli się w pośpiechu.

– Wiedzieli, że przyjdziecie.

– Jeśli tak, to nie ostrzegł ich nikt z moich ludzi. Nie było na to czasu.

– I niczego nie znaleźliście?

– W jednym pomieszczeniu było kilka przedmiotów. Głównie książki.

– Książki o czym?

– O historii Arabii – rzekł Bar Abbas. – Mam na myśli prawdziwą historię.

Twarz Idrisa urosła na ekranie, gdy pochylił się do przodu.

– Co zrobiliście z tymi książkami?

– Spaliliśmy je w śmietniku za biurowcem.

A raczej większość z nich. Bar Abbas zachował kilka tomów dla siebie.

– A ci ludzie, którzy ci towarzyszyli...

– Byli zaciekawieni, ale żaden z nich nie przeczytał czegoś, czego nie powinien. Poza tym – nie oparł się chęci dodania – to nie ma znaczenia. Kiedy Bóg postanowi rozwiać miraż, wszyscy poznają prawdę.

– Owszem, ale póki co są pewne prawdy, których ujawnienia sobie nie życzymy... Co jeszcze odkryliście?

– Flagę stanu Teksas. Ta była w innym pomieszczeniu, które pełniło rolę sypialni. W koszu na śmieci były puste opakowania po tabletkach.

– Jakich tabletkach?

– Na opakowaniach nie było etykiet, ale domyślałam się, że zawierały valium lub inny środek uspokajający – rzekł Bar Abbas. – Niemal każdy tutaj bierze coś na sen.

– Co jeszcze?

– Tylko kilka osobistych drobiazgów. Ktoś musiał być fanem Zielonej Pustyni – pod jednym z łóżek w sypialni znalazłem kompakt *Syn Kusza*.

– *Syn Kusza*? A co to takiego?

– Alternatywny punk rock – wyjaśnił Bar Abbas, co – sądząc po minie Idrisa – niczego nie wyjaśniło. – Bez obawy, żadna z tych piosenek nie jest o Osamie bin Ladenie.

– Jeśli to muzyka, to i tak płyta powinna zostać zniszczona.

– Już została – skłamał Bar Abbas. Spojrzał w górę, słysząc poskrzypywanie desek podłogi nad głową. – Powinienem już iść. Muszę zająć się przygotowaniami.

– Skontaktujesz się ze mną po wykonaniu zadania?

– Jeśli będę mógł – rzekł Bar Abbas. – Jeżeli nie otrzymasz ode mnie żadnej wiadomości, będzie to oznaczało, że Bóg miał co do mnie inne plany.

O tej samej porze niedaleko od nich dwaj wierni kryli się na porośniętej lasem grani nad Jeff Davis Pike.

Dowodzący nazywał się Timothy. Był wysoki i chudy, bielszy niż jakikolwiek człowiek, który siedział u stóp żyjącego Chrystusa. Miał gogle

noktowizyjne i obserwował przez nie trzech członków chrześcijańskiej milicji, którzy podkładali ładunek wybuchowy w przepuście pod jezdnią.

Mimo woli podziwiał odwagę tych milicjantów. Mieli na sobie odblaskowe kurtki prawdziwych robotników drogowych i ciężarówkę z firmy wodociągowo-energetycznej, którą zaparkowali na poboczu, lecz choć mogło to zwieść przejeżdżających cywilnych kierowców (a przynajmniej dać im powód, żeby udawali niczego nieświadomych), nie było żadnym zabezpieczeniem przed wojskowym patrolem. W pierwszych dniach powstania, gdy wojskowi snajperzy na dachach mieli rozkaz zastrzelić każdego, kto po zmroku niósł łopatę lub skrzynkę z narzędziami, śmierć zebrała obfite żniwo wśród pracowników służb miejskich Waszyngtonu. Po latach nacisków ze strony obywateli obrońcy stolicy byli teraz nieco mniej skłonni do strzelania, lecz tu, na przedmieściach Wirginii, wciąż był sezon polowań na potencjalnych sabotażystów – tylko zamiast szybkiej śmierci od kuli w głowę prędzej można się było spodziewać gradu szrapneli z działka śmigłowca, po którym będziesz konał, poszarpany, obok twojego płonącego pojazdu.

Gdy milicjanci przeciągali przewód od bomby do anteny umieszczonej za kamieniem milowym, na wschodzie rozległ się dźwięk obracających się śmigieł. Milicjanci nie przerwali pracy i nawet nie spojrzeli w górę. Odwaga lub po prostu fatalizm. Gdyby pilot śmigłowca ich zauważył, i tak już byliby martwi. Jednak mijały minuty, a grad śmiercionośnych pocisków nie spadał i odgłos obracających się śmigieł powoli cichł w oddali. Wkrótce potem milicjanci skończyli pracę, wsiedli do ciężarówki i odjechali.

– W porządku. – Timothy wstał i zdjął gogle. – Zróbmy to.

Drugi wierny nie ruszył się.

– Sam nie wiem, Tim – powiedział.

– Nie ma tu co wiedzieć. Słyszałeś rozkazy dyrektora.

– A jeśli ten śmigłowiec wróci?

- Nie wróci. Słyszałeś, co mówił dyrektor. Chroni nas ktoś z góry.
- Tak? Jeśli dyrektor jest tego taki pewny, to dlaczego go tutaj nie ma? Zaszleściły liście, gdy Timothy obrócił się do niego.
- Zrobimy to, Terry. Ty to zrobisz.

Spędziwszy długą chwilę w ciemności, Timothy nie potrzebował noktowizora, by zobaczyć minę swojego towarzysza. Terry zadrżał, daremnie próbując znaleźć w sobie odwagę, by powiedzieć Timothy’emu, żeby się pieprzył. Jednak nie bez powodu Timothy był dowódcą, a on tylko jego pomocnikiem.

– W porządku – powiedział, pokornie pochylając głowę. – W porządku. – A potem dodał: – Pieprzyć to.

Mustafa otworzył oczy około czwartej rano, zaniepokojony ciszą. Samir przez większą część nocy rzucał się i przewracał na łóżku, ale teraz było ono puste. Mustafa wstał i poszedł skorzystać z toalety. Tam też nie było Samira, ale w pomieszczeniu unosił się odór wymiotów.

Znalazł Samira w sali potopu, siedzącego na „szczytce góry” obok szkieletu welociraptora. Drapieżnik stał, szykując się do skoku na arkę Noego, ale Samir wyglądał, jakby już tego próbował – bez powodzenia. Twarz i kark miał mokre od potu, a włosy oblepiały mu czaszkę.

- Samir? – rzekł Mustafa. – Jesteś chory?
- Chyba tak – odparł Samir głosem lunatyka. – Wielu by tak powiedziało.
- Chcesz, żebym wezwał lekarza?
- Nie. To nie tego rodzaju choroba. – A potem dodał: – Czy już czas ruszać?
- Nie, jeszcze nie. Posłuchaj, Samir, jeśli źle się czujesz, może w ogóle nie powinieneś jechać. Amal i ja możemy...

– Nie! – Samir nagle ożywił się, najpierw z zaniepokojoną, a potem rozgniewaną miną. – Nie jestem tchórzem!

– W porządku – rzekł Mustafa. – Pójdę poszukać pułkownika Junusa, żeby się pomodlić. Chcesz do nas dołączyć?

Twarz Samira znów się wygładziła i nie odpowiadał tak długo, że Mustafa nabrał przekonania, że naprawdę wciąż śpi.

– Nie – w końcu odparł Samir. – Jeśli Bóg nie ma dla mnie czasu, to ja nie mam czasu dla Niego... Przyjdź po mnie, kiedy skończysz.

Ziemianka została wykopana w zboczu góry przez jakiś poprzednio stacjonujący tutaj oddział partyzantów, opuszczona i zapomniana, a potem ponownie odkryta przez Bar Abbasa, kiedy poszukiwał dogodnych miejsc na zasadzkę. Wczołgał się do niej tuż przed świtem. Dwudziestu innych milicjantów rozproszyło się na grani, leżąc na brzuchach na ziemi, z bronią u boku.

Przez szczelinę obserwacyjną ziemianki widać było Davis Pike, niemal skryty w porannej mgle. Na półce z ubitej ziemi tworzącej parapet szczeliny Bar Abbas umieścił lornetkę, paczkę papierosów, termos z kawą i wreszcie pilota radiowego.

Zielona dioda na pilocie zapaliła się, gdy tylko Bar Abbas go włączył, a kiedy wdusił guzik próbny, zaczęła migać, co wskazywało na to, że obwód zapalnika bomby jest pod napięciem. Czerwona dioda zawiadomi Bar Abbasa, kiedy Samir wciśnie przycisk nadawania w swoim telefonie. Potem nie będzie musiał nic robić: bomba wykorzysta GPS komórki, żeby się zdetonować. Jednak na pilocie był jeszcze jeden guzik, zabezpieczony klapką i pozwalający Bar Abbasowi zdetonować ładunek ręcznie, gdyby czerwona dioda się nie zapaliła.

Telefon komórkowy Bar Abbasa cicho zawibrował w kieszeni jego kurtki. To była wiadomość tekstowa od współpracownika w Zielonej Strefie: SARACENI WYRUSZĄ O 7.00. Zakładając, że nie będzie korków, przejazd z Zielonej Strefy tutaj powinien zająć około trzydziestu minut, tak więc musiał czekać około dwóch godzin.

W ziemiance było miejsce dla co najmniej trzech osób, ale Bar Abbas zażądał jej tylko dla siebie. Gdy jego podwładni trzęśli się z zimna pod gołym niebem, on nalał sobie kawę i wyjął książkę ze stojącej przy jego nogach torby. W słabym porannym świetle odczytał tytuł i nazwisko autora na okładce: *Osama bin Laden, którego znam* Petera Bergena.

Po szosie poniżej z hałasem przejechała ciężarówka. Bar Abbas zapalił papierosa i zaczął czytać.

Przed hotelem Watergate stały rzędem cztery samochody terenowe. Trzy z nich były, jak mówili żołnierze piechoty morskiej, „luksusowymi modelami”, z płytami pancerza przyśrubowanymi z boków i z tyłu, kuloodpornymi szybami oraz opancerzoną wieżyczką mieszczącą zamontowany na dachu karabin maszynowy kalibru .50.

Mustafa, Samir i Amal wsiedli do tych opancerzonych pojazdów. Mustafa miał jechać w pierwszym z porucznikiem Fahdem. Samochód numer dwa był nieopancerzony.

Amal przydzielono terenówkę numer trzy, razem z Salimem, Zinat, Umm Husam i sierżantem Farisem. Zinat zaproponowała, że poprowadzi, ale sierżant Faris uparł się, że sam usiądzie za kierownicą, a ponieważ Lwicom pozwalano obsługiwać ciężki sprzęt tylko w nadzwyczajnych sytuacjach, Salimowi przypadł karabin maszynowy.

– No cóż – powiedziała Zinat, kiedy Umm Husam zajęła drugi przedni fotel
– przynajmniej będziemy miały ładny widok.

W ten sposób próbowała zwrócić uwagę na znajdujące się tuż przed nimi pośladki Salima, tkwiące w uprząży strzelca, ale Amal skupiła uwagę na pancerzu wieżyczki, który uznała za niewystarczający. Głowa i górna część tułowia Salima nadal były odsłonięte, szczególnie dla strzelających z góry.

Samira umieszczono w czwartym samochodzie, który pomiędzy tylnymi światłami miał tablicę z napisem AMERYKO, PODJEDŹ, TO CIĘ ZABIJEMY.

Wydano im hełmy i kamizelki kuloodporne. Samir uznał je za krępujące ruchy i zbyteczne, więc zdjął je, paląc ostatniego papierosa, a potem, gdy padł rozkaz odjazdu, usiłował zostawić. Jednak żołnierze piechoty morskiej pilnowali go i jeden ze współpasażerów, szeregowy Dimaszki, klepnął go w ramię, podając mu kamizelkę.

– Wiem, że to wrzód na dupie – powiedział – ale naprawdę chcemy, żeby był pan bezpieczny.

– Dzięki – ponuro odparł Samir.

Pułkownik Junus przyszedł zobaczyć, jak odjeżdżają. Nawiązał kontakt wzrokowy z Mustafą i złączył dłonie, kłaniając się. Mustafa uśmiechnął się i odwzajemnił ten gest, a pułkownik skinął głową porucznikowi Fahdowi.

– W porządku, ruszamy – powiedział porucznik.

Ich eskorta powietrzna, wyposażony w rakiety helikopter bojowy Szajtan, unosiła się nad Centrum Sztuki Kennedy’ego. Gdy konwój minął arabską ambasadę i skręcił na wjazd na most Theodore’a Roosevelta, pilot potwierdzająco opuścił nos śmigłowca i przeleciał przed nimi nad Potomakiem.

Porucznik Fahd, odgrywając rolę przewodnika, wyjaśnił, że most nazwano tak na cześć pierwszego amerykańskiego prezydenta, który złożył oficjalną wizytę w ZPA. Teddy Roosevelt spędził niewiele czasu w samej Arabii, zamiast tego razem z Ibn Saudem wyruszyli w sześciotygodniową podróż

wzdłuż wybrzeża Afryki Wschodniej, żeby zapolować na grubą zwierzynę w Kenii.

Most wiódł nad wysepką na środku rzeki. Ta wyspa również nosiła nazwisko Roosevelta i przed inwazją była rezerwatem. Niestety, osłona lasu przyciągała powstańców i kiedy schwymano dwóch gwardzistów próbujących podłożyć dynamit pod przęsła mostu, na wyspę posłano saperów. Ci wycięli wszystkie drzewa i krzewy w promieniu dwustu metrów od mostu, a pozostałe potraktowali miotaczami płomieni. Mustafa zauważył, że podobne metody zastosowano na wybrzeżu Wirginii – i nie tylko wobec drzewostanu. Z wielu wieżowców w centrum Arlington pozostały wypalone skorupy, a nie spalone były mocno uszkodzone przez artylerię i rakiety.

– Czy to po ataku z 2004 roku?

– Niektóre – odparł porucznik Fahd. – Część uszkodzeń powstała na początku inwazji, a inne są świeższe, bo Arlington zawsze było siedliskiem buntu. Wbrew temu, na co to wygląda, staramy się ograniczać przypadkowe straty, ale są granice tego, jak precyzyjnie można wybierać cele w tak gęsto zabudowanym terenie.

Droga skręcała na północny zachód, omijając centrum miasta. Strzelcy wycelowali karabiny maszynowe w wypalone wieżowce, wypatrując snajperów. Zinat, lubieżnie oglądając tyłek Salima, szturchnęła Amal, gdy zakołysał biodrami zgodnie z ruchem wieżyczki. Amal zignorowała to. Tak jak strzelcy, przyglądała się wysokim budynkom, zaniepokojona nie obrazem zniszczenia, lecz liczbą dogodnych stanowisk strzeleckich, jakie nadal pozostały w ruinach. Ograniczanie liczby ofiar wśród ludności cywilnej to rzecz słuszna i właściwa, ale jeśli i tak niszczy się miasto, to dlaczego nie zrobić tego dokładniej?

Na pierwszym kilometrze nikt ich nie atakował. Potem przejechali obok osiedla domów mieszkalnych, zrównanego z ziemią podczas bitwy pomiędzy Wirginijskimi Synami Wolności a 7 Pułkiem Piechoty Morskiej. Gromada

dzieci bawiła się na gruzowisku w patriotów i muzułmanów, chowając się, wyskakując i strzelając do siebie z udających karabiny patyków.

Porucznik Fahd włączył radiostację.

– Wstrzymać ogień, wstrzymać ogień – rozkazał. – To cywile.

Strzelcy w terenówce nie otworzyli ognia. Dzieciaki, jak to dzieciaki, wykazały mniej opanowania. Kiedy Salim żartobliwie zasalutował jednemu minipatriocie w trójgraniastym kapeluszu z gazety, chłopiec rzucił w niego kamieniem. Dzieciak miał dobre oko; kamień trafił w krawędź pancerza wieżyczki i odbił się, o mało nie trafiając Salima w twarz.

– Ty gnojku! – zawołał Salim, a siedząca w środku Amal zawtórowała mu. Jednak Salim śmiał się i trzymał lufę swojej pięćdziesiątki skierowaną w niebo, chociaż pozostałe dzieci też zaczęły rzucać kamieniami.

– Co one tam wykrzykują? – zapytał Mustafa.

– „Piaskowy czarnuch” – rzekł porucznik Fahd. I sucho dodał: – To przejaw sympatii. Porównują nas do szlachetnych niewolników, którzy zbudowali ten kraj.

Mustafa zrozumiał żart, ale nie roześmiał się. Nie chciał psuć zabawy i naprawdę wierzył, że wojsko zrobiło tutaj, co mogło, przy tak ograniczonych środkach. Pomimo to, gdy konwój jechał dalej, mijając coraz więcej takich obrazów zniszczenia, nie mógł pozbyć się następującej myśli: gdy nadejdzie Dzień Sądu, bez względu na to, jakie inne zasługi zostaną przypisane koalicji, budowa państwa nie będzie jedną z nich.

Wschodzące słońce przedzierało się przez mgłę i teraz w ziemiance było dostatecznie jasno, żeby Bar Abbas mógł czytać, nie wyęzając wzroku. Przerwał lekturę, by zapalić nowego papierosa i wypić resztę kawy, gdy jego telefon znowu zawibrował.

Otrzymał dwie wiadomości tekstowe. Jedną od drugiej grupy, czekającej w zasadzce nieco dalej. Zameldowali, że są na stanowiskach, gotowi wykończyć każdego żołnierza piechoty morskiej, który zdoła ująć z życiem z wybuchu.

Druga była od obserwatora przy drodze: SARACENI NA PIKE @ FALLS CHURCH. ODWRACAM UWAGĘ.

– Doskonale – rzekł Bar Abbas i sam wysłał wiadomość tekstową: SARACENI NADJEŹDZAJĄ, WSZYSCY PRZYGOTOWAĆ SIĘ.

Samir próbował autohipnozy.

Przypomnił sobie wszystko, co słyszał o tym, jak zamachowcy-samobójcy przygotowują się psychicznie – rytualne modlitwy i deklaracje wiary, wizje niebiańskiej nagrody oczekującej za perłową bramą – ale to mu nie pomagało. Nie znał słów nicejskiego wyznania wiary i nie wierzył w świętego Piotra. Może gdyby miał kulę haszyszu do przeżucia, jak jeden z zamachowców Al-Hasana as-Sabbaha... albo jeszcze lepiej, mocnego drinka.

Skupił się na warkocie silnika samochodu w nadziei, że to w połączeniu ze zmęczeniem wprawi go w stan, w którym bez namysłu wciśnie dwa guziki. Zadziałało aż za dobrze. Głowa opadła mu, aż dotknął brodą piersi, a wtedy odgłos nadjeżdżającego z przeciwka motocykla bez tłumika sprawił, że poderwał się, pytając:

– Gdzie jesteśmy? Gdzie jesteśmy? Przegapiłem to?

– Spokojnie – powiedział szeregowy Dimaszki, chichocząc wraz z pozostałymi żołnierzami piechoty morskiej. – Jeszcze nie dojechaliśmy.

– Jak długo spałem?

– Najwyżej minutę czy dwie. Niczego nie przegapiłeś, zapewniam cię.

Przejeżdżali przez następne spalone osiedle. Samir przycisnął nos do okna w tylnych drzwiach i próbował zobaczyć, czy minęli już tablicę reklamową na poboczu drogi, ale na próżno. W panice opuścił dłoń na swoje udo i wymacał

tkwiący w kieszeni telefon komórkowy. Kiedy go dotknął, w oddali rozległ się gromowy huk eksplozji.

– Co to było? – Samir znów spojrział przez okno i zobaczył słup czarnego dymu, unoszący się na północy. – Co to było, do diabła?

W pierwszym samochodzie porucznik Fahd zadał to samo pytanie, tylko spokojniejszym tonem.

– Wygląda jak wybuch samochodu pułapki – zameldował przez radio pilot helikoptera. – Gdzieś w McLean... Tak, na paśmie cywilnym mówią o ataku powstańców na siedzibę straży pożarnej.

Porucznik prychnął z niesmakiem.

– Widzi pan? – powiedział, spoglądając przez ramię na Mustafę. – Tacy właśnie są ci popieprzeni tubylcy. Zabijają pracowników swoich służb ratowniczych, a potem obwiniają nas, kiedy ich domy spłoną.

Radio zatrzeszczało. Znów zgłosił się helikopter.

– Teraz powstańcy atakują główną kwaterę policji. Mają moździerz i policjanci proszą, żebyśmy pomogli im go zniszczyć.

– Tak, tak, lećcie – powiedział porucznik Fahd. – Wezwiemy was, gdybyście byli potrzebni.

Samir zobaczył odlatujący helikopter i zrozumiał. Niczego nie przegapił. Tablica, której miał wypatrywać, znajdowała się jeszcze przed nimi, ale teraz, kiedy ich powietrzną eskortę gdzieś odciągnięto, nie będzie musiał długo czekać. Zaprzestał prób wprowadzenia się w trans i zamiast tego wsparł się ojcowskimi uczuciami, wyjąwszy z kieszeni zdjęcie i trzymając je w dłoniach. Maliku, pomyślał, Dżibrilu, przepraszam, że nie byłem takim ojcem, na jakiego zasługujecie. Teraz jednak zrobię to dla was, modląc się, żeby Idris dotrzymał swojej części umowy.

– To twoi synowie? – spytał szeregowiec Dimaszki.

Samir zgrzytnął zębami.

– Tak – powiedział.

– Przystojni chłopcy. – Szeregowiec pokazał mu zdjęcie, które wyjął z kieszeni. – To moje córki. Fa’iza i Basila, a to niemowlę to A’isza.

– Ładne.

Zamknij się. Proszę, zamknij się.

– Tak... Jeszcze nie widziałem A’iszy. Jednak moja tura kończy się za miesiąc, więc w końcu będę mógł wziąć ją na ręce...

W porządku, Boże, pomyślał Samir. Rozumiem. Jestem grzesznikiem i pójdę do piekła. Cóż, do diabła z tobą. Przyciskając zdjęcie Malika i Dżibrila do piersi, w ponurym milczeniu patrzył na pobocze drogi, gdy szeregowy Dimaszki trajkotał o swoich córkach.

To była chyba ostatnia ze zniszczonych dzielnic. Przejechali pod rozsypującą się estakadą, minęli tablicę z napisem OPUSZCZASZ TYSONS CORNER i wjechali na zielone przedmieście z niemal nietkniętymi zabudowaniami. Nadal napotykali liczne dowody tego, że trwały tu walki – przydrożny kościół bez dzwonnicy, dwa amerykańskie czołgi bez wieżyczek stojące na polu porośniętym jeżynami – ale nie była to już spalona ziemia.

– Jesteśmy blisko – oznajmił porucznik Fahd, spojrzawszy na elektroniczną mapę na desce rozdzielczej. – Jeszcze pięć kilometrów.

Chwilę później, słysząc zbliżające się wycie syren, zatrzymał kolumnę sto metrów przed skrzyżowaniem. Rząd pojazdów służb ratowniczych – dwa wozy straży pożarnej, karetka, jeszcze jedna straż pożarna – przemknął przez skrzyżowanie, podążając do McLean lub jakiegoś innego miejsca. Strzelec w pierwszym samochodzie wodził lufą za każdym kolejnym pojazdem. Kiedy ostatni z nich przejechał, konwój pozostał w miejscu, a porucznik Fahd przez lornetkę obejrzał okolicę.

Za skrzyżowaniem teren po lewej stronie drogi wznosił się, tworząc porośniętą lasem grań. Po prawej był niewysoki las, którego drzewa tworzyły osłonę dla kilku domów. Sama droga – dwie dwupasmowe nitki, rozdzielone

szerokim pasem trawy – biegła prosto i równo jeszcze przez kilometr, po czym ostro skręcała w prawo.

– Widzi pan coś? – zapytał Mustafa.

– Nie – odparł porucznik Fahd. – Mam tylko dziwne wrażenie...

Gdy porucznik znów zaczął obserwować las, Samir patrzył na tablicę reklamową stojącą na południowo-zachodnim końcu skrzyżowania u podnóża grani. Plakat, ukazujący nagi tors Odeda Fehra ściskającego uzi, podczas gdy Natalie Hershlag dąsała się w jedwabnej pościeli, reklamował izraelski film akcji, który Samir na pewno widział – nawet dwukrotnie – lecz którego arabskiego tytułu w tej chwili nie mógł sobie przypomnieć. Wandale dorysowali Fehrowi jarmułkę i rogi, a na czole Hershlag swastykę. Te dodatki, tak jak i sam plakat, były stare i wyblakłe, lecz biały krzyż namalowany sprejem w dolnym prawym rogu był świeży i dobrze widoczny.

– W porządku – powiedział porucznik, wciąż zaniepokojony i żałujący swojej decyzji odesłania helikoptera. – Naprzód.

Gdy konwój ruszył, Samir wepchnął dłoń do kieszeni spodni, walcząc z krępującą go kamizelką kuloodporną i odrętwieniem całego ciała. Chwytny telefon, bezwiednie wcisnął pierwszy guzik. Potem sparaliżował go strach.

Pierwszy samochód przejechał obok tablicy ze znakiem. Drugi. Trzeci. Samir zamknął oczy.

Zmusił się, żeby znowu je otworzyć. Obrócił dłoń grzbietem w dół i spojrzał na twarze synów. Malik, pomyślał, Dżibril. Boże, dopomóż.

Wcisnął drugi guzik.

Ostatnia wiadomość tekstowa upредиła Bar Abbasa, że konwój zbliża się do skrzyżowania. Podniósł pilota i wcisnął guzik kontrolny. Zielona dioda zamigotała uspokajająco. Potem, gdy podniósł klapkę zabezpieczającą

przycisk detonatora i spojrział w kierunku miejsca, gdzie podłożono ładunek, zapaliła się czerwona dioda.

– Dobrze się spisałeś, Samir – rzekł Bar Abbas. – Chyba Idris i ja myliliśmy się co do ciebie.

Pochylił się, aby nie ucierpieć od podmuchu, i muzyka wypełniła ziemiankę. Bar Abbas już od kilku dni miał wciąż w uszach piosenki Zielonej Pustyni, więc dopiero po chwili uświadomił sobie, że te dźwięki nie dobiegają z jego głowy. Spojrzął na deski, którymi było wyłożone dno ziemianki. Zakładał, że nie ma pod nimi nic prócz ubitej ziemi, lecz najwyraźniej ktoś ukrył pod nimi odtwarzacz CD nastawiony na siedemnasty utwór z *Syna Kusza – Całe szczęście (Ciesz się dziewicami)* – wpadającej w ucho, sarkastycznej ballady o zamachowcu samobójcy.

Ballada doszła niemal do końca pierwszej linijki, przy wtórze warkotu nadjeżdżających samochodów, gdy Bar Abbas zrozumiał, że nie słucha utworu z odtwarzacza CD.

Był to dzwonek telefonu komórkowego.

Rankiem jedenastego listopada Mustafa i Samir popędzili do Strefy Zero wraz ze wszystkimi policjantami, strażakami i ratownikami w Bagdadzie. Ponieważ jednak należeli do Halal, a nie do służb ratowniczych, nie zostali skierowani do środka wież, za co Samir w duchu był wdzięczny losowi – i czego się wstydził. Czasem zastanawiał się, czy gdyby kazano mu wejść do wież, zdołałby wykonać ten rozkaz.

Druga sprawa, o której myślał, kiedy wspominał tamten dzień, to skoczkowie: ofiary uwięzione na górnych piętrach, które roztrzaskiwały się na bruku, często nie tyle skacząc, ile spadając, gdy próbowały uciec przez wybite okna przed ogniem i dymem. Jednak niektórzy z nich naprawdę skoczyli. Samir szczególnie dobrze zapamiętał jednego staruszka w oknie

restauracji Okna na Świat, zaciskającego dłonie w modlitwie, gdy poddawał się sile grawitacji i Bogu. Samir zastanawiał się i nad tym, co sam zrobiłby na jego miejscu i co się czuje, świadomie robiąc krok w głęboką na sto pięter przepaść.

Teraz w końcu miał na to odpowiedź. Pierwsze sekundy po naciśnięciu guzika były jak upadek w otchłań: samochód zdawał się toczyć prosto w dół, a nie naprzód. Teraz, pomyślał Samir, czekając, aż uderzy o dno przepaści. Teraz... teraz... teraz...

Mniej więcej przy szóstym „teraz” spanikował i próbował powiedzieć kierowcy, żeby się zatrzymał, lecz syku, który wydobył się z jego ściśniętego strachem gardła, nie można było nazwać nawet szeptem. Teraz... teraz... Samochód podskoczył na wyboju, a Samir znów otworzył usta i krzyknął „STAĆ!”, ale nikt go nie usłyszał, ponieważ bomba wybuchła.

Eksplozja rozdarła grań i główna siła wybuchu poszła prosto w niebo, lecz fala uderzeniowa, która zeszła po zboczu i przeleciała przez drogę, była dostatecznie silna, by zakołysać ciężkimi pojazdami. Odsłonięci strzelcy oberwali najbardziej, odnosząc wrażenie, że zderzyli się z murem z cegieł. W ślad za podmuchem nadleciał grad kawałków ziemi i błota, kamieni, gałęzi. Strzelec nieopancerzonej terenówki został ogłuszony kawałkiem drewna z sufitu ziemianki, które zawadziło o jego hełm.

– Stać! – ponownie wrzasnął Samir, gdy grad odłamków nadal spadał na samochód. – Stać!

– Jedź! Jedź! – rozkazał kierowcy porucznik Fahd.

Była to pierwsza zasada Czerwonej Strefy: nie zatrzymuj się, gdy wpadłeś w zasadzkę. Jednak złamany pień daglezi upadł na maskę i zaskoczony kierowca włączył wsteczny bieg, odwlekając odjazd. Kiedy kierowca męczył się ze starterem, zniecierpliwiony porucznik otworzył drzwi i wysiadł, aby ściągnąć drzewko z maski pojazdu.

Dym rozwiął się na tyle, że żołnierze zobaczyli lej na grani. Niewiarygodne, lecz wokół krateru i otaczającego go gąszczu połamanych drzew ruszali się ludzie. Ponieważ leżeli na ziemi, milicjanci w większości przeżyli wybuch, chociaż znajdujący się najbliżej ziemianki krwawili z nosów i uszu i zataczali się jak pijani.

Strzelcy w terenówce, również oszołomieni wybuchem, przez kilka pierwszych sekund tylko gapili się na to. Potem Salim spostrzegł, że kule odbijają się od pancerza jego wieżyczki, i zadziały wpojone mu odruchy.

– Chrześci-JANIE! – krzyknął i otworzył ogień. Strzelcy z pierwszego i ostatniego samochodu poszli za jego przykładem.

Barad, karabin maszynowy kalibru .50, ma skuteczny zasięg dwóch kilometrów i może przebić nawet lekki pancerz. Z bliskiej odległości przeciwko nieopancerzonym obiektom jest morderczym narzędziem, które dosłownie rozrywa trafionych. Kiedy trzy takie karabiny maszynowe otworzyły ogień, strzelając do wszystkiego, co się ruszało na grani, liczba ocalałych milicjantów szybko się zmniejszyła.

Jeden z ostatnich pozostałych przy życiu gwardzistów próbował wycelować granatnik, trzymając go jedną ręką, gdyż drugą miał strzaskaną przez wybuch. Pocisk z karabinu maszynowego rozerwał go na pół i gdy jego tors odleciał do tyłu, palec zacisnął się na spuście. Granat poszybował wysokim łukiem, przeleciał nad autostradą i wylądował między drzewami po drugiej stronie, gdzie jego wybuch nie wyrządził żadnych szkód. Jednak żołnierz piechoty morskiej w nieopancerzonym samochodzie, gramolący się na miejsce ogłuszonego strzelca, usłyszał wybuch i założył, że druga grupa napastników atakuje z północy. Gdy jego towarzysze nadal ostrzeliwali grań, on obrócił karabin i ostrzelał las – oraz domy za nim. Pierwsza seria trafiła w zbiornik propanu, niszcząc dach bungalowu i wysyłając w powietrze kulę ognia.

Mustafa wysiadł, żeby pomóc porucznikowi Fahdowi usunąć drzewo. Gdy porucznik zobaczył, że Mustafa zostawił hełm w pojeździe, wściekł się.

– Idioto! – krzyknął. – Chcesz, żeby trafili cię w gł...

Brzdęk! Głowa porucznika odskoczyła w bok, z oczyma postawionymi w sęp. Mustafa złapał padającego. Pół sekundy później strzelec w samochodzie namierzył snajpera i rozwalił go. Kierowca, któremu udało się uruchomić silnik, zawołał do Mustafy:

– Wsiadaj! Wsiadaj!

Nie było już celów na grani, więc strzelec w ostatnim pojeździe obrócił wieżyczkę, aby sprawdzić drogę za nimi. Kilka samochodów zbliżało się do skrzyżowania z przeciwnej strony, lecz kiedy ich kierowcy zobaczyli strzelaninę, pośpiesznie zawrócili.

Nagle na skrzyżowaniu pojawiła się ciężarówka z naczepą. Kierowca słuchał radia, więc nie słyszał strzelaniny, a zawracające samochody odwróciły jego uwagę i nie zauważył czterech terenówek, dopóki sam nie zaczął skręcać na autostradę. Uwagę strzelca przykuł długi srebrzysty zbiornik, który wyglądał jak bomba.

– Pieprzyć to – powiedział strzelec, celując weń. – Nie podjeżdżać!

Kawałek dalej, niewidoczni za zakrętem drogi, czekający w zasadzce członkowie drugiej grupy nasłuchiwali odgłosów eksplozji i wystrzałów, obserwując unoszące się kule ognia i dymu. Ponieważ wiedzieli, że Bóg jest po ich stronie, doszli do wniosku, że pierwsza grupa odniosła wielki sukces i wyróżnęła żołnierzy piechoty morskiej.

Mieli w związku z tym mieszane uczucia. Oczywiście chcieli, by nieprzyjaciele Boga zostali zgładzeni. Jednak to nie wszystko: chcieli, aby nieprzyjaciele Boga zostali zgładzeni, ale pragnęli mieć w tym udział. Jaki sens jest być żołnierzem Chrystusa, jeśli nie uczestniczy się w bitwie?

Tak więc zamiast dziękować Bogu za zwycięstwo, błagali go o jeszcze jedną łaskę: Prosimy Cię, Boże, modlili się, bezgłośnie poruszając wargami i

obserwując drogę. Proszę, nie pozwól, aby oni wszyscy zginęli. Zostaw kilku muzułmanów dla nas.

Bóg, co szybko odkryli, był szczodry.

Mustafa wpakował porucznika Fahda na tył, żeby mógł się nim zająć siedzący tam żołnierz. Kula snajpera pozostawiła głębokie wgłębienie w hełmie porucznika i chociaż pocisk nie przebił kevlaru, siła uderzenia ogłuszyła Fahda. Na jego skroni już wykwitł ciemny siniec, a gdy żołnierz próbował z nim rozmawiać, porucznik tylko poruszył powiekami.

Mustafa usiadł z przodu i słuchał rozmów przez radio. Jakiś żołnierz w jednym z pozostałych samochodów usiłował wezwać z powrotem wsparcie powietrzne. Jednak helikopter miał swoje problemy: po zniszczeniu mózdzierza wystrzelono w niego raketę ziemia–powietrze. Z gorączkowych komunikatów nie wynikało, czy helikopter istotnie został trafiony, czy tylko manewrował, chcąc zniszczyć wyrzutnię rakiet.

Konwój minął zakręt drogi. Tuż za nim las po prawej ustępował miejsca centrum handlowemu – rząd sklepów ciągnął się aż do stacji benzynowej przy następnym skrzyżowaniu. Po lewej stronie drogi, wciąż nieco powyżej niej, gdyż jeszcze na końcu grani, stał długi barak z zamalowanymi oknami i tablicami z napisem NIECZYNNE; litery biegnące wzdłuż cementowej krawędzi dachu układały się w słowa PIGGLY WIGGLY obok uśmiechniętego świńskiego pyska.

Na skrzyżowaniu były rozstawione bariery. Na południowej stronie autostrady stały dwie zaparkowane zderzaki w zderzak ciężarówki firmy wodociągowo-energetycznej. A po ich stronie drogi był wielki i żółty szkolny autobus, który właśnie przejeżdżał przez oba pasy.

Kierowca pierwszej terenówki zwolnił. Znając sposób myślenia powstańców, podejrzliwie traktował wszystkie pojazdy, takie jak ten do

przewożenia dzieci, do których żołnierze mogliby wzbraniać się strzelać.

– Odezwij się, Abu Azzam – zawołał do swojego strzelca.

Strzelec już spoglądał przez polowę lornetkę. To nie był zwyczajny szkolny autobus. Po bokach miał przyspawane stalowe płyty, które były kiepską imitacją pancerza pojazdów wojskowych. Strzelec nie dostrzegł w środku główek dzieci, tylko duże głowy w trójgraniastych czapkach, lufy i...

– Granatnik! – krzyknął strzelec.

Kierowca gwałtownie skręcił w prawo, kierowca drugiego samochodu również. Trzeci pojazd był odrobinę wolniejszy i granat trafił go w lewy bok nad tylnym błotnikiem. Eksplozja była ogłuszająca, a z opony natychmiast uszło powietrze, lecz pancerz wytrzymał i odłamki nie wleciały do kabiny. Amal dzwoniło w uszach. Spojrzała w górę na Salima, ale jemu też nic się nie stało – stał pewnie w wieżyczce i już otworzył ogień do szkolnego autobusu.

Strzelcy wszystkich czterech wozów strzelali do autobusu, którego prowizoryczny pancerz okazał się o wiele mniej odporny niż opancerzenie terenówek. Autobus został podziurawiony jak sito.

Na dachu Piggly Wiggly pojawili się kolejni milicjanci. Mieli karabinki, jeszcze jeden granatnik oraz karabin maszynowy, który ustawili tuż nad świńskim łbem. Większość z nich strzelała do konwoju, lecz jeden gwardzista z magazynkiem pełnym pocisków zapalających wycelował w stację benzynową.

– Nie zatrzymywać się, nie zatrzymywać się – mamrotał pod nosem kierowca.

Serie z karabinu maszynowego bębniły o drzwiczki pojazdu, mknącego przez parking centrum handlowego. Mustafa spojrzał przed siebie i zauważył, że asfalt wokół stacji jest mokry, gdy jakby zapaliło się samo powietrze i stacja znikła w potężnym rozbłysku ognia. Kierowca gwałtownie zahamował; poleciełi do przodu i zaraz potem do tyłu, gdy wpadł na nich jadący za nimi samochód.

Trzeci pojazd, który został nieco w tyle, usiłował zahamować łagodniej, lecz tarcie rozerwało na strzępy uszkodzoną oponę. Wóz wpadł w poślizg, podskoczył na wyboju i zaczął przechylać się na bok. Jego prawe koła oderwały się od ziemi, przechyliły pod kątem czterdziestu pięciu stopni i zawisły tak na moment, jakby się zastanawiając, zanim połączony ciężar opancerzonej wieżyczki i uderzająca z tyłu czwarta terenówka przeważyły szalę.

– Salim! – krzyknęła Amal. Usiłowała go złapać, lecz jego nogi nagle znikły, jakby Bóg poderwał go w górę na sznurku.

Pojazd znieruchomiał, leżąc na boku. Amal, która upadła na Zinat, natychmiast podniosła się, złapała karabin Zinat i zaczęła gramolić się przez otwór wieżyczki.

– Zaczekaj! – zawołała do niej Umm Husam, ale Amal nie czekała.

Salim wylądował na plecach parę metrów od samochodu. Nie był ciężko ranny, ale upadek znów go oszołomił. Kule rykoszetowały od nawierzchni parkingu wokół niego, a on, zamiast poszukać jakiejś osłony, powoli usiadł. Kula zawadziła o jego okryte kamizelką kuloodporną ramię, a on zmarszczył brwi i klepnął się w to miejsce, jakby chciał zabić moskita. Potem wzruszył ramionami i zaczął wstawać, a wtedy kula z jękiem odbiła się od asfaltu tuż za nim i z jego prawego uda wytrysnął czerwony obłoczek. Salim z impetem klapnął na tyłek, wytrzeszczył oczy na widok krwawiącej dziury w nodze i powiedział głosem małego chłopca:

– Au.

Amal, nisko pochylona, przycisnęła kolbę do ramienia i wycelowała w podskakujący trójgraniasty kapelusz. Zabiła gwardzistę, który postrzelił Salima, i następnego, stojącego obok. To zwróciło uwagę gwardzisty z karabinem maszynowym, który zaczął go obracać, zamierzając podziurawić Amal i samochód za nią.

– Cel z prawej – powiedziała Umm Husam, pojawiając się przy Amal. Strzeliła i głowa cekaemisty znikła w czerwonym rozbryzgu.

Pierwszy samochód, w pełni sprawny pomimo stłuczki, cofnął się, dając im osłonę, podczas gdy nieopancerzony pojazd wjechał z powrotem na autostradę, stanowiąc ruchomy cel. Kawały cementu zaczęły odrywać się z krawędzi dachu Piggly Wiggly, gdy strzelcy w samochodzie zabrali się do roboty.

W tylnej części ostatniego samochodu Samir siedział przez cały ten czas jak odrętwiały, czując się jak zamknięty w szklanej bańce. Był przekonany, że zginął w wybuchu tej bomby, i nawet teraz jakaś część jego umysłu zastanawiała się, czy może jednak tak się stało i panujący wokół chaos jest typowym procesem towarzyszącym wejściu do piekła. Ta perspektywa nie przerażała go. Strzelanina, wybuchy, nawet szalejące płomienie zupełnie go nie poruszyły.

W końcu poruszył go i przyciągnął z powrotem do świata żywych widok rannego żołnierza, Salima. Samir nie widział, jak porucznik Fahd został postrzelony, tak więc Salim był dla niego pierwszą ofiarą jego zdrady – której kosztów nie spodziewał się zobaczyć. Teraz dobrze wszystko widział, gdyż samochód, w którym jechał, stanął tuż za pierwszym wozem, tworząc pancerną tarczę dla odsłoniętych żołnierzy.

Widok Salima nie był w tym wszystkim najgorszy. Najgorszy był wyraz twarzy Amal, gdy owiżywała chustą nogę Salima, próbując zatrzymać krwotok. Sądząc po jej strachu i wściekłości, ktoś mógłby pomyśleć, że ten żołnierz jest członkiem jej rodziny, a nie facetem, z którym przypadkiem jechała jednym samochodem. Obserwując ją, Samir poczuł przeszywający ból w piersi. Przepraszam, pomyślał. Tak mi przykro, Amal, ale moi synowie, nie miałem wyboru...

Mustafa z żołnierzem wyskoczyli z pierwszego samochodu, żeby pomóc Amal. Pocisk z granatnika przeleciał o wiele za blisko, przebijając wystawę

sklepu spożywczego w centrum handlowym i sprawiając, że wszyscy się schylili. Samir, nagle przekonany, że zaraz zobaczy śmierć swoich przyjaciół, odwrócił głowę. Spojrzał w górę. Dostrzegł neon nad sklepem spożywczym, który jego załamane oczy odczytały jako 9/11. Obrócił głowę w prawo i spojrział na dach chińskiej restauracji obok.

Był tam następny gwardzista. Czaił się na narożniku dachu, niezauważony przez żołnierzy piechoty morskiej. Trzymał butelkę napełnioną jakimś bursztynowym płynem i próbował podpalić pękatą zapalniczką szmatę wetkniętą w szyjkę butelki.

– Nie – powiedział Samir.

I znów spadał w przepaść, lecz tym razem strach nie sparaliżował go, ale zelektryzował. Jak akrobata wykręcił się i wyrwał automatyczną czterdziestkę z olstra na nodze stojącego obok szeregowca Dimaszkiego, obrócił się z powrotem, pchnął drzwi i wycelował. Jego pierwsze trzy kule chybiły, ale czwarta trafiła w butelkę w momencie, gdy tamten ją zapalił. Gwardzista zmienił się w pochodnię z płonącym trójgraniastym kapeluszem.

Samir strzelał, aż opróżnił magazynek. Potem wskoczył z powrotem do budynku, gdzie schowali się Mustafa, Amal, Salim i zaskoczony żołnierz.

– Przepraszam – załkał. – Przepr...

Ziemia zadrżała. Wszystkie szyby w oknach Piggly Wiggly wyleciały, wyrwane podmuchem, a dach, nagle elastyczny, wygiął się do góry, wyrzucając gwardzistów w powietrze.

– Szajtan! – wykrzyknął jeden z żołnierzy, myśląc, że to wrócił helikopter osłony. To jednak nie było trafienie rakieta, ale następna bomba, która wybuchła w sklepie – a raczej na parkingu pod nim.

Dach zapadł się i z przeciągłym łoskotem zewnętrzne ściany runęły, strącając kilku wrzeszczących chrześcijan w gruzy. Potem zapadła cisza, w której nawet ryk płomieni trawiących stację benzynową zdawał się ściszony.

Kiedy minęło pół minuty i nie padły kolejne strzały, żołnierze zaczęli się odprężyć.

– Mustafa al-Baghdadi! – zawołał ktoś.

Głowy – i lufy – zwróciły się w kierunku, z którego dobiegał ten głos. Czterdzieści metrów od samochodów pojawił się biały mężczyzna, stojący z podniesionymi rękami przed stoiskiem z pocztówkami. Dłonie miał otwarte i puste, a rozpięta koszula ukazywała chudą pierś, do której nie była przymocowana żadna bomba czy broń.

Nieopancerzony pojazd podjechał do niego. Żołnierze wyskoczyli i rzucili białego mężczyznę na kolana.

Mustafa wstał.

– Hej! – powiedziała Umm Husam. – Pański hełm!

Mustafa kiwnął głową, wziął hełm i poszedł przez parking do nieopancerzonego samochodu. Gdy tam dotarł, jeden z żołnierzy zaglądał przez otwarte drzwi do sklepu z kartkami; zaraz za progiem leżał martwy gwardzista z naładowanym granatnikiem.

Mustafa skupił uwagę na białym mężczyźnie.

– Jestem Mustafa al-Baghdadi – powiedział. – Kim pan jest i czego pan ode mnie chce?

– Nazywam się Timothy McVeigh – odparł biały mężczyzna. – Jestem agentem teksaskiej CIA i przysłano mnie tutaj, żeby was chronić. – Zerknął na zabitego milicjanta, a potem na stertę gruzów za autostradą, zanim znów spojrzał na Mustafę. – Dyrektor chciałby się z panem zobaczyć.

BIBLIOTEKA ALEKSANDRYJSKA

ŹRÓDŁO INFORMACJI EDYTOWANE PRZEZ UŻYTKOWNIKA

Chrześcijańska Agencja Wywiadowcza

(Przekierowano z CIA)

Chrześcijańska Agencja Wywiadowcza (Christian Intelligence Agency), czyli CIA (czasem również nazywana przez swoich członków „Chrystus i Akcja”), jest główną agencją szpiegowską rządu Ewangelicznej Republiki Teksasu. Według jawnej wersji swego statutu zadaniem CIA jest zbieranie i analizowanie danych wywiadowczych o obcych rządach, organizacjach i obywatelach. Jednakże uważa się, że ta agencja prowadzi także działalność szpiegowską w kraju i działa jako tajna policja państwowa, przetrzymując, torturując i zabijając politycznych dysydentów.

Główna kwatera CIA znajduje się w Crawford, około piętnastu kilometrów na zachód od miasta Waco. (...)

Nie – stanowczo powiedziała Umm Husam

Nie – stanowczo powiedziała Umm Husam. – Nie mogę na to pozwolić.

Stali na parkingu innego ciągu handlowego po drugiej stronie skrzyżowania. Przyjechały kolejne terenówki i czołg, a droga była teraz zablokowana ze wszystkich czterech stron. Jedynymi niewojskowymi pojazdami, którym pozwolono przejechać, były wozy straży pożarnej, których załogi, czujnie obserwowane przez żołnierzy piechoty, gasiły stację benzynową. Nad ich głowami krążyły teraz dwa helikoptery, a śmigłowiec sanitarny właśnie wylądował. Ponieważ porucznika Fahda odtransportowywano nieprzytomnego z powrotem do bazy, najstarszym stopniem oficerem była tutaj Umm Husam.

– Rozumiem, dlaczego nie chce mi pani pozwolić odejść z tym człowiekiem – rzekł Mustafa. – Gdyby jednak chciał mnie zabić, myślę, że już by to zrobił.

– Gdyby pana zabił, nie mógłby pana porwać – wyjaśniła Umm Husam. – Czy zna pan pojęcie Verschärfte Vernehmung?

– Zaostrzone przesłuchanie. – Był to luterański eufemizm oznaczający tortury.

– Amerykańscy protestanci nazywają to rozbudowanym przesłuchaniem. Najnowszą metodą jest tak zwane ukrzyżowanie: ofiara jest przywiązywana do maski samochodu i wożona z dużą prędkością. Kawałki nawierzchni kaleczą ciało, a nagrzana od silnika maska parzy plecy.

– Nie sędzę, żeby chciał mnie ukrzyżować.

– Jeśli pan się myli, nie tylko pan zapłaci za ten błąd. – Umm Husam potrzęsła głową. – Przykro mi, ale nie mogę ryzykować życia następnych żołnierzy, wysyłając ich z misją ratunkową.

Mustafa spojrział na McVeigha, stojącego tuż poza zasięgiem głosu i pilnowanego przez dwóch żołnierzy piechoty morskiej.

– On przewidział, że tak pani zareaguje.

– To nie czyni z niego jasnowidza.

– Poprosił mnie, żebym to pani dał. – Mustafa pokazał jej mapę okręgu z zaznaczonymi stacjami benzynowymi, złożoną tak, że pokazywała fragment wioski Herndon. – Mówi, że to dowód dobrej woli. Zaznaczył położenie domu, który – jak twierdzi – jest główną kwaterą przywódcy atakującej nas milicji.

Umm Husam zachichotała.

– Chcesz wiedzieć, kto naprawdę tam mieszka? Ktoś, z kim on ma na pieńku. Może ktoś, komu jest winien pieniądze.

– Byłbym skłonny się z tym zgodzić – rzekł Mustafa – gdyby nie jedna rzecz... – Pokazał jej słowa napisane na mapie przy zakreślonym miejscu. – Rozpoznajesz to nazwisko?

– Nie.

– Zatem nie jest to nikt znany, tak?

– Nic mi o kimś takim nie wiadomo. Dlaczego pytasz?

– Zanim opuściliśmy Bagdad, pokazano mi listę ludzi, którzy byli w jakiś sposób związani z moim dochodzeniem. Jego nazwisko było na tej liście.

Umm Husam miała sceptyczną minę.

– Co to za lista? Kto ci ją pokazał?

Zanim zdążył odpowiedzieć, pojawiła się przy nim Amal. Pomagała wsadzić Salima do helikoptera sanitarnego i jej dłoń, którą chwyciła mapę, była jeszcze lepka od krwi syna.

– Dowiedz się, jak wygląda ten dom – powiedziała do Mustafy.

Terry Nichols, współwyznawca McVeigha, podjechał srebrzystą furgonetką z namalowaną na burcie gitarą i napisem MESSIAH PRODUCTIONS. Żołnierze przepuścili go przez blokadę, a McVeigh otworzył tylne drzwi furgonetki i zaprosił Mustafę do środka.

– Będzie pan musiał usiąść na podłodze – rzekł przeproszającym tonem – ale to nie będzie długa jazda.

– W porządku – odparł Mustafa. – Chcecie zawiązać mi oczy?

– Nie podczas tej części podróży. – Znacząco spojrzął na krążące w górze helikoptery. – Byłoby to bezcelowe.

Samir, który nie został zaproszony, stał w pobliżu w nadziei, że McVeigh w ostatniej chwili każe mu wsiąść. Umm Husam, w trakcie omawiania planu działania z Amal i kilkoma żołnierzami piechoty morskiej, też na nich patrzyła, z miną wyraźnie świadczącą, że nie jest uszczęśliwiona takim rozwojem wydarzeń. Mustafa skinął im głową, bezgłośnie mówiąc: „Jeśli Bóg pozwoli”. Potem McVeigh zatrzasnął drzwi.

Jazda, tak jak obiecał, była krótka, a ich pierwszym celem podróży był tunel kolejowy niedaleko Davis Pike. Kiedy wjechali do tunelu i zatrzymali się, Mustafa podniósł głowę i zobaczył w oddali drugą furgonetkę, identycznie oznakowaną, wyjeżdżającą z drugiego końca tunelu jako przynęta dla helikopterów.

– Teraz chwilę poczekamy – powiedział McVeigh. – Niech pan rozprostuje nogi, ale nie wychodzi z ukrycia.

Wszyscy wysiedli. Nichols poszedł za filar, żeby oddać mocz. McVeigh zapalił papierosa i poczęstował Mustafę. Gdy stali i palili, Mustafa rozejrzał się i jego uwagę przykuł napis T.A.B., HADŹDŹ! – namalowany sprejem na murze. W płytkim dole poniżej tego napisu leżały resztki czegoś, co zostało

oblane benzyną i spalone. Mustafa głęboko się zaciągnął i usiłował nie myśleć o tym zbyt intensywnie.

W końcu przyjechał samochód. Kierowca, siwowłosa biały mężczyzna z brodą i spaloną słońcem skórą wojownika z Gór Skalistych, wysiadł i skinął głową McVeighowi i Nicholsowi.

– Kluczyki w stacyjce, Randall – powiedział mu McVeigh, a tamten znów kiwnął głową, wsiadł do furgonetki i usiadł za kierownicą, nie włączając silnika. Nichols zajął miejsce na fotelu pasażera.

McVeigh odwrócił się do Mustafy. Wyjął z kieszeni kaptur i rzekł:

– Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu...

Następny etap podróży trwał dłużej. Z kapturem na głowie Mustafa nie widział drogi, ale materiał był na tyle cienki, że wciąż był w stanie odróżnić światło od mroku, więc kiedy znów się zatrzymali, wiedział, że są na otwartej przestrzeni. McVeigh pomógł mu wysiąść tylnymi drzwiami i poprowadził, wciąż zakapturzonego, po żwirowej nawierzchni.

– Dwa stopnie w górę. – Przeszli przez jakąś grubą plastikową kotarę. – W porządku – powiedział McVeigh i Mustafa zdjął kaptur.

Znajdowali się w budynku, który był jeszcze nieukończony. Ściany z dykty już zamocowano, lecz okna były tylko otworami zasłoniętymi plastikową folią, a wewnątrz było betonowym labiryntem prętów zbrojeniowych. Pręty były zakurzone, jakby budowę wstrzymano dawno temu.

– Tędy – powiedział McVeigh.

Budynek był długi i miał modułowy układ; każda z kilku jego części składała się z pomieszczeń przylegających do centralnego korytarza. Każda kolejna część była lepiej wykończona od poprzedniej – najpierw były otynkowane, potem pomalowane, z instalacjami i wykładzinami – a ich powtarzający się układ sprawił, że Mustafa miał wrażenie, że jest to jedno biuro, które organizuje się na jego oczach. W ostatniej części był prąd. Nagły podmuch klimatyzowanego powietrza zaskoczył Mustafę, który zareagował

tak, jak mógłby zareagować jego ojciec, rozcierając gęsią skórę na ramionach.

– Dyrektor lubi chłód – rzekł Timothy McVeigh.

Drzwi na samym końcu holu były ozdobione urzędowo wyglądającym godłem, które przy bliższych oględzinach okazało się ręcznie namalowane. Przedstawiało orła z gwiazdą na piersi i zwojem pergaminu w dziobie; w jednej nodze ptak trzymał krzyż, a w drugiej nóż Bowie. Motto wokół tego godła było cytatem z Ewangelii świętego Jana: „Poznacie prawdę i prawda was wyzwoli”.

McVeigh zapukał i otworzył drzwi. Biuro za nimi, tak jak cały budynek, było w budowie. Na prawo od drzwi stały sofa i nie pasujący do niej fotel, wyglądające jak zabrane z wystawki na ulicy, oraz sięgający na wysokość kolan plastikowy stolik. Po lewej była sterta pudeł. Na końcu pokoju stało biurko, puste, jeśli nie liczyć grubej i oprawionej w skórę księgi, która zapewne była Biblią, chociaż Mustafa nie rozpoznawał wersji; między kartki, jeszcze zwiększające jej grubość, wetknięto liczne skrawki kolorowego papieru, pokryte notatkami.

Mężczyzna stał za biurkiem plecami do wchodzących. Zwracał się twarzą ku oknu, jakby podziwiając widok, lecz szyba była pokryta ochronną warstwą, która czyniła szkło nieprzezroczystym.

– Panie dyrektorze? – powiedział McVeigh. – Przeprowadziłem pana Al-Baghdadiego, tak jak pan chciał.

Mężczyzna powoli się odwrócił. Ubrany był w dżinsy i grubą koszulę z podwiniętymi rękawami. Miał gęste, kręcone ciemnoblonde włosy i piwne oczy za lotniczymi okularami w złotych oprawkach. Jego czarna broda zaczynała siwieć. Mustafa ocenił, że ma około pięćdziesięciu lat.

– Mustafa al-Baghdadi – powiedział mężczyzna. – Dziękuję, że pan przybył. Nazywam się David Koresh.

– Czy Timothy może coś panu przynieść, panie Al-Baghdadi? – zapytał David Koresh. – Kawę? Herbatę? Wodę z lodem? Mam też piwo, jeśli pan chce, ale rozumiem, że nie.

– Nie, dziękuję, nic mi nie trzeba.

– W porządku... Możesz nas teraz zostawić samych, Tim.

– Tak, panie dyrektorze – rzekł McVeigh. – Zaczekam na zewnątrz.

Opuścił pokój.

– A zatem, panie Al-Baghdadi... Czy mogę mówić panu Mustafa?

– Proszę.

– Dziękuję, Mustafo. Proszę, mów mi David.

– David – powtórzył Mustafa. – I Koresh? To hebrajskie nazwisko, prawda? Pochodzi pan z żydowskiej rodziny?

– Nie. – Koresh uśmiechnął się. – Moje rodowe nazwisko to Howell. Vernon Wayne Howell, tak mnie ochrzczono. Zmieniłem nazwisko na David Koresh po namaszczeniu, kiedy pojąłem, jakie Bóg ma wobec mnie plany.

– Ach. Rozumiem. – David zapewne na cześć proroka, który zabił Goliata. A Koresh – Cyrus – od króla, który podbił imperium Nabuchodonozora. Mustafa wyobraził sobie posąg z twarzą Koresha, całą salę takich posągów. – Powinienem ci powiedzieć, Davidzie, że jeśli pragniesz tronu Babilonu, będziesz miał rywala.

– Masz na myśli Saddama Husajna? – Znów się roześmiał. – Nie jesteśmy rywalami. Pan Husajn jest wytworem tego świata. Mnie nie interesują ziemskie nagrody czy tytuły. Już nie.

– Saddam interesuje się panem.

– Wiem. To on wskazał mnie panu, prawda? – Mustafa skinął głową, a Koresh rzekł: – To sprytny człowiek, na swój sposób. I niegodziwy, oczywiście, egomaniak, co nie pozwala mu pojąć pewnych prawd, a jednak...

Wie o mirażu tyle, co każdy Arab, i nikt nie spisał się lepiej, podążając śladem pozostawianych przeze mnie okruszków.

– Mówisz o artefaktach?

Koresh skinął głową.

– Nie jest jedynym zainteresowanym, ale nikt inny nie dotarł tak daleko, idąc ich tropem. Ludzie Al-Kaddafiego wciąż uganiają się za fałszywymi tropami w Europie. Al-Kaida również, aż do niedawna...

– A więc to prawda. Jest pan twórcą tych przedmiotów? I samej legendy mirażu?

– To nie jest legenda – odparł David Koresh. – A ja nie jestem twórcą, tylko posłańcem.

– Opowie mi pan, co pan wie?

– Oczywiście. Po to tu pana sprowadziłem. Jednak to długa opowieść. – Koresh wskazał na sofę. – Powinien pan usiąść wygodnie. Na pewno nie chce się pan czegoś napić?

– Może trochę herbaty, jeśli to taka długa opowieść – rzekł Mustafa. – Tu jest chłodno.

– Agent McVeigh powiedział, że jesteście z CIA – zaczął Mustafa. – Nazwał pana dyrektorem.

– A pan się zastanawia: Jeśli to prawda, to po co szef CIA z Teksasu ukrywa się w Wirginii?

– Tak.

– No cóż – zaczął Koresh – tradycyjnie obie strony kościelnej schizmy twierdzą, że reprezentują prawdziwą wiarę.

– W CIA nastąpił rozłam?

Koresh skinął głową.

– Pomiedzy frakcją Crawford a frakcją Waco. Moja strona – frakcja Waco – przegrała, więc musieliśmy odejść. Wciąż jednak uważamy się za prawdziwych chrześcijan, rzeczywistą organizację Chrystusa i Akcji, przemierzającą dzikie ostępy Ameryki. – Dolał mleka do herbaty i zamieszał ją, zanim podjął przerwany temat. – Nie jest mi obce życie w drodze. Zacząłem jako muzyk-ewangelista. Miałem własną kapelę i grupę studiującą Biblię. Jeździliśmy po całym Teksasie, głosząc Słowo Boże. Potem pewnej nocy podczas spotkania z wiernymi poznałem werbownika CIA, niejakiego Lee Atwatera. On zatrudnił mnie w CIA jako analityka Pisma w sekcji teologicznej Firmy – i muzyka grającego z nim w weekendy.

– Analityka Pisma?

– Jednym z nieoficjalnych zadań CIA jest zapewnianie teologicznego wsparcia elitom rządowym w Austin – wyjaśnił Koresh. – Jeśli potrzebują uzasadnienia nowej polityki lub wytłumaczenia czegoś takiego jak choroba szalonych krów, zwracają się do Firmy. Przez siedem lat to była moja praca. Potem, po wojnie w Zatoce Meksykańskiej, zostałem awansowany i postawiony na czele nowej jednostki badawczej Firmy, zwanej Ośrodkiem Góry Karmel, w Waco. Teksas w tym czasie doświadczał pierwszej epidemii syndromu wojny w Zatoce. Ta wojna powodowała różnego rodzaju problemy – nawet jeśli nie zostaliśmy zaatakowani, świadomość tego, że moglibyśmy być i bylibyśmy, gdyby nie pomoc muzułmanów, prowadziła do ogromnego kryzysu zaufania. Wybuchło powstanie. Szerzyła się herezja. I ludzie – w tym niektórzy naprawdę wysoko postawieni – mieli koszmarne sny i halucynacje o sekretnym podboju przez Amerykanów. Burmistrz Galveston oznajmił w telewizyjnym programie na żywo, że teksańska niepodległość to mit i tak naprawdę jesteśmy częścią CSA. Kilkunastu oficerów Tekskańskiej Gwardii Powietrznej podało się do dymisji, jako powód podając chorobę umysłową. Twierdzili, że wciąż mają sny, w których są amerykańskimi pilotami wykonującymi loty bojowe na cele najwyraźniej znajdujące się w Zachodnim

Teksasie. Krążyły plotki o tajnym projekcie kontrolowania umysłów, w ramach którego zaraza się ludzi wizją LBJ. Wiem, że były inne zespoły badawcze CIA, które traktowały te pogłoski jako realną możliwość, jakiś wirus wytworzony do atakowania podświadomości. Jednak naszym celem w Górze Karmel było znalezienie mistycznego wyjaśnienia. Kazano nam oceniać te sny jako prorocze – lub dowód opętania przez demony. Sprowadzaliśmy ochotników ze szczególnie ciężkimi przypadkami syndromu wojny w Zatoce. Prowadziliśmy badania uśpionych, sprawdzając wpływ różnych bodźców. Stosowaliśmy modlitwy, hipnozę, głodówkę, narkotyki, pozbawianie bodźców, egzorcyzmy, elektrowstrząsy. Próbowaliśmy wszystkiego, co tylko przychodziło nam do głowy, co pozwoliłoby trochę szerzej uchylić drzwi objawienia.

– I czego się dowiedzieliście? – spytał Mustafa.

– Niczego – odparł David Koresh. – Chcę powiedzieć, że treść tych snów była fascynująca, ale nie wiedzieliśmy, jak interpretować to, co rejestrowaliśmy. Problem polegał na tym, że odpowiedź była zbyt prosta, a my oczekiwaliśmy paraboli. A kiedy prosiliśmy Boga, żeby z łaski swojej przemawiał jaśniej, On nadal to robił. Byłem zniechęcony brakiem postępów, ale facetów w centrali najwyraźniej to nie martwiło. W końcu zrozumiałem, że oni już zdecydowali, że syndrom wojny w Zatoce to produkt zbiorowej hysterii. Ośrodek Góry Karmel i inne inicjatywy badawcze, wszystko to było tylko biurokratycznym chronieniem tyłków. Nie obchodziły ich rezultaty. Później, po jakimś czasie, zapomnieli o nas. Kryzys minął, ale nasz program nigdy nie został zamknięty. – Zaśmiał się. – Przestałem słać raporty i nikt w Crawford nawet tego nie zauważył. Tymczasem nadal miałem niekontrolowany dostęp do funduszków Firmy i wiesz, ciało jest słabe... Zacząłem przeprowadzać czystki personalne, wyrzucając wszystkich, którzy nie zgadzali się ze mną, i zatrudniając na ich miejsce bardziej lojalnych rekrutów. Wielu z tych, którzy znaleźli się w Górze Karmel jako obiekty

badani, stało się pracownikami ośrodka. „Badania” stawały się coraz bardziej narcystyczne. Lee Atwater umarł kilka lat wcześniej, więc od pewnego czasu nie muzykowałem, ale pewnego dnia postanowiłem stworzyć nową kapelę z pracowników centrum, aby „badać wpływ rhythmandbluesowych pieśni religijnych na przebieg fal alfa w fazie REM”. Przynajmniej tak napisałem w uzasadnieniu... Wydałem dwieście tysięcy rządowych pieniędzy na instrumenty i studio nagrań. Mieliśmy nawet własną wytwórnię. Były również inne fanaberie. Organizowałem „rekonesansowe” wycieczki po całym świecie, do każdego miejsca mającego jakikolwiek związek z badaniami snu, prorocstwami lub muzyką. W grudniu 1999 roku zabrałem cały personel Góry Karmel do Jerozolimy, aby świętować początek nowego wieku w Ziemi Świętej. Jerozolima była dziwna. Chcę powiedzieć, że doskonale się bawiliśmy, ale od chwili, gdy wylądowaliśmy na lotnisku imienia An-Naszazibich, nie mogłem pozbyć się wrażenia, że już tam kiedyś byłem. W Boże Narodzenie poszliśmy rano do starego miasta, odwiedzić Grób Pański, a tam była już inna wycieczka. Czekali przed kościołem, zebrani wokół człowieka, który stał na głazie, wygłaszając kazanie o objawieniu i prorocztwie siedmiu pieczęci. Rozpoznałem tego kaznodzieję. To byłem ja, może dziesięć czy piętnaście lat młodszy... Spojrzałem na niego, a on na mnie, i wtedy miałem ten napad, jak atak...

– Zawrotów głowy?

– Epilepsji. Upadłem w konwulsjach, uderzyłem głową o bruk. Zanim odzyskałem przytomność, kaznodzieja znikł, a kiedy o niego pytałem, nikt nie wiedział, o czym mówię. – Pokręcił głową. – Syndrom wojny w Zatoce. To było moje pierwsze osobiste doświadczenie z tą chorobą. Jednak nie ostatnie. Kiedy wróciliśmy do kraju z tej wycieczki, zacząłem jeszcze intensywniej korzystać z rozkoszy życia. Najlepiej mogę to opisać tak: Ukazano mi przez chwilę moje prawdziwe przeznaczenie i tkwiący we mnie Adam buntował się przeciw niemu. Już wcześniej traktowałem Górę Karmel jak moje prywatne

centrum rozrywki, ale teraz zacząłem naprawdę korzystać z życia. Robiłem rzeczy, dekadencjonalne rzeczy, z których nie jestem dumny... Potem był 9 listopada i kraj znów oszalał. Wtedy Firma przypomniała sobie o Górze Karmel. Film z samolotami uderzającymi w wieże wyzwolił lawinę nowych przypadków syndromu. Austin żądało wyjaśnień, a kiedy CIA zaczęło organizować nową placówkę badawczą, uświadomili sobie, że wciąż mają taką działającą w Waco, która od lat nie składała raportów o postępach. Byłbym ugotowany tak czy owak, ale sytuację pogarszało to, że od mojego ostatniego sprawozdania mianowano nowego dyrektora Firmy. Okropnego człowieka... – Koresh wymienił nazwisko, które Mustafa pamiętał z listy Saddama Husajna. – Nazywano go Łowcą Przepiórek – powiedział David Koresh. – To taki teksaski żart. Chodzi o to, że jeśli masz wroga, którego chcesz się pozbyć, zabierasz go na polowanie i omyłkowo bierzesz za zwierzynę, na którą polujecie. Łowca Przepiórek naprawdę raz tak zrobił. A po drabinie hierarchii Firmy wspinał się po wielu trupach. To był człowiek, przed którym miałem się teraz usprawiedliwiać. Przysłał uzbrojonych agentów, żeby przywieźli mnie do bazy w Crawford. Zaprowadzili mnie do jego biura, a on pokazał mi stos rachunków i kazał wyjaśnić, na co, do diabła, wydałem tyle pieniędzy. Kłamałem. Powiedziałem, że nadal prowadzimy zleczone prace badawcze, analizując sny. Powiedziałem, że jesteśmy bliscy przełomowego odkrycia o ogromnym znaczeniu dla bezpieczeństwa narodowego. Potrzebowaliśmy tylko jeszcze trochę czasu. Sześć miesięcy, najwyżej rok. Dał mi dwa miesiące. Wyjął z kieszeni kulę i położył na bibularzu. Powiedział, że za sześćdziesiąt dni wydarzy się jedna z dwóch rzeczy: albo tam, gdzie teraz leży kula, znajdzie się raport o tym przełomowym odkryciu, albo ta kula znajdzie się w tej części mojego mózgu, która kontroluje działanie zwieraczy. Powiedział mi również, że mam areszt domowy i jeśli spróbuję opuścić Górę Karmel, zanim ten raport będzie gotowy, ta kula trafi mnie prędzej. Jego centurioni odwieźli mnie do ośrodka.

Zwołałem zebranie załogi, utworzyliśmy krąg i modliliśmy się do Boga o moje zbawienie. Potem odkurzyliśmy stare notatki z badań i zabraliśmy się do pracy. Przez czterdzieści dni i czterdzieści nocy do niczego nie doszliśmy. Każdego ranka klęczałem w kaplicy i mówiłem: „Proszę, Boże, wybac mi moją pychę i rzuć jakąś kość”, a On mnie wysłuchał i odpowiedział, tylko ja wciąż nie pojmowałem. Koszmary – rzekł Koresh. – Wszyscy zaczęliśmy mieć koszmarne sny, a właściwie ten sam sen, o uwięzieniu w płonącym budynku otoczonym przez uzbrojonych ludzi. – Poluzował kołnierzyk i na moment zamknął oczy, oddychając przez nos, podczas gdy w tle szumiał klimatyzator. – Myślałem, że to tylko stres...

– A co to naprawdę było? – zapytał Mustafa.

Koresh jednak tylko pokręcił głową.

– Kiedy pozostały nam już tylko trzy tygodnie, było tak źle, że nikt już nie mógł spać, co jest problemem, jeśli próbuje się analizować sny. Oczywiście mieliśmy do dyspozycji wiele konwencjonalnych środków nasennych, ale postanowiłem zadzwonić do sekcji psychofarmakologicznej w Crawford i sprawdzić, czy upichcili coś nowego od czasu, gdy ostatnio sprawdzaliśmy działanie narkotyków. Przesłali nam cały zestaw eksperymentalnych środków nasennych. Pierwszym, który wyjęliśmy z kartonu, był winian elefaridolu, niecykliczny środek nasenny wywołujący kilka interesujących działań ubocznych. Okazał się przełomem, o który się modliliśmy.

– Dlaczego? – spytał Mustafa. – Jak działał?

Koresh wstał.

– Tę część łatwiej zademonstrować.

Zeszli do piwnicy przez pomieszczenie z kilkoma dużymi przenośnymi generatorami. Odbijający się od nagich cementowych ścian warkot silników był ogłuszający, ale przynajmniej było tam cieplej niż w gabinecie Koresha.

Jeden z generatorów szwankował. Terry Nichols, teraz z pasem narzędziowym na biodrach, odłączył rurę wydechową generatora i oglądał ją. Słaby zapach spalin w powietrzu najwyraźniej zaniepokoił Davida Koresha, który podszedł do Nicholasa i krzyknął mu coś do ucha. Nichols odpowiedział gestem, który mógł oznaczać „nie przejmuj się, panuję nad tym”, a może „nie jesteś w stanie powiedzieć niczego, co by mnie jeszcze bardziej zdołowało”.

Nowe laboratorium badawcze znajdowało się w innej, spokojniejszej części piwnicy. Nie było tam jeszcze łóżek, tylko materace ułożone w dwóch rzędach po dziesięć pod dłuższymi ścianami pomieszczenia. Każda ze śpiących osób była podłączona pajęczyną elektrod ze sfatygowanym elektroencefalografem i nakryta kocem, aczkolwiek to wydawało się bardziej ceremonialne niż praktyczne; badani, zaczerwienieni i podekscytowani, emitowali więcej ciepła niż generatory prądotwórcze.

Mustafa przyjrzał się twarzom śpiących osób. Te należały do różnych ras i grup wiekowych, od nastolatków do zaawansowanego wieku średniego, ale były to same kobiety.

– Podział pracy – wyjaśnił David Koresh, gdy Mustafa o to zapytał. – Nie wiem, czy to biochemia czy wpływ Ducha Świętego, ale uzyskujemy bardziej powtarzalne wyniki z żeńskimi obiektami. – Uśmiechnął się. – Czyż nie są piękne?

To jak harem w schronie atomowym szalonego naukowca, pomyślał Mustafa.

– I co one właściwie robią?

– Pokażę panu. – Koresh odszedł do jedynej obecnej tam i nie uśpionej osoby, mężczyzny w rozpinanym wełnianym swetrze, przeglądającego Biblię Scofielda. – Cześć, Steve – powiedział Koresh. – Ktoś jest bliski?

Steve ruchem głowy wskazał młodą kobietę o rudych włosach rozrzuconych na poduszce.

– Piki teta i gamma Lily rosną już od jakiegoś czasu.

Koresh usiadł na brzegu materaca i podniósł rękę kobiety z koca.

– Co dla mnie masz, moja droga? – powiedział z silnym teksańskim akcentem. Pochylił się, przycisnął wargi do jej knykci, a potem przesunął kciukiem między elektrodami na czole.

Kobieta otworzyła oczy. Mustafa, już skrepowany tą demonstracją intymnego związku, cofnął się o krok. Kobieta zaczęła mówić po arabsku i Mustafa znów dostał gęziej skórki.

– Daj mi te dwa z tyłu – powiedziała głębokim, męskim basem z akcentem rodowitego Irakijczyka. Zamilkła. Potem zawołała: – Nie, nie! Ten po lewej! Tak... Tak, właśnie ten!

Kobieta na innym materacu głośno cmoknęła. Mustafa drgnął. Potem inna kobieta wydała z siebie dźwięk przypominający odgłos klaksonu. Na to wszystkie zaczęły cmokać, posykiwać, szeptać lub krzyczeć. Poszczególne dźwięki wydawały się przypadkowe i bezsensowne, lecz odbite od ścian zaczęły wspólnie tworzyć dźwiękowy obraz, znajomo brzmiący podkład.

Rudowłosa nadal trajkotała po arabsku.

– Co ona mówi? – zapytał David Koresh. – Wie pan?

– Targuje się – odparł Mustafa. – Spiera się o cenę czegoś...

Nagle uświadomił sobie, co to za dźwiękowe tło: odgłosy suku. Targowisko pod gołym niebem, zapewne w Bagdadzie.

Rudowłosa usiadła. Przewód elektroencefalografu naprężył się i koc zsunął się jej do bioder. Wyrwała rękę z dłoni Koresha i wyciągnęła ją, wpatrując się w coś, co tylko ona mogła dostrzec. Powoli sięgała jakby przez kotarę lub ścianę wody. Obróciła dłoń grzbietem w dół i złączyła kciuk z palcem wskazującym, łapiąc pustkę.

Łapiąc coś. Powietrze zamigotało i między jej palcami pojawił się wiotki fioletowy prostokąt. Szal, pomyślał w pierwszej chwili Mustafa. Jednak ten przedmiot był na to za mały i zrobiony z papieru. Banknot.

– Grzeczna dziewczynka – powiedział David Koresh.

Położył dłoń na jej ramieniu, a drugą ręką zabrał jej banknot. Kiedy kobieta straciła kontakt z tym przedmiotem, kilkakrotnie poruszyła powiekami i zamknęła je, a potem opadła na materac. Pozostałe kobiety zamilkły. Koresh podniósł banknot i obejrzał go.

– O wilku mowa – powiedział z uśmiechem. – Wygląda na to, że ktoś za panem podąża...

Pokazał Mustafie banknot. Na awersie widniała twarz Saddama Husajna. Na rewersie znaki wyglądające na hieroglify i napis CENTRALNY BANK IRAKU, DWIEŚCIE PIĘĆDZIESIĄT DINARÓW.

– Nie jest to legalny środek płatniczy w tej rzeczywistości – zażartował David Koresh. – I niewiele wart w jakiegokolwiek.

To był duży biały dom w stylu kolonialnym, na działce wielkości trzech czwartych akra, otoczonej wysokim ceglany murem. Parcela znajdowała się na końcu ślepego zaułka pół kilometra od kościoła w Herndon.

Pozostałe domy przy tej ulicy były skromne, ale zadbane, z dobrze utrzymanymi trawnikami i ogródkami oraz błyszczącymi nowością samochodami na podjazdach. Obserwator spoglądający od wylotu uliczki mógłby wziąć to za tę drugą Amerykę, widywaną jedynie we snach.

Od czasu do czasu wdzierała się tu wojna. Wcześniej rano mieszkańcy tych domów słyszeli w oddali wybuchy na Davis Pike, a ataki na posterunek policji i straż pożarną w McLean stały się najważniejszą poranną wiadomością (dotychczas trzydziestu dziewięciu zabitych, w tym wszyscy napastnicy). Jednak z nadejściem południa powróciło złudzenie pokoju.

Na kilku trawnikach łagodnie syczały spryskiwacze. Kot ocierał się o białe sztachety, a chłopczyk w czapce z futra szopa pedałowal na trójkołowym rowerku po chodniku. Strażnik przy bramie kolonialnej rezydencji patrzył na chłopca, powstrzymując ziewnięcie.

Wiatr się zmienił. Chłopiec przestał pedałować i powoli się zatrzymał. Popatrzył wokół, nasłuchując. Stado ptaków poderwało się z lasu za domem. To zwróciło uwagę strażnika, który odpiął radiostację z paska i zaczął podnosić ją do ust.

Minęła chwila. Potem następna. Ptaki znów zapadły w korony drzew. Strażnik odprężył się i zawiesił radio na pasku, a chłopiec znowu zaczął pedałować. Tylko kot nie dał się zwieść: z podniesionym ogonem pomknął ulicą w kierunku kościoła, jak grzesznik, którego ostrzeżono, że za dwie minuty zagrają trąby na Sąd Ostateczny.

– A więc to był ten przełom. – Znów byli w gabinecie Koresha i Mustafa obracał w palcach iracki banknot, niemal spodziewając się, że ten zaraz zniknie. – Odkryliście, jak przywoływać te przedmioty. Z waszych snów.

– To była niesamowita sztuczka – rzekł David Koresh. – Cud. Oczywiście nie mieliśmy pojęcia, jak to naprawdę działa ani jak to kontrolować. W końcu, ale dopiero po pewnym czasie, nauczyliśmy się w pewnym stopniu sterować snami, tak aby ściągać określone rodzaje przedmiotów. Na początku braliśmy tylko to, co Bóg nam dał. – Podeszedł do biurka i otworzył wielką Biblię. Między kartkami Księgi Rodzaju była fotografia, która wręczył Mustafie. – To był jeden z pierwszych artefaktów, które odzyskaliśmy.

Zdjęcie ukazywało Koresha stojącego przy Bramie Jaffskiej na starym mieście w Jerozolimie. Wyglądał na dwudziestokilkuletniego – zbyt młodo, żeby to zdjęcie mogło zostać zrobione podczas jego wizyty w 1999 roku.

– To pański widmowy bliźniak – domyślił się Mustafa. – Ten, którego widział pan wygłaszającego kazanie przy Bożym Grobie.

Koresh skinął głową.

– Jak tylko zobaczyłem to zdjęcie, natychmiast zrozumiałem, czym są te sny. Bóg nie wysyłał nam zaszyfrowanych przekazów. Pokazywał nam inny

świat, równie realny jak ten. Może bardziej.

– I jak ten inny świat pasował do waszej chrześcijańskiej teologii?

– Cóż, to najwyraźniej było następne wielkie zadanie – rzekł Koresh. – Znaleźć sens tego i dopasować do Pisma. Najpierw jednak musiałem wydostać się z bagna. Do dnia, w którym miałem złożyć raport, odzyskaliśmy dwadzieścia siedem przedmiotów. Zapakowałem je razem z filmami nakręconymi podczas sesji oraz prezentacją w PowerPoincie, po czym pod eskortą udałem się do bazy w Crawford. Prezentacja nie poszła mi najlepiej. Zazwyczaj jestem dobrym mówcą, lecz tamtego dnia w gabinecie Łowcy Przepiórek byłem zdenerwowany niczym Mojżesz, który miał po raz pierwszy stanąć przed faraonem. Nabity rewolwer na jego biurku mógł mieć z tym coś wspólnego... Ponadto po jego minie widziałem, że nie wierzy w ani jedno moje słowo. Albo patrzył na mnie jak na wariata, albo jak na kogoś, kto usiłuje go nabrać. Przeważała ta druga reakcja. Kiedy skończyłem mówić, schował rewolwer do szuflady, a ja odetchnąłem z ulgą. On jednak powiedział: „Nie, panie Howell, niech pan się nie cieszy. Nie wiem, co w pana wstąpiło, że przychodzi pan do mnie i drwi ze mnie w moim własnym domu, ale popełnił pan bardzo poważny błąd. Szkoda na pana kuli”. Zawołał swoich centurionów, a oni zabrali mnie na przesłuchanie. Stłukli mnie na kwaśne jabłko i ochrzcili torturą wodną. Kiedy zemdlałem, wrzucili mnie do celi. Zapadłem w sen. Znów byłem w płonącym budynku, uwięziony i samotny, lecz wtedy Bóg przyszedł, zabrał mnie i wyszeptał moje nowe imię. Powiedział, że będę żył. Kiedy ocknąłem się w ciemnościach, już się nie bałem. Personel Góry Karmel dowiedział się, co się ze mną stało. Bali się, ale nie zrezygnowali. Dalej pracowali w laboratorium snów i drugiego dnia mojego uwięzienia Bóg przysłał im następny artefakt. Najodważniejszy z nich na ochotnika dostarczył go do bazy w Crawford. Łowca Przepiórek nadal był w złym humorze, więc kazał go torturować i wydał rozkaz aresztowania

pozostałych członków personelu – ale popatrzył na artefakt i myślę, że tej nocy on również miał sen. Rano posłał po mnie.

– Jaki przedmiot przyniósł mu pański człowiek? – spytał Mustafa.

– Tygodnik „Time” – odparł David Koresh. – W dziale polityki było zdjęcie Łowcy Przepiórek z adnotacją o nim jako o wiceprezydencie Ameryki. Nie tej Ameryki – dodał Koresh, wskazując na pokój. – Ameryki odgrywającej poważną rolę. Supermocarstwa. – Uśmiechnął się. – Chciałbym być w jego gabinecie i zobaczyć jego minę, kiedy wreszcie zrozumiał. Myślał, że jest kimś wielkim, wpływową osobistością w państwie Teksas. Teraz spostrzegł, jak maleńkie jest to państewko i jak mało znaczący sprawuje urząd w porównaniu z tym, jaki mógł piastować. Ten wstrząs o mało go nie zabił. A chociaż go nie zabił, to pozbawił zmysłów. Kazał wypuścić mnie z celi. Pokazał mi ten tygodnik i zapytał: „Co to jest, panie Howell? Co to ma znaczyć?”. Wypytywał mnie godzinami – co wiem, w co wierzę, co moim zdaniem może być prawdą – ale to było tak samo jak z badaniami syndromu wojny w Zatoce. Wiedziałem, że już zdecydowałem, co jest prawdą. Jeśli naprawdę istniały dwa światy, to ten, w którym on był drugim najpotężniejszym człowiekiem na ziemi, musiał być tym prawdziwym. A ten świat – w którym był wychwalanym tajnym policjantem zapyziałego kraiku – musiał być fałszywym. Oszustwem. Mirażem.

– Zatem to był jego pomysł – rzekł Mustafa. – Nie pański.

Koresh wzruszył ramionami.

– Nie żebym się z nim nie zgadzał, niekoniecznie. Niech pan pamięta, że ja też miałem syndrom wojny w Zatoce i to wrażenie, poczucie, że ten świat nie jest rzeczywisty, było bardzo silne – szczególnie w pobliżu artefaktów. Natomiast miałem wątpliwości związane z tym, jak zamierzał wykorzystać to Łowca Przepiórek.

– Oczywiście chciał wrócić do tego drugiego świata – powiedział Mustafa.

– Wierzył, że takie jest jego przeznaczenie – i niech Bóg pomoże każdemu, kto stanie mu na drodze – powiedział David Koresh. – Ja uważałem, że Bóg może mieć inne plany. Jeśli miraż był zapowiedzią sądnego dnia, co wydawało się prawdopodobne, to można było uznać, że ten sąd miał coś wspólnego z postępowaniem przywódców tamtego świata – że chodzi o jakiegoś rodzaju pokutę. Jednak Łowca Przepiórek nie uważał, że ma za co pokutować. Mówimy o człowieku, który uważał tortury i morderstwa za prawomocne środki nie tylko sprawowania władzy, ale także samookreślenia. Co taki osobnik uznałby za grzech? Dla Łowcy Przepiórek miraż był dowodem przestępstwa, nie przeciwko Bogu, lecz przeciw niemu. Ktoś odmawiał mu miejsca w historii, które mu przysługiwało. Należało wytropić winnych i przycisnąć ich tak, żeby wskrzesić naturalny porządek wszechświata. – Znów wzruszył ramionami. – Nie był to konkretny plan, raczej instynktowne działanie.

– Jednak nie próbował się pan temu sprzeciwić – zauważył Mustafa.

– Nie, nie próbowałem – rzekł David Koresh. – Bóg zadał sobie już trochę trudu, żeby utrzymać mnie przy życiu, i nie było powodu, żeby zmuszać Go do większego wysiłku. Pomyślałem, że chyba wiem, co ma nastąpić: jeśli Łowca Przepiórek się nie ukorzy, zostanie strącony jak występny książę. Ktoś inny zajmie jego miejsce i wyprowadzi lud boży z wygnania.

– Ktoś inny – powtórzył Mustafa. – Może Cyrus?

Koresh rozłożył ręce w geście udawanej pokory, bardzo przypominającym Mustafie Saddama.

– Jeśli taką rolę wyznaczył mi Bóg, oczywiście spełnię Jego wolę... Tak więc udałem, że się zgadzam. Powiedziałem Łowcy Przepiórek, że może liczyć na moje pełne poparcie, a on odesłał mnie do pracy, jakby cały ten incydent z uwięzieniem i torturami w ogóle się nie wydarzył. Naszym głównym zadaniem było dowiedzieć się jak najwięcej o tym, jak zmienił się ten świat. Następnie, określając to, kto najbardziej skorzystał na tych

zmianach, mogliśmy sporządzić listę potencjalnych podejrzanych. Zaczęliśmy sprowadzać inne artefakty, ale był to powolny proces – jak powiedziałem, w tym momencie wybór był czysto losowy i na każdy ściągnięty wycinek z gazety, mapę lub taśmę wideo przypadało mnóstwo niewiele mówiących przedmiotów. Pomimo to bardzo szybko zdołaliśmy zidentyfikować jedną uderzającą anomalię geopolityczną.

– Zjednoczone Państwa Arabskie – powiedział Mustafa.

– Tak – rzekł David Koresh. – Oczywiście to jedynie zawężyło listę do 360 milionów osób, ale mogło być gorzej. Mogły to być Chiny. I wystarczyło, żeby zacząć. W tym czasie CIA realizowało inną szeroko zakrojoną operację noszącą kryptonim Curveball. Od kiedy ujawniono, że zamachowcy z 9 listopada posługiwali się teksaskimi paszportami, władze w Austin obawiały się odwetu. Nawet kiedy Światowy Sojusz Chrześcijański wziął na siebie odpowiedzialność za ten zamach, obawiano się, że ZPA może nie zadowolić się wyrżnięciem górą w Aspen. A jeśli postanowią w rewanżu zetrzeć z powierzchni ziemi kawałek terytorium? Zmiana rządu w Teksasie pokazałaby światu, że naprawdę nie zamierzacie tolerować nawet podejrzanych o terroryzm. Ponadto ułatwiłaby głosowanie podczas następnej konferencji OPEC. Tak więc z powodu tych obaw kazano CIA wyznaczyć alternatywny cel, na którym mogłaby się wyżyć Arabia. Firma sfabrykowała dowody powiązań między LBJ a sojuszem i przekupiła emigranta – inżyniera Curveballa – żeby wysunął bezzasadne zarzuty wobec amerykańskiego programu WMD. To była oficjalnie usankcjonowana część tej operacji. Jednak Łowca Przepiórek dodał swoją modyfikację. Kiedy stało się oczywiste, że Arabia połknęła haczyk, wysłał agentów Firmy do Ameryki, żeby nawiązali kontakty z przywódcami grup milicji i zaczęli przygotowywać grunt pod powstanie wywołane inwazją. Chodziło o stworzenie nieprzyjacielskiej armii. Łowca Przepiórek nie powiedział nikomu w Austin o mirażu, a nawet jeśli to zrobił, w żaden sposób nie mogli zatwierdzić działań

siłowych przeciwko obywatelom Arabii – oni próbowali uniknąć wojny między ZPA a Teksasem! Jednak Łowca Przepiórek uświadomił sobie, że może doprowadzić do tego, że wyręczą go Amerykanie – bo nie trzeba ich było specjalnie zachęcać, żeby chwycili za broń i zaczęli walczyć z siłami okupacyjnymi. Pozwolił im przez jakiś czas przelewać krew arabską i wykrwawiać się, a potem, kiedy już się dowiedział, którzy Arabowie pozbawili go należnego mu dziedzictwa, miał legion zahartowanych w bojach i w żaden sposób z nim nie powiązanych krzyżowców... Był to sprytny plan.

– A co pan robił, kiedy ten sprytny plan nabierał kształtu? – spytał Mustafa.
– Bawił się pan w swoim laboratorium snów?

– Wówczas już w laboratoriach – poprawił go Koresh. – Góra Karmel nadal była moją bazą operacyjną, ale Łowca Przepiórek przystosował jeden budynek w miasteczku uniwersyteckim w Crawford do sprowadzania artefaktów. Podróżowałem tam i z powrotem między tymi dwoma miejscami i spotykałem się z zespołem ekspertów, których zadaniem było uzyskiwanie informacji z odzyskanych przez nas przedmiotów. Na bieżąco informowałem Łowcę Przepiórek o naszych postępach. A w rzeczywistości realizowałem własny plan pokonania tego człowieka. Już sama modyfikacja planu Curveball wystarczyłaby, żeby odsunięto go od władzy – gdybym zdołał przedstawić dowód odpowiednim ludziom. A nie było to jego jedyne nadużycie: Łowca Przepiórek kierował CIA w tak sam sposób, w jaki ja przedtem kierowałem moim ośrodkiem. Oczywiście paranoicznie obawiał się naruszenia bezpieczeństwa, lecz jego oparty na terrorze sposób działania nie skłaniał do lojalności. Wiele osób w Crawford po prostu go nienawdziło i udało mi się zwerbować niektóre z nich do frakcji Waco. Wyjawiali mi tajemnice i wykradali dla mnie dokumenty. Do połowy 2004 roku zgromadziłem dość dowodów, żeby załatwić Łowcę Przepiórek. Potrzebowałem tylko kogoś wysoko postawionego w rządzie, komu mógłbym złożyć raport. Nie znałem nikogo w Austin, ale wytypowałem kilka nazwisk.

Przede wszystkim pewnego polityka w podeszłym wieku, H., z którym przyjaźnił się Lee Atwater i o którym zawsze dobrze się wyrażał.

– H.? – zapytał Mustafa.

– Inicjał jego drugiego imienia – wyjaśnił Koresh. – Ludzie nazywali go tak dla odróżnienia od jego najstarszego syna, przynoszącego wstyd rodzinie. Nigdy nie przedstawiono mnie H., ale wiedziałem, że jeśli zdołam pokazać mu, co mam, będzie w stanie mi pomóc. Problemem było dotarcie do niego. On nie był człowiekiem, do którego można było po prostu wpaść, i obawiałem się, że jeśli spróbuję umówić się z nim na spotkanie, Łowca Przepiórek jakoś się o tym dowie. Potem pewnego dnia niejaki James Baker, dygnitarz z Austin, złożył niespodziewaną wizytę w Crawford. Jego nazwisko też wymieniał Lee Atwater; podobno przyjaźnił się z H. Kiedy pojawił się Baker, składałem Łowcy Przepiórek raport o ostatnio zebranych artefaktach. Zamiast mnie odprawić, Łowca Przepiórek kazał mi czekać w jego sekretariacie. Jeden z doradców Bakera też tam siedział i zaczęliśmy rozmawiać. Ten doradca nazywał się Irving Liebowitz. W trakcie pogawędki próbowałem zebrać się na odwagę i przekazać mu liścik dla Bakera. Nagle sekretarka Łowcy Przepiórek została wezwana gdzieś na moment i gdy tylko zostałem z nim sam, wypaliłem: „Chcę, żeby pana szef załatwił mi spotkanie z H.” „W związku z czym?” – spytał Liebowitz. „Nie mogę powiedzieć panu tego tutaj – szepnąłem, ruchem głowy wskazując drzwi gabinetu – ale to sprawa dotycząca bezpieczeństwa narodowego. Proszę”. Wtedy wróciła sekretarka i nie mogłem powiedzieć nic więcej, ale Liebowitz dał mi swoją wizytówkę i powiedział, żebym zadzwonił do niego, kiedy następnym razem będę w stolicy. Kilka dni później kazałem mojemu personelowi w Górze Karmel kryć mnie i pojechałem do Austin. Zadzwoniłem do Liebowitza z hotelu i zgodził się zobaczyć ze mną w porze lunchu. Miałem pokazać mu, co mam, a jeśli on zgodzi się z moimi wnioskami, przedstawi dowody Bakerowi i umówi mnie na spotkanie z H. Powiedziałem mu wszystko. Niepokoiłem

się, jak zareaguje na część związaną z mirażem, ale zabrałem ze sobą kilka artefaktów i zrobiły na nim takie wrażenie, że przynajmniej nie uznał mnie za świra. I bardzo go zainteresowały moje dokumenty dotyczące planu Curveball oraz innych operacji wykorzystanych przez Łowcę Przepiórek do własnych celów. „To dobrze, że pan to ujawnił” – rzekł w końcu. Powiedział mi, że jego szef od pewnego czasu podejrzewał, że Łowca Przepiórek nadużywa swoich uprawnień, ale dotychczas nie mógł o nic go oskarżyć. Chciałem od razu pójść z nim do Bakera, ale powiedział, że to nic by nie dało i żebym czekał w moim pokoju hotelowym na telefon od niego. „Niech pan się nie niepokoi, to potrwa tylko kilka godzin – obiecał. – Potem przyślę do pana kogoś, kto zabierze pana do H.” Poczułem taką ulgę, że omal się nie rozplakałem. „Dziękuję panu, panie Liebowitz” – powiedziałem. „Proszę mówić mi Libby. Tak nazywają mnie wszyscy przyjaciele”. Tak więc czekałem, ale on nie zadzwonił. Znowu zacząłem się denerwować. Żeby się uspokoić, wziąłem Biblię, ale wyslizgnęła mi się z ręki i kiedy upadła na podłogę, otworzyła się na Ewangelii według świętego Mateusza – na rozdziale 26, w którym Judasz Iskariota zmawia się z arcykapłanami. Kiedy to zobaczyłem, krew zastygła mi w żyłach. Podniosłem Biblię, zamknąłem i znowu ją otworzyłem na chybił trafił. Rozdział 22 świętego Łukasza o Judaszu i arcykapłanach. Nie potrzebowałem trzeciego ostrzeżenia. Wyszedłem z hotelu, wsiadłem do samochodu i pomknąłem do Góry Karmel. Miałem przygotowany plan ewakuacji personelu, w razie gdyby doszło do najgorszego, więc teraz zadzwoniłem do nich z telefonu komórkowego i kazałem przygotować się do opuszczenia ośrodka. Zatrzymałem się na przedmieściu Troy, żeby zatankować. Kiedy korzystałem z toalety, na stację podjechał drugi samochód i gdy wyszedłem, w kierowcy rozpoznałem jednego z centurionów Łowcy Przepiórek. Zanim zdążyłem zareagować, trzej inni zarzucili mi kaptur na głowę. Złapali mnie, potraktowali paralizatorem i wrzucili do bagażnika. Gdyby zabrali mnie do Crawford, nie wiem, jak zdołałbym uciec. Jednak gdy

opuściliśmy stację benzynową, po odgłosie opon wywnioskowałem, że nie jedziemy autostradą. Domyśliłem się, że centurioni zapewne zjechali z niej i mają rozkaz pozbyć się mnie na jakimś odludziu.

– I co pan zrobił? – spytał Mustafa.

– Jedyne, co mogłem zrobić – rzekł David Koresh. – Zdrzemnąłem się. Nie miałem przy sobie elefaridolu, ale pomyślałem, że tym razem Bóg pozwoli mi wykonać tę sztuczkę bez niego. Zamknąłem oczy i zacząłem się modlić. „Aniele Boży, strózu mój” i zanim doszedłem do słów „ty zawsze przy mnie stój”, znów znalazłem się w tym płonącym budynku. Tym razem nie byłem tam uwięziony. Szukałem pomieszczenia, w którym trzymaliśmy broń... Znalazłem je w samą porę. Wziąłem karabin i ścisnąłem go w dłoniach. Samochód zatrzymał się, centurioni otworzyli bagażnik, a ja zbudziłem się i stałem się Śmiercią. Jeden z centurionów zdołał wyjąć broń, zanim go zabiłem. – Koresh położył dłoń na swoim boku. – Trafił mnie tutaj, w to samo miejsce, w które zraniono Jezusa. Bardzo mocno krwawiłem, ale zdołałem dojechać do autostrady. Znów zadzwoniłem do ośrodka i powiedziałem im, przy którym kamieniu milowym jestem. Potem straciłem przytomność. Obudziłem się dzień później w wozie kempingowym jadącym na północ. Już przekroczyliśmy granicę Terytorium Oklahomy i personel powiedział mi, że wszystko jest w porządku – udało nam się uciec. Jednak wiedziałem, że tak nie jest. Kiedy byłem nieprzytomny, Bóg zesłał mi kolejny sen, szczegółowy i proroczy. Podczas pierwszego etapu naszego exodusu Bóg zmylił naszych prześladowców, sprawiając, że uznali, że pojechaliśmy na południe, ale już zrozumieli swoją pomyłkę i Łowca Przepiórek nie zamierzał pozwolić nam uciec. Jego centurioni pędzili za nami, mając rozkaz zabić nas wszystkich... jednak Bóg zorganizował pomoc dla nas w Oklahoma City. Wiedziałem, dokąd się udać. I tak poznałem Timothy’ego.

– Kim był? – zapytał Mustafa.

– Bojownikiem – odparł Koresh. – Jak pan wie, Terytorium Oklahomy jest jak Nowy Meksyk i Coahuila – Teksas rości sobie do niego prawa, ale mieszkańcy są innego zdania. Timothy był u buntowników ekspertem od materiałów wybuchowych. Zgodził się pomóc nam rozprawić się ze ścigającymi nas centurionami. Potem on i kilku jego przyjaciół postanowili przyłączyć się do nas. Z Oklahomy pojechaliśmy na wschód przez Gilead, podążając ścieżką, którą Bóg pokazał mi w moich snach. W końcu przekroczyliśmy amerykańską granicę i od tej pory żyjemy tu w podziemiu. Łowca Przepiórek nadal nas szuka, ale Bóg pozwala nam wyprzedzać centurionów o krok i sabotujemy wiele powiązań Łowcy Przepiórek z powstańcami. O ile jeszcze nie były sabotowane. – Uniósł brew. – Okazuje się, że Łowca Przepiórek nie jest jedynym zagranicznym manipulatorem wykorzystującym Amerykanów jako pionki w grze.

– A V. Howell Industries? – spytał Mustafa. – O co tu chodzi?

– Z początku było to dla nas źródło utrzymania – powiedział Koresh. – Kiedy opuściliśmy Teksas, nie mieliśmy dużo gotówki, ale przemyciliśmy sporo artefaktów mirażu oraz ogromne zapasy elefaridolu. Potem, podróżując przez Śródłdzie, odkryliśmy, że dla ludzi z syndromem wojny w Zatoce te artefakty są jak kawałki Krzyża Pańskiego. Wymienialiśmy je na towary oraz usługi i wykorzystywaliśmy do werbowania nowych sojuszników. Kiedy dotarliśmy tutaj, zaczęliśmy handlować z kilkoma miejscowymi przedsiębiorcami, którym Bóg kazał nam ufać, i w końcu rozszerzyliśmy działalność na sprzedaż przez internet. Nie są to duże pieniądze – po tym, jak wszyscy pośrednicy i pomocnicy wezmą swoją działkę – lecz jak pan widzi, żyjemy bardzo skromnie. I w końcu nie jest to interes, ale ewangelizacja: gdy artefakty rozchodzą się po całej kuli ziemskiej, szerzy się wraz z nimi świadomość mirażu.

– Zatem wasz plan biznesowy zakłada zainfekowanie całego świata syndromem wojny w Zatoce? – rzekł Mustafa.

Koresh krzywym uśmiechem skwitował nutę krytycyzmu w głosie Mustafy, ale rzekł tylko:

– Jeśli taka jest Jego wola.

– Doprowadzać ludzi do szaleństwa, tak jak został doprowadzony do szaleństwa Łowca Przepiórek? Albo krzyżowcy? – Mustafa pokręcił głową. – Myślałem, że chcecie odkupienia ludu bożego. Jak można to osiągnąć poprzez pograżenie świata w jeszcze większym chaosie?

– To było najtrudniejsze do zrozumienia – powiedział David Koresh. – Kiedy odkryłem, jaki rodzaj ludzi zbiera te artefakty, kiedy pomyślałem, do jakich działań może ich skłonić ta wiedza, zadawałem sobie to samo pytanie. Zastanawiałem się podczas modlitw: Czy to może być droga powrotna z wygnania, Panie? I jak zwykle, odpowiedź była tak trudna do zrozumienia, ponieważ była taka prosta. Jednak była tam, już od czasu moich pierwszych wizji.

Wstał, podszedł do biurka i znów otworzył wielką Biblię. Zatrzepotały poprzyklejane do marginesów karteczki, gdy wertował Pismo. Znalazł werset, którego szukał, i przeczytał na głos:

– „A gdy otworzył czwartą pieczęć, słyszałem głos czwartego zwierzęcia mówiący: Chodź, a patrzaj! I widziałem, a oto koń płowy, a tego, który siedział na nim, imię było Śmierć, a otchłań mu towarzyszyła”. – Koresh spojrzał na Mustafę. – Śmierć – powtórzył. – Staję się Śmiercią. Widzi pan? Rozumie pan to?

– Nie – odparł Mustafa.

– Koresh. Imię, jakim mnie naznaczono. Oznacza Cyrus, ale ma także inne, ukryte znaczenie. Oznacza śmierć.

– W jakim języku?

– W języku Siedmiu Pieczęci. – Koresh przycisnął dłoń do kartki Pisma. – Oto, czym jest miraż. Okresem chaosu i cierpienia, gdy świat wywraca się do góry nogami i toczy. Myliłem się: to nie sąd, ale sądny dzień, a moim

zadaniem nie jest znalezienie drogi powrotnej z wygnania, lecz przygotowanie drogi naprzód, do Ostatniego Dnia. Złamanie pieczęci, dęcie w trąby i opróżnienie naczyń. To będzie straszne. – Uśmiechnął się. – Nie wszyscy przeżyją tę ostatnią burzę. Łowca Przepiórek na pewno nie. I nie Saddam Husajn czy którykolwiek inny z tych żywych trupów... Jednak ci z nas, którzy są błogosławieni, obmyci krwią Baranka, znów się spotkają po Dniu Ostatecznym, w nowym świecie, w złotym mieście Królestwa Bożego.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej i wyglądał tak, jakby widział to królestwo, o którym mówił, lśniące na horyzoncie.

Szalenie, pomyślał Mustafa i przypomniał sobie słowa porucznika Fahda: Ci pieprzeni ludzie.

– A co ze mną? – zapytał.

– Z panem? – Koresh zamrugnął, wyrwany ze swoich rojeń. – Pan może jeszcze zostać ocalony. Każdy żyjący może być zbawiony, jeśli zaakceptuje Chrystusa.

– Miło mi to słyszeć – odparł Mustafa – ale pytałem raczej o moją rolę w pańskiej apokalipsie. Z pana opowieści wynika, że większość tych, którzy pana szukali, albo pana nie znalazła, albo marnie skończyła. Saddam powiedział nam, że wszyscy jego szpiedzy zniknęli. Wątpię, by się nawrócili.

– Och – rzekł Koresh. – Nie. Zabiliśmy ich wszystkich.

– Jednak nie mnie – zauważył Mustafa. – Ocaliliście mnie, żeby sprowadzić mnie tutaj i opowiedzieć to wszystko. Dlaczego?

Przez chwilę Koresh wyglądał na zakłopotanego tym pytaniem. Potem wzruszył ramionami i powiedział:

– Tego chciał Bóg. On nie zawsze wyjaśnia mi swoje powody... Gdybym jednak miał zgadywać, powiedziałbym, że On chce, żeby stoczył pan bitwę z fałszywym prorokiem ze wschodu.

– Fałszywym prorokiem? – powtórzył Mustafa.

Koresh skinął głową.

– Powiedziałem panu, że nie tylko Łowca Przepiórek wykorzystuje Amerykanów jako pionki w grze. Arabia ma własnego niegodziwego księcia.

– Zawahał się. – I jest jeszcze coś. Pamięta pan, jak mówiłem panu o zespole ekspertów w Crawford?

– Tym, który gromadził informacje o artefaktach?

– Właśnie – potwierdził Koresh – żeby pomóc stworzyć listę podejrzanych. I oczywiście spekulacje na temat tego, kto wywołał ten miraż, naturalnie prowadzą do rozważań, w jaki sposób go wywołali...

– Naturalnie.

– Łowcy Przepiórek wcale nie interesował ten mechanizm działania. Zapewne dlatego, że kiedy przemoc jest twoją odpowiedzią na wszystko, jedynym istotnym pytaniem jest „kogo następnego wdepczę w ziemię?”. Jednak członkowie zespołu ekspertów byli bardziej dociekliwi. Jeden z nich, orientalista Firmy, niejaki Hank Wessells, opracował, jak to nazwał, teorię magicznej lampy, sprowadzając się dokładnie do tego, że ktoś gdzieś w Arabii wypowiedział życzenie, które zmieniło świat. Nie była to poważna koncepcja – nie chrześcijańska – ale Hank popełnił błąd, posyłając notatkę o tym Łowcy Przepiórek. Ten wyszedł z siebie.

– Dlaczego? – zapytał Mustafa. – Ponieważ ta teoria była herezją?

– Zapewne Łowca Przepiórek pomyślał, że Hank z niego drwi – odparł Koresh. – Zwykle tylko to wyprowadzało go z równowagi. A może obawiał się, że jeśli ta teoria jest słuszna i że jeśli jakiś anonimowy Arab natknął się na tę magiczną lampę, nigdy nie zdołamy go znaleźć. Tak czy inaczej, Łowca Przepiórek też rozesłał notatkę, ostrzegając członków zespołu ekspertów, aby przestali trwonić środki na „bezproduktywne kierunki badań”. Hank został wezwany na przesłuchanie i nie wrócił. Po tym nikt już nie wspominał o magicznej lampie. Jednak po pewnym czasie uzyskaliśmy w laboratorium snu Góry Karmel artefakt, który przypominał mi o teorii Hanka. Nie pokazałem go Łowcy Przepiórek. Dołączyłem go do tajnego zbioru innych artefaktów,

które sobie zatrzymałem z takiego czy innego powodu. I w zeszłym tygodniu, kiedy przyśnił mi się pański przyjazd tutaj, wyjąłem go.

Sięgnął do szuflady biurka.

Wyjął następną fotografię. Ukazywała wykopaliska, gdzieś na pustyni. Dwaj uśmiechnięci mężczyźni stali w płytkim wykopie, obejmując się ramionami. Jeden z nich był blondynem w szarej wojskowej koszulce. Drugim był Mustafa, a raczej jego wersja, z głową owiązaną czerwono-biało-niebieską chustą.

Na pierwszym planie u ich stóp leżał koc, a na nim szereg przedmiotów: mała gliniana urna, sterta odłamków glinianych naczyń, zardzewiała łuska pocisku artyleryjskiego, kolejny zardzewiały artefakt, który mógł być starym bagnetem, a daleko po prawej – i trochę z boku – zakorkowana mosiężna butelka.

– Czy to wygląda znajomo? – spytał David Koresh.

Mustafa nie odpowiedział; upuścił komórkę na podolek i oburącz ścisnął poduszki kanapy.

– Cóż – podjął po chwili Koresh – mam dla pana jeszcze kilka innych rzeczy. Pozwoli pan, że je przyniosę, a potem każę Timothy’emu odwieźć pana do Zielonej Strefy.

– Co? – Mustafa spojrzął na niego, wciąż kurczowo ściskając kanapę. – Chwileczkę. Mam inne pytania...

– Na pewno pan ma – rzekł David Koresh. – Jednak niech pan się nie martwi. Bóg pana osłania.

Chłopiec na trójkołowym rowerku znów przystanął, żeby posłuchać. Tym razem odgłos – szybko zbliżający się warkot diesla – był wyraźnie słyszalny nawet dla uszu dorosłego.

Wojskowy samochód terenowy wjechał na uliczkę. Z przodu miał zamocowany klinowaty stalowy pług, podobny do zderzaka lokomotywy z Gilead. Za nim podążały kolejne dwa pojazdy z zamontowanymi na dachach karabinami maszynowymi kalibru .50. Następnie u wylotu ulicy zatrzymała się duża wojskowa ciężarówka, z której zaczęli wyskakiwać uzbrojeni w karabiny żołnierze piechoty morskiej.

Chłopiec na rowerku patrzył z nabożnym podziwem na przejeżdżające z rykiem samochody. Strażnik przy bramie gorączkowo rozmawiał przez radio i sięgnął po broń, ale seria z karabinu maszynowego skosiła go, zanim zdążył strzelić. Frontowe drzwi jednego z domów w połowie ulicy otworzyły się z trzaskiem i na ganek wypadł jakiś mężczyzna. Seria z pistoletu maszynowego rzuciła go z powrotem w otwarte drzwi.

Z głośnika na dachu kabiny ciężarówki popłynęła nagrana wiadomość: „ZOSTAŃCIE W DOMACH!... ZOSTAŃCIE W DOMACH!... TO OPERACJA SŁUŻB PORZĄDKOWYCH!... ZOSTAŃCIE W DOMACH!...”. Żołnierze piechoty morskiej oddali ostrzegawcze strzały do paru innych domów.

Pierwszy samochód z trzaskiem rozbił bramę i wjechał na trawnik kolonialnej rezydencji. Pozostałe wozy wjechały za nim i ustawiły się po bokach, a kaemiści zabili jeszcze dwóch strażników na balkonie nad frontowymi drzwiami rezydencji.

Gdy żołnierze wyskoczyli z pojazdu, inni milicjanci zaczęli strzelać do nich z okien na piętrze i mansardy na dachu. Próbowali się chować, ale drewniane ściany kolonialnego domu równie dobrze mogłyby być z kartonu – nie dawały żadnej osłony, więc strzelcy przeważnie zdążyli wypalić zaledwie kilka razy, zanim zostali zabici. Jednak było ich wielu, a żołnierze byli ostrożni – ponieważ zamierzali wziąć jeńców, nie mogli po prostu zasypać budynku gradem kul. Starannie wybierali cele, a między salwami wrzucali do środka granaty z gazem łzawiącym.

Podczas gdy jego ludzie oddawali życie, aby zatrzymać żołnierzy, przywódca milicji uciekał tylnymi drzwiami. Atak zaskoczył go pod prysznicem, więc wybiegł owinięty wilgotnym płaszczem kąpielowym, z siwymi włosami wepchniętymi pod niebieski czepek i w zaparowanych okularach. Ochroniarze otoczyli go kręgiem i ruszyli do drewnianej furtki w murze na końcu podwórza.

Ukryci między drzewami snajperzy pozwolili im przebyć większość tej drogi, po czym zastrzelili wszystkich ochroniarzy jednocześnie. Przywódca milicji stanął jak wryty, marszcząc brwi na widok martwych ochroniarzy, jakby śmiertelność była dowodem ich niekompetencji.

Strzelanina w domu ucichła chwilę później. Żołnierz wychylił się z okna na piętrze, zdejmując maskę gazową i wołając:

– Teren zabezpieczony!

Wokół budynku pojawiło się więcej żołnierzy.

Otworzyła się drewniana furtka. Weszły nią Umm Husam, Zinat i Amal. Amal podeszła prosto do przywódcy milicji, który wciąż marszczył brwi, stojąc w kręgu trupów.

– Panie Rumsfeld – powiedziała Amal. – Matki i córki Bagdadu chciałyby zamienić z panem słowo.

BIBLIOTEKA ALEKSANDRYJSKA

ŹRÓDŁO INFORMACJI EDYTOWANE PRZEZ UŻYTKOWNIKA

Dżinn

Dżinn jest nadprzyrodzoną istotą. Według Świętego Koranu i hadisów, Bóg stworzył dżinny z ognia bez dymu, tak jak stworzył ludzi z gliny, a aniołów ze światła. Tak jak ludzie, dżinny mają wolną wolę, więc są zdolne zarówno do grzechu, jak i oddania się Bogu: „Są wśród nas sprawiedliwi i są wśród nas tacy, którzy są niżej tego: poszliśmy różnymi drogami” (Koran, rozdz. 72, wers 11).

Dżinny zamieszkują równoległy świat niewidzialny dla ludzkich oczu – chociaż one mogą nas widzieć i ukazywać nam się dobrowolnie lub pod przymusem. Zły dżinn może zostać niewolnikiem człowieka, a dobry może służyć mu z własnej woli. Charakter i zakres ich mocy jest kwestią sporną, lecz nie mogą uczynić niczego wbrew woli Boga. (...)

DŻINNY W MITOLOGII ZACHODU

Zachodnia koncepcja dżinnów wywodzi się z adaptacji opowiadań z Baśni z tysiąca i jednej nocy, połączonych z elementami folkloru niearabskiego, takimi jak grecki mit o królu Midasie.

Zachodnie opowieści zazwyczaj pozbawiają dżinny wszelkich zasad moralnych, zamieniając je w antropomorficzne maszyny do spełniania życzeń. Te życzenia niezmiennie źle się kończą, prowadząc do tragedii i trwałego upokorzenia osób, które je wypowiadają. Chociaż powszechnie odczytywane jako przestroga przed niebezpieczeństwem pychy, według literaturoznawcy Edwarda Saïda takie opowieści o tych istotach propagują zachodni autorytaryzm: „Przesłanie, że nie

należy ingerować w naturalny porządek rzeczy, zachęca do ślepej wiary w przywódców – nawet jeśli ci nie wykazują żadnych zahamowań przed narzucaniem światu swoich zachcianek”.

Samolot do ojczyzny odleciał

Samolot do ojczyzny odleciał z bazy powietrznej Andrews wczesnym wieczorem. Po starcie Mustafa oparł głowę o okno i patrzył, jak Ameryka znika za horyzontem.

Amal przesłuchiwała w ładowni więźnia. Właściwie było to zadanie Mustafy, ale nadzwyczaj wzburzony swoim pojmaniem Donald Rumsfeld ujawnił coś, co powinien był zachować w tajemnicy: mówił po arabsku. Niezbyt dobrze i niechętnie – ale Amal najwyraźniej potrafiła sprowokować go do mówienia i chciała sama rozpocząć przesłuchanie.

Ranny żołnierz piechoty morskiej, Salim, spał na końcu kabiny pasażerskiej. Jego obecność w samolocie również była sprawką Amal, chociaż Mustafa, który był gdzie indziej, kiedy Amal i Umm Husam rozmawiały z pułkownikiem Junusem, nie znał szczegółów.

Samir też spał – albo udawał. Po powrocie Mustafy do Zielonej Strefy Samir usiłował zapytać go o jego spotkanie z dyrektorem CIA, ale Mustafa uciał te pytania, oświadczając, że będzie mógł przeczytać wszystko w oficjalnym raporcie. Szorstka reakcja Mustafy w pierwszej chwili zaskoczyła Samira, ale potem chyba zaczął pojmować smutną prawdę i skinął głową, mówiąc: „Tak, chyba tak będzie najlepiej... Może na to zasługuję”. Od tej pory przez całą drogę do bazy Andrews siedział zamyślony i milczący, ze spuszczoną głową, z miną przypominającą tę, którą miał podczas przejazdu do Czerwonej Strefy: miną skazańca.

Kiedy zrobiło się zbyt ciemno, żeby zobaczyć coś na zewnątrz, Mustafa wyprostował się i wyjął nową porcję lektury otrzymanej od Davida Koresha. Zawierała trzy artefakty uzyskane z mirażu.

Pierwszym była teczka z archiwów Dżihaz al-Muchabarat al-Amma – Głównego Dyrektoriatu Wywiadu Republiki Iraku – dotycząca oficera Narodowej Policji Iraku, Mustafy al-Baghdadiego. Mustafa przeczytał ją już kilka razy, ale teraz zaczął czytać ponownie, przypominając sobie szczegóły swego dawnego życia: rozpoznawalnego w ogólnych zarysach, ale ukierunkowanego i ukształtowanego przez zupełnie inne ograniczenia.

Tak jak w tym świecie, w tamtym też był policjantem, który starał się dobrze postępować. Jednak „dobre postępowanie” w Republice Saddama było definiowane raczej jako lojalność i podporządkowanie się partii Al-Bas niż inne zalety. Po obiecującym początku – najwyższych ocenach na swoim roku akademii policyjnej w Bagdadzie – szybko obniżył loty. Kilkakrotnie był upominany za zbyt łagodne traktowanie podejrzanych, przeprowadzanie rozmów zamiast stosowania bardziej bezpośrednich metod uzyskiwania zeznań i odmowę wszczynania postępowań wobec ludzi, których uważał za niewinnych. Potem zrobił coś, co powinno być końcem jego kariery, a mianowicie próbował aresztować działacza partii Al-Bas za zamordowanie młodej dziewczyny. Mustafę aresztowano i przez kilka miesięcy przetrzymywano w Abu Ghurajb. Po wyjściu z więzienia Mustafa ponownie dobrał się do działacza, tyle że tym razem nie pod zarzutem morderstwa, ale antypaństwowego spisku – czyli znacznie poważniejszego przestępstwa. Muchabarat aresztowała działacza, a Mustafa otrzymał osobistą pochwałę od wuja Saddama, odzyskał posadę w policji i został ostrzeżony, żeby w przyszłości uważał na to, co robi. Nadal jednak otrzymywał nagany i ścierał się z władzami partii.

Akta osobowe nie zawierały żadnych danych po roku 2002 oprócz przypiętej noty na papierze Armii Stanów Zjednoczonych, datowanej na 9

lipca 2003 roku. Podpisane przez kapitana Edwarda Lawrence'a pismo nakazywało oddelegowanie Mustafy al-Baghdadiego do pracy w charakterze tłumacza, z uwagi na jego uzdolnienia lingwistyczne i „wyraźne niechętnie nastawienie do partii Al-Bas”. W notatce nie było nic o poszukiwaniu skarbów na pustyni, jednak ze względu na niewielką odległość Al-Hilli od Bagdadu nietrudno było wyobrazić sobie scenariusz, w którym kapitan Lawrence i jego tłumacz, być może zniechęceni po kilku latach budowania państwa, postanowili dorobić na boku. Mustafa podejrzewał także – a Koresh wyraźnie o tym wspominał – że jeśli będzie trzymał przy sobie ten artefakt, może zacząć przypominać sobie szczegóły. Zastanawiał się, czy na pewno tego chce.

W części RODZINA wymieniono tylko jedną żonę, Fadwę Bint Haris. Mustafa nie był tym zdziwiony – wyczuł, że w Iraku Saddama nie było wielu internetowych okazji, tak więc uczciwego gliniarza nie było stać na więcej niż jedną żonę. Natomiast nie wiedział, czy to czyniło go bardziej czułym i oddanym mężem, czy bardziej zgorzkniałym. Wolałby to pierwsze.

Akta zawierały także teczkę Muchabarat z informacjami o Samirze Nadimie, innym bagdadzkim policjancie, który pracował w tym samym komisariacie co Mustafa. Policyjna droga kariery Samira była mniej wyboista niż Mustafy, chociaż wyglądało na to, że przyjaźń z nim niejedną raz wpakowała Samira w tarapaty.

Tak jak Mustafa, on też miał drugą pracę, ale nie dla wojska. Od 1997 do 2002 roku Samir był informatorem Mudirijjat al-Amn al-Amma – Głównego Urzędu Bezpieczeństwa – który, na ile mógł to ocenić Mustafa, był kolejnym ramieniem tajnej policji Saddama, stojącym w hierarchii nieco niżej od Muchabarat, ale znacznie wyżej od zwykłej policji.

Samir nie został tajnym agentem dobrowolnie. Dołączony do jego akt raport wyjaśniał, co się stało. Kiedy anonimowy informator oskarżył go o spotkanie się w tajemnicy z „wywrotowymi elementami”, zaczęto

obserwować Samira i wysłano go na kilka nocnych ekspedycji, aby sprawdzić, czy tymi podejrzanymi elementami są Kurdowie, Turcy, Irańczycy czy dysydenci spośród irackich szyitów.

Okazało się, co załączone fotografie ukazywały aż nazbyt jasno, że odpowiedź jest zupełnie inna. Raport stwierdzał, że nie ma mowy o zdradzie, ale zalecał, by Samira i „wywrotowców” wciągnąć do siatki informatorów Al-Amn. „Oczekujemy, że będą całkowicie posłuszni, aby uniknąć publicznego ujawnienia ich występku”.

Oczekujemy, że będą całkowicie posłuszni... Mustafa spojrzął nad oparciami foteli na Samira, który znów rzucał się i przewracał we śnie. Zastanawiał się, czy go obudzić, zapytać, jaki to koszmarny sen go dręczy, zadać mu kilka innych pytań. Potem jeszcze raz spojrzął na fotografie i zdecydował, że przelot nad Atlantykiem nie jest najlepszą okazją do poruszania tego tematu.

Ostatnią i najdłuższą lekturą z pakietu był raport z sierpnia 2001 roku, sporządzony przez Sekcję do spraw bin Ladena przy Centralnej Agencji Wywiadowczej i zatytułowany *Metody i cele Al-Kaidy*. David Koresh przykleił do okładki karteczkę z uwagą: „Nie moja CIA!... Jednak niegodziwy książę jednego świata jest niegodziwy we wszystkich światach”. Mustafa przewrócił pierwszą kartkę i zaczął robić notatki.

Podczas tankowania na Azorach oświetlony ostrym światłem beton miał ponury wygląd stacji benzynowej po północy. Nikt nie wysiadł z samolotu. Mustafa skorzystał z toalety w kabinie pasażerskiej, po czym wrócił do ładowni, żeby sprawdzić, jak przebiega przesłuchanie. Przystanął, niewidoczny, na szczycie schodów i słuchał piskliwego głosu Donalda Rumsfelda. Ten mówił z niemal zupełnie niezrozumiałym akcentem: Mustafa zdołał zrozumieć tylko słowa madżahil marufa, czyli „wiadome niewiadome”, które nie miały dla niego sensu. Potem jednak Amal zadała następne pytanie i

ton jej głosu świadczył, że zrozumiała mówiącego. Wyczuwając, że jeśli jej przerwie, to może tylko zaszkodzić, Mustafa wrócił na swoje miejsce.

Gdy samolot transportowy kołował z powrotem na pas startowy, Mustafa otworzył portfel i wyjął banknot dwustupięćdziesięciodinarowy. Przyjrzał się uśmiechniętej twarzy Saddama i oczami duszy zobaczył zakorkowaną mosięzną butelkę.

Wiadome niewiadome, pomyślał.

Słońce znów wzeszło, gdy transportowiec zbliżał się do wybrzeża Afryki Północnej. Mustafa drzemał, lecz różowy blask odbity od oparcia fotela przed nim wtargnął do jego snu.

W tym śnie przemierzał Saharę na piechotę. Przebył długą drogę przez morze wydm, lecz teraz to morze kończyło się, ustępując skalistej równinie oznaczonej czarnymi kraterami. Wiedział bez pytania, że to stanowisko Al-Jarbu, poligon, na którym zdetonowano pierwszą bombę atomową i gdzie wojsko w latach pięćdziesiątych oraz sześćdziesiątych testowało coraz większe i silniejsze ładunki. Znajdujące się w odludnej części południowej Algierii Al-Jarbu zawdzięczało nazwę skaczącym pustynnym gryzoniom, które – według państwowej propagandy z tamtych czasów – były jedynymi żywymi stworzeniami na miejscu prób nuklearnych. Oczywiście nie było to prawdą: berberyjscy nomadowie również zamieszkiwali strefę radioaktywnego opadu, tak jak wielu francuskich legionistów, którzy pozostali w krajach Maghrebu po wojnie. Kabareciarze czasem żartowali sobie z tych ostatnich, *gerboises françaises*, legionistów świecących w ciemności.

Mustafa podszedł do krawędzi jednego z kraterów i zajrzał doń. Lej był zaskakująco głęboki, tak bardzo, że jego dno ginęło w mroku. Zastanawiał się, co zapobiegało zasypaniu go przez piasek, i w odpowiedzi na

przeciwnym skraju krateru utworzył się powietrzny wir, przesuając się i wsysając piach. W świetle na jawie samolot przechylił się na skrzydło, zmieniając kurs, i zwieszona głowa Mustafy odwróciła się od okna, a we śnie piaskowy wir okrążył krater, rosnąc wszczep i wzdłuż, aż zasłonił słońce.

Nagle Mustafa znów szedł, przez mgłę wirującego piasku. Wszystko wokół niego było bezkształtne i przepastne, ale wkrótce piasek zaczął zstąpić się w pnie i korony eukaliptusów. Minął tablicę z napisem: TEREN PRÓB Z REORGANIZACJĄ RZECZYWISTOŚCI NR 99.

Na polanie za drzewami wznosiła się hybrydowa świątynia, amalgamat kairskiego pomnika Nasera i jednego z monumentów, które Mustafa zwiedzał podczas podróży przez Zieloną Strefę. Płytkie stopnie wiodły na postument, na którym płonął pełgający Znicz Zjednoczenia. Za nim pół tuzina marmurowych kolumn podtrzymywało łukowaty blok z wykutymi słowami: KIEDY MYŚLĘ, ŻE BÓG JEST SPRAWIEDLIWY, DRŻĘ Z OBAWY O MÓJ KRAJ.

Utworzył się kolejny piaskowy wir, złapał Znicz Zjednoczenia i rozciągnął go w krętą kolumnę ognia. Nagle ogień zgasł i na jego miejscu pojawiła się postać w białej tunice, którą Mustafa rozpoznał z innego snu.

– Witaj ponownie – rzekł džinn. – Czy już poukładałeś sobie strefy czasowe?

Mustafa pokazał mu zdjęcie wykopalisk.

– Al-Hilla – rzekł. – Znalazłem twoją butelkę.

– Nie moją – odparł džinn. – Należała do księcia Babilonu. Tak jak ja przez pewien czas.

Mustafa usłyszał syk ciśniętego wiatrem piasku i odwróciwszy się, zobaczył, że eukaliptusowy las zmienił się w wielką metropolię, zdominowaną przez sylwetki dwóch bliźniaczych wieżowców. Nowy Jork, pomyślał Mustafa, ale już zaczęła się następna transformacja i w całym mieście zaczęły zachodzić kaskadowe zmiany, zamieniając je w Bagdad. I

choć widział, jak to się dzieje, to gdy transformacja się zakończyła i stojące tam wieże Tygrys oraz Eufrat były tak znajome, trudno było sobie wyobrazić, że ta sceneria mogła kiedyś wyglądać inaczej.

– Czy to ja zrobiłem? – spytał Mustafa – To było moje życzenie?

Dżinn zdawał się zastanawiać nad tym pytaniem.

– Przerobienie całego świata byłoby aktem niesamowitej dumy. Czy to do ciebie pasuje?

Mustafa spojrział na zdjęcie, które trzymał w dłoni.

– Nie – odparł, zaskoczony swoją odpowiedzią. – Nie, to wygląda na coś, co zrobiłby Amerykanin...

– Zatem muszę mieć w sobie coś z Amerykanina – z uśmiechem powiedział dżinn. – Aby spełnić takie życzenie. Ach, wprawdzie lubię wyzwania... I byłem niezmiernie wdzięczny za uwolnienie z więzienia.

– A więc czego chciałem? Jeśli nie tego...

– Mniejszych rzeczy – powiedział dżinn. – Trudniejszych. Życzeń, których nie mogłem spełnić, chociaż byłem wdzięczny.

Wskazał na miasto na horyzoncie i w oknach otwierających się w bocznych ścianach wieżowców Mustafa zobaczył dwa wcielenia Fadwy. Jechała zatłoczonym składem metra, a w równoległej rzeczywistości była sama w domu i modliła się o powrót męża, który wyszedł z domu po ich ostatniej kłótni. Potem nad Bagdadem przeleciały samoloty, a Fadwa podniosła głowę, spojrzała w górę i znikła.

– Nie mogłem sprowadzić ci jej z powrotem – powiedział dżinn do Mustafy, który miał policzki mokre od łez. – Próbowałem, ale Bóg na to nie pozwolił. Nie ją. Jak pomyśleć o niektórych z tych, którym pozwolił wrócić, to może i dobry znak...

– A jej udręka? – rzekł Mustafa. – Jeśli nie mogłeś uratować Fadwie życia, to nie mogłeś przynajmniej zrobić czegoś z tym?

Dżinn nie odpowiedział.

– A Nur?

– Ach, Nur – rzekł džinn ze zmieszaną miną. – Nieudana próba pocieszenia. Myślałem, że przynajmniej uczyni cię szczęśliwszym. Jednak wygląda na to, że się pomyliłem.

– Można tak powiedzieć – potwierdził Mustafa. – Nie powinieneś dawać mi drugiej żony. Powinieneś dać Fadwie lepszego męża.

– Nie życzyła sobie tego – odparł džinn – a nawet gdyby, nie mógłbym spełnić tego życzenia. Spójrz jeszcze raz na miasto.

Mustafa spojrział. Horyzont zdawał się pędzić na niego, a wieżowce i drapacze chmur, które z daleka wydawały się tak solidne, okazały się tworami z maleńkich dyskretnych cząstek wirujących w pustce.

– Piasek – rzekł džinn. – Tak wiele tego świata jest z piasku, łatwe do ponownego formowania, jeśli Bóg zechce. Jednak nie wszystko.

Miasto znów znikło w dali. Mustafa, czując się, jakby recytował kwestię z jakiejś sztuki, powiedział:

– Człowiek stworzony z gliny.

– Niektóre części są delikatniejsze od innych – rzekł džinn. Położył dłoń na swojej czaszce, obok skroni. – Dostatecznie elastyczne przy odpowiednim traktowaniu. Jednak charakterzy ludzi, ich siła i słabostki, namiętności i obawy, grzechy i występki, do jakich są skłonni – te są z żelaza, stali i spiżu. Tych nie mogę zmienić. Och, może jakiś detal tu i ówdzie... Jądro jednak pozostaje niezmienione. Nie mogę uczynić cię kimś innym.

– Cóż – powiedział Mustafa, znów roniąc łzy. – No cóż, to cudownie.

– Nie powinieneś płakać – powiedział džinn. – Ja nie mogę uczynić cię lepszą osobą, ale Bóg, który obdarzył cię życiem i wolną wolą, może pomóc ci stać się taką. Postaraj się, a jeśli się potkniesz, poproś Boga o wybaczenie i próbuj dalej.

– Gdyby to było takie łatwe – powiedział Mustafa.

– To nie jest łatwe. To walka. Jednak walka jest lepsza od użalania się nad sobą. Nie czcisz pamięci Fadwy, jeśli wciąż myślisz o tym, czego nie można cofnąć. W ten sposób tylko odwracasz uwagę od dobra, które możesz jeszcze czynić – i zła, któremu możesz zapobiec. Jesteś grzesznikiem, Mustafu al-Baghdadi, ale nie jedynym grzesznikiem. I na pewno nie najgorszym.

Coś w jego słowach sprawiło, że Mustafa znów spojrzął na miasto. Większość jego konturów znikła. Pozostały tylko bliźniacze wieże – dwie pary, stojące obok siebie. Za nimi majaczył jakiś cień, jakby diabła, który po nie przybył. Była widoczna tylko sylwetka, ale Mustafa domyślał się, kto to może być. Ilu jest tak wysokich ludzi?

– Żelazo, stal i spiz – powiedział džinn. – Niegodziwy księżę w jednym świecie jest niegodziwy we wszystkich światach.

Późnym popołudniem wylądowali w bazie sił powietrznych w Al-Chardż. Temperatura na zewnątrz wynosiła 49 stopni i za kurtyną falującego od upału powietrza hangary i wieża kontroli lotów migotały niczym pierwotne twory, które dopiero przybiorą swój ostateczny kształt. Mustafa stanął na płycie lotniska, zastanawiając się, czy może nadal śni.

Amal pomogła Salimowi usadowić się w wózku inwalidzkim. Mustafa obserwował tych dwoje i nagle, wyraźniej niż przedtem, uderzyło go ich podobieństwo. I nie tylko między nimi: patrząc na profil Salima przypomniał sobie artykuł w gazecie, który niedawno pokazał mu Abu Mustafa. Tematem tego artykułu była kariera senator Al-Majsani, ale wspomniano również o ojcu Amal, Szamalu, policjancie walczącym z korupcją... Tak, pomyślał Mustafa, chyba nadal śnię.

Jasny błysk przykuł jego uwagę do kurtyny falującego powietrza. Podniósł rękę, osłonił dłonią oczy i błysk zmienił się w karetkę – słońce odbijało się od jej przedniej szyby oraz maski. Mężczyzna w cywilnym ubraniu wychylał się

z okna pasażera i zanim karetka zupełnie się zatrzymała, już wyskoczył z niej, podbiegł do fotela, objął młodego żołnierza piechoty i obsypał go pocałunkami.

– Ojcie – powiedział po chwili zarumieniony Salim – to moja nowa przyjaciółka, Amal. Uratowała mi życie.

– Dziękuję – powiedział Anwar z oczami pełnymi łez. Pochylił się, jakby chciał uściskać i ją, ale powstrzymał się. – Dziękuję.

Amal posłała mu enigmatyczny uśmiech.

– Tym właśnie zajmują się Służby Bezpieczeństwa – powiedziała. I spuściwszy wzrok, dodała: – Przykro mi z powodu nogi.

– Dlaczego, przecież to nie pani wina – rzekł Salim, myśląc, że powiedziała to do niego. – Poza tym szybko wyzdrowieję. Proszę odwiedzić mnie za miesiąc, to panią prześcignę!

– Teraz powinienesz pojechać do domu i zobaczyć się z matką – powiedziała Amal.

– Tak. – Anwar skinął głową. – Ona na nas czeka. – Popatrzył na Salima. – Mamy kilka spraw do omówienia.

– Wiem – powiedział Salim. Potem jednak uśmiechnął się i wręczył Amal kawałek papieru. – Tu jest mój adres e-mailowy. Niech pani do mnie napisze!

– Uważaj na siebie i bądź dobry dla swoich rodziców – powiedziała mu Amal.

Cofnęła się, a Anwar chwycił wózek i zaczął pchać go w kierunku karetki. Razem z kierowcą pomogli Salimowi usiąść z tyłu. Anwar pomachał Amal i usiadł obok syna.

Amal stała obok Mustafy, patrząc na odjeżdżającą karetkę.

– Ten chłopak jest bardzo podobny do swojego dziadka – rzekł Mustafa i zamrugał, gdyż nie zamierzał wyrazić tej myśli na głos.

Amal przyjęła to spokojnie.

– Rzeczywiście – powiedziała.

Spojrzała na skrawek papieru w swojej dłoni i rozchyliła palce. Prąd wstępujący porwał papier i uniósł go wysoko w niebo.

Buciorzy zadudniły o pochylnię ładunkową samolotu transportowego. Lotnik zeskokczył na płytę lotniska i zameldował przez radio:

– Teren czysty.

Oddział żandarmerii wojskowej wyprowadził jeńca z ładowni.

Więzień był zakapturzony, skuty i wciąż miał na sobie ten płaszcz kąpielowy, w którym go schwytano. Był także bosy i kiedy Mustafa zobaczył, że żandarmi zamierzają poprowadzić go po rozgrzanym do białości betonie, zawołał:

– Hej, co wy wyprawiacie? Dajcie mu jakieś buty!

Żandarmi zawahali się. Lotnik ze zmieszaną miną wskoczył z powrotem do samolotu i wrócił z plastikową paletą. Rzucił ją na beton, a żandarmi umieścili na niej więźnia jak ładunek.

Za falującą kurtyną rozgrzanego powietrza pojawiły się czarne plamy, podobne do rozbryzgów oleju. One też zamieniły się w pojazdy: konwój czarnych samochodów sportowo-użytkowych. W przeciwieństwie do błyszczącej karetki te były zakurzone, jakby przebyły długą drogę przez pustynię i zamiast odbijać promienie słoneczne absorbowwały je.

Czując na sobie czyjeś spojrzenie, Mustafa odwrócił się i spojrzał na samolot. Zobaczył twarz Samira, nerwowo spoglądającego na nadjeżdżające pojazdy z jednego z okien kabiny pasażerskiej. Gdy Samir zauważył, że Mustafa na niego patrzy, z zawstydzoną miną znikł z okna.

Samochody podjechały do samolotu transportowego. Z pierwszego wysiadł Idris Abd al-Kahhar, a z pozostałych wysypali się brodaci mudżahedini, którzy – gdyby nie ich czarne garnitury – wyglądałoby jak więźni prosto z pola bitwy w Afganistanie.

– Mustafa al-Baghdadi – powiedział Idris. – Masz coś, co należy do mnie.

– Mylisz się – rzekł Mustafa, stając pomiędzy ludźmi Idrisa a więźniem. – Ten człowiek jedzie ze mną do głównej kwatery Służb Bezpieczeństwa, gdzie zostanie należycie przesłuchany.

– Ach, obawiam się, że nastąpiła zmiana planów. – Idris wyjął złożony urzędowy formularz i rozłożył go niedbałym machnięciem. – Prezydent, po konsultacji z senatorem bin Ladenem i kilkoma innymi członkami komisji do spraw wywiadu, zdecydował, że ten więzień ma być traktowany ze szczególną troską. Zawieziemy go prosto do ośrodka w Zatoce Chwaka.

Mustafa obejrzał dokument opatrzony prezydencką pieczęcią i podpisem.

– To nie w porządku.

– Możesz przedyskutować tę kwestię z samym prezydentem – rzekł Idris. – O ile jednak wiem, jest dziś bardzo zajęty, więc może trochę potrwać, zanim się z nim skontaktujesz. Tymczasem...

Dał znak swoim ludziom. Czterej z nich ruszyli do więźnia.

– Stać! – krzyknął Mustafa. Zwrócił się do żandarmów: – Powstrzymać tych ludzi!

Zanim jednak zdążyli coś zrobić, z samochodu Idrisa wysiadł mężczyzna w mundurze pułkownika.

– Cofnąć się – rozkazał żandarmom. – Nie przeszkadzać!

Więzień zdawał się więdnąć w upale. Nie stawiał oporu, gdy przejmowali go mudżahedini. Brutalnie złapali go i zaczęli wlec, tak że jego bosa nogi szorowały po betonie.

Mustafa zrobił krok w ich kierunku, a Idris rzekł:

– No już. To bezcelowe, ale jeśli musisz dać się pobić, to moi ludzie chętnie wyświadczą ci tę przysługę.

Jego dobry humor bardziej niż same słowa przekonały Mustafę, że naprawdę nic nie może zrobić.

Mudżahedini wpakowali nie stawiającego oporu więźnia na tył jednego samochodu.

– Zakładam – powiedział Idris, rozczarowany tym, że Mustafa nie dał się pobić – że nie ma sensu pytać cię, co ten człowiek ci już powiedział.

– Nic. Jeszcze go nie przesłuchałem.

– Doprawdy. – Idris miał sceptyczną minę. – Cóż, szybko się dowiem, czy to prawda... I nie martw się, prześlę ci kopię raportu z tego przesłuchania.

Śmiejąc się z tego żartu, dał znak swoim ludziom. Wszyscy wsiedli do swoich pojazdów i odjechali.

– Niczego z niego nie wyciągną – powiedziała Amal.

– Tak myślisz? – Mustafa spojrzał na nią. – Byłaś z nim przez większą część lotu. Mówisz, że nic ci nie powiedział?

– Nie, przekazał mi mnóstwo informacji o Ameryce i Iraku, o Saddampie Husajnie i Osامية bin Ladenie... Dziwne rzeczy. Szalone.

– No cóż, jeśli powiedział to wszystko tobie, dlaczego nie miałby powiedzieć Idrisowi?

– Ponieważ zawarłam z nim umowę – odparła Amal. – On wiedział, że Idris będzie tutaj czekał, żeby go przejąć. Nie konkretnie Idris, ale ktoś taki jak on, ktoś z Al-Kaidy. Powiedział, że nie boi się śmierci, ale nie chce być torturowany... Coś o tym, że nie uważa, by należało go traktować według zasady „nie czyni drugiemu, co tobie niemiłe”... Tak więc zaproponowałam mu umowę. Powiedziałam, że jeśli ze mną porozmawia, postaram się, żeby go nie torturowano.

– I uwierzył ci?

Trzymała rękę w kieszeni. Teraz wyjęła ją i znów rozchyliła palce. Na jej dłoni leżał zmięty kawałek zielonego celofanu: opakowanie po cukierku. Oboje spojrzeli nań, a potem prąd powietrza porwał go i unióśł wysoko, tak jak przedtem skrawek papieru.

– Amal? – powiedział Mustafa. – Co zrobiłaś?

– Ten człowiek próbował zabić mojego syna – odparła Amal.

KSIĘGA IV. KAMIEŃ

BIBLIOTEKA ALEKSANDRYJSKA

ŹRÓDŁO INFORMACJI EDYTOWANE PRZEZ UŻYTKOWNIKA

Demaskator

„Demaskator” to sceptyk kwestionujący oficjalne wyjaśnienie wydarzeń z 9 listopada 2001 roku. Wielu Demaskatorów należy do takich organizacji jak Obywatelska Komisja Dziewiątego Listopada czy Alimowie za Prawdę i Sprawiedliwością po Dziewiątym Listopada. Zwołują konferencje i wiece, składają wnioski o ujawnienie tajnych rządowych dokumentów i wykorzystują internet do publikowania swoich alternatywnych teorii dotyczących ataków z 9 listopada.

Niemal wszyscy Demaskatorzy uważają, że rząd ZPA ukrył ważne informacje o tym, co naprawdę wydarzyło się 9 listopada, chociaż spierają się o ich rodzaj i zakres. Niektórzy Demaskatorzy twierdzą, że agencje wywiadowcze wiedziały wcześniej o porwaniach, a inni posuwają się jeszcze dalej, utrzymując, iż rządowi agenci uczestniczyli w przygotowaniach i w samym ataku.

Do sugerowanych motywów takiego udziału rządu w zamachach z 9 listopada należą:

- Usprawiedliwienie zwiększonych wydatków na wojsko i wywiad.
- Stworzenie pretekstu do wojny w Zatoce i inwazji na Amerykę.
- Osłabienie popularności Partii Boga i Rodu Saudów poprzez ukazanie ich słabości.
- Powstrzymanie „sekularyzacji” arabskiego społeczeństwa, zasianie strachu i skłonienie ludzi do rozpoczęcia nowego Przebudzenia Muzułmańskiego.

Przedstawiciele rządu z reguły odrzucają wszelkie twierdzenia Demaskatorów, jeśli w ogóle zwracają na nie uwagę. Przewodniczący Komisji do spraw Dziewiątego Listopada Muhammad Atta nazwał teorie udziału rządu w atakach „obraźliwymi”, dodając: „Nie ma żadnego spisku. Nikt nie zaprzecza, że działania antyterrorystyczne przed atakami z 9 listopada były niewystarczające, ale ludzie muszą zaakceptować fakt, że nie kryje się za tym żadna tajemnica. (...)”

W sprawie sugestii, że ataki z 9 listopada były próbą dosłownego „wzbudzenia strachu przed gniewem Bożym” w społeczeństwie, Prezydencka Wysoka Rada Zjednoczonych Państw Arabskich wydała fatwę stwierdzającą, iż korzystanie z terroru do szerzenia islam byłoby pogwałceniem praw boskich, na dowód cytując Święty Koran, rozdział 2, wers 256 („Nie ma przymusu w religii”), rozdział 5, wers 32 („Ten, kto zabił człowieka, który nie popełnił zabójstwa i nie szerzył zgorszenia na ziemi, czyni tak, jakby zabił wszystkich ludzi”), oraz rozdział 6, wers 151 („Nie zabijajcie nikogo – tego zakazał Bóg – inaczej jak zgodnie z prawem”). „Aczkolwiek nie możemy oczywiście stwierdzić, że żaden z członków naszego rządu nie zrobiłby czegoś tak strasznego – stwierdziła Rada – możemy zapewnić, że nie zrobiłby tego żaden prawdziwy muzułmanin”.

Może nikogo nie zdziwi, że takie stwierdzenia nie zmniejszyły entuzjazmu Demaskatorów dla ich teorii. Nadal szukają „rzeczywistości za mirażem”.

Krzyżowiec stał na dziewiątym piętrze

Krzyżowiec stał na dziewiątym piętrze hotelu Park Az-Zaura. Nazywał się Joseph Simeon i był ostatnim żyjącym członkiem pięcioosobowej komórki, która opuściła Heidelberg dwa tygodnie wcześniej.

Podążając szlakiem zarówno legalnych, jak nielegalnych emigrantów, członkowie grupy przejechali autobusem do Stambułu. Tam spotkali się z fałszerzem, który miał im dostarczyć legitymacje pracownicze i inne dokumenty, lecz wyrzucił ich ze swojego domu, kiedy przywódca grupy uraził jego prawosławne przekonania i usiłował nawrócić go na lepszą odmianę chrześcijaństwa. Byli zmuszeni udać się do innego fałszerza, który policzył im trzykrotnie drożej za gorszą robotę.

W istocie gorszą, niż sądzili. Ten drugi fałszerz, ustalwszy, że krzyżowcy nie znają arabskiego, postanowił z nich zażartować. Według wypisanej łaćńskim alfabetem części dokumentu Joe Simeon nazywał się Thaddeus Schulman. Jednak tekst arabski obok głosił, iż jest on księżniczką Jezabel, która zawodowo tańczy na rurze. Dokument przywódcy komórki identyfikował go jako zawodowego czyściciela wielbłądzich zadów.

Krzyżowcy podążyli do Gaziantep, gdzie wynajęli przewodnika, żeby przeprowadził ich do ZPA. Przewodnik zobaczył ich dokumenty i zrozumiał, że zrobiono z nich głupków, ale ponieważ zdążyli już obrazić i jego, nic nie powiedział. Zrobił to, za co mu zapłacili – przeprowadził ich do Syrii i do

hotelu robotniczego w Aleppo. Kierownik był czymś wyraźnie rozbawiony, ale nie zdradził czym.

Funkcjonariusze Policji Imigracyjnej i Celnej pojawili się w środku nocy. Spragniony i cierpiący na bezsenność Joe Simeon udał się na poszukiwanie dystrybutora z zimnymi napojami i nie było go w pokoju, kiedy agenci wyważyli drzwi. Usłyszał krzyki, a potem strzały, i uciekł w ciemność, ściskając butelkę z pomarańczową fantą.

Myślał o powrocie do domu, ale niemal nie miał już pieniędzy, tak więc nawet gdyby zdołał wrócić do granicy, utknąłby w Turcji. Postanowił udać się samotnie do Bagdadu, gdzie miała czekać dodatkowa grupa spiskowców, chociaż nie wiedział, kim oni są ani jak się z nimi skontaktować. Modląc się do Boga o radę, wyszedł na autostradę i złapał okazję.

W Bagdadzie znalazł tani motel przy lotnisku. Nadal posługiwał się dokumentem wystawionym na księżniczkę Jezabel, ale recepcjonista, który stracił brata 9 listopada, nie uśmiechał się i nie był rozbawiony. Dał krzyżowcowi klucz do pokoju i zadzwonił na gorącą linię Służb Bezpieczeństwa.

Półtorej godziny później Joe Simeon zbudził się i zobaczył stojącego przy jego łóżku potężnego Araba.

– Wstawaj – powiedział nieznajomy. – Władze jadą tutaj cię aresztować.

– Kim jesteś?

– Możesz nazywać mnie Siradż ad-Dinem. Jestem twoim przyjacielem.

Nie wspomniał o tym, że należy do Al-Kaidy i został przysłany przez Idrisa Abd al-Kahhara.

Siradż ad-Din zabrał Joego Simeona do hotelu Park Az-Zawra i wynajął dla niego pokój. Kazał mu wywiesić tabliczkę z napisem NIE PRZESZKADZAĆ i nie rozsuwać zasłon.

– Nie wychodź. Nie dzwoń do nikogo, nawet po obsługę hotelową. Wróć później z jedzeniem i czystym ubraniem.

Joe Simeon padł na łóżko – o wiele wygodniejsze niż to w motelu – i zasnął kamiennym snem. Kiedy znowu otworzył oczy, Siradž ad-Din wtaczał do pokoju wózek z naczyniami nakrytymi pokrywkami.

– Która godzina?

– Dochodzi ósma wieczór. No dalej, zjedz coś.

Po kolacji Joe wziął worek z odzieżą, który przyniósł mu Siradž ad-Din, i poszedł wziąć prysznic. Gdy wrócił, wózka już nie było, natomiast na łóżku leżało kartonowe pudełko na koszulę i plan miasta.

– Co to? – zapytał, ruchem głowy wskazując plan.

– Najpierw muszę cię zapytać, czy jesteś gotowy zrobić to, co przybyłeś tu zrobić?

Joe Simeon też zadawał sobie to pytanie. Odpowiedź wydawała się prosta. Według wszelkiego prawdopodobieństwa powinien już być martwy lub aresztowany. Nie potrzebował innego dowodu przemawiającego za tym, że Bóg chce, żeby dokończył robotę. Zrobi to, co mu kazano, a potem pójdzie do nieba.

– Jestem gotowy.

– Dobrze – powiedział Siradž ad-Din, podnosząc plan. – Twoim celem jest meczet w Strefie Zero. Miasto zamierza rozpocząć tam wykopy i jutro po południu odbędzie się tam wiec. Można się spodziewać tłumu uczestników i wielu polityków. Jak również silnej ochrony – ale pokażę ci, jak ominąć zewnętrzny krąg zapór i posterunków. Potem wszystko jest w twoich rękach.

– Nie – powiedział Joe Simeon. – Potem wszystko jest w rękach Boga.

Mustafa spędził noc w szpitalu w Al-Karchu, drzemiąc przy łóżku ojca.

Tego ranka Abu Mustafa poszedł na spacer i nie wrócił do domu. Natomiast Mustafa przez pół dnia spał, a przez drugie pół pisał oficjalny raport ze swojego spotkania z Davidem Koreshem. Późnym popołudniem, gdy jego

ojciec nadal nie wracał, zaczął się niepokoić. Już miał zorganizować poszukiwania z wujem Tamirem i kuzynami, gdy odebrał telefon z meczetu Al-Bunnijja.

Nie pierwszy raz odebrał taki telefon. Gdy ojciec się gubił, zwykle znajdował jakąś świątynię – gdyż bagdadzkie świątynie, jak twierdził, były jednymi z nielicznych miejsc w tym mieście, które się nie zmieniły. Jednak meczet Al-Bunnijja znajdował się za rzeką, w Al-Karchu – daleko dla starego człowieka, w dodatku na piechotę.

– Czy wszystko z nim w porządku?

– Obawiam się, że nie – odparł rozmówca. – Był odwodniony i miał zaburzenia pracy serca. Musieliśmy wezwać karetkę.

Mustafa z ciotką i wujem pojechali do szpitala. Zanim tam dotarli, Abu Mustafa już zareagował na podane dożylnie płyny i siedział na łóżku ze zmieszaną miną.

– Pojechałem autobusem – wyznał.

Mustafa natychmiast zrozumiał. Abu Mustafa traktował bagdadzkie środki transportu, szczególnie metro, jakby nie istniały; przyjmował do wiadomości istnienie autobusów, ale rzadko z nich korzystał, gdyż ich trasy niemal nigdy nie wiodły tam, gdzie jego zdaniem powinny. Dziś jednak, zawędrowawszy nieco za daleko ulicą Abu Nuwasa, próbował wrócić autobusem i odkrył, że ten, do którego wsiadł, to pospieszny, który zatrzymuje się dopiero po przejechaniu przez Tygrys. Przez jakiś czas jechał jeszcze autobusem, w nadziei, że ten w końcu zawróci, ale coraz bardziej nieznanemu śródmieście przytłaczało go, aż wreszcie dojrzał w oddali meczet Al-Bunnijja i postanowił tam wysiąść.

– Nie rozumiem – powiedziała ciotka Rana. – Dlaczego po prostu nie wzięłeś taksówki?

– Ponieważ byłem wzburzony!

Lekarz chciał zatrzymać Abu Mustafę na noc. Abu Mustafa nie był tym zachwycony, ale był zbyt zmęczony, żeby się spierać, więc Mustafa załatwił dodatkowe łóżko, które wtoczono do pokoju. Zanim to zrobiono, Abu Mustafa już spał, ale Mustafa do późna nie mógł zasnąć i rozmyślał.

Wcześniej Faruk zadzwonił do niego do domu, żeby zapoznać go z sytuacją.

– Idris jest wściekły z powodu samobójstwa Rumsfelda. Obwinia o to ciebie, twierdząc, że niedostatecznie pilnowałeś więźnia, i żąda, żeby cię zawieszono do czasu wszczęcia dochodzenia.

Mustafę też rozzłościło to samobójstwo, aczkolwiek z zupełnie innych powodów. Jednak nie zdołał powstrzymać uwagi:

– Idris żałuje tylko tego, że sam nie mógł torturować i zabić tego człowieka. Nawet gdyby to była moja wina, to nie sądzę, żebym mógł żałować, że pozbawiłem go tej przyjemności.

– Żałujesz czy nie, to twoja sprawa – powiedział Faruk. – Mam jednak nadzieję, że to, czego dowiedziałeś się w Ameryce, wystarczy, by zrekompensować to niepowodzenie. Mój wpływ na prezydenta ma swoje granice, a Idris i senator bin Laden są żądni krwi.

– Nie martw się – rzekł Mustafa. – Myślę, że prezydent uzna mój raport za niezwykle pouczający.

Musiał jeszcze zdecydować, co zrobić z tymi artefaktami, które dał mu David Koresh – a szczególnie z drugą teczką z Muchabarat. Mustafa w pierwszym odruchu chciał ją zniszczyć i zapomnieć o tym, że kiedykolwiek ją widział. Kiedy jednak przypomniał sobie, jak ostatnio zachowywał się Samir, był zmuszony rozważyć możliwość, że Bóg miał powód, aby przysłać mu te akta.

Myślał o Idrisie, który pojawił się w Al-Chardżu z prezydenckim rozkazem w ręku. Idris mógł się dowiedzieć z wielu różnych źródeł o tym, że wracają z więźniem, lecz może powiadomił go o tym ktoś z zespołu Mustafy? A jeśli ta

sama osoba zawiadomiła Idrisa o tym, że wybierają się do Miasta As-Sadra? Była również sprawa zasadzki na Jefferson Davis Pike. Według Amal Rumsfeld twierdził, że jego milicja dowiedziała się o konwoju żołnierzy piechoty morskiej od informatora w Zielonej Strefie. Tylko kto powiedział o tym temu informatorowi i od kogo ten ktoś się o tym dowiedział?

Jesteś chory, Samir?

W końcu Mustafa zasnął. Obudziło go poranne wołanie muezina i znalazł salę modlitwy na parterze szpitala. Tego ranka dodatkowo modlił się za swojego ojca, pułkownika Junusa, Amal i jej syna oraz za Donalda Rumsfelda, który – chociaż wróg – to jednak zasługiwał na ochronę, jak każdy jeńiec wojenny. Mustafa zastanawiał się nad modlitwą za Samira, ale był zbyt zaniepokojony swoimi podejrzeniami, więc w końcu tylko poprosił Boga, aby obdarzył go mądrością.

Kiedy wrócił na górę, ojciec już nie spał i siedział na łóżku, patrząc w okno. Mustafa przystanął w progu, przygnębiony kruchością ojca, którą poranne światło wydawało się jeszcze podkreślać.

Ojciec zobaczył go w drzwiach i prychnął gniewnie.

– Jeszcze nie umarłem – powiedział.

– Cieszę się – rzekł Mustafa. Usiadł na brzegu łóżka. – Przydałaby mi się dobra rada. – Ojciec roześmiał się, a Mustafa spytał: – No co?

– Nic – odrzekł Abu Mustafa. – Jestem szczęśliwy, mogąc ci pomóc, ale myślę, że ostatni raz posłuchałeś mojej rady, kiedy miałeś osiem lat. – Znów się roześmiał. – Nieważne, mów. W czym problem?

Mustafa powiedział po prostu:

– Myślę, że Samir jest homoseksualistą.

Ojciec spojrzał na niego badawczo i czekał, aż powie coś więcej. W końcu Abu Mustafa rzekł:

– Cóż, nie jest to wielkie zaskoczenie. Naprawdę, kiedy się nad tym zastanowić, to wyjaśnia kilka spraw.

– Co masz na myśli?

– Pamiętasz, jak Samir się rozwiódł? – spytał Abu Mustafa. – Wówczas uderzyło mnie to, jak ochoczo przyznał się do swojej niewierności. Na jego miejscu chyba byłbym bardziej zawstydzony i dyskretniejszy – chyba że próbowałbym w ten sposób zapobiec spekulacjom co do innego problemu z moim małżeństwem.

Mustafa zamrugał, czując się głupio.

– Sądysz, że Nadzat wie?

– Matka jego dzieci? Czy naprawdę o to pytasz? – Abu Mustafa zachichotał.
– Jednak co cię w związku z tym niepokoi, Mustafa? Czy obawiasz się, że on chce uczynić z tobą coś niewłaściwego?

– Co? Nie!... Po prostu to grzech.

Abu Mustafa wzruszył ramionami.

– Cudzołóstwo z kobietą też jest grzechem, o ile mi wiadomo – rzekł. – A jednak nie miałaś takiej miny, kiedy myślałaś, że Samir go popełnił. Czy naprawdę chodzi ci o prawo boskie, czy po prostu jesteś przewrażliwiony?

Mustafa nie wierzył własnym uszom.

– Ciebie to nie szokuje?

– Mogłoby, kiedy byłem młody. Jednak po czterdziestu latach nauczania na uniwersytecie potrzeba czegoś więcej niż sodomii, żeby mnie zaszokować.

– Cóż, jest coś więcej. Myślę, że Samir jest szantażowany.

– To też nie jest takie szokujące. Jednak to poważna sprawa.

– I zastanawiam się, co robić.

– To z pewnością nie jest trudna decyzja – powiedział Abu Mustafa. – Samir wciąż jest twoim przyjacielem, prawda?

– Nie wiem, ojcze. Myślę, że mógł mnie zdradzić w Ameryce.

– A ty nadal jesteś jego przyjacielem?

– Tego też nie wiem.

– Ponieważ cię zdradził czy dlatego, że jest innego rodzaju grzesznikiem, niż myślałeś?

– Jedno i drugie – odparł Mustafa. – Powiedz mi, co powinienem zrobić.

– Najpierw pozwól, że zadam ci inne pytanie. Ze wszystkich grzechów, jakie człowiek może popełnić, jaki twoim zdaniem jest najgorszy?

– Morderstwo.

– Ja też tak uważam. A gdyby Samir został skazany za morderstwo, czy odwiedziłbyś go w więzieniu?

Mustafa zastanowił się.

– Tak, chyba tak.

– No cóż – powiedział Abu Mustafa. – Moim zdaniem dla kogoś takiego jak Samir każdy dzień jest jak pobyt w więzieniu – tym bardziej jeśli jego ukryte upodobania zostały ujawnione i wykorzystane przeciwko niemu przez jego wrogów. Zatem gdybyś mnie zapytał, co robić, powiedziałbym, wyjdź do niego. Bądź jego przyjacielem. A jeśli jego grzech cię przeraża, pamiętaj, że twoje postępowanie w życiu też było dalekie od ideału.

– W porządku – rzekł Mustafa, kiwając głową. Wyciągnął rękę i ujął dłoń ojca. – Możesz zostać na chwilę sam?

– Tak – odrzekł Abu Mustafa. – Na małą chwilkę.

Budzik zbudził Joego Simeona o dziewiątej rano. Smuga słonecznego blasku wdzierła się przez szparę w zasłonie, a on podziwiał ją, jakby była boskim światłem przebijającym firmament. Gdy budzik wciąż dzwonił, Joe pomyślał: Dziś znajdę się w domu Boga.

Od wyjazdu z Heidelbergu nie przystępował do komunii. Wiedział, że w Bagdadzie są kościoły, ale nie wiedział, jakiego wyznania i jakich udzielają sakramentów, a ponadto miał nie opuszczać pokoju, zanim nadejdzie czas wykonania misji. Tak więc improwizował w pokoju hotelowym. Wziął

kromkę chleba pozostałą z kolacji, a w barku znalazł butelkę jakiegoś czerwonego owocowego napoju. Wyrecytował słowa ostatniej wieczerzy, tak jak je pamiętał. Ciało Chrystusa było czerstwe, a Jego krew była sokiem raczej z granatu niż winogron i wcale nie sfermentowana, lecz Joe Simeon i tak poczuł się czysty, wolny od grzechów.

Na wszelki wypadek wziął kąpiel, wsypując do wody garść soli o kwiatowym zapachu. Leżał w wannie, wyobrażał sobie Jezusa w rzece Jordan i zatkawszy sobie usta oraz nos, zupełnie się zanurzył.

Potem wstał, wytarł się i otworzył pudełko na koszulę. Kamizelka była ciężka i skrojona jak kuloodporna, ale zamiast kevlaru zawierała materiał wybuchowy. W kostki plastiku powpychano gwoździe, które miały pełnić rolę szrapneli. Te gwoździe wyglądały nieco topornie, ale detonator i kable były pierwszej klasy i włożono sporo wysiłku, żeby maksymalnie zmniejszyć kamizelkę.

Założył ją. W pudełku była także bawełniana koszula z długimi rękawami, którą założył na kamizelkę, oraz druga szata z ciemnej tkaniny, którą założył na to wszystko. Obejrzał się w lustrze, obracając się bokiem, żeby sprawdzić, czy nie wyglądam za grubo.

Nie wyglądał. Widział inną taką kamizelkę, założoną przez krzyżowca w Bonn, żeby wysadzić autobus pełen Izraelczyków. Tamta była o wiele grubsza, trudna do ukrycia nawet pod zimową kurtką. Sądził, że ta może ująć uwagi nawet wyszkolonego obserwatora i że będzie mógł w niej swobodnie poruszać się w tłumie. Najtrudniejsze będzie nie zapocić się na śmierć w południowym skwarze.

Była dziesiąta. Nadal miał jeszcze parę godzin czekania, więc rozebrał się, ostrożnie schował kamizelkę do pudełka i w samej bieliźnie usiadł na łóżku. Był nakręcony i oszołomiony, i miał wrażenie, że jego dusza już zaczęła opuszczać jego ciało. Wziął pilota od telewizora i zaczął jak maniak zmieniać kanały, nie mogąc się skupić.

Na moment jego uwagę przykuł obraz krzyża. Był to program nadawany przez Kościół koptyjski. Egipski kapłan czytał Ewangelię:

– Idźcie i starajcie się zrozumieć, co znaczy: „Chcę raczej miłosierdzia niż ofiary”. Bo nie przyszedłem powołać sprawiedliwych, ale grzeszników...

Te słowa, bez podłożonych napisów, były pustymi dźwiękami w uszach Joego Simeona. Znowu zmienił kanał i modlił się do Boga, żeby przyspieszył godzinę jego śmierci.

Samir czekał w herbaciarni niedaleko izraelskiej ambasady. Miał siniak na policzku i rozciętą wargę, z której dopiero zaczynała schodzić opuchlizna.

– Samir, co ci się stało? – zapytał Mustafa, kiedy go zobaczył.

– Ojciec Nadżat – powiedział Samir. Czubkiem palca dotknął wargi i sprawdził, czy krwawi. – Wczoraj pojechałem do Basry ostrzec Nadżat, żeby wywiozła chłopców w jakieś bezpieczne miejsce. Oberwanie po pysku nie było częścią tego planu, ale przekonało ją, że powinna traktować mnie poważnie.

Mustafa przysunął sobie krzesło.

– Idris groził twoim dzieciom?

– Między innymi.

– Dlaczego nic nie powiedziałaś? Moglibyśmy...

Samir najeżył się.

– Dlaczego nic nie powiedziałem? Na przykład: Mustafa, uważam, że wkurzanie przywódcy Al-Kaidy to cholernie głupi pomysł? Tak?

– Przepraszam – rzekł Mustafa. – Masz rację, jestem idiotą.

– Tak, ja też tak uważałem – powiedział Samir. Potem uszła z niego złość i wzruszył ramionami. – Ach, do diabła, żadna różnica. Ten sukinsyn nie cierpi mnie od podstawówki. Nawet gdybym zostawił to dochodzenie – nawet

gdybym przekonał ciebie, żebyś je zostawił – i tak znalazłby powód, żeby złamać mi życie.

Mustafa ruchem głowy wskazał walizkę stojącą przy krześle Samira.

– To po wycieczce do Basry czy wybierasz się jeszcze gdzieś?

– Jeszcze nie zdecydowałem – odrzekł Samir. – Kiedy dziś rano wróciłem do domu, odkryłem, że ktoś był w moim mieszkaniu. Chciałem zrobić sobie kanapkę i zauważyłem odcisk kciuka na drzwiach lodówki. Straciłem apetyt... Wrzuciłem trochę rzeczy do walizki i wyszedłem.

– I dokąd byś poszedł? Wyjechał z Nadżat?

– Nie, nie wiem, dokąd ona pojechała. Tak jest lepiej. Nie sądzę, że jeszcze ją zobaczę. – Głos mu zadrżał. – Czy Malika i Dżibrila... Myślałem, że mógłbym wyjechać do Grecji.

– A co jest w Grecji?

– Szansa, z której nie skorzystałem, ponieważ byłem zbyt wielkim tchórzem. – Uśmiechnął się smętnie. – Nadal jestem, naprawdę. Oto, co teraz się stanie: przez parę dni będę ukrywał się w Bagdadzie, aż dopadnie mnie Idris. Wtedy moje kłopoty się skończą. – Westchnął. – Mustafa, mam ci coś do powiedzenia...

– Zanim powiesz – rzekł Mustafa – muszę cię o coś zapytać.

– Pytaj.

– Nadal jesteś moim przyjacielem?

– Chyba niezbyt dobrym.

– To samo można powiedzieć o mnie, po tym, jak bezmyślnie się zachowałem – zauważył Mustafa. – A ty uratowałeś mnie przed spaleniem żywcem przez tamtego gwardzistę.

Samir potrząsnął głową.

– To się nie liczy. Obaj mieliśmy już być martwi, wraz ze wszystkimi innymi, którzy jechali w konwoju.

– Jednak nie zginęliśmy. Bóg dał nam drugą szansę – a ty dobrze swoją wykorzystasteś. Teraz ja chcę zrobić to samo. Powiedz mi, że jesteś moim przyjacielem i że mogę ci ufać, a to, co stało się w Ameryce – to, do czego zmusił cię Idris – będzie za nami. Zapomniane.

– Tak po prostu, co? – Samir zaśmiał się, ale śmiech znów uwiązł mu w gardle i zaczął płakać. Trząsł się, zrzucając z barków przygniatający ciężar strachu i wstydu. Mustafa wziął go za rękę i przytrzymał ją.

– Pieprzyć to, człowieku – rzekł Samir, gdy burza emocji minęła. Otarł łzy z oczu i skrzywił się, gdy nasadą dłoni nacisnął siniak. – Wiesz, że Bóg tak naprawdę nie dał nam drugiej szansy, prawda? Tylko chwilę wytchnienia. Idris zabije nas obu, Amal zapewne też.

– Jeśli taka będzie wola boska – przyznał Mustafa. – Jednak wolę być optymistą.

– Pamiętasz, jak przed chwilą obaj uzgodniliśmy, że jesteś idiotą?

– Tak – z uśmiechem odparł Mustafa. – Jestem idiotą, twoim przyjacielem.

Obaj śmiali się kilka minut później, gdy Amal weszła do herbaciarni. Powoli podeszła do stolika i zapytała Mustafę:

– Potrzebujecie więcej czasu?

– Nie. – Jeszcze raz uścisnął dłoń Samira. – Skończyliśmy.

– Dobrze. – Amal skinęła głową Samirowi, zauważając siniec, ale nic o tym nie mówiąc. Usiadła. – Na zewnątrz chyba jest czysto. A przynajmniej jeśli Al-Kaida nas śledzi, to ich ludzie dobrze się ukrywają.

– W tej sprawie też musimy zaufać Bogu – odparł Mustafa. – A co do Al-Kaidy: powiedz Samirowi to, co mi mówiłaś o Osamie bin Ladenie.

Właśnie skończyły się południowe modły i ludzie wychodzili z meczetu sąsiadującego z parkiem Az-Zaura, przekazując sobie słowa błogosławieństwa i udając się na obiad lub do pracy. Joe Simeon obserwował

ich z tylnego siedzenia klimatyzowanej taksówki. Otarł zaparowaną szybę, żeby lepiej widzieć, i spoglądał na wejście do meczetu, zastanawiając się, co jest w środku. Czy mają tam witraże jak w prawdziwym kościele?

Taksówkarz źle zinterpretował charakter jego zainteresowania.

– Jest pan muzułmaninem?

– Co? – zdziwił się Joe Simeon. – Nie. Jestem chrześcijaninem. – I żeby nie było żadnych wątpliwości, dodał: – Mam osobisty kontakt z Jezusem Chrystusem.

– Chrześcijanin, tak myślałem. – Taksówkarz pokiwał głową. – Amerykanin?

– Niegdyś.

– Niegdyś – taksówkarz powoli powtórzył słowo, które nie figurowało w jego słowniku. – To pańskie rodzinne miasto. Niegdyś?

– Tak – odparł Joe Simeon. – Niegdyś Nowy Jork. Zaraz za Manhattanem.

– O Manhattanie słyszałem. – Taksówkarz znowu pokiwał głową. – Wie pan, my, muzułmanie z Bagdadu, modlimy się za chrześcijan z Ameryki, z Manhattanu. Teraz, kiedy wojna się skończyła – i kiedy jesteście wolni – pokładamy w was wielkie nadzieje. Liczymy, że staniecie się, jak to się mówi? Cywilizowani!

– Ma pan na myśli tacy jak Arabowie. – Krzyżowiec skrzywił się. – Naprawdę myślicie, że staniemy się tacy jak wy?

– Jeśli Bóg zechce, może zdarzyć się nawet największy cud – uprzejmie odparł taksówkarz. – Zobaczysz, bracie!

W miarę jak zbliżali się do Strefy Zero, ruch gęstniał. Gdy Joe Simeon sprawdzał ich pozycję na mapie, taksówkarz włączył radio, nastawiając je na potok arabskich słów, najwyraźniej będących prognozą pogody.

– Szamal – powiedział.

– Co?

– Burza piaskowa.

Joe Simeon znów wytarł szybę. Niebo było błękitne i czyste.

Taksówkarz zachichotał.

– Jeszcze nie. Jednak nadciąga.

– Kiedy się zacznie?

Jeśli burza była choć trochę podobna do tych, jakie pokazywali na filmach, mogła rozpędzić wiec i spieprzyć plan. Z drugiej strony, tak samo jak wnętrze meczetu, dobrze byłoby ją zobaczyć.

– Za parę godzin – rzekł taksówkarz.

Zatem nie zobaczy jej. A może, stwierdził po namyśle, jednak zobaczy – może będzie spoglądał na nią z góry.

– W porządku – powiedział Joe Simeon. – Niech mnie pan wysadzi na następnym rogu, o tam.

– Na pewno? Mogę podwieźć pana bliżej.

– Nie, tu będzie dobrze. Dalej już pójdę. Nie chcę się spóźnić.

– Według Donalda Rumsfelda – powiedziała Amal – w rzeczywistym świecie Al-Kaida jest organizacją terrorystyczną, a Osama bin Laden jest odpowiedzialny za ataki z 11 września.

– To właśnie próbuje ukryć bin Laden? – spytał Samir. – To, że Amerykanie myślą, że zrobił im to, co oni nam?

– Zapewne mogłaby to być polityczna bomba, gdyby ktoś w Arabii w to uwierzył. – Amal uśmiechnęła się. – Wyobraź sobie te pytania w tendencyjnej ankiecie: „Czy chętniej lub mniej chętnie zagłosowałbyś na senatora bin Ladena, gdybyś wiedział, że ma niegodziwego bliźniaka?”.

– Nie bliźniaka – poprawił Mustafa. – To ten sam człowiek z innym życiorysem. Lub tym samym, tylko inaczej pamiętanym.

– Czy to naprawdę miałyby jakieś znaczenie? – spytał Samir. – Załóżmy, że w jakiejś innej rzeczywistości zabił mnóstwo Amerykanów. Co z tego? W tej

rzeczywistości, która jest jedyną interesującą dla większości ludzi, chrześcijanie zaatakowali nas.

– Taka jest oficjalna wersja – powiedział Mustafa. – A wobec krwiożerczości niektórych chrześcijan mogłaby być prawdziwa. Pamiętajcie jednak o kluczowym elemencie legendy mirażu: prawdziwym supermocarstwem jest Ameryka, a poszczególne państwa Arabii są tylko niezależnymi krajami. Słabymi. Kiedy słabe państwo zostaje wciągnięte do wojny z supermocarstwem, co się dzieje?

Samir wzruszył ramionami.

– Dostaje łomot.

Mustafa spojrział na Amal.

– Co według Rumsfelda zrobiła Ameryka w odpowiedzi na 11 września?

– Najechała na Irak – powiedziała Amal. – Jego relacja o tym, co stało się z rodziną Husajna, była krzepiąca, ale gdy spytałam, jaki wpływ miała wojna na nas wszystkich, udał, że nie rozumie pytania.

– Czekaj – rzekł Samir. – Mówisz, że w tej alternatywnej rzeczywistości Rumsfelda Osama bin Laden jest Irakijczykiem?

– Nie, on nadal jest z Dżuddy w Arabii Saudyjskiej.

– To dlaczego, do diabła, Ameryka najechała Irak?

– Ponieważ Bóg uczynił jej przywódcą Teksasńczyka – powiedział Mustafa.

– Oto, do czego zmierzam: terrorysta atakujący chrześcijańskie supermocarstwo w imię islamu wie, że to prowadzi do rzezi jego rodaków muzułmanów, ponieważ tak reagują supermocarstwa, gdy zada im się cios. Co rodzi pytanie: jeśli w jednej wersji historii jakiś człowiek jest gotowy zamordować tysiące niewinnych muzułmanów cudzymi rękami, czyż nie jest możliwe, że w innej wersji może popełnić ten sam grzech w bardziej bezpośredni sposób?

– Zatem stajemy się Demaskatorami? – spytała Amal. – Myślisz, że Osama bin Laden jest odpowiedzialny także za atak z 9 listopada?

– Właśnie tak.

– Jednak porywacze z 9 listopada byli chrześcijanami. To udokumentowany fakt i nie obchodzi mnie, co mówią zwolennicy teorii spiskowych. A Al-Kaida nawet nie rekrutuje szyitów, więc jak...

– O Boże – jęknął Samir.

Amal spojrzała na niego.

– Co?

– W Al-Kaidzie są chrześcijanie. A przynajmniej ludzie, którzy takich udają...

– O czym ty mówisz?

– Ta zasadzka na nasz konwój z okręgu Fairfax – wyjaśnił Mustafa. – Stała za nią Al-Kaida.

– Nie, to była milicja Rumsfelda. Mówiłam wam, że przyznał się do tego. A Rumsfeld nie był sojusznikiem Osamy bin Ladena.

– To nie wyklucza, że mógł być pionkiem Osamy bin Ladena. Jego obawa i nienawiść do Al-Kaidy bardzo to ułatwiały.

– Jaki byłby tego cel? – powątpiewała Amal. – Dlaczego Osama bin Laden miałby wywoływać wojnę między Arabią a Ameryką czy między islamem a chrześcijaństwem? Co chciałby osiągnąć?

– Myślę – powiedział Mustafa – że on chce cofnąć wskazówki zegara. Zlikwidować postępek i republikę i stworzyć nowy kalifat. – Przypomniawszy sobie o raporcie CIA otrzymanym od Davida Koresha i położył go na stole. Potem podjął przerwany wątek: – Wyobraźcie sobie, że jesteście Osamą bin Ladenem. Uprzywilejowanym dziedzicem jednego z najbogatszych ludzi w Arabii. Jak wiele bogatych dzieciaków przed nim, niezadowolonym i niedziękującym Bogu za Jego łaski. Rozczarowanym, gardzącym tym, co postrzega jako dekadentkie społeczeństwo i kulturę politycznej korupcji. W końcu rzuca wszystko, jedzie do Peszawaru, a potem do Afganistanu. Ciężkie życie świętego wojownika odpowiada mu, a doświadczenia wyniesione z pól

bitewnych otaczają ponurą sławą. Naród Afganistanu zawsze był uciskany i jego cierpienia jeszcze się nasiliły pod rządami Rosjan, a jednak pomimo to lub dzięki temu tamtejsi bojownicy wyznają czystsza twoim zdaniem formę islamu, nieskażoną nowoczesnymi herezjami. W pewnej chwili zadajesz sobie pytanie, co tego rodzaju cierpienia mogłyby uczynić z wiarą w waszym kraju. Oczywiście nie możesz zmienić Arabii w Afganistan. Może jednak nie musisz. Nowoczesność osłabiła waszych rodaków i może wystarczy jeden silny wstrząs, żeby naprowadzić ich z powrotem na właściwą drogę. Jeśli Bóg zechce, wszystko jest możliwe, a jeśli dowiedziałeś się czegoś jako święty wojownik, to tego, że wiesz, jaka jest Jego wola. Tak więc wracasz do ojczyzny jako bohater. Udajesz, że godzisz się z polityczną elitą Rijadu, żeby pomogła ci zająć wpływową pozycję. Za kulisami organizujesz Al-Kaidę, fundament nowego światowego ładu. Wysyłasz zwiadowców do chrześcijańskich krajów, aby znaleźli krzyżowców mających posłużyć za pionki i rozpocząć niczym nie sprowokowaną wojnę z islamem. Nadchodzi 9 listopada, plan zostaje zrealizowany i przynosi sukces przekraczający twoje najśmielsze marzenia. Trzy samoloty z czterech trafiają w cel. Powodują spektakularną rzeź. Nawet strącenie czwartego samolotu – tego, który miał zabić młodego saudyjskiego prezydenta – okazuje się błogosławieństwem. Ten sam prezydent, przerażony rozmiarami zniszczeń i otarciem się o śmierć, wypowiada świętą wojnę terroryzmowi – taką wojnę, jakiej chciałeś, i nie tylko. Polityczne sympatie gwałtownie przechylają się na stronę Partii Boga. Obywatele tłumnie wracają do meczetów. Wola Boża, taka jak ty ją pojmujesz, ma wkrótce zostać objawiona. Aż tu nagle wszystko zaczyna się walić. Republika chwieje się w posadach, ale się nie rozpada. Gdy mija szok 9 listopada, budzą się wątpliwości co do zasadności niektórych działań prezydenta. I nie tylko zatwardziali sekularyści z Partii Jedności zadają pytania. Gdy okupacja się przedłuża i wieści o brutalnych wyczynach przedostają się do prasy, z zaskakujących kręgów płyną fatwy: potępiające

tortury, potępiające ograniczenia swobód obywatelskich, potępiające prześladowania chrześcijan – potępiające nawet atak na Amerykę. Dla ciebie, uważającego, że wiara w Boga i wiara w liberalną demokrację wzajemnie się wykluczają, to wszystko musi być zaskakujące. Najwyraźniej zgnilizna sięgnęła głębiej, niż przypuszczałeś. Konieczne są kolejne wstrząsy. Na szczęście krzyżowcy są gotowi je wywołać. Amerykanie są żądni zemsty, a Europejczycy chętnie im pomogą. Nawet nie musisz nic robić, tylko siedzieć i patrzeć, jak gnają do Bagdadu ze swoimi bombami i modlitewnikami. Jednak strażnicy ojczyzny już zostali zaalarmowani, tak więc chwytają i przesłuchują wielu tych niedoszłych męczenników. A ci opowiadają dziwne rzeczy. Jesteś przewodniczącym senackiej komisji do spraw wywiadu, więc jako jedna z pierwszych osób w Arabii dowiadujesz się o tej szczególnej legendzie, którą powtarzają krzyżowcy. Analogie pomiędzy mitycznym 11 września a rzeczywistym 9 listopada są co najmniej niepokojące. Niektórzy ze schwytanych wskazują cię jako architekta zamachu i chociaż mówią o innym ataku, chociaż są szaleńcami, to nie oznacza, że twoja tajemnica nie wyjdzie na jaw. Musisz wyciszyć tę historię. Stawiasz Al-Kaidę w stan gotowości i zaczynasz monitorować przesłuchania. Krzyżowcy, którzy za dużo mówią, znikają razem z artefaktami. W trakcie tych działań stajesz się ekspertem od legendy mirażu, a im więcej się dowiadujesz, tym bardziej to wszystko wydaje się znajome, niczym na pół zapomniany sen. Inny świat. Taki, w którym Ameryka jest atakującym supermocarstwem, bezczeszczącym święte miejsca islamu. Świat, w którym Arabia jest podzielona na niewielkie państewka, w którym tacy ludzie jak Saddam Husajn i Muammar al-Kaddafi nie są zwyczajnymi przestępcami lub obiektami żartów, ale głowami państw. Świat w którym cierpienia zwykłych Arabów są relatywnie znacznie dotkliwsze. Teraz ty jesteś wstrząśnięty. Uświadamiasz sobie, że jeśli to prawda, to traciłeś czas na zmagania z iluzją, podczas gdy sytuacja, do której usiłowałeś doprowadzić, już zaistniała. Musisz tylko odkryć, w jaki sposób ją

wskrzесиć. I tak, z dużym opóźnieniem, wytyczasz sobie nowe zadanie. Takie same, jakie już realizują krzyżowcy, co powinno być zabawne, ale w istocie ma sens, gdyż w swojej dumie zaprosiłeś tę samą osobę, by szeptała ci do ucha. Tak czy owak, właśnie tego chcesz: powrotu smutnego świata, Arabii, której lud będzie gotowy wysłuchać twojego posłania, słowa miłosiernego i współczującego Boga w interpretacji wielokrotnego mordercy Osamy Ibn Muhammada Ibn Awada bin Ladena.

Mustafa przerwał i napił się herbaty. Samir spoglądał na niego niepewnie, a Amal wzięła raport CIA i przeglądała go.

– To interesująca opowieść – powiedziała życzliwie. – Jednak nawet z tym – upuściła raport na stolik – wiesz, że nikt w nią nie uwierzy.

– Właśnie – przytaknął Samir. – jeśli pójdziesz z tym do prezydenta, weźmie cię za czubka.

– Och – rzekł Mustafa – ale ja jeszcze nie doszedłem do najbardziej zwariowanej części... Czekaście. Pozwólcie, że pokażę wam zdjęcie.

Udaj Husajn poszedł na górę w poszukiwaniu pokojówki. Nękał ją, od kiedy zaczęła pracować w rezydencji w Al-Azamijji, i chodził za nią po całym domu, ilekroć ją spostrzegł, za każdym razem dając jej się wymknąć, pewien tego, że może ją znaleźć, kiedy tylko zechce. Dziś jednak znużyła go ta gra i postanowił ją zakończyć, więc był bardzo zły, gdy wpadł do łazienki, sądząc, że ona się tam chowa, i nikogo tam nie znalazł.

Wrócił na korytarz i skierował się na galerię nad komnatą o kopulastym sklepieniu, w której stał pomnik Nabuchodonozora. Służący polerował balustradę, lecz czując na sobie jego spojrzenie, przypomniał sobie, że ma coś do zrobienia w innej części domu, i pospiesznie odszedł.

Udaj poszedł w przeciwną stronę, zaglądając do mijanych pokoi. W najdalej na zachód leżącej części korytarza przystanął przez grubymi

drewnianymi drzwiami okutymi żelazem. Do znajdującej się za nimi komnaty nie wolno było wchodzić, lecz Udajj mimo to postanowił tam zajrzeć, ponieważ gdyby pokojówka tam była, miałby pretekst, żeby ją ukarać – choć tak naprawdę nie potrzebował pretekstu.

Drzwi – co zaskakujące – nie były zamknięte. Udajj napał na nie i pchnięciem otworzył je na oścież, po czym rozłożył ręce i krzyknął:

– A-ha!

Nikt nie próbował przebiec obok niego. Opuścił ręce i stanął tuż za progiem, rozglądając się.

Pomieszczenie było ośmiokątne i miało dziesięć metrów szerokości. W przeszłości pełniło rolę sali modlitw i obserwatorium astronomicznego, a jego jedyne szerokie okno było zwrócone w kierunku Mekki. Obecnie jednak nie interesowano się tu Mekką ani niebiosami, lecz sercem rozległej pustyni w południowo-wschodniej części Półwyspu Arabskiego. Piasek z tej pustyni rozsypano, tworząc szereg wygiętych linii na podłodze, układających się we wzór wiru oglądanego z góry. W środku tego wiru stała mosiężna butelka z Al-Hilli, umieszczona na kopczyku piasku tak, że jej niezakorkowana szyjka była wycelowana w okno. Wokół wiru były porozstawiane kadzielnice, dzwonki i dzwoneczki, a inne magiczne przedmioty i talizmany ustawiono w kręgach z piasku w jakiś skomplikowany sposób, który nic Udajjowi nie mówił.

Ten widok trochę go oszołomił, a oszołomienie rozżłościło go. Podszedł do skraju wiru i czubkiem buta trącił jedną z dymiących kadzielnic.

– Nie psuj wzoru!

Pan Rammal, czarownik jego ojca, stał w drzwiach, trzymając żelazne kajdany. Usłyszawszy tę naganę, Udajj zacisnął pięści i przez jedną niebezpieczną sekundę myślał o tym, że mógłby rozdeptać cały ten wzór jak chłopiec burzący kopniakiem zamek z piasku – a potem, na deser, tłuc pana Rammala kolbą pistoletu, aż mózg wyleje mu się uszami.

Powstrzymał tę chęć. Ojciec był w domu i niedaleko, a nie tylko pokojówki w tym domu mogły zostać surowo ukarane.

Zamiast burzyć, gniewnie spojrział na pana Rammala.

– Za kogo się masz, żeby tak do mnie mówić?

– Nie wolno ci zepsuć wzoru – powtórzył pan Rammal.

Podszedł bliżej, żeby sprawdzić, czy wzór już nie został uszkodzony, i Udajj znów powstrzymał chęć rzucenia się na niego.

– A w ogóle co to ma robić? – zapytał. – Wciągnąć dzinna do butelki jak magiczny odkurzacz?

– Nie powinieneś wymawiać imienia tego stworzenia – ostrzegł pan Rammal. Tym razem mówił grzeczniejszym tonem. Chociaż wiedział, że jest pod ochroną Saddama, zdawał sobie sprawę z tego, że są granice samokontroli Udajja – a stojąc tak blisko młodego Husajna, niemal namacalnie wyczuwał jego wściekłość. – Jednak odpowiedź na twoje pytanie jest taka: Nie, to tylko przynęta. Ma za zadanie, jeśli się uda, przyciągnąć to stworzenie do tego miasta i zmusić, żeby się ujawniło. Wtedy, kiedy będzie widzialne, musimy je znaleźć i spętać. – Pokazał kajdany. – Zamknięcie go z powrotem w butelce będzie wymagało końcowego rytuału.

– Naprawdę wierzysz w te brednie, które pleciesz?

– Twój ojciec wierzy.

– Powiem ci, w co wierzy mój ojciec – rzekł Udajj. – Mój ojciec wierzy, że ludzi próbujących go oszukać należy przykładowo ukarać. Kiedy zrozumie, że jesteś szarlatanem – a tak będzie – zechce, żebyś cierpiał. I zgadnij, kogo wezwie, żeby cię męczył. – Nachylił się do czarownika, owiewając go swym kwaśnym oddechem. – No dalej, zgaduj.

Podmuch wiatru wpadł przez okno, aż zabrzęczały dzwoneczki. Udajj odskoczył, śmiejąc się z reakcji pana Rammala.

– Chwała Bogu Wszechmogącemu! – zawołał. – Wiatr poruszył dzwoneczkami! To cud!

Nagle wiatr ucichł, lecz dzwonki nie. Rozbrzmiewały kolejno, jakby niewidzialna dłoń krążyła po komnacie, poruszając je. Równe smugi dymu unoszące się z kadzielnic skręciły się i rozwiały. Z kotlarza stojącego pod oknem wystrzelił słup błękitnego ognia, jakby z dna wytrysnął strumień gazu; płomień uniósł się na wysokość metra, po czym zgasł. Po chwili, nie dłuższej niż uderzenie serca lub szept, ogień buchnął z następnego naczynia, a potem z kolejnych – ale po kolei, jakby rzeczywiście tylko jeden płomień przeskakiwał od jednego do drugiego, krążąc po okręgu. Udaj miał wrażenie, że pokój wiruje wokół niego, i stał nieruchomo, dopóki płomień nie sięgnął naczynia u jego stóp. Wtedy z wrzaskiem odskoczył aż do drzwi, boleśnie uderzając plecami o klamkę.

Pan Rammal pozostał na swoim miejscu, obserwując ruch ognia i słuchając brzęczenia dzwoneczków. Zimny uśmiech wykrzywił jego wargi.

– Idź i przyprowadź tu ojca – powiedział do Udajja. – Bądź tak dobry.

Wiec odbywał się na południe od placu Strefy Zero, na tym klinowatym kawałku terenu, gdzie niegdyś stał budynek numer siedem Światowego Centrum Handlu. W 2002 roku ta parcela, oczyszczona z gruzu i tymczasowo zamieniona w park, była miejscem nabożeństw w rocznicę ataku.

Pomysł zbudowania w tym miejscu meczetu zrodził się w kwietniu 2003 roku i został przyjęty z niemal jednogłośnie aprobatą. Diabeł, jak zawsze, tkwił w szczegółach i wkrótce wybuchły spory między różnymi frakcjami sunnitów i szyitów o to, kto ma kierować finansowaniem, planowaniem, budową i administracją tego obiektu. Publiczne debaty zwołane w celu omówienia tych spraw zakończyły się kląpą, a zamknięte posiedzenia przedstawicieli miasta oraz stanu i przywódców religijnych nie dały lepszych rezultatów; pewien przyjezdny mułła porównał panującą na nich atmosferę do

tej, jaka towarzyszyła przesłuchaniu premiera przez perski parlament, „tylko bez życzliwych ludzi”.

Politykierstwo i dyskusje nad budową meczetu trwały przez kolejne sześć lat. Ich kulminacją był ogłoszony przed pięcioma miesiącami komunikat, że w końcu osiągnięto porozumienie. Od tej pory kilkakrotnie przesuwano termin rozpoczęcia budowy, a w nowej koalicji na rzecz meczetu pojawiły się nowe rysy. Dzisiejszy wiec był próbą naprawy sytuacji. Formalnie nazwany obchodami rocznicowymi, w rzeczywistości był raczej przejawem myślenia magicznego, próbą zebrania wszystkich odpowiedzialnych w jednym miejscu, aby wyglądało na to, że budowa meczetu ruszyła z kopyta. Wtedy, zakładając, że uroczystość się odbędzie i nie nastąpi koniec świata, może oficjele naprawdę sprowadzą tu buldożery i dźwigi.

Nie wszyscy zdołali przybyć. Prezydent, chociaż deklarował stanowcze poparcie dla idei zbudowania meczetu, odrzucił zaproszenie na wiec i obiecał przyjechać na oficjalne otwarcie budowy, o ile takowe będzie. Przesłał w zastępstwie grupę działaczy Partii Jedności, a Partia Boga, żeby nie być gorsza, oddelegowała przedstawicieli rodziny Saudów.

Saddam Husajn również z szacunkiem odmówił przybycia – i w przeciwieństwie do prezydenta nie zczekał z tym do chwili otrzymania zaproszenia. Zważywszy na to, kim była kobieta układająca listę gości, było to taktycznie uzasadnione posunięcie.

Innym sławnym nieobecnym miał być senator z Arabii, Osama bin Laden. Zamierzał wziąć udział w wiecu i przybył z Rijadu z Saudami, ale w ostatniej chwili zachorował. Obecnie wracał do zdrowia w hotelu.

Brat Amal, Hajdar, główny koordynator ochrony wiecu, z ulgą przyjął wiadomość o nieobecności bin Ladena. Żałował tylko, że nie zawiadomiono go wcześniej. Chociaż wszyscy uczestnicy wiecu troszczyli się o bezpieczeństwo, ludzie bin Ladena byli paranoicznie dociekliwi, wielokrotnie wypytując go o najdrobniejsze szczegóły dotyczące zabezpieczenia placu.

Hajdar nie miał nic przeciwko dokładności, ale irytowali go ludzie, którzy najwidoczniej nie wierzyli, że szyita może dobrze to zrobić.

Teraz mógł nieco więcej energii poświęcić innym problemom, których nie brakowało. Ochrona wiecu była podzielona na trzy strefy. Zewnętrzna, złożona z zapór drogowych i posterunków kontrolnych, była obsadzona przez bagdadzką policję. Zapłacono wszystkie niezbędne łapówki, więc Hajdar nie spodziewał się tam większych kłopotów – chyba że Saddam, urażony brakiem zaproszenia, postanowił jakoś się za to odpłacić. Ostatnia strefa bezpieczeństwa, obejmująca samo podium, była pilnowana głównie przez ochroniarzy różnych uczestników. Tutaj niebezpieczeństwo rozlewu krwi było większe, ponieważ pomimo demonstrowanej solidarności wielu uczestników serdecznie się nie znosiło. Hajdar był szczególnie zaniepokojony wiadomością o nowych zatargach Armii Mahdiego z Korpusem Badr. Oba ugrupowania były tu licznie reprezentowane i mógł mieć tylko nadzieję, że obecność kamer telewizji skłoni ich do honorowania obietnicy poprawnego zachowania.

Jednak jego największą troską była środkowa strefa bezpieczeństwa – w której uzbrojeni ludzie, jedni w mundurach, inni po cywilnemu – mieli wtopić się w tłum i wypatrywać wszelkich zagrożeń, które mogły ujść uwagi policjantów na punktach kontrolnych. Hajdar chciał wykorzystać do tego tylko swoich ludzi, lecz kilku wysoko postawionych gości nalegało na przydzielenie do tego zadania dodatkowego personelu. Nie mogąc odmówić bez wywoływania poważnego kryzysu politycznego, Hajdar podzielił park na strefy patrolowe i przydzielił każdej grupie oddzielny sektor. Armia Mahdiego otrzymała pas na zachodnim końcu parku, a Korpus Badr wschodni kraniec, wzdłuż urzędu pocztowego. Grupę saudyjskich ochroniarzy umieszczono w środku, między członkami innych, miejscowych ugrupowań sunnickich, rozlokowanych zgodnie z wiedzą Hajdara o aktualnych

stosunkach między badrystami a sadrystami. Ludzie Hajdara byli rozrzućeni po całym parku i mieli pilnować pilnujących.

Sam Hajdar krążył swobodnie, wykorzystując łączność radiową, wzrok i instynkt, aby obserwować całą imprezę. Gdy jego matka mówiła na podium o Tej Chwili, przystanął przy jednym z policyjnych posterunków kontrolnych, żeby odebrać raport o liczbie uczestników. Frekwencja była niewielka, około dwóch tysięcy ludzi w parku, który mógł pomieścić pięć razy tyle. Co nie miało żadnego znaczenia dla publicznego wizerunku. Szacunkowa liczba podana prasie została powiększona, sugerując liczny tłum, a kamery były wycelowane w rzędy dla VIP-ów, które były wypełnione.

Senator Al-Majsani zakończyła przemówienie i ustąpiła miejsca na podium gubernatorowi, Nuriemu al-Malikiem. Hajdar szedł po północnym skraju parku, przyglądając się ludziom. W wielu miejscach ustawiono spryskiwacze, aby dawały ochłodę tłumom i niezbyt subtelny efekt tęczy, a także utrudniały celowanie. Gdy Hajdar manewrował w tłumie, szukając lepszych punktów obserwacyjnych, jego garnitur stał się mokry od kropli wody i znów wysechł.

Po Al-Malikiem na podium wyszedł człowiek, który miał także nadzieję zastąpić go na jego stanowisku: Muklada as-Sadr. Hajdar, stojący teraz między Aniołami Stróżami, pośpiesznie połączył się z ludźmi, którzy obserwowali Korpus Badr.

– Wszystko w porządku – odpowiedzieli. – Mamy tu kilka osób wyglądających tak, jakby gryzły cytryny, ale nic się nie dzieje.

– Przy podium też nie ma żadnych problemów – dodał drugi głos.

– Anbarczycy zaczynają narzekać – powiedział trzeci. – Mam nadzieję, że mamy paru sunnitów na liście mówców.

– Bez obawy – odparł Hajdar. – Następny jest burmistrz Ar-Ramadi.

Poszedł dalej.

Dochodziła pięćdziesiąta minuta wiecu i część znudzonych widzów zaczęła przemieszczać się w kierunku wyjść, gdy mikrofon przejął jedyny

chrześcijanin, któremu pozwolono przemówić. Patriarcha Babilonu był starcem z Kurdystanu. Jak wielu mówców przed nim, z początku zdawał się nieco wytrącony z równowagi, może zaniepokojony wciąż szokującą pustką północnej części placu. Jednak złapał boki mównicy, uspokoił się, spojrzął na widzów i uśmiechnął się.

– Dzień dobry – zaczął. – Chciałbym powiedzieć kilka słów o pokoju.

Hajdar przechodził przez sektor badrystów, szukając źródła dziwnego odgłosu – metalicznego trzasku, zapewne zamykanych drzwiczek samochodu – który usłyszał przed chwilą. Pomruk, który rozległ się w tłumie po pierwszych słowach patriarchy, sprawił, że spojrzął w kierunku podium. Kiedy znowu się odwracał, kątem oka zauważył jakiś ruch: człowieka wychodzącego zza narożnika urzędu pocztowego. Zanim Hajdar odwrócił się zupełnie, postać znikła za zasłoną rozpylonych kropel wody, ale zdążył zauważyć kilka szczegółów: białą koszulę, ciemną kamizelkę, jasną skórę, słomianej barwy włosy.

– Chrześcijaństwo jest religią pokoju – powiedział patriarcha. – W minionych latach wszyscy wielokrotnie słyszeliśmy to stwierdzenie, wypowiediane przez ludzi mających dobre intencje. Jestem pewny, że wielu muzułmanom musi ono wydawać się absurdalne, a nawet obraźliwe. I nigdzie bardziej niż tutaj, w Bagdadzie, w Strefie Zero wojny z terroryzmem. – Podniósł rękę i pokazał puste miejsce tam, gdzie powinny stać bliźniacze wieże. – Chrześcijanie są pokojowi. To śmieszne!

Hajdar znalazł to, czego szukał. W zagłębieniu pod ścianą poczty była osadzona w ziemi metalowa krata. Powinna być zamknięta na kłódkę, lecz tej nie było i przednia krawędź kraty wystawała z otworu.

– Kod żółty, kod żółty – powiedział Hajdar przez krótkofalówkę. – Mamy naruszenie kordonu bezpieczeństwa na wschodnim krańcu.

– To śmieszne – powtórzył patriarcha. – I wiecie, to jest śmieszne, jeśli mianem religii określamy przekonania wierzących. Kongregacje nie składają

się z takich abstrakcyjnych pojęć jak pokój. Składają się z ludzkich istot. Idźcie do jakiegokolwiek kościoła na ziemi, jakiegokolwiek synagogi, tak, jakiegokolwiek meczetu, i znajdziecie tam ludzi. Może paru świętych – patriarcha wzruszył ramionami – i może także parę demonów, skrywających swoją niegodziwość pod maską pokory. Jednak ogromna większość, ogół wiernych, to nie anioły czy diabły, lecz zwykli grzesznicy: kobiety i mężczyźni, którzy usiłują iść przez ten świat z Bożą pomocą i przebaczeniem...

– Sulajmanie, wyłącz nawilżanie – powiedział Hajda i po chwili woda przestała płynąć. Gdy tęcza znikła, Hajdar przecisnął się przez tłum, szukając białego mężczyzny w ciemnej kamizelce. Przystanął, żeby się rozejrzeć, i zauważył jeszcze coś, coś niezwykłego. Innego mężczyznę, Araba w białej tunice nomady, który zdawał się unosić w powietrzu. Czarno-biała kufijja, którą miał na szyi, wściekle trzepotała na wietrze, którego Hajdar nie czuł, a jego oczy płonęły niebieskim ogniem.

Hajdar zamrugał i przyjrzał się uważniej. Mężczyzna nie lewitował: stał na betonowym gazonie, w margerytkach, które na pół skrywały jego obute w sandały stopy. Oczy, odbijające blask popołudniowego słońca, spoglądały na coś w tłumie. Hajdar powiódł wzrokiem za spojrzeniem tego człowieka i ujrzał Joego Simeona podążającego w kierunku podium.

– Kiedy mówimy o religii pokoju, nie mamy na myśli chrześcijaństwa takiego, jakie jest, lecz takie, jakim chcielibyśmy, żeby było, do którego aspirujemy i dążymy w codziennym trudzie – który niczym nie różni się od codziennego trudu muzułmanów. A jeśli często nam się to nie udaje, to nie dlatego, że wierzymy w innego czy gorszego Boga, lecz ponieważ jesteśmy, tak jak wy, tylko ludźmi.

Hajdar pospiesznie powiedział kilka słów przez krótkofalówkę. Spojrzał na mężczyznę w białej tunice i zobaczył, że ten już nie patrzy: zamknął oczy i pochylił głowę, poruszając wargami jak w modlitwie.

Zimny dreszcz przeszedł Hajdara. Znów spojrzał na Joego Simeona, który niemal dotarł do sektora dla VIP-ów. Gdy Simeon obrócił się bokiem, żeby precyzyjnie się między dwoma mężczyznami, Hajdar zobaczył jego tors z profilu i w przebiegu intuicji domyślił się, co jest ukryte po kamizelką i koszulą.

– O Boże – powiedział. – Kod czarny! Kod czarny!

– I tak w imię miłosiernego Stwórcy żydów, chrześcijan i muzułmanów ofiarowuję wam tę nadzieję i to życzenie: pokój z wa...

Słowa błogosławieństwa patriarchy przerwało nagłe wtargnięcie ochroniarzy na podium. W tej samej chwili jeden z ludzi Hajdara próbował złapać Joego Simeona. Ten odwrócił się, niemal nonszalancko, i pchnął go w pierś nożem zabranym z pokoju hotelowego. Ktoś wrzasnął i tłum zaczął cofać się w panice, blokując innych ochroniarzy, którzy próbowali podbiec. Joe Simeon zrobił jeszcze kilka kroków ku podium, mamrocząc własne słowa błogosławieństwa. Potem zdetonował bombę.

Błysk oślepił wszystkich patrzących, a także wszystkie kamery. Później nikt nie potrafił powiedzieć, co właściwie się stało. Jednak nie było gromowego huku ani fali uderzeniowej – a gdy oślepiające światło zgasło, nie ukazało się pobojowisko. Podium i tłumy były nietknięte, a zamiast obrazu śmierci i zniszczenia pojawił się, jak za dotknięciem magicznej różdżki, żywy wir.

Ptaki. Stado ptaków krążących wokół niedoszłego samobójcy jak sputniki wokół kuli ziemskiej. Każdy z nich trzymał w łapkach jeden błyszczący gwóźdź.

Jednocześnie je wypuściły. W głębokiej ciszy brzęk upadających nieszkodliwie na bruk gwoździ słyhać było w całym parku. Ptaki poderwały się z wrzaskiem. To nie były gołębie, lecz kruki, pustynni padlinożercy, rozszoszczone, ponieważ dziś w Bagdadzie, wbrew wszelkim oczekiwaniom, nie było dla nich zera. Nawet mężczyzna dźgnięty przez Joego Simeona

podniósł się z ziemi, przyciskając dłonią krwawiącą ranę na obojczyku, bolesną, ale nie śmiertelną.

Joe Simeon, w strzępach kamizelki i koszuli, gapił się w niebo, a uniesienie na jego twarzy zmieniło się w zdumienie, kiedy pojął, że on również pozostał wśród żywych.

– Jezu? – powiedział.

Kruki zignorowały go i wzbiły się wyżej.

– Zaraz! – wykrzyknął, podnosząc obie ręce, jakby chciał wgramolić się do nieba.

Jednak siła ciężenia ugięła jego kolana, a potem mężczyźni ze słuchawkami w uszach zwalili się na niego ze wszystkich stron.

Po drugiej stronie parku, z dala od tego zamieszania, nomad w białej tunice podniósł głowę i otworzył oczy. Nieznacznie i z satysfakcją kiwnął głową i już zamierzał powrócić do niewidzialnego królestwa, z którego przybył, lecz zastygł, czując zimną stalową lufę pistoletu przyciśniętą do karku.

– Nie ruszaj się – powiedział Hajdar, wyjmując kajdanki. – Nawet nie drgnij.

– Masz rację – powiedziała Amal, gdy Mustafa skończył. – To naprawdę wydaje się szalone... Wierzysz w to?

– Sam nie wiem – odrzekł Mustafa. Spojrzał na zdjęcie i na mosiężną butelkę u stóp swojego drugiego ja. – Sądzę, że Saddam w to wierzy. Myślę, że szuka tego dżinna, żeby ten spełnił kilka jego życzeń, zmienił świat na bardziej zbliżony do jego oczekiwania.

– A bin Laden? – spytał Samir. – Jaki jest jego plan? Czy wahhabitom w ogóle wolno wypowiadać jakieś życzenia?

– Zapewne nie. Jednak nie wolno im także popełniać aktów terroru, co jakoś najwyraźniej mu nie przeszkadza.

– Zatem jaki masz plan? – zapytała Amal.

– Co do dzinna, jeszcze nie wiem – odrzekł Mustafa. – Ponieważ jednak nadal jesteśmy policjantami, pomyślałem – nie śmieście się – że moglibyśmy spróbować wyegzekwować prawo.

BIBLIOTEKA ALEKSANDRYJSKA

ŹRÓDŁO INFORMACJI EDYTOWANE PRZEZ UŻYTKOWNIKA

Apokalipsa

Apokalipsa jest kataklizmem oznaczającym koniec jakiejś epoki historycznej i/lub dramatyczną zmianę świata. Może oznaczać upadek cywilizacji, naturalną lub wywołaną przez człowieka katastrofę ekologiczną, wojnę nuklearną lub – w religijnym kontekście – nadejście końca świata oraz Sądnego Dnia, w którym Bóg osądzi ludzkość.

Greckie słowo *Apokálypsis* oznacza „odstąpienie” i pierwotnie odnosiło się do wszelkich dzieł literackich o charakterze proroczym lub objawień. Eschatologiczny charakter naj słynniejszych z tych dzieł, takich jak Księga Daniela i Objawienie świętego Jana prowadził do f poglądu, mu idz k[d dol, gioj ijukm bd f nl;aw

Wstrząśnięty Joe Simeon

Wstrząśnięty Joe Simeon siedział w pokoju przesłuchań A. Dano mu koc, żeby okrył swoją nagość, ale mężczyzna pozwolił mu się zsunąć, odsłaniając biały tors, zaróżowiony lekką opalenizną.

Faruk stał po drugiej stronie weneckiego lustra, w sali obserwacyjnej. W torebce na dowody miał detonator bomby Joego Simeona, prostą zapalarkę z półmetrowym kawałkiem przewodu elektrycznego zakończoną kulą stopionego plastiku i miedzi. Nie znaleziono żadnego śladu materiału wybuchowego, a w strzępach jego odzienia nie było specjalnych kieszeni do przenoszenia ptaków. Tak więc mieli zagadkę do rozwiązania, ale ze względu na jego stan bliski katatonii musieli rozwiązać ją bez pomocy Simeona.

Przynajmniej wiedzieli, jak się nazywa. Faruk ominął wózek z bibliami Mustafy i podszedł do okna pokoju przesłuchań B, w którym przetrzymywano drugiego podejrzanego. Mężczyzna w białej tunice był czujny i gdy Faruk podszedł do szyby, tamten zdawał się patrzeć na niego tak, jakby mógł go zobaczyć przez lustrzaną szybę.

Drzwi sali obserwacyjnej otworzyły się i wszedł Abd Allah z ręką na temblaku.

- Cześć, szefie – powiedział. – Właśnie cię szukałem.
- Czy zidentyfikowaliście już tego człowieka?
- Nie. Jego odcisków palców nie ma w bazie. Teraz próbujemy programu rozpoznawania twarzy

– Powiedział coś?

– Nie mówił, kim jest. Jednak powiedział, że porozmawia z tobą.

– Podał moje nazwisko, prosząc o rozmowę?

– Nie prosił – rzekł Abd Allah. – Raczej oznajmił. Powiedział, że chciałby rozmawiać z Mustafą, ale nie sądzi, żeby on dotarł tu na czas.

– Gdzie jest Mustafa?

– Gdzieś w terenie. Nie odbiera telefonów.

Faruk odwrócił się z powrotem do szyby. Mężczyzna w białej tunice wciąż na niego patrzył. Uśmiechał się.

– W porządku – rzekł Faruk. – Próbuj dalej dodzwonić się na komórkę Mustafy. I zobacz, czy uda ci się znaleźć jakieś ubranie dla tego drugiego.

Apartament znajdował się na piętrze wieżowca w Al-Mansurze. Jego balkon wychodził na północny zachód i zapewniał wspaniały widok na nadciągającą burzę piaskową. Czoło burzy, wysoka na kilkaset metrów ściana piasku i kurzu, podążało w pozornie zwolnionym tempie przez najdalej położone przedmieścia Bagdadu. Za nim horyzont przesłaniała czarna smuga, która ciągnęła się do chmur i sprawiała, że niebo i ziemia rozpuszczały się, tworząc otchłań. Nawet dla dumnego ze swej odwagi weterana świętej wojny ten widok był przerażający i Idris w końcu musiał odwrócić się do niego plecami, żeby skupić się na prowadzonej przez telefon rozmowie.

– Tak, senatorze – powiedział. – Zero ofiar... Nie. To nie był problem z urządzeniem... Jestem pewny. Miałem ludzi w tłumie, którzy potwierdzają to, co podano w wiadomościach... Nie, to nie ręka Boga, ale także nie człowieka... Tak, właśnie to mówię... Otrzymałem też raport z Al-Azamijji, że ten bandzior z Tikritu kazał swoim ludziom przetrząsać miasto w poszukiwaniu kogoś... Tak... Tak myślę... Służby Bezpieczeństwa zatrzymały dwie osoby. Jedna z nich... Już wysłałem grupę. Oni rozumieją

powagę... Tak, jak tylko czegoś się dowiem... Moi ludzie otrzymali polecenie, by przywieźć tę istotę do bezpiecznego domu na północy. Sugeruję, żeby udał pan się tam teraz, zanim zacznie się burza... Jeśli Bóg da... Co?... Tak, szkoda. Tyle celów w jednym miejscu. Będą jednak inne okazje. W chaosie po załamaniu mirażu możemy odstrzelić wielu z nich, tych, którzy jeszcze nie będą martwi... Tak... Pokój z tobą także, senatorze.

Rozłączył się i wrócił do środka. Telewizor w salonie był włączony, nastawiony na Al-Dżazirę ze ściszym dźwiękiem. Pokazywali film z wiecu: drgające ujęcie Joego Simeona dźgającego ochroniarza, idącego w kierunku podium, potem kilka sekund ciemności i kruki unoszące się w niebo. Napis głosił: CUD W STREFIE ZERO?

Idris wziął pilota i wyłączył telewizor.

– Chalid! – krzyknął. – Weź broń! Wychodzimy!

Jednak na to wołanie odpowiedział Mustafa al-Baghdadi. Wyszedł z kuchni, niosąc na srebrnej tacy czajnik i dwie filiżanki z podstawkami.

– Kończy ci się cukier – powiedział.

– Co ty tu robisz? – wykrztusił Idris. – Chalid!

– Twój sługa nie będzie nam przeszkadzał – powiedział Mustafa, stawiając tacę na stoliku na środku pokoju. – Poprosiłem go, żeby się oddalił, żebyśmy mogli sobie porozmawiać.

– O czym?

– O Al-Kaidzie i porwaniach z 9 listopada – rzekł Mustafa. Zaczął nalewać herbatę. – O twojej roli w zamordowaniu tysięcy niewinnych ludzi. W tym mojej żony.

Na szafce po prawej ręce Idrisa stała obita skórą kasetka. Wyciągnął rękę, podniósł wieko... i zobaczył, że kasetka jest pusta.

Mustafa odkaslnął. Idris odwrócił się i zobaczył, że broń, której szukał, leży na stole obok tacy.

– Rozczarowujesz mnie – powiedział Mustafa. Usiadł tak, że miał broń pod ręką, i podniósł jedną filiżankę. – Jeśli amerykańscy krzyżowcy zabiją choćby jednego muzułmanina, natychmiast się tym przechwalają. Tymczasem ty i Osama bin Laden zabiliście tysiące i nie chcecie się do tego przyznać? Po całej tej gadaninie o słuszności. Czy działający w słusznej sprawie człowiek nie powinien być dumny ze swych uczynków?

Idris wciąż patrzył na pistolet.

– Nie boję się śmierci – powiedział.

– Tak, wiem – odparł Mustafa. – Jednak wcale nie spiesz ci się umierać, prawda? Wolisz, by inni umierali za ciebie, podczas gdy ty rozkoszujesz się cierpieniami ich ofiar. Bardzo dobrze, rozumiem i to: zawsze byłeś sadystą. Nie pojmuję natomiast związku pomiędzy tym a czymkolwiek godnym miana islamu. Nie rozumiem, jak nawet ty mogłeś się oszukiwać, że taki związek istnieje.

– Masz rację, nie rozumiesz tego – powiedział Idris z rosnącym gniewem. – Jednak nie jestem głupcem.

– Moim zdaniem jesteś. Uważam, że błędzisz tak samo jak tak zwani chrześcijanie, którzy szerzą terror w imię Jezusa.

– Nie porównuj mnie do tych ludzi!

– A dlaczego nie? – spytał Mustafa. – Gonisz za tym samym mirażem i czcisz takie samo fałszywe bóstwo.

– Nie! – Idris pogroził mu placem. – Bóg jest po naszej stronie!

– Naszej stronie. A po której stronie była Fadwa?

– Nie mogę powiedzieć. Nie znałem jej. Wiem jednak, że była albo prawa, albo nie. Jeśli była prawa, to została męczennicą i będzie żyła w raju. Jeśli nie... dlaczego miałbym się przejmować jej śmiercią?

– Ponieważ nie miałeś prawa pozbawiać ją życia! – krzyknął Mustafa. – Mam nadzieję, że raj istnieje. Mam nadzieję, że Fadwa znajdzie do niego drogę i radość, jakiej ja nie mogłem jej dać. Jednak nawet jeśli tak jest, to ty,

w swej bezgranicznej arogancji, nie miałeś prawa jej tam posyłać. I nie tylko jej. Tysiące zginęły tylko w tych dwóch wieżach. Tysiące! Co ty sobie wyobrażałeś? Co wyobrażał sobie Osama bin Laden? Za kogo wy się uważacie?

– Jestem wojownikiem Boga – dumnie oznajmił Idris Abd al-Kahhar. – Ja, Osama bin Laden i wszyscy członkowie Al-Kaidy. Nie zmusisz nas, żebyśmy żalowali tego, co uczyniliśmy. Gdy ten świat przeminie i objawi się ostateczna boska prawda, nawet zaprzeczający temu niewierni, wszyscy, zobaczą, że mieliśmy rację. Wtedy jednak będzie dla ciebie za późno, Mustafu al-Baghdadi. – Pokiwał głową i dodał: – No, dalej. Wywrzyj swą zemstę. To niczego nie zmieni.

– Moja zemsta. – Mustafa odstawił filiżankę i zacisnął dłoń na kolbie pistoletu. Nabrał tchu. – Powiedziałem Gabrielowi Costello, że gdyby postawiono przede mną ludzi odpowiedzialnych za zamach z 9 listopada, nie okazałbym im litości...

– Do diabła z twoją litością – warknął Idris. – Nie potrzebuję jej.

– Wiem – rzekł Mustafa. – I zabicie ciebie sprawiłoby mi ogromną przyjemność – jakby spełniło się jakieś moje życzenie. Jednak Bóg nadal jest miłosierny. Muszę w to wierzyć, jeśli mam żyć w tym czy jakimś innym świecie... Tak, muszę w to wierzyć. – Niechętnie puścił broń. – Poza tym – dorzucił – ja już zużyłem wszystkie moje życzenia. Czas dać szansę komuś innemu. – Usiadł wygodnie i zawołał: – Samir!

W korytarzu rozległy się kroki Weszli Samir i Amal, a za nimi Abu Nadzi i Sajjid. Sajjid trzymał magnetofon z antenką.

Idris z wymuszonym uśmiechem potrząsnął głową.

– Teraz ty mnie rozczarowujesz – powiedział do Mustafy. – powiedziałem ci, że jestem gotowy umrzeć. Myślisz, że możesz ukarać mnie więzieniem?

– Zobaczymy, co powiesz po pierwszych czterdziestu latach – odparł Mustafa.

Idris zaśmiał się.

– Nie – powiedział. – Nie sędzę.

Rzucił się w kierunku leżącej na stole broni, ale Amal tylko na to czekała i potraktowała go paralizatorem, zanim zrobił dwa kroki.

– Samir – rzekł Mustafa. – Czyń honory, proszę.

Idris upadł na wznak. Leżał, płytko oddychając, czerwony na twarzy, zbyt oszołomiony, by się ruszać, lecz jego twarz wykrzywił grymas takiej nienawiści, że stojący nad nim Samir zawahał się. Zaraz jednak przypomniał sobie swoich synów i przestał się bać. Przykucnął, wyjmując kajdanki.

– Idrisie Abd al-Kahhar – powiedział. – Aresztuję cię za spisek z zamiarem popełnienia morderstwa. Z łaski Boga miłosiernego i współczującego masz prawo zachować milczenie...

– Cześć – powiedział Faruk, zamykając za sobą drzwi pokoju przesłuchań. – Rozumiem, że życzyłeś sobie porozmawiać ze mną.

– Och, staram się nigdy nie mieć żadnych życzeń – powiedział mężczyzna w białej tunice. – Rzadko przynoszą oczekiwane skutki. Jednak chętnie z panem porozmawiam.

– To dobrze. Zacznijmy od nazwiska.

– Oczywiście. – Mężczyzna uśmiechnął się łobuzersko. – Jak chciałby pan mnie nazywać?

– Jakie jest pana prawdziwe nazwisko?

– Obawiam się, że nic by panu nie powiedziało. Nie figuruje w żadnej z waszych baz danych.

– A co z adresem zamieszkania? – Faruk przystawił sobie krzesło i usiadł naprzeciwko mężczyzny. – Nie mówi pan jak mieszkaniec Bagdadu.

– Mój dom rodzinny jest w Arabii, na pustyni Ar-Rub al-Chali.

– Nie wiedziałem, że tam są jakieś domy. Pracuje pan w przemyśle naftowym?

– Pilnujemy własnych spraw. – Znow ten łobuzerski uśmiech. – Przeważnie.

– A co sprowadza pana do Bagdadu?

– Latam po całym kraju.

– W rodzinnych interesach?

– Prowadzę pewnego rodzaju badania. Odwiedzam różne miejsca i patrzę, co się zmieniło.

– Zmieniło się? Ponieważ nie było tu pana jakiś czas?

– To także – rzekł mężczyzna w białej tunice. – Przez wiele lat siedziałem w więzieniu, a przez ten czas świat bardzo się zmienił. Od kiedy wyszedłem, zmienił się znowu. To ten drugi zestaw zmian najbardziej mnie interesuje. Powinno się rozpoznawać swoje dzieło, lecz ja wciąż napotykam zmiany, które mnie zaskakują, rzeczy sugerujące interwencję innej, większej siły. Tak więc usiłowałem dojść do tego, co to oznacza. Na czym polega ten donioślejszy plan.

– Więzienie – rzekł Faruk. – Wydawało mi się, że twierdził pan, że nie figuruje w naszych bazach danych.

– To nie było jedno z waszych więzień.

– Wie pan, że mamy także dostęp do akt Interpolu?

– Ten, który mnie więził, nie był członkiem Interpolu.

– Gdzie pan siedział, w Korei Północnej? – A nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi poza tym łobuzerskim uśmiechem, Faruk ciągnął: – Porozmawiajmy o dzisiejszym popołudniu. Co pan robił na wiecu? Prowadził swoje badania?

– Śledziłem tamtego człowieka, tego, którego trzymacie w drugim pokoju.

– Dlaczego? Zna go pan?

– Znam taki typ. Składający całopalne ofiary. Takich ludzi było wielu w czasach mojej młodości i czas najwyraźniej niezbyt zmniejszył ich liczbę. Podczas moich podróży spotkałem mnóstwo takich.

– A kiedy ich pan spotyka, co pan robi?

– Zazwyczaj nic. Wtrącanie się w cudze sprawy, nawet z najlepszymi intencjami, jest jak spełnianie życzeń – zawsze wywołuje nieprzewidziane konsekwencje. Naprawdę powinienem już się tego nauczyć. Jednak dzisiaj, kiedy nasze ścieżki się przecięły, wyczułem, co ten człowiek zamierza zrobić, i miałem niepowstrzymaną ochotę mu przeszkodzić. Impuls, który nie jest tylko moim własnym.

– Co to oznacza, nie tylko pańskim?

– Wie pan, jak to jest – odparł mężczyzna w białej tunice. – Bóg zezwala złu istnieć na tym świecie. Czasem nawet pozwala mu swobodnie działać. Czasem jednak On kładzie kamień na drodze niegodziwych.

– I dziś pan był tym kamieniem?

– Tak sądziłem. – Uśmiechnął się nieco bezradnie, patrząc na stalowe okowy na swoich przegubach. – Teraz myślę, że mogłem się pomylić co do źródła tego impulsu... – Wzruszył ramionami. – No cóż. Ostatecznie wszyscy spełniamy wolę Bożą.

– Odłóżmy na chwilę na bok kwestię Bożej woli – rzekł Faruk – i wróćmy do tego, co zaszło na wiecu. Mówi pan, że postanowił interweniować. Jak?

Więzień westchnął.

– Pan wybaczy. Nie chcę wydać się nieskory do współpracy...

– Zatem niech pan współpracuje i powie mi, co pan zrobił.

– Nie uwierzyłby pan. Mógłbym pana przekonać, ale to wymagałoby kolejnej interwencji. Poza tym prawie skończył nam się czas.

– Nie, skądże – powiedział Faruk, nie ukrywając swojej irytacji. – Jest pan podejrzany o udział w zamachu terrorystycznym i nigdzie pan nie pójdzie, dopóki nie uzyskam wszystkich odpowiedzi.

Zza jego pleców dobiegły zduszone okrzyki. Faruk obrócił się na krześle i zobaczył, że szyba drży, jakby coś uderzyło w nią z drugiej strony.

– Przyszli po mnie – powiedział mężczyzna w białej tunice, gdy Faruk wstał. – Nie stawiaj oporu. Tylko cię poturbują.

Drzwi pokoju przesłuchań otworzyły się gwałtownie. Do środka wszedł ogromny mężczyzna z pistoletem.

– Co to za zamieszanie? – powiedział Faruk. – Wynoś się stąd w cholerę!

Siradž ad-Din nie raczył mu odpowiedzieć. Zamiast tego zrobił krok naprzód i uderzył go w czoło kolbą pistoletu.

Burza piaskowa dotarła do nich, gdy pakowali aresztowanego Idrisa do furgonetki.

Abu Nadzi i Sajjid zaparkowali ją we wschodniej części kwartału. Idris nie stawiał oporu, gdy wyprowadzali go z budynku i przykuwali do ławki z tyłu wozu. Samir obserwował to z chodnika z mieszaniną niepokoju i rozczarowania, szybko zapominając o satysfakcji, jaką czuł, odczytując Idrisowi jego prawa. Odwrócił się do Mustafy i rzekł:

– Wiesz, że to jeszcze nie koniec.

– Wiem – odparł Mustafa. Pokazał mu magnetofon. – Jednak to dobry początek. A teraz...

Ulicę spowił cień i na północnym końcu kwartału ktoś krzyknął ostrzegawczo. Mustafa i Samir odwrócili się w tym kierunku. Zza rogu wybiegali ludzie, a inni stali i wskazywali na zachód.

Oczywiście wiedzieli, co nadchodzi – widzieli to z apartamentu – ale trudno określić czas rozpoczęcia i trwania burzy i żadne ostrzeżenia nie zmniejszyły przestachu wywołanego pojawieniem się chmury pyłu, pędzącej ulicami miasta niczym szczątki jakiejś zwałonej wieży. Przemknęła przez

skrzyżowanie, połykając wszystko – ludzi, samochody, latarnie – po czym pognąła na nich.

– Kuuurwa! – przeciągle wykrzyknął Abu Nadzi.

Zeskoczył z tyłu wozu i zatrzasnął drzwi. Mustafa spojrzął przed siebie. Obłok pyłu i piasku górował nad kamienicą i owinał się wokół niej, tak że przez chwilę górne piętra przypominały roladę.

– Dalej! – zawołał Samir, szarpiąc rękaw Mustafy.

Zostawili Idrisa w furgonetce i pobiegli z powrotem do budynku, wyprzedzając burzę o zaledwie kilka sekund. Gdy drzwi lobby zatrzaskiwały się, po chodniku przemknęła jakaś kobieta, ściskając oburącz końce swojej chustki. Potem chmura pyłu opadła gęstą kurtyną, zasłaniając wszystko.

Żarówki w holu kamienicy wydawały się migotać, ale to tylko ich oczy przyzwyczajały się do braku słonecznego światła. Przez szpary wokół drzwi wpadały obłoczki pyłu, przynosząc kredowy zapach. Abu Nadzi stłumił kichnięcie.

Gdy czoło burzy przesunęło się na wschód, powietrze na zewnątrz oczyściło się na tyle, że znów widzieli okolicę. Agenci Służb Bezpieczeństwa spojrzeli na zamęt odmienionego miasta i porównali swoją wizję ze wspomnieniami innego dnia, sprzed prawie dziesięciu lat. Zauważyli kołyszącą się więzienną karetkę i chociaż poruszał ją tylko wiatr, wszyscy w duchu pomyśleli sobie, że może to Idris, oszalały ze strachu przed burzą, posmakował odrobiny tego przerażenia, jakie tak chętnie budził w innych.

– W porządku – rzekł w końcu Mustafa, przerywając milczenie. – Teraz pojedziemy zgarnąć Osamę bin Ladena.

– Co takiego? – zdziwił się Sajjid. – Chcesz jechać aż do Rijadu? W taką pogodę?

– On nie jest w Rijadzie – powiedziała Amal. – Bin Laden jest dziś w Bagdadzie, z powodu wiecu. Ten już się skończył, ale on miał się zatrzymać w hotelu Ar-Raszid. Powinniśmy go tam zastać.

– Wiec? – powiedział Abu Nadzi. – Ten wiec w Strefie Zero? – Spojrzał na nich. – Chcecie powiedzieć, że nic nie słyszeliście?

Postać w czarnej burce, z głową spuszczoną w obronie przed wiatrem, pchała wózek na zakupy po chodniku za główną kwaterą Służb Bezpieczeństwa. Wszystkich innych przechodniów w tej okolicy burza zapędziła do domów, lecz Siradż ad-Din, osłaniając dłońmi oczy przed wiejącym piaskiem, starannie obejrzał drzwi i dachy po drugiej stronie ulicy, zanim wysiadł z wozu.

Dotarł do samochodu, który stał przy krawężniku. Trzej inni członkowie Al-Kaidy szli tuż za nim z wyciągniętymi pistoletami, a pochód zamykali kolejni dwaj mężczyźni, prowadzący między sobą więźnia. Pętające jego ręce kajdanki uzupełniono parą kajdan na nogach, tak więc trzeba go było znieść po schodach tylnego wejścia.

Drzwi samochodu po stronie pasażera były zamknięte. Siradż ad-Din niecierpliwie szarpnął za klamkę i pochylił twarz do okna. Zdążył tylko rozpoznać lufę dubeltówki po drugiej stronie szyby, zanim siedzący na fotelu kierowcy zabójca z Partii Boga nacisnął spust. Dwaj inni republikańscy gwardziści z tyłu samochodu zaczęli strzelać z pistoletów przez przydymione szyby, zabijając członków Al-Kaidy. Ci dwaj, którzy trzymali więźnia, rozdzielili się i próbowali poszukać osłony, lecz postać w burce wyjęła karabin automatyczny z wózka na zakupy i już wycelowała; po kilku sekundach dwaj ostatni członkowie Al-Kaidy też byli martwi.

Gwardziści wyskoczyli z samochodu i podbiegli do więźnia, który podczas tej strzelaniny nawet nie drgnął.

Kusajj Husajn zdjął burkę i wrzucił ją razem z karabinem z powrotem do wózka. Potem podszedł obejrzeć zdobycz. Jeszcze nigdy nie widział dzinna i

nie był pewien, czy wierzył w kogoś takiego. Istotnie, więzień wyglądał jak człowiek – może arogancki i zbyt spokojny, ale człowiek.

– Morderstwo jest grzechem – poinformował go więzień.

Kusajj obojętnie zerknął na jedno z leżących w pobliżu ciał.

– Ci ludzie też byli mordercami, możesz być tego pewny.

– I co taka logika mówi o twojej przyszłości? – rzekł więzień.

Kusajj nie raczył mu odpowiedzieć. Trzy policyjne radiowozy wypadły z za rogu, zmierzając do strzelaniny. Kusajj stanął na krawężniku i gestem kazał im się pospieszyć.

Zanim Mustafa przybył tam z pozostałymi, piasek zaczął zasypywać zwłoki i tworzyć zasy po ich zawietrznej. Siradž ad-Din, bezgłowy po trafieniu z dubeltówki, przypominał plażową rzeźbę uszkodzoną przez fale. Ulica została zamknięta i wokół kręcił się tłum funkcjonariuszy Służb Bezpieczeństwa, Biura oraz miejscowej policji.

Obejrząwszy ciała, Mustafa, Samir i Amal schronili się w budynku. Amal wyjęła telefon komórkowy, a Mustafa i Samir rozmawiali z Abd Allahem, poturbowanym, lecz przytomnym. Faruka zabrano do szpitala, a Joego Simeona do kostnicy.

– Powiedzieli, że są z Rijadu – wyjaśnił Abd Allah. Miał zakrwawioną twarz i przyciskał do czaszki woreczek z lodem. – Powiedzieli, że mają rozkaz zabrać obu więźniów. Dokumenty mieli w porządku, ale sposób, w jaki bez uprzedzenia wpadli na posterunek... Sam nie wiem, ale coś mi nie pasowało. Powiedziałem im, że mają poczekać na zewnątrz, a ja zadzwonię, a wtedy ten wielki skurwiel rzucił mną o ścianę.

– Ten więzień, którego zabrali ze sobą – powiedział Mustafa. – Możesz pokazać nam zapis jego przesłuchania przez Faruka?

– Nie. Sprawdziłem. Skasowali go i zabrali zapasowy dysk.

– Jak wyglądał ten człowiek?

Abd Allah opisał więźnia.

– Mówił tak, jakby cię znał...

Amal skończyła rozmawiać przez telefon.

– Abu Nadzi mówi, że nie zastali bin Ladena w hotelu – poinformowała ich.

– Według personelu senator i jego ochrona opuścili hotel mniej więcej w tym czasie, kiedy aresztowaliśmy Idrisa. Mieli dziś wieczorem polecieć do stolicy, ale jeszcze nie zgłosili się do odprawy, a teraz wygląda na to, że wszystkie loty zostały wstrzymane.

– Wątpię, by bin Laden opuścił teraz Bagdad, nawet gdyby mógł wsiąść do samolotu – rzekł Mustafa. – To, czego on chce, jest tutaj... W porządku, założmy, że ci ludzie na zewnątrz są z Al-Kaidy, przybyłymi po tego... osobnika. Czy ktoś zgadnie, kim są ich zabójcy?

– Umm Dabir powiedziała mi, że spojrzała przez okno, kiedy usłyszała strzelaninę – podsunął Abd Allah. – Mówi, że widziała podjeżdżające i zaraz odjeżdżające radiowozy...

– Bagdadzka policja – powiedziała Amal. – Saddam.

Samir spojrzał na Mustafę.

– Myślisz, że zabiorą go do rezydencji w Al-Azamijji?

– Zapewne, szczególnie jeśli Saddam chce jak najprędzej zacząć wypowiadać życzenia.

– Zatem sprawa jest prosta – powiedziała Amal. – Zbierzmy więcej ludzi i ruszajmy za rzekę.

– Moglibyśmy to zrobić – powiedział Mustafa. – Jednak jeśli gliniarze na zewnątrz zobaczą, że zbieramy grupę uderzeniową, mogą zadzwonić i ostrzec Saddama. – Zastanowił się. – Jednak nasza trójka powinna wymknąć się stąd niepostrzeżenie.

– I co we troje zdziałamy przeciwko całej Gwardii Republikańskiej? – zapytał Samir.

– Przeprowadzimy zwiad – odparł Mustafa. – Amal, zadzwoń do Abu Nadżiego. Powiedz mu, żeby udał się do bagdadzkiej filii Biura i zebrał jak najwięcej agentów do nalotu na rezydencję Saddama. Powiedz mu, żeby starał się utrzymać to w tajemnicy przed policją i zrobił to szybko. Och, i nie musi przejmować się nakazem.

– Nadzwyczajne okoliczności? – Amal uśmiechnęła się. – Mam powiedzieć, że czyje życie jest zagrożone? Porwanego więźnia czy nasze?

– To zależy – odparł Mustafa – jaki tak naprawdę jest ten więzień.

Saddam Husajn czekał na podjeździe przed swoją rezydencją, ubrany w autentyczny iracki wojskowy mundur, kupiony przez eBazar. Przyduże lustrzane okulary przeciwsłoneczne pozwalały mu bez zmrużenia oka spoglądać na burzę. Uśmiechał się szeroko w oczekiwaniu na spotkanie, choć co kilka minut musiał odwracać głowę i wypluwać chrzęszczący w zębach piach.

Po prawej ręce Saddama stał jego sekretarz Abd Hamid Mahmud, ze znacznie mniej zadowoloną miną. Na prawo od Abd Hamida stał czarownik, pan Rammal, z twarzą skrytą w cieniu kaptura swej szaty. Na frontowych schodach rezydencji rozstawiono czterdziestu gwardzistów z bronią gotową do strzału. Ich twarze nie zdradzały żadnych uczuć. Równie dobrze mogliby oczekiwać na przybycie głowy państwa, transportu złota czy bitwę.

Za gwardzistami, skryci pod daszkiem frontowych drzwi, stali Tarik Aziz, Udaj Husajn oraz grupka lokai. Aziz i lokaje wyglądali na zdenerwowanych; Udaj miał ponurą minę. Był wściekły, że kazano mu zostać w domu, kiedy wysłano grupę, żeby przejęła dżinna. Był także znudzony: wszystkie kobiety, poczynając od jego matki, a kończąc na pokojówkach, wywieziono z domu.

Przyjechały policyjne radiowozy i machnięciem ręki zostały przepuszczone przez bramę. Wjechały na podjazd i zatrzymały się na rondzie. Kusajj wysiadł

z pierwszego pojazdu. Skinął głową ojcu, a potem otworzył tylne drzwiczki i sięgnął do środka.

Gdy stopy więźnia dotknęły ziemi, zerwał się silny wiatr. Abd Hamid i pan Rammal zachwiali się pod jego uderzeniem, a gwardziści z trudem utrzymali się na swoich stanowiskach. Aziz zasłonił się ręką, a przestraszeni służący zakryli twarze. Udaj, pamiętając, jak wcześniej najadł się wstydu, zacisnął pięści i oparł się wichrowi.

Saddam nawet nie drgnął. Zaczekał, aż Kusajj postawi więźnia na ziemi, a potem zdjął okulary przeciwsłoneczne i spojrział przywiezionemu w oczy.

– Witaj w moim domu! – powiedział, a właściwie wykrzyczał przez wycie wichru. Żartobliwie szarpnął łańcuch łączący okowy na przegubach więźnia.
– Witaj w mojej służbie!

Służby Halal miały przystań rzeczną jedną przecznicę na wschód od budynku Służb Bezpieczeństwa.

Wszyscy troje przed wyruszeniem założyli gogle, Mustafa i Samir owiązali szalikami usta i nosy, Amal zaś użyła do tego swojej chusty. Wyglądali jak bandyci i podchodząc do budki strażniczej przy wejściu na przystań, Mustafa spodziewał się, że zatrzyma ich wartownik. Jednak budka była pusta i chociaż brama była zamknięta, to szyfru otwierającego zamek nie zmieniono od dziesięciu lat.

Weszli na motorówkę z zamykaną kabiną i popłynęli w górę rzeki. Burza piaskowa przybierała na sile. Niebo stało się ciemnopomarańczowe od wiszącego nad miastem pyłu i widzialność obniżyła się do niecałych pięćdziesięciu metrów. Mustafa nawigował za pomocą GPS-u motorówki, a Samir i Amal bacznie wypatrywali zbliżających się jednostek. Na szczęście większość rzeczno-ruchu najwidoczniej wstrzymano na czas burzy.

Po około piętnastu minutach minęli zakręt rzeki i zauważyli rząd świateł, które – zgodnie ze wskazaniem GPS-u – oświetlały prywatną przystań Saddama. Przystań zajmowała prawie stumetrowy odcinek brzegu, a na jej wschodnim końcu wznosił się domek gościnny większy od przeciętnej willi. W tym domu mieściła się też wartownia, więc Mustafa ominął go z daleka, płynąc dalej w górę rzeki obok zachodniego krańca przystani, po czym zgasił światła i zawrócił. Podpłynął kawałek na najniższych obrotach silnika, a potem wyłączył go i przybił do kei obok jachtu o nazwie Bint Zabiba.

– I co teraz? – zapytał Samir, gdy przycumowali motorówkę.

– Pamiętasz, jak w 1997 Halal zamierzała zrobić nalot na tę posiadłość? – spytał Mustafa.

– Pamiętam, że sędzia odmówił wystawienia nakazu po tym, jak nasz informator został znaleziony w betoniarence.

– Owszem, ale przedtem, kiedy jeszcze szykowano akcję, dobrze obejrzałem sobie plan posiadłości i zdjęcia lotnicze. Główna droga do rezydencji biegnie tędy – pokazał na domek gościnny z wartownią – ale jest też osobna brama nad pochylnią na tym końcu, do spuszczenia i wciągania łodzi oraz wyładowywania skrzynek z alkoholem. Ta brama nie jest tak dobrze strzeżona i wtedy była zamknięta tylko na łańcuch z kłódką.

Amal już przetrząsała skrzynkę z narzędziami.

– Czy to się nada? – zapytała, pokazując im nożyce do cięcia prętów.

Ponownie założyli gogle i maski, po czym wyszli na pomost. Brama była tam, gdzie zapowiedział Mustafa, lecz, w przeciwieństwie do Halal, Saddam od lat dziewięćdziesiątych wzmocnił zabezpieczenia. Nad bramą była zamontowana kamera, a sama brama była teraz solidną metalową płytą, zaryglowaną i zamkniętą od wewnątrz.

– Może przejdziemy przez mur? – zaproponowała Amal, gdy skulili się poza polem widzenia kamery. – Możemy przeciąć drut kolczasty nożycami.

– Mur ma co najmniej cztery metry wysokości – rzekł Samir. – Masz także linę z hakiem?

– Jeśli ustawimy kilka skrzyń lub beczek, to możecie na nie wejść i mnie podsadzić. – Odczytując ich milczenie jako skrępowanie, a nie sceptycyzm, dodała: – Udawajcie, że jesteście moimi braćmi.

Nikt nie miał lepszego pomysłu, więc zaczęli skradać się po przystani, szukając jakichś pudeł lub skrzyń, które utrzymałyby ich ciężar. Tuż za Bint Zabibą znaleźli kubeł na śmieci na kółkach, przymocowany łańcuchem do słupka. Przecięli łańcuch i podtoczyli go do bramy.

Mustafa był z nich najwyższy, więc stanął na klapie śmietnika i pozwolił, by Amal wspięła się na jego ramiona. Samir został na ziemi, starając się przytrzymać kubeł. Ten cyrkowy numer byłby trudny nawet przy idealnie spokojnej pogodzie, więc w tych warunkach powinien być niewykonalny, ale wiatr okazał się dziwnie pomocny. Kilkakrotnie, wyciągając ręce, by przeciąć kolejny drut kolczasty, Amal traciła równowagę, lecz nagły podmuch wiatru niczym niewidzialna dłoń przyciskał ją do muru. Pracowała, jak mogła najszybciej. Gdy przecięła ostatni drut, rzuciła nożyce na ziemię i zawołała:

– W porządku!

Mustafa wepchnął dłonie pod podeszwy jej butów i z całej siły pchnął w górę. Ten manewr okazał się fatalny w skutkach dla pokrywy śmietnika, która załamała się pod nim, strącając go w objęcia Samira – ale kiedy obaj spojrzeli w górę, Amal już znikła za murem.

Po pięciu długich minutach dioda kamery zgasła i brama się otworzyła. Amal, teraz uzbrojona w pistolet maszynowy, machnęła zachęcająco. Przebiegli przez krótki tunel. Na jego końcu była budka wartownicza, w której leżał gwardzista, związany plastikowymi pętami, z głową owiniętą własną kurtką. Mustafa odwrócił się, żeby zapytać o to Amal, ale ona już ruszyła naprzód.

Skierowali się ku światłom głównego budynku. Przeszli prawie połowę drogi, gdy wiatr niemal zupełnie ucichł i gdzieś po lewej usłyszeli astmatyczny ryk lwa. Po nim rozległo się nieco cichsze sapnięcie. Z mgły chwiejnie wyszedł gwardzista, spazmatycznie łapiąc powietrze, i upadł na twarz tuż przed nimi.

Gdy Amal czujnie wypatrywała lwa, Mustafa i Samir pochylili się nad gwardzistą. Ten nie został poszarpany, lecz zadźgany. W jego plecach tkwił zrobiony z kawałka plastiku nóż, który przebił płuco. Mustafa wyciągnął go i mrużąc oczy, odczytał napis na klindze: XBOX 360.

Za plecami usłyszeli szcęk przeładowywanej śrutówki.

– Nie ruszać się! – powiedział głos.

Mówił po arabsku, ale z amerykańskim akcentem... i brzmiał znajomo.

– Kapitan Lawrence? – powiedział bez namysłu Mustafa.

– Wstańcie powoli – powiedział głos. – I odwróćcie się wszyscy. Powoli.

Bawełniany podkoszulek kapitana był podarty i zakrwawiony i brakowało mu kawałka lewego ucha, odgryzionego przez jednego z jego umierających strażników. Patrząc na niego, Mustafa doznał dziwnego *déjà vu*. Miał wrażenie, że zna tego człowieka, że pracuje z nim od lat. Wiedział jednak, że go nie zna i że nigdy się nie spotkali. Nie w tym życiu.

Nie czekając na polecenie, Mustafa przesunął gogle na czoło i zdjął szalik zasłaniający mu nos i usta. Kapitan opuścił śrutówkę.

– Mustafa?

– Cześć, kapitanie Lawrence – powiedział Mustafa. – Jak przebiega operacja Iracka Wolność?

Okno sali modlitewnej zasłonięto okiennicą przed burzą, a wzór z piasku na podłodze został odtworzony. W środku kręgu na fotelu z kutego żelaza siedział schwytyany dzinn. Saddam stał twarzą do niego, a pan Rammal krążył

wokół obu. Czarownik nałożył spiczastą czapkę z gęsto tkanych srebrnych nici i chodząc po okręgu, trzymał przed sobą mosiężną butelkę i mamrotał zaklęcia w zapomnianym języku Babilonu.

Obserwowali ten rytuał, z twarzami oświetlonymi migotliwym blaskiem pochodni, Kusajj, Udajj, Abd Hamid Mahmud, Tarik Aziz i pół tuzina gwardzistów. Ci ostatni pozostali niewzruszeni – wszyscy prócz jednego, który był coraz bardziej zaniepokojony popełnianym tu bluźnierstwem i w końcu otworzył usta, żeby zaprotestować. Jednak Udajj uciszył go spojrzeniem.

Pan Rammal zakończył dziewiąty krąg. Zdjął czapkę i oddał butelkę Saddamowi, który złapał ją oburącz i zważył w dłoniach jak noworodka.

Saddam Husajn zwrócił się do dżinna.

– Jesteś gotowy spełnić moje życzenie?

Dżinn spojrzał na niego spokojnie.

– Powiedz mi, czego chcesz.

Saddam ponownie oddał butelkę panu Rammalowi i pstryknął palcami. Abd Hamid Mahmud wystąpił naprzód i podał mu globus. Saddam pokazał go dżinnowi; powierzchnię globusa pokreślono czarnym flamastrem, zmieniając granice i nazwy narodów.

– Mam też kilka notatek – rzekł Saddam, klepiąc kieszeń na piersiach. – Może chciałbyś je przestudiować.

Dżinn poruszył rękami, skutymi w przegubach żelaznymi okowami przymocowanymi do fotela.

– W porządku – powiedział. – Chyba rozumiem. Chcesz znów być władcą. Arabia ma być fundamentem twojej władzy. Z niej twoje zwycięskie armie pomaszerują na Persję i Indie, Europę i Amerykę oraz resztę świata. Twój starzy wrogowie zostaną znalezieni i przyprowadzeni do ciebie w kajdanach, żebyś mógł ich upokorzyć. Ty masz być królem królów, teraz i na zawsze. Dobrze zrozumiałem?

Saddam Husajn uśmiechnął się.

– Na początek wystarczy. – Odrzucił globus Abd Hamidowi i rozłożył ręce na powitanie przyszłości. – Słyszałeś moje życzenie – powiedział. – Teraz je spełnij! Rozkazuję ci!

– Bardzo dobrze – rzekł dzinn. – Moja odpowiedź brzmi – nie.

Trzej gwardziści stali ramię w ramię przy oknie wartowni przy bramie domu, spoglądając na szalejącą burzę.

– To nie jest normalne – powiedział pierwszy gwardzista.

– Pieprzyć twoje „to nie jest normalne” – rzekł drugi.

– Zobacz, jak robi się ciemno!

– To pierdolona burza, dupku!

– Tak, i ten stwór, którego trzymają w tym domu, jest za nią odpowiedzialny! Abu Ramzi powiedział mi...

– Abu Ramzi jest głupcem!

– Uciszcie się obaj! – powiedział trzeci gwardzista, który nie patrzył w niebo, lecz na drogę. – Tam ktoś jest.

– Gdzie? Nie widzę żadnych świateł.

– To nie samochód. Jacyś piesi. – Złapał karabin. – Dzwońcie do głównego budynku oraz innych wartowni i powiedzcie im, że intruzi mogą próbować wtargnąć na teren posesji.

Wychodząc, wcisnął włącznik dodatkowych reflektorów.

Istotnie, ktoś tam był. Tuż za bramą przykucnęła jakaś postać, umieszczając coś przy podstawie muru.

– Hej! – zawołał gwardzista. – Nie ruszaj się!

Jednak postać poderwała się i znikła w szalejącej burzy. Gwardzista podszedł bliżej i jego spojrzenie przykuł przedmiot pozostawiony przez intruza: płócienna torba z mrugającą czerwoną lampką.

– Jak to „nie”? – powtórzył Saddam Husajn. Przeszył wzrokiem pana Rammala, który błagalnie wyciągnął ręce.

– Nie bądź zbyt surowy dla swojego maga – rzekł džinn. – Jego akadyjski jest niezły. Kilka tysięcy lat temu to zaklęcie mogło działać. Obawiam się jednak, że obaj nie rozumiecie, kim naprawdę jestem.

– Kim jesteś? – rzekł Saddam. – Powiedziałem ci, kim jesteś. Jesteś moim sługą!

– Niegdyś byłem własnością królów – sprostował džinn. – Jednak podczas mojego długiego uwięzienia słyszałem, z daleka, słowa proroków: Abrahama, Jezusa i w końcu Mahometa, pokój z nim. Teraz, gdy wypowiedziałem słowa szahady i stałem się muzułmaninem, pogańskie zaklęcia już na mnie nie działają.

– To nieprawda! – powiedział pan Rammal. – Moje zaklęcie cię przywołało! Zmusiło cię, żebyś się ujawnił!

– Większość pracy wykonała moja duma – przepaszająco powiedział džinn. – Jednak nie miałbym żadnego powodu do dumy, gdybym został niewolnikiem Saddama Husajna, i choć naprawdę nie powinienem zakładać, że znam boskie zamiary, nie wyobrażam sobie, żeby miłosierny Bóg chciał, abym służył takiemu niegodziwcowi.

Saddam trząśł się ze złości. Z trzaskiem otworzył kaburę przy pasie i wyrwał z niej wielki rewolwer. Odciągnął kciukiem kurek, obrócił się na pięcie i wycelował w czarownika.

– Nie! – wrzasnął pan Rammal.

Huknął rewolwer i czarownik runął na wznak na zasypaną piaskiem podłogę.

Udajj zrobił krok naprzód, nie odrywając oczu od dzinna.

– Pozwól mi zająć się tym stworem, ojciec – powiedział. – Zmuszę go, żeby robił, co każesz.

– Zamknij się – warknął Saddam. Wycelował dymiącą lufę w skroń dzinna.
– Ciebie też mógłbym zabić.

– Mógłbyś – przyznał dzinn. – A kiedy będę martwy, będę musiał stanąć przed Bogiem, który osądzi mnie na wieki. Czyjego gniewu powinienem obawiać się bardziej?

Saddam znów zaczął się trząść. Zanim jednak zdążył po raz drugi nacisnąć spust, usłyszeli huk pobliskiej eksplozji.

– Co to było?

Dzinn przechylił głowę na bok, nasłuchując wycia wichru.

– Wysoki człowiek – powiedział. – Lepiej urodzony od ciebie, ale nie mniej niegodziwy. Chce uczynić ofiarę z całej twojej posiadłości.

Kolejne hałasy – serie z broni maszynowej – zdawały się dochodzić z wielu miejsc.

– Al-Kaida – powiedział Kusajj. Przyciskał do ucha krótkofalówkę. – Wysadzili bramę frontową i być może atakują również od strony rzeki.

– Ty i ty! – rzekł Saddam, wskazując rewolwerem dwóch ze swoich ludzi. – Zostańcie tu i pilnujcie mojej własności! Kusajj, Udajj, Abd Hamid i reszta, za mną!

Wyszedł na korytarz, rozbrzmiewający krzykami gwardzistów.

Kiedy tamci wyszli i drzwi za nimi się zamknęły, poblady Tarik Aziz wyszedł z cienia i przystanął, załamując ręce nad ciałem czarownika.

– To nie ja – powiedział. Spojrzał na dzinna. – Ja nic nie zrobiłem!

– Nie będę miał złoczyńcy za przyjaciela – odparł dzinn.

– Nie pamiętam cię – powiedział Mustafa. – Czuję, że powinienem cię pamiętać, ale nie pamiętam.

– Nikt mnie nie pamięta – odparł kapitan. – Nikt poza Saddamem nawet nie wie, kim jestem. W wyniku tego ostatnie lata były dość trudne...

Weszli do rezydencji tylnymi drzwiami, obezwładniając przy tym kolejnych dwóch gwardzistów. Ich celem była sala przerobiona na pokój modłów, o której kapitan Lawrence dowiedział się od Saddama podczas jednej z nocnych rozmów i do której – jak podejrzewał – zabrano dzinna. Nadal jednak znajdowali się na parterze, szukając niepilnowanych schodów, gdy rozpętało się piekło. Ukryli się w pomieszczeniu przylegającym do sali z posągiem Nabuchodonozora. Był to ten sam pokój, w którym Mustafa spotkał angielskiego chłopca; widział te same samochodziki i ciężarówki – zabawki porzucone pod meblami.

– Pan jednak pamięta – powiedział Mustafa, starając się mówić cicho. – Dlaczego? Ponieważ jest pan jednym z tych, którzy wypowiedzieli życzenie?

– Wciąż się nad tym zastanawiam – powiedział kapitan Lawrence. – Kiedy użalam się nad sobą, myślę, że Bóg mnie karze. Przeważnie jednak sędzę, że dostałem to, o co prosiłem. Czy byłoby warto zmieniać świat, gdyby się nie pamiętało, jaki był przedtem?

– A Saddam? Jak został pan jego gościem?

– Kiedy zrozumiałem, że nie mogę wrócić do domu – że nie ma domu, do którego mógłbym wrócić – doszedłem do wniosku, że mogę przynajmniej zrobić coś pożytecznego.

– Próbował go pan zabić?

Kapitan kiwnął głową.

– Wydawało się to słuszne, skoro podobno ma nie żyć. Jednak tamtej nocy Kusajj dowodził gwardzistami i złapali mnie, kiedy się tu zakradłem. Gdy Saddam zrozumiał, kim jestem, postanowił włączyć mnie do swojej kolekcji.

Oddział gwardzistów przebiegł przez salę mieszczącą Nabuchodonozora i ruszył korytarzem w kierunku frontowych drzwi. Większość strażników zdawała

się dochodzić od frontu. Mustafa miał nadzieję, że atakujący okażą się agentami Biura, ale wiedział, że jest za wcześnie, aby mogli tutaj dotrzeć.

– A co z panem? – spytał kapitan. – Najwyraźniej znowu jest pan policjantem. Jakiej agencji?

– Służb Bezpieczeństwa.

Znów skinienie głowy.

– Federalna agencja stojąca ponad Saddamem. Zatem pańskie życzenie też się spełniło.

– Nie – z naciskiem powiedział Mustafa. – Nie spełniło się. – Jednak po chwili dodał: – Chociaż nie jest to złe życie. I większość problemów, jakie w nim mam, stwarzam sobie ja sam, a nie ktoś inny.

Nagle w rezydencji zgasły wszystkie światła. Boczny pokój również pograżył się w ciemnościach, lecz komnata Nabuchodonozora nadal była oświetlona apokaliptycznie pomarańczowym blaskiem wpadającym przez okienka w kopule.

– W porządku – powiedziała Amal, spoglądając na arkady. – Jeśli mamy ruszać, to moim zdaniem już czas.

– Idźcie prosto do tamtego przejścia na końcu – powiedział Mustafa, wskazując kierunek. – Pamiętam, że po drodze do gabinetu Saddama mijiałem jakieś schody.

Byli w połowie sali, gdy Udaj Husajn z kilkoma gwardzistami wyszedł z przejścia, do którego zmierzali. Obie grupy stanęły jak wryte i przez moment tylko na siebie patrzyły. Potem jeden z gwardzistów zaczął unosić lufę pistoletu maszynowego i Amal otworzyła ogień, zabijając jego i tego, który stał za nim. Wszyscy zaczęli strzelać i uciekać – chowając się za największy obiekt znajdujący się w tej sali. Udaj i dwaj pozostali gwardziści znaleźli się po jednej stronie posągu Nabuchodonozora, a Amal, Mustafa, Samir i kapitan Lawrence po drugiej.

Amal usiadła, opierając się plecami o posąg, i wetknęła nowy magazynek do pistoletu.

– Udajju Husajnie! – zawołała. – Tu agenci federalni! Rzućcie broń i wyjdźcie z podniesionymi rękami!

Udajj zaśmiał się.

– Czy to ty, Amal Bint Szamal? Chcesz, żebyśmy się poddali? Bardzo dobrze, podejdź tu i pokaż nam swój tyłek, a może pomyślimy o tym!

Kapitan Lawrence przykucnął, zamierzając wybiec zza Nabuchodonozora. Jednak Mustafa spojrzał na posąg, nagle coś sobie przypomniał, powstrzymał kapitana, kładąc dłoń na jego ramieniu, a potem nachylił się i szepnął coś do ucha Amal.

– Bint Szamal! – szydził Udajj. – Córko martwego głupca, który myślał, że przeciwstawi się królowi! Tak, chodź tutaj, a kiedy skończę się z tobą zabawiać, pošlę cię do niego!

– Mylisz się, Udajju – odparła Amal. – Mój ojciec był bohaterem i nawet po śmierci jest wart dziesięciu takich jak twój ojciec i stu takich jak ty. Co zaś do królewskiego tytułu twojego ojca, obawiam się, że to puste gadanie.

Wstała, wycelowała pistolet w kostkę prawej nogi Nabuchodonozora i ściągnęła spust. Kula przebiła cienką blachę i przeszła na wylot, trafiając Udajja w plecy. Gdy runął na twarz, gwardziści próbowali się zerwać i bronić, ale Amal strzelała nadal, posyłając kule w równych odstępach, i nawet nie zdążyli wstać.

Tymczasem na zewnątrz bojownicy Al-Kaidy walczyli z Gwardią Republikańską. Ta ostatnia miała przewagę liczebną, lecz Al-Kaida miała przewagę zaskoczenia. Przed rozpoczęciem głównego ataku małe grupki komandosów przekradły się za mur i czekały w zasadzce. Komandosi byli wyposażeni w termowizjery wykrywające z daleka temperaturę ludzkiego

ciała, nawet w szalejącej burzy. To dawało im taktyczną przewagę nad gwardzistami, z których wielu nawet nie założyło gogli, wybiegając z budynku. Pierwsza fala obrońców pędzących w kierunku bramy wpadła w zasadzkę i została wybita do nogi. Następna próbowała się poruszać ostrożniej, lecz to tylko dało komandosom więcej czasu na celowanie i niebawem ta druga grupa również została wystrzelana.

Strzelanina na moment ucichła, gdy komandosi Al-Kaidy czekali, czy Gwardia spróbuje zaatakować po raz trzeci. Jednak gwardziści, choć za późno, wyciągnęli wnioski z tej lekcji. Po chwili komandosi wstali i ruszyli w kierunku rezydencji.

Do tego czasu Kusajj Husajn zebrał oddział swoich ludzi w sali jadalnej na piętrze, której okna wychodziły na frontowy dziedziniec. Przy jednym z okien postawił karabin z celownikiem termowizyjnym, a przy pozostałych gwardzistów z AK-47. Pozwolił komandosom zbliżyć się do budynku, po czym kazał otworzyć ogień z kałasznikowów. Kiedy nieprzyjaciel odpowiedział ogniem, zaczął strzelać z karabinu snajperskiego, szybko wychwytyjąc jarzące się ludzkie sylwetki, które ukazywał mu celownik termowizyjny. Kilka pokoi dalej drugi oddział, dowodzony przez ojca Kusajja, również zaczął strzelać. W ciągu kilku sekund kilkunastu komandosów zginęło lub odniosło rany, ale bojownicy Al-Kaidy nie wpadli w panikę; pozostali szybko znaleźli osłonę i odpowiedzieli ogniem.

Jeden z ludzi Kusajja za długo stał w oknie; kula strzaskała mu obojczyk. Gdy upadł z wrzaskiem, drugi gwardzista odwrócił się, żeby na niego spojrzeć, i dostał dwie kule w skroń. Kusajj przepadł do podłogi, by uniknąć gradu kul wpadających przez jego okno. Osłoniwszy dłonią ucho, żeby stłumić krzyki rannego i świst nadlatujących kul, nasłuchiwał meldunków z innych części posiadłości. Domek nad rzeką został trafiony rakieta lub wysadzony przez samobójcę i palił się, większość gwardzistów zginęła lub była uwięziona w pożarze. Oddziały, które Kusajj posłał na tyły posesji,

raportowały, że one również są pod ostrzałem, a jedna grupa zameldowała, że słyszy strzały w środku domu.

– O Boże, ratuj! – krzyknął ranny gwardzista, a Kusajj warknął: – Uciszczone go! – nie kierując tych słów do nikogo konkretnego. Potem wystawił głowę nad parapet, wycelował i zastrzelił komandosa Al-Kaidy, który czał się za pniem palmy. Przesunął lufę karabinu snajperskiego w lewo i wypatrył innego komandosa, klęczącego na jednym kolanie, z długą rurą opartą na ramieniu. W celowniku termowizyjnym pojawił się jasny błysk i ciągnąca za sobą smugę dymu rakietą pomknęła w kierunku budynku, rozbiła frontowe drzwi i zabiła kilku gwardzistów w wielkim holu: Kusajj usłyszał przez krótkofalówkę krzyki umierających.

Zastrzelił bojownika z granatnikiem, pochylił się, policzył do trzech, znów się podniósł i wycelował w lewo, gdzie klęczał następny komandos. Kusajj nie zauważył drugiego bojownika z granatnikiem; ujrzał tylko pocisk, który w jego celowniku pojawił się jako otoczony pierścieniem ognia i bardzo szybko rosnący czarny krąg.

Wśród odgłosów bitwy dwaj gwardziści w dawnej sali modlitwy kilkakrotnie popatrzyli po sobie, porozumiewając się bez słów. Teraz, gdy ostrzał z granatników wstrząsnął budynkiem, znów spojrzeli na siebie nawzajem i podjęli niemą decyzję.

– Hej! – powiedział Tarik Aziz. – Dokąd idziecie? Saddam kazał wam tu zostać!

Jednak tamci dwaj uciekli na korytarz, nie oglądając się za siebie.

– Mam zacytować ci następny psalm? – zapytał džinn. – Może dwudziesty trzeci?

Aziz krążył po pokoju, też podejmując decyzję.

– Zacytuj go sobie – rzekł w końcu i ruszył do drzwi.

Zanim jednak zdążył uciec, do środka wpadli uzbrojeni ludzie.

– Cześć, panie Aziz – powiedziała Amal. – Reportażyk z linii frontu?

Mustafa i kapitan Lawrence precyzyjnie się obok przerażonego wydawcy i podbiegli do dżinna. Stalowe obręcze, którymi przykuto go do fotela, był zamknięte na nowoczesne stalowe kłódki.

– Ma pan do nich klucze? – Mustafa spytał Aziza.

– Co? – zdziwił się Aziz. – Skądże! Nie mam z tym nic wspólnego! Zupełnie nic!

– Będziemy musieli je rozbić – powiedział kapitan Lawrence.

– Nie trudźcie się – rzekł dżinn. – Nie ma na to czasu.

Na zewnątrz, w głębi korytarza, jakiś przerażony głos zawył:

– BÓG JEST WIELKI!... BÓG JEST WIELKI!... BÓG JEST WIELKI!

Potem rozległ się mrozący krew w żyłach wrzask, który urwał się jak ucięty nożem.

– O Boże, zabierz mnie stąd! – jęknął Tarik Aziz.

Nie zważając na wycelowany w niego pistolet maszynowy Amal, wybiegł przez otwarte drzwi.

– Pozwól mu uciec – rzekł Mustafa, zanim Amal zdążyła ruszyć w pogoń. – Samirze, zatrzaśnij i zamknij drzwi.

Dżinn posłał łobuzerski uśmiech kapitanowi Lawrence'owi.

– Cóż, jak się panu podoba spełnione życzenie?

– Znasz już odpowiedź – odparł Lawrence. – Dostałem nauczkę. Zamierzam je cofnąć, jeśli mi to zaproponujesz.

Mustafa obserwował, jak Samir zamyka drzwi, ale odwrócił się po tych ostatnich słowach.

– Zaczekajcie chwilę – powiedział.

– Właśnie – powiedziała Amal. – Zaczekajcie.

– Poważnie, facet – rzekł Samir. – Właśnie tego chce Osama bin Laden.

– Może Bóg także – podsunął Lawrence. – Żeby wszystko było tak jak przedtem. Tak jak powinno być.

– Jak powinno być? – powtórzył Mustafa. – I ty mówisz, że dostałeś nauczkę?

Dżinn śmiał się.

– Arabia w pierwotnym stanie, nietknięta marzeniami o Zachodzie. To byłaby alternatywna rzeczywistość... Niestety, nie mogę spełnić tego życzenia. Te drzwi są zamknięte i nie da się przez nie wrócić.

– Zatem dobrze – powiedział Lawrence. Oparł kolbę śrutówki o jedną z kłódek. – Zaraz cię uwolnię...

Jednak dżinn pokręcił głową.

– Już wam mówiłem. Jest za późno.

Piasek wpadał przez wielką dziurę w ścianie sypialni, przysypując ciała gwardzistów, poszarpane odłamkami pocisku z granatnika. Pościel też została porozrywana przez eksplozję i wypełnienie materaca paliło się, chociaż piach już zaczął gasić płomienie.

Wieko dużego kufra z tekowego drewna uniosło się, skrzypiąc, i Saddam Husajn spojrział przez szparę. Kiedy upewnił się, że nie słyszy świstu kolejnych nadlatujących pocisków, odchylił wieko do końca i na pół wyczołgał się, a na pół wypadł z kufra, jęcząc z bólu, bo wcześniej wypadł mu dysk. Złapał karabin jednego z martwych gwardzistów i podpierając się nim jak szczydłem, podniósł się na nogi.

Pokuśtykał do holu, a potem do jadalni, w której zajął stanowisko Kusajj. To, co zobaczył przez roztrzaskane drzwi, sprawiło, że znów jęknął.

Otrząsnął się. Dżinn, pomyślał. Dżinn może to naprawić. Ten stwór twierdził, że jest muzułmaninem. Bardzo dobrze, zda się na jego łaskę, powie,

co będzie trzeba, żeby tamten go obronił. A później, kiedy będzie bezpieczny, znajdzie sposób, żeby nagiąć go do swojej woli i naprawić ten koszmar.

Najpierw jednak musi do niego wrócić. Poszedł dalej korytarzem, już nie utykając, ale zataczając się i wsłuchując w każdy dźwięk. Al-Kaida zdecydowanie była już w budynku – słyszał tupot nóg, krzyki i sporadyczne strzały, gdy napotykali resztki Gwardii Republikańskiej – lecz jak należało sądzić po odgłosach, byli dopiero na parterze. Jednak odnalezienie drogi na piętro nie zajmie im wiele czasu, a wiedział, że nie przerwą poszukiwań, dopóki go nie znajdą.

Wyszedł na galerię nad salą z Nabuchodonozorem. Usłyszał kroki na dole i próbował niepostrzeżenie umknąć stamtąd, lecz wtedy usłyszał głos mówiący z akcentem z Zatoki:

– Myślę, że to starszy syn.

Saddam podszedł do balustrady i spojrzał. Na dole dwaj komandosi stali nad leżącymi na podłodze zwłokami. Jeden z nich świecił latarką w twarz trupa.

– Udaj! – wykrzyknął Saddam.

Komandosi spojrzeli w górę, a on zastrzelił ich obu. Latarka, teraz spryskana krwią, potoczyła się i zatrzymała obok głowy Udajja, niczym upiorny reflektor punktowy nadal oświetlając jego twarz.

– Udajju – powiedział Saddam. – Zaczekaj. Zaczekaj tam. Naprawię to...

Odwrócił się, żeby pójść do sali modlitwy, a wtedy kolba karabinu wyłoniła się z mroku i uderzyła go w twarz. Zatoczył się, upadł na balustradę i wypuścił broń, tak że spadła na parter. Następny cios trafił go w plecy, łamiąc kręgosłup. Saddam osunął się na kolana, półprzytomny z bólu.

Silna dłoń złapała go za włosy, a druga za kołnierz. Napastnik zadał mu jakieś pytanie.

– To ty – syknął z pogardą Saddam, zapominając o bólu, gdy rozpoznał ten głos. – Idź do diabła! Nie dostaniesz go – on jest mój! Jestem królem!

Królem, rozumiesz? Ty nie jesteś nawet dziurą w psim tyłku!

Dłoń mocniej ścisnęła jego kołnierz. Kiedy go podnosiła, Saddam próbował stawiać opór, ale cios w kręgosłup pozbawił go sił – mógł tylko machać rękami i kląć. Zawisł na balustradzie, a ściśnięte gardło i wysokość wyzwoliły okropne wrażenie *déjà vu*. Zaczął krzyczeć, wychwalając wielkość Boga – ostatnie rozpaczliwie błaganie o ocalenie, którego mu odmówiono.

Potem świat przewrócił się do góry nogami i Saddam spadał. Upadł z łoskotem i trzaskiem i na moment w całym domu zrobiło się cicho. Osama bin Laden oparł się o balustradę, patrząc w dół, a pomarańczowy blask odbity w jego oczach sprawiał, że wyglądał jak demon.

Z korytarza za galerią dobiegł krzyk:

– O Boże, zabierz mnie stąd!

Bin Laden ruszył w kierunku tego głosu i wyszedłszy na korytarz, zdążył zobaczyć niknący klin światła, gdy Samir zamykał drzwi pokoju modłów. Bin Laden stał i słuchał – trzasku ryglowanych drzwi, cichnących kroków Tarika Aziza i cichego szeptu swojej intuicji.

Zarzucił karabin na ramię, sięgnął za pazuchę i wyjął płócienną torbę. Idąc korytarzem, nastawił zapalnik.

– Powinieneś stamtąd odejść – powiedział džinn do Samira.

– Dlaczego? – zdziwił się Samir, ale cofnął się od drzwi i stanął wraz z innymi przy magicznym kręgu.

Kapitan Lawrence walił kolbą w kłódkę, która uparcie się nie poddawała. Mustafa poszedł za fotel i obejrzał okiennice.

– Zastanawiam się, czy moglibyśmy uciec stąd przez okno.

– Nie zaprzataj sobie tym głowy – poradził mu džinn.

Wybuch rozerwał drzwi. Kawałki drewna i metalu przeleciały przez komnatę i napotkały powietrzny wir, który zgasił większość pochodni. Kiedy

Mustafa odzyskał przytomność, leżał pod ścianą obok okna. Poza dzwoniem w uszach nic mu nie dolegało i chyba nie był ranny, ale nie mógł się ruszać.

Osama bin Laden wszedł do sali, trzymając AK-47. Zauważył leżącą twarzą do podłogi Amal, ale dzinn rzekł:

– Zostaw ją w spokoju, bracie. To mnie chcesz dopaść.

Bin Laden zbliżył się i stanął dokładnie w tym samym miejscu, które niedawno zajmował Saddam Husajn. Nie wypowiedział życzenia ani żadnego słowa, tylko patrzył na dzinna z mieszaniną zaciekawienia i złości.

Dzinn odpowiedział mu spokojnym spojrzeniem.

– Są wśród nas sprawiedliwi – powiedział – i są wśród nas tacy, którzy są poniżej tego... Pokój z tobą, bracie.

Bin Laden nacisnął spust. Dzinn krwawił jak człowiek i cierpiał też jak ludzka istota – gdy pierwsze kule przeszły jego ciało, otworzył usta w jęku, bezsilnie prężąc ręce i nogi w przytrzymujących je więzach. Bin Laden strzelał, aż opróżnił magazynek. Wtedy dzinn już znieruchomiał i głowa opadła mu na bok.

Mustafa odkrył, że znów może się ruszać. Spróbował wstać, ale zakreśliło mu się w głowie i upadł z jękiem. Bin Laden odwrócił się do niego, słysząc ten dźwięk, i przez moment obaj spoglądali na siebie, gdy senator zastanawiał się, czy warto założyć nowy magazynek do kałasznikowa.

– Jeśli Bóg zechce – powiedział Mustafa i Bin Laden z monarszym skinieniem głowy odwrócił się, po czym wyszedł z komnaty.

Mustafa osunął się na bok, aż spoczął na podłodze, policzkiem na warstwie drobnego piasku. Z tej pozycji widział mosiężną butelkę dzinna, porzuconą i zapomnianą obok ciała czarownika Saddama. Patrzył na taniec migotliwych odbłasków na jej obłej powierzchni i czuł, jak świat obraca się pod nim. Potem wiatr, wiejący z huraganową furją, zerwał okiennice i wpadł do komnaty, gasząc ostatnie pochodnie.

W tej samej chwili na zachodzie, w odległym o trzy tysiące kilometrów Trypolisie, Wadżid Dżamil pracował nad demonstracją nowej wersji oprogramowania dla wuja Muammara. Wirtualny globus Al-Ard – Ziemia – był jednym z ulubionych programów libijskiego władcy, który od czasu jego wprowadzenia na rynek poczynił niezliczone sugestie poprawek. Numer jeden na liście życzeń Al-Kaddafiego – aktualizacja w czasie rzeczywistym satelitarnych obrazów Al-Ard – pozostawał technicznie niewykonalny w cywilnej aplikacji, ale Wadżid robił, co mógł, żeby pod innymi względami program sprawiał wrażenie działającego „na żywo”.

Obecnie prezentowana opcja ściągała dane ze stacji pogodowych na całym świecie i wprowadzała do programu, odświeżając je co piętnaście sekund. Wadżid powiększył północno-zachodnią część ZPA, żeby jego wuj mógł oglądać burzę piaskową, która rozciągała się nad całym Irakiem w kierunku granic z Kuwejtem i Arabią. Al-Kaddafi był zafascynowany, niemal urzeczony – kiedy Wadżid chciał przejść do następnej fazy demonstracji, wykorzystującej dane o ruchu na autostradach, gubernator zapytał, czy mógłby jeszcze chwilę pozostać przy pogodzie.

– Oczywiście – odrzekł Wadżid, jak zawsze pragnąc sprawić mu przyjemność.

Jednak pech sprawił, że podczas kolejnego odświeżania program napotkał pluskwę: siatka żółtych linii przedstawiająca burzę piaskową dramatycznie urosła, rozciągając się na setki kilometrów we wszystkie strony. Al-Kaddafi poderwał głowę, mrugając, jakby monitor komputera wybuchł mu w twarz. Wadżid spojrział na głównego technika, który skrzywił się zmieszany, po czym pochylił niżej nad innym ekranem, pokazującym surowy kod.

Przy następnym odświeżeniu burza piaskowa rozszerzyła się jeszcze bardziej. Teraz obejmowała cały półwysep, a także Persję, Turcję i Kaukaz aż

do Czeczenii. Al-Kaddafi zachichotał, odzyskawszy panowanie nad sobą.

– Globalne ocieplenie – zażartował.

– Tak, to wciąż wersja beta – rzekł Wadżid.

Odnowa. Burza objęła Afganistan, Pakistan i Indie, dotarła do Rosji i Europy Wschodniej, przekroczyła Morze Czerwone i Zatokę Adeńską, aby spowić Somalię, Dżibuti, Erytreę, Etiopię, Sudan, Egipt i Libię aż do Bengazi.

– My jesteśmy następni – rzekł Al-Kaddafi.

– Uhm – mruknął Wadżid, posyłając technikowi następne spojrzenie. Nagle monitory komputerów zamigotały, gdy silny podmuch wiatru uderzył w budynek i miliony ziarenek piasku zaczęły bębnić o szyby.

Odnowa...

W Teksasie był wczesny ranek. W niepozornym domu na przedmieściach Austin mężczyzna stał w kuchni, mówiąc do swojego psa. Chociaż nikt by się tego nie domyślił, patrząc na jego obecne otoczenie, mężczyzna był synem prominenta: jego ojciec był jednym z najbardziej wpływowych i szanowanych członków starszyny w Ewangelicznej Republice i za młodu zakładano, że on również wiele osiągnie w życiu. Mężczyzna jednak zmarnował przewagę, jaką dało mu pochodzenie, wykorzystał wszystkie dane mu szanse i niczego nie dokonał. Teraz, gdy sam miał już dorosłe dzieci, mały czarny terier u jego nóg był szczytem spoczywającej na nim odpowiedzialności.

– Wiem, że masz ochotę na mięso z puszki – powiedział do niego. – Jednak to nie ty decydujesz, co jesz. Ja tu jestem decydentem.

Posłał psu głupkowaty uśmiech, rozbawiony swoim dowcipem, którego terier nie mógł lub nie chciał docenić. Jednak pies zrozumiał, że jego życzenie nie zostanie spełnione, gdyż niechętnie pochylił łeb nad miską suchej karmy.

– Dobry chłopiec – powiedział mężczyzna i poszedł zająć się swoim śniadaniem.

Mężczyzna źle spał, jak zawsze trapiiony przez niepokojące sny, w których bez końca szukał czegoś, co obiecał znaleźć – chociaż nie pamiętał, czy chodziło o przedmiot czy osobę. Wywołana tym frustracja doskwierała mu nawet na jawie. Stojąc przed otwartą lodówką i patrząc na nią tępych wzrokiem, zadał sobie pytanie: Gdzie oni są? A potem: Gdzie jest co?

Nadal spoglądał na lodówkę, gdy usłyszał odgłos, który wziął za bębnienie deszczu o ścianę domu. Stojący naprzeciw rozsuwanych szklanych drzwi na patio pies, który widział, co naprawdę dzieje się na zewnątrz, zaszczekał z przerażeniem i pobiegł schować się w spiżarni.

– Możesz skomleć, ile chcesz – powiedział mężczyzna. – I tak nie dostaniesz puszek. – Gdy burza gwałtownie przybrała na sile, zamknął lodówkę, poszedł do holu i zawołał do żony na piętrze: – Hej, Laur? Nie śpisz? Lepiej zamknij okna w gościnnym pokoju!

Odnowa...

Dziewięćdziesiąt mil od Crawford człowiek nazywany przez Davida Koresha Łowcą Przepiórek był w skrzydle budynku CIA w którym prowadzono przesłuchania, i wydobywał zeznanie od krnąbrnego kwakra. Podziemna izba tortur nie miała okien i była dźwiękoszczelna, ale mimo to wyczuł nadciągającą burzę, sygnalizowaną przyspieszonym biciem serca.

– Panie dyrektorze? – spytał centurion, trzymający wiadro z wodą nad głową więźnia. – Mam powtórzyć?

Łowca Przepiórek chciał dać mu przyzwalający znak ręką, gdy coś pociekło mu na wierzch dłoni. Spojrzał w górę. W suficie pojawiła się dziura, przez którą piasek sypał się jak przez zwężenie klepsydry. Serce uderzyło mu jeszcze mocniej.

– Panie dyrektorze? – spytał centurion. – Panie...?

Odnowa...

W Wirginii David Koresh siedział przy swoim biurku z Biblią otwartą na Księżę Objawienia. Uważał, że rozumie, co się dzieje, i powinien powitać to

z entuzjazmem, lecz teraz, kiedy otrzymał to, o co się modlił, zaczął wątpić, a chrzęst piasku o okno za jego plecami coraz bardziej przypominał trzask płomieni.

Po drugiej stronie Potomacu pułkownik Junus stał na galerii z dinozaurami Instytutu Smithsona, podziwiając piasek sypiący się przez coraz szersze pęknięcia w świetliku. Nie bał się, nawet gdy sufit zaczął się walić; w pędzącej ku niemu chmurze pyłu ujrzał zarysy domu i znajome twarze bliskich.

– Jeśli taka jest wola Boga – powiedział.

Odnowa...

Na całej kuli ziemskiej – w Berlinie i na terytoriach okupowanych, w Londynie i Teheranie, w Kabulu i w Denver, Chicago i Dżakarcie, Islamabadzie i Corpus Christi, w Los Angeles i Bombaju, w Aleksandrii w Egipcie i w Ameryce – szalała burza, rycząc wokół domów i schronów zarówno bogatych, jak i biednych, niczym potężny głos powtarzający: Odnowa. Odnowa. Oto dzień, w którym zmienia się świat...

A w Bagdadzie wysoki mężczyzna idący korytarzem rezydencji nagle znalazł się na zewnątrz, wystawiony na pełną furję burzy. Wiatr wyrwał mu z rąk karabin, a smagający jak biczem piach obalił go na kolana. Oślepiiony, po omacku czołgał się naprzód, szukając schronienia, jakiejś pieczary, do której mógłby wpełznąć. Nie znalazł. Szybko opadł z sił. Legł jak długi, czując, jak przysypuje go piach, i szykując się na śmierć.

Burza nagle ustała. Wysoki mężczyzna podniósł głowę i zobaczył tylko ciemność. Wstał w czarnej ciszy, słuchając swego zdyszanego oddechu, i bardziej wyczuł, niż usłyszał ciężkie kroki za plecami. Włosy zjeżyły mu się na głowie. Gorący oddech owiał mu ucho, gdy ktoś wyższy od niego pochylił się nad nim.

– Kto tam? – zapytał Osama bin Laden i odwrócił się.

EPILOG. MIASTO PRZYSZŁOŚCI

Gdy Mustafa dochodzi do siebie

Gdy Mustafa dochodzi do siebie, jest na wielkiej stercie piasku, jednej z wielu wydym na morzu piachu rozpościerającym się aż po horyzont. Nie wie, co to za pustynia. Najprawdopodobniej Sahara, ale równie dobrze może to być Ar-Rub al-Chali, Nefud albo coś zupełnie nowego.

Kłęczy, jakby się modlił, i istotnie jest to czas modlitwy. Gdy spogląda w górę, słońce ma wprost nad głową. Zamiast jednak bić czołem, wstaje i strzepuje piasek z szaty, którą nie wie kiedy założył. Jej rąbek unosi się i Mustafa widzi, że na nogach ma skórzane sandały, solidne i ładnie wykończone.

Prostuje się i sprawdza dalej. Rzeczy, które ma: Szata. Wygodne obuwie. Zapowiedź brody. I rzeczy, których nie ma: Kieszenie. Portfel. Zegarek. Mapa. Żywność. Woda. Ta ostatnia może być problemem, chociaż jeszcze nie czuje pragnienia. Podejrzewając, że wkrótce może je poczuć, rozgląda się w poszukiwaniu oazy. Nie ma żadnej; tylko jeszcze więcej wydym. Ma tyle piasku, ile tylko mógłby sobie wymarzyć.

Obracając się, zauważa jeszcze coś, sterczący z wydmy kilka metrów dalej but. Podchodzi i wyciąga go, wysypuje z niego piach i obraca go w dłoniach. To wysoki but, z jasnobrażowej skóry i z grubą gumową podeszwą. Nie ma na nim żadnych oznakowań, ani w środku, ani na zewnątrz, ale wygląda na wojskowy.

Cóż, myśli Mustafa, teraz mam but. Ten jednak nie jest w jego rozmiarze – wie o tym, zanim jeszcze przymierzy go do podeszwy sandała – a jego towarzysza nigdzie nie widać, więc po chwili odrzuca go i patrzy, jak but spada, podskakując, po zboczu wydmy.

Kiedy but nieruchomieje, Mustafa kątem oka zauważa jakiś ruch: to Amal i Samir wspinają się z dwóch stron wydmy. Amal ma na sobie niebieską abaję, która lśni srebrzyście w promieniach słońca. Samir jest w miejskim ubraniu: skarpetki i półbuty, spodnie khaki i bawełniana koszula, na której już są plamy potu.

Mustafa wita ich skinieniem głowy, a oni odpowiadają tak samo, wszyscy na luzie, jakby spotkanie na środku pustyni było najzupełniej normalnym zdarzeniem. I może w tym świecie takie jest. Stoją obok siebie na szczycie wydmy i spoglądają na długie szeregi piaszczystych pagórków, biegnące w dal.

Samir odzywa się pierwszy.

– Cóż – mówi – wszyscy jesteśmy na pustyni. – A spojrzawszy na swoje puste ręce, dodaje: – Z niczym.

– Przynajmniej żyjemy – podsuwa Amal.

– To jedna z teorii – oznajmia Mustafa. Jednak mówi to z humorem, nie tyle optymistycznie, ile filozoficznie. Jeśli to ten sam świat, w którym obudził się wczoraj, to nie utracił niczego, czego nie stracił wcześniej. Jeśli to nowy świat, z pewnością ma dla nich zarówno przyjemne, jak nieprzyjemne niespodzianki. Zapewne powinien wziąć pod uwagę możliwość, że są w piekle, lecz fakt, że wciąż może się uśmiechać, aczkolwiek z trudem, czyni to mało prawdopodobnym. A poza tym jęczenie niczego nie zmieni. – Zgaduję, że powinniśmy już iść.

– W porządku – mówi Samir. – W którą stronę?

Trzej muzułmanie zagubieni na pustyni mogą dokonać gorszego wyboru niż pójść w kierunku Mekki. Oczywiście Mustafa nie ma pojęcia, w jakim

kierunku ona się znajduje, ale przypomina sobie, w którą stronę był zwrócony, kiedy klęczał, więc wybierają ten. Z początku próbują iść prosto przed siebie, ale po pokonaniu kilku wydm w prażącym słońcu postanawiają zygzakować, podążając między nimi.

Po przejściu zaledwie dwóch lub trzech kilometrów natrafiają na dżipa. Jest wbity przodem w piach, który zakrywa maskę i większość przedniej szyby, a jego tył i tylne koła sterczą pod ostrym kątem. Tak jak znaleziony przez Mustafę but, dżip jest nieoznakowany, ale wygląda na wojskowy. Piasek odarł z niego zieloną farbę.

Pod zieloną brezentową plandeką na tyle znajdują kilka plastikowych pojemników z wodą. Mustafa otwiera jeden i pije. Woda jest bardzo ciepła, ale smaczna. Przekazuje pojemnik towarzyszom.

Kiedy wszyscy ugasili pragnienie, oglądają przód dżipa. Amal, najmniejsza z nich, wciska się do środka przez okienko po stronie pasażera. Znajduje stacyjkę i próbuje uruchomić silnik, ale nie słychać nawet kliknięcia zapłonu. Więcej szczęścia ma, przetrząsając schowek na rękawiczki: znajduje mały pistolet kalibru .25 z magazynkiem na dziewięć naboí. Magazynek jest pełny, a lufa czysta; zamek przesuwają się bez oporu. Mustafa jest lekko zaniepokojony tym znaleziskiem, ale Amal uważa je za dobry znak.

– Nie zaszkodzi być przygotowaną – mówi, chowając broń pod abaję.

Samir jeszcze raz sprawdza tył dżipa i znajduje skórzany woreczek z tytoniem oraz kilkoma kawałkami bibułki.

– Czy są tam też zapałki? – pyta Amal, a Samir wyjmuję z tylnej kieszeni spodni zapalniczkę.

Mustafa chętnie by zapalił, ale najpierw musi zająć się czymś innym. Bierze jeden z pojemników z wodą i znajduje osłonięte miejsce za najbliższą wydmą. Obmywa twarz, dłonie i stopy. Nadal nie wie, w którym kierunku leży Mekka, ale to można obejść: odmawia wymagane modlitwy nie raz, lecz czterokrotnie, za każdym razem obracając się o dziewięćdziesiąt stopni.

Kończy, kiedy wydmę owiewa łagodny wietrzyk, przynosząc głos Amal odmawiającej swoje modły. Starając się jej nie przeszkadzać, Mustafa wraca do dżipa.

Samir oddał długi pas plandeki i zrobił sobie z niego turban. Ten wygląda komicznie, ale osłoni głowę. Mustafa skręca papierosa i palą go na zmianę, dopóki nie wróci Amal.

Zapewne powinni z reszty plandeki zrobić jakąś osłonę i przesiedzieć pod nią najskwarniejszą część dnia, ale niecierpliwie chcą gdzieś dotrzeć, ustalić położenie tego „gdzieś”, tak więc bez dyskusji biorą po pojemniku z wodą i znów zaczynają iść.

Idą kilka godzin zygzakiem pomiędzy wydmami, wykorzystując położenie słońca, aby utrzymać mniej więcej stały kurs. Wczesnym popołudniem znajdują następny wojskowy pojazd, leżącą na boku ciężarówkę z brezentową plandeką. Samir wczołguje się do środka, szukając następnych zdobyczy. Tym razem nie ma wody ani tytoniu, ale w nawianym do środka piasku odkopuje dużą blaszaną puszkę z czymś ciężkim.

Mustafa spogląda na długi cień rzucany przez ciężarówkę, liczy w myślach i znów idzie się modlić. Kiedy wraca, dowiaduje się, że Samir i Amal znaleźli już otwieracz do konserw.

– Figi – mówi Amal.

Siadają na tyle ciężarówki i jedzą owoce, zlizując syrop z palców. Potem robią się senni.

Mustafa drzemie około godziny. Kiedy się budzi, Samir chrapie jak piła spalinowa, a Amal nie ma. Wychodzi na zewnątrz i widzi ją stojącą na kabinie, ryzykownie balansującą na drzwiach pasażera. Amal osłania dłońią oczy.

– Widzę miasto – mówi.

Mustafa spogląda w ślad za jej spojrzeniem, ale wydma zasłania mu widok, więc wspina się na kabinę.

Teraz je widzi: na horyzoncie, falujące i niewyraźne, w trudnej do określenia odległości.

– Widzę wieże – mówi Amal. – Czy widzisz wieże?

– Coś widzę – mówi Mustafa.

Budzą Samira. On też to widzi.

– Mam nadzieję, że jest rzeczywiste – mówi. – Mam nadzieję, że ludzie, którzy tam mieszkają, mówią po arabsku.

– Jeśli mówią po angielsku – obiecuje Mustafa – będę tłumaczył.

– A jeśli mówią po persku – mówi Amal – powiem wam, czego nie mówić.

Ruszają. Wydmy już nie wydają się takie strome, więc znów zaczynają iść prosto przed siebie, a wspinając się i schodząc, zabijają czas grą. Gdy są na szczycie wydmy i miasto jest widoczne, opisują to, co wydaje im się, że widzą. Kiedy znajdują się w zagłębieniu między wydmami i nie widzą miasta, rozmawiają o tym, co chcieliby zobaczyć i co mają nadzieję zobaczyć, kiedy tam dotrą.

– Mam nadzieję że zniesiono prohibicję – mówi Samir. – Chciałbym napić się zimnego piwa.

– Mam nadzieję, że w Kongresie jest więcej kobiet – mówi Amal. – Dobrze byłoby mieć kobietę prezydenta.

– Mam nadzieję, że jest jakiś Kongres – mówi Mustafa. – I jakiś rodzaj republiki – prawdziwej republiki.

Nadzieja. Ostrożnie używają tego słowa, zamiast „życzenie”. I starają się nie wspominać o przyjaciółach i rodzinach. Jednak gdy w milczeniu podążają w górę lub w dół, myślą właśnie o tym: kto będzie na nich czekał.

Amal myśli o ojcu. Widzi go na stopniach ratusza, w mundurze, ramię w ramię z innymi, którzy oddali życie za sprawiedliwość. To oni. Ma nadzieję znów stanąć obok niego, lecz jeśli za dużo oczekuje, to jest gotowa go zastąpić i kontynuować jego dzieło.

Samir myśli o swoich synach. W głębi serca jest pewny, że oni gdzieś tam są. Mniej pewny jest tego, czy będzie mógł ich zobaczyć. Większość jego myśli skupia się na tym i na rozpoczęciu poszukiwań. Jednak poza Malikiem i Dżibrilem jest w jego nadziejach miejsce na jeszcze jedno – nie tyle konkretną osobę, konkretnego mężczyznę, ile wyobrażenie kogoś takiego. Nie jest to jeszcze myśl, którą ośmieliliby się wyrazić na głos, ale przynajmniej może to sobie wyobrazić i zastanawiać się, czy po tej stronie burzy mogą być możliwe pewne rzeczy niemożliwe przedtem.

Mustafa oczywiście myśli o Fadwie. Nie wie, czy znów ją zobaczy. Nie wie, czy jeśli tak, to czy będzie inaczej. Chciałby mieć szansę powiedzieć jej, że jest mu przykro, a na pewno chciałby spróbować ponownie: Być miłym. Być szczerym. Nie być takim głupcem. Jednak próbowanie nie musi zakończyć się sukcesem, a on wciąż jest tym samym człowiekiem, z tymi samymi wadami.

Chciałby jednak spróbować. I prosić ją o pomoc. A najbardziej ze wszystkiego ma nadzieję na to, że w tym mieście będzie czekała ta, którą może poprosić o pomoc w tych wysiłkach – zmaganiach z przyszłością, której musi stawić czoło, i zmaganiach z przeszłością, której musi pozwolić odejść.

Idą przez resztę dnia, który wydaje się nie mieć końca. Jednak wreszcie się kończy. Gdy słońce zapada za horyzont, wchodzą na szczyt ostatniej wydmy i ono tam jest, rozpostarte na równinie pod nimi: miasto o białych murach, z zapalającymi się właśnie wieczornymi światłami.

Stoją na wydmie, spoglądając na nie.

– Nie poznaję go – mówi Amal. – A wy?

– Nie – mówi Samir.

– Nie – mówi Mustafa.

Jednak nie jest dla nich zupełnie obce. Tu i tam na nieznanomych ulicach widzą kontury, które rozpoznają: kopuł, wieżyczek i wieżowców. I nawet teraz, w minarecie w pobliżu muru, muezin zaczyna swoje nawoływania, znane im słowa w znanym języku.

Stoją na wydmie i słuchają tego wołania. Zapala się więcej świateł. Ludzie krążą po ulicach.

– Wola boska – mówi Mustafa.

A potem on, Samir i Amal schodzą, pełni nadziei, do miasta.

Podziękowania

Podziękowania należą się, jak zawsze, mojej jednej i jedynej żonie, Lisie Gold, która była moją pierwszą czytelniczką, komitetem doradczym, asystentką i cheerleaderką. Moja agentka Melanie Jackson wspierała mnie wtedy, kiedy jeszcze nie byłem pewny, czy ta książka wypali. Mój wydawca Jonathan Burnham oraz redaktor Rakesh Satyal również podnosili mnie na duchu, a Rakesh pomógł mi dobrać do końca, ograniczając do minimum ból i cierpienie. Tim Duggan przeprowadził mnie przez proces publikacji. Do innych, którzy udzielali mi pomocy lub dodawali otuchy, należeli Alison Callahan, Nancy Gold, Rita i Harold Gold, Ernest Lehenbauer, Matthew Snyder, Neal Stephenson, Lydia Weaver i Henry Wessells. Specjalne podziękowania należą się zmarłemu (i nieodżałowanemu) wielebnemu Jackowi Ruffowi, którego wgląd w ludzką naturę wciąż dobrze mi służy.

Tworząc świat mirażu, korzystałem z wielu źródeł, w tym prac Petera Bergena, Marka Bowdena, Anne Garrels, Shahli Haeri, Williama R. Polka, Thomasa E. Ricksa, Zainab Salbi, Davida Thibodeau, Evana Wrighta, Lawrence'a Wrighta i Amiry El-Zein. Cytaty z Koranu są wzięte z angielskiego przekładu Abd Allaha Jusufa Alego. Cytaty z Biblii są wzięte z różnych przekładów, w tym nowej wersji międzynarodowej, nowego wydania standardowego i króla Jakuba.

I wreszcie jestem zobowiązany Karen Glass i Caitlin Foito, które wysłały mnie w tę podróż, prosząc, żebym opowiedział im jakąś historię. Zajęło mi to

cztery i pół roku, a ostateczny rezultat na pewno nie jest taki, o jakim myślały, ale jestem wdzięczny, że wyraziły to życzenie.

Tytuł oryginału: *The Mirage*

Copyright © 2012 by Matt Ruff
All rights reserved

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2013

Informacja o zabezpieczeniach

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Redaktor: Krzysztof Tropiło

Konsultacja (język arabski): dr Marcin Michalski

Projekt i opracowanie graficzne okładki: Michał Pawłowski / www.kreskaikropka.pl

Fotografia na okładce
©Corbis/FotoChannels

W publikacji wykorzystano czcionkę z rodziny Liberation (<https://fedorahosted.org/liberation-fonts/>)

Wydanie I e-book
(opracowane na podstawie wydania książkowego:
Miraż, wyd. I, Poznań 2013)

ISBN 978-83-7818-205-4

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40; fax 61-867-37-74
e-mail: rebis@rebis.com.pl
www.rebis.com.pl

Konwersja do formatu epub:
AKAPIT, Poznań, tel. 61-879-38-88

Spis treści

Okładka

Strona tytułowa

Motto

PROLOG. 9 LISTOPADA

To jest dzień

KSIĘGA I. MIRAŻ

Bojownik zatrzymał się

Mustafa mieszkał ze swoim ojcem

Sindbad naprawdę nazywał się Dawid Cohen

Regionalna centrala

Mieszkanie Costello

On jest fanatycznym wahhabitą

KSIĘGA II. REPUBLIKA NABUCHODONAZOR

W nocy

Tej nocy

Wadżid Dżamil

Tej nocy, gdy Mustafa poznał Nur

Gdy Amal dotarła do centrali

Młoda kobieta

Izraelczycy bombardowali Wiedeń
Kiedy przeszukiwał go członek Gwardii Republikańskiej
Mustafa zadzwonił
We wczesnych godzinach porannych

KSIĘGA III. CHWAŁA I KRÓLESTWO

Wylądowali w Trypolisie
Mustafa znów się zbudził
Kościół znajdował się w miasteczku
Nie – stanowczo powiedziała Umm Husam
Samolot do ojczyzny odleciał

KSIĘGA IV. KAMIEŃ

Krzyżowiec stał na dziewiątym piętrze
Wstrząśnięty Joe Simeon

EPILOG. MIASTO PRZYSZŁOŚCI

Gdy Mustafa dochodzi do siebie

Podziękowania

Strona redakcyjna